

Copyrighted Material

Harry Turtledove

—Book Four of *The Videssos Cycle*—

Swords of the Legion

With his secret betrayed to the Emperor, Marcus is banished—to do the impossible.

Copyrighted Material

TURTLEDOVE HARRY

Videssos #4 Miecze legionu

HARRY TURTLEDOVE

Tom IV z serii VIDESSOS

Przełożył JACEK KOZERSKI

hK

Dla Alison, Rachel

i jeszcze raz dla Laury

WYDARZENIA OPISANE WCZEŚNIEJ

Trzy kohorty rzymskiego legionu pod dowództwem trybuna wojennego, Marka Emiliusza Skaurusa, i starszego centuriona, Gajusza Filipusa, wpadły w zasadzkę Galów. Dowódca Galów, Vi-ridoviks, wyzwiał Marka na pojedynek. Obaj walczyli mieczami druidów. Kiedy skrzyżowali klingi, kopuła światła otoczyła Viridoviksa i Rzymian. Nagle znaleźli się w świecie Imperium Videssos, krainie gdzie kapłani Phosa potrafili tkać prawdziwą magię. Tam Rzymianie i Viridoviks zaciągnęli się do armii Imperium jako najemnicy.

Wmieście Videssos, stolicy Imperium, Marek zostaje przedstawiony żołnierzowi-Imperatorowi, Mavrikiosowi Gavrasowi i jego bratu, Thorisinowi. Później, na przyjęciu, Skaurus spotyka córkę Mavrikiosa, Alypię, i czarodzieja Avshara. Avshar prowokuje pojedynek, lecz kiedy druidyczny miecz zneutralizował zaklęcia Avshara, Marek zwyciężył czarodzieja w walce na miecze. Avshar postanowił zemścić się za pomocą magii. Kiedy to zawiodło, czarodziej uciekł do swej ojczyzny, Yezd, zachodniego wroga Videssos. Imperium ogłosiło wojnę z Yezd.

Wojska zaczęły napływać do stolicy i pomiędzy najemnikami z Księstwa Namdalen a rodzimymi Videssańczykami doszło do spięć z powodu drobnych różnic w wyznawanej przez nich religii. Każda ze stron uważała drugą za heretyków. Patriarcha Videssos, Balsamon, wygłosił kazanie głoszące potrzebę tolerancji, lecz wkrótce fanatyczni mnisi doprowadzili do zamieszek. Marek dowodził oddziałem Rzymian wyznaczonym do ich stłumienia. Gdy zamieszki miały się ku końcowi, Marek uratował Namdalajkę imieniem Helvis. Wkrótce ona i jej mały syn zamieszkali wraz z nim w koszarach Rzymian.

W końcu armia Videssos wyruszyła na zachód przeciwko Yezd, w towarzystwie kobiet i dzieci wojowników. Marek ucieszył się, kiedy Helvis zaszła w ciążę.

Dowiedziawszy się, że lewe skrzydło armii zostało oddane pod dowództwo młodemu i niedoświadczonemu Ortaiasowi Sphrant-zesowi, bratankowi pierwszego ministra, Vardanesa Sphrantzesa, doznał wstrząsu.

Vaspurakańczycy dołączyli do armii później – wśród nich Senpat Sviodo z żoną Nevratą i generał Gagik Bagratouni. Kiedy fanatyczny kapłan Zemarkhos zelżył go, Bagratouni wrzucił kapłana wraz z jego psem do worka i pozwolił swym żołnierzom ich pobić. Ostatecznie interwencja Skauru-sa uratowała Zemarkhosa przed śmiercią.

W końcu dwie armie spotkały się. Wynik bitwy zdawał się nie rozstrzygnięty aż do chwili, kiedy czar rzucony przez Avshara do tego stopnia przeraził Ortaiasa, że dowódca lewego skrzydła uciekł. Kiedy lewe skrzydło się rozpadło, Imperator został zabity, a armia rozgromiona.

Rzymianie wycofali się na wschód, zachowując porządek; po drodze uratowali kapłana-nauczy-

ciela, Neposa, i otrzymali kawaleryjskie wsparcie Laona Pakhymera i jego oddziału khattriszańskiej jazdy. Zimę spędzili w zaprzyjaźnionym mieście i tam dowiedzieli się, że Ortaias ogłosił się Imperatorem i zmusił Alypię do poślubienia go.

Thorisin Gavras prezimował w pobliskim mieście wraz z resztką armii w sile dwóch i pół tysiąca ludzi. Wiosną legion dołączył do niego i razem pomaszerowali na stolicę Videssos. Bramy zastali zamknięte, lecz oddani im ludzie w mieście otworzyli je. Gdy obrońcy zbiegli, Avshar, występujący pod przebraniem w roli dowódcy Ortaiasa, Rhavasa, próbował pokonać oswoobodzicieli za pomocą zdradliwej magii, lecz przeszkodziły mu w tym miecze Viridoviksa i Marka. Avshar wycofał się, a potem nagle zniknął.

Thorisin został koronowany na Imperatora. Unieważnił małżeństwo Alypii i skazał Ortaiasa na wygnanie, by odpokutował swoje winy pokornym życiem mnicha. Jednak działania Thorisina hamował brak pieniędzy. Rozkazał, by Marek skontrolował sprawozdania „gryziopiórków”-biurokra-tów. Skaurus odkrył, że wielu bogatych właścicieli ziemskich nie płaci należnych podatków. Największym oszustem okazał się Onomagoulos, dawny przyjaciel Mavrikiosa Gavrasa. Dowiedziawszy się o tym, Thorisin wysłał Namdalajczyków pod dowództwem hrabiego Draxa, by rozprawili się z Onomagoulosem.

Thorisin wysłał również swoich ludzi na północ, by uzyskali pomoc Arshaumu. Grecki lekarz, Gorgidas, zniechęcony niemożnością nauczenia się leczniczej magii, dołączył do nich. Zrobił to również Viridoviks, czmychając przed rozgniewaną kochanką.

Drax pokonał i zabił Onomagoulosa, a potem ogłosił zachodni region Imperium

terytorium na-mdalajskim pod własnymi rządami. Thorisin wysłał przeciwko niemu Marka i jego legion.

Na północy Viridoviks został porwany przez bandytów, działających na zlecenie Avshara. Umknął do wioski koczowników, którą wkrótce tamci zniszczyli. Viridoviks i młody Batbaian uciekli w szalejącą zamieć. W tym czasie Gorgidas wraz z resztą grupy spotkali się z przywódcą Arshaumu, Arghunem. Gorgidas zdołał uratować Arghuna, kiedy poseł z Yezd usiłował go otruć; Arghun zgromadził armię, by przez uderzenie na Yezd pomóc Videssos. Wyruszywszy w drogę, znaleźli zamarzniętego niemal na śmierć Viridoviksa. Gorgidas uratował go, wykorzystując leczniczą magię, z której wcześniej zrezygnował, nie mogąc się jej nauczyć.

W tymże czasie Skaurus prowadził wyprawę przeciwko hrabiemu Draxowi i jego Namdalajczy-kom. Po ciężkiej kampanii pokonał ich i wziął do niewoli ich dowódców. Wśród nich znalazł się Soteryk, brat Helvis. Ona sama, wykorzystując wino i swe ciało sprawiła, że Marek zasnął głęboko, a wówczas uwolniła więźniów i uciekła z nimi, zabierając dzieci Marka. Pełen smutku i wstydu trybun wrócił, by zameldować o tym Thorisinowi.

Jego krótka relacja nie wystarczyła Imperatorowi. W obecności Aypii rozkazał Neposowi przygotować narkotyk, pod wpływem którego Marek musiał mówić prawdę, a potem wypytał go o

wszystkie szczegóły, nawet dotyczące jego życia osobistego. W końcu Thorisin przyznał: – Zadałem gwałt niewinnemu człowiekowi.

Skaurus wrócił do swej pracy nadzorcy urzędników podatkowych, lecz jak pustelnik odwrócił się od świata. Aypia darzyła go jednak głębokim uczuciem. Spotkawszy się z nim na pewnej uroczystości nakłoniła go, by zaprosił ją na kolację. Kolacja doprowadziła do innych rzeczy...

Chciałbym przyjrzeć się temu bliżej, jeśli można – rzekł Marek Emiliusz Skaurus, wskazując na naszyjnik.

–Któremu? – zapytał jubiler, tłusty łysy człowieczek z kędzierzawą czarną brodą. Rzymianin

wskazał ponownie. Uśmiech rozjaśnił twarz rzemieślnika; skinął szybko głową.

–Masz dobry gust, mój panie, to klejnot godny księżniczki.

Trybun wojenny również uśmiechnął się, słysząc niezamierzoną prawdę, jaką jubiler zawarł w

swych słowach, namawiając go do kupna. Chcę go właśnie dla księżniczki – pomyślał trybun. Zamiast tego warknął: – Za odpowiednio godną cenę, nie wątpię. – Najlepiej zacząć zbijać cenę, zanim sprzedawca ją wymieni, ponieważ Skaurus zamierzał kupić ten naszyjnik.

Jubiler, który grał w tę grę mnóstwo razy, przybrał minę urażonej niewinności. – A kto tu mówi o pieniądzach? Proszę – powiedział, wciskając Markowi w rękę naszyjnik – weź go do okna i zobacz, czy nie jest tak piękny, jak mówię. Kiedy uznasz, że ci odpowiada, możemy rozmawiać dalej, jeśli zechcesz.

Okiennice sklepu były szeroko otwarte. Słońce lśniło mocno, choć co jakiś czas północny wiatr przesłaniał je skrawkiem chmury, przygaszając na chwilę blask setek dużych i małych połączanych kul, wieńczących rozrzucone po całym mieście Videssos świątynie Phosa. Wciąż jeszcze trwała zima, lecz w powietrzu czuło się wiosnę. Mewy skwirzyły wysoko w górze; przez okrągły rok gnieździły się w stolicy Imperium Videssos. Gdzieś bliżej trybun usłyszał pliszkę; pogwizdując na szczycie dachu oznajmiała swoje wczesne przybycie.

Skaurus zważył w ręku naszyjnik. Gruby łańcuch o zawiłym ornamencie spoczywał na jego dłoni solidnym, zmysłowym ciężarem czystego złota. Zbliżył go do oczu; miesiące pracy nad kwita-riuszami podatkowymi w imperialnej kancelarii uczyniły go odrobinę krótkowzrocznym. Dziewięć szmaragdów o prostokątnym szlifie zostało doskonale dobranych pod względem rozmiarów i barwy – głębokiej, świetlistej zieleni. Harmonizowałyby z kolorem oczu Aypii Gavras – pomyślał i jeszcze raz się uśmiechnął. Pomiedzy szmaragdami umieszczono osiem owalnych kropli z macicy perłowej. W przesuwającym się świetle ich nieuchwytna barwa migotała i tańczyła, jak gdyby

ogładana w rozświetlonej wodnej głębi.

–Widziałem gorsze – rzekł niechętnie Marek, wracając do stojącego za ladą jubilera, i teraz pertraktacje rozpoczęły się naprawdę. Obaj spocili się, nim dobili targu i uzgodnili cenę.

–Uf! – westchnął rzemieślnik, przykładając do czoła lnianą chustkę i spoglądając na trybuna z nie ukrywanym szacunkiem. – Z powodu twojej jasnej cery i akcentu wziąłem cię za Halogaj-czyka, a Phos, pan o wielkim i mądrym umyśle wie, jak łatwo mieszkańcy północy rozstają się ze swoim złotem. Lecz ty, panie, ty targujesz się jak rodowity mieszkaniec stolicy.

–Potraktuję to jako komplement – rzekł Skaurus. Videssańczycy często mylnie brali trybuna za jednego z wielkich, jasnowłosych mieszkańców północy, którzy służyli w Imperium jako najemnicy. Jego Rzymianie byli raczej średniego wzrostu, ciemnowłosi i czarnoocy, jak lud, do którego krainy zostali przeniesieni przed ponad trzema laty, lecz sam Skaurus pochodził z miasta leżącego w północnej Italii, z Mediolanu. Jacyś dawno zapomniani celtyccy przodkowie obdarzyli go dodatkowymi calami wzrostu i blond włosami, choć rysy miał orle, a nie proste i ostre jak Galowie, czy tępe jak Germanowie – albo, jak w tym świecie, Halogajczycy.

Jubiler zawinął naszyjnik w skrawek wełny dla ochrony kamieni. Skaurus z kolei odliczył sztuki złota, by mu zapłacić. Rzemieślnik, nie ryzykując, przeliczył je ponownie, skinął głową i otworzył solidną żelazną kasę. Wsypał je do środka, mówiąc: – Jestem winien ci jedną szóstą sztuki złota. Chcesz resztę w złocie czy w srebrze?

–Myślę, że w srebrze. – Videssańskie szóstki były zwykłymi bublami, bitymi na tej samej

sztancy co monety wartości jednej trzeciej sztuki złota, lecz zaledwie w połowie tak grubymi. Spo

tykało się je bardzo rzadko, i nie bez powodu. W sakiewce gięły się a nawet łamały i częściej

można było spotkać wśród nich sztuki o obniżonej wadze lub z gorszego stopu, niż to się zdarzało z

pieniędzmi powszechniej używanymi.

Marek włożył cztery srebrne monety do sakiewki przy pasie i wsunął naszyjnik głęboko pod tunikę. Wracając do swego pokoju w pałacowym kompleksie będzie musiał przemierzyć plac Pala-mas, a lepkopalcy złodziejaszkuwie gromadzili się na wielkim rynku w ilościach nie mniejszych niż ucziwi kupcy. Jubiler mrugnął porozumiewawczo do trybuna, doskonale go rozumiejąc. – Jesteś ostrożnym człowiekiem. Nie chciałbyś stracić swego cacka zaraz po tym, jak je zdobyłeś.

–W rzeczy samej, nie chciałbym.

Jubiler skłonił się i trwał w pokłonie dopóki Skaurus nie opuścił jego sklepu. Machnął ręką, gdy

trybun przechodził pod oknem. Zadowolony z zakupu, Rzymianin odwzajemnił pozdrowienie.

Szedł na zachód Ulicą Środkową w stronę placu Palamas. Videssańczycy uwijali się wokół niego zajęci własnymi sprawami, nie zwracając na trybuna żadnej uwagi. Większość ludzi nosiła grube tuniki o prostym kroju i luźne wełniane spodnie, czyli strój taki sam jak jego własny. Mimo chłodu niektórzy nałożyli długie togi z brokatu, częściej używane jako strój ceremonialny niż jako ubiór na

co dzień. Miejskie obiboki przechadzały się z buńczuczными minami we własnym stroju: tunikach z szerokimi, bufiastymi rękawami ściągniętymi w nadgarstkach, i w trykotowych pończochach, farbowanych na wszystkie możliwe jaskrawe kolory. Niektórzy z nich golili sobie tył głowy. Namda-lajczycy – niekiedy najemnicy, niekiedy śmiertelni wrogowie Videssos – również tak robili, lecz mieli w tym swój cel; pozwalało to hełmom lepiej przylegać do głów. Videssańscy złodziejaskowie golili sobie głowy po prostu dla kaprysu.

Trybun aż podskoczył, kiedy jeden z uliczników wykrzyknął jego imię i podszedł do niego z wyciągniętą ręką. Potem go rozpoznał; bardziej po jego zepsutych zębach niż po czymkolwiek innym. – Witaj, Arsaber – powiedział, ściskając wyciągniętą rękę. Zbir należał do ludzi, którzy otworzyli bramy miasta, kiedy Thorisin Gavras odbierał imperialny tron uzurpatorowi Ortaiasowi Sphrant-zesowi, potem zaś całkiem dzielnie walczył po stronie Rzymian.

–Cieszę się, że cię widzę, Rzymianinie – zahuczał Arsaber i Marek zgrzytnął zębami; przeinaczenie, jakie popełnił ów idiota odźwierny na przyjęciu po przybyciu Rzymian do stolicy, wydawało się mieć nieśmiertelny żywot. Radośnie nieświadom, Videssańczyk ciągnął dalej: – Poznaj moją kobietę, Zenonis, a ci trzech chłopcy to moi synowie: Tzetzes, Stotzas i Boethios. Kochanie, chłopcy, oto sławny Skaurus; człowiek, który pobił zarówno Namdalajczyków jak i biurokratów. – Mrugnął do trybuna. – Założę się, że z gryzipiórkami miałeś cięższą przeprawę.

–Pod pewnymi względami – przyznał Marek. Skinął głową Zenonis, drobnej, uśmiechniętej radośnie kobiecie około trzydziestki, w kwiecistej jedwabnej chustce na głowie, kurtce z króliczego futerka i długiej wełnianej spódnicy; potem wymienił poważny uścisk dłoni z Tzetzesem, który mógł mieć jakieś sześć lat. Dwaj pozostali chłopcy byli jeszcze zbyt mali, by zwrócić na niego uwagę; Stotzas miał dwa lata lub coś koło tego, zaś Boethiosa, jeszcze niemowlę, zakutanego w koc, tuliła do siebie Zenonis.

Arsaber stał obok, cały rozpromieniony, gdy trybun wymieniał uprzejmości z jego rodziną. Ulicznik prezentowałby nieskazitelny obraz ojca rodziny, gdyby nie jego dziwaczny strój i solidna pałka dyndająca mu u pasa. Po chwili powiedział: – Chodźmy, kochanie, spóźnimy się na przyjęcie u kuzyna Dryosa. Pieczone przepiórki – wyjaśnił Skaurusowi, ponownie potrząsając jego ręką.

Trybun przyłapał się, że spogląda na swoje palce; to była niezła myśl policzyć je, czy któregoś nie brakuje po wymianie uścisku dłoni z Arsaberem. Ukradkiem klepnął się w pierś, by sprawdzić, czy uśmiechniętemu hultajowi nie udało się zwędzić ukrytego tam pod tuniką naszyjnika.

Przypadkowe spotkanie napełniło Marka dziwnym smutkiem; dopiero po chwili uświadomił sobie dlaczego. Widok rodziny Arsabera przypomniał mu boleśnie o jego własnej, którą stworzył i którą miał aż do chwili, gdy Helvis uznała, że rodzime namdalajskie więzy są dla niej ważniejsze niż te, jakie łączyły ją ze Skaurusem; w rezultacie porzuciła go, pomagając uciec swemu bratu Sote-

rykowi i kilku innym ważnym namdalajskim więźniom. Dziecko, którego się spodziewali, byłoby tylko odrobinę młodsze od Boethiosa – lecz Helvis przebywała teraz w Księstwie Namdalen i Marek nie wiedział nawet czy urodziła chłopca, czy dziewczynkę.

W przepadłej Italii, w młodości, której już nigdy ponownie nie ujrzy, uczył się głoszonych przez stoicką szkołę filozofii zasad mówiących, że należy pozostawać niewzruszonym w obliczu choroby, śmierci, oszczerstwa i intrygi. Intencje szlachetne, lecz, obawiał się, niemożliwe dlań do spełnienia po tym, jak Helvis zdradziła ich miłość.

Myśl o Italii przypomniła mu o pozostałych Rzymianach, tych którzy przeżyli wszystko, co ten świat zwał na nich. Pod pewnymi względami tęsknił za nimi jeszcze bardziej niż za Helvis i swymi dziećmi. Tylko oni dzielili z nim język i całą przeszłość; przeszłość zupełnie obcą dla Videssos i wszystkich jego sąsiadów. Wiedział, że spędzają lekką zimę na służbie garnizonowej w Garsavrze, mieście na zachodnich rubieżach Imperium. Upewniały go o tym trzy czy cztery krótkie listy, jakie otrzymał od Gajusza Filipusa. Lecz starszy centurion, choć żołnierz nie mający sobie równych, w pisarstwie ledwie raczkował i jego nieudolne słowa nie potrafiły wywołać uczucia bliskości, przebywania z legionistami; uczucia, którego Skaurus tak potrzebował na swoim niemal wygnaniu w stolicy.

Buty chlupotały w brudnym, na wpół stopionym śniegu, kiedy szedł wzdłuż długiej, wyniosłej masy budynku z czerwonego granitu, mieszczącego imperialne archiwum, rozmaite ministerstwa i miejskie więzienie. Ponury nastrój Skaurusa minął; uśmiechnął się i wsunął rękę pod tunikę, by ponownie dotknąć naszyjnika. Z tego co wiedział, Alypia Gavras mogła właśnie krążyć po archiwum, szukając uzupełniających

materiałów do swej historii. To właśnie robiła kilka miesięcy temu, w święto Przesilenia Zimowego, kiedy wychodząc z rządowych biur przypadkowo natknęła się na trybuna.

Owej nocy przyjaźń zmieniła się w coś więcej. Jednak ich spotkania od tamtego czasu bywały o wiele rzadsze niż pragnąłby tego Marek. Jako bratanicę Thorisina, Alypię otaczał skomplikowany ceremoniał prastarego Imperium; tym szczelniej, że Imperator nie miał prawowitego spadkobiercy.

Rzymianin usiłował nie myśleć o niebezpieczeństwie, jakie prowokował przez sam fakt znajomości z nią. Gdyby zostało to odkryte, raczej nie mógł spodziewać się miłosierdzia. Thorisin nie siedział zbyt pewnie na swoim tronie. W tej sytuacji Imperator ujrzałby w nim jedynie ambitnego dowódcę najemników, pragnącego wzmocnić własną pozycję poprzez romans z księżniczką. Skaurus oddał mu wielkie przysługi, lecz też niejednokrotnie zlekceważył wolę Thorisina – i, co gorsza, dowiódł, że miał rację tak czyniąc.

Plac Palamas wymiół z jego głowy tego rodzaju troski. Jeśli miasto Videssos skupiało w sobie jak w soczewce obraz całego wielojęzycznego Imperium Videssos, to ów wielki rynek tworzył miniaturę miniatury. Pojawiały się tutaj towary ze wszystkich zakątków świata, jak i pochodzący

zawsząd kupcy, by je sprzedawać. Grupa koczowniczych Khamorthów przebyła Morze Videssańskie z miasta Prista, wysuniętej rubieży Imperium, by zachwalać produkty pardrajańskich stepów – łój, miód, wosk – właśnie w stolicy. Paru ogromnych Halogajczyków, z włosami splecionymi w żółte warkocze, ustawiało budę na futra i bursztyn ze swej północnej ojczyzny. Mimo wojny z Yezd, z zachodu wciąż docierały do Videssos karawany z jedwabiem i korzeniami, niewolnikami i cukrem. Jakiś namdalajski kupiec splunął pod nogi znudzonego Videssańczyka, który oferował mu zbyt niską cenę za ładunek piwa; inny rozkładał noże na stole. Khatrish, gibki, niski mężczyzna, który wyglądał jak Khamorth, lecz zachowywał się jak mieszkaniec stolicy, targował się z agentem składu komisowego o cenę, jaką mógł otrzymać za partię drewna budulcowego, którą sprowadził do miasta.

A wraz z obcokrajowcami tłoczyli się sami Videssańczycy: dumni, sprytni, żywi, skorzy do obrazy i równie łatwo obrażający innych. Minstrele przechadzali się wśród falującego tłumu, śpiewając i akompaniując sobie na bębenkach, lutniach albo bandurach, które wydawały bardziej przejmujące, żałobne tony. Marek, który nie miał muzycznego słuchu, na tyle na ile mógł nie zwracał na nich uwagi. Niektórzy z miejscowych nie byli jednak tak uprzejmi. – Dlaczego nie utopisz tego biednego kota i nie skończysz z tym miauczeniem? – zawołał ktoś, po czym znieważony muzyk rozbił swoją lutnię na głowie krytyka. Przysłuchujący się ludzie odciągnęli ich od siebie.

Mnisi i kapłani Phosa o wygolonych głowach krążyli tu i tam w swoich błękitnych szatach, niektórzy nawołując wiernych, by modlili się do prawdziwego i dobrego boga, inni, wysłani z jakimś zleceniem z klasztoru lub świątyni, targując się z takim samym wigorem i zręcznością jak każdy świecki człowiek. Pisarze stali za małymi, składanymi pulpitemi, każdy z rylcem lub gęsim piórem w ręku, gotowi pisać dla ludzi, którzy mieli pieniądze, lecz nie znali liter. Jakiś żongler zarzucił przekleństwami chudego cieślę, który potrafił go, przez co sztukmistrz upuścił talerz. – *A ciebie* niech pochłonie lód Skotosa – odciął się cieśla. – Gdybyś miał choć trochę zręczności, złapałbyś to. – Z przyklejonymi do ust olśniewającymi, twardymi uśmiechami kurtyzany wszelkiego rodzaju i ceny kroczyły zalotnie, pyszniąc się. Naganiacze kręcili się wśród przybyszów, chwając jakiegoś konia albo szydząc z innego.

Sprzedawcy, niektórzy w straganach, inni tułając się wśród tłumu, głośno zachwalali swoje towary: mątwy, tuńczyki, węgorze, krewetki – jako port, miasto pochłaniało ogromne ilości owoców morza. Można było kupić chleb z mąki pszennej, żytniej i jęczmiennej, dojrzałe sery, pomarańcze i cytryny z zachodnich rubieży, oliwki i tłoczoną z nich oliwę, czosnek i cebulę, sfermentowany sos rybny. Oferowano rozmaite wina, w większości zbyt słodkie jak na gust Skaurusa, choć to nie powstrzymywało go, by je popijać. Łyżki, kielichy, talerze z żelaza, mosiądzu, drewna albo z litego srebra czekały na nabywców; można też było znaleźć proszki i nalewki rzekomo lecznicze, inne ponoć wzmacniające potencję; perfumy; święte obrazy; amulety i księgi zaklęć. Tutaj w Vides-

sos, gdzie magia objawiała się o wiele realniej niż w Rzymie, trybun zachowywał ostrożność nawet wobec pośledniejszych czarodziei. Były również buty, sandały, pasy z tłoczonej skóry; kapelusze słomiane, ze skóry, płócienne, ze złotogłowiu i całe mnóstwo innych towarów, których nazw Marek nie potrafił rozróżnić, ponieważ zachwalający je sprzedawcy zagłuszali się nawzajem.

Krzyk jak ryk jakiegoś boga rozległ się znad Amfiteatru, ogromnego owalu z wapienia i marmuru, który tworzył południowy kraniec placu Palamas. Sprzedawca suszonych fig wyszczerzył zęby do Skaurusa. – Wygrał fuks – rzekł ze znajomością rzeczy.

–Założę się, że masz rację. – Trybun kupił garść owoców. Właśnie wrzucał je sobie po jed

nym do ust, kiedy niemal wpadł na oficera imperialnej kawalerii, Provhosa Mourtzoughlosa.

Mourtzoughlos uniósł brew; wyraz pogardy wykrzywił jego przystojne, arystokratyczne rysy. – Używasz sobie, cudzoziemcze? – zapytał ironicznie. – I co, smakuje ci? – Odgarnął długie czarne włosy z czoła i podrapał się w szczękę

porośniętą gęstą brodą.

–Tak, dziękuję – odpowiedział Marek z takim opanowaniem, na jakie mógł się zdobyć, lecz czuł, że czerwienieje pod sardonicznym spojrzeniem Videssańczyka. Nawet jeśli Marek miał dziesięć lat doświadczenia życiowego więcej niż młody kawalerzysta, który prawdopodobnie nie przekroczył jeszcze trzydziestki, to Mourtzouphlos urodził się tutaj, co bez reszty niweczyło jakąkolwiek przewagę wieku. A zachowując się przed nim jak barbarzyński tępak, też sobie Marek w niczym nie pomógł. Mourtzouphlos był jednym z wielu mieszkańców Imperium okazujących obcokrajowcom wyniosłą pogardę bez względu na okoliczności; to, że Rzymianinowi sprzyjało powodzenie jako dowódcy, czyniło go dla Videssańczyka tym bardziej podejrzanym.

–Thorisin powiedział mi, że wyruszymy przeciwko Yezda doliną Arandosu, gdy tylko wyschną drogi prowadzące na zachód – rzekł Videssańczyk, troskliwie zaliczając kolejnych parę punktów przewagi nad Skaurusem. Niedbałe użycie imienia Imperatora wynikało z poczucia sławy, jaką Mourtzouphlos zdobył w kampanii pod dowództwem Gavrasa przeciwko namdalajskim najeźdźcom, zagrażającym Opsikionowi na wschodzie, podczas gdy trybun mozolił się bez rozgłosu, walcząc na zachodnich rubieżach przeciwko wielkiemu hrabiemu Draksowi i jego, liczniejszym jeszcze niż wschodnie, zastępom Namdalajczyków. A wiadomości Videssańczyka pochodziły z jakiejś narady, na którą Rzymianin, znajdujący się w niełasce za zaplanowaną przez Helvis ucieczkę Draxa, nie został zaproszony.

Lecz Marek miał gotową ripostę: – Jestem pewien, że damy sobie z nimi radę. Ostatecznie, moi legioniści bronili przejścia przez dolinę Arandosu pod Garsavrą przez całą zimę. Mourtzouphlos nachmurzył się niezadowolony, że mu o tym przypomniano. – Cóż, tak – przyznał niechętnie. – Życzę ci dobrego dnia. – Załopotawszy płaszczem, odwrócił się na pięcie i odszedł.

Trybun uśmiechnął się do jego sztywno wyprostowanych, oddalających się pleców. Jednak jest ktoś, kto się dla ciebie liczy, ty arogancki fircyku – pomyślał. To, w jaki sposób Mourtzouphlos

naśladował zmierzwioną brodę i rozczochrane włosy Imperatora, irytowało Skaurusa za każdym razem, kiedy widział młodego Videssańczyka. Brak dbałości Thorisina o takie rzeczy wynikał z jego autentycznej niechęci do etykiety, elegancji i wszelkiego rodzaju ceremonii. U Mourtzouphlosa natomiast była to zwykła poza, którą przybierał po to, by przypochlebić się swemu panu. Owa peleryna, którą z takim zapalem wymachiwał, uszyta była z grubego, kasztanowego brokatu oblamowanego gronostajami, a do tego nosił pas ze złotych kółek i długie, zaopatrzone w ostrogi, kawaleryjskie buty ze skóry tak miękkiej i delikatnej, że nadawałaby się na rękawiczki.

Kiedy Marek natknął się na człowieka sprzedającego z tacy wędzone sardynki, kupił kilka i też je zjadł, mając nadzieję, że Mourtzouphlos go obserwuje.

Z pewną obawą trybun przełamał pieczęć z błękitnego jak niebo wosku na cienkim zwitku pergaminu. List, jaki zawierał, napisano drobnym, pajęczym pismem, które poznał od razu, choć nie widział go od paru lat: „Byłbym zaszczycony, gdybyś zechciał odwiedzić mnie w mojej rezydencji jutrzejszego popołudnia”. Ta pieczęć i to pismo sprawiały, że podpis stawał się niemal niepotrzebny: „Balsamon, ekumeniczny patriarcha Videssańczyków”.

—A czego znowu *on* chce? – mruknął do siebie Skaurus. Nie znalazł na to żadnej zadowalającej odpowiedzi. To prawda, nie czcił Phosa, co wystarczyłoby, by pobudzić do działania niemal każdego duchownego w Imperium. Jednak Balsamon nie należał do typowych przedstawicieli duchowieństwa. Zamieniwszy karierę uczonego na godność dostojnika kościelnego, wprowadził do urzędu patriarchy całkiem nie videssańską tolerancję.

Jednak to wszystko – pomyślał Marek – wcale nie zbliża mnie do odgadnięcia, czego może chcieć ode mnie. Trybun nie pochlebiał sobie, że to przyjemność, jaką Balsamon może czerpać z jego towarzystwa, stała się powodem zaproszenia; patriarcha, czego miał nieprzyjemną świadomość, był o wiele sprytniejszy niż on.

Jego stoickie wychowanie nie pozwoliło mu się jednak martwić tym, na co nie mógł nic poradzić; niebawem i tak dowie się o co chodzi. Z tą myślą wepchnął zaproszenie Balsamona do sakiewki przy pasie.

Rezydencja patriarchy znajdowała się przy Głównej Świątyni Phosa w północnej części miasta, niedaleko Portu Neorhesiańskiego. Był to naprawdę skromny, stary, pokryty stiukiem budynek z kopulastym dachem z czerwonych dachówek. Gdzie indziej w mieście nikt nie zaszczyliłby go powtórным spojrzeniem; na tle bogactwa Głównej Świątyni tym bardziej stawał się niewidoczny.

Rosnącym przed nim sosnom wiek poskręcał pnie, a jednak okrywała je zieleń. Ich widok zawsze skłaniał Skaurusa do refleksji, jak bardzo starożytne jest Imperium Videssos. Inne krzewy oraz żywopłoty, z obu stron otaczające rezydencję, nie okryły się jeszcze liśćmi i stały teraz nagie i

brunatne.

Trybun zapukał w masywne, dębowe wrota. Wewnątrz usłyszał odgłos zbliżających się kroków; wysoki, mocno zbudowany kapłan otworzył drzwi. – Tak? Czym mogę ci służyć? – zapytał, z zaciekawieniem spoglądając na wyraźnie cudzoziemską postać Marka.

Rzymianin przedstawił się i podał duchownemu zaproszenie Balsamona, a potem

obserwował jak ten z uwagą je czyta.

–Tędy, proszę – rzekł kapłan, teraz z wyraźnym szacunkiem w głosie. Zrobił z ręcznikiem w tył

zwrot i poprowadził trybuna korytarzem wypełnionym rzeźbami z kości słoniowej, obrazami poświęconymi Phosowi i innymi antykami.

ęconymi Phosowi i innymi antykami.

Z tego jak szedł, z jego szorstkiego obejścia oraz z blizny, jaka żłobiła jego wygoloną czaszkę, Marek domyślił się – i dałby sobie obciąć za to rękę – że zanim został kapłanem, człowiek ów był żołnierzem. Prawdopodobnie, na równi z rolą służącego, pilnował Balsamona jako cerber Tho-risina Gavrasa. Każdy Imperator, który posiadał choć odrobinę rozsądku, nadzorował swego patriarchę; w Videssos polityka i religia łączyły się ze sobą nierozdzielnie.

Kapłan zapukał lekko w otwarte drzwi. – O co chodzi, Saborios? – rozległ się ostry starczy tenor Balsamona.

–Ten cudzoziemiec przybył na twoje wezwanie, by się z tobą zobaczyć, Wasza Świętobliwość

–rzekł Saborios, tak jakby składał meldunek przełożonemu oficerowi.

–Przyszedł? Doskonale, cieszę się niezmiernie. Będziemy rozmawiać przez chwilę, ro

zumiesz, dlaczego więc nie miałbyś w tym czasie naostrzyć swoich włóczni? – Wraz z potwier

dzeniem swego domysłu trybun przekonał się, że Balsamon niewiele się zmienił – w taki sam spo

sób zabawiał się ze swoim poprzednim sekretarzem.

Lecz zamiast nachmurzyć się, jak zrobiłby to Gennadios, Saborios rzekł tylko: – Wszystkie aż błyszczą, Wasza Świętobliwość. Może zamiast tego naostrzę sztylet. – Skinął głową Skaurusowi.

–Wejdz, proszę. – Gdy Rzymianin to uczynił, kapłan zamknął za nim drzwi.

–Tego człowieka nie można wyprowadzić z równowagi – zagderał z niechęcią Balsamon,

lecz równocześnie zdusił w sobie chichot. – Siądź sobie gdziekolwiek – rzekł do

trybuna, mach

nąwszy szeroko ręką; łatwiej było jednak to powiedzieć niż wykonać. Zwoje pergaminu, zbiory

rękopisów i tabliczki do pisania wypełniały półki na wszystkich czterech ścianach pracowni i za

legały w niechlujnych stosach na sponiewieranym tapczanie, na którym siedział patriarcha, na kilku

stołach i na obu starych krzesłach, jakie znajdowały się w pokoju.

Starając się nie naruszyć porządku, w jakim je położono – jeśli w ogóle leżały w jakimś porządku – Marek przeniósł stertę książek z jednego z krzesel na kamienną podłogę i usiadł. Krzesło jęknęło alarmująco pod jego ciężarem, lecz wytrzymało.

–Wina? – zapytał Balsamon.

–Z przyjemnością.

Chrzążnąwszy z wysiłku, Balsamon podniósł się z niskiego tapczanu, odkorkował butelkę i zaczął przetrząsać otaczający go chaos w poszukiwaniu pary kubków. Oglądany z tyłu, tłusty siwo-brody staruszek w wyświechtanej błękitnej todze – znacznie mniej okazałej niż szata Saboriosa, nie mówiąc już o tym, że o wiele brudniejszej – wyglądał bardziej jak stary kucharz niż dostojnik kościelny.

Lecz kiedy odwrócił się, by podać Skaurusowi wino w kubku – zresztą wyszczerbionym – nie można było nie dostrzec siły charakteru, wrytej w jego brzydkich lecz ujmujących rysach. Kiedy ktoś spoglądał w jego oczy, zapominał o spłaszczonym nosie i szerokich, nalanych policzkach. Mądrość mieszkała w tym człowieku, choć niekiedy próbował to ukryć pod grymasem krzaczastych, wciąż jeszcze czarnych brwi.

Jednak pod oczyma zwisały mu ciemne worki podpuchniętej skóry; był blady, a jego wysokie czoło lekko lśniło od potu.

–Czujesz się dobrze? – zapytał zatrwożony tym nieco Marek.

–Jesteś jeszcze młody, że zadajesz takie pytanie – odparł patriarcha. – Kiedy człowiek osiąga mój wiek, albo czuje się dobrze, albo jest martwy. – Lecz jego żartobliwy uśmiech nie zdołał ukryć ulgi, z jaką osunął się z powrotem na tapczan.

Uniósł ręce nad głowę i szybko wyrecytował wyznanie wiary: – Błogosławimy cię, Phosie, Panie o prawym i łaskawym umyśle, z łaski swej nasz obrońco, z góry

zapewniający, by wielka próba życia mogła zostać rozstrzygnięta na naszą korzyść. – Potem splunął na podłogę, co miało symbolizować odrzucenie Skotosa, będącego przeciwieństwem dobrego boga Phosa. Zakończywszy w ten sposób videssańską formułę odmawianą nad jedzeniem lub piciem, Balsamon osuszył swój kubek. – Pij – ponaglił Rzymianina.

Uniósł brew, kiedy Marek nie spełnił rytuału przed wypiciem wina. – Poganin – prychnął. W ustach większości kapłanów słowo to oznaczałoby początek pogromu; wypowiedziane przez Balsa-mona było po prostu etykietką, a może i sposobem na to, by zrobić trybunowi żartobliwy przytyk co do jego wiary.

Wino było dobre – w swoim rodzaju – choć jak zwykle trybun zatęsknił za czymś mniej słodkim i sycącym. Nie pozwolił Balsamonowi wstać i sam ponownie napełnił kubki dla nich obu. Patriarcha podziękował mu skinieniem głowy i wypił duszkiem; usadowiwszy się ostrożnie z powrotem na krześle, Marek popijał swoje wino nieco wolniej.

Balsamon przyglądał mu się wystarczająco uważnie, by wzbudzić w nim niepokój. Wiek mógł pokryć oczy patriarchy czerwoną siateczką żył, lecz nie stały się z tego powodu mniej przenikliwe. Balsamon należał do garstki ludzi, którzy wywoływali u trybuna niepokojące uczucie, że potrafią czytać jego myśli. – W czym mógłbym pomóc Waszej Świątobliwości? – zapytał, próbując nadać

swemu głosowi dziarski ton.

–Nie jestem *twoją* Świątobliwością, i obaj doskonale to wiemy – odciął się patriarcha, lecz i teraz w jego głosie nie zabrzmiał ślad zacietrzewienia fanatyka. Kiedy odezwał się znowu, zdawał się mówić z prawdziwym podziwem: – Nie jesteś gadatliwy, prawda? My, Videssańczycy, mówimy paskudnie dużo, o wiele za dużo.

–Co miałbym powiedzieć?

–„Co miałbym powiedzieć?” – sparodiował go Balsamon. Śmiech, jakim wybuchnął, zatrzęsł jego wydatnym brzuchem.

–Siedzisz sobie jak urodzone niewiniątko i każdy, kto nie widział ciebie w akcji, wzięłby cię za jeszcze jednego jasnowłosego barbarzyńcę, którego można wystrychnąć na dudka równie łatwo, jak jakiegoś Halogajczyka. A jednak w jakiś sposób sprzyja ci powodzenie. To milczenie musi być użytecznym narzędziem.

Marek bez słowa rozłożył ręce i wzruszył ramionami. Balsamon roześmiał się jeszcze głośniejsze; miał zaraźliwy śmiech, taki który zapraszał każdego, kto znalazł się w jego zasięgu, do uczestniczenia w dowcipie, jaki go wywołał. Trybun stwierdził, że odpowiada nań uśmiechem. Lecz kiedy rzekł:

–Doprawdy, nie mogę powiedzieć, by tej zimy sprzyjało mi powodzenie – uśmiech spłynął z jego ust.

–Pod pewnymi względami nie – przyznał patriarcha.

–Nikt z nas nie jest doskonały ani nikomu bez przerwy nie sprzyja szczęście. Lecz pod innymi względami... – Przerwał i podrapał się po brodzie. W jego głosie pojawiła się zaduma, kiedy podjął na nowo: -Jak sądzisz, co ona w tobie widzi, hm?

Marek miał szczęście, że w tej właśnie chwili kubek spoczywał na oparciu krzesła; gdyby trzymał go w ręku, upuściłby. – Ona? – powtórzył, mając nadzieję, że powiedział to tylko głupim, nie zaś przestraszonym tonem.

–Alypia Gavras, oczywiście. Jak sądzisz, dlaczego po ciebie posłałem? – powiedział rzeczowo

wym tonem Balsamon. Potem spojrzał Skaurusowi w twarz i troska zastąpiła rozbawienie na jego

własnej. – Naprawdę nie chciałem sprawić, żebyś tak zbladł. Dopij wino, nabierz znowu trochę

wiatru w żagle. Ona poprosiła mnie, bym cię tutaj zaprosił.

Trybun odruchowo wypił wino. Tak wiele rzeczy wydarzyło się zbyt szybko; trwoga i ulga po-dzwaniały razem jak dysonansowe struny lutni. – Myślę, że najlepiej będzie, jeśli wyjaśnisz mi to bliżej – powiedział. Teraz poczuł również inny lęk; czyżby miała go dość i próbowała w taki nie angażujący siebie sposób przekazać mu to?

Wyprostował się na krześle. Nie – gdyby tak było, Alypia miałaby dość przyzwoitości i odwagi, by powiedzieć mu wszystko prosto w oczy. To tylko jego wspomnienia szeptały do niego. Porzuc-

nemu przez kobietę, której ufał i którą kochał, z trudem przychodziło mu być pewnym innej.

Oczy Balsamona rozblęły ponownie. Dobry znak. Powiedział łagodnie: – Stwierdziła, że może zainteresuje cię wiadomość, iż za trzy dni od dzisiaj zaplanowała sobie popołudniowe spotkanie ze mną, by wydusić ze mnie, co pamiętam o Ioannakisie III, nieszczęsnym głupcu, który był Autokratą przez parę nieszczęśliwych lat przed Strobilosem Sphrantzesem.

–I co? – Alypia pracowała nad swoją historią na długo przed tym, nim Rzymianie pojawili się w Videssos.

–Cóż, tylko to, że jeśli przypadkiem znajdzie się w jakimś innym miejscu w czasie, kiedy powinna być tutaj, to w swej zgrzybiałości i niedołęstwie nie zorientuję się i tak czy owak będę paplał o loannakisie.

Trybunowi opadła szczęka; w środku aż krzyczał ze zdumionej radości. Balsamon obserwował go, sam przedstawiając uosobienie niewinności. – Muszę powiedzieć, że tę twoją zgrzybiałość i niedołęstwo raczej trudno dostrzec – rzekł Marek.

Czyżby jedna z powiek patriarchy opadła w mrugnięciu?

–Och, to się pojawia i znika. Podejrzewam na przykład, że jutro niewiele będę pamiętał z tej

naszej pogaduszki. Smutne to, prawda?

–Rzeczywiście smutne – przytaknął poważnie Skaurus.

Balsamon spoważniał ponownie, przesuwając pokrytą starczymi plamami rękę przed twarzą. –

Lepiej, żebyś zasługiwał na nią i na ryzyko, na jakie się naraża z twojego powodu. – Zmierzył Rzymianina od stóp do głów. – Obyś tylko zasługiwał. Mam nadzieję, że tak jest, tak samo z twojego, co i jej powodu. Zawsze właściwie osądzała takie rzeczy, lecz po tym, co przecierpiała, nie może pozwolić sobie na pomyłkę.

Marek skinął głową, zagryzając wargi. Po tym jak ojciec Alypii – starszy brat Thorisina, Mavri-kios – został zabity pod Maraghą, młody Ortaias Sphrantzes zażądał dla siebie tronu i zawarł formalny związek małżeński z Alypią, by wzmocnić swoją pozycję. Lecz stryj Ortaiasa, Vardanes, miał prawdziwą władzę podczas tego krótkiego, nieszczęśliwego panowania i odebrał dziewczynę swemu bratankowi, czyniąc z niej swoją zabawkę. Ręce trybuna zaciskały się w pięści ilekroć myślał o tych miesiącach. Teraz powiedział: – Ten jeden jedyny raz chciałbym być Yezda, żeby dać Vardanesowi to, na co zasłużył.

Zmienne rysy Balsamona stawały się coraz bardziej poważne w miarę jak przyglądał się Skauru-sowi. – Odpłacisz mu, jak sądzę. – Jego twarz pozostała posępna. – Jednak igrasz z własnym losem, dążąc do tego. – Trybun chciał wzruszyć ramionami, lecz wzrok Balsamona unieruchomił go. – Jeśli będziesz się upierał, wyniknie z tego niebezpieczeństwo większe niż jakiegokolwiek, z jakim miałeś okazję się zetknąć i tylko Phos może wiedzieć, czy ostatecznie zdołasz się od niego uwolnić.

Wzrok patriarchy zdawał się przesywać trybuna; jego głos nabrał niskich tonów, słowa padały

wolno. Marek poczuł gęsią skórę na ramionach i karku. Videssańscy kapłani mieli dziwne zdolności; wielu z nich potrafiło cudownie leczyć i parało się wszelkiego rodzaju magią. Rzymianin nigdy nie traktował Balsamona inaczej niż jak niezwykle mądrego i sprytnego człowieka, lecz nagle przestał być tego taki pewien. Słowa patriarchy brzmiały bardziej jak przepowiednia niż zwykle ostrzeżenie.

–Co jeszcze widzisz? – zapytał ochryple Marek.

Patriarcha wzdrygnął się, jak gdyby coś go ukłuło. Wyraz niesamowitej koncentracji spłynął z

jego twarzy. – Co? Nic -powiedział swoim normalnym głosem i Skaurus przeklął własną obce-sowość.

Po tym zdarzeniu rozmowa skierowała się ku błałym sprawom i Marek przyłapał się na tym, iż zapomniał zirytować się, że nie dowiedział się więcej. Balsamon był nieskończenie zajmującym gawędziarzem, czy to analizując drobiazgowo słabostki innego kapłana, czy też rozprawiając o swoim zbiorze statuetek z kości słoniowej z Makuranu. – „Jeszcze jeden powód, by nienawidzić Yezda. Nie tylko są rabusiami i krwiożerczymi czcicielami Skotosa, lecz też zatamowali handel od czasu, kiedy zaczęli trapić swoją obecnością to państwo”. – I aż nabrzmiał czymś, co wyglądało jak sprawiedliwy gniew lub śmiech z samego siebie.

Usunął odrobinę zeschniętego żółtka z wytartego rękawa swej szaty, mówiąc przy tym: – Widzisz, oto dobra strona mojego niechlujstwa. Gdybym miał na sobie to... – wskazał na komżę ze złotogłowiu i błękitnego jedwabiu, ozdobioną rzędami błyszczących, drobnych pereł -...kiedy jadłem śniadanie tamtego dnia, mógłbym zostać wyklęty za jej zabrudzenie.

–Jeszcze jeden argument przeciwko tobie dla Zemarkhosa – rzekł Skaurus. Fanatyczny kapłan, opierający się w zbuntowanym Amorionie na zachodnich rubieżach zarówno Yezd jak i Imperium, ciskał klątwy tak na Balsamona jak i Thorisina za to, że nie chcieli przyklasnąć pogromowi, jaki sprawił Vaspurakańczykom zepchniętym na jego terytorium przez yezdańskich najeźdźców. Zbrodnia Vaspurakańczyków polegała na tym, że nie czcili Phosa w taki sam sposób jak Videssa-ńscy.

–Nie rób mi wyrzutów z powodu tego człowieka – rzekł Balsamon, krzywiąc się. – To wilk w stroju kapłana i w dodatku wściekły wilk. Próbowałem przekonać miejscowy synod, który go wybrał, do ponownego rozważenia tej decyzji, lecz odmówili. „Bezpodstawna interwencja ze stolicy”, tak to nazwali. Przypomina mi tego kota krawca, który wpadł do kadzi z błękitną farbą. Myszy pomyślały, że został mnichem i poniechał jedzenia mięsa.

Marek zachichotał, lecz krótkie i grube palce patriarchy zabębniły na kolanie; wyraz zawodu wykrzywił jego usta.

–Zastanawiam się, ilu spalił od czasu, kiedy moc wpadła mu w ręce i co jeszcze mógłbym

zrobić, by go powstrzymać.

Westchnął, potrząsając głową.

W jakiś osobliwy sposób jego posępny nastrój podniósł trybuna na duchu. Po jego własnych błędach wcale nie bolało przypomnienie, że nawet tak bystry człowiek jak Balsamon mógł niekiedy nie osiągnąć zamierzonego celu.

Saborios, z pewnością tak doskonale wyszkolony jak żołnierz, jeśli nawet nim nie był, otworzył drzwi przed Skaurusem właśnie w chwili, gdy ten sięgał po klamkę.

Alypia Gavras usiadła na wąskim łóżku i szturchnęła Marka w żebra. Jęknął głośno. Dotknęła ciężkiego naszyjnika. – Jesteś szalony, że mi to kupiłeś – powiedziała. – Jest taki piękny, że będę chciała go nosić, a czyż mogę? Jak wytłumaczę, skąd go mam? Dlaczego nikt nie widywał go przedtem?

–Do diabła ze zdrowym rozsądkiem – rzekł Skaurus.

Alypia roześmiała się. – W twoich ustach to niemal bluźnierstwo.

–Hmm. – Rzymianin opadł leniwie na posłanie. – Pomyślałem, że będzie dobrze wyglądał

na tobie i miałem rację; tym bardziej – uśmiechnął się – kiedy jest wszystkim, co masz na sobie.

Przyglądał się jak z wolna rumieniec zadowolenia wznosi się znad jej piersi i ogarnia twarz. Widział go wyraźnie; miała jaśniejszą skórę niż większość videssańskich kobiet. Niekiedy zastanawiał się, czy jej zmarła matka nie miała w sobie odrobiny halogajskiej krwi. Jej rysy nie zostały tak ostro wyrzeźbione jak rysy jej ojca czy stryja, a oczy miały barwę czystej zieleni, rzadką wśród mieszkańców Imperium.

Tańczyły w nich psotne ogniki. – Zwierzę – powiedziała i spróbowała szturchnąć go znowu. Odsunął się szybko. Kiedyś popełnił błąd; zamiast tego chwycił ją za ręce i zobaczył juk sztywnieje w ślepej panice; po Vardanesie nie potrafiła znieść, by ją w jakikolwiek sposób zniewalano.

Nagły ruch trybuna sprawił, że oboje niemal wypadli z łóżka.

–No, zobacz – rzekł Marek. – Takie szturchanie należy do tych moich przyzwyczajzeń, których nigdy nie powinnaś naśladować. Sama widzisz, do czego prowadzi.

–Lubię postępować tak jak ty – odpowiedziała poważnie. To sprawiło, że przerwał swoją tyradę, jak zwykle, kiedy powiedziała coś takiego. Helvis usiłowała zmusić go, by postępował zgodnie z jej zwyczajami, co kazało mu z tym większym uporem trwać przy swoich. Czuł się dziwnie, słysząc od kobiety, że jego zwyczaje są jednak coś warte.

Podziękował statecznym skinieniem głowy, odpowiednim do potwierdzenia czegoś, co mógł powiedzieć jakiś legionista, u potem chrząknął z irytacją, czując się jak głupiec. Usiadł i pocałował ją namiętnie. – Tak lepiej – stwierdziła.

Łagodne powietrze wpływało przez szeroko rozwarte okiennice pokoju na pierwszym piętrze, a

na dole, pod oknem, kurczęta popiskiwały i grzebały w ziemi, szukając robaków. Niedaleko od tego miejsca Marek mógł zobaczyć dźwigającą się w niebo ciężką bryłę Głównej Świątyni Phosa. W ciągu zimy trybunowi i Alypii udało się zorganizować jedno spotkanie w tej gospodzie, tak więc stała się ona naturalnym miejscem schadzek w czasie, kiedy księżniczka miała przebywać u Balsa-mona.

Oberżysta, zażywny mężczyzna w średnim wieku o imieniu Aetios, besztiał jakiegoś stajennego chłopca za to, że zapomniał wyczesać zgrzebłem muła. W oczach właściciela rozbłysły iskierki rozpoznania, kiedy Skaurus i księżniczka prosili o pokój, lecz trybun miał pewność, iż stało się tak tylko dlatego, że widział ich przedtem, nie zaś dlatego, że znał Alypię z widzenia. W każdym razie w jego przypadku srebro działało znacznie lepiej niż wino, jeśli chodzi o pokrycie niepamięcią niepożądanых wspomnień. Pełna twarz oberżysty wyraźnie ożyła na słodki dźwięk monet pobrząkujących w jego dłoni.

Alypia poruszyła się, jak gdyby chcąc wstać, i powiedziała: – Naprawdę powinnam pójść zobaczyć się z Balsamonem, choćby tylko na chwilę. W ten sposób ani on, ani ja nie zostaniemy przyłapani na kłamstwie.

–Jeśli musisz – rzekł niechętnie Marek. Ceremoniał, który otaczał ją jako bratanicę i osobę

najbliżej spokrewnioną z Autokrata, pozwalał jej wymykać się tylko z rzadka, a ryzyko na jakie się

narażała czyniąc to, wisiało jak burzowa chmura nad ich schadzkami. Marek delectował się każdą

chwila­ spędzon­ z ni­, nigdy nie maj­ac pewno­ści, czy nie b­edzie to ostatnie spotkanie.

Jak gdyby czyt­aj­ac w jego my­ślach, Alypia przywar­ła do niego, wo­l­aj­ac: – Co my zrobimy? Thorisin z pewno­ści­ą dowie si­e, a wtedy... – Przerwa­ła gwa­ltownie, nie chc­ac nawet my­śle­ć o tym, co mo­że sta­ć si­e „wtedy”. Mimo swej pobudliwej natury Thorisin by­ł porz­adnym cz­łowiekiem, lecz natychmiast atakowa­ł wszystko, co wedle niego mog­ło zagro­zić jego tronowi. Pami­etaj­ac o zmaganiach, jakim Imperator staw­ił ju­ż czo­ło w ci­agu dw­óch i p­ół roku zasiadania na nim, trybun stwierdzi­ł, że trudno mu go za to wini­ć.

Nie wini­łby go zupełnie, gdyby podejrzenia Imperatora dotyczy­ły wszystkich innych tylko nie jego, trybuna, osoby.

–Chcia­łbym – powiedzia­ł z bezrozum­n­ą uraz­ą – żeby tw­ój stryj o­żeni­ł si­e i sp­łodzi­ł sobie

potomka. W­ówczas mia­łby mniej powod­ów, by si­e martwi­ć o ciebie.

Alypia potr­ząsn­ęła gwa­ltownie gł­ow­ą. – Och, tak, w­ówczas by­łabym bezpieczna; bezpiecznie wydana za m­aż za jednego z jego przyjaci­ół. Teraz nie o­śmiela si­e tego zrobić ze strachu, że kto­s mógłby mnie wykorzysta­ć przeciwko niemu. Jednak gdyby założy­ł własną dynastie­, sta­łabym si­e niezwykle cenna jako osoba, przez którą mógłby zwi­ąza­ć si­e z kim­s innym.

Wpatrywa­ła si­e w przestrze­ń niewidzącymi oczyma; czu­ł jak jej paznokcie wbijają mu si­e w rami­e. Przez zaci­śnięte z­ęby powiedzia­ła, tyle do siebie, co do niego: – Pr­ędzej umr­ę, ni­ż znowu

położ­ę si­e do ł­óżka z m­ężczyzn­ą, którego nie chc­ę.

Skaurus nie w­ątpi­ł, że Alypia mówi to absolutnie powa­żnie. Przesun­ął wolno r­ęk­ą w g­or­ę g­ładkiej kolumny jej plec­ów, próbuj­ac ją uspokoi­ć. – Gdybym tylko by­ł Videssa­ńczykiem – powiedzia­ł. To, by ksi­eźniczka krwi zosta­ła oddana cudzoziemskiemu dow­ódcy najemnik­ów, nawet takiemu, któremu ufano bardziej ni­ż jemu samemu, by­ło nie do pomy­ślenia w wyniosłym Videssos.

–Życzenia, życzenia, życzenia! – odpar­ła Alypia. – Co one nam dają? Naprawd­ę możemy

liczyć tylko na to, że im dłu­żej si­e spotykamy, tym większe staje si­e niebezpieczeństwo, jakie nam

grozi, i tylko Phos wie, czy kiedy­s uwolnimy si­e od tego.

Trybun wytrzeszczył oczy; w Videssos nigdy nie miał pewności, gdzie przestaje mieć do czynienia ze zwykłym zbiegiem okoliczności, a gdzie natyka się na niesamowity ich związek. – Balsamon powiedział mi coś bardzo podobnego – rzekł wolno i na pytające spojrzenie Aypii zrelacjonował ową dziwną chwilę, kiedy odniósł wrażenie, że patriarcha przepowiada przyszłość.

Kiedy skończył, z zaskoczeniem zobaczył, że jest blada i wstrząśnięta. Nie chciała wyjaśnić dlaczego i tylko siedziała przy nim pogrążona w milczeniu. Lecz on naciskał i w końcu powiedziała: – Miałam okazję widzieć go już takim. Spogląda na ciebie, jak gdyby czytał twoją duszę, a w jego słowach nie ma śladu zwykłej żartobliwości. – Było to stwierdzenie, nie pytanie.

–Masz rację – przyznał Skaurus. – Kiedy go takim widziałaś?

–Tylko raz, choć wiem, że takie chwile zdarzają mu się częściej. Nazywa to „darem Phosa”, lecz myślę, że „przekleństwo” byłoby lepszym określeniem. Kilka razy rozmawiał ze mną o tym; fakt, że ufa mi na tyle, by dzielić się ze mną tym ciężarem, jest dla mnie najwspanialszym komplementem, z jakim spotkałam się w życiu. Dobrze się domyślałeś, drogi Marku – powiedziała, dotykając jego ręki. – Balsamon niekiedy posiada dar wieszczczenia. Lecz wszystko, czego kiedykolwiek dowiedział się za jego pomocą, związane jest ze zniszczeniem i rozpaczą.

Rzymianin gwizdnął przez zęby. – To rzeczywiście przekleństwo. – Potrząsnął głową. – I o ile bardziej gorzkie dla człowieka tak radosnego jak on. Widzieć tylko nadciągające kłopoty i pozostać niewzruszonym wbrew nim... Na jego miejscu nie zdobyłbym się na taką odwagę.

Twarz Aypii odzwierciedlała tę samą mękę, jaką czuł trybun.

–Kiedy to było, że widziałaś go takim? – zapytał znowu.

–Odwiedził mojego ojca tuż przed wyruszeniem na Maraghę. Kłócili się i obrzucali zniewagami; pamiętasz, jak zwykli się awanturować, nie bacząc na to, co jeden mówi drugiemu. W końcu wyczerpali pociski i Balsamon powstał, żeby wyjść. Można było widzieć, jak to na niego spada, jakby na jego barkach spoczął ciężar całego świata. Stał tak przez parę chwil; razem z ojcem próbowaliśmy posadzić go z powrotem na krześle sądząc, że zachorował. Lecz on strząsnął z siebie nasze ręce, odwrócił się do ojca i powiedział jedno słowo tym... pewnym... głosem.

–Wiem, co chcesz przez to powiedzieć – rzekł Skaurus. – Co to było za słowo?

–„Żegnaj”. – Aypia potrafiła dobrze naśladować; zguba, jaką nappełniła to słowo, na chwilę aż zmroziła Rzymianina. Sama zadrżała na wspomnienie tej chwili. – Nic nie dało udawanie, że było to tylko zwykłe pożegnanie, choć mój ojciec i Balsamon robili co mogli. Żaden z nich w to nie wierzył; nigdy nie widziałam Balsamona tak

przygnębnego podczas kazania, jak następnego dnia w Głównej Świątyni.

–Pamiętam to! – zawołał Marek. – Byłem tam, razem z resztą oficerów. Dręczyło mnie to wówczas; sądziłem, że zasłużyliśmy na lepsze pożegnanie niż to, jakie otrzymaliśmy. Domyślam się, że mieliśmy szczęście otrzymując jakiegokolwiek.

–I jakim okazało się to szczęściem? – zapytała cicho. Nie czekała na odpowiedź, tylko pospiesznie ciągnęła dalej: –A teraz widzi niebezpieczeństwo, które grozi tobie. Zostawię cię, przysięgam, nim przeze mnie spotka cię krzywda. – Lecz zamiast zostawić, przywarła do niego niemal z rozpaczą.

–Nic, co stary patriarcha powiedział, nie każe mi sądzić, by rozstanie miało jakiegokolwiek znaczenie – rzekł Skaurus. – Cokolwiek się zdarza, winno się zdarzyć. – Jednak maksyma stoików nie uspokoiła jej; lepszym lekarstwem okazał się pocałunek złożony na jej ustach. Osunęli się razem na łóżko. Siennik westchnął, gdy ich ciała sprasowały wypełniającą go słomę.

Jakiś czas później wyciągnęła rękę, by dotknąć jego policzka i uśmiechnęła się, jak to często czyniła, gdy czuła pod palcami delikatne drapanie niedawno zgolonych włosów. – Jesteś upartym człowiekiem – powiedziała czule; w tej krainie brodaczy trybun dalej trwał przy rzymskiej modle, każącej nosić gładko wygoloną twarz. Ujęła jego głowę w dłonie.

–Och, jak mogłam myśleć, że cię zostawię? Lecz czyż mogę zostać z tobą?

–Kocham cię – powiedział, obejmując ją tak mocno, że aż westchnęła z zaskoczenia. Choć była to prawda, wiedział aż nadto dobrze, że nie udzielił tym żadnej odpowiedzi na jej pytanie.

–Wiem, i ja ciebie kocham. O ile jednak bezpieczniejsze dla nas obojga byłoby, gdybyśmy się

nie kochali. – Wyjrzała przez okno i krzyknęła z przerażenia, kiedy zobaczyła, jak bardzo wydłu

żyły się cienie. – Pozwól mi wstać, najdroższy. Teraz naprawdę muszę już iść.

Marek przetoczył się na bok; Alypia zsunęła nogi z łóżka i wstała. Podziwiał jej szczupłe ciało przez tych parę ostatnich chwil, jakie mu pozostały, gdy uniosła ramiona nad głowę, by nasunąć długą suknię z ciemnozłotej wełny; ozdobiona geometrycznymi wstawkami z jedwabiu podkreślała jej wąską talię i krągłość bioder. – Wspaniale na tobie leży – stwierdził.

–Prawdziwy z ciebie dzisiaj dworzanin, co? – Uśmiechnęła się, wsuwając stopy w sandały.

Przyglądziła włosy; nosiła je krótkie i proste. Z kobiecym poczuciem praktyczności powiedziała: –

Szczęście, że nie przepadam za tymi stertami loków na głowie, które są teraz ostatnim krzykiem

mody. Nie dałyby się tak łatwo ułożyć.

Otuliła ramiona pomarańczowym szalem wyszywanym w kwiaty i motyle, i ruszyła do drzwi. –

Naszyjnik – rzekł niechętnie Marek. Sam też już wstał z łóżka i kończył zakładać tunikę. Ręka Aypii poderwała się do szyi, lecz zaraz potem opadła.

–Balsamon może go zobaczyć, nim schowam go do torby. Ostatecznie, jaką inną możliwość

będę miała, by go pokazać i udowodnić jednocześnie jak bardzo troskliwy, nie mówiąc o tym, jak

pomyłony byłeś, dając mi ten naszyjnik.

Czuł, że się rozplómił pod wpływem jej pochwały; nie słyszał ich wiele – ani, by być sprawiedliwym, niewiele ich wypowiadał, gdy wraz z Helvis pograżali się w kłótniach wiodących do ich fatalnego rozstania. Aypia westchnęła, gdy ją pocałował. – No! – powiedziała z płonącymi oczyma. – Jeszcze trochę tego, panie, a Balsamon nie spojrzy dzisiaj na moją błyskotkę.

Trybun odsunął się. – Zbyt niebezpieczne – powiedział z resztkami rzymskiej praktyczności, jakie mu pozostały. Aypia skinęła piłową i odwróciła się, by wyjść. Gdy to zrobiła, w jej sakiewce coś zagrzechotało. Marek roześmiał się. – Założę się, że znam ten dźwięk: rylec i woskowa tabliczka. Jak się nazywał ten, o którym mówił patriarcha, Ioannakis II?

–Trzeci; drugi nie żyje od trzystu lat. – Powiedziała to z absolutną powagą; na historię, którą kompilowała, poświęcała mnóstwo swego czasu. Zerknąwszy na Skaurusa, powiedziała: – Wiesz, są przyjemności i przyjemności.

–Nie musisz się przede mną usprawiedliwiać – powiedział szybko i zgodnie z prawdą. Gdyby nie jej bystry umysł i świadomość znaczenia szczegółów, nie mogliby spotykać się nawet w połowie tak często, jak to robili, i prawdopodobnie ich związek zostałby odkryty już dawno temu.

–Usprawiedliwiać? Wcale się nie usprawiedliwiałam. – Jej głos w jednej chwili nabrał lodowatej barwy; nie znosiła, gdy ktoś wyrażał się lekceważąco o jej pracy.

–Wszystko w porządku – powiedział łagodnie i zobaczył, że się odprężyła. Może chciałabyś

porównać swoje notatki z zapiskami mojego przyjaciela Gorgidasa, kiedy poselstwo do Arshaumu

wróci ze stepów? – Z nagłym uczuciem samotności zastanowił się, jak też się miewa grecki lekarz;

mimo swej powierzchownej zgryźliwości należał do ludzi, których Homer nazywał „przyjaciółmi

rodzaju ludzkiego”.

Wielu Videssańczyków uniosłoby brew na samą myśl, że mogliby nauczyć się czegoś od obcokrajowca, lecz Alypia powiedziała z ożywieniem: – Tak, opowiadałeś mi też, jak w świecie, z którego przybyłeś, ludzie zapisują historię. Jakże cenne będzie dla mnie zapoznanie się z tak odmiennym punktem widzenia na naukę; obawiam się, że tutaj zbyt długo kopiowaliśmy siebie nawzajem.

Znowu wyjrzała przez okno; na jej twarzy pojawił się grymas irytacji. – A teraz po raz trzeci spróbuję wyjść. Nie, nie mów ani słowa więcej; naprawdę muszę już iść. – Postąpiła naprzód w objęcia jego ramion, pocałowała go mocno, lecz krótko i wysliznęła się przez drzwi.

Marek został w pokoju jeszcze przez parę minut; starali się, by widywano ich razem tak rzadko,

jak to było możliwe. Spotykanie się ponownie w tym samym miejscu samo w sobie było ryzykowne, lecz usytuowanie gospody w pobliżu rezydencji patriarchy przeważało nad niebezpieczeństwem – a Aetios, kiedy już został opłacony, nie zadawał żadnych pytań.

By wydłużyć nieco czas wyjścia, trybun zszedł na dół do sali bufetowej i zamówił kufel piwa,; niekiedy wolał je od słodkiego videssańskiego wina. Aetios podał mu wysoki kufel z porozumiewawczym uśmiechem, a potem chrząknął, kiedy Rzymianin odpowiedział kamiennym spojrzeniem, nie mając zamiaru dać się złapać na przynętę. Mruczając coś do siebie oberżysta odszedł, by obsłużyć kogoś innego.

Sala bufetowa zajazdu, niemal pusta, kiedy Skaurus zaszedł tam wczesnym popołudniem, napełniała się w miarę, jak dzień zbliżał się do końca. Tłum gości składał się przeważnie z robotników: malarzy upačkanych farbą; piekarzy oproszonych mąką; stolarzy; krawców. Był wśród nich jakiś fryzjer z wąsami i końcem brody nawoskowanymi i rozdzielonymi w ostre szpice; byli tam szewcy i jakiś człowiek o zniewieściałym wyglądzie, który prawdopodobnie pracował jako

pomocnik w łaźni. Wielu z nich sprawiało wrażenie stałych bywalców; pozdrawiali się nawzajem, kiedy ujrzeli znajome twarze. Szynek pisnęła z oburzeniem, kiedy fryzjer uszczypnął ją w pośladek. Jeden z malarzy, który nałapał się wina, zaintonował pieśń i połowa gości zajazdu zaśpiewała wraz z nim. Nawet Marek znał refren: „Wino upija, lecz ty upijasz jeszcze bardziej”.

Skaurus skończył piwo i ruszył do wyjścia, przeciskając się przez gęstniejący tłum gości. Usłyszał, jak ktoś mówi do sąsiada przy stole: – A co tutaj robi ten brudny obcokrajowiec? – Lecz wzrost trybuna, nie mówiąc o długim galijskim mieczu wiszącym u biodra, pozwoliły mu przejść nie zaczepionym.

Marek zawsze zabierał ze sobą tę klingę, gdziekolwiek by szedł. Mógł śmiać się z mocy druidów, kiedy służył w armii Cezara, lecz ich czary zaklęte w jego mieczu i w mieczu Viridoviksa przeniosły legionistów z Galii do Videssos. A w Videssos, gdzie czary należały do codziennego życia, dwie zaczarowane klingi pokazały jeszcze większą moc. Nie tylko posiadały nadnaturalną siłę w walce, rozrabiając kolczugi i blachy zbroi, lecz ponadto odwracały zabójczą magię.

Wielkie złote kule na iglicach sterczących nad Główną Świątynią płonęły czerwono w świetle zachodzącego słońca. Rzuciwszy im krótkie spojrzenie, Marek odwrócił się i ruszył, na południe w stronę Ulicy Środkowej. Posuwał się naprzód wolno; ruch uliczny blokował kręte zaułki Videssos: tłumy pieszych, kobiety na osłach albo w lektykach; mężczyźni dosiadający mułów i koni; wozy i bryki, niektóre ciągnięte przez nie mniej niż pół tuzina zwierząt, pełne jarzyn, owoców i zboża potrzebnych, by nakarmić wiecznie głodne miasto. Zwierzęta rżały i ryczały; woźnice trzaskali rękoma o wiszące u pasów noże, kiedy wyklócali się o pierwszeństwo przejazdu na wąskich uliczkach; nie naoliwione osie piszczwały przeraźliwie.

– Pewnie, idź sobie dalej, przechodź obok i nie zwracaj uwagi. Ja też będę udawał, że ciebie

nie znam – rozległ się oburzony głos przy łokciu trybuna.

Marek odwrócił się na pięcie. – Och, witaj, Taso. Wybacz, naprawdę cię nie zauważyłem.

– To całkiem prawdopodobne, biorąc pod uwagę ten gąszcz kłaków na mojej brodzie. – Am

basador z Khatrish prychnął pogardliwie. Taso Vones, drobny mężczyzna o ptasiej twarzy wygląda

łby dokładnie jak Videssańczyk, gdyby nie to, że zamiast strzyc brodę, jak to robili wszyscy rodo

wici mieszkańcy Imperium z wyjątkiem kapłanów, pozwalał jej opadać w krzaczastej wspaniałości

aż do połowy piersi. Sam Taso Vones nie cierpiał noszenia bród na taką modłę, lecz jego monarcha,

khagan, upierał się przy tym, jako przypomnieniu, że khatrishańska klasa panująca wywodzi się

bezpośrednio z pnia Khamorthów. To, że od blisko ośmiu stuleci zawierali małżeństwa ze swymi

poddanymi, ongi Videssańczykami, nie mogło wpłynąć na ukochaną przez wojowników tradycję.

Vones przechylił głowę na bok, przypominając Skaurusowi bardziej niż kiedykolwiek wróbla: ruchliwego, pewnego siebie i nieskończenie ciekawego. – Ostatnio niewiele mogłeś sobie pochodzić, prawda? Thorisin w końcu zwolnił cię z postronka, co? – domyślił się bystrze.

–Można tak powiedzieć – odparł Rzymianin, próbując wymyślić jakąś historię, która wytłu

maczyłaby jego obecność w tym miejscu. Cokolwiek miałyby to być wiedział, że będzie musiał

wpleść to w rozmowę całkiem naturalnie: gdyby wyrzucił to z siebie zaraz, poseł uznałby to za

kłamstwo i, traktując takie rzeczy z radosnym cynizmem, natychmiast by mu to wykazał.

Lecz Vones sprawiał wrażenie niezbyt zainteresowanego odpowiedzią Marka; aż się palił, by przekazać własne wieści: – Gdybyśmy się tutaj nie spotkali, odwiedziłbym cię jutro lub pojutrze.

Twoje wizyty to dla mnie sama przyjemność, Samo utrapienie, chciałeś powiedzieć – zachichotał Khatrish. Marek zaprzeczył, i to szczerze; jowialna otwartość Vonesa przynosiła odświeżającą ulgę po videssańskim stylu prowadzenia rozmów, który niedomówienia i aluzje podniósł do rangi sztuki. Jednak nawet Vones zawahał się, nim podjął nn nowo: – Otrzymałem wieści z Metepontu, jeśli masz ochotę ich wysłuchać.

Skaurus zeszywniał. – Doprawdy? – rzekł na tyle obojętnym tonem, na jaki mógł się zdobyć. Metepont leżał na zachodnim wybrzeżu wyspy Księstwa Namdalen; jeśli zaś

chodzi o ścisłość, w mieście tym przebywała Helvis. Trybun westchnął i powiedział: – Zrobiłbyś najlepiej, gdybyś mi je przekazał. Wolę usłyszeć je od ciebie niż z ust większości ludzi, którzy przychodzą mi do głowy.

–Wdzięczny ci jestem za tę pochwałę. – Vones wyglądał na nieco zakłopotanego, a był to wyraz, jakiego Rzymianin nigdy przedtem nie widział na jego twarzy. W końcu powiedział: – Masz tam córkę. Są to wieści sprzed kilku tygodni, lecz z tego co wiem, zarówno matka jak i dziecko czują się dobrze. Helvis nadała jej imię Emilia. To nie jest namdalajskie imię; czy pochodzi z twojego świata?

–Hmm? Tak, to jedno z naszych imion – odparł z roztargnieniem Marek. Nie spodziewał się, by Khatrish pamiętał jego rodowe imię; nie w sytuacji, kiedy usłyszał je raz czy dwa przed paru la-

ty. Zastanowił się, czy Helvis miała zamiar dalej rozdrapywać rany, czy też jest to jakiś rodzaj przeprosin. Potrząsnął głową. Dziecko, którego nigdy nie zobaczy...

–Skąd się o tym dowiedziałeś?

–Możesz domyślać się źródła; od wielkiego hrabiego Draxa. Znowu zaciąga najemników, by odtworzyć pułk, który rozbiłeś mu w zeszłym roku. Przesłał też osobistą wiadomość dla ciebie; powiedział, że dla odmiany chciałby mieć ciebie po swojej stronie, i że zadbałby, by ci się to opłaciło.

Z wystudiowanym spokojem Skaurus splunął w błoto pomiędzy kocimi łbami. – Jest głupcem, jeśli mnie chce. Każdy, kto zdezerteruje raz, robi to po raz drugi.

Sroga mina trybuna wywołała śmiech Vonesa. – Wie też – powiedział – że aby sobie ulżyć, każesz mu pójść do lodu.

Marek nie zmienił ponurego wyrazu twarzy. Nietrudno mu było wyobrazić sobie sposób, w jaki Drax mógł zmusić go do opuszczenia Videssos: wystarczyło, żeby przesłał Thorisinowi tę samą wiadomość, którą przekazał Taso i pozwolił, by podejrzenia Imperatora zrobiły resztę. Zastanowił się, czy coś takiego przysłoby Namdalajczykowi do głowy. Mogło przyjść; Drax miał umysł węża. Podczas gdy wielu wyspiarzy szydziło ze zwyczajów Videssańczyków, wielki hrabia bez trudu dorównywał mieszkańcom Imperium w umiejętności snucia intryg.

Skaurus znowu potrząsnął głową; wolno, jak człowiek, któremu dokuczają pszczoły. Przeszłość, nie ulegało wątpliwości, jeszcze nie przestała go kąsać.

–Hej, zobacz kto się tam za tobą kręci – rzekł Taso Vones, wrywając go z zadumy. – Vi-

nessański oficer, którego wszyscy kochają. – Trybun odwrócił się, by zobaczyć kto

zasłużył sobie

na ów sardoniczny komplement. Chrząknął z rozbawieniem, kiedy spostrzegł Provhosa Mourtzo-

uphlosa, niemal niewidocznego za wozem załadowanym stertą jabłek w połowie drogi za ostatnią

przecznicą.

Przez chwilę wyglądało, jak gdyby kawalerzysta chciał wzgardzić ich towarzystwem, lecz podszedł, kiedy Taso skinął na niego ręką. Maleńki Khatrish skłonił się po pas, uosabiając wzór uprzejmości. – Dobry wieczór, wasza ekscelencjo. Odwiedziłeś ubogich, jak. widzę... Zamiast

swego zwykłego stroju bufona, Mourtzoupblos miał na sobie źle dopasowaną tunikę ze zgrzebnego samodziału, a do tego workowate spodnie koloru biota, wetknięte w zdarte buty.

Jednak nie stracił przez to nic ze swojej arogancji. Jeśli koniecznie musisz wiedzieć, przybyszu ze wschodu, to miałem nadzieję, że pokaz ubóstwa pomoże mi zmusić pewnego łotra do obniżenia, ceny źrebicy. – To wskazywało, że ma więcej rozumu, niż spodziewałby się po nim Marek...

–A wy dwaj? – ciągnął Videssańczyk. – Knujecie spiski? – Nawet nie starał się ukryć swej pogardy.

–Udaremniamy je, jeśli tylko możemy – odparł Skayrus i przekazał Mourtzouphlosowi wieści, jakie usłyszał od Taso Vonesa o Draxie, dodając: – Ponieważ obecnie widzisz się często z

Autokratą, najlepiej jeśli powiadomisz go o tym.

Sarkazm spłynął z Mourtzuphlosa bez śladu, choć Taso Vones dostał nagłego ataku kaszlu i trybun musiał klepnąć go w plecy. Obserwowanie kawalerzysty, próbującego wyrazić wdzięczność w swych podziękowaniach, stanowiło dla Matka wystarczającą satysfakcję, mimo że Videssańczyk doszedł do niej zbyt szybko jak na gust Rzymianina. Miał nadzieję na parę dobrych chwil zakłopotania, lecz skończyło się ono po kilku zdaniach.

–Macie coś jeszcze? – zapytał Mourtzouphlos, zupełnie luk, jak gdyby to Skaurus i Vones

podeszli do niego, a nie na odwrót. Kiedy nic nie powiedzieli, Videssańczyk skinął oziębłą głową.

–Zatem życzę wam miłego wieczoru – Ruszył ulic w juk gdyby nie istnieli.

Aż podskoczył, kiedy Vones zawołał za nim: – Czy w końcu. kupiłeś tę źrebicę, mój panie?

–Co? – Mourtzouphlos zamrugnął, opanował się i odparł z nachmurzoną miną; – Nie; stwierdziłem, że jakiś nieudacznik zamęczył ją jeżdżąc na niej. Tak zajeżdżona jest nic niewarta. – Zachichotał nieprzyjemnie: – Interesujące doświadczenie, mimo wszystko. – I znowu ruszył przed siebie, krocząc z dumnie zadartą głową w swych rozlatujących się butach.

–Zadowolony z siebie bękart – rzekł Marek, gdy tylko Videssańczyk znalazł się poza zasięgiem głosu.

–Jest nim, nieprawdaż? – Taso sparodiował złośliwie paskudny śmiech oficera. – Jak większość ludzi tego rodzaju, zadowala go bardzo niewiele. – Pociągnął Skaurusa za rękaw. – Chodź ze mną, dlaczego nie miałbyś pójść, jeśli masz trochę złota w sakiewce. Chodź, bez względu na to czy masz; postawię ci. Idę na partyjkę kości w domu namdalajskiego kupca handlującego wyrobami żelaznymi. Wiesz jak wyspiarze kochają hazard. A stary Frednis podaje też nadzwyczajne potrawy. Tylko czekaj, aż posmakujesz wędzonych ostryg; palce lizać! A szparagi i kraby... Przesunął językiem po wargach jak kot, który węszy śmietankę.

Rzymianin z miną winowajcy poklepał się po brzuchu; długie nudne tygodnie spędzone za biurkiem sprawiły, że przytył. Cóż – powiedział do siebie – *nie musisz* dużo jeść.

–Dlaczego nie? – rzekł do Taso Vonesa.

Potyając się w ciemnościach, Skaurus wspinał się po kamiennych stopniach do swej małej komnaty w biurowym skrzydle Wielkiego Sądu. W korytarzach, w ciągu dnia wypełnionych krzątaniem ludzi zajętych państwowymi sprawami, rozbrzmiewało człapiące echo jego kroków. Trybun wciąż jeszcze słyszał śpiew Taso Vonesa, słabnący w oddali, gdy Khatrish zataczając się zmierzał do swej kwatery w Pałacu Ambasadorów.

Nie kłamał – pomyślał sennie trybun. Namdalajczyk Frednis nie żałował swoim gościom ani jedzenia, ani picia. A gra w kości okazała się gorąca; w wiszącej u pasa sakiewce Skaurusa po-

brzękiwało wygrane złoto. W jakiegokolwiek rzymskiej odmianie gry w kości zostałyby ogołocony do cna, lecz dla Videssańczyków podwójna jedyńska wygrywała, nie przegrywała; nazywali ten rzut „słoneczkami Phosa”.

Blade snopy księżycowego blasku wpadające przez wąskie, zewnętrzne okna

prowadziły go korytarzem. Po drodze uważnie liczył drzwi; pokoje sąsiadujące z jego własnym były zwykłymi magazynami.

Potem, nagle, dłoń Marka znalazła się na rękojeści miecza, bowiem spod jego drzwi wmykała się na korytarz żółta jak masło smuga światła lampy. Ktokolwiek przebywał wewnątrz – złodziej? szpieg? morderca? – pożałuje tego. W pierwszej chwili pomyślał o Avsharze i czarach, lecz dru-idyczne runy na jego ostrzu nie rozjarzyły się jak zawsze, gdy w pobliżu tkano magię. Zatem to tylko człowiek.

Ujął klamkę i gwałtownie otworzył drzwi, wskakując do środka. – Kto...?! – ryknął, a potem niemal zadławił się, gdy jego krzyk przeszedł w pełen zdumienia bulgot.

Przy łóżku trybuna, w przezornym szermierskim przysiadzie, z *gladiusem* uniesionym do gardy, stał Gajusz Filipus; starszy centurion nie dożyłby siwizny, gdyby ryzykował w takich sytuacjach. Kiedy zobaczył, że przez drzwi wchodzi Skaurus, poderwał miecz do salut. – Dość długo to trwało – zauważył. – Musi być już po północy.

–Co ty tutaj robisz? – rzekł Marek podchodząc, by uścisnąć jego prawicę. Dopiero kiedy poczuł stwardniałą dłoń centuriona na swojej, uwierzył bez reszty, że to nie wino Frednisa płata mu figle ze wzrokiem.

–*Jak dotąd* chłodzę sobie stopy czekając na ciebie*(* W oryginale: „Cooling my heels”; idiom, dosł. „chłodzić pięty”, przen. „czekać bez końca”, „wyczekiwać” (przyp. Tłum.).) – odparł krępy weteran, szczerząc zęby na widok oszołomienia trybuna. W rzeczy samej była to prawda; nie miał butów na nogach, jego rozsznurowane *caligae* leżały odrzucone w kącie, jedna z naderwaną podeszwą, z której wylazły ćwieki. Uprzyjemniał sobie czekanie również w inny sposób, jeśli stojący w pobliżu pusty dzban po winie mógł stanowić jakąkolwiek wskazówkę.

–A poza tym? – Marek uśmiechał się również, głównie z powodu przyjemności jakiej do

znawał, gdy dźwięczna łacina spływała z jego języka; przez całą zimę nie miał okazji używać iwej

ojczystej mowy. A Gajusz Filipus był najbardziej rzymskim z Rzymian: odważny, praktyczny, po

zbawiony wybujałej wyobraźni, lecz na tyle uparty, by doprowadzić do końca to wszystko, co sobie

zamierzył.

Obecność starszego centuriona w stolicy potwierdzała tę ostatnią cechę jego

charakteru, ponieważ wyjaśnił: – Ci przekłęci idioci tutaj, twoje gryziopiórki, panie, od dwóch miesięcy nie przesłały naszym chłopcom ani jednej sztuki złota. Jeśli żołnierze cholernie szybko nie zobaczą jakichś pieniędzy, zaczną plądrować wsie wokół Garsavry, a wtedy Hades pochłonie dyscyplinę, jak sam

dobrze wiesz. Do tego nie możemy dopuścić.

Skaurus skinął głową; jako najemnicy Videssos, legioniści wymagali o wiele delikatniejszego traktowania niż wówczas, kiedy ciążyła na nich z całą mocą militarna tradycja Rzymu. Właśnie to, co pozostało z owej tradycji, czyniło z nich tak skutecznych żołnierzy w Imperium, gdzie większość piechoty walczyła nie lepiej niż zwykle pospólstwo. Lecz kiedy zbyt długo czekali na swój żołd, byli hubką czekającą tylko na iskrę.

–Dlaczego nie napisałeś mi o tym? – zapytał trybun.

–Po pierwsze, te przekłete bite drogi, jakie Videssańscy upierają się budować z powodu swoich drogocennych koni, Jeszcze dwa tygodnie temu zalegało błoto po pachy, więc jakie szanse miał list, żeby tu dotrzeć? Po drugie, nie jestem pewien, czy zdołałbym napisać tak wiele. Pisanie nie przychodzi mi łatwo, sam wiesz.

–Poza tym... – Gajusz Filipus zacisnął szczęki, dochodząc do istoty rzeczy -...jeśli chcesz zrobić coś dobrze, zrób to sam. Chciałem się z tobą spotkać, żebyś pomógł mi znaleźć gryziopiórka, który spartaczył tę sprawę, bym mógł mu powiedzieć, gdzie ma się zabrać. Jeśli ci przekłęci mieszkańcy Imperium chcą najmować żołnierzy, by za nich walczyli, to lepiej, żeby traktowali ich dobrze. A jeden z nich zapamięta to sobie już na zawsze.

Skaurus wiedział, który biurokrata zawinił; obraz starszego centuriona, mieszającego go z błotem w swoim popisowym ryku prosto z placu koszarowego, miał w sobie nieprzeparty urok. – Zrobię to – powiedział trybun. – I chcę to widzieć: efekt będzie taki sam, jak gdybyś rzucił mu na biurko gniazdo pełne os i grzotnął w nie kijem.

–Tak, czy to nie będzie sprawiedliwe? – rzekł Gajusz Filipus z takim samym radosnym

oczekiwaniem. Skinął z zadowoleniem głową. Nie po raz pierwszy Marek pomyślał, że rysy star

szego centuriona pasowałyby na awers sestercji lub denara – krótko przycięte, stalowosiwe włosy

schludnie okrywające głowę, pokryta bliznami, wystająca szczeka, kanciaste kości policzkowe i

dumny, orli nos czyniły zeń idealny model dla całkowicie realistycznych portretów umieszczanych

na rzymskich monetach.

Weteran machnął ręką, wskazując pustawy, mały pokój, w którym nie było żadnego innego umeblowania oprócz materaca Skaurusa, jakiegoś krzesła, pełniącego też rolę stojaka do lampy i sponiewieranej sosnowej szafy, z videssańskimi sprośnościami wyrzeźbionymi na jednym boku.

–Myślałem, że mieszkasz sobie wygodniej – powiedział centurion. – Jeśli to jest wszystko,

co daje ci Thorisin, lepiej zrobiłbyś wracając do nas. A przy okazji, kiedy wracasz?

Marek rozłożył bezradnie ręce. – To nie takie proste. Nie jestem tutaj w łaskach po tym, jak pozwoliłem uciec Draxowi

–Och, o to chodzi – rzekł z niechęcią Gajusz Filipus Oczywiście znał całą historię;

legioniści, których Skaurus odesłał po ucieczce wielkiego hrabiego, przynieśli ją ze sobą Starszy

centurion zawahał się, a potem ciągnął dalej tonem, jaki uważał za współczujący: – Zaraza niech weźmie te podstępna sukę. – Gniew i szorstka pogarda rozbrzmiewały w jego głosie.

Rozdarty między wdzięcznością a irracjonalną chęcią wystąpienia w obronie Helvis, trybun nic nie powiedział. Po paru chwilach niezręcznego milczenia Gajusz Filipus zmienił temat:

–Chłopcy tęsknią za tobą, panie, i prosili mnie, bym przekazał ci ich najlepsze życzenia.

–Naprawdę? – zapytał wzruszony Marek. – To ładnie z ich strony. – Coś przyszło mu do głowy: – Kto tam tera? dowodzi, kiedy ty jesteś w stolicy?

–Cóż, pod twoją nieobecność po, eee..., śmierci Juniusza Blisusa – Gajusz Filipus przebrnął

przez to najszybciej jak potrafił; Helvis zasztyletowała młodszego centuriona – mianowałem Sek-

stusa Minicjusza na jego miejsce. – Ujrzawszy uniesioną brew Marka, dodał: – Wiem, że jest na

to jeszcze trochę za młody, lecz dobrze się zapowiada. Jest pracowity i wcale niegłupi. Jest też dość

twardy, by zrównać z ziemią każdego, kto mu będzie pyskował.

–W porządku. Jestem pewien, że wiesz, co robisz. – Mając za sobą ponad trzydzieści lat słu

żby w legionach, starszy centurion oceniał żołnierzy lepiej niż sam Skaurus, a trybun był na tyle

mądry, by zdawać sobie z tego sprawę. Zapytał jednak: – Jak obcokrajowcy odnoszą się do niego?

–Od czasu przybycia do Videssos, wśród legionistów znalazło się wielu miejscowych rekrutów,

co pomogło wypełnić luki w szeregach; w swej rzymskości Gajusz Filipus mógł nawet nie dostrzec,

że ich uznanie dla Minicjusza może stanowić jakiś problem.

Lecz jego odpowiedź dowiodła, że potrafił. – Gagik dobrze z nim żyje. – Bagratouni stał na czele dwuosobowego oddziału Vaspurakańczyków, zorganizowanego w nieco przyduży manipuł. Wypędzeni ze swej ojczyzny przez Yezda, a potem zdziesiątkowani w pogromie Zemarkhosa, walczyli z ponurym, dzikim męstwem pod dowództwem swego rozważnego *nakharara*. Następne zdanie Gajusza Filipusa jeszcze bardziej uspokoiło trybuna. – Minicjusz nie jest też zbyt dumny, by pytać Bagratouniego o zdanie.

–To świetnie – rzekł Skaurus. – Cieszę się, że miałem dość rozumu, by kiedyś tak samo

szukać rady u ciebie. – Do tej pory nauczył się już wojennego rzemiosła, lecz kiedy wstąpił do

wojsk Cezara w Galii jako niedoświadczony polityczny nominat, w ogromnej mierze polegał na

swoim starszym centurionie. Gajusz Filipus chrząknął z zadowolenia pod wpływem pochwały.

Marek zapytał: – Jak się miewa Czerwony Zeprin?

Weteran chrząknął ponownie, lecz z odmienną intonacją.

–Wciąż chce być tylko zwykłym żołnierzem, nic na to nie można poradzić.

Marek potrząsnął głową. – Wielka szkoda. Marnuje się taki dobry żołnierz. – Krzepki Halo-gajczyk pełnił funkcję dowódcy Imperatorskiej Gwardii Mavrikiosa Gavrasa, lecz kiedy pod Mara-ghą poległ Imperator i reszta gwardzistów, on sam obwiniał się za to, że przeżył, i odrzucił oficerską szarżę. Wojaczka była wszystkim, na czym się znał, lecz nie chciał swoimi decyzjami narażać na

niebezpieczeństwo nikogo innego z wyjątkiem siebie.

–A Pakhymer? – zapytał Skaurus.

Tym razem zachnął się Gajusz Filipus. – Pakhymer... to Pakhymer. – Dwaj Rzymianie wyszczerzyli do siebie zęby. Ściśle rzecz biorąc, oddział lekkiej khatrishańskiej kawalerii Laona Pakhymera nie podlegał ich dowództwu, lecz dwa kontyngenty najemników walczyły ramię w ramię od czasu kampanii maraghajskiej. Wówczas to niefrasobliwy, woluntarski styl dowodzenia Pakhymera w głębi ducha doprowadzał metodycznego starszego centuriona do szału. Jednak bez względu na to, jak to robił, ogólnie rzecz biorąc poczynania Pakhymera dawały rezultaty.

–Co jeszcze powinienem ci powiedzieć? – rzekł do siebie Gajusz Filipus, z roztargnieniem drapiąc się po jednej z pomarszczonych blizn na prawym przedramieniu; lewe, chronione *scutum*, pozostało niemal nietknięte. Jego twarz rozjaśniła się. – Och, tak, mamy dwu nowych podoficerów: Pulla i Vorensa.

–Obaj mianowani równocześnie, co? – zapytał kpiarskim tonem Marek.

–Tak, obaj równocześnie – odparł Gajusz Filipus, nie podchwytując tonu trybuna. – Myślisz, że mogłem mianować jednego z pominięciem drugiego? – Dwaj legioniści od lat walczyli ze sobą o to, który z nich jest lepszym żołnierzem, darząc się nienawiścią wygasłą dopiero wówczas, kiedy nawzajem uratowali sobie życie w potyczce z Namdalajczykami Draxa.

–Nie mam ci absolutnie nic do zarzucenia – rzekł z pewnym pośpiechem Skaurus; wino wypite u Frednisa uczyniło go nieco uszczypliwym. – Wydaje się, że wykonałeś wspaniałą robotę, Gajuszu; pokierowałeś wszystkim dokładnie tak, jak ja bym to zrobił.

–Nie mów tak, panie! – zawołał Gajusz Filipus z nie udawaną trwogą w głosie. – Proszę o wybaczenie, lecz nie chciałbym mieć do czynienia z twoją cholerną robotą. Och, potrafię sobie poradzić z jedną jej stroną: kogo mianować, komu dać po nosie, jaką marszrutę wybrać, jak wyrównać szereg. Lecz cała ta reszta, szczególnie te rozgrywki najemników, gdzie trzeba wiedzieć, którą frakcję wybrać, gdy Thorisin i gryzipiórki ścierają się między sobą; kiedy trzymać język za zębami; jak uszczęśliwić zasuszone, stare łajno oficerskie tak, żeby nie wbiło ci noża w plecy gdy tylko się

odwrócisz... Dzięki bogom, że droga ze stolicy do Garsavry była cała w błocie, z powodu zimy i całej reszty, tak że ci przekłeci Videssańczycy nie mogli mi robić wody z mózgu. – Wyrzucił w górę ręce. – Przejmij to z powrotem na siebie, proszę. Jesteś nam do tego potrzebny!

Była to najprawdopodobniej najdłuższa przemowa, jaką Marek kiedykolwiek usłyszał z jego ust. Poruszony, wyciągnął rękę i uściśnął dłoń starszego centuriona. – Dzięki, stary przyjacielu – powiedział cicho.

–Za co? Za prawdę? – rzekł Gajusz Filipus, jak nigdy traktując z pogardą jakiegokolwiek ze

wnętrzne przejawy uczuć. Lecz jego twarde rysy nie potrafiły ukryć zadowolenia; zaszurał niezdar

nie nogą. Sięgnął po pusty dzban po winie, który potoczył się z głuchym stukotem po niezbyt rów-

nej podłodze. Weteran odprowadził go wzrokiem. – Wiesz – powiedział – to było daleko za mało. Powinniśmy mieć więcej.

Marek zdusił jęk. I tak już spodziewał się nazajutrz bólu głowy, lecz przecież nie mógł odmówić starszemu centurionowi. Po raz drugi tego wieczoru powiedział zatem dziarsko: – Dlaczego nie? – Ranek, jak wiedział, przyniesie mu na to odpowiedź, lecz mimo to i tak wyszedł, by napić się z Gajuszem Filipusem.

Arshaumski obóz zbudził się wraz ze wschodem słońca. Miecze błysnęły w porannym świetle przed jednym z wojłokowych, podobnych do uli namiotów; stał zadzwiercał: melodyjnie o stal. Jeden z szermierzy krzyknął i zadał potężne, zamaszyste cięcie. Drugi, drobniejszy mężczyzna zanurkował pod nim i postąpił płynnie naprzód. Zatrzymał pchnięcie zaledwie kilka cali przed piersią swego przeciwnika.

– Niech cię piekło pochłonie, ty zabijako – wydyszał Viridoviks, zataczając się do tyłu i rozkładając ramiona;; w geście poddania. Gał start pot z twarzy pokrytym piegami przedramieniem i odrzucił długie, miedziane włosy spadające mu na oczy. – Pewne jak nic, że musiałeś po cichu ćwiczyć.

Gorgidas przyglądał mu się badawczo. – Jesteś pewien, że nie odstąpiłeś się przede mną specjalnie? – Lekarz z wykształcenia, historyk z zamiłowania, Grek nie należał do zbyt uzdolnionych szermierzy. Widział zbyt wiele wojny w swej medycznej służbie w rzymskich legionach, żeby go wciągnęła tak jak to uczyniła z Viridoviksem. Lecz świadom, że do przeżycia na stepie potrzebne mu są umiejętności wojownika, zabrał się do ich przyswajania z takim samym zawziętym uporem, jaki poświęcał wiedzy medycznej.

Wielki Celt wyszczerzył do niego zęby, a jego zielone oczy zmrużyły się z uciechy. – A jeśli tak zrobiłem? Miałeś dość rozumu, by z tego skorzystać, a o to chodziło. Nieźle, jak na człowieka tak starego i w ogóle – dodał, by zobaczyć jak Gorgidas się wścieka. Z wyjątkiem brody, którą Grek ostatnie zapuścił, całej przetykanej srebrnymi nitkami, nic nie wskazywało na jego wiek; równie dobrze mógł mieć dwadzieścia pięć co sześćdziesiąt lat. Jego szczupłe ciało aż kipiało nie wykorzystaną siłą, na jego twarzy zaś nie było zbędnego mięsiska, które mogłoby obwisnąć wraz z upływem lat.

Nie musisz być tak cholernie dumny. Nie jesteś młodszy ode mnie – warknął Gorgidas. Uśmiech Viridoviksa stał się jeszcze szerszy. Zaczął się pysznić, gładząc bujne, rude wąsy, które zwisały mu niemal do ramion. Wciąż nie posrebrzała ich ani jedna nitka siwizny. Viridoviks zgolił brodę, którą zapuścił wcześniej zimą, lecz i tam nie czaiła się siwizna.

– Możesz się pysznić tym, co masz – rzekł kwaśno unik, lecz obaj budzimy się teraz częściej nocami, by się wynikać, niż to robiliśmy przed paroma laty, nim dobiegliśmy czterdziestki. Zaprzecz, jeśli możesz.

– Och, bezbłędny cios – odparł Viridoviks. – A tutaj jeszcze jeden dla ciebie! – Skoczył na Gorgidas. Lekarz poderwał *gladius* w porę, by sparować cios Gała, lecz

jego miecz – podarunek od Gajusza Filipusa, o którym ów nigdy nie pomyślałby, że będzie używany – wirując wyleciał z jego ręki pod wpływem uderzenia.

–Wciąż nieźle – ocenił Celt, podnosząc broń Grekowi. – Tym razem chciałem trzepnąć cię w żebra płazem mego miecza.

–Ba! Powinienem był wytrzymać ten cios. – Gorgidas na przemian ścisnął i rozwierał pięść, przywracając giętkość zdrętwiałym palcom. – Masz ciężkie ramię, ty niezdarny barbarzyńco. – Był zbyt uczciwy, by nie udzielić pochwały, kiedy się należała, choć jego ostry język ją stonował.

–Och, obyś został rzucony krukowi na pożarcie, grecki szyderco. – Viridoviks napęczniał udawanym oburzeniem. Pomiędzy sobą rozmawiali niegramatyczną mieszanką łaciny i videssa-ńskiego. Każdy z nich był jedynym przyjacielem swojego ludu w tym nowym świecie i każdy czuł ból wywołany świadomością, jak z wolna umiera w nich ich własny język, z powodu braku kogokolwiek, z kim mogliby w nim rozmawiać. Gorgidas utrzymywał grekę przy życiu, zapisując swoją historię w tym języku. Lecz celtycką mowę potrafili zapisywać tylko druidzi, tak więc Viri-doviks pozbawiony był nawet tego wsparcia.

Dookoła nich obóz budził się do życia. Niektórzy koczownicy zajmowali się swymi małymi, kudłatymi konikami, podczas gdy inni składali namioty, zwijając wołok wokół żerdzi, które tworzyły szkielet. Jeszcze więcej nomadów przysiadło przy ogniskach, spożywając śniadanie; ranek był chłodny. Mieszali suchy twaróg z wodą i jedli łyżkami gęstą, mdłą, pozbawioną smaku papkę; wgryzali się w paski solonej, suszonej wołowiny, baraniny, mięsa z kozy lub dziczyzny; albo też nabijali na patyki kiełbaski w końskich jelitach i piekli je nad płomieniami. Wielu chciałoby zjeść więcej, ale zapasy się wyczerpywały.

Konni wartownicy nadjechali klusem ze swych stanowisk wokół obozu, trąc zaczerwienione i zmęczone bezsenną wartą oczy. Inni wyjechali, by zająć ich miejsce. Arshaumi narzekali na rygorystyczną wartę, jaką rozkazał trzymać ich khagan, Arghun. Co z tego, że znajdowali się na równinach Pardraji, na wschód od rzeki Shaum, zamiast na swych własnych stepach na zachodzie? Ich przodkowie rozbili i wyparli Khamorthów za rzekę do Pardraji przed półwiekiem i niewielu wierzyło, by rywalizujący z nimi koczowniczy lud ośmielił się kwestionować ich prawo do przeprawy.

Jednak mimo to Arshaumi należeli do ludzi, którzy rozkoszowali się walką dla samej walki, więc nie tylko Gorgidas z Viridoviksem zabawiali się ćwiczeniami z bronią. Mieszkańcy równin ćwiczyli pchnięcia lekkimi lancami i ciskali oszczepami, zarówno pieszo jak i z końskiego grzbietu. Szyli

strzałami w wypchane wołokiem kule z materiału rzucały w powietrze i w ustawione

sztorcem na ziemi tarcze. Ich podwójnie gięte łuki, wzmocnione ścięgnami, miały haczykowane strzały roznoszące w puch małe, krągłe cele – strzały, które potrafiły przeszyć pancerz z prażonej w ogniu skóry i jeszcze znajdującą się pod nim siatkę kolczugi.

Cięciwa trzasnęła właśnie w chwili, kiedy łucznik ją puszczał i strzała pomknęła, wirując po wariacku. – Głowy do góry! (* W oryginale: „Heads up!"; w znaczeniu dosłownym: „Głowy do góry"; w znaczeniu potocznym: „Uważajcie!", „Mieście się na baczności!" (przyp. Tłum.)) – wrzasnął Arshaum i wszyscy znajdujący się w pobliżu koczownicy przypadli do ziemi.

–Dlaczego krzyknął coś, co nikomu nie mogło w niczym pomóc? – zapytał Viridoviks. – Rozwikłaj to dla mnie, drogi Gorgidasie.

–Musiał mieć na uwadze szczególnie ciebie, niesforny Celcie – odparł ochoczo lekarz. – Wie, że zawsze robisz coś dokładnie przeciwnego niż to, co ci się mówi.

–Ha! Zobaczymy, czy będę na tyle głupi, by w najbliższym czasie pytać cię o jakieś inne wyjaśnienie.

W pobliżu pewien koczownik spadł z głuchym łomotem na ziemię, przerzucony przez ramię swego partnera w walce zapaśniczej; Arshaumi przejawiali wielkie uzdolnienia do walk wręcz. W szermierce byli nieco mniej biegli. Kilka par ścierało się, waląc na odlew średniej długości zakrzywionymi klingami, jakie przedkładali nad inne. Jatagany, z punktem ciężkości na końcu ostrza, nadawały się znakomicie do szybkich cięć z końskiego grzbietu, lecz nieporęcznie uprawiało się nimi klasyczną szermierkę.

–Masz dość? – zapytał Gorgidas, chowając miecz do pochwy.

–Tak, jak na razie.

Powlekli się, by poobserwować jedną z pojedynkujących się par, których walka należała, być

może, do najdziwniejszych w całym obozie. Arigh, syn Arghuna, ścierał nie w niej zaciekle z Bat-baianem, synem Targitause; ich klingi zamieniły się w srebrzyste błyski, gdy zadawali sobie cios za ciosem.

Obaj byli synami khaganów, lecz na tym podobieństwo się kończyło. Arigh miał wygląd typowego Arshauma: szczupły, gibki i śniady, z szerokimi, wystającymi kośćmi policzkowymi i skośnymi oczyma. Zaledwie kilka czarnych włosów wyrastało nad jego górną wargą; tyle samo zwisało z brody. Natomiast Batbaian był Khamorthem i miał barczystą budowę swego ludu, gęstą, kędzierzawą brodę na wpół ukrywającą jego ponure rysy i wydatny, mięsisty nos pośrodku twarzy. Byłby

przystojny, gdyby nie czerwona jama oczodołu, który niegdyś mieścił jego lewe oko.

Oko, które wciąż posiadał, było „dowodem łaski” Avshara i Varatesha, wodza bandytów. Wzięli tysiąc jeńców, kiedy rozbili armię, jaką wysłał przeciwko nim Targitaus, a potem odesłali jeńców z powrotem ojcu Batbaiana... z wypalonymi oczyma; ledwie pięćdziesięciu pozostawili po jednym

oku, by mogli doprowadzić swoich towarzyszy do domu. Ujrzawszy ich tak okaleczonymi, Targi-taus zmarł powalony atakiem Apopleksji.

Trzy dni później Varatesh uderzył na jego wyniszczony klan. Z tego, co Viridoviks wiedział, Bat-baian pozostał jedynym żywym członkiem klanu – z wyjątkiem jego samego, którego Targitaus przyjął do Wilków po tym, jak uciekł Varateshowi i jego ludziom. Bandyci pominęli ich tylko dlatego, że wyruszyli do oddalonego stada; przyjechali pod koniec dnia, by ujrzeć przed sobą obraz masakry.

Rysy Gala, zwykle wesołe, sposępniały i ściągnęły się, gdy opadły go wspomnienia. Batbaian miał siostrę – lecz teraz Seirem już nie żyła i może dobrze, że się tak stało, zważywszy na to, co ją spotkało przed śmiercią. Częstka serca Viridoviksa zmarła wraz z nią; z natury kobieciarz, zakochał się późno i stracił tę miłość zbyt szybko.

Zeszłej zimy on i Batbaian wiedli życie banitów, z zemstą jako jedynym ich celem. W końcu Viridoviksowi przyszło do głowy, by przeprowić się na zachód do Shaumkhiil i u Arshaumów poszukać pomocy przeciwko Varateshowi i Avsharowi, który nim dyrygował. Nienawiść Batbaiana wypaliła w nim strach przed mieszkającymi na zachodzie koczownikami; podczas gdy Arshaumi lekceważyli Khamorthów, ci ostatni odczuwali niemal zabobonny lęk przed ludem, który ich złupił i przegnał na wschód po stepach.

Jednak wędrując z arshaumskimi wojskami przez wiele tygodni Batbaian zobaczył, że oni też byli ludźmi, a nie krewnymi demonów, jak sądził wcześniej. I on również zdobył sobie ich szacunek za dzielność, z jaką znosił trudy i za zręczność swych rąk. Jego krzepkie ciało pozwalało mu strzelać z łuku dalej niż większość Arshaumów i jeśli teraz ustępował przed Arighem, to dlatego, że jego przeciwnik był tak szybki i zwodniczy jak atakujący wąż.

–Chyba tylko duchy wiatru potrafią to znieść – zaklął w swoim rodzimym, gardłowym języku

ku, znowu się cofając. Mieszaniną złego videssańskiego – który to język Arigh rozumiał, bowiem

w służbie swego ojca przebywał jako poseł w Imperium – i jeszcze gorszego arshaumskiego,

ciągnął dalej: – Mając tylko jedno oko nie można stwierdzić, jak daleko jesteś.

Arigh uśmiechnął się drapieźnie, błysnąwszy olśniewająco białymi zębami. – Mój przyjacielu, ludzie Varatesha nie zwróciliby uwagi na twoje skomlenie i ja też nie będę.

Wzmógł atak; jego cięcia spadały ze wszystkich stron jednocześnie. A potem nagle wytrzeszczył oczy na swoją pustą rękę; miecz leżał na ziemi u jego stóp. Batbaian skoczył naprzód i przydepnął go butem. Klepnął Arigha w pierś swoją klingą. Widzowie krzyknęli, zdumieni nagłym odwróceniem ról.

–No, no, ty brudny synu kłapouchej kozy – powiedział Arigh bez większej urazy. – Nabra

łeś mnie na to, co?

Batbaian tylko chrząknął. Poprzedniego lata, ledwie co wyszedłszy z chłopięcego wieku,

szczebiotał jak chłopiec i kipiwał entuzjazmem wobec wszystkiego, co go otaczało. Teraz był mężczyzną i to mężczyzną w pełni kontrolującym siebie. Odzywał się rzadko, a jego uśmiech, jeszcze rzadszy, nigdy nie ulęgał poza usta.

–Biedny chłopiec – mruknął Viridoviks do Gorgidasa. – Szkoda, że nie możesz rozmrozić jego duszy, tak jak to uczyniłeś z moimi zwłokami.

–Nie znam na to żadnego leku, z wyjątkiem tego, który znajduje się w samej duszy człowieka – odpowiedział lekarz. Potem rozpostarł ręce i przyznał: – Jeśli już o to chodzi, kiedy cię znalazłem myślałem, że też będę musiał przyglądać nic, jak umierasz.

–Dobrze, że tego nie zobaczyłeś. Mój duch płakałby z żalu, że musiałeś to oglądać.

–Hmm. Bez wątplenia, jeśli bierze przykład z ciebie. – Lecz Grek nie mógł pozostać zbyt długo nonszalancki, nie tam, gdzie w grę wchodziło leczenie, którym uratował Viridoviksa.

Od czasu, kiedy wraz z legionistami został przeniesiony do Videssos, badał sztukę leczniczą jego mieszkańców, sztukę, która opierała się nie tyle na ziołach i skalpelach, co na gromadzeniu i wyzwaniu siły umysłu, pozwalającej leczyć choroby i zasklepiać rany – z braku lepszego słowa nazywał to magią. Widział uzdrowicieli kapłanów Phosa, którzy przywracali życie i zdrowie ludziom uznanym przez niego za zgubionych i śledził ich zdolności, jak myśliwy tropiący jakieś nieuchwytnie zwierzę.

Lecz uparty racjonalizm, jakim się szczycił, nie pozwalał mu naprawdę uznać, że leczenie mocą samego umysłu jest możliwe; stało to w zbyt rażącej sprzeczności z całym jego wykształceniem, ze wszystkimi najgłębiej zakorzenionymi przekonaniem. Tak więc próbował całe lata i, nie będąc do końca przekonany, że może mu się udać, nie odnosił sukcesu. Dopiero fala rozpaczy, jaka nań spadła, kiedy znalazł Viridoviksa zamierzającego w straszliwej stepowej zamieci pozwoliła mu odrzucić wątpliwości i skierować strumień swej uzdrowicielskiej energii w ciało Gala.

Później dokonał tego ponownie, zasklepiając i oczyszczając rany, jakich pewien Arshaum doznał

od wilka, który nie padł mimo trzech strzał wbitych w pierś. Świadomość, że potrafi uzdrawiać

sprawiła, że drugim razem poszło mu łatwiej. Wdzięczność koczownika miała dla Greka słodczy

wina i jako oznakę zaszczytu uznał powalające z nóg zmęczenie, które zawsze następowało po

procesie uzdrawiania...,

–Dlaczego tu stoimy? – zapytał Batbaian. – Powinniśmy już być w siodle. – Nie czekając

na odpowiedź, odwrócił się od Arigha i ruszył do swoich koni, by wybrać wierzchowca na jazdę,

która czekała ich tego dnia.

Arigh potrząsnął głową, odprowadzając go wzrokiem. – Ten człowiek przejechałby przez ogień w pogoni za swoją zemstą.

Zgromadzeni wokół niego Arshaumi skinęli głowami, rozumiejąc uczucia Batbaiana, które kazały mu szukać krwawego odwetu. Lecz Viridoviks drgnął zatrwożony i spojrzał szybko za Khamor-

them, by się upewnić, czy nie słyszał uwagi. – Nie mówcie do niego tak nigdy – ostrzegł. – Ognie Avshara dopiekły mu już, i całej reszcie też. – Gal zadrżał, gdy przypomniał sobie te długie, proste jak strzała linie płomieni, jak węże śmigające przez step, posłuszne woli złego czarodzieja.

Pod beznamiętną postawą, którą tak pielęgnował Arigh, gnieździło się współczucie, choć nieczęsto pozwalał, by się ujawniało. Nawet kiedy do tego dochodziło, zwykle starał się to tuszować. – Zmięknęłam przez ten pobyt w Videssos. – Lecz zaraz zagryzł

wargi, przyznając: – Zapomniałem się.

Wreszcie armia wyruszyła w drogę, choć z parominutowym opóźnieniem. Wszystkie namioty zostały spakowane i umieszczone na jucznych koniach z wyjątkiem jednego, w którym zamieszkiwali wspólnie Lankinos Skylitzes i Pikridios Goudeles, posłowie Thorisina do khagana Arghuna. Skylitzes od dawna był już na nogach; wysoki imperatorski oficer z ponurym rozbawieniem przyjmował oznaki senności swego współtowarzysza.

W końcu wetknął głowę do namiotu i ryknął: – Wstawaj, śpiochu! Czy to jakieś święto, żebyś miał spędzić je całe pomiędzy prześcieradłami?

Goudeles wyłonił się po chwili, lecz niemiłosiernie wymiętoszony, w tunice założonej tyłem naprzód i w nie dopiętym pasie. Ścierając sen z oczu, urzędnik skrzywił się słysząc Ironiczne wiwaty, które go powitały. – Och, dobrze, przecież jestem – rzekł z rozdrażnieniem. Spojrzał groźnie na Skylitzesa; ci dwaj byli do siebie tak podobni jak pies i kot. – Czy nie mogłeś wybrać mniej drastycznego sposobu, by mnie obudzić?

–Nie – odparł Skylitzes. Należał do owych rzadko spotykanych, lakonicznie się wyraża

jących Videssańczyków.

Dalej gderając, Goudeles zaczął składać namiot, lecz robił to tak powoli i niezdarnie, że Skylit-zes, chrząknawszy z irytacją, zabrał się w końcu energicznie do pomocy. – Ty niezdaro – rzekł niemal życzliwie, gdy przywiązywał zrolowany wołok i żerdzie do jucznego siodła.

–Niezdara? Ja? – Goudeles wyprostował się do pełnej wysokości, wcale zresztą nie imponującej. – Nie ma potrzeby kpić sobie ze mnie tylko dlatego, że nie zostałem stworzony do życia pod gołym niebem. – Zauważył spojrzenie Gorgidasa. – Ci żołnierze mają zawężony pogląd na to, co jest ważne w życiu, czyż nie?

–Bez wątpienia – odpowiedział Grek. Jako że powiedział to siedząc już w siodle, zabrzmiało to nieco dwuznacznie. Goudeles zrobił zboląłą minę, jedną z bardziej popisowych z całego zestawu, jakim dysponował. W rzeczy samej, biurokrata był typowym lwem salonowym, nieskończenie bardziej czującym się w swoim żywiole wśród skomplikowanych intryg stolicy Videssos niż tutaj, na bezmiernym pustym stepie. Lecz jego dar do snucia intryg czynił zeń przebiegłego, subtelnego dyplomata i zrobił wiele dobrego pomagając przekonać Arghuna, by wybrał Imperium, a nie Yezd.

Stracił parę chwil, próbując przywrócić szpic swojej brodzie, lecz w końcu poniechał tego. – Beznadziejne – rzekł ze smutkiem. Wdrapał się na swego konia, a potem klepnął się po brzuchu, wciąż pokaznym po niemal całym roku spędzonym na

równinach. – Czy już za późno, bym zjadł śniadanie?

Skylitzes wznosił oczy ku niebu, lecz Viridoviks podał Goudelesowi kawał mięsa. Urzędnik przyjrzał mu się sceptycznie. – Co to, uhum, za delicje mamy tutaj?

–To jak nic połowa pieczonego świstaka – wyjaśnił mu Celt, szczerząc zęby w uśmiechu. –

Błagam o wybaczenie waszą czcigodność i w ogóle, ale dzisiaj zjadłem ostatnią z moich kiełbasek.

Twarz Goudelesy stała się bladozielona. – W jakiś sposób stwierdzam, że mój głód stał się mniej dokuczliwy niż przed chwilą, choć oczywiście dziękuję ci za twoją szczodrobliwść. – Oddał Viridoviksowi ziemną wiewiórkę.

–Zatem jedźmy – warknął Skylitzes. Jednak gdy Goudeles cmoknął na swego konia, oficer

zwrócił się do Gorgidasa, przyznając: – Wkrótce powinniśmy zatrzymać się na polowanie, sam już

nie mam prawie nic do jedzenia.

Gorgidas pochylił głowę w przyjętym wśród jego ludu geście potakiwania. – Ja też. – Wzdrygnął się lekko. – Przez jakiś czas moglibyśmy radzić sobie sposobem koczowników, żywiąc się krwią naszych koni. – Nie było jego intencją, by słowa te potraktowano poważnie. Myśl o takim rozwiązaniu napełniała go odrazą.

Jednak nie Skylitzesa, który powiedział tylko: – To musimy pozostawić na wypadek absolutnej konieczności. Za bardzo osłabia to zwierzęta. – Znał stopy i zwyczaje mieszkańców równin z poprzednich podróży i mówił płynnie tak językiem Arshaumów jak i Khamorthów.

Arshaumi jechali wytrwale przez pardrajańską równinę, zmierzając na południe i nieco na wschód. Ich kuce, idąc na przemian to stępem, to kłusem, pożerały milę po mili. Na pierwszy rzut oka małe, kosmate stworzenia wydawały się niewiele warte, lecz cechowała je żelazna wytrzymałość. Gorgidas błogosławił wilgotną ziemię i gęsty kobierzec trawy zbliżającej się wiosny; w upalniejszej porze roku armia wzbijałaby ogromne chmury duszącego pyłu.

Kiedy minęło południe, na zachodnim horyzoncie słońce roziskrzyło się w wodach śródziemnego Morza Mylasa. Poza tym step rozpościerał się przed nimi niemal niezmienny; nieskończone, łagodnie sfalowane morze trawy, które ciągnęło się od granic Videssos na zachód dalej niż sięgała myślą jakikolwiek człowiek. Krajobraz ten wydawał się Gorgidasowi nudny i monotony. Dorastał wśród nieskończonej

różnorodności krajobrazów, jakie oferowała Grecja: wybrzeży morskich, gór, głębokich dolin pieszczonych blaskiem śródziemnomorskiego słońca, albo okrytych mrokiem lasów i płaskości, na tyle wąskich, że można je było przemierzyć w pół dnia.

Viridoviks odbierał nieograniczoną perspektywę stepu nie tyle jako nudną, co wyraźnie deprymującą. Jego galijskie lasy ograniczały pole widzenia, pozostawiając człowieka zawsze w pobliżu

czegoś, co mógł dotknąć wyciągniętą ręką. Równiny sprawiały, że czuł się maleńki i nic nie znaczący; miał wrażenie, że jest owadem pełznącym po jakiejś wielkiej tacy. Tłumił ślepy strach najlepiej jak potrafił, jadąc jak najbliżej środka armii i wykorzystując otaczających go koczowników jako tarczę osłaniającą go przed rozciągającym się za nimi bezmiarem.

Każdego dnia spoglądał na południe w nadziei ujrzania gór Erzerum – szczytów, które rozdzielały Pardraję od Yezd – wychylających się ponad linię horyzontu. Jak dotąd spotykał go zawód. – Jednak któregoś ranka ukażą się i wcale nie będzie to za szybko, jak dla mnie – rzekł do Batbaiana. – Dobrze robi ciału świadomość, że gdzieś znajduje się koniec całej tej płaskości.

–Dlaczego? – zaciekawiał się Batbaian, tak przywykły do otwartej przestrzeni jak Viridoviks

do swych wąskich leśnych ścieżek. Jego towarzysze również kiwali głowami nad dziwnymi zwy

czajami Celta. Jak to zwykle czynił, Batbaian jechał razem z dziesięcioosobowym oddziałem eskor

ty, który towarzyszył videssańskiemu poselstwu od opuszczenia Pristy. Nie licząc Viridoviksa i

Skylitzesa, żołnierze ci byli jedynymi ludźmi w armii mówiącymi jego językiem, a większość z

nich miała w sobie krew Khamorthów.

Dowódca oddziału, Agothias Psoes, był Videssańczykiem, lecz lata spędzone na skraju Pardraji sprawiły, że równie swobodnie posługiwał się mową jej ludu, co językiem Imperium. – Wszystko jedno, czy w kraju panują takie, czy inne zwyczaje – rzekł z cynizmem starego żołnierza. – Kłopoty i tak sprawiają bękarty, które w nim żyją.

Viridoviks wybuchnął śmiechem. – Masz ci los, sądziłem, że na dobre pozbyłem się Gajusza Filipusa, a tu pojawia się jego cień. – Psoes, który wiedział o Rzymianach

tyle samo co nic, zamrugał nie pojmując, o co mu chodzi.

–O czym tak pochrząkujecie? – zapytał jakiś Arshaum. Viridoviks odwrócił głowę i zobaczył

khagana Arghuna i jego młodszego syna, Dizabula, zbliżających się do żołnierzy eskorty. Miesz

kańcy Shaumkhiil mówili melodyjnym, syczącym językiem; ochrypla, gardłowa mowa Khamor-

thów musiała drażnić ich słuch.

Jednak w ustach Arghuna docinek zabrzmiał wcale życzliwie. Stał na czele klanu Siwego Konia, największego kontyngentu arshaumskiej armii, i dowodził nim bardziej za pomocą podstępów i perswazji niż bezceremonialnego wygrażania, jak to czynił niegdyś Viridoviks jako wódz galijskiego szczepu.

Celt przetłumaczył sobie pytanie na tyle, na ile potrafił; zaczynał już rozumieć mowę Ar-shaumów całkiem dobrze, lecz posługiwanie się nią było trudniejsze. – A co ty o tym sądzisz, czerwonowąsy? – zapytał Arghun. Egzotyczne zabarwienie skóry i włosów Viridoviksa fascynowało go, tak samo jak bujne wąsy Celta. Khagan miał zaledwie kilka siwych włosów nad górną wargą i otwarcie zazdrościł Galowi wspaniałej ozdoby.

–Ja? Ja ujmuję to odwrotnie. Ludzie jest ludzie wszędzie, lecz... jak by to powiedzieć?... sce-

neria, to zmienia wiele.

–Coś w tym jest – skinął głową Arghun, instynktownie przeistaczając się w bystrego polityka, mimo całego swego barbarzyńskiego stroju.

–Jak możesz tak mówić, ojczy? – zapytał Dizabul, a jego regularne rysy wykrzywiły się szyderczo. – Mówi tak kiepsko, że prawie niemożliwym jest zrozumienie go. – Z wyniosłym uśmiechem zwrócił się do Viridoviksa. – To powinno brzmieć tak, cudzoziemcze, „ująłbym to” i „ludzie są ludźmi”, oraz „sceneria zmienia”.

–Dziękuję waszej czcigodności – rzekł Gal, wcale nie czując wdzięczności. W jego oczach

Dizabul jawił się jako błąd Arghuna; chłopiec dorastał folgując wszelkim swoim zachciankom, z ła

twymi do przewidzenia rezultatami. Nienawidził też swego brata i wszystkich, którzy

byli z nim

związani, co dodawało jadu tonowi, z jakim zwracał się do Viridoviksa. – Zepsuty jak łośoś po

tygodniu bez wody – mruknął Gal w swoim własnym języku.

Arghun potrząsnął głową łagodnie, karcąc Dizabula. – Wolałbym słuchać głosu rozsądku starej baraniej skóry, niż idiotyzmów albo niegodziwości wystrojonych w sobole.

–Więc słuchaj go i witaj z radością jego słowa – burknął Dizabul, jeżąc się nawet na cień

krytyki. – Ja nie będę marnował na to czasu. – Szarpnął cugle swego konia i ostentacyjnie odje

chał kłusem.

Gorgidas, pogrążony w rozmowie z szamanem Toluim, uniósł wzrok, gdy Dizabul ich mijał. Jego oczy podążyły za urodziwym młodzieńcem w taki sam sposób, jak ktoś inny mógłby patrzeć za obiecującą dziewczyną. Aż nadto zdawał sobie sprawę z drażliwości i niegodziwego usposobienia młodego książątka, lecz często fizyczny magnetyzm, jaki promieniował z Dizabula, pozwalał niemal o tym zapomnieć. Gorgidas uświadomił sobie, że nie dosłyszał paru ostatnich zdań Toluiego. – Przepraszam. Co mówiłeś?

–Kiedy ociepli się na tyle, żeby wyszły żaby – powtórzył Tolui – można będzie sporządzić

lek, który zamierzam zastosować na ułomność Arghuna. Powinno to być możliwe już za kilka dni.

–Ach tak? – rzekł Grek, już na nowo zainteresowany rozmową, gdy tylko wspomniano o medycynie. Jego własnej wiedzy wystarczyło, by uratować khaganowi życie po dawce cykuty, którą podał mu Bogoraz z Yezd, kiedy Arghun wybrał Videssos, lecz paraliżująca trucizna nieustannie osłabiała jego nogi. Gorgidas nie potrafił wówczas zastosować videssańskiego sposobu uzdrawiania i nic nie mógł poradzić na zadawnioną niemoc.

–Potrzebuję dziewięciu żab – wyjaśnił szaman. – Ich głowy odcina się tak, by otworzyć rdzeń kręgowy, a wydobywający się z nich żółty płyn miesza się w garnku ze utopionym kozim tłuszczem. Garnek zamyka się szczelnie i pozostawia na dzień w słońcu i na jedną noc w ogniu. Potem maź, która z tego powstaje, nakłada się piórem na schorzałe stawy. W większości wypadków daje to dobre rezultaty.

–Nie słyszałem o tym leku wcześniej – przyznał Gorgidas z zaciekawieniem i lekkim obrzydzeniem. Do głowy przyszło mu coś innego. – Masz szczęście, że Arghun nie jest Khamor-them, bo inaczej nigdy nie zbliżyłbyś się do niego z takim lekarstwem.

Tolui zaśmiał się szczekliwie. – Prawda. To jeszcze jeden dowód na to, że Włochaty – użył pogardliwego przezwiska, jakim jego rodacy określali noszących bujne brody tubylczych mieszkańców Pardraji – w ogóle nie zasługują na miano ludzi.

–Jutro będziemy polować – oświadczył Arghun, siedząc przy ognisku i spożywając łyżką swój ostatni mizerny posiłek z twarogu i wody. Grupka jego ludzi wciąż jeszcze posiadała niewielkie zapasy kiełbasy albo wędzonego mięsa, podczas gdy inni podczas marszu urządzali obławy na zające i podobną drobną zwierzynę; większość jednak zmuszona została do korzystania z tych samych żelaznych racji co Arghun albo do spożywania krwi.

–Najwyższy czas. Ta Pardraja to nędzny step – rzekł Irnek, wysoki koczownik, który stał na czele arshaumskiego klanu Czarnej Owcy, następnego co do liczebności po Siwych Koniach Ar-ghuna i niekiedy rywalizującego z nimi. Oczy Arshauma spoglądały z zakłopotaniem; był bystrym człowiekiem, lecz zdezorientowanym tym, z czym się tutaj spotykał. Ciągnął dalej: – Przecież nie powinno tak być. Ta ziemia otrzymuje więcej deszczu niż nasz Shaumkhiil i powinna wyżywić wielkie stada. Jednak z tego co widzieliśmy wcale nie wynika, żeby tak było; zaczynam zapominać jak wygląda krowa czy owca.

Gniewne, potwierdzające pomruki rozeszły się wśród koczowników, którzy go słyszeli. Liczyli, że będą łupić stada Khamorthów podczas swej drogi przez stopy Pardraji do Yezd, lecz od kiedy przeprawili się przez Shaum nigdzie nie mogli znaleźć tych stad. Chwyтали niekiedy zabłąkaną krowę, kozę, czy tłustą owcę, lecz nie natknęli się na żadne z wielkich stad, tak żywotnie istotnych dla koczowników, jak zbiory dla rolnika.

Jeśli już o to chodzi, prawie nie widzieli też Khamorthów, nawet zwiadowców śledzących ich przejście. Arshaumi traktowali to jako jeszcze jedną oznakę tchórzostwa, i żartowali sobie z tego. – Co robią Włochaci, kiedy widzą jak nadchodzimy? – Na co padała odpowiedź: – Kto wie? Nigdy nie mamy możliwości dowiedzieć się tego.

Bardziej martwiło to ludzi, którzy podróżowali z nimi. Z gorzkiego doświadczenia Viridoviks wiedział, że Avshar potrafi wyśledzić jego miecz, a tym samym i jego samego. Żadna magia nie mogła strawić tego miecza, lecz właśnie owo niepoddawanie się czarom czyniło go wyczuwalnym dla księcia-czarodzieja. – Pewne jak nic, że nie unikniemy powitania tego nicponia. Być może warzy coś na naszą zgubę.

–Bardziej martwi mnie to – wtrącił Pikridios Goudeles – że nikt z Khamorthów nie prze-

chodzi na naszą stronę. Życie pod panowaniem Avshara nie może należeć do przyjemnych.

–Trafna uwaga – rzekł Gorgidas, który zastanawiał się nad tym samym.

–Z dwóch powodów – odpowiedział Batbaian w swym kulawym videssańskim. – Po pierwsze, rządzi przez Varatesha, który jest banitą, tak, lecz pochodzi z rodziny khagana. Jest z niego dobry pies łańcuchowy. – Oczy koczownika zwężyły nic z pogardą.

–Ten człowiek jest czymś więcej, niż tylko psem Avshara – sprzeciwił się Viridoviks. Czas, jaki spędził w szponach Varatesha, nauczył go prawdziwego szacunku do zdolności herszta bandytów.

–Powiedziałem, co powiedziałem – oświadczył stanowczo Batbaian. Utkwił wzrok w Galu, wyzywając go do dalszej sprzeczki. Viridoviks wzruszył ramionami i machnął doń ręką, by kontynuował. – Dobrze. Drugi powód jest taki, że większość Khamorthów bardziej boi się Ar-shaumów niż czarodzieja. Ja też się bałem, tak bardzo, że nawet nie myślałem o nich, dopóki nie powiedzieliście, że mogą mi pomóc w zemście. Może i wielu buntowników nienawidzi Avshara, ale też boi się nas.

–Coś w tym jest – rzekł Skylitzes. – Miał też pod ręką zimę, by rozprawić się z buntami. Każdy stałby się rozważny po jednej czy dwóch udzielonych przez niego lekcjach.

–Rozważny, doprawdy! – wykrzyknął Goudeles. – Czyżbyś rywalizował ze mną w pomniejszaniu faktów, Lankinos? Czy w związku z tym mamy teraz nazywać tę nienawistną sdmę, która właśnie minęła „chłodną”, Główną Świątynię Phosa „dużą”, a Erzerum „pagórkowatymi”?

Usta Skylitzesa wykrzywiły się w grymasie, którego używał zamiast uśmiechu. – Niezły pomysł. Moglibyśmy nazywać cię „pustym”, kiedy już o tym mówimy.

Biurokrata prychnął z rozdrażnieniem śliną, a jego towarzysze wybuchnęli śmiechem. Spoważnieli jednak, gdy Gorgidas zapytał: – Jeśli Avshar rzeczywiście zaatakuje nas, jak zdołamy mu się przeciwstawić?

–Walcząc z nim, miażdżąc go, zabijając – warknął Batbaian. – Pozostawiając na stepie, żeby rozdziobały go sępy. Po cóż innego sprowadził mnie tutaj Viridoviks, po co dołączyłem do was?

–Zmiażdżyć go? Wspaniale, ale jak? – upierał się Grek. – Wielu już próbowało, lecz jeszcze nikomu się nie udało.

Batbaian spojrział na niego wściekłym wzrokiem, tak jak spoglądał na każdego, kto stawiał pod znakiem zapytania pewność zemsty. Odezwał się Skylitzes: – Ci Arshaumi są lepszymi wojownikami niż Khamorthci, Gorgidasie, i obie strony uważają, że to prawda, co właśnie pozwala tak twierdzić.

–I co z tego? – odparł Gorgidas. – Avshar wcale nie musi mieć najlepszych wojowników, by

zwycięzać. Spójrzcie na Maraghę, spójrzcie na tę bitwę na stepie zeszłej jesieni przeciwko ojcu Bat-

baiana. W nich obu zwycięstwo przyniosła mu jego magia, a nie zalety żołnierzy.

Zapadła posępna cisza. Nikt nie zaprzeczył, że lekarz ma rację; zwykle ją miewał. W końcu odezwał się Viridoviks:

–Doskonale, wasza generalska mość. Panie, sięgnąłeś po problem i określiłeś go dla nas. Czy poszukasz też czegoś w swej głowie, by go rozwiązać, czy też chcesz, by cała nasza reszta wpadła w tak zły humor, jak ty sam?

–Żeby cię kruki zadziobały – odparł Gorgidas, zirytowany kpina. – Co ja wiem o kierowaniu bitwami i tym podobnych rzeczach? To ty byłeś wielkim wodzem wojennym w swojej Galii – co ty byś zrobił?

Viridoviks nagle sposepniał: – Jakkolwiek może wyglądać rozwiązanie, ja go nie znam. Ponieważ walczyłem już z bękartem twarzą w twarz wiem, co można przez to osiągnąć,

Przeklinając swój niezręczny język, Gorgidas zaczął go przeproszać, lecz Viridoviks zbył to machnięciem ręki:- Słusznie zadałeś to pytanie. Teraz jednak wiem tylko, że najlepiej zrobię, jeśli wezmę swoje koce i położę się z nadzieją, że jakaś dobra wróżka szepnie mi odpowiedź do ucha, kiedy będę spał.

–Niezły pomysł. – Grek również zaczął czuć piasek w oczach.

Ranek zastał Viridoviksa dalej bez rozwiązania. – Och, nie miały szczęścia biedne wróżki.

Musiały zniszczyć sobie swoje skrzydła, jak tylko dotarły do tego paskudnego świata; świata, który leży tak daleko i w ogóle – powiedział smutno.

Szybko jednak zapomniał o rozczarowaniu, zdumiony polowaniem Arshaumów. – To

nie są ludzie, którzy robiliby coś połowicznie, prawda? – rzekł do Gorgidasa.

–Chyba nie. – Cały skład videssańskiego poselstwa tworzył małą część jednego skrzydła

arshaumskiej armii, które, prowadzone przez Arghuna, rozciągnęło się po stepie w długą linię,

skierowaną ze wschodu na zachód. Drugie skrzydło, pod dowództwem Irneka, ruszyło na południe.

Za kilka godzin, kiedy słońce osiągnie najwyższy punkt na niebie, mieli również rozciągnąć się w

linię, a potem ruszyć na północ, na spotkanie posuwającym się ku nim towarzyszom Arghuna, i za

mknąć w ten sposób pomiędzy sobą wszelką zwierzynę.

Khamorthci nie prowadzili łowów na tak wielką skalę; Batbaian ze zdziwieniem obserwował rozwijające się arshaumskie kolumny. – Równie dobrze mógłby to być wojenny szyk – zwrócił się do Arigha.

–Dlaczego nie? – odparł tamten. – Jaki wróg jest bardziej nieustępliwy od głodu? Czy lubisz

uczucie, kiedy twój brzuch przytula się do kręgosłupa? – Wiele trzeba było, żeby ponury, młody

Khamorth uśmiechnął się, lecz tym razem jego wargi rozchyliły się na chwilę.

Kiedy Arghun zobaczył, że jego linia osiągnęła wyznaczoną pozycję i kiedy uznał, że Irnek zaprowadził resztę koczowników wystarczająco daleko na południe, by okrążyć dość zwierzyny,

uniósł sztandar armii wysoko nad głowę. Trzepocząc na końcu lancy, powiewał tam w tej roli długi, wełniany kaftan Bogoraza, wszystko co pozostało po zdradzieckim ambasadorze. Tak jak członkowie videssańskiego poselstwa, tak i on złożył przed szamanami Arghuna przysięgę, że w żaden sposób nie chce zaszkodzić khaganowi, i przeszedł przez ich magiczny ogień na dowód, że mówi prawdę. Kiedy złamał przysięgę, ogień pochłonął go.

Kiedy sztandar został uniesiony, obie linie ruszyły przed siebie. Arshaumi, ci którzy je mieli, walili w bębunki, dmuchali w piszczałki i kościane gwizdki, dęli w rogi. Reszta wrzeszczała co sił w płucach, by wypłoszyć zwierzynę z ukrycia.

Kłusując wraz z pozostałymi, Viridoviks odrzucił głowę do tyłu i wydał z siebie niesamowity, zawodzący okrzyk wojenny Galów. – Nie wiem, jak z tymi cholernymi zwierzakami – rzekł wzdrygając się Gorgidas – ale mnie na pewno przestraszyłeś.

–I co mi z tego, kiedy na tobie sama skóra i kości. Och, patrz, tam umyka zając! –
Jakiś Ar-

shaum trafił strzałą małe stworzenie w najwyższym punkcie jego wyskoku. Z impetem nadanym jej

przez potężny łuk, strzała powaliła zająca na ziemię. Wierzgnął jeszcze parę razy skokami i znieru

chomiał. Koczownik pochylił się z siodła, chwycił go za uszy i wepchnął do worka.

Viridoviks jęknął znowu: – Więc jest coś, czego warto by mi się nauczyć; żaden ze mnie specjalista w strzelaniu z łuku. Nie przy tych chłopcach.

–Ani ze mnie – odparł Gorgidas. Rozpostarł ramiona, wykrzykując urywki z Homera i Aj-

schylosa. Czy spłoszyły go słowa przodków Gorgidasasa, czy nie, w każdym razie jeszcze jeden

królik wyskoczył z ukrycia tuż przed Grekiem. Zamiast uciekać byle dalej, ogarnięte paniką stwo

zenie śmignęło prosto pod nogi konia. Gorgidas ciął je mieczem, o wiele za późno. Jadący obok

koczownik potrząsnął kpiąco głową i uczynił ręką gest naciągania cięciwy. Gorgidas przytaknął

smutno, rozpościerając przepraszająco ręce.

Coś zakrzyczało przeraźliwie „Ag! A-ąg!” kilkaset stóp od nich w dół szeregu. Gorgidas ujrzał jakiś kształt mknący wśród traw i dwóch koczowników, ścigających go zawzięcie. Potem nagle ów kształt wzbił się w powietrze, trzepocząc hałaśliwie krótkimi i szerokimi skrzydłami. Słońce zaśniło metalicznie na cynamonowych piórach ogona, zamigotało w mieniącym się czerwienią i zielenią upierzeniu łebka. – Bażant! – krzyknął Viridoviks. Chmura strzał ściągnęła ptaka na ziemię. Galowi aż ślina pociekła z ust: – Trzeba go trochę potrzymać w zimnie, żeby skruszał, a potem wystarczy udusić z grzybami, dzikim tymiankiem i odrobiną piołunu, aby rozpuścić tłuszcz...

–Nie zapominaj, gdzie jesteś – rzekł Gorgidas. – Będziesz miał szczęście, jeśli zostanie

ugotowany. – Strapiony Viridoviks skinął żałośnie głową.

Jakiś koczownik krzyknął, a jego wierzchowiec zakwicział z przerażenia, gdy dziki kot, prychnąwszy wściekle, skoczył im nad głowę. Przeorał pazurami koński bok, zatopił zęby w łydce Arshauma i umknął, nim ktokolwiek zdołał postać za nim strzałę. Koczownik przeklinając przewiązał sobie

nogę i pojechał dalej, nie zwracając uwagi na drwiny swoich towarzyszy. Gorgidas zanotował sobie w pamięci, by po zakończonym polowaniu opatrzyć ranę. Pozostawione bez opieki rany zadane zębami zwierząt niemal zawsze się jątrzyły.

Jeszcze więcej strzał pomknęło w niebo, gdy łowcy, rozbryzgując zimną wodę, przejechali przez mały strumień, wypłaszając gęsi i kaczki, i zmuszając je do rozpaczliwego lotu. Viridoviks chciwie pochwyił tłustą gęś, która grzmotnęła o ziemię z szyszą przeszytą strzałą. – Nie pozwolę nikomu tego spartaczyć – powiedział takim tonem, jak gdyby rzucał wyzwanie całemu światu. – Samo ciemne mięso i do tego wyborne. Oczywiście – ciągnął, rzuciwszy ostre spojrzenie w stronę Gorgidas – z radością podzielę się nią, przynajmniej z tymi, którzy nie kpią ze mnie.

–Zatem najwyraźniej jestem skazany na śmierć z głodu – utwierdził Grek. Viridoviks od

powiedział mu nieuprzejmym chrząknięciem.

Goudeles rzekł: – Jeśli szukasz pochwał, cudzoziemcze, z radością ułożę panegiryk na twoją cześć, w zamian za udko logo soczystego ptaka. – Przybrał pozę, co dla tak marnego jeźdźcy nie mogło być łatwą rzeczą, deklamując: – Przez Phosa oto hołubiony cudzoziemiec, mąż wspaniałej dzielności swych czynów...

–Och, skończ z tym, Pikridiosie – rzekł Skylitzes. – Wciąż jesteś tłuszcieszy od tego prze

klętego ptaka i bardziej śliski, niż jakikolwiek gęsi smalec na tym świecie. – Nawet odrobinę nie

urazony, biurokrata ciągnął dalej, wiedząc doskonale, że tym właśnie najbardziej rozdrażni Skylit-

zesa.

–Chciałbym, żebyśmy mogli upolować więcej tych ptaków – rzekł Gorgidas.

–Upolujemy – zapewnił go Arigh – ale na razie nie było ich jeszcze tyle, by warto się nimi zajmować. Widzisz? – wskazał ręką. – Tolui jest już gotowy i czeka tylko, żebyśmy natknęli się na wielkie stado.

Szaman nie miał na sobie zwykłego stroju, niczym nie różniącego się od ubioru reszty koczowników, na który składały się: futrzana czapa z nausznikami, tunika z wyprawionej na zamsz skóry, gruba kurta z baraniego kożucha – niektórzy nosili szuby wilcze, albo ze skór lisów czy wyder – skórzane spodnie i buty o miękkiej podeszwie. Zamiast tego wdział na siebie fantazyjne insygnia swego fachu. Długie frędzle, niektóre powiązane w supły mające uwięzić duchy, inne zaś pofarbowane na jaskrawe kolory, zwisały z każdego skrawka jego szaty i powiewały za nim na wietrze w czasie jazdy. Niesamowita, łypiącooka maska ze skóry rozpiętej na drewnianej ramie skrywała mu twarz. Tylko wiszący u pasa miecz mówił, że jest człowiekiem, a nie jakimś pomiotem demona.

Skylitzes również spojrział w kierunku, jaki wskazywał palec Arigha. Videssański oficer nakreślił słoneczny znak Phosa chroniący przed złem, mrużąc równocześnie jakąś modlitwę. Gorgidas usłyszał jej fragment: -...i chroń mnie przed pogańskimi czarami. – Nie obawiający się niebezpieczeństw doczesnego świata, Skylitzes był obciążony wszystkimi doktrynalnymi podejrzeniami,

jakie jego religia wysuwała wobec innych wierzeń.

Gorgidas uśmiechnął się krzywo; nie potrafił szydzić z żołnierza. On sam również nie ufał magii, magii wszelkiego rodzaju, ponieważ była sprzeczna z racjonalną logiką jego umysłu, w oparciu o którą stawiał czoło światu od czasu, kiedy jeszcze był gołowąsym młodzieńcem. To, że sam potrafił tkać magię, wcale nie sprawiało, że czuł się z nią swobodnie. Musiał wyrazić głośno swoje myśli, bowiem Viridoviks spojrział na niego i powiedział: – To jak nic jest nowy świat, a może wasza czcigodność wcale tego nie zauważyła, tak bardzo zajęta gryzmoleniem o nim i w ogóle? Co do mnie, to biorę teraz rzeczy takimi, jakimi są, co jest bardziej kojące i nie zapełnia głowy troskami o powody, że są takie, a nie inne.

–Jeśli sprawia ci przyjemność bycie kapuścianą głową, to sobie nią bądź – warknął Grek. – Jeśli o mnie chodzi, będę starał się zrozumieć te powody.

–Kapuściana głowa, czy tak? Och, doskonale, teraz przynajmniej przypisujesz mi jakąś głowę, która jak sądzę ma w nonie więcej uprzejmości, niż tobie się to zwykle zdarza. – Virido-viks uśmiechnął się szelmowsko. Tak samo jak napuszona poza Goudelesa wywoływała powar-kiwanie Skylitzesa, tak jego własna pogodna beztroska irytowała Gorgidasa bardziej, niż jakakolwiek gniewna odpowiedź.

Stado dzikich osłów umknęło galopem przed zbliżającymi się jeźdźcami. Małouche, dzikie osły mogły niemal stanowić miniaturę koni, gdyby nie ich skąpo owłosione

ogony i krótkie, sztywne, szczeniaste grzywy. Trzy wilki pędziły za stadem, już nie w roli łowców, lecz zwierzyny łownej, umykając przed Arshaumami jak przed goniącym je po stepie ogniem.

Bez względu na to, jak bardzo wprawili się do jazdy wierzchem ani Viridoviks, ani Gorgidas nie mogli równać się z Arshaumami, którzy dosiadali koni, gdy tylko nauczyli się chodzić. Długa, ciężka jazda sprawiła, że lekarz miał uda otarte aż do krwi, a Celta bolały pośladki tak, jak gdyby został w nie kopnięty. Obaj jęknęli, gdy ich wierzchowce przeskoczyły przez niskie wzniesienie i pognały ku jeszcze jednemu strumieniowi.

Dudniący grzmot końskich kopyt poderwał ku niebu trzepoczącą chmurę wodnego ptactwa – kaczek, gęsi i pomarańczowodziobych łabędzi, których wielkie skrzydła wydawały własny grzmot. Część ptaków spadła, gdy koczownicy zaczęli strzelać z dalekiego zasięgu, lecz z drugiej strony wydawało się, że niemal wszystkim udało się uniknąć strzał.

Gorgidas spostrzegł, że Touli zwrócił swoją przybraną w demoniczną maskę twarz w stronę Ar-ghuna. Khagan prawą ręką uczynił krótki, tnący gest. Szaman zaczął monotonnie śpiewać; obie jego ręce poruszały się szybko, kreśląc skomplikowane znaki. Kierował swoim wierzchowcem uciskiem samych kolan. W świetle Greka jeździec miałby w takiej sytuacji trudności z utrzymaniem się w siodle, lecz tutaj korzystający ze strzemion Arshaum nie miał z tym żadnych problemów.

Gdy tylko rozpoczął swoje zaklęcia, nad strumieniem pojawiły się nie wiadomo skąd – niebo

było zupełnie czyste – czarne chmury. Gwałtowny potok deszczu, prawdziwa kurtyna wody spadła na wlatujące ptaki. Minęły zaledwie sekundy od chwili, kiedy poderwały się do lotu, a już nagły potop cisnął je z powrotem na ziemię. Poprzez syk magicznego sztormu do uszu Greka doszły skrzekliwe głosy przerażonych ptaków.

Równie nagle jak runął, deszcz przestał padać. Wodne ptactwo leżało wzdłuż obu brzegów strumienia; niektóre ze złamanymi skrzydłami, inne na wpół utopione, jeszcze inne po prostu zbyt ogłuszone, by móc wzlecieć. Wzniósłszy radosne okrzyki na cześć Toluiego, koczownicy popędzili ku nim. Ogłuszali maczugami, strzelali z łuków i cięli mieczami chwytając ptaka za ptakiem.

–Pieczona kaczka! – krzyknął z radością Goudeles, pakując do worka zielonoskrzydłą cyraneczkę. Wymierzył swój nos w Viridoviksa. – Teraz nie usłyszysz już tego panegiryku!

–Taa, wcale mi też nie będzie go brakowało – odciął się Gal. Skylitzes prychnął krótkim śmiechem.

Brnęli z pluskiem przez błocko, w jakie zmieniła się ziemia po wywołanej przez Toluiego burzy. Rzuciwszy spojrzenie na zachodzące słońce, Arghun ruszył szybciej. – Na końcowe polowanie będziemy potrzebowali dziennego światła – zawołał. Jeźdźcy przekazali dalej jego słowa.

Po chwili Gorgidas usłyszał radosne okrzyki z lewego końca linii jeźdźców, gdzie zwiadowcy wysunęli się przed resztę łowców. Parę minut później z prawej strony również, rozległy się okrzyki – druga część armii prowadzona przez Irneka znalazła się w zasięgu wzroku. Poruszając się ze swobodną precyzją, jeźdźcy na flankach obu grup ruszyli galopem naprzód, aby zamknąć kocioł i odciąć drogę ucieczki wszystkim zwierzętom, które się w nim znalazły.

Kocioł stawał się coraz mniejszy i mniejszy, w miarę jak dwie grupy zbliżały się do siebie. Linia jeźdźców wciąż mocniej naciskała pochwycone w pułapkę zwierzęta: wilki, lisy, żbiki, skaczące pod nogami króliki, gazy, dzikie osły, owce, parę krów, kozy. Koczownicy niezmordowanie szpikowali je strzałami, wyciągając jeden kołczan po drugim z juków przy siodłach. Zgiełk, na który składały się skamlenia, skrzeki i ryki ranionych zwierząt, zmieszane z przerażonym skowytom i porykiwaniem tych, które jeszcze nie zostały trafione oraz z okrzykami łowców, nie dawał się opisać.

Reakcje zwierząt, pędzonych przez łowców, powalanych strzałami i stłoczonych razem, w niczym nie przypominały ich zachowań w bardziej normalnych okolicznościach. Oszołomione, pędziły w tę czy tamtą stronę, szukając drogi ucieczki, która nie istniała. A w niektórych rozpacz wezbrała na tyle, by kazać im rzucić się na wrzeszczących, wymachujących rękoma jeźdźców.

Jakiś kozioł skoczył w lukę pomiędzy Gorgidasem i Viridoviksem i umknął, sadząc po równinie ogromnymi z przerażenia skokami. Arigh zakręcił się w siodle i posłał za nim strzałę, lecz chybił. Potem on sam i wszyscy w pobliżu zaczęli przeklinać z wściekłości, gdy blisko setka ogarniętych paniką dzikich osłów skotłowała i przerwała linię łowców. Rój innych zwierząt wszystkich gatunków popędził przez lukę.

Koń Agothiasa Psoesa przewrócił się, kiedy zderzył się z nim uciekający na oślep osioł. Videssa-ński podoficer zdążył uwolnić nogi ze strzemion, gdy jego wierzchowiec padał na ziemię, a potem odskoczył, unikając zderzenia z innym osłem. Tylko wiedza, jaką zdobył w ciągu lat życia na stepie, uratowała go. Jak oszalały zaczął walić o ziemię rękoma, wrzeszcząc co sił w płucach, by przekonać pędzące w panice zwierzęta, że jest przeszkodą, którą należy ominąć, a nie tylko człowiekiem przeznaczonym do stratowania. Kiedy podjechał do niego jakiś Arshaum, wskoczył na jego konia, przywierając do pleców koczownika.

Kierując swoim kucem ze zręcznością, o jaką siebie nie posądzał, Gorgidas szczęśliwie uniknął szarży osłów. Gratulował sobie właśnie, kiedy Batbaian krzyknął

do niego ostrzegawczo. Grek odwrócił głowę, by ujrzeć pędzącego w jego stronę wilka; ogromnego, kudłatego basiora. Z rozwartą paszczą, wilk skoczył prosto na niego.

Miesiące ćwiczeń z bronią pokazały, co są warte; zanim zdołał pomyśleć, pchnął mieczem w warczący pysk bestii. Lecz jego wierzchowiec nie wytrzymał w obliczu wilczej napaści. Wierzgnął z przerażenia i cios lekarza chybił celu. Zamiast przeszyć podniebienie i utkwić w mózgu wilka, *gladius* Gorgidasa przejechał po wilczym pysku, kreśląc krwawą linię i o włos omijając płonące żółte oko.

Wilk zaskowyczał straszliwie i skoczył ponownie. Jakaś strzała świsnęła przy policzku Gorgida-sa tak blisko, że poczuł powiew wywołany jej przelotem. Utkwiła pomiędzy żebrami wilka. Bestia zwinęła się w pół skoku, chwytając zębami sterzące drzewce. Nozdrza i pysk wypełniły się krwawą pianą. Jeszcze dwie strzały przeszyły wilka, gdy zwijał się na ziemi; szarpnął łapami i zdechł.

–Dobry strzał! – zawołał Gorgidas, rozglądając się wokół, by zobaczyć, kto wypuścił pierwszą strzałę. Dizabul odpowiedział mu machnięciem ręki; on również miał co robić, by jego wierzchowiec nie wymknął się spod kontroli. Grek usiłował odczytać wyraz, jaki gościł na zbyt przystojnej twarzy księcia, lecz nie udało mu się. Potem Dizabul dostrzegł umykającego srebrnego lisa i pomknął za nim, sięgając do kołczanu po kolejną strzałę.

–No i co ty na to powiesz? – zapytał Goudeles lekarza parę minut później, kiedy ucieczka zwierząt została powstrzymana. Biurokracie w jakiś sposób udawało się wyglądać żwawo, mimo iż jego twarz pokrywała brunatnoszara warstwa kurzu, pocięta strumykami spływającego potu. Mrugnął konspiracyjnie do Gorgidasa.

–Na co? – odparł Grek, ponownie skupiony na polowaniu.

–Nie wychodzi ci udawanie niewiniątka – stwierdził Goudeles; miał charakterystyczny dla Videssańczyków dar dostrzegania dwulicowości bez względu na to, czy miał do tego podstawy, czy nie. Lecz kiedy powiedział: – Nie powiesz mi, że nie zastanawiałeś się, czy ta strzała była przeznaczona dla wilka, czy dla ciebie – Gorgidas musiał szarpnąć głowę w greckim zaprzeczeniu. Di-zabul nie miał powodów, by go kochać. Popierał Bogoraza aż do chwili, kiedy Gorgidas prze-

szkodził posłowi z Yezd w próbie otrucia jego ojca; duma młodego księcia wielce ucierpiała, kiedy stwierdził, jak bardzo mylił się w ocenie. Poza tym, co nie bez znaczenia, miał duże szanse, by zostać khaganem, gdyby trucicielski zamach się powiodł...

–Nie mylisz się – przyznał Gorgidas. Urzędnik poślinił palec i nakreślił w powietrzu krzy

żyk, zadowolony ze swojego sprytu.

Gdy dzieńne światło zaczęło zmierzchać, koczownicy rozwarli szeregi i pozwolili umknąć tym zwierzętom, których nie zabili Zeskoczyli z koni, przepędzili padlinożerne ptaki i zabrali się do oprawiania swej zdobyczy. – Pfuj! – parsknął Viridoviks krzywiąc nos. Odór rzezi męczył również Gorgidasa, lecz nie był gorszy od zaduchu bitewnego pola, jaki doskonale znał

Arshaumi rozpalili ogniska, które płonęły w długich, równych szeregach i zaczęli wędzić tyle mięsa, ile tylko mogli. Arghun, utykając, przechodził od jednego do drugiego wraz z Irnekiem, nadzorując pracę. Gorgidas usłyszał, jak mówi:

–Szkoda, że nie ma tu naszych kobiet i jurt.

–Tak, szkoda – przytaknął młodszy koczownik. – Tyle skór, tyle kości i ścięgien zmarnuje się, ponieważ nie mamy czasu, żeby zająć się nimi tak, jak powinniśmy. – Surowe było stepowe życie; pozostawianie czegokolwiek bez wykorzystania było przeciwne naturze koczowników.

Nie przerywając żmudnej roboty, łowcy wycinali wybrane kawałki i piekli je sobie na kolację. – Nie żałują sobie teraz, czyż nie? – rzekł Viridoviks pomiędzy jednym a drugim kęsem tłustej gęsi, którą zdobył.

–Sam sobie dogadzasz wcale nieźle – odparł Gorgidas, wgryzając się w udo tego samego

ptaka; przed Celtem leżał upory stosik obgryzionych kości. Lecz miał rację; koczownicy bez wysi

łku prześcigali go w jedzeniu. Przywykli do niedostatku, bez reszty wykorzystywali obfitość je

dzenia, kiedy tylko mieli taką możliwość. Widok koczowników, przełykających ogromne kawały na

wpół surowego mięsa, przypomniał Grekowi chwilę, kiedy jako chłopiec obserwował małego węża

pochłaniającego wielką mysz.

Batbaian jadł sam, odwrócony plecami do ognisk. Gdy pustka w brzuchu Gorgidasa zapełniła się i potrafił zacząć myśleć o czymś innym niż jedzenie, podniósł się by zaprosić Khamortha do nich. Viridoviks, ujrawszy dokąd zmierza, wyciągnął rękę i powstrzymał lekarza. – Zostaw chłopca – rzekł cicho.

Gorgidas, zirytowany, warknął – O co ci chodzi? Tu będzie szczęśliwszy, niż tam, dumając samotnie

–Myślę, że wcale nie. Jeśli sie bardzo nie mylę, to płomienie przypominają mu te, których

użył Avshar, by go pochwycić. Mnie też je przypominają, a ja nie zostałem przez nie pochwycony.

Jeśli będzie miał coś do powiedzenia, przyjdzie, i nie musisz się o to martwić.

Greki wrócił na swoje miejsce i usiadł – Może masz rację Parę dni temu powiedziałeś coś po-

dobnego do Angha, prawda? – Spojrzał z zaciekawieniem na Viridoviksa. – Nigdy nie przyszło-by mi do głowy, że tak się martwisz o uczucia innych.

Viridoviks bawił się swoimi wąsami, jak gdyby zastanawiając się, czy tym stwierdzeniem zakwestionowano jego męskość. W końcu powiedział: – zadawanie człowiekowi bólu bez potrzeby jest specjalnością Avshara, a pobyt w jego szponach, całkiem straciłem na to ochotę.

–Zatem wreszcie dorastasz – rzekł Gorgidas, na co Celi prychnął tylko szyderczo. Lekarz pomyślał jednak o czymś innym. – Jeśli Avshar jakimś sposobem nie dowiedział się jeszcze, jak duża armia wkroczyła do Pardraji, to te ogniska zdradzą mu to.

–On to wie – odparł Viridoviks i z ponurą pewnością powtórzył: – On to wie.

Czy był to zbieg okoliczności, czy nie, w każdym razie dwa dni później jakiś Khamorth wjechał do obozu Arshaumów dzierżąc znak rozejmu, pomalowaną na biało tarczę, zawieszoną na lancy. Kiedy doprowadzono go przed Arghuna i jego starszyznę, rozejrzał się z dziwną mieszaniną buty pokrywającej strach. Wzdrygnął się, kiedy Arshaumi spojrzeli na niego pochmurnie, a potem nagle wyprostował się i odpowiedział groźnym spojrzeniem, jak gdyby przypomniał sobie potęgę, którą reprezentował.

Z pewnością jego ukłon złożony khaganowi był na tyle niedbały, by ściągnąć nań gniewny wzrok koczowników. Zlekceważył to, pytając we własnym języku: – Czy ktoś tutaj mówi zarówno tym, jak i waszym językiem?

–Ja mówię. – Skylitzes zrobił długi krok, występując naprzód.

Khamorth zamrugał stwierdziwszy, że u boku Arghuna zajmuje miejsce mieszkaniec Imperium,

lecz szybko przyszedł do siebie. Mógł sobie liczyć jakieś czterdzieści pięć lat, nie był przystojny, lecz miał bystrą twarz, ze strzelającymi na wszystkie strony oczyma. Jego strój, wedle stepowych kryteriów, należało uznać za wykwintny: czapa z soboli, kurta z wilczych skór, oblamowana również sobolami i ozdobiona frędzlami spodnie z najdelikatniejszej koziej skóry. Czerwony kamień błyszcząca! w ciężkim złotym pierścieniu na palcu wskazującym jego prawej ręki; czaprak jego wierzchowca zdobiły szlifowane ozdoby.

–Dobrze więc, rolniku – zaczął, odgryzając się Skylitzesowi z pogardą, jaką koczownicy od

czuwają dla ludu wiodącego osiadłe życie – powiedz Arshaumowi, że jestem Kodak, syn Papaka, i

że przybywam do niego od Varatesha, wielkiego khagana Królewskiego Klanu i pana wszystkich

klanów Pardraji.

Videssański oficer zmarszczył brwi pod wpływem zniewagi, lecz zaczął tłumaczyć. Batbaian przerwał mu, krzyząc: – Ty brudny bandyto, wypuszczasz łajno ustami, kiedy nazywasz Varate-sha khaganem, a jego odstępców klanem! – Skoczyłby na Rodaka, lecz dwóch Arshaumów chwy-

ciło go za ramiona i powstrzymało.

Rodak potrafił się zachować; obniżył swój wydatny nos spoglądając na Batbaiana, jak gdyby zauważył go dopiero teraz. Odwróciwszy się ponownie do Arghuna, powiedział:

–Więc masz u siebie jednego z banitów, czy tak? Cóż, nie będę robił z tego problemu; został już naznaczony tak, jak na to zasłużył.

–Banita, powiedziałaś? – wydyszał Batbaian, wrywając się Arshaumom. – A co zrobił twój klan, twój *prawdziwy* klan, za co *ciebie* ogłosił banitą, Rodak? Czy zabiłeś kogoś, czy ukradłeś coś swoim przyjaciołom, a może po prostu wypieprzyłeś kozę?

–To, kim byłem, nie ma znaczenia – rzekł chłodno Rodak; Skylitzes tłumaczył słowa zarówno jednego, jak i drugiego. – Liczy się to, kim jestem teraz.

–Pewnie, a kim ty jesteś? – zawołał Batbaian. – Nadętym owczym bobkiem, zatruwającym powietrze lepszym od siebie. Bez czarnej magii Avshara dalej byłbyś głodującym bandytą, jakim powinienes być, ty szakalu, ty kundlu o sercu węża i wnętrznościach jaszczurki, ty zielona, podskakująca, śliska żabo!

Była to najstraszliwsza obelga, jaką jeden Khamorth mógł rzucić w twarz drugiemu; mieszkańcy Pardraji czuli wstręt i bali się żab. Ręka Rodaka pomknęła ku rękojeści pałasza. Potem skamieniał, nie dotknąwszy jej, bowiem w tej samej chwili zostały wymierzone w niego dwa tuziny strzał. Bardzo wolno i uważnie odsunął rękę od pałasza.

–Tak lepiej – stwierdził sucho Arghun. – Mamy doświadczenie ze zdradzieckimi posłami; nie na wiele przydała im się broń.

–Ani zniewagi – odciął się Rodak. Wargi mu zbladły, lecz tym razem z gniewu – pomyślał Gorgidas – nie ze strachu.

–Zniewagi? – wtrącił się Batbaian. – Nic, co bym powiedział, nie uczyni cię bardziej plugawym, niż jesteś.

–Wystarczy – rzekł Arghun. – Ja stwierdzę, kim jest. – Batbaian przygryzł wargi; Arghun wypowiadał swe rozkazy łagodnym tonem, lecz oczekiwał, by ich słuchano. Khagan zwrócił się do Rodaka: – Zatem czego twój Varatesh chce od nas?

–Ostrzega cię, byś natychmiast zawrócił i odszedł na swoją stronę rzeki Shaum, w przeciwnym zaś razie staniesz w obliczu gniewu wszystkich klanów Pardraji.

–Dopóki twój khagan nie będzie szukał ze mną zwady, nie mam nic do niego – rzekł Arghun. Usłyszawszy to, Batbaian znowu krzyknął. – Zamilcz – rzucił mu Arghun i ponownie zwrócił się do Rodaka: – Mam natomiast powód do waśni z Yezd; tędy zaś wiedzie najkrótsza droga do Mashiz i tylko dlatego tu jestem. Powiedz to bardzo wyraźnie Varateshowi, jak również twojemu Avsharowi. Dopóki nie zostaną zaatakowani, nie będę wtrącał się do was, Khamorthów. Jeśli zaś zostaną... – Pozwolił, by koniec zdania zawisł w powietrzu, nie wypowiedziany.

Rodak oblizwał wargi. Wojny z Arshaumami zapadły głęboko w pamięć jego ludu. – Avshar przybywa z Yezd, tak mówią, i został przyjęty do Królewskiego Klanu; w rzeczy samej, zajmuje w nim drugie miejsce po Varateshu.

–A co mnie to obchodzi? – Głos Arghuna brzmiał łagodnie. Nagle Batbaian uśmiechnął się, a

nie był to przyjemny widok; Viridoviksowi przywiódł na myśl wilka wietrzącego krew. Arghun

ciągnął dalej: – Oto moja odpowiedź. Nie zawrócę, lecz toczę wojnę z Yezd, nie z wami, chyba że

wy tak będziecie chcieli. Przekaż to swemu panu.

Skylitzes zawahał się, zanim przełożył ostatnie zdanie khagan a na mowę Khamorthów. – Jak chcesz, bym to przetłumaczył?

–Dokładnie tak, jak to powiedziałem.

–Doskonale. – Słowo, jakiego Videssańczyk użył do określenia „pana” oznaczało „właściciel psa”.

Rodak spojrział groźnie na niego i na Arghuna spod krzaczastych brwi. – Kiedy mój wódz – niechętnie użył właściwego określenia – usłyszy to, zobaczymy czy uzna wasze kiepskie żarty za śmieszne. Pomyślcie o tym jednookim; wkrótce może będziecie zazdrościli mu jego losu.

Zawrócił konia i odjechał. Arigh zaszczekał za nim piskliwie jak szczeniak. Chór śmiejących się Arshaumów podjął sygnał, szczekaniem i ujadaniem wyganiając Rodaka z obozu. Khamorth bezlitośnie spinał konia ostrogami, gdy oddalał się galopem na północny wschód. Batbaian podszedł do Arigha i klepnął go w plecy w niemym podziękowaniu. Chichoczący koczownicy poszczekiwali na siebie aż do zapadnięcia zmroku.

Lecz wróciwszy do namiotu, który dzielił z Viridoviksem, Gorgidas nie był tak radosny. Zapisał naprędce to, co wydarzyło się na spotkaniu z Rodakiem, notując: „Khamorthci miotają się pomiędzy dwoma lękami; prastarym strachem przed swymi zachodnimi sąsiadami i nową grozą, wznieconą przez Avshara. Jako że pierwszy jest tylko wspomnieniem strachu, a drugi aż nadto bezpośredni, moc tego ostatniego, jak sądzę, przeważy wśród nich”.

Viridoviks, jak to niekiedy czynił, zapytał Greka o to, co zanotował. – Zatem sądzisz, że zbliża się awantura?

–Jak najbardziej. Dlaczego Avshar miałby pozwolić na spustoszenie Yezd, jeśli może powstrzymać atak siłami Khamorthów, którzy są niczym innym jak tylko narzędziami w jego ręku? I nie wątpię, że potrafi pchnąć ich przeciwko nam.

–Tylko cymbał mógłby powiedzieć, że się mylisz – skinął głową Viridoviks. Wyciągnął miecz, sprawdził uważnie klingę, szukając śladów rdzy, a potem usunął osełką parę maleńkich szczerb na ostrzu – Gorgidas widywał już u niego taką spokojną reakcją na perspektywę walki. Od czasu, kiedy Seirem zginęła w masakrze obozu Targitausa, wielki Celt dostrzegał grozę wojny na równi z jej chwałą i podnieceniem, jakie ze sobą niosła.

Kiedy uznał, że stan klingi jest zadowalający, wsunął ją z powrotem do pochwy i zapatrzył się posępnie w ogień. W końcu powiedział: – Powinniśmy ich pobić, tak myślę.

–Więc niech to zabrzmie w twoich ustach tak, jakbyś w to wierzył, a nie jak mowa pogrzebowa! – zawołał z niejaką trwogą Gorgidas Pełen życia Celt wydawał się być teraz pogrążony w rozpacz.

–Przyłapałeś mnie, bo prawdę mówiąc w głębi serca nie wierzę w to – odparł Gal. – Pewnie i jesteśmy lepszymi wojownikami, ale co nam to daje? Sam powiedziałaś parę dni temu: to czarno-księstwo Avshara pozwala mu zwyciężać w bitwach, nie jego żołnierze.

Gorgidas wykrzywił wargi, jak gdyby poczuł w ustach gorycz. Jedyne, co musieli zrobić żołnierze Avshara, to trzymać się mocno, wciągnąć przeciwnika do walki, aż zaangażuje wszystkie swoje siły, i poczekać dopóki magia księcia-czarodzieja nie znajdzie słabego miejsca w szeregach wroga albo nie stworzy jakiegoś. Trzymać się mocno... nagle poderwał głowę.

–Auto ekho! - krzyknął. – Mam!

Viridoviks podskoczył, gderając gniewnie: – Mów językiem, jaki człowiek może zrozumieć,

nie swoją głupią greką.

–Przepraszam. – Z ust lekarza popłynęły słowa; cały ich potok. Zapomniał się jeszcze raz czy dwa i musiał powtarzać, tak by Gal mógł go zrozumieć. W miarę jak Viridoviks słuchał, jego oczy stawały się coraz bardziej okrągłe.

–Ależ z ciebie chytra sztuka – wysapał w końcu. Wydał z siebie przeraźliwy okrzyk wojenny, a potem rzucił się na swoje posłanie z wilczych skór, dusząc się ze śmiechu. – Rzekotki! – wy-stękał w przerwach na nabranie powietrza. – Rzekotki! – Poddał się kolejnym atakom śmiechu.

Gorgidas nie zwracał na niego uwagi. Zdążył już wysunąć głowę przez klapę namiotu. – Tolui! – ryknął.

To tamten – rzekł Marek, wskazując ręką. – Nazywa się Iatroulinos.

–Trzeci od końca po lewej, czy tak? – warknął Gajusz Filipus. Trybun skinął głową i zaraz tego pożałował. Jego głowa zareagowała tęnym, pulsującym bólem – skutkiem zbyt dużej ilości wypitego wina i niewystarczającej ilości snu. Starszy centurion ruszył wyciągniętym krokiem naprzód, mówiąc:

–Jego imię znaczy dla mnie tyle, co pierdnięcie, a i dla niego będzie znaczyło tyle samo, co psie gówno, kiedy z nim skończę.

Kroczył twardo wąskim przejściem pomiędzy rzędami biurk. Jego grzebieniasty hełm niemal zamiatał strop; szkarłatny płaszcz, przysługujący jego randze, falując spływał mu z ramion; kolczu-

ga szczękała przy każdym kroku. Skautus oparł się o ościeżnicę i obserwował, jak biurokraci unoszą ze zgrozą oczy znad wykazów podatkowych i liczydła, porażeni widokiem postaci wojownika, jaka nagle pojawiła się wśród nich.

Pochylony pilnie nad swoją księgą rachunkową, Iatroulinos nie zauważył Rzymianina nawet wówczas, kiedy Gajusz Filipus zawisł nad jego biurkiem jak chmura burzowa. Sekretarz niezmordowanie przenosił liczby z jednej kolumny do drugiej, dwukrotnie sprawdzając każdy zapis. Choć ledwie przekroczył trzydziestkę, cechowały go bladość cery i drobiazgowa precyzja, właściwe starszym ludziom.

Gajusz Filipus spoglądał nań groźnie przez parę sekund, lecz urzędnik pozostał nieświadom jego obecności. Starszy centurion wyciągnął ze zgrzytem *gladius*. Marek skoczył ku niemu – przyprowadził go tutaj nie po to, by być świadkiem morderstwa.

Lecz Gajusz Filipus grzmotnął tylko płazem miecza w biurko Iatroulinosa. Kałamarz urzędnika podskoczył do góry i przewrócił się; z liczydła posypały się paciorki.

On sam również podskoczył, rozglądając się wokół dziko wytrzeszczonymi oczyma, jak człowiek budzący się w świecie sennego koszmaru. Z okrzykiem przerażenia porwał swoją księgę, usuwając ją sprzed rozlewającej się kałuży atramentu.

–Co ma znaczyć całe to szaleństwo? – zawołał łamiącym się z trwogi głosem.

–Zamknij tę swoją zasmarkaną gębę, ty bezwartościowy worku spleśniałych flaków!
– Basowy ryk Gajusza Filipusa, szkolony po to, by być słyszalnym wśród bitewnego zgiełku, zabrzmiał przerażająco w zamkniętej przestrzeni. – I usiądź! – dodał centurion, popychając urzędnika z powrotem na krzesło, kiedy ten próbował umknąć. – Zrobisz cholernie dobrze, wysłuchując mnie.

Centurion splunął w rozlany atrament. Iatroulinos skurczył się pod jego wściekłym spojrzeniem. Żaden wstyd – pomyślał Marek. To spojrzenie zmieniało twarde legionistów w galaretę. – Więc to ty jesteś tą pieprzoną kapuścianą głową, która oszczędza na moich ludziach, co? – szczechnął starszy centurion, krzywiąc z pogardą wargę.

Iatroulinos dosłownie zapłonął; czerwień jawiła się wyraźnie na jego szczupłej, bladej twarzy. – Możliwe, że na skutek pewnego, och, godnego pożałowania, och, przeoczenia, w płatności doszło do, och, kilku naprawdę chwilowych opóźnień...

–Skończ z tym jorczeniem – rozkazał Gajusz Filipus. Prawdopodobnie nie zrozumiał nawet połowy z żargonu urzędnika. Zauważył, że wciąż trzyma miecz i schował go do pochwy, tak że mógł teraz wymierzyć palec zakończony brudnym paznokciem w twarz Iatroulinosa. Oczy biurokraty zbiegły się w zezie, gdy przyglądał mu się bojaźliwie.

–Teraz słuchaj i to uważnie, zrozumiałeś? – rzekł weteran. Iatroulinos skinął głową, wciąż obserwując palec, jakby nie stało mu śmiałości, by spojrzeć na jego właściciela! Gajusz Filipus ciągnął dalej: – To wy, pogardzani przez bogów biurokraci, pierwsi wpadliście na myśl, by zaci-

ągnąć najemników, ponieważ stwierdziliście, że nie możecie już ufać własnym żołnierzom, lubią bowiem swoją miejscową szlachtę bardziej niż was. Prawda? – Potrząsnął sekretarzem. – Prawda?

–Ja, och, sądzę, że coś takiego mogło mieć miejsce w tym przypadku, choć to była polityka, och, realizowana zanim leszcze zaczęła się moja kadencja tutaj.

–Na kutasa Marsa, wciąż gadasz tak samo! – Rzymianin uderzył się dłonią w czoło. Minęło parę sekund, nim na nowo podjął wątek: – Jeśli chodzi o moje pieniądze, to kiedy zetknęliście się z polityką, myśleliście przede wszystkim o nich, lecz zapomnij o tym na razie. Słuchaj, ty bez-mózgi, bękarci synu kostropatej kozy z nieprawego łoża, jeśli musicie mieć żołnierzy, którzy walczą za pieniądze, to co, w imię Iysodupego biurokraty, zrobią oni według ciebie, jeśli nie dostaną tych cholernych pieniędzy? – Jego głos podniósł się o parę tonów; było to coś, o czym Marek nie pomyślałby, że jest jeszcze możliwe.

–Gdyby nie byli tak dobrzy i uprzejmi jak ja, oderwaliby ci tę pieprzoną głowę i naszczali do dziury, ot co! Prawdopodobnie wpłynęłoby to korzystnie na stan twojej pamięci.

Iatroulinos wyglądał, jak gdyby za chwilę miał zemdleć. Uznawszy, że sprawy zaszły wystarczająco daleko, Marek zawołał: – A ponieważ jesteś dobry i uprzejmy, Gajuszu, co zrobisz zamiast tego?

–Co? Och. Hrrm. – Centurion na małą chwilę został zbity z pantałyku, lecz we wspomniałym

stylu wrócił do swej roli. Przysunąwszy twarz na parę cali do twarzy biurokraty, wysyczał: – Daję

ci cztery dni, żebyś zebrał całe należne nam złoto, co do sztuki; i to w starych monetach, żadnego

falszowanego śmiecia z mennicy Ortaiasa albo zacznę oszczędzać mocz. Zrozumiałeś mnie?

latzoulinos próbował trzy razy, lecz w końcu udało mu się powiedzieć „tak”.

–Dobrze. – Gajusz Filipus rozejrzał się groźnie po sali.

–No, dlaczego nie pracujecie, wy leniwe skurwysyny? – warknął i wymaszerował z sali dudniącym krokiem.

–Życzę wam wszystkim dobrego dnia, panowie – rzekł do ogłuszonych biurokratów Marek i podążył za centurionem. Przyszło mu jeszcze jednak coś do głowy i wsunął głowę z powrotem. – Czy nie wolelibyście mieć znowu do czynienia ze szlachtą?

Alypia Gavras śmiała się serdecznie, kiedy trybun opowiadał jej tę historię. – I udało mu się wydobyć żołąd dla twoich żołnierzy? – zapytała.

–Co do grosza. Wysłał go do Garsavry przez kuriera... niech pomyślę, tak, dziesięć dni temu. Sam pozostał w mieście, czekając na potwierdzenie od Minicjusza. Jeśli nie otrzyma szybko potwierdzenia albo jeśli okaże się, że brakuje choćby miedziaka, to nie chciałbym znaleźć się w san-

dałach latzoulinosa.

–Wstrząśnięcie biurokratami co jakiś czas to nie jest zła rzecz – stwierdziła z powagą Alypia.

–Są potrzebni do zarządzania Imperium, lecz wykształcenie zdobywają w mieście, tutaj też

pracują i zaczynają nabierać przekonania, że wszystko sprowadza się do zapisów w księdze.

Zderzenie z prawdziwym życiem ma na nich leczniczy wpływ.

Marek zachichotał. – Myślę, że dla latzoulinosa Gajusz Filipus był aż za prawdziwy.

–Sądząc z tego, co o nim wiem, powiedziałabym że masz rację. – Alypia wstała z łóżka. Za

ledwie parę kroków dzieliło ją od dzbana z winem, stojącego na stole pod przeciwległą ścianą. Na

łała dla nich obojga. Było to najlepsze wino, jakie miał do zaoferowania ten zajazd, co wcale nie

oznaczało, że jest dobre. W porównaniu nawet z tawerną Aetiosa, gospoda ta była obskurna i

ciasna. Przez wąskie okno wdzierał się nieustający łoskot młotów, wykuwających wszelkiego

rodzaju wyroby miedziane.

Kiedy trybun odstawiał swój kubek – z żółtobrazowej, nieglazurowanej gliny, brzydki lecz funkcjonalny – spostrzegł, że Alypia przygląda mu się z zaciekawieniem. Uniósł brwi. Zawahała się, a potem zapytała: – Powiedziałeś mu o nas?

–Nie – odparł natychmiast Skaurus. – Im mniej ludzi o tym wie, tym lepiej.

Skinęła głową. – Masz rację. Jednak, jeśli choć połowa z tego, co ty i mój stryj mówiliście o

nim jest prawdą, to z pewnością nigdy nie zawiódłby twego zaufania. I wiem, że wy dwaj jesteście sobie bardzo bliscy; wystarczy popatrzeć, jak ze sobą współpracujecie. – Spojrzała na niego pytająco.

–Masz rację, nigdy nie zdradziłby nas – rzekł trybun. – Lecz gdybym mu powiedział, wcale nie byłoby mi lżej, a jego tylko by zdenerwowało. Widziałby jedynie niebezpieczeństwo i nigdy nie zrozumiałby, że dla ciebie warto się na nie narażać.

–Nigdy nie mów, że nie jesteś urodzonym dworzaninem, drogi Marku – mruknęła, spoglądając na niego pałającymi oczyma. Przytulił ją do siebie; czuł przy sobie jej skórę podobną do ciepłego atłasu.

–Z drogi! – doszedł przez okno szorstki okrzyk, któremu towarzyszył szcęk podków na bruku. Trzymając Alypię w ramionach, trybun nie zwrócił większej uwagi na te hałasy, lecz jego umysł zarejestrował je. Dzielnica kotlarzy należała do biednych i konie widywało się tu bardzo rzadko.

Parę minut później całe pierwsze piętro gospody zatrzęsało się, kiedy kilku mężczyzn w ciężkich butach wbiegło z tupotem po drewnianych schodach. Marek zmarszczył

brwi. – Co to za idiotyzmy? – mruknął, bardziej zirytowany niż zatrwożony. Lepiej nie ryzykować – zdecydował. Wstał, wysunął miecz z pochwy i zrobił sobie prowizoryczną tarczę z tuniki zawiniętej na ramieniu.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem. Alypia krzyknęła. Trybun rzucił się do skoku, lecz zaraz znieruchomiał. W korytarzu stało czterech uzbrojonych łuczników, z łukami napiętymi i wycelowanymi

w jego brzuch. Za nimi tłoczyło się pół tuzina oszczepników. A Provhos Mourtzouphlos, z szerokim zapraszającym uśmiechem na twarzy, powiedział: – Zrób jeszcze jeden krok, cudzoziemcze. No, dlaczego go nie robisz?

Sparaliżowany poczuciem katastrofy, trybun opuścił miecz.

– Jednak nie? – wycedził Mourtzouphlos widząc, że Rzymianin nie zaatakuje go. – Wielka

szkoda. – Jego głos smagał jak bicz. – Więc cofnij się!

Rzymianin posłuchał. – Na Jowisza – powiedział. – Na Jowisza, na Jowisza, na Jowisza. – Nie była to ani modlitwa, ani przekleństwo, po prostu pierwsze słowa, jakie przyszły mu do głowy.

Videssańscy łucznicy weszli do pokoju. Trzech dalej mierzyło w niego, podczas gdy czwarty skierował broń na Alypię, która siedziała sztywno wyprostowana na łóżku, z narzutą podciągniętą pod brodę, by zakryć swoją nagość. Oczy miała szeroko otwarte i wytrzeszczone, jak oczy uwięzionego w pułapce zwierzęcia.

– Nie musisz w nią mierzyć – rzekł cicho Marek. Łucznik, młody mężczyzna o haczykowatym nosie i błyszczących oczach, co wskazywało że płynie w nim krew Vaspurakańczyków, skinął głową i opuścił łuk.

– Masz milczeć – rzucił od drzwi Mourtzouphlos. Jak gdyby dopiero teraz zauważył, że trybun wciąż trzyma miecz. – Rzuć to! – rozkazał, a potem warknął do ostatniego łucznika: – Weź go, Artavasdos, jeśli nie masz nic lepszego do roboty.

Mourtzouphlos zmierzył od stóp do głów nagą postać Skaurusa. – Co za przeklęta cudzoziemska głupota, żeby codziennie drapać sobie twarz – stwierdził, głaszcząc własne wąsy. Jego uśmiech stał się bardzo nieprzyjemny. – Kiedy Thorisin załatwi się z tobą, pewnie nie będziesz musiał zawracać sobie głowy goleniem, żeby mieć gładkie policzki. – Jego głos przeszedł w falset; chwycił się za krocze nie pozostawiającym wątpliwości co do znaczenia gestem.

Marka przeszedł dreszcz zgrozy; jego ręce, same z siebie, zasłoniły krocze. Jeden z żołnierzy stojących za Mourtzouphlosem roześmiał się. Alypia otrząsnęła się z

wywołanego przerażeniem odrętwienia. – Nie! – krzyknęła ze zgrozą. – Mnie wińcie, nie jego!

–Nikt cię nie pytał o radę, suko – rzekł zimno Mourtzouphlos. – Zrobiłaś się bardzo gadatli

wa, kurwiąc się ze Sphrantzesami, a potem rozkładając się dla tego barbarzyńcy.

Alypia zbladła. – Zamknij swoją plugawą gębę, Mourtzouphlos! – wybuchnął Marek. – Zapłacisz za to, obiecuję.

–A co są warte twoje obietnice? – Videssański kawalerzysta podszedł i uderzył go w twarz.

Marek potrząsnął głową, by pozbyć się dzwonienia w uszach.

–Ze mną rób co ci się podoba, lecz uważaj, jak traktujesz Jej Księżęcą Wysokość. Thorisin nie podziękuje ci za to, że ją dręczysz.

–Czyżby? – odparł ironicznie Mourtzouphlos, lecz w jego głosie zabrzmiał ledwo uchwytny

ton powątpiewania; jego ludzie, przypomniawszy sobie o tytule Aypii, spojrzeli po sobie. Mourtzo-uphlos opamiętał się. – Co się tyczy tego, co chciałbym z tobą zrobić, to niestety nie ma na to teraz czasu. Naciągnij spodnie, Rzymianinie – szcęknął. Skaurus musiał zdusić histeryczny śmiech; nie sądził, że potrafiłby przestać, gdyby zaczął.

Mourtzouphlos zwrócił się do Aypii: – I ty też się ubierz, moja pani – powiedział; w jego ustach grzecznościowy zwrot zabrzmiał jak przekleństwo. – No już, wylaż z łóżka. Chyba nie sądzisz, że zostawię cię tutaj, byś czekała na następnego klienta? – Oczy jego ludzi załśniły lubieżnie w oczekiwaniu.

–Żeby cię zaraza, Provhosie – zaklął Skaurus. Alypia siedziała dalej bez ruchu pod kocem, z wyrazem przerażenia na twarzy. Marek zdawał sobie sprawę, że po udrękach, których doznała od Vardanesa Sphrantzesa upokorzenie, na jakie narażał ją Mourtzouphlos, mogło załamać ją na zawsze. Kiedy kawalerzysta wyciągnął rękę, by zerwać z niej okrycie, trybun krzyknął: – Czekaj!

–A to dlaczego?

–Ponieważ wciąż jest bratanicą Imperatora i jego ostatnim żyjącym krewnym. Bez względu na to, co może ze mną zrobić, czy sądzisz, że zyskasz sobie jego wdzięczność, czyniąc skandal jeszcze większym? – Był to celny strzał; Rzymianin wręcz widział w oczach Mourtzouphlosa odbicie kalkulacji, jakie przeprowadzał.

Skaurus wykorzystał niewielką przewagę.

–Pozwól jej ubrać się w spokoju; gdzie ci może uciec?

Mourtzouphlos potarł szczękę, zastanawiając się. Wreszcie dźgnął kciukiem w stronę trybuna.

–Wyprowadźcie go na korytarz. – Gdy łucznicy wykonali rozkaz, zwrócił się do Aypii: –

Ostrzegam cię, pospiesz się.

–Dziękuję ci – powiedziała, kierując to zarówno do niego, jak i do Marka.

–Phi! – Mourtzouphlos zatrzaskał za sobą drzwi. Na korytarzu warknął do swoich żołnierzy:

–No, co tak tu stoicie? Związać tego bękarta. – Jeden z oszczepników wykręcił trybunowi rękę

do tyłu, a drugi związał mu je w nadgarstkach rzemieniem z niewyprawionej skóry.

Zanim zaciągnął ostatni węzeł, z pokoiku wyłoniła się Aypia, jeszcze poprawiając rękawy swej ciemnozłotej, lnianej sukni. Zwyczajny, beznamiętny wyraz widniejący na jej twarzy miał chronić ją, jak tarcza, przed wrogami, lecz Marek dobrze widział, jak bardzo drżała jej ręka, kiedy zamykała za sobą drzwi. Jednak jej głos zabrzmiał pewnie, choć bezbarwnie, gdy przemówiła do Mourtzouphlo-sa: – Czyń, co ci kazano.

–Ruszajcie więc – rzucił szorstko. Skaurus potknął się na schodach; przewróciłby się, gdyby

łucznik, który niósł jego miecz, nie pochwycił go za ramię. Klienci popijający w sali barowej wy

trzeszczyli oczy, gdy żołnierze wyprowadzali swoich więźniów, Mourtzouphlos, który odzyskał do

skonały humor, rzucił dwie sztuki srebra oberżyscie. – To za klientelę, którą być może ci przepło

szylem. – Szynkarz, łysy człowiek o wychudłej twarzy, której mina świadczyła o tym, że nie po-

trzebuje w swoim zajeździe żołnierzy na służbie, nie podniósł monet. Jeszcze dwaj oszczepnicy stali na zewnątrz, pilnując koni.

–Na koń – rozkazał Mourtzouphlos. Skłonił się szyderczo przed Skaurusem. – Oto wałach dla ciebie, zamiast źrebicy. Zastanów się nad tym, cudzoziemcze.

–Wiedziałeś! – zawołał z przerażeniem Marek.

–Oczywiście – odparł pełnym zadowolenia tonem Mourtzouphlos. – Saborios ma bystry słuch i upewnienie się, że ma rację, warte było czasu spędzonego w tych gryzących szmatach.

–Saborios! – powtórzyli jednocześnie Marek i Alypia, wymieniając przerażone spojrzenia. – Na Phosa, co mój stryj zrobi z Balsamonem? – wybuchnęła księżniczka.

–Nic strasznego – odparł z rozgoryczeniem Mourtzouphlos. – Ściągnąłby sobie na kark zamieszki, niestety. – Uśmiechnął się obrzydliwie, spoglądając na trybuna. – To, oczywiście, nie odnosi się do ciebie. Obym tylko równie łatwo mógł wykurzyć z Videssos wszystkich innych chciwych najemników. No, jedźmy już!

Jeden z jego ludzi musiał pomóc Skaurusowi dosiąść konia; nie będąc jeźdźcem, nie potrafił poradzić sobie z tym bez użycia rąk. W głowie czuł zamęt, kiedy Mourtzouphlos przywiązał postronek do cugli swego wierzchowca. W zasadzie, o ironio, zgadzał się z Videssańczykiem – Imperium radziłoby sobie lepiej, mając armię złożoną z samych miejscowych żołnierzy.

Lecz Alypia powiedziała: – Zatem uwolniłbyś Imperium od najemników, czy tak, Mourtzouph-losie? Powiedz mi więc, że w swoich posiadłościach nigdy nie wcielales chłopów do własnej drużyny. Powiedz, że nigdy nie zatajałeś podatków należnych skarbowi państwa. – Jej głos ociekał pogardą. Z kocim wdziękiem wskoczyła na konia stojącego przy wierzchowcu Skaurusa.

Arystokrata poczerwieniał, lecz odpowiedział: – Dlaczego miałbym oddawać złoto przeklętym gryziptórkom? Po to, żeby wydali je na następnych najemników? – Jeśli kresowa szlachta tworzyła z wolnych chłopów prywatne armie, a biurokraci cisnęli ich podatkami tak, że zmuszali do pańszczyzny, to nic dziwnego, że Videssos cierpiało na brak żołnierzy. Ich zasoby wyczerpywały się już od z górą stu lat.

–Jedźmy! – powtórzył Mourtzouphlos. Wbił ostrogi w koński bok. Jego wierzchowiec skoczył naprzód i to samo, z konieczności, zrobił wałach Marka. Trybun niemal spadł z siodła; tylko szybki uścisk kolanami uratował go. Nie sądził, by Mourtzouphlos przejął się, gdyby został stratowany.

–Z drogi, w imię Imperatora! – co rusz krzyczał videssański oficer, usiłując jak najspieszniej przejechać przez zatłoczone ulice. Niektórzy przechodnie odsuwali się, by przepuścić jego ludzi, lecz równie wielu jeźdźców i pieszych zatrzymywało się i odwracało głowy, gapiąc się na niego. Szybciej posuwały się naprzód zachowując ciszę, lecz on rozgłaszał swoje zwycięstwo, piejąc jak kogut.

Marek zniósł jakoś cały ten przemarsz, bowiem od związanego z tym upokorzenia odciągała jego uwagę walka jaką toczył, by utrzymać się w siodle. Tak go zajmowała, że prawie nie miał okazji, by spojrzeć w stronę Aypii. Ona zaś jechała pewnie naprzód, z oczyma utkwionymi prosto przed siebie, jak gdyby zarówno tłum jak i strażnicy nic dla niej nie znaczyli. Jednak raz ich spojrzenia spotkały się i Aypia posłała Skaurusowi szybki, pełen lęku uśmiech. Jego wierzchowiec potknął się, podrzucając go w siodle, zanim zdołał odwzajemnić jej uśmiech.

Po zgiełku i ścisku ludzkiego rojowiska na placu Palamas, odgrrodzone od reszty miasta, szerokie i puste aleje kompleksu pałacowego przyniosły trybunowi ulgę albo przyniosłyby, gdyby nie to, że Mourtzouphlos przyspieszył tempo jazdy swego oddziału niemal do galopu. Jakiś tłusty eunuch niosący srebrną tacę przemknął na skraj trawnika, uchodząc z drogi pędzącym w grzmocie kopyt jeźdźcom. Zakręcił głową, patrząc w ślad za nimi i kiedy rozpoznał jeńców, jego taca spadła z brzękiem na ziemię.

Przejechali ciężkim galopem przez zagajnik wiśniowych drzew, właśnie zaczynających się okrywać wonnym, różowym kwieciem, i ściągnęli wodze, zatrzymując się przed parterowym, pokrytym stiukiem i ozdobionym błyszczącym marmurem budynkiem, w którym mieściły się prywatne apartamenty imperatorskiej rodziny. Wartownicy wyprężyli się na baczność, ujrawszy Mourtzouphlosa – a może uczynili to dla Aypii Gavras? Jeszcze jeden eunuch, ochmistrz w todze z ciemnoczerwonego jedwabiu haftowanego w złote ptaki, pojawił się w wejściu. Mourtzouphlos zawołał: – Jego Wysokość oczekuje nas.

–Raczej poczekać chwilę. – Ochmistrz zniknął wewnątrz. Mourtzouphlos i jego ludzie, jak

również Aypia i Skaurus zsiadli z koni; trybunowi udało się zsunąć z wierzchowca nie potykając

się. Niektórzy z wartowników znali go i zaskoczeni zawołali do niego, kiedy spostrzegli, że jest

związany. Lecz zanim zdołał odpowiedzieć, powrócił ochmistrz i skinieniem ręki przywołał do

siebie Mourtzouphlosa i towarzyszącą mu nie z własnej woli parę.

–Zabierz dwóch lub trzech swoich ludzi – rzekł, wskazując na kawalerzystów – lecz resztę

zostaw tutaj! Jego Imperatorska Wysokość nie sądzi, by mogli okazać się potrzebni.

Marek nie zwracał uwagi na wspaniałe antyki, jakie mijał w pośpiechu; pamiętki z liczącej sobie półtora tysiąca lat historii Videssos. Strażnicy prowadzili go, trzymając za ręce; nie śmieli w ten sam sposób potraktować Aypii, która szła obok niego całkiem swobodnie. Mogła być więźniem, lecz, tak jak przypomniał im trybun, była również bratanicą Imperatora.

Ochmistrz eunuch zanurkował w jakieś wejście. Zaczął coś mówić, lecz Thorisin Gavras przerwał mu gniewnie: – Wiem, kim oni są, ty cholerny bęcwale! No, już, zabieraj się stąd.

Z twarzą pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu ochmistrz wycofał się. Mourtzouphlos wprowadził Skaurusa i Aypię do komnaty, w której czekał Autokrata Videssańczyków.

Gavras odwrócił się szybko ku nim. Poruszał się gibko, lecz ramiona obwisły mu już nieco, a

oczy otaczały czerwone obwódki. Wygląda na zmęczonego – pomyślał w pierwszej chwili Marek, a zaraz potem, że bardziej niż kiedykolwiek przypomina Mavrikiosa. Brzemię, jakie na swych barkach dźwigali Autokraci, szybko ich postarzało.

Lecz Thorisin pozostał bardziej porywczy; nie panował nad sobą w takim stopniu jak niegdyś jego starszy brat. – Och, odeślij stąd swoich chłopców, Provhosie – rzucił niecierpliwie. – Jeśli nie zdołamy poradzić sobie z dziewczyną i związanym mężczyzną, to lepiej niech Phos zlituje się nad nami. – Klepnął ręką swego pałacza; pozbawionej ozdób, wysłużonej broni w prostej, skórzanej pochwie.

Wydawało się, że podsunęło mu to jakąś myśl. – Artavasdosie! – zawołał za gwardzistami – każdy Imperator, który pragnął długo rządzić, starał się znać z imienia jak najwięcej swoich ludzi. Żołnierz stanął w wejściu. – Czy masz tam miecz tego łajdaka? – Thorisin wskazał kciukiem Rzymianina. Kiedy Artavasdos skinął głową, Imperator ciągnął dalej: – Cóż, dlaczego nie miałbyś zanieść go Neposowi, czarodziejowi-kapłanowi z Akademii? Od czasu, kiedy dowiedział się o jego istnieniu, dyszy pragnieniem, by przyjrzeć mu się dokładnie. – Artavasdos ponownie skinął głową, zasalutował i zniknął.

Marek skrzywił się, gdy człowiek z jego mieczem oddalił się i poczuł bardziej nagi niż wówczas, kiedy zaskoczył go Mourtzouphlos ze swymi ludźmi. Zaczarowana przez druidów klinga bliźniacza tej, którą nosił Viridoviks, przeniosła Rzymian z Galii do Videssos i w Imperium dowiodła, że posiada wielką moc. Nigdy z własnej woli nie rozstawał się ze swym mieczem; teraz jednak jego wola nie miała żadnego znaczenia.

Przeraziło go to na tyle, że nie usłyszał, co Thorisin do niego powiedział. Mourtzouphlos szturchnął go ostro w żebra. Zmarszczywszy brwi, Imperator

powtórzył: – I dalej żadnego hołdu, co? Nawet gdyby miało ocalić ci to głowę? Jesteś, Rzymianinie, bękartem o sztywnym karku, to pewne, ale nie dość sztywnym, żeby odskoczył od niego topór.

–A co by mi przyszło z płaszczenia się? – odparł trybun. – Nie oszczędziłbyś mnie przez to. – Nawet nie przyszło mu do głowy, by złożyć hołd; zwyczaj republikańskiego Rzymu nie pozwalał zginać kolan przed jakimkolwiek człowiekiem.

–Zbyt dumny, co? – rzekł Thorisin. – Ale nie za dumny, by po kryjomu sypiać z córką mojego brata.

–Właśnie! – zawołał Mourtzouphlos. Skaurus poczuł, jak pałą go policzki; nic nie potrafił odpowiedzieć Imperatorowi.

–To nie było tak jak sądzisz, stryju – odezwała się Alypia. – Jeśli już, to ja szukałam jego towarzystwa, nie on mojego.

–Ladacznicą puszczającą się z głupim poganinem – zadrwił Mourtzouphlos. – To nie pomoże ani tobie, ani jemu, ulicznico.

–Provhosie! – rzekł ostro Imperator. – Poradzę sobie z tym bez twojej pomocy. – Kawa-lerzysta otworzył usta, a potem zamknął je gwałtownie. Gniew Thorisina Gavrasa to nie była drobnostka.

–I kocham go – dodała Alypia.

–A ja ją – rzekł Marek.

Mourtzouphlos sprawiał wrażenie, jak gdyby zaraz miał wybuchnąć. – A co to zmienia, na

Skotosa? – krzyknął Thorisin. Zwrócił się do swojej bratanicy: – Sądziłem, że masz dość rozumu, by nie szargać naszego nazwiska po łaźniach.

–Ja? – odezwała się rozwścieczonym i niebezpiecznym głosem. – Ja? A co z twoją słodką

kochaneczką, Komittą Rhangawe, która brała między nogi wszystko co się ruszało, jak nagrzana

suka, i czy nie zostałeś z tego powodu ośmieszony przed połową miasta w Amfiteatrze podczas

ostatniego Święta Przesilenia?

Thorisin znieruchomiał, jak ogłuszony ciosem maczugi. Poczzerwieniał, a potem

zbladł. Provhos Mourtzouphlos wyglądał, jak gdyby chciał znaleźć się zupełnie gdzie indziej; przysłuchiwanie się rodzinnej kłótni członków imperatorskiej dynastii mogło okazać się niezdrowe.

Alypia mówiła dalej, i to jeszcze głośniej: – A jeśli tak bardzo pragniesz uchronić nasze nazwisko przed hańbą, drogi stryju, to dlaczego nie odsunąłeś od siebie swej ślicznej pani, kiedy zostałeś Autokratą, dlaczego nie ożeniłeś się i nie sprawiłeś sobie potomka?

W swej furii i waleczności przypominała Markowi przegrywającego szermierza, który stawia wszystko na ostatni, rozpaczliwy atak, by zwyciężyć lub zginąć. Thorisin wzdrygnął się, lecz warknął: – Tu nie chodzi o mnie, ale o ciebie, a to co zrobiłaś przynosi mi ujmę. – Jego głos wzniósł się do ryku: – Bizoulinos! Domentziolos! Konon! – Ochmistrz, który przyprowadził grupę Mourtzouphlosa do Imperatora, wszedł pospiesznie do środka, razem z dwoma innymi eunuchami. Gavras rozkazał im: – Zabierzcie Alypię do jej apartamentów. Ma tam pozostać, dopóki nie rozkażę inaczej; odpowiadacie za to swoimi głowami.

–Racja! – zawołała. – Jeśli nie znasz odpowiedzi, ukryj pytanie, tak żebyś nie musiał już o nim myśleć. – Ochmistrz i jego pomocnicy wyprowadzili ją. Rzuciła Skaurusowi ostatnie spojrzenie, lecz nie chcąc pogarszać jego i tak już beznadziejnej sytuacji, nic nie powiedziała.

–Uf! – westchnął Imperator, ocierając czoło. – Sam musisz być czarownikiem, Rzymianinie; nigdy nie widziałem jej tak rozwścieczonej. – Roześmiał się bez cienia wesołości w głosie. – Pod całą tą spokojną maską, którą zwykle nakłada, ma jednak temperament Gavrasów. – Jego spojrzenie znowu stało się ostre. – No, co mamy z tobą zrobić?

–Jestem wierny Waszej Wysokości – rzekł Marek.

–Ha! – To odezwał się Mourtzouphlos, lecz ucichł jak zbesztany mały chłopiec, kiedy Thori-sin na niego spojrzał; długa historia nauczyła Videssańczyków odczuwać lęk przed władzą urzędu

Imperatora.

Gavras odwrócił się z powrotem do trybuna. – Wierny, powiedziałaś? W takim razie znalazłeś cholernie dziwny sposób, by to okazać. – Potarł szczękę; rok po roku jego broda stawała się coraz bardziej siwa. – Gdybyś był Videssańczykiem, stanowiłbyś dla mnie śmiertelne niebezpieczeństwo. Jesteś dobrym żołnierzem i całkiem przyzwoitym biurokratą; mógłbyś pociągnąć za sobą obie frakcje. I tak już jest dość źle. Powiedz mi, patrząc prosto w oczy, że nie jesteś ambitnym człowiekiem.

Wiedział, że to właśnie zarzucał mu Imperator. – Czy to grzech? – zapytał.

–U dowódcy najemników jest to grzech niewybaczalny. Zapytaj Drakxa.

Skaurus wycofał się. – Nie ma to nic wspólnego z moim uczuciem do Aypii. Musisz znać ją na

tyle, by wiedzieć, że rozróżniłaby zaloty czynione jej dla własnych korzyści od prawdziwego uczucia.

–Co ta zadurzona dziewczka może wiedzieć? – zadrwił Mourtzouphlos, lecz Thorisin zamilkł na chwilę. Choć nie jego oficer, to jednak on sam szanował jasność osądu Aypii.

–Gdybym był zdrajcą – naciskał Marek – czy pozostałbym po twojej stronie w wojnie domowej przeciwko Ortaiasowi i Vardanesowi? Czy przestrzegałbym cię przed Draxem, kiedy wysyłałeś go przeciwko Baanesowi Onomagoulosowi? Czy walczyłbym z nim w zeszłym roku, kiedy próbował założyć nowe Namdalen na zachodnich rubieżach?

–Videssańczyk, który zadaje się z księżniczką z imperatorskiej rodziny bez zezwolenia Au-tokraty, jest zdrajcą, a co dopiero cudzoziemiec – rzekł stanowczo Thorisin i serce trybuna zamarło. – A jeśli jesteś tak niewinny jak twierdzisz, dlaczego spotykałeś się z Namdałajczykami i knułeś plany porzucenia mnie, kiedy wydawało się, że nie zdołam odebrać Videssos Sphrantzesom? Czego ma dowodzić twoja gadanina o Draxie? Każdy oficer poużywa sobie na swoim rywalu, jeśli tylko będzie miał możliwość. Jeśli tak pogardzałeś nim i podejrzewałeś go, to dlaczego pozwoliłeś mu uciec, by mógł dalej spiskować przeciwko mnie?

–Wiesz, jak to się stało – odparł Skaurus, lecz bez zdecydowania; nie ulegało wątpliwości, że Thorisin nie wysłucha żadnej obrony. Ironia tej sytuacji drażniła trybuna, ponieważ naprawdę popierał rządy Thorisina. W tych ciężkich dla Videssos czasach nie potrafił wyobrazić sobie lepszego władcy dla Imperium. A i samo Imperium budziło w nim szczery podziw. Mimo swych wad, przez wiele pokoleń dawało swym mieszkańcom jedność, pokój i, na ogół, sprawiedliwe rządy – ideały, które wyznawał republikański Rzym, lecz których nie udało mu się wcielić w życie.

–Wiem tylko – rzekł Gavras – że nie mogę ci ufać. To wystarczy. – Trybun usłyszał w jego głosie nieodwołalność. Po trzech wojnach domowych i najazdach od wschodu i zachodu, Imperator nie mógł ryzykować niczego, co mogło mieć wpływ na jego bezpieczeństwo. Będąc na jego miejscu, Skaurus prawdopodobnie czułby to samo.

–Jego głowa albo jakakolwiek inna część ciała, której zechcesz go pozbawić, pięknie przyozdobi Kamień Milowy – zasugerował Mourtzouphlos. Kolumna z czerwonego granitu wznosząca się na placu Palamas stanowiła punkt, od którego mierzono wszelkie odległości w całym Imperium, i służyła również jako wystawa

szczętków skazanych na śmierć łotrów.

–Bez wątpienia – przytaknął Thorisin. – Ale obawiam się, że jego przekłty regiment zbuntowałby się, gdybym go skazał na śmierć, a ci niebezpieczni ludzie utrzymują teraz ważną pozycję. To wymaga głębszego zastanowienia. Na razie wystarczy, że zostanie zamknięty w więzieniu, nie sądzisz?

**Mourtzouphlos wyglądał jednak na zawiedzionego, choć udało mu się skinąć głową.
– Jak sobie życzysz, Wasza Wysokość.**

–Skaurus i księżniczka? Nie mogę w to uwierzyć – oświadczył Senpat Sviodo, rozkładając

teatralnym gestem ręce, by podkreślić zdumienie.

Zamaszystym ruchem ręki niemal przewrócił kubek swojej żony. Nevrata Sviodo pochwyciła go szybko, ratując wino przed wylaniem. – Powiedz nam więcej, kuzynie – ponagliła. Odsunęła gęste, czarne kędziory włosów z twarzy.

–Niewiele jest do powiedzenia – odparł Artavasdos. Jego oczy strzelały na wszystkie strony. Troje Vaspurakańczyków siedziało przy narożnym stole w pustawym zajeździe i rozmawiało we własnym języku, lecz Artavasdos mimo to wyglądał na zdenerwowanego. Nevrata nie winiła go za to. Wieści, jakie im przekazał, miały zbyt zapalny charakter, by czuć się z nimi swobodnie.

–Jak to się stało, że należałeś do tych, którzy ich pojмали? – zapytał Senpat. Bawił się szpicem swej brody, krótko przyciętej na modłę mieszkańców Imperium, tak by mogła podkreślać jego smagłe, przystojne rysy.

–Tak, jak mógłbyś się tego spodziewać – odparł Artavasdos. – Mourtzouphlos przyszedł do koszar i rozkazał wymarsz mojemu oddziałowi; powiedział, że ma dla nas robotę. Przy jego szarży nikt się nie sprzeciwił. Nie powiedział nam po kogo idziemy, dopóki nie dotarliśmy do zajazdu, gdzie byli tamci.

–Jednak księżniczka... – Senpat wciąż potrząsał głową.

–Mourtzouphlos powiedział, że spotykają się od paru miesięcy, a może jeszcze dłużej, był tego pewien. To, jak się zachowywali, kiedy wdarliśmy się do nich, każe mi w to wierzyć. Jedno wydawało się bardziej zatroskane drugim niż samym sobą, jeśli wiesz, co chcę przez to powiedzieć.

–To wygląda na Marka – wtrąciła Nevrata.

–Wiem, że ty i twój mąż jesteście jego przyjaciółmi, kuzynko, więc pomyślałem, że lepiej, jeśli się o tym dowiecie. – Artavasdos zawahał się. – Okazywanie mu przyjaźni

właśnie teraz może

nie być dobrym pomysłem. Może powinniście na jakiś czas opuścić miasto.

–Więc aż tak źle, Artavasdosie? – zapytała zatrwożona Nevrata.

Żołnierz zastanowił się. – Cóż, może nie aż tak. Myślę, że Thorisin jest zbyt bystry na to, by

dopuścić do masakry ludzi tylko dlatego, że znali oni kogoś, kto nadepnął mu na odcisk.

–Mam nadzieję – powiedziała Nevrata – bo inaczej przy jego temperamencie nie pozostało

by mu wiele ludzi do rządzenia. – W rzeczy samej nie martwiła się za bardzo o siebie ani o Sen-

pata; uważała, że jej kuzyn właściwie ocenił zdrowy rozsądek Imperatora. Ale to nie pomoże

Skaurusowi. Był winny bezpośrednio, nie przez przyjaźń ze sprawcą.

–Nie mogę w to uwierzyć – powtórzył po raz kolejny Senpat.

Nevrata też miała z tym kłopoty, choć z innych powodów niż jej mąż. Senpat nie wiedział, że

Marek, w swej rozpaczce po odejściu Helvis, uczynił zeszłej jesieni nieśmiałą próbę zbliżenia się do niej. Nie widziała powodu, by kiedykolwiek o tym wspominać; trybun zrozumiał, że „nie”, którym odpowiedziała na jego próbę, było szczere.

A teraz to! Zastanawiała się, od jak dawna narastało uczucie pomiędzy Skaurusem a Alypią Gavras. I, mimo to, że nie chciała dla siebie nikogo oprócz Senpata, to jednak jej ambicja została odrobinę zraniona faktem, że Marek znalazł sobie kogoś innego tak szybko po tym, jak go odrzuciła.

–Z czego się śmiejesz, kochanie? – zapytał ją Senpat.

Poczuła, że się czerwieni. Z zadowoleniem pomyślała, że jest równie smagłokóra jak jej mąż; w

przyćmionym świetle zajazdu nikt nie zdołałby dostrzec jej rumieńca. – Z siebie – odparła, lecz nie wyjaśniła dlaczego.

Okratowane drzwi w drugim końcu korytarza otworzyły się z jękiem zardzewiałych

zawiasów. Dwóch strażników przepchnęło przez wejście skrzypiący wózek. Z obu stron oskrzydlało ich dwóch innych, dzierżąc łuki z nałożonymi na cięciwy strzałami. Wszyscy czterej mieli znudzone miny.

–Wstawać, aresztanci! – zawołał zupełnie niepotrzebnie jeden z łuczników. Więźniowie tłoczyli się już pod drzwiami swych cel; posiłek stanowił główną atrakcję dnia.

Marek pospieszył do drzwi razem z resztą więźniów; oczekiwanie na posiłek wywołało burczenie w jego brzuchu. Pochodnia, osadzona na ścianie ponad jego głową, poza zasięgiem rąk, strzeliła iskrami i niemal zgasła. Rozkaszał się od duszącego dymu. Więzienie miało tyle światła, ile dawały pochodnie; znajdowało się pod ziemią, stanowiąc najniższy poziom rozległych biur rządowych przy Ulicy Środkowej.

Ukryty system wentylacyjny odprowadzał tyle dymu, by powietrze nadawało się do oddychania,

lecz tylko tyle. W więzieniu swąd pochodni mieszał się z odorem gnijącej słomy, nie mytych ludzkich ciał i pełnych nocników. Kiedy żołnierze Mourtzouphlosa wrzucili Skaurusa do jednej z małych cel, smród o mało nie doprowadził go do szaleństwa. Teraz jednak, po jak sądził czterech lub pięciu dniach, traktował go jak rzecz naturalną.

Wózek popiskując posuwał się wzdłuż długiego, wąskiego korytarza, zatrzymując się przed mieszczącymi się po obu jego stronach celami. Jeden z pchających go strażników podawał gliniany dzban wody więźniowi z lewej strony, podczas gdy drugi podawał temu z prawej mały bochenek chleba i miskę rzadkiego gulaszu. Potem zamieniali się stronami i popychali wózek o kolejnych parę stóp.

Trybun oddał strażnikowi pusty dzban i miskę, które otrzymał poprzedniego dnia, i w zamian dostał swoje racje. Woda smakowała stęchlizną; w chlebie, z jęczmienia i owsa, pełno było plew i piasku z żaren. Kawałki ryby w gulaszu mogły być niegdyś świeże, lecz na pewno nie ostatnimi czasy. Zjadł gulasz, pomagając sobie kawałkiem chleba, a potem wylizał miskę. Nigdy nie było tego tyle, by mógł się najeść do syta. Nie zwracał uwagi na nieustanne burczenie w brzuchu. Nie był na tyle doskonałym stoikiem, by nałożyć wystarczająco mocne cugle na swoje uczucia, lecz zwykle cielesne niedogodności nie miały dla niego znaczenia.

Kiedy strażnicy zakończyli rozdawanie posiłków, nie pozostało nic innego do roboty z wyjątkiem rozmów. Marek rzadko w nich uczestniczył; powitały go szydercze wycia, kiedy odpowiedział: – Zdrada – na pytanie współaresztanta, za co został uwięziony. Pospolici kryminaliści, którzy stanowili większość więźniów, szydzili z „politycznych”, jak nazywali takich jak on. Poza tym nie miał do powiedzenia nic

takiego, czego mógłby ich nauczyć.

Jakiś złodziej rozprawiał o sposobach otwierania zamków.

–Jeśli masz dużo czasu, możesz spróbować z piaskiem wsypywanym w otwór rygla, po parę ziarenek jednorazowo, dopóki trzpień nie podniesie się na tyle, żebyś mógł go wyciągnąć. To cichy sposób, ale wolny. Albo, jeśli zamek jest w ciemnym miejscu, możesz zrobić siatkę o drobnych oczkach i przymocować ją do kawałka nici, a potem wepchnąć w otwór rygla. Kiedy trzpień wpadnie do niej, musisz tylko ją wyciągnąć i dom stoi przed tobą otworem.

–Jednak na szybką robotę najlepsze są szczypce. Wytnij rowki na jednej połowie, a drugą zostaw płaską, żebyś mógł dobrze uchwycić trzpień. To cylinder, rozumiesz, wpuszczony w otwór, tak, żeby połowa znajdowała się w odrzwiach, a druga w zasuwie. Spójrz na cele po drugiej stronie, to zrozumiesz. Tutaj zamki mają dokładnie tę samą konstrukcję, ale strażnicy są na tyle sprytni, że trzymają nas w takiej odległości od nich, żebyśmy nie mogli ich dosięgnąć. Na Skotosa, gdyby tak nie było, wyszedłbym stąd w ciągu minuty.

Skaurus wierzył mu; mówił z rzeczową pewnością siebie człowieka, który zna swój fach. Kiedy ten skończył, jakiś napuszony głos w głębi korytarza zaczął wyjaśniać, w jaki sposób barwić szkła-

ną masę, by produkować z niej znakomicie podrobione, fałszywe klejnoty.

–Ha! – zawołał ktoś inny. – Jeśli jesteś taki dobry, to dlaczego się tu znalazłeś? – Od

powiedziało mu tylko pełne urazy milczenie.

Potem rozmowa skierowała się na kobiety, o których więźniowie mogli rozmawiać cały dzień. Trybun znał historię, która by ich zdumiała – i nie miał zamiaru jej opowiadać.

Dwa albo trzy razy zapadł w drzemkę, budząc się po każdej ze śladami nowych ukąszeń. Wszy i pchły czuły się jak w raju w brudnym słomianym pościeli; stracił już rachubę, ile zabił karaluchów, kiedy przebiegały po ceglanej podłodze. Niektórzy więźniowie jedli je. On sam nie był jeszcze na to wystarczająco głodny.

Jego brzuch mówił mu, że niewiele już czasu pozostało do posiłku, kiedy do więzienia zszedł ze szczękiem oddział zawodowych żołnierzy videssańskich. Ich dowódca pokazał przepustkę kapitanowi strażników, który ruszył wzdłuż szeregu cel, aż doszedł do tej, w której znajdował się trybun. – To o niego chodzi?

–Niech spojrzę – rzekł żołnierz. – Tak, to ten człowiek. – Zatem jest twój. – Strażnik

wyjął klucz, wyciągnął

rygiel i odsunął zasuwę, która zamykała drzwi celi Skaurusa.

–Hej, ty, wylaż – warknął do Rzymianina.

Marek potykając się wyszedł z celi, a potem wyciągnął się na baczność, kiedy znalazł się przed

dowódcą oddziału. Jeśli spaść z wysoka – odezwało się jego legionowe wychowanie – to lepiej zrezygnować samemu i spaść nie zważając na nic.

–Dokąd mnie zabierasz? – zapytał szorstko.

–Do Imperatora – odparł Videssańczyk. Jeśli zachowanie Skaurusa zrobiło na nim wrażenie,

dobrze potrafił to ukryć. Skrzywił twarz. – Nie, najpierw do łaźni. Cuchniesz. – Jego ludzie po

chwycili trybuna za ramiona i wyszli z nim pospiesznie.

W nowych szatach, nawet takich, które niezbyt dobrze na nim leżały, z zaczesanymi znad oczu, wciąż jeszcze wilgotnymi włosami, Marek czuł się jak nowo narodzony. Żołnierze musieli w końcu wyciągać go z ciepłego basenu w łaźni. Dwukrotnie mydlił się i szorował skrobaczką, aż skóra mu poczerwieniała. Na jego twarzy wciąż widniały czerwonozłote zaczątki brody; w Videssos trudno było o brzytwy. Zarost swędził go i nadawał mu niechlujny wygląd, nieustannie przypominając o czasie spędzonym w więzieniu.

Poczuł nieznaczną ulgę, kiedy żołnierze zaprowadzili go nie do Wielkiego Sądu, lecz do rezydencji Imperatora. Cokolwiek go czekało, nie wiązało się to z jednym z owych oficjalnych, publicznych procesów, jakie Videssańczycy inscenizowali z tak wielką pompą i ceremoniałem.

Wiedział, że nie może oczekiwać widoku Aypii u boku stryja, lecz jej nieobecność skutecznie przypomniła mu o opresji, w jakiej się znalazł. Thorisin Gavras miał na sobie wszystkie imperator-skie insygnia, co trybun odczytał jako zły znak; wdziewał czerwone buty, zdobioną klejnotami purpurową togę i sklepioną koronę tylko wówczas, kiedy chciał podkreślić władzę swego urzędu. W małej salce audiencyjnej, oprócz gwardzistów, Skaurusowi i Imperatorowi towarzyszył tylko Konon, jeden z imperatorskich ochmistrzów, z woskowaną tabliczką do pisania i rylcem.

Gavras przyjrzał się uważnie Rzymianinowi. – Czy jesteś gotów wysłuchać mojego wyroku? – zapytał surowo.

–A czy mam jakiś wybór?

Słowa te wstrząsnęły bazgrającym po tabliczce ochmistrem; Imperator parsknął śmiechem. –

Nie – odparł i znowu przybrał groźną minę. – Wiedz, że zostałeś uznany za winnego zdrady na szkodę domu panującego.

Marek stał oniemiały; miał tylko nadzieję, że lód, jaki czuł w brzuchu, nie odzwierciedlił się na jego twarzy. Wyrok Imperatora zwałił się na trybuna jak lawina: – Jako zdrajca, zostajesz pozbawiony swego stanowiska *epoptesa* w imperialnej kancelarii. – Choć ten urząd stanowił nie lada kąsek dla Skaurusa, którego ambicje wybiegały poza karierę wojskową, to jednak jego utrata nie pogrążyła go w rozpacz.

Lecz Thorisin ciągnął dalej: – W związku z tym, że utraciłeś nasze zaufanie, zostaje ci też odebrane dowództwo nad twoimi Rzymianami i zakazuje ci się jakichkolwiek kontaktów z nimi, by tym skuteczniej zapobiec przyszłym aktom rokoszu albo buntu. Twój zastępca, Gajusz Filipus, przejmie twoją szarżę i związane z nią prerogatywy z chwilą ogłoszenia wyroku.

Trwale oddzielenie go od tego wszystkiego, co pozostało z jego własnego ludu, własnego świata... trybun zwiesił głowę; wbił paznokcie w dłonie. Zduszonym głosem powiedział: – Jest doskonałym żołnierzem. Czy już mu o tym powiedziałaś?

–Powiem, ale nie skończyliśmy jeszcze, ty i ja – odparł Imperator. – Istnieje tylko jedna od

powiednia kara za zdradę, jak dobrze wiesz. Poza takimi drobnostkami jak utrata szarż czy tytułów,

nadajesz się również pod katowski topór.

W porównaniu z perspektywą wygnania, topór nie wydawał się wcale straszny; przynajmniej szybko załatwi całą sprawę.

–Jeśli planujesz zabicie mnie, to dlaczego zawracasz sobie głowę całą resztą tych bzdur? –

wybuchnął Marek.

Gavras nie odpowiedział mu wprost. Zamiast tego rzekł:

–To wystarczy, Kononie. – Tłusty, pozbawiony brody ochmistrz skłonił się nisko i wyszedł.

Wówczas Imperator zwrócił się ponownie do Rzymianina, z kwaśnym uśmiechem na twarzy: –

Schlebi to twojej próżności, kiedy się dowiesz, że są ludzie, nie mówiąc o tobie, którzy woleliby,

bym nie wykonał wyroku.

–Są ludzie? – powtórzył Skaurus.

–Och, w rzeczy samej, i do tego tworzą cholernie hałaśliwe stado. Alypia, oczywiście, choć jeśli jesteś takim niewiniątkiem, jakie z ciebie robi, to wciąż powinieneś być prawiczkim, nie mającym żadnych kłopotów z powodu swej chuci. Niemal udało się jej mnie przekonać, ale nie do końca.

–I jest też Leimmokheir, admirał floty, wspaniały, uczciwy człowiek, jeśli kiedykolwiek był takim. – Gavras uniósł brew nad niezachwianą prawością admirała. – Ale z drugiej strony, jest ci to winien. Gdyby nie twój upór, dalej siedziałby w więzieniu albo sam byłby skrócony o głowę za zdradę. Więc ile warte jest jego wstawiennictwo?

–Tylko ty możesz to osądzić – rzekł Marek, lecz wiadomość o tym, że Leimmokheir nie zapomniał o nim, dodała mu otuchy.

–Te, i parę podobnych im próśb, potrafię zrozumieć. – Thorisin zmierzył Skaurusa od stóp do głów. – Lecz co, na święte imię Phosa, sprawiło, że Iatroulinos wstawił się za tobą?

–Naprawdę? – zapytał zdumiony trybun. Potem stłumił śmiech; jedno zetknięcie z Gajuszem Filipusem prawdopodobnie napełniło urzędnika pragnieniem, by Skaurus żył wiecznie.

–Tak, wstawił się. – Gavras wykrzywił usta. – Nie zrozum mnie źle, cudzoziemcze. Nie ma wątpliwości co do twojej winy. Lecz przyznaję, że zostałem zmuszony, by zastanowić się nieco nad twoimi motywami i w rezultacie chcę dać ci szansę, byś mógł odkupić swoje grzechy.

Marek zaczął pochylać się naprzód, lecz zdecydowany chwyt gwardzistów przywrócił mu poprzednią pozycję. – Zatem czego chcesz?

–Tego: połącz kres buntowi Zemarkhosa w Amorionie. Z powodu jego klątw mam kłopoty z całym Imperium, zarówno ze strony ograniczonych umysłowo kapłanów, jak i nadpobożnych ludzi świeckich. Jeśli z tym skończysz, masz moje słowo, że uzyskasz przebaczenie. Więcej: jeśli ci się to uda, uczynię cię szlachcicem, i to takim, który nie musi martwić się o swój majątek. To ci obiecuję. Złożę na to

przysięgę w Głównej Świątyni, przed jakimkolwiek kapłanem, którego wskażesz, z wyjątkiem Balsamona, nie, nawet przed nim, jeśli mi nie wierzysz.

–Nie ma potrzeby. Zgadzam się – rzekł natychmiast Marek. Thorisin był wybuchowy i podejrzliwy, lecz trybun wiedział, że dotrzymuje swych obietnic. Przez głowę zaczęły mu przelatywać rozmaite plany: bezpośrednie uderzenie, przekupstwo... – Jakie siły będę miał do swojej dyspozycji?

–Mogę ci dać dobrego kawaleryjskiego konia – odparł Imperator. Skaurus zaczął się uśmiechać, lecz zaraz się opanował; Thorisin patrzył na niego twardo, ze śmiertelną powagą w oczach. – Tak, mówię to poważnie, Rzymianinie. Swoje zbawienie wywalczysz sam, jeśli zdołasz. Nie otrzymasz ode mnie żadnej pomocy.

W pojedynkę, przeciwko zagorzalcem, na czele których fanatyczny kapłan zdołał nawet zaszachować Yezda po klęsce pod Maraghą? – To uspokoi twoje sumienie, czyż nie? Jeśli wyślesz mnie na samobójczą misję, zamiast zabić mnie samemu? – Trybun skinął z goryczą głową, nie dbając już o to, co mówi.

–Jesteś zdrajcą i moją rzeczą jest zrobić z tobą, co zechcę – przypomniał mu Gavras. Skrzyżował ramiona na piersi. – Nazywaj to sobie jak chcesz, Skaurusie. Ja nie muszę się z tobą sprzeczać.

–Będzie jak sobie życzysz. Zwróć mi zatem mój miecz. Jeśli mam „swoje zbawienie wywalczyć sam” – Marek postarał się, by zabrzmiało to urągliwie – niech zrobię to tym, co należy do mnie.

Thorisin zastanowił się. – To uzasadniona prośba. – Znalazł skrawek pergaminu, umoczył w atramencie trzciniowe pióro, napisał coś szybko. – Masz, Spektasie – powiedział, podając list jednemu ze strażników Skaurusa. – Zanieś to do Neposa. Kiedy da ci miecz, przynieś go tutaj. Rzymianin może sam zanieść go na statek.

–Statek? – zapytał trybun, gdy Spektas oddalił się pospiesznie.

–Tak, statek. Czy oczekiwałeś ode mnie, że wyślę cię lądem, a potem może stwierdzą, że trafiłeś do swoich Rzymian i narobiłeś nie wiadomo jakich kłopotów? Wielkie dzięki, ale nie. Poza tym – i tu Imperator rozchmurzył się odrobinę – podróż morzem potrwa krócej niż lądem. Jeśli zawiniesz do portu w Nakolei, leżącej na północ od Amorionu, to będziesz miał do przebycia tylko krótki odcinek drogi przez terytorium znajdujące się w rękach Yezda. I powinieneś dotrzeć do miasta akurat na czas *panegyrys*, jarmarku poświęconego błogosławionemu Moikheiosowi. Ściąga kupców i mieszkańców z całej okolicy i wtedy będziesz miał największe szanse, by wśliznąć się do miasta niepostrzeżenie.

Skaurus podziękował mu niechętnym skinieniem głowy. Czy Gavras robił to świadomie, czy nie, w każdym razie pomógł mu w jakiś sposób. – Jeszcze jedna

rzecz – zwrócił się do Imperatora.

–Co znowu? – warknął Thorisin. – Twoja sytuacja nie pozwala ci na żadne targi, panie. Ze swobodą, jaką daje absolutna słabość, Marek odciął się:

–Dlaczego nie? Najwyżej każesz mi ściąć głowę, a to możesz zrobić i tak w każdej chwili. Imperator zamrugał, a potem uśmiechnął się krzywo.

–Święta prawda. Mów więc.

–Jeśli unieszkodliwię Zemarkhosa, uczynisz mnie szlachcicem, czy tak?

–Powiedziałem to już raz. I co z tego? Skaurus wciągnął głęboko powietrze przekonany, że w następnej minucie umrze. – Gdybym w

jakiś sposób zdołał wrócić z Amorionu, sądzę, że wykazałbym swoją wierność na tyle, by wystarczyło to nawet tobie. Daj mi więc przywilej szlachcica. Jeśli wrócę, pozwól mi otwarcie starać się o

względy twojej bratanicy, tak jak mógłby to robić każdy szlachcic.

–Co?! Ty bezczelny synu ladacznicy! Śmiesz mnie o to prosić, ścigany za zdradę? – Gavras zdawał się przerastać swoje insygnia. Jeden z gwardzistów zaklął. Marek czuł, jak wzmacniają uchwyt, w jakim go trzymali, usłyszał syk wyciąganego z pochwy miecza. Skinął głową, choć czuł, że w pachy szczypią go świeże krople potu.

–Do lodu z tobą! – zawołał Imperator i Skaurus pomyślał, że to koniec. Lecz Thorisin spoglądał na niego z wściekłością, ale i z niechętnym szacunkiem. – Niech cię Skotos zamrozi, jestem winien Aypii pięćdziesiąt sztuk złota. Założyła się ze mną, że to powiesz. Nie sądziłem, że jakikolwiek człowiek może mieć w sobie tyle czelności.

–Więc? – zapytał Marek, lecz jego kolana ugięły się pod nim z ulgi; gdyby odpowiedź brzmiała „nie”, już dawno byłoby po wszystkim.

–Jeśli wrócisz, nie zabiję cię za to natychmiast – wywarczał przez zaciśnięte zęby Imperator, słowo po słowie. Odwrócił się do dowódcy gwardzistów i z władcym gestem rozkazał:

–Zabierzcie go stąd!

–Nie ma tu jeszcze mojego miecza – przypomniał mu Marek.

–Czy próbujesz dowiedzieć się, jak bardzo możesz naciągnąć strunę, Rzymianinie? – Gavras grzmotnął pięścią w blat stołu. – Zaczynam rozumieć, dlaczego twój naród

nie ma królów; kto chciałby użerać się z takimi ludźmi? – Znowu zwrócił się do gwardzistów:

–Pozwólcie mu wziąć tyle ekwipunku, ile zechce, lecz zabierzcie go sprzed moich oczu. Niech poczeka na swój przeklęty miecz na zewnątrz. – I w końcu jeszcze raz do Skaurusa, bowiem do przywilejów Imperatora należało mieć ostatnie słowo: – Mam ci życzyć powodzenia, czy nie?

***Morska Piana*, pomocnicza jednostka marynarki, była statkiem handlowym, jednorzędową galerą, mającą jakieś siedemdziesiąt stóp długości, ostry dziób i pękatą rufę. Miała też po dziesięć luk wiosłowych po każdej stronie kadłuba, jak również pojedynczy, szeroki żagiel z rejonowym osprzętem, zwinięty teraz, kiedy stała w porcie.**

Chwiejąc się nieco pod ciężarem wyładowanego tornistra, jaki niósł, Marek przystanął na końcu trapu. Oddział imperatorskich gwardzistów obserwował go z nadbrzeża.

–Zezwalasz na wejście na pokład? – zawołał, rozpoznając oficera po sięgającej kolan tunice i krótkim mieczu na biodrze. Większość jego marynarzy chodziła nago lub prawie nago, co najwyżej w przepasce biodrowej lub skórzanym pasie, by mieć na czym zawiesić nóż.

–Pracujcie dalej – rzucił mężczyzna załodze, która wносиła do ładowni wysmukłe dzbany z winem, inne pękate, pełne marynowanej ryby oraz bele surowej wełny i wełnianego sukna. Potem skierował uwagę na trybuna. – Jesteś naszym specjalnym pasażerem, co? Dobra, wskakuj na po-

kład i dołącz do nas. Hej, tam, Ousiakosie, pomóż mu z bagażem!

Marynarz zręcznie odebrał od trybuna tornister i postawił go na pokładzie. Za nim, dość niezdarnie, zszedł Skaurus; jako prawdziwy Rzymianin, nie był przyzwyczajony do statków. Oficer podszedł, by uścisnąć mu rękę. – Jestem Stylianos Zautzes, kapitan tej ciekłej balii. – Videssa-ńczyk mógł mieć niewiele ponad czterdzieści lat, był chudy jak bicz, miał posiwiałą brodę, gęste krzaczaste brwi, które zrastały się nad nosem i skórę wygarbowaną na ciemny brąz przez lata przebywania na słońcu. Kiedy zdjął swoją płaską, czarną czapkę, żeby podrapać się w głowę, trybun zobaczył, że jest niemal zupełnie łysy.

Taron Leimmokheir zeskoczył na pokład przy Marku. Mężczyźni na pokładzie wyprężyli się na baczność, salutując Videssańczykowi prawymi pięściami przyłożonymi do serc.

–Spocznij – odezwał się swoim zgrzytliwym basem. Admirał floty zwrócił się do Zautzesa:

–Zaopiekuj się dobrze tym człowiekiem, Styl – polecił kapitanowi *Morskiej Piany*, obejmując trybuna ramieniem. – To dobry towarzysz, mimo że nadepnął na odcisk Jego Wysokości. O to wcale nie trudno, jak sam dobrze wiem. – Potrząsnął głową, odchylając ją do tyłu, by usunąć z oczu grzywę srebrzystych włosów; nie obcinał ich od czasu, kiedy Thorisin wypuścił go z więzienia.

Zautzes znowu zasalutował. – I tak bym się opiekował, przez wzgląd na swoje dobre imię. Ale czy nie powinien mieć konia? Jak dotąd nie zjawił się.

–Szczury lądowe! – rzucił pogardliwie Leimmokheir. Na pokładzie statku wszystko musiało

dziać się na czas i bez pomyłek; nie było tu miejsca na zaniedbania. – Chciałbym mieć tyle czasu

do stracenia. A tak jak jest, nie mogę nawet zostać; muszę zakończyć eskwadry patrolującej

przybrzeżne wody. Niech Phos ma cię w swojej opiece, cudzoziemcze. – Wziął Skaurusa za ra

miona i uściskał, klepnął Zautzesa po plecach, a potem jednym długim krokiem wspiął się na trap i

pospiesznie zszedł na ląd.

Załadunek *Morskiej Piany* trwał nadal. Marek przyglądał się, jak do ładowni wrzucane są bele siana, przeznaczone na paszę dla jego konia. Samego jednak konia nie było ani śladu. Krzyknął do gwardzistów, wciąż stojących na nadbrzeżu, czy nie wiedzą, co się stało z jego koniem. Ich dowódca rozłożył ręce i wzruszył ramionami.

Zautzes zwrócił się do trybuna: – Przykro mi, Skaurusie, lecz jeśli koń nie pojawi się do popołudnia, będziemy musieli wypłynąć bez niego. Mam do przewiezienia ładunek, który nie może czekać. Może zdołasz znaleźć jakiegoś konia w Nakolei.

–Może – odparł z powątpiewaniem trybun. Minuty wlokły się jedna po drugiej. Marek przy

glądał się zarówno nadbrzeżu, jak i marynarzom, żeby zobaczyć, ile im jeszcze zostało do końca

załadunku.

Dwóch marynarzy upuściło dzban z winem. Zautzes klął, gdy zmywali lepka ciecz z pokładu i

wyrzucali przez reling skorupy. Jeden skaleczył sobie stopę na odłamku i pokuśtykał, by ją zabandażować. Zautzes z odrazą wzniósł oczy ku niebu. – Nadajesz się do pługa, Ailourusie. – Towarzysze nieszczęsnego marynarza natychmiast zaczęli nazywać go „Rolnikiem”.

Obserwując wypadek, Marek zapomniał o nadbrzeżu. Aż podskoczył, kiedy usłyszał krzyk, który rozległ się od trapu:

–Ahoj, czy jak tam mówicie, wy morskie bękarty! Mogę wejść na tę cholerną łódkę?

Trybun szarpnął głową. – Gajuszu! Co ty tu robisz?

–Znasz tego kołka? – zapytał gniewnie Zautzes, zjeżony z powodu nazwania jego ukochanej

Morskiej Piany łódką. Kiedy Marek wyjaśnił mu, videssański kapitan niechętnie zawołał do Gaju-

sza Filipusa: – Możesz wejść na pokład, jeśli chcesz.

Starszy centurion uczynił to, lądując na pokładzie z chrząknięciem. Potknął się na deskach pokładu pod ciężarem pełnej zbroi; miał na sobie grzebieniasty hełm, kolczugę nabijaną żelaznymi ćwiekami, skórzaną spódniczkę i nagolenniki, wszystko wypolerowane do połysku – a na plecach ciężki tornister. Marek chwycił go za łokieć i podtrzymał.

–Dzięki.

–Nie ma o czym mówić. – Trybun przyjrzał mu się ciekawie. – Przyszedłeś tu, żeby się ze mną pożegnać? Wystroiłeś się jak widz.

–Niech Hades pochłonie pożegnanie z tobą. – Gajusz Filipus odchrząknął, lecz pod ostrzegawczym spojrzeniem Zautzesa splunął przez reling. – Idę z tobą.

–Co? – Wietrząc zdradę ze strony Imperatora, Skaurus sięgnął do rękojeści miecza. – Thori-sin obiecał, że zajmiesz moje miejsce, gdy tylko odejdę.

–Och, oferował mi to. Powiedziałem mu, żeby wsadził to sobie tam, gdzie może z tego skorzystać kochanek pedała. – Zautzesowi opadła szczęka; żaden Videssańczyk nie przemawiał w ten sposób do Autokraty. Gajusz Filipus rzucił mu krótkie spojrzenie i przeszedł na łacinę. – Możesz mnie ukrzyżować, panie – rzekł do trybuna – ale nie przyjmę funkcji od człowieka, który pozbawił jej ciebie.

–Miał swoje powody – odparł Skaurus, również po łacinie, i zacinając się opowiedział starszemu centurionowi, jakie mianowicie. Zakończył mówiąc: – Zatem

jeśli chcesz zmienić zamiar, Gavras prawdopodobnie przekaże ci dowództwo, bez względu na to, co mu powiedziałeś. Ma o tobie dobre zdanie; słyszałem to od niego wiele razy.

Usłyszawszy po raz pierwszy o związku trybuna z Alypią, Gajusz Filipus zareagował zgodnie z przewidywaniami Marka.

–Musiało ci się pomieszać w głowie, żeby igrać z takim ogniem. – Wydał własny wyrok: –

Kobiety przynoszą więcej kłopotów, niż są tego warte. Mówiłem to już przedtem, i to niejedynym razem.

Nie mając co na to odpowiedzieć, Marek zachował milczenie.

–Ale zdrada? – ciągnął dalej centurion. – To niemożliwe. Dlaczego miałbyś chcieć obalić Gavrasa? Każdy, kto przyjdzie po nim, będzie tylko gorszy.

–Myślę dokładnie tak samo.

–Oczywiście – przecież nie jesteś tumanem. A ja nie wrócę. Wolę być twoim człowiekiem, niż podejrzanym Jego Wysokości. – Zachichotał. – W końcu chyba porzuciłem prawdziwe na-jemnictwo, jeśli dowódca liczy się dla mnie bardziej niż kraj, czyż nie?

–Cieszę się – rzekł po prostu Marek, dodając: – Choć nie sądzę, żebyś miał się z czego cieszyć, jeśli pójdziesz ze mną.

–Masz na myśli Zemarkhosa? Ale teraz jest nas dwóch, a to podwaja nasze szanse, a może i więcej. Tak – weteran odpowiedział na milczące pytanie Skaurusa – Gavras powiedział mi, gdzie cię wysłał. – Podrapał się po głowie. – O ile się orientuję, to miałeś szczęście. Dziwię się, że będąc tak rozżłoszczonym, po prostu cię nie zabił i nie skończył w ten sposób całej sprawy.

–Prawdę powiedziawszy, ja też się dziwiłem, ale jakoś nie chciałem mu o tym wspominać – odparł Marek. – Lecz kiedy pobierałem ekwipunek, przemyślałem to sobie. Jeśli Zemarkhos ukrzyżuje mnie, to Thorisin nie będzie w gorszej sytuacji, niż gdyby sam skrócił mnie o głowę. Jeśli poradzę sobie z Zemarkhosem w Amorionie, to Thorisin wciąż będzie miał mnie na karku, lecz pozbędzie się szalonego kapłana, który jest dla niego groźniejszy, niż ja kiedykolwiek mógłbym się stać; bez względu na to, czy to przyznaje, czy nie. A jeśli w jakiś sposób zabijemy się nawzajem, no, to wtedy Gavras upiecze dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Gajusz Filipus skrzywił usta. – Brzmi logicznie – przyznał. – Oto bez wątplenia wspaniały przykład videssańskiej dwulicowości. Są bardziej śliscy niż Grecy,

przysięgam. Trzy rozstawienia, i we wszystkich wygrywa. – Uniósł brew, spoglądając na trybuna. – Kłopot tylko w tym, że w dwóch z nich ty albo raczej *my* przegrywamy.

Przy sprzyjających wiatrach żegluga z Videssos do Nakolei trwała mniej więcej tydzień. Dopóki wiały, Zautzes dawał załodze spokój z wiosłami i płynął tylko pod żaglem. Pofarbowane na błękitny kolor płótno trzepotało i trzaskało, kiedy wiatr zmieniał kierunek. Koń Skaurusa, który w końcu przybył, stał przywiązany do mostka na dziobie. Przez pierwszych parę godzin po wypłynięciu z portu strzygł nerwowo uszami w stronę dziwnych odgłosów, jakie rozlegały się za nim, potem jednak zdecydował, że są nieszkodliwe i przestał na nie zwracać uwagę.

Wiedząc, że nigdy nie uda mu się okiełznać wielkiego, dereszowatego wałacha przy pomocy samych tylko umiejętności jeździeckich, trybun robił co mógł, żeby go do siebie przyzwyczaić i, jeśli się tylko uda, dobrze do siebie usposobić. Cesał zgrzebłem jego lśniąca sierść, głaskał po pysku i karmił suszonymi morelami i jabłkami, wyproszonymi od kucharza. Zwierzę, które miało godne

podziwu zrównoważone usposobienie, przyjmowało jego zaloty z łaskawością, na jaką zasługiwały. Skaurus okazał się dobrym żeglarzem i bez trudu dopasował się do codziennego życia na pokładzie, pozbywając się lekkiej tuniki i pasa, i wystawiając ciało na łagodne, wiosenne słońce. Gajusz Filipus miał wystarczająco zdrowy żołądek, lecz pozostał w spodniach i ani na chwilę nie zzuł swych podbitych gwoździami *caligarum*. - Podaj mi choć jeden powód, dla którego to zrobiłeś – powiedział, spoglądając z dezaprobatą na bosc stopy trybuna.

–Dla ciebie wszystko – odparł uprzejmie Marek. – Uznałem, że najlepiej pójść za przykładem marynarzy. Znają się na tym o wiele lepiej niż ja.

–Gdyby rzeczywiście byli tacy sprytni, pozostaliby na ładzie. – Gajusz Filipus wyciągnął swój *gladius* i sprawdził ostrze kciukiem. – Masz ochotę na trochę ćwiczeń?

Bez wątpienia przydałyby ci się po zimie spędzonej za biurkiem.

–Tu masz rację – zgodził się trybun. Zaczął wyciągać miecz z pochwy i nagle znieruchomiał, zaskoczony. Ostrze owinięte było długim paskiem pergaminu, który maźnięto klejem, by nie spadł z klingi.

–Co tam masz? – zapytał Gajusz Filipus, widząc reakcję trybuna.

–Jeszcze nie wiem. – Skaurus wyciągnął miecz z mosiężnej pochwy. Oderwał pergamin od metalu, zsunął go z ostrza i paznokciem kciuka zdrapał klej z klingi.

Potem rozwinął list. – Co tam jest napisane? Kto go przysłał? – zapytał starszy centurion, gdy zbliżywszy się zobaczył zawijasy videssańskiego pisma. W

przeciwieństwie do trybuna, nigdy nie nauczył się czytać ani pisać w języku Imperium, mając dość kłopotów z rodzimą łaciną.

–To od Neposa – odparł Marek. Nie przeczytał listu głośno, tylko przebiegł go szybko

wzrokiem, by móc streścić Gajuszowi Filipusowi po łacinie.

„Niech Phos ci sprzyja, cudzoziemcze” -pisał baryłkowaty kapłan i mag w jednej osobie. „Cieszę się, że w końcu znalazłem sposobność, by zbadać twoją niezwykłą broń, i żałuję tylko okoliczności, które umożliwiły mi studia. W tym krótkim liście streszczę wszystko to, czego się dowiedziałem; zakuty w żelazo łotr, który wrócił po twój miecz, tupie za moimi drzwiami nawet kiedy piszę”.

Marek musiał się uśmiechnąć; wręcz widział Neposa bazgrzącego pospiesznie, podczas gdy Spektas rzucał mu wściekle spojrzenia z korytarza, Był pewien, że gwardziście nie udało się zbytnio ponaglić Neposa.

Trybun czytał dalej: „Czary, jakie spowijają twój miecz, posiadają moc, z jaką, co muszę przyznać, nie spotkałem się dotychczas. Przypisuję to krańcowej słabości i niepewnej naturze magii w twoim rodzimym świecie, o czym ty i twoi towarzysze często wspominaliście. Tylko zaklęcia o niezwykłej sile, jak przypuszczam, mogły tam w ogóle funkcjonować. Tutaj jednak łatwiej wyzwolić działanie czarów. W rezultacie te zaklęte w twoim ostrzu, stworzone dla świata o wiele surowszego

dla magii, stają się tutaj doprawdy zdumiewająco potężne.

W rzeczywistości są tak silne, że analiza ich natury sprawiła mi ogromne trudności. Zaklęcia sprawdzające są niezwykle subtelne i brutalna siła czarów twego miecza to dla nich zbyt wiele; nie można przecież łyżką zmierzyć objętości oceanu, a tylko takie porównanie jest właściwe. Wybacz mi jednak; chcesz wiedzieć, czego się *jednak* dowiedziałem.

A zatem na twoją klingę rzucono dwa odrębne czary. Pierwszy strzeże miecz i jego posiadacza przed skierowanymi przeciwko nim czarami. Tego, oczywiście, wielokrotnie sam doświadczyłeś. Chcę tylko powiedzieć, że swoją mocą ogromnie przewyższa wszystkie podobne czary, z jakimi zetknąłem się wcześniej. Bardzo chciałbym ustalić, w jaki sposób został rzucony.

Z powodu mocy czaru strzegącego, drugi czar musiał być badany pośrednimi sposobami i obawiam się, że wyniki, jakie uzyskałem, nie są do końca satysfakcjonujące. W każdym razie jest to o wiele subtelniejsze zaklęcie. Na tyle, na ile mogę stwierdzić, jest to czar przeznaczony w jakiś sposób nie tylko do ochrony tego człowieka, który nosi miecz, lecz również wszystkich jego towarzyszy. Żaden z videssańskich magów nie potrafiłby nawet rozpocząć tworzenia takiego czaru, lecz

zaryzykuję twierdzenie, że zostaliście przeniesieni do Videssos właśnie w wyniku jego działania.

Gdybym wraz z twoim zbadał też miecz twego czerwonowłosego przyjaciela, zapewne potrafiłbym przedstawić ci bardziej precyzyjne informacje – albo też zostałbym starty z powierzchni ziemi. Tak właśnie potężne są te czary.

Wybacz, że nie jestem w stanie powiedzieć ci więcej. Nie sądzę, że zjawiliście się tutaj przez czysty przypadek, lecz jest to uczucie, na poparcie którego nie potrafię przedstawić żadnego dowodu. Mogę jednak powiedzieć, że pewien historyk, którego obaj znamy, podziela moje przekonanie. Tak on, jak i ja, życzymy ci powodzenia w twym jakże ciężkim przedsięwzięciu; z łaski Pana o wielkim i dobrym umyśle, zobaczymy cię znowu. Nepos".

Trybun nie przetłumaczył tego ostatniego ustępu Gajuszowi Filipusowi, lecz poczuł ogarniającą go falę ciepła, kiedy czytał te słowa. Choć Aypia nie miała żadnej możliwości, by porozumieć się z nim bezpośrednio, to miała na tyle bystry umysł, żeby zrozumieć, iż jego miecz prawdopodobnie wróci do niego i jakoś zdołała wysłać wiadomość tam, gdzie miała największe szanse, że zostanie mu przekazana.

Złożył ciasno pergamin i cisnął go do morza.

Gajusz Filipus zadał typowe, obcesowo praktyczne pytanie:

–Co ci to da, że wiesz, jak został zaczarowany twój miecz? Nie jesteś czarodziejem, by nim czarować.

–Niestety, to prawda. Chciałbym jednak nim być i osmalić Zemarkhosowi brodę czarami.

–Cóż, nie jesteś – odparł Gajusz Filipus – i jeśli nie przyłożysz się do tego, żeby używać miecza tak, jak powinien być używany, to nie dożyjesz tego, by stawić czoło Zemarkhosowi. Gotuj

się więc! – Zrobił wypad, mierząc w pierś trybuna. Marek odskoczył do tyłu, składając paradę do następnego pchnięcia weterana. Marynarze stłoczyli się wokół, by obserwować ich pojedynek.

IV

Sztandar powiewający na uniesionej do góry lancy miał barwę tak czarną jak sadza; nigdy był sztandarem banitów, lecz teraz jego widok sprawiał, że cała Pardraja drżała. Nie tylko bandyci jechali teraz w orszaku Varatesha; nawet najdumniejsi ze swego urodzenia khaganowie uznali w nim głowę ostatnio powstałego Królewskiego Klanu i przystali swoje oddziały, by walczyły w wojnie u jego boku. Przydarzyłoby im się coś znacznie gorszego, gdyby powiedzieli mu nie, i dobrze o tym wiedzieli.

Chmurząc się, Varatesh zatopił ostrogi w bokach swego kuca. Kosmaty mały konik kwiknął i skoczył naprzód. Wielki czarny ogier bez trudu dotrzymał mu kroku. Varatesh spochmurniał jeszcze bardziej, kiedy omiół spojrzeniem odzianego w białe szaty jeźdźca, który dosiadał ogromnego konia. Głowa Królewskiego Klanu – Królewski Khagan – pan stepu! Takie właśnie wszyscy wznosili okrzyki na jego cześć, a Avshar wołał donośnym głosem wraz z innymi, lecz tak on, jak i księżę-czarodziej wiedzieli, że jest to kłamstwo.

Kukielka! Słowo to dźwięczało w jego głowie, kwaśne jak zsiadłe mleko. Bez Avshara dalej byłby hersztem odszczepieńców, tułaczem, najeźdźcą – pchłą, która gryzie i odskakuje, zanim zdąży spaść na nią miażdżąca ręka. Niekiedy pragnął, by dalej tak było. Zabił wielu, zanim znalazł go Avshar, ale nie miał pojęcia, czym jest zło.

Teraz wiedział. I od tego czasu nie potrafił już spać, nie widząc żelaza rozpalanego w ogniu, nie czując swędu palonego ciała, nie słysząc wrzasku ludzi, którym wypalano oczy. A on na to się zgodził, sam dzierżył żelazo – skóra cierpła mu, kiedy o tym myślał. Lecz przez tę groźbę został Królewskim Khaganem; sprawił, że jego imię oznaczało strach.

Jadący obok niego Avshar zachichotał i dźwięk tego śmiechu przywiódł mu na myśl lód, pękający na skutym zimą strumieniu. Szaty księcia-czarodziej a powiewały na wietrze, gdy jego koń kłusował na południowy zachód. Spowijał się w nie od stóp do głów.

–Rozgromimy ich – rzekł czarodziej i znowu zachichotał na myśl o tej perspektywie. Mówił językiem Khamorthow bez śladu akcentu, choć nie był mieszkańcem równin. Jeśli chodzi o to, kim był – samotny na całym stepie – to Varatesh miał okazję zobaczyć pod jego szatami, i pragnął, by nigdy się nie stało.

–Rozgromimy ich – powtórzył Avshar. – Pożaluję zniewag, jakimi obrzucili Rodaka, a w ten sposób również i ciebie, mój panie. – W straszliwym głosie czarodzieja nie zabrzmiał nawet

cień sardonicznego tonu, kiedy w ten sposób zatytułował Varatesha, lecz

koczownik nie dał się wprowadzić w błąd. Avshar ciągnął dalej: – Twoi odważni wojownicy, i czary, jakie obmyśliłem na tę okazję, raz na zawsze rozwieją bajki o tym, że Arshaumi są niepokonani.

Varatesh zadrżał pod wpływem okrutnej zachłanności widocznej w postawie księcia-czarodzieja, lecz nic nie mógł zarzucić jego słowom. Arshaumi wkroczyli do Pardraji bez jego zezwolenia. Czy jest jagnięciem albo dzieckiem, by lekceważyli go gdy im się spodoba? – Czy znaki obiecują zwycięstwo? – zapytał.

Avshar skierował na koczownika swe straszliwe, acz niewidoczne spojrzenie. Varatesh wzdrygnął się, czując je na sobie. Śmiejąc się lodowato, książę-czarodziej odparł: – Co mnie obchodzą znaki? Nie jestem *enaree*, Varatesh, nie jestem kwilącym, zniewieściałym koczownikiem spojierającym bojaźliwie w przyszłość. Przyszłość będzie taka, jaką ją stworzę.

–Czy znaki obiecują zwycięstwo? – zapytał Toluiego Gorgidas. Jako zatwardziały sceptyk nie bardzo wierzył w przepowiednie, lecz w tym świecie zaczął powątpiewać we własne wątpliwości.

–Wkrótce się dowiemy – odpowiedział szaman niesamowitym, dudniącym głosem, wydobywającym się spod wykrzywionej w obłąkańczym uśmiechu diabelskiej maski. Sięgnął po cienką wierzbową różdżkę; kłęb frędzli zwisający z rękawa jego szaty powłókł się w pyle.

Arshaumscy dowódcy, siedzący kręgiem wokół niego, pochylili się ku niemu. Szaman wyciągnął zza pasa sztylet i przeciął różdżkę wzdłuż na pół. – Daj mi rękę – rzekł do Arghuna. Kha-gan posłuchał bez pytania i nie cofnął ręki, kiedy szaman rozciął mu palec wskazujący. Tolui posmarował krwią Arghuna jedną połowę rozszczepionej wierzbowej różdżki, mówiąc: -Ta będzie uosabiać naszą armię. – Wepchnął drugą połówkę w ziemię Pardraji, tak że wydobył ją czarną od błota. – Ta przedstawia Khamorthów.

–Dałbym ci moją krew – rzekł Batbaian.

Nawet ton rozbawienia zabrzmiał niesamowicie, wydobywając się z nieruchomych ust maski. –

Khamorthów, którzy są naszymi wrogami, powinienem był powiedzieć – wyjaśnił Tolui. Batbaian poczerwieniał. Tolui kontynuował: – Wystarczy już. Zobaczymy teraz, jaką wiedzą obdarzą nas duchy, jeśli uznają za stosowne odpowiedzieć mi.

Szaman wziął do rąk owalny bębenek; boki instrumentu były równie suto ozdobione frędzlami, co jego szata. Tolui powstał, uderzając lekko w bębenek. Rozległy się tony głębokie i głuche, tworzące stosowny akompaniament do pozbawionej słów, zawodzącej pieśni, jaką zaintonował. Tańczył wokół dwóch różdżek, początkowo

stawiając kroki drobne i wolne, potem wyższe, szybsze, bardziej żywiołowe, w miarę jak śmigał to w tę, to w tamtą stronę, nie bacząc na oficerów i

wysoko urodzonych, którzy usuwali mu się z drogi.

Jakiś ochryply głos zakrzyknął w nieznanym języku dziesięć stóp nad jego głową. Odpowiedział mu inny, wysoki i dziewczęcy. Gorgidas podskoczył; Lankinos Skytlitzes, z pobladłą wokół ust skórą, nakreślił na piersi słoneczny krąg Phosa. Gorgidasowi przyszło na myśl brzuchomówstwo, lecz wówczas oba głosy krzyknęły równocześnie – żaden oszust nie zdołałby tego dokonać.

Tolui tańczył, rzucając się wściekle. – Pokaż mi! – zawołał. Bęben huczał jak grzmot. – Pokaż mi! – krzyknął znowu i znowu. Drugi głos krzyczał razem z nim, błagając, domagając się. Pierwszy głos odpowiedział, lecz szorstko, odmownie.

–Pokaż mi! Pokaż mi! – Teraz cały chór głosów dołączył do głosu szamana. – Pokaż mi! –

Zabrzmiał gniewny ryk, który niemal ogłuszył Gorgidasa, a po nim zapadła niespodziewana cisza.

–Och! – stęknął Irnek i równocześnie rozległ się głos Viridoviksa: – Widzicie to?!

Dwie różdżki, jedna czerwona od krwi Arghuna, druga ciemna i ubłocona, poruszały się na ziemi

jak żywe stworzenia. Uniosły się wolno w powietrze, aż zawisły na wysokości pasa dorosłego człowieka. Wszyscy Arshaumi przyglądali im się uważnie. Viridoviks gapił się na nie z nabożną czcią.

Jak atakujący wąż, zabłocona różdżka śmignęła na tę, która symbolizowała Arghuna i jego ludzi. Teraz z kolei ona zaatakowała; obie zawisły w powietrzu, jak gdyby niepewne. Potem, razem, zaczęły z wolna opadać, wciąż wymierzając sobie słabe pchnięcia. Wreszcie wysmarowana krwią różdżka spoczęła na drugiej. Arshaumi wrzasnęli tryumfalnie, a potem nagle zamilkli, gdy różdżka potoczyła się na bok.

Krzyknęli znowu, tym razem z przerażenia i oszołomienia, gdy nagle krew zniknęła z upačkanej na czerwono różdżki, a ona sama rozpękała się na trzy kawałki. Spoglądali na nie szeroko rozwartymi, wytrzeszczonymi oczyma; Gorgidas domyślił się, że ta wróżba nie należała do zwyczajnych. Potem różdżka przedstawiająca Khamorthów rozpadła się na tuzin odłamków. Kilka z nich buchnęło płomieniem; nim minęło pół minuty, największe zniknęły.

Tolui pochylił się naprzód, zemdlony.

Gorgidas dopadł do niego i zdążył go uchwycić, nim upadł na ziemię. Ściągnął maskę z twarzy szamana i delikatnie poklepał go po policzkach. Tolui jęknął i poruszył się. Arigh pochylił się przy nich. Przytknął bukłak z kumysem do ust Toluiego. Szaman odkaszlnął, gdy sfermentowane kobyłe mleko spłynęło mu do gardła, opryskując nim Gorgidasa i Arigha. Otworzył oczy.

–Jeszcze – wycharczał. Tym razem udało mu się przełknąć.

–No i? – zapytał Irnek. – Urażyłeś nas wróżbą, jakiej nigdy dotychczas nie widzieliśmy, lecz co ona znaczy?

Tolui przesunął ręką po twarzy, ścierając pot. Smagłość jego skóry nie potrafiła ukryć tego, jak pobladł. Spróbował usiąść i udało mu się to przy drugiej próbie. – Musicie zinterpretować to sobie sami – powiedział, cały dygocząc. – Nie mogę zaproponować żadnego innego znaczenia poza

tym, co widzieliście. Inna magia, większa i silniejsza od mojej, jest tu tkana; zamazuje mi wzrok i niemal uczyniła mnie ślepym. Czuję się jak łasica, która ścigała mysz i nie zauważyła niedźwiedzia, dopóki nie potknęła się o jego łapę.

–Avshar! – Gorgidas powiedział to pierwszy, lecz zaledwie o pół słowa zdążył wyprzedzić Viridoviksa i Batbaiana.

–Nie wiem. Nie sądzę jednak, by ów czarodziej wyczuł mnie; gdyby tak się stało, podpieralibyście teraz zwłoki. Nigdy dotychczas nie zetknąłem się z taką magią; była jak czarna, lodowata mgła; zimna, ociekająca wilgocią i pełna śmierci. – Tolui zadrżał. Znowu otarł twarz, jak gdyby chcąc zetrzeć wspomnienie tego kontaktu.

Wówczas Skylitzes wykrzyknął jakieś imię. – Skotos! – zawołał i ponownie nakreślił znak słońca. Goudeles, nie mający w zwyczaju przy byle jakiej sposobności odwoływać się do swego boga, poszedł za jego przykładem. Gorgidas zmarszczył brwi. Nie wyznawał wiary Videssańczyków, lecz nikt nie mógł zaprzeczyć, że opis Toluiego niesamowicie wręcz przypominał przymioty, jakie mieszkańcy Imperium przypisywali złemu przeciwnikowi Phosa.

–Co z tego, że to on? – rzekł Arghun, dla którego Skotos i Phos nie znaczyło nic więcej jak tylko imiona. – Jaki interes ma duch, którego wy, Videssańczycy, czcicie, na stepie? Niech sam ma się tutaj na baczności. To nie jest jego dom.

–My nie czcimy Skotosa – odparł zimno Skylitzes i zaczął wyklądać ideę uniwersalnego bóstwa.

Gorgidas przerwał mu: – Avshar nie jest ani bogiem, ani też duchem – powiedział. – Kiedy Skaurus walczył z nim w Videssos, zranił go tak, że zaczął krwawić. I pobił go też, w końcu.

–Zgadza się – wtrącił Arigh. – Widziałem to. Wtedy, kiedy cię poznałem, pamiętasz Virido-viks? Dwaj wielcy mężczyźni, obaj dobrze władający mieczami.

–Nie doczekałem tej bijatyki, niech mnie zaraza – odpowiedział Gal. – Wyszedłem z dziewczką i to w dodatku nie taką, dla której warto było przegapić piękną walkę. Niezdarna flądra. – Wspomnienie wciąż go bolało.

Irnek podrapał się po głowie. – Nie lubię wyruszać na ślepo.

–Interpretacja wróżb, które mają określić wynik bitwy, jest niepewna – rzekł Tolui – choć

warto to robić. Ludzkie namiętności zamazują nawet widzenie duchów, a tę walkę otaczają mroczne

czary i spowijają ją jeszcze gęstszym welonem cieni. Wkrótce nie będziemy musieli się zasta

nawiać. Dowiemy się.

Rzesłani daleko naprzód zwiadowcy Arghuna wypatrzyli zbliżającą się armię, choć znajdowała się jeszcze dalej niż dzień jazdy na północny wschód od Arshaumów. Takie wczesne wykrycie dało-

by im przewagę w obliczu większości przeciwników, lecz w zetknięciu z czarami Avshara nie mieli co się ukrywać.

Arshaumi skręcili na spotkanie jeźdźców Varatesha, w czasie jazdy rozwijając szyk bitewny. Nie umknęło uwagi Viridoviksa, że manewry wykonywali z większą dyscypliną niż Khamorthci. Ci ostatni walczyli klanami i związkami albo grupami rodzinnymi wchodzącymi w skład klanu, gdzie każdy patriarcha rodziny lub przywódca związku był sam w sobie niemal generałem. Choć Ar-shaumi również stawali pod khaganami, to jednak każdy klan dzielił się na drużyny po dziesięciu, kompanie po stu i, w dużych klanach, na pułki liczące po tysiącu jeźdźców. Każda jednostka miała swego oficera, tak że rozkazy rozchodziły się wśród szeregów szybko i były wykonywane z precyzją, która zdumiała Gala.

–Mogliby służyć w legionach – rzekł do Gorgidasa na wpół utyskującym tonem, gdy kom

pania koczowników Arghuna przemknęła obok z grzmotem kopyt, rozwijając się w drużyny, a po

tem wracając do szyku. Wykonywali manewry w absolutnym milczeniu, kierując się znakami

białych i czarnych chorągiewek sygnalizacyjnych swych dowódców.

Greki chrząknęli coś w odpowiedzi. Brał udział w większej ilości bitew niż chciałby pamiętać, lecz zawsze jako lekarz, walczący jedynie w samoobronie i polegający na osłaniających go legionistach. W szeregach Arshaumów, choćby najlepiej zorganizowanych wedle koczowniczych kryteriów, nie było jednak miejsca dla takich, którzy sami nie walczyli. Nawet Tolui i jego koledzy szamani chwytali za łuki i walczyli jak wszyscy inni koczownicy, gdy tylko zakończyli swe sztuczki magiczne.

Sumienny jak zwykle, Gorgidas sprawdził swój ekwipunek z ogromną troską, upewniając się, że jego *gladius* jest ostry, że pancerz z prażonej w ogniu skóry i mała, okrągła tarcza nie mają słabych miejsc, że wszystkie rzemienie uprząży jego konia są w dobrym stanie i mocno napięte. – Jeszcze będzie z ciebie wojownik – rzekł z pochwałą w głosie Viridoviks. Z natury rzeczy niedbały, swój rynsztunek sprawdził jednak równie dokładnie, co Grek.

–Bogowie nie dopuszczą – odparł Gorgidas. – lecz nikogo nie będzie można winić tylko

mnie, gdyby coś zawiodło.

Czuł dziwne napięcie w brzuchu, na wpół obawę, na wpół pragnienie, by mieć to już za sobą, w taki czy inny sposób. Było to zupełnie inne uczucie od tego, jakie poznał będąc lekarzem legionowym. Wówczas jego podstawową reakcją na bitwę była odraza wywołana rzezią. Teraz to ukłucie oczekiwania zawstydziło go.

Kiedy spróbował wypędzić to z siebie, mówiąc o tym głośno, Viridoviks skinął głową ze znajomością rzeczy.

–Och, doprawdy, i ja to czułem, tę żądzę krwi, wiele razy. Rozpalająca bardziej niż gorączka,

silniejsza niż wino, słodsza niż szparka między kobiecymi udami... – Urwał, a jego uśmiech spo-

sępniał, kiedy przypomniał sobie Seirem i to, jak zginęła. Po paru chwilach podjął na nowo: – A jeśli twoja sztuka potrafiłaby znaleźć na to jakiś lek, to byłaby to lepsza rzecz niż wszystkie inne, jakie przychodzą mi do głowy.

–Doprawdy? – Gorgidas poderwał głowę. – Zatem jak ci wyleczeni mogliby opierać się

gwałtom zadawanym im przez niegodziwych ludzi?

Celt szarpnął się za wąsy. – Żeby cię kruki zadziobały, krytyku! Więc tak wykręciłeś

kota ogonem, żeby móc powiedzieć, że istnieje potrzeba wojowania i że to ja jestem tym, który chętnie ujrzałby tego koniec. Gajusz Filipus, skwaszony, stary gbur uśmiełby się do rozpuku, słuchając nas.

–Prawdopodobnie masz rację, lecz on uznałby takie rozprawianie za niewarte funta kłaków.

Niewiele dba o dobro czy zło; bierze rzeczy takimi, jakimi je znajduje i wykorzystuje je do końca.

Rzymianie są tacy. Często zastanawiałem się czy to ich najgłębsza mądrość, czy też największe

przekleństwo.

Dwie kompanie Arshaumów wysunęły się kłusem przed główne siły; byli to harcownicy mający sprawdzić, na co stać Khamorthów. Niektórzy z koczowników zakładali się, że sam ich widok wystarczy, by stronnicy Varatesha poszli w rozsypkę. Batbaian rzucił wściekłe spojrzenia, niepewny czy ma żywić nadzieję, aby mieli rację, czy też wybuchnąć gniewem z powodu takiego oczerniania swych rodaków.

Harcownicy powrócili na krótko przed zmierzchem; paru prowadziło konie z pustymi siodłami, jeszcze kilku odniosło rany. Towarzysze zarzucili ich pytaniami, gdy Arshaumi rozbijali obóz. – To było dziwne – powiedział jeden z nich niedaleko Gorgidasa. – Wpadliśmy na dwa oddziały Włochatych, harcowników tak jak my, przypuszczam. Pierwsza grupa oddała kilka strzałów, a potem podała tyły. Jednak ci drudzy walczyli jak szaleni. – Podrapał się po głowie. – Więc kto wie, czego można się spodziewać?

–I dużo to wszystko dało – prychnął Viridoviks. – Tyle samo, co ten włóczykij, mógł nam

powiedzieć Tolui albo Gavras w Videssos, jeśli już o to chodzi

W świetle obozowych ognisk bieleły nagie ciała kilkunastu mężczyzn; leżeli rozciągnięci na ziemi z rozpostartymi rękoma i nogami, i choć nie unieruchamiały ich żadne liny, nie mogli się poruszyć. Leżącym przyglądali się Khamorthci, niektórzy lękliwie, inni z wilczymi uśmiechami na twarzach.

–Oto jaką nagrodę zdobywa się za tchórzostwo – rzekł Avshar i jego głos wypełnił cały obóz Varatesha. Przesunął szybko w powietrzu obiema rękami; jego szaty załopotwały jak skrzydła sępa.

Rozległ się chrupiący odgłos. Jeden z leżących bezradnie na ziemi mężczyzn wrzasnął, gdy najpierw jedno, a potem drugie ramię zostało wyłamane ze stawu;

jeszcze głośniejszy krzyknął inny

mężczyzna, kiedy kość udowa jego nogi została wyrwana ze stawu biodrowego. Varatesh coraz silniej zagryzał wargi, w miarę jak rozlegały się kolejne okrzyki. Nieobce było mu stosowanie okrucieństwa jako broni, lecz nigdy z takim samozadowoleniem, z jakim czynił to Avshar.

Krzyki przeszły w jęki, lecz potem, jeden po drugim, wrzaski rozległy się znowu, kiedy członki zaczęły odrywać się od ciała. Chlusnęła krew. Wrzaski zamarły, tym razem na dobre.

–Pogrzebać tę padlinę – rzucił Avshar w bezdenną ciszę. – Lekcja skończona.

Varatesh zbierał odwagę, by wyrazić swój protest księciu-czarodziejowi. – To było niepotrzeb

ne. Sprawisz tylko, że znienawidzą nas obu.

Być może nasycony zadanymi mękami, Avshar zachichotał; dźwięk ten sprawił, że Varatesh zapragnął gdzieś się ukryć.

–To im doda odwagi – powiedział niedbale. – Co mnie obchodzi, że mnie nienawidzą, do

póki się mnie boją? – Zachichotał znowu, napawając się tym, co miało nastąpić. – Jutro Ar-

shaumi będą zazdrościli tym łotrom. Czary, jakie dla nich przygotowałem, są nieporęczne, lecz

absolutnie niezawodne.

Zwiadowca krwawił z rany nad okiem, lecz zdawał się tego nie zauważać. Podjechał na spienionym kucu do Arghuna i oddał mu pospieszny salut. – Jeśli utrzymają tempo, ich główne siły powinny uderzyć w nas mniej więcej za godzinę.

Khagan skinął głową. – Dzięki. – Zwiadowca zasalutował ponownie i odjechał pospiesznie, by dołączyć do swojej kompanii. Arghun zwrócił się do swoich synów i starszyszy:

–To się zgadza z innymi meldunkami, jakie otrzymaliśmy.

–Tak jest – rzekł Irnek. – Czas, bym wrócił do mojego klanu. Powodzenia w łowach, wam wszystkim. – Kilku pomniejszych khaganów również odłączyło się od zgromadzonych pod sztandarem z kaftana Bogoraza.

–A ty, Tolui – zapytał Arghun. – Czy ty jesteś gotowy?

–Tak samo jak wówczas, kiedy pytałeś mnie poprzednio. – Szaman uśmiechnął się. Swoją diabelską maskę trzymał jeszcze pod pachą; dzień był ciepły i słoneczny, i upiekłby się w niej, gdyby założył ją za szybko. – Potrafię rzucić ten czar, to wiem. Czy zadziała, tak jak się tego spodziewamy... – Wzruszył ramionami.

–Mam nadzieję, że się nie uda – powiedział Dizabul. Uczynił ruchy naśladujące strzelanie z łuku oraz pchnięcia i cięcia pałaszem. – Rzeź będzie większa, jeśli pokonamy ich w bezpośrednim starciu. – Jego oczy rozgorzały na myśl o tym.

–Wśród nas również, półgłówku! – warknął Arigh. – Pomyśl najpierw o własnych ludziach.

Dizabul zachnął się, lecz zanim kłótnia pomiędzy braćmi zdołała wybuchnąć ponownie, Arghun

zwrócił się do grupy Videssańczyków i rzekł szybko: – No więc, moi sprzymierzeńcy, czy chcecie walczyć dzisiejszego dnia?

Skylitzes skinął obojętnie głową; Pikridios Goudeles posępnie; puciołowaty urzędnik nie był żołnierzem i nie czynił z tego tajemnicy. Agothias Psoes sięgnął przez ramię, wyciągnął strzałę z kołczanu i osadził na cięciwie.

Batbaian trzymał już łuk przygotowany do strzału. – W tej akurat sprawie popieram Dizabula – powiedział. Jego jednooki uśmiech przywodził na myśl powarkiwanie ścigającej ofiarę bestii.

–I ja również, wybacz mi proszę, drogi Arighu – rzekł Viridoviks. Ocieniwszy oczy ręką, wpatrywał się w dal, posępnie żądny widoku pierwszych Khamorthów. – Niektórzy wezmą dzisiaj odwet... tak, razem z wieloma głowami.

–Zwycięstwo wystarczy, bez względu na to, jak osiągnięte – stwierdził Gorgidas. – Jeśli mamy zaatakować Yezd, wołałbym, by było łatwe, żeby nie osłabić naszej armii. – Musiał się starać, by jego głos brzmiał spokojnie. Czuł łomoczący puls; gardło miał tak ściśnięte, jak gdyby rozrastał się tam jakiś wstrętny guz. Od wielu żołnierzy słyszał, że kiedy zaczyna się walka, nie ma już czasu na takie męczarnie. Czekał więc, z nadzieją, że mówili prawdę.

Trąbki zagrały na lewej; załopotwały chorągiewki sygnalizacyjne. – Spostrzegli ich! – zawołał Arigh. Przyjrzał się chorągiewkom, odczytując z nich to, co mówiły o ruchach wojska. – Irnek cofa się. Musieli go oskrzydlić.

–Zatem odstłonili swoje skrzydło tak, że możemy je odciąć – odparł jego ojciec. Khagan skinął na swego chorążego, który zaczął wymachiwać kaftanem Bogoraza

umocowanym do drugiej lancy. Oficerowie łącznikowi ustawili chorągiewki tak, by skierować armię na zachód. *Naccara*, wojenny bęben Arshaumów o basowym tonie zagrział, przekazując rozkazy. Bębniarz, zajmujący nieustannie odsłoniętą pozycję w pierwszym szeregu, należał do tych niewielu koczowników, którzy chronili się żelazną kolczugą.

–Naprzód! – zawołał Arghun, ożywiony możliwością działania. Gorgidas śmignął swego konia cuglami. Pokłusował naprzód wraz z resztą. Tylko Tolui i jego koledzy szamani pozostali na miejscu, by poczynić ostatnie przygotowania i czekać na rozkaz.

Viridoviks precyzyjnie się do Greka. – Dość długo będziesz czuł się całkiem kiepsko – przestrzegł. – Najpierw będzie całe mnóstwo strzelaniny, zanim przyjdzie wziąć się za miecze. – Gorgidas skinął niecierpliwie głową. Widział koczowników ćwiczących się w strzelaniu ze swych wzmocnionych łuków i sądził, że wie, co potrafią nimi zrobić.

Tamte poruszające się kropki – to swoi, czy wrogowie? Arshaumi nie mieli takich wątpliwości. Jednym płynnym ruchem naciągnęli cięciwy do uszu, wystrzelili i opadli w siodła, których wysokie tylne łęki pochłonęły siłę odrzutu. Przed nimi jeźdźcy wraz z końmi runęli na ziemię, ginąc z ręki ludzi, których twarze nigdy nie widzieli.

Gorgidas wytrzeszczył oczy. Strzelanie do tarczy to jedna rzecz, natomiast trafienie w ruchomy cel z końskiego grzbietu na taką odległość – to zupełnie coś innego.

Nie wszyscy Khamorthci padli; daleko im było do tego. Tuż przy Greku przemknęła z jadowitym jękiem strzała, potem jeszcze kilka. Jeden z żołnierzy Psoesa zaskowyczał i złapał się za nogę. Jakiś Arshaum zwałił się z końskiego grzbietu. Koczownik jadący za nim stratował go, lecz jego towarzysz, z gardłem przeszytym strzałą, nawet nie poczuł końskich kopyt. Gorgidas nagle zrozumiał, co miał na myśli Viridoviks. Zaczął wymachiwać mieczem i wrzeszczeć na ludzi Varatesha, obrzucając ich przekleństwami, które w tej chwili stanowiły jedyną broń, jaką mógł ich dosięgnąć.

Pojedynek na łuki trwał dalej; obie strony opróżniały kolczany najszybciej jak potrafiły. Od czasu do czasu jakiś oddział zbliżał się galopem do linii wroga, zasypywał przeciwników szybką salwą ciężkich strzał o szerokich grotach, a potem pędem wracał do swoich. Do walki na większe odległości używali lżejszych pocisków z mniejszymi, ostrymi jak igły grotami, lecz tym brakowało siły przebijającej cięższych strzał. Stepową wojnę cechowała płynność; w niczym nie przypominała ona zaplanowanych troskliwie z góry bitew rzymskiej piechoty. Odwrotu nie uważano za hańbę; przeciwnie, często stanowił wybieg, którym kuszono przeciwnika, by doprowadzić go do zguby. Przy swej precyzyjniejszej strukturze dowodzenia, Arshaumi mieli przewagę w tej grze pułapek i przeciwpułapek. Wielokrotnie udawali,

że uciekają, tylko po to, by zasygnalizować lotnym kolumnom, aby wpadły na tyły ryzykujących pościg Khamorthów i odcięły ich od swoich.

Wówczas walka nabierała dzikości, kiedy otoczeni koczownicy podejmowali jedną rozpaczliwą szarżę za drugą, usiłując wyrąbać sobie drogę z powrotem do swych towarzyszy. Choć oparty na walce konnicy, był to jednak ten rodzaj działań wojennych, jaki Viridoviks rozumiał. Spiął konia ostrogami, kierując go w największy ścisk, gdzie znalazł się twarzą w twarz z jakimś Khamorthem, krwawiącym z ran na policzku i ramieniu, i ze strzałą zatopioną aż po belt w udzie.

Koczownik może i był ranny, lecz rękę, w której dzierżył pałasz, miał w pełni sprawną. Z twarzą jak powarkująca maska bólu, prasnął Celta na odlew i zaraz wrócił z zamaszystym cięciem, które Viridoviks ledwie zdołał odbić.

Zaczęli wymieniać ciosy. Zasięg ramion Viridoviksa i długie, proste ostrze dawały mu przewagę, lecz umiejętności jeździeckie koczownika niwelowały ją. Nie musiał zastanawiać się, jak uciskiem samych kolan skierować wierzchowca to w tę, to w tamtą stronę, ani jak pchnąć go naprzód, kiedy jedno z cięć Viridoviksa pozbawiło go równowagi. Tylko dzięki sile swego ramienia Gal zdołał odzyskać równowagę na czas, by złożyć paradę. Klinga Khamortha rozděła mu spodnie; poczuł, jak płaziec pałasza składa pocałunek na jego nodze.

Lecz wierzchowiec koczownika zdradził go w końca. Wypuszczona przez kogoś strzała wbiła się w jego pęcinę z mięsistym *tfunk*. Zwierzę kwiknęło i stanęło dęba, i na chwilę jeździec musiał skierować całą swoją uwagę na to, by utrzymać się w siodle. Zanim zdołał zapanować nad koniem,

miecz Viridoviksa rozplątał mu gardło. Runął na ziemię, a jego twarz w ostatnim grymasie przybrała wyraz śmiertelnego zdumienia.

Gal nie doznał ani śladu niepohamowanego uniesienia, jakiego się spodziewał; miał tylko poczucie, że dobrze wykonuje robotę przy czymś, co już go nie cieszy. – Och, no cóż, do tego też trzeba się przyłożyć, mimo wszystko – powiedział. Potem, przerażony, zastanowił się nad własnymi słowami. – Bogowie mnie przeklęli, całkiem zmieniłem się w Rzymianina!

Opodal Goudeles walczył z Khamorthem jeszcze tłuściejszym niż on sam. Jednak koczownik znał się na rzeczy i urzędnik miał z nim kłopoty. Khamorth z łatwością odbijał nieśmiałe cięcia Vi-dessańczyka i kilka razy zadrasnął już Goudelesa; tylko ślepy traf nie pozwolił mu zadać dotychczas śmiertelnego ciosu.

–Na miłość Phosa, nie całuj go, Pikridios! – ryknął Lankinos Skylitzes – Wal w niego! –

Lecz srogi videssański oficer sam znajdował się w najgorętszym wirze walki i nie

miął żadnych

możliwości, by przyjść Goudelesowi z odsieczą. Urzędnik zgrzytnął zębami, gdy trafiło go kolejne

cięcie.

Gorgidas przeorał boki swego kuca ostrogami i mijając przeklinających jeźdźców ruszył galopem w stronę Goudelesosa i jego przeciwnika. Krzyknął, by odciągnąć uwagę Khamortha od Goudelesosa. Koczownik spojrzął w jego stronę, lecz tylko na chwilę; widząc brodatą twarz, wziął Greka za jednego ze sprzymierzeńców Varatesha przybywającego, by pomóc mu rozprawić się z przeciwnikiem.

Zrozumiał swoją pomyłkę zaledwie na czas, by sparować pchnięcie Gorgidasosa. – Kim jesteś, ty śmierzący owczy bobku? – ryknął z oburzeniem, zadając cięcie wymierzone w głowę lekarza. Był potężnym mężczyzną, lecz Gorgidas, nawykły do fechtunku z Viridoviksem, odbił cios. Teraz mógł z łatwością zadać ponowne pchnięcie, z wyprostowanym ramieniem, wspartym wagą całego ciała. Khamorth walczył zadając zamaszyste cięcia, nie stosował pchnięć; bitewny odruch uratował go za pierwszym razem. Jego oczy rozszerzyły się, kiedy *gladius* Gorgidasosa przeszył kaftan z prażonej w ogniu skóry i wśliznął się między żebra.

Wytrwały wojownik znowu zadał cięcie wymierzone w Greka, lecz jego cios nie miał już w sobie siły. Bańki jasnej krwi wydobyły się z jego nozdrzy. Cały jej potok wylał się z ust, gdy próbował chwycić powietrze. Zakrzywiony pałasz wypadł z ręki. Oczy uciekły w głąb czaszki; przechylając się przez koński kark, runął na ziemię.

–Wspaniale, och, jakże wspaniale! – krzyczał Goudeles, wymachując pałaszem i niemal odci

nając przy tym Gorgidasowi ucho. Lekarz wytrzeszczał oczy na szkarłatną plamę rozmazaną na

ostrzu swego miecza. Legioniści mieli rację, jak się wydawało: nie było czasu na strach ani nawet

na myślenie. Ciało po prostu zareagowało – i jakiś człowiek leżał martwy.

Gorgidas przechylił się na bok i zwymiotował na zbryzganą krwią trawę.

Wciąż jeszcze nos piekł go od kwaśnych wymiocin, kiedy inny koczownik, z posępną zaciętością starający się wydostać z pułapki Arshaumów, runął na niego; zakrzywiona szabla spadła na dół, kreśląc śmiertelny łuk. Choć wymioty napęłniły mu oczy łzami, Grek uniósł tarczę, by odparować cios. Poczuł, że jej lekki drewniany szkielet pękł pod wpływem uderzenia, i odrzucił ją od siebie. Drugi Khamorth miał nie

większe pojęcie niż pierwszy o tym, jak bronić się przed pchnięciami, lecz Gorgidas nie zadał ciosu równie precyzyjnie. Koczownik oderwał się od niego, chwiejąc się w siodle i ściskając zranione ramię.

Za drugim razem, jak ze zdumieniem odkrył Grek, czuł jedynie gniew, że jego przeciwnik umknął mu. To wstrząsnęło nim bardziej niż wcześniejsze obrzydzenie.

Kiedy skończyły się strzały, wzdłuż całej linii rozgorzała walka wręcz. Obie strony rozpoczęły walkę zwrócone na północ i południe, w miarę jednak jak prawe skrzydło każdej zachodziło na lewe skrzydło drugiej i zmuszało je do ustąpienia, linia frontu przesuwawa się na wschód i zachód. Jeśli Arshaumi zdobyli jakąś przewagę, to była ona znikoma. Banici Varatesha, choć obecnie występowali w roli władców, dalej walczyli z zacieklą furią ludzi, którzy nie mają nic do stracenia. Klany, którym siłą narzucono sojusz, walczyły z mniejszą zaciekłością, lecz widok strzegącej tyłów, odzianej w białe szaty postaci na wielkim rumaku przypominał im, że odwrót wiąże się z większą grozą, niż dotrzymanie pola przeciwnikowi.

Viridoviks ciosem miecza zwałił z siodła kolejnego koczownika, a potem znalazł się naprzeciwko Khamortha, który zamiast zakrzywionej szabli czy łuku dzierżył lekką lancę. Teraz z kolei przeciwnik dysponował większym zasięgiem broni; Celt nie przepadał za tym. Na szczęście ogromny ścisk nie pozwolił Khamorthowi rozpędzić się i nabrać impetu. Dźgnął lancą, mierząc w twarz Viri-doviksa. Gal pochylił się błyskawicznie, uchwycił drzewce poniżej grotu i pociągnął koczownika ku sobie.

Pierwszy cios zadany jego potężnym, galijskim mieczem rozrąbał lancę. Khamorth, ciągnący z całych sił w drugą stronę, niemal spadł z końskiego grzbietu, kiedy drzewce złamało się i zniknął opór, któremu się przeciwstawił. Zamachał dziko rękoma, by odzyskać równowagę. Viridoviks ciął ponownie. Khamorth wrzasnął krótko, kiedy klinga odrąbała mu połowę twarzy.

Batbaian brał odwet, który przyćmiewał siane przez Celta spustoszenie. Przekręcił swoją futrzaną czapę tak, że nausznik zakrywał pusty oczodół i teraz nic nie różniło jego twarzy od wyglądu każdego innego Khamortha. Uderzał jak wąż i znikał, nim ofiara zdała sobie sprawę, z czyjej ręki spotkała ją śmierć. Kiedy jednocześnie ruszyło na niego trzech Arshaumów, również nie rozpoznawszy go, na chwilę uniósł czapę. Natychmiast cofnęli się wiedząc, co oznacza ta straszliwa blizna.

Arigh miał pierś zbryzganą krwią, nie swoją własną. – Ha! Zaczynamy ich przepędzać! – krzyknął podniecony. Lewe skrzydło Varatesha cofało się i odwrót ten wykonywano wcale nie dla

zmylenia przeciwnika. Tu i tam jakiś Khamorth wrywał się z szeregu i gnał na północ, ratując życie. Inni uparcie walczyli dalej, lecz nie potrafili przeciwstawić się większej obrotności i prężności swych przeciwników oraz furii ludzi, którzy walczyli

pod sztandarem z kaftanu Bogoraza.

Potem jakiś Arshaum runął twarzą naprzód, przeszyty na wylot strzałą z czarnymi lotkami. I zaraz padł następny, i jeszcze jeden; koń zarył w ziemię ze strzałą wbitą w prawą nogę. Dwa inne konie przewróciły się o niego, zrzucając jeźdźców. Jeden z koczowników potoczył się po ziemi i wyszedł ze zderzenia bez szwanku; drugi został zmiążdżony pod brzuchem swego kuca.

Daleko za linią Khamorthów, Avshar operował swoim łukiem ze śmiertelną wirtuozerią. Zawsze miał pełen kołczan na wypadek klęski i kiedy zaczęła zagrażać, odwrócił ją. Jego łuk przewyższał zasięgiem łuki koczowników; celność przerażała. Gdy wiodący natarcie padli, przewaga Ar-shaumów zachwiała się i zaczęła zanikać, jak fala spływająca z plaży ku morzu.

–To jest ten czarodziej? – rzekł Arghun. Khagan miał osłabione nogi, lecz nie ramię; niejeden Khamorth padł pod ciosami jego miecza. Właśnie gdy się odezwał, jeszcze jeden Arshaum pochylił się w siodle, chwytając za strzałę tkwiącą w brzuchu. Jego gmerające dłonie opadły bezwładnie; zsunął się z siodła na ziemię.

–To jest Avshar – odparł Gorgidas. Z mieszaniną strachu, nienawiści i nabożnej czci, za co czuł wstręt do samego siebie, spojrzął przez szeregi walczących na księcia-czarodzieja, który sam siebie postawił w roli Nemezys Imperium. Wysoka, odziana na biało postać nie raczyła go zauważyć. Jeden po drugim śmiertelne pociski wlatywały w powietrze, jak gdyby wystrzeliwane przez zabójczą maszynę.

–Jakimkolwiek jest czarodziejem, z pewnością nie brakuje mu siły w rękach – rzekł Arghun z twarzą jak żelazo, przyglądając się jak jeszcze jeden z jego ludzi kaszle krwią i umiera. – Złamie nas, jeśli zaraz nie przestanie; nie zdołamy wytrwać pod takim ostrzałem.

Jeśli chodzi o Viridoviksa i Batbaiana, nawet ślad nabożnej czci nie zmieszał się z nienawiścią, jaka w nich rozgorzała na widok Avshara; płonęła w nich gorąca i czysta. Jednocześnie spięli swoje kuce ostrogami i runęli naprzód, gotowi przerąbać się przez wszystkich Khamorthów, którzy znajdowali się pomiędzy nimi a czarodziejem. Lecz Arshaumi nie wsparli ich szarży, a potężna moc na tyłach ludzi Varatesha dała im nową odwagę. Gal i koczownik zabili raz i znowu zabili, lecz sami nie zdołali zrobić wylomu w szeregach przeciwników.

Zdawało się, że Avshar ich rozpoznał, skłonił się bowiem pogardliwie w siodle i machnął szyderczo ręką, kiedy zarzucił sobie łuk na opancerzone ramię, zmieniając swą pozycję.

Daleko na prawym skrzydle swej armii, Varatesh po raz setny potrząsnął głową, starając się nie dopuścić, by krew spływająca z rany na czole zalała mu oczy. Czuł

się wyczerpany; głośno chwycił

powietrze, siedząc na swoim kucu, również rannym. Ręka drżała mu, a zakrzywiona szabla ciążyła jak ołów.

A ten Irnek przed nim to wcielony demon! Pobity na początku, kiedy jego ludzie zostali oskrzydleni, w jakiś sposób przegrupował się, wzmocnił swoją linię i natarł z dzikością, która zmroziła nawet zatwardziałego banitę. Jedną lekcję Varatesh zapamiętał sobie na zawsze: nigdy nie należy ufać odwrotowi Arshaumów, bez względu na to, jak wydawałby się bezładny. Ten błąd kosztował go cięcie nad okiem i niemal życie.

Lecz minęło południe, a Irnek nie cofał się już ani na krok. Jego jeźdźcy parli naprzód, szukając słabych miejsc i wykorzystując bez reszty każde, które znaleźli. Pozbawieni dyscypliny swoich przeciwników, Khamorthci w odwrocie narażali się tylko na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Chwiali się; jeszcze kilka natarć i zostaną rozbici.

Varatesh wrzasnął na łącznika, gardząc sobą za to. Zamierzał wygrać tę bitwę bez pomocy Avshara, by raz na zawsze uwolnić się spod dominacji czarodzieja. Teraz od przegranej dzielił go tylko krok. Posmakowawszy życia Królewskiego Khagana, nie chciał wracać do wegetacji banity, a w razie klęski był to najlepszy los, na jaki mógł liczyć.

Słowa przyprawiły go o mdłości, lecz wypowiedział je:

–Jedź do Avshara i powiedz mu, żeby zaczynał.

Arghun krzyknął na posłańca. Młody Arshaum pojawił się przy nim z twarzą szarobrunatną od kurzu, z wyjątkiem strużek wymytych przez pot. – Siły się wyrównały – rzekł do niego khagan. – Wracaj do Toluiego i powiedz mu, żeby zaczynał.

Koczownik odjechał galopem.

–Zabieraj się stąd, półgłówku – warknął Avshar. – Gdybym czekał na pozwolenie Varatesha, żeby zacząć swoje czary, straciłby wszystko już dawno temu. Idźże precz, powiedziałem. – Zalękniony Khamorth zawrócił kuca i umknął.

Książę-czarodziej zapomniał o nim, zanim jeszcze zniknął mu z oczu. Zaklęcie, nad którym pracował, pochłaniało całą jego uwagę jak gąbka. Gdyby barbarzyńca przerwał mu proces tkania czaru za jakieś pół godziny, jego życie nie wystarczyłoby, by za to zapłacić.

Avshar wyciągnął tłustą zmiję z torby przy siodle. Wąż zwijał się dziko, usiłując

ukąsić, lecz czarodziej trzymał go tuż za łbem – mocno i pewnie. Jego okryte kolczą siatką palce zacisnęły się; kość chrupnęła głucho. Rzucił węża, z przetrąconym karkiem, lecz wciąż żywego, do małego ogniska, które dymiło przed nim. Płomienie skoczyły, ogarniając żmiję.

Zaczął wstępne zaklęcie, śpiewając monotonnie w jakimś zapomnianym języku i jednocześnie wykonując rękoma dokładnie odmierzone ruchy. Nawet na samym początku czaru błęd mógł

oznaczać nieszczęście. Nie miał zamiaru popełnić żadnego błędu.

Chmury zakryły słońce. Gdzieś na krańcach postrzegania wyczuł inną moc, znikomą, tuż obok swojej, tkającą magię. Kiedy skończył śpiewać, pozwolił sobie na luksus śmiechu. Zaklęcia przyzywające deszcz, czy tak? Jeśli jego przeciwnicy posądzają go o taki brak wyobraźni, że nie potrafi uczynić nic innego, jak tylko powtórzyć ściany ognia, którymi zaszachował jeźdźców Targitausa, to tym lepiej. Nie zamierzał nic tak banalnego.

Tak jak wznosi się świątynię, kładąc cegłę po cegle, tak on budował swój czar, układając jedno zaklęcie na drugim. Roześmiał się znowu, zadowolony z porównania. Lecz mimo swego posępnego rozbawienia, nie pozwolił sobie na pokusę porzucenia metodycznej dokładności na rzecz pośpiechu. Nawet dla czarodzieja tak potężnego jak on przyzywanie demonów nie należało do łatwych przedsięwzięć. Wezwanie ich, a potem panowanie nad nimi wymagało od niego najwyższego wysiłku; gdyby jego wola zachwiała się choć raz, zwróciłyby się przeciwko niemu i w mgnieniu oka rozdarłyby go na strzępy.

Na palcach obu rąk mógł policzyć inwokacje, jakie wykonał od czasu, kiedy po raz pierwszy zrozumiał i uznał, że na świecie panuje Skotos. W tej liczbie mieścił się uwięziony w sztylcie duch, który powinien był pochłonąć przeklętą duszę Skaurusa, lecz w jakiś sposób zawiódł; a kilka dziesięcioleci przed tym demon, który nie zawiódł – zabił Varahrana, ostatniego Króla Królów Makuranu, w jego łożu i otworzył jego kraj dla Yezda. A jeszcze wcześniejsza inwokacja miała miejsce ponad sto lat przed tamtą...

Otrząsnął się z zamyślenia, gdy rosnąca moc roju demonów, którą sam wzniecał, obróciła się przeciwko jego władzy. Poskromił je surowo, zesłał im męki za to, że ośmieliły się skierować przeciwko niemu. Ich pełne udręki skowyty zabrzmiały w jego głowie. Kiedy ukarał je wystarczająco, podjął na nowo powolny, uważny proces zmierzający do ich uwolnienia – na jego warunkach.

Tym razem jego śmiech wypełniało rozbawione oczekiwanie. Jak to z demonami bywało, każdy członek roju był mały i słaby. Tak jak pojedyncza pszczoła czy osa. Jednak kilka ich setek, jednocześnie doprowadzonych do wściekłości, to zupełnie

coś innego. Arshaumi padną jak skoszeni.

Avshar zatarłby ręce na myśl o tej perspektywie, gdyby nie wypełniał ich pewien proszek.

Wsypał go w ogień. Płomienie buchnęły z błękitną, zjadliwą gwałtownością. Okrutne głosy zakrzy-

czały z samego serca blasku, rycząc, dopytując się. Uciszył je, ułagodził. – Wkrótce – po

wiedział... Wkrótce.

Słaby, niepewny huk grzmotu zadudnił w górze. Jak cierpiący na wzdęcia człowiek, który zjadł zbyt wiele grochu -pomyślał pogardliwie książę-czarodziej. Zaszleścił deszcz; tu i tam parę kropel. Pulsujący ogień zlekceważył je. Nie pochłaniał już drewna i chrustu, lecz żywił się mocą duszy czarodzieja. Avshar czuł, jak siła wysącza się z niego, ale to, co mu pozostanie, i tak wystarczy.

W falistym geście uniósł ręce nad głowę i zaintonował hipnotycznie rytmiczną pieśń, która podda pierwszego z roju jego rozkazom. Głęboko wewnątrz skaczących błękitnych płomieni zaczął migotać jakiś kształt. Zwracał się to w tę stronę, to w drugą, na ślepo, aż w końcu, przypadkiem, zwrócił się ku niemu. Wówczas skłonił się nisko, rozpoznając swego pana.

Avshar pochylił głowę w odpowiedzi, lecz przestrzegł głosem brzmiącym jak okryty szronem kamień: – Lepiej to zapamiętaj; tak, i twoi bracia również.

Demon skurczył się ze strachu.

Varatesh ledwie usłyszał w oddali pomruk grzmotu; zasypywał ciosami jakiegoś upartego Ar-shauma i w końcu zwałił przeciwnika z siodła. Nie zwrócił też większej uwagi na ciemne, pędzące chmury, które nagle wypełniły niebo – bez wątpienia jakiś skutek uboczny czarów Avshara. Nigdy nie dociekał tego. Nie chciał wiedzieć.

Kropla deszczu rozprysnęła się na policzku Varatesha, inna na dłoni jego lewej ręki. Grzmot zadudnił znowu. Głośniejszy. Poczul lekki dotyk na karku i odruchowo przesunął po nim ręką. Zamknęła się na czymś małym i miękkim. To coś wkręcało mu się pomiędzy palce.

Rozwarł dłoń. Maleńka drzewna żabka, zielona w brązowe plamy, siedziała skamieniała na jego dłoni; strach rozwarł szeroko jej złote oczy, a worek pod gardłem nadymał się i kurczył w rytm szybkiego oddechu.

Varatesh krzyknął w najwyższym obrzydzeniu i odrzucił maleńkie stworzenie

najdalej jak potrafił, a potem wytarł gorączkowo ręce w spodnie z kozłej skóry. Żaby, ze swoją pokrytą śluzem, zimną skórą i piskliwymi, ćwierkającymi głosami, zgodnie z wierzeniami Khamorthów dawały schronienie duchom zmarłych. Nawet ich głos przynosił pecha; dotknięcie wróżyło nieskończenie gorsze nieszczęście; stanowiło znak, że wkrótce sam umrze.

Wstrząśnięty, próbował przestać myśleć o złowróżbnym znaku i skoncentrować się znowu na walce. Lecz po chwili jeszcze jedna żaba spadła z nieba, wplątując się w długą grzywę jego kuca. Jej blade tylne nogi miały się i kopały. Kolejna wylądowała na kolanie Varatesha. Odskoczyła, zanim zdążył zmiażdżyć ją pięścią. Z boku szyi poczuł jeszcze jeden upiorny dotyk; mała żabka z przyssawkami na palcach nóg przemknęła błyskawicznie po jego twarzy, zbyt szybka by zdołał ją zabić. Splunął i zamrugał, i jeszcze raz, i jeszcze. Poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła.

Varatesh został niemal zrzucony ze swego konia, kiedy jeździec z jego prawej strony, uderzający się jak szalony po całym ciele, stracił panowanie nad swoim wierzchowcem i najechał bokiem na jego kuca. – Uważaj, niezdaro! – Tamten sprawiał wrażenie, że go nie słyszy. Wciąż zrzucając z siebie żaby ruszył naprzód, nie zastanawiając się nad własnym bezpieczeństwem, i szybko padł, stając się łatwym łupem dla żarłocznego arshaumskiego pałasa.

Zbyt późno Varatesh zrozumiał, że chmury nad polem bitwy nie są częścią czarów Avshara. Żaby spadały z nich strumieniami, potokami, całą wręcz powodzią. A im więcej ich spadało, tym większy chaos szerzył się w szeregach Khamorthów. Niektórzy uciekali, wrzeszcząc z przerażenia. Innych, takich jak ów nieszczęsny wojownik, który zderzył się z hersztem banitów, za bardzo rozstroiła okropna przepowiednia związana z dotknięciem żaby, by mogli myśleć o własnym bezpieczeństwie – i w ten sposób pomagali spełnić ją. Ci zaś twardzi dziwacy, którzy odrzucili zarówno złowróżbne znaki jak i panikę, stanowili zbyt małą garstkę, by odeprzeć atak Arshaumów rozpoczęty natychmiast, gdy tamci zauważyli zamieszanie w szeregach swych przeciwników.

Wściekłość wypędziła przerażenie z Varatesha. Ryczał plugawe przekleństwa, starając się zebrać wokół siebie swych przepełnionych lękiem towarzyszy. – Stać! – krzyczał. – Stać, wy pozbawieni jaj i odwagi tchórze o owczych sercach! – Lecz oni nie chcieli się zatrzymać. Ani jego słowa, ani dzikie wymachiwanie szablą nie powstrzymały bezładnego odwrotu. Pojedynczo i dwójkami, grupkami i całymi oddziałami jego armia odpływała na północ, z powrotem ku ojczystym pastwiskom, zagarniając go ze sobą.

Gdy żaby spłynęły na ziemię wraz z deszczem i szeregi koczowników zaczęły się chwiać, Viri-doviks wyciem wyraził swoją radość. – Spójrzcie na te małe rzekotki, zobaczcie jak spadają z niebios! - rechotał. Kilka spadło na niego. Był do nich nastawiony niezwykle życzliwie i pozwolił im zostać; miały się tu bezpieczniej niż pod

walącymi końskimi kopytami.

Podjechał do Gorgidasa i klepnął go w plecy tak mocno, że Grek odwrócił się gwałtownie z mieczem w ręku sądząc, że został zaatakowany. – Pewne jak nic, że jesteś geniuszem, ty i twoje rzekotki! – zawołał Gał. – Widzisz, jak te bękarty miotają się, jak kury z ukręconym łbem, które nie wiedzą czy mają spaskudzić się pod siebie, czy też umykać na oślep? Całkiem otumanieli!

–Na to wygląda – przytaknął Gorgidas obserwując, jak dwóch pędzących na oślep Khamor-

thów wpada na siebie. Zdjął żabę z policzka. Odskoczyła, gdy próbował posadzić ją na swej futrze

nej czapie. – Tolui i reszta szamanów wspañiale sobie poczynają, czyż nie?

Viridoviks uderzył się ręką w czoło. – I to wszystko, co powiesz? – rzekł z oburzeniem. – Jeśli chodzi o radość, jaką czerpiesz z życia, to równie dobrze mógłbyś być zimnym trupem. Gdzie przechwałki? Gdzie puszenie się? Gdzie byłby teraz Tolui i cała zgraja jego czarowników, gdyby nie twój plan?

–Och, poskowycz sobie! – powiedział Gorgidas, lecz jego szczupłe rysy rozciągnęły się w

uśmiechu, gdy obserwował szeregi Khamorthów rozpadające się pod żabią ulewą, jak ludzie z soli

w deszczu. – *Brekekekeks!* - zaskrzeczał radośnie. – *Brekekekeks! Kuaks! Kuaks!*

Viridoviks spojrział na niego dziwnie. – Czy tak właśnie gadają żaby w twojej grece? Pokaż mi

któregoś dnia, jak robi porządna celtycka rzekotka, której rehot jest rehotem i koniec.

Lekarz nie znalazł okazji, by odwzajemnić się jakąś ciętą odpowiedzią. Trzech Khamorthów pędziło na niego i na Gała; mężni wojownicy, którzy postanowili poświęcić siebie, by swoim życiem okupić czas potrzebny ich towarzyszom na ucieczkę. Grek rozpoznał Rodaka, syna Papaka. Niegdysiejszy poseł mknął ku niemu z okrzykiem – Varatesh! – na ustach. Gorgidas nie miał możliwości, by zastosować swoje pchnięcie, a było to wszystko co mógł zrobić, aby uratować się przed żywiołowym atakiem Rodaka. Zaskowyczał, gdy pałasz Khamortha nakreślił krwawą linię wzdłuż jego ramienia.

Nagle głowa Rodaka zeskokczyła z jego ramion. Gdy wszystkie mięśnie bluzgających

krwią zwłok skurczyły się konwulsyjnie, Batbaian natarł na drugiego banitę i odrąbał mu rękę w łokciu. Z okropnym wrzaskiem Khamorth wcisnął kikut pod drugie ramię, by zatamować krwawienie. Zakręcił wierzchowcem w miejscu i umknął co sił w końskich nogach. Batbaian pogalopował, by pomóc Viridoviksowi w walce z trzecim napastnikiem. Po utracie oka i rzezi swego klanu zwykle żaby nie mogły go przestraszyć.

Viridoviks zabił swego przeciwnika zanim Batbaian zdążył do niego podjechać. Młody Kha-morth wytrzeszczył oczy na chorągwie armii Varatesha. Znajdowały się w rozsypce, niektóre poruszały się w jednym kierunku, inne w przeciwnym, jeszcze inne drżały, jak gdyby ich chorążowie dostali ataku malarii.

–Znam te klany – powiedział. – Nie mogą być do końca zepsute – Rysie, klan Czterech

Rzek, Łaciate Kozy, Pustułki... – Spiał konia ostrogami i pomknął ku Khamorthom, wołając: –

Do mnie! Do mnie! Zwróćcie się przeciwko Varateshowi i jego brudnym bandytom! Wilki! –

krzyknął i zakończył ów krzyk przeraźliwym, wojennym wyciem swego klanu.

Dreszcz przebiegł Viridoviksowi po krzyżu. Tylko Batbaian mógł wznieść teraz taki okrzyk. Nie, był jeszcze ktoś – czyż nie podzielił się krwią z Targitausem w akcie braterstwa? Odrzucił głowę do tyłu i zawył, sam wznosząc okrzyk: – Wilki! Słyszycie mnie, wy padlinożerne łajzy? Wilki! – Popędził z łomotem kopyt za Batbaianem.

Potok uciekających Khamorthów spłynął z południa, gnany falą pędzących w pościgu Ar-shaumów. – Irnek zepchnął ich! – rzekł Arigh. – Siedzi im na karku!

–Tak – odparł jego ojciec. – Jeśli uderzymy teraz, możemy dostać całą tę gromadę. – Ar-

ghun wziął od chorążego lancę z kaftanem Bogoraza. Wycelował ją w kłębiących się Khamorthów,

których szeregi straciły wszelkie pozory porządku, kiedy nowa fala uciekinierów wpadła na wciąż

jeszcze walczące oddziały. – W nich! – zawołał. Pędząc tuż za Batbaianem i Viridoviksem, za-

szarżował Siwy Koń Arshaumów.

Kiedy pierwsza żaba spadła z nieba, Avshar uznał ją za wybryk natury i zmiażdżył pod butem. Lecz potem spadła jeszcze jedna i zaraz po niej cała garść. Kilkaset kroków przed nim zgiełk bitwy zmienił się. Książę-czarodziej uniósł głowę, czujny jak stary wilk, gdy zmieni się wiatr.

Wyczuwając jego rozterkę, demon kulący się w czarodziejskim ogniu targnął się z całą mocą, próbując wyrwać się spod jego władzy. Avshar zatoczył się. – Chcesz mnie sprawdzić, co? – ryknął, gromadząc wszystkie swoje siły, by skierować je przeciwko buntowniczemu demonowi. Zły duch opierał się, lecz nie mógł posłużyć się całą mocą swego roju; jego współbracia nie znajdowali się jeszcze całkowicie na płaszczyźnie, na jakiej walczył. Avshar opanował jego bunt i ukarał go, sprowadzając nań taką mękę, jakiej demon nie potrafił sobie nawet wyobrazić. Końcowym gestem, wyrażającym wyniosłą pogardę i nienawiść, książę-czarodziej przerwał połączenie pomiędzy przywódcą roju a jego towarzyszami.

Przerażony, samotny w sposób, jakiego nigdy nie miał okazji poznać, demon lamentował i zawodził. – To kara mniejsza niż ta, na jaką zasłużyłeś, zdradziecki robaku! – wysyczał Avshar.

Przygotowywał zaklęcie, które połączyłoby rój z jego przywódcą i zmusiłoby demony do spełniania jego rozkazów, lecz nie miał czasu, by je rzucić. W czasie, kiedy on walczył z demonem, tocząca się przed nim bitwa załamała się. Mijali go pędzący w galopie Khamorthci, za bardzo przerażeni żabami i Arshaumami, by odczuwać strach przed czarodziejem. A od samych Arshaumów mogło go dzielić zaledwie parę chwil; Arshaumów gorąco pragnących wziąć odwet za jego strzały.

Zacisnął pięści z wściekłości, która go niemal zdławiła. Pokonany przez kuglarską sztuczkę! Lecz przeżył zbyt wiele lat, by poddać się słodkiej pokusie furii. Wskoczył na grzbiet swego wielkiego, czarnego rumaka – nie było czasu na zaklęcie przenoszenia, nawet gdyby nie wyczerpały go wcześniejsze czary. Jego długi miecz wysunął się ze zgrzytem z pochwy. Zatem zimne żelazo, i nic więcej.

Nie, nie całkiem. W chwili gdy czarodziej wbijał ostrogi w boki ogiera, wyrzucił prawe ramię, kreśląc nim szybki, zawily wzór. Błękitne płomienie ogniska zgasły; więziony w nich demon został uwolniony.

Avshar wskazał na wschód. – Zabij dla mnie przywódcę tego przeklętego motłochu, a wówczas możesz stąd odejść za moim pozwoleniem i połączyć się znowu ze swoimi braćmi.

Szpony demona zacisnęły się pożądliwie. Jego skośne oczy wciąż wypełniała groza samotności. Skoczył w powietrze na czarnych, skórzastych skrzydłach nietoperza i zatoczył koło nad polem bitwy, by odnaleźć wskazaną mu ofiarę.

Książę-czarodziej nie odprowadził go wzrokiem. Galopował już na południe, byle dalej od umykających Khamorthów. To narzędzie zostało rozbite, lecz miał jeszcze inne.

Viridoviks nie zwrócił uwagi, kiedy druidyczne runy na jego mieczu rozplómiły się złotym blaskiem. Jarzyły się łagodnie od jakiegoś czasu z powodu czarów Toluiego, a on znajdował się w samym sercu ścisku, z całych sił waląc na prawo i lewo. Bez przerwy wznosił wojenny okrzyk Wilków, choć gardło miał już obolałe i głos mu ochrypl. Kilka razy usłyszał w odpowiedzi okrzyki, które nie pochodziły od Batbaiana, a raz zobaczył dwu Khamorthów, siekących się toporami. Pierwsze niepowodzenie sprawiło, że krucha potęga Varatesha rozsypała się w proch.

Jak gdyby samo imię wystarczyło, żeby wyczarować człowieka, Celt spostrzegł nie dalej jak pięćdziesiąt stóp od siebie herszta banitów, wykorzystującego siłę swego dzielnego konia, by przedrzeć się przez ścisk. Ich spojrzenia spotkały się. Viridoviks uniósł swój miecz w geście wyzwania. Varatesh skinął głową i zawrócił wierzchowca. Płazem szabli uderzył jednego z własnych ludzi po barkach. – Z drogi, ty tam! To jest sprawa pomiędzy nami dwoma!

Zbliżali się ostrożnie ku sobie, każdy świadom sił swego przeciwnika. W pieszym spotkaniu na miecze Viridoviks byłby pewien swego; jako szermierz Varatesh nigdy nie miał szans, by mu dorównać. Lecz trwający całe życie kontakt koczownika z koniem stawał przewagą Gala pod znakiem zapytania.

Dufny w swe umiejętności jeździeckie, Varatesh uderzył pierwszy; zadał cięcie wymierzone w głowę Celta, które Viridoviks sparował bez trudu. Herszt banitów uniósł klingę w salucie. – Szkoda, że tak musi się to skończyć. Gdyby duchy stworzyły świat odrobinę inaczej, moglibyśmy zostać przyjaciółmi, ty i ja.

–Przyjaciółmi, tak? – Viridoviks zatoczył koniem, ciął; z płynnym wdziękiem Varatesh zanurkował pod jego mieczem. Wspomnienia napłynęły przed oczy Celta, dopóki czerwona mgła niemal zupełnie nie zatarła mu pola widzenia: Varatesh kopiający go w łokieć, by przestrzec go przed próbą ucieczki, kiedy był jeńcem banitów; zmasakrowany obóz – och, i jedno ciało w szczególności – wspomnienie Seirem poraziło go jak grom; setki oślepionych ludzi posuwających się niezdarnie naprzód z zapłakanymi, czerwonymi oczodołami, przywiązanych do pięćdziesięciu, którym pozostawiono jedno oko, by mogli ich prowadzić. – Przyjaźń z kimś takim jak ty, żądny krwi bękarcie? Nawet Skotos Imperium naplułby na ciebie. – Ciął ponownie, z nową siłą, jakiej gniew użyczył jego ramieniu. Varatesh chrząknął, gdy odbijał cięcie. Następne trafiło w cel.

Ból wykrzywił usta Khamortha, lecz ból wywołany słowami Viridoviksa, nie raną, – Wiem, co sobie myślisz – powiedział i Celt wbrew sobie musiał mu uwierzyć. – Do tych gwałtów zostałem zmuszony i do tych wcześniejszych również. Nienawidzę

siebie za każdy z nich. Mogłem robić to, co robiłem albo umrzeć, po tym, jak zostałem niesłusznie wygnany. – Jego głos przepełniało rozpaczliwe błaganie, jak gdyby usiłował przekonać zarówno siebie jak i Viridoviksa o tym, że mówi prawdę.

Na chwilę w Galu wezbrało współczucie, lecz potem jego wzrok stwardniał, a dłoń zacisnęła się

ponownie na rękojeści miecza. – Człowiek wrzucony w łajno może się z niego wygrzebać i obmyć albo też może pogрузić się w nim jeszcze głębiej. Pomyśl o wyborze, jakiego dokonałeś.

Niepohamowana wściekłość, pod wpływem której Varatesh stawał się niebezpieczny zarówno dla wrogów jak i przyjaciół, zmieniła jego przystojne rysy w maskę bardziej przerażającą niż ta, którą zakładał Tolui. Zasypał Viridoviksa lawiną ciosów, wykorzystując swoją lżejszą, szybszą klingę, by uderzać, a potem znowu uderzać, nie dając Celtowi żadnych szans na odpowiedź. Viridoviks wykręcał się w siodle, broniąc się najlepiej jak potrafił. Poczul jak stal rozcina mu ciało, lecz bitewna gorączka rozgorzała w nim z taką mocą, że nie dopuściła bólu do jego świadomości.

Inaczej jednak rzecz się miała z jego koniem; kwiknął i podskoczył, wyginając grzbiet i ściągając nogi, kiedy Varatesh rozciął mu łopatkę. Viridoviks przeleciał przez koński łeb. Wylądował ciężko na boku. Gdy Varatesh zatoczył swoim wierzchowcem i zawrócił, by dokończyć dzieła, Gal pozbierał się i stanął na nogi. Pochwycił cugle swego kuca, mając nadzieję, że zdoła go dosiąść nim Khamorth spadnie na niego. Przeliczył się. Kuc, oszalały z bólu, wyrwał mu się i uciekł, wciąż podskakując i kopiąc.

Uśmiech Varatesha, w jaki rozciągnęły się jego umazane krwią usta, przedstawiał okropny widok. Viridoviks zważył w ręku miecz i stanął mocno na nogach, choć piesza walka z jeźdźcem miała tylko jedno prawdopodobne zakończenie.

Właśnie gdy Varatesh spiął konia, ruszając na Gala, z tłumu wojowników obserwujących pojedynek wypadł jakiś jeździec i pomknął ku niemu. Herszt banitów zawrócił gwałtownie, by stawić czoło niespodziewanemu atakowi, lecz spóźnił się. Krzywa szabla Batbaiana uniosła się i opadła. – Za mojego ojca! – zawołał. Trysnęła krew. Ciął ponownie. – Za moją matkę! – Varatesh zgiął się w siodle. Dwa cięcia, od prawej i z powrotem, zadane z okrutną siłą. – I za mnie! – Z ust Va-ratesha wydobył się bulgotliwy okrzyk, kiedy klinga rozrąbała mu twarz, dając Batbaianowi pełne zadośćuczynienie za własne zeszpecenie.

Banita runął na ziemię i legł bez ruchu. – Łap swojego konia – zawołał do Viridoviksa Batba-ian. Sam rzucił się naprzód. Varatesh jęknął i przetoczył się na plecy. Viridoviks uniosł miecz, by go dobić, lecz jednookie, gasnące spojrzenie banity unieruchomiło go.

Usta Varatesha poruszyły się. – Wygnany niesprawiedliwie... nie moja wina – wykrztusił, dławiąc się. – Przysięgam... Kodoman wyciągnął nóż... pierwszy. – Kaszlnął, z jego ust buchnęła krew i znieruchomiał już na zawsze, z wyrazem straszliwej natarczywości na twarzy.

Kuc zatańczył nerwowo, gdy znowu poczuł na sobie ciężar Viridoviksa, lecz nie rzucił go. Celt spojrzął na ciało Varatesha. – Sądysz, że mówił prawdę, teraz, na samym końcu?

Batbaian zmarszczył brwi. – Nie obchodzi mnie to. Dostał na co zasłużył. – Zawahał się i przez chwilę wyglądał na tyle lat, ile miał naprawdę. – Przykro mi, że wmieszałem się do pojedynku.

–A mnie nie, chłopcze – odparł szczerze Viridoviks. Zaczynał czuć swoje rany. – Choć z

pewnością zasługiwał na pogardę, to był najzręczniejszym szermierzem, z jakim się spotkałem;

pewnie by mnie dostał. A poza tym – dodał cicho – miałeś uzasadnione powody, żeby się wtrącić.

–Batbaian, zadowolony, skinął głową.

Śmierć wodza przyspieszyła pogrom Khamorthów. Uciekali na północ, naciskani mocno przez

wojowników Arghuna. Khagan wymachiwał chorągwią nad głową, ponaglając swoich jeźdźców. Ubezpieczany z boków przez swoich synów, zrównał się z Viridoviksem i Batbaianem na czele atakujących. – Znałeś go, tego, którego powaliłeś? – zapytał.

–Tak – odparł Batbaian; Viridoviks, niemal równie zwięźle, uzupełnił jego odpowiedź: – To

był Varatesh.

Twarz Arghuna rozjaśniła się uśmiechem generała, który widzi pewne zwycięstwo swoich wojsk; uśmiechem człowieka, który wciąż znajduje radość w wojnie. – Zatem nic dziwnego, że poszli w rozsypkę. Dobrze wliczyliście, obaj.

Viridoviks chrząknął; Batbaian nic nie powiedział. Dizabul, a nawet Arigh, skrzywili się na takie ich grubiaństwo, lecz Gala mało to obeszło. Niektóre zwycięstwa trzeba było drogo okupić, by móc się nimi cieszyć.

Ktoś pociągnął go za rękaw. Odwrócił się i ujrzał przy sobie Gorgidasa; poczuł się tak, jak gdyby spotkał kogoś z innego świata. – Więc wciąż żyjesz? – rzekł, patrząc na niego z oszołomieniem.

Greki odpowiedział znużonym uśmiechem. – Choć nie z własnej winy, jak sądzę. Jeśli tylko w przyszłości będę miał taką możliwość, to pozostanę przy relacjonowaniu bitew, zamiast walczyć w nich; to zarówno bezpieczniejsze, jak i pozostawiające mniejszy zamęt w głowie. – Wyciągając wełniany bandaż z torby przy siodle, zwrócił się rzeczowym tonem do Viridoviksa: – Pozwól, niech przewiążę ci ramię. To cięcie, które przebiło twój pancerz, będzie musiało poczekać, dopóki nie znajdziemy czasu, by cię rozebrać.

Dopiero teraz Viridoviks uświadomił sobie, że tępy ból, jaki odczuwa w piersiach, nie jest wywołany zwykłym wyczerpaniem; poczuł ciepłą wilgoć ściekającą po żebrach i zobaczył szczelinę w swoim pancerzu z prażonej w ogniu skóry. Powierzchnowa rana – zdecydował – ponieważ nie czuł płytkości oddechu towarzyszącej przekłuciu płuca.

Wyciągnął rękę, by Gorgidas mógł ją zabandażować, lecz zaraz cofnął ją gwałtownie. Runy druidów płonęły żółtym ogniem na całej długości klingi. Lecz deszcz żab, spełniwszy swój cel, słabł.

–Avshar! – krzyknął Gal, rozglądając się dziko na wszystkie strony w poszukiwaniu księcia-czar

odzieją.

Lecz kiedy niebezpieczeństwo objawiło się, spadło z niebios niczym żaby Toluiego, uderzając jak spadający na ofiarę jastrząb. Arghun nagle jęknął. Lanca z chorągwią wyleciała mu z rąk i spadła na ziemię, gdy runął na koński kark, drąc palcami podobną do kruka okropność, która przy-

warła do jego karku. To coś również szarpało go pazurami; szpony okropności rozrywały ścięgna i mięśnie. Ostry jak brzytwa dziób wbił się głęboko w ciało Arghuna; wszyscy w pobliżu usłyszeli trzask kości. Nietoperze skrzydła przykrywały barki khagana jak cień śmierci. Arghun szamotał się coraz słabiej.

Arigh i Dizabul krzyknęli jednocześnie; nikt nie zdołałby powiedzieć, który z nich pierwszy opuścił swój miecz na grzbiet demona. Lecz klingi odskoczyły od jego opancerzonej powłoki. Spojrzał na nich wściekle przez przecięte pionowymi źrenicami oczy, czerwone jak zachodzące słońce, i nie rozluźnił swego chwytu.

Wówczas Viridoviks ciął bestię. Druidyczne runy łysnęły jak błyskawica, gdy jego miecz roz-rąbywał nieziemskie ciało; zamrugnął i potrząsnął głową, na wpół oślepiiony wybuchem światła. Demon wrzasnął ostro, przeraźliwie, w krańcowej męce. Trysnęła

z niego fontanna ohydnie cuchnącej posoki, obryzgując dzierzążą miecz rękę Gala. Szarpnął ją do tyłu; posoka paliła jak kwas.

Wciąż wrzeszcząc, demon odpadł od Arghuna i zaczął miotać się w agonii. Wypełniony wściekłością zrodzoną z odrazy i strachu, Viridoviks przerąbał go na pół. Zawodzenie ustało, lecz każda połowa poruszała się trzepotliwie z nienaturalną żywotnością. Potem, kiedy już naprawdę stało się martwe, ciało rozsypało się w miazgi, szary popiół, który rozwiął się na wietrze.

–Przepuście mnie, przeklęci! – zawołał Gorgidas, przepychając się pomiędzy Celtem i Ari-

ghem, żeby jak najszybciej dostać się do Arghuna. Khagan leżał bezwładnie na grzbiecie konia;

Gorgidas wciągnął głośno powietrze w gwałtownym, przerażonym wdechu, kiedy zobaczył ziejącą

ranę, jaką w ciele Arghuna pozostawił demon. Khagan miał szarą twarz, oczy uciekły mu w głąb

czaszki. Gorgidas zatamował krwawienie najlepiej jak potrafił i zaczął szukać pulsu. Nie wyczuł

nic.

Bliski paniki, lekarz sięgnął w głąb swego jestestwa, by wprowadzić się w leczniczy trans. Poczuł jak świadomość tego, co go otacza, wszystkiego z wyjątkiem straszliwych ran Arghuna, oddala się od niego. Położywszy na nich ręce, skierował na nie uzdrowicielską moc z całą siłą, jaką dysponował. Lecz nie było tam nic, co by ją przyjęło, najmniejszej iskierki życia, która mogłaby się rozpaść. Już kiedyś czuł tę straszliwą pustkę, próbując uratować Kwintusa Glabrio, gdy jego ukochany stracił na to wszelkie szanse.

Z wolna Gorgidas wrócił do siebie. Przeniósł wzrok z Arigha na Dizabula i rozłożył ręce, wilgotne od krwi ich ojca.

–Odszedł – powiedział. Głos mu się załamał i nie mógł już powiedzieć nic więcej; przez tych

kilka ostatnich miesięcy Arghun traktował go jak syna, z wdzięczności za uratowanie mu życia.

Tym razem okazało się, że jest to dar, którego Gorgidas nie może mu ofiarować.

Dizabul i Arigh nie uronili lzy; nie leżało to w zwyczaju Arshauniów. Zamiast tego wyciągnęli sztylety i rozorali sobie policzki, oplakując utratę ojca krwią, a nie wodą. Potem, wciąż z nożami w

ręku, spojrzeli na siebie z nagłą podejrzliwością. Jeden z nich zostanie khaganem, a Arghun nie wyznaczył następcy.

Kiedy chorągiew Arghuna upadła na ziemię, pościg Khamorthów załamał się w zamieszaniu, gdy Arshaumi ściągnęli wodze, by dowiedzieć się, co się wydarzyło. Usłyszawszy o śmierci kha-gana, poszli za przykładem jego synów, żegnając go własną krwią. Lankinos Skylitzes bez wahania postąpił tak jak koczownicy; reszta grupy wchodzącej w skład videssańskiego poselstwa wyrażała swój żal wedle własnego zwyczaju.

–Gdzie uciekł czarownik? – zawołał Arigh do gęstniejącego wokół niego tłumu wojowników.

Wysunął szczękę na północ, ku chmurze kurzu, która znaczyła drogę ucieczki rozbitych Khamor-

thów. – Jeśli jest z tym motłochem, będę go ścigał, dopóki nie spadnę z krawędzi świata.

Kilku ludzi Irneka powiedziało coś do swego wodza; Irnek podjechał do braci i ze skrupulatnie obliczoną bezstronnością pokłonił się zarówno Arighowi jak i Dizabulowi. Znowu spojrzeli po sobie. Irnek uśmiechnął się, lecz zaraz stał uśmiech z twarzy. Szczuje ich na siebie, kiedy z żalu tracą panowanie nad sobą – uświadomił sobie Gorgidas – by osłabić Siwe Konie i umocnić pozycję własnego klanu Czarnej Owcy. Pomyślał, że wysoki, opanowany Arshaum ma bystry umysł – człowiek ten zachowywał się jak Videssańczyk.

Jednak słowa Irneka nie mogły być na chłodno skalkulowane, nie w sytuacji, kiedy dowiedział się właśnie o śmierci Arghuna. – Jakiś olbrzym w białych szatach na ogromnym koniu przedarł się przez moich jeźdźców i skierował na południe - poinformował. Jego wojownicy potwierdzili to okrzykami; jeden z nich został rozbrojony uderzeniem szerokiej klingi miecza Avshara i uważał się za szczęśliwca, że nie stracił przy tym również głowy.

–Oby zaraza spadła na Włochaty! Niech sobie więc uciekają – rzekł Arigh. Machnął ręką

na kilkunastu wojowników swego klanu. – Wziąć nowe konie z obozu i ruszać za czarownikiem.

Nie obchodzi mnie, jak szybki jest ten wielki, czarny ogier. Tak, widziałem go.

Czarownik nie ma

koni na zmianę, więc dopędzimy go, prędzej czy później. – Na myśl o tym wyszczerzył zęby w

wilczym uśmiechu.

Kiedy jeźdźcy oddalili się pospiesznie, Dizabul skierował się ku swemu bratu, pytając gniewnie: – Kim jesteś, by tak wydawać rozkazy? – wydawało się, że jedna z brwi Irneka drgnęła, lecz zbyt dobrze panował nad wyrazem swej twarzy, by mogła ona zdradzić cokolwiek z tego, co myśli.

–A kim jesteś ty, by mówić mi, że nie mogę? – Głos Arigha zabrzmiał jedwabistym tonem

groźby. Arshaumi Siwego Konia ukradkiem zmieniali pozycje, niektórzy ustawiając się za jednym

bratem, inni za drugim. Gorgidas przeraził się, kiedy ujrzał, jak dużym poparciem cieszył się Diza-

bul. W znacznej mierze odzyskał dobre imię po hańbie, jaką ściągnął na siebie popierając Bogoraza,

a wielu członków klanu czuło się swobodniej z nim niż z Arighem, gdyż starszy syn Arghuma

spędził wiele czasu w Videssos, z dala od stepu.

Irnek siedział cicho na swym koniu, obserwując rozkład sił.

–Chwileczkę, panowie! – Pikridios Goudeles przecisnął się przez tłum do Arigha i Dizabula.

Elegancki zazwyczaj poseł był straszliwie uwalany, pokryty krwią, kurzem i potem. Jednak nie

wpłynęło to w żaden sposób na jego głos, rozbrzmiewający głęboko i dźwięcznie w szkolonych do

takiego sposobu wyrażania się ustach krasomówcy. – Rozkaz jest sensowny, bez względu na to,

kto go wydał.

Nie potrafił posługiwać się językiem Arshaumów tak górnolotnie jak rodzimym

videssańskim, lecz mówił nim już całkiem dobrze. Synowie Arghuna zwrócili się ku niemu, by wysłuchać, co ma do powiedzenia. Ciągnął dalej: – Zastanówmy się, kto zyska na tym, że podzielicie się w chwili zwycięstwa? Tylko Avshar. Pokonanie go jest waszym najważniejszym celem, wszystko inne ustępuje przed nim. Czyż nie jest tak?

–To prawda – rzekł z powagą Arigh. Dizabul wciąż rzucał spode łba groźne spojrzenia, lecz i

on przytaknął niechętnym skinieniem głowy. Wojownicy klanu Siwego Konia wyraźnie się od

prężyli. Usta Irneka zacisnęły się nieco, jednak kiwnął głową Goudelesowi, szanując dyplomatę za

jego zręczność.

Lecz wówczas odezwał się Batbaian: – To *nie* tak! – Wszyscy spojrzeli na niego z zaskoczeniem. Powiedział: – Po śmierci Varatesha, oby duchy głodnych wilków gryzły go w krocze przez całą wieczność, i rozgromieniu Avshara, teraz przede wszystkim trzeba ponownie doprowadzić Pardraję do porządku, by ich nikczemność nie mogła się tu już nigdy odrodzić. – Pokłusował parę kroków na północ, tam gdzie zniknęli Khamorthci. – Idziesz ze mną, Viridoviks?

Gal drgnął; nie spodziewał się tego pytania. Nie ukrywane błaganie widoczne na twarzy Batba-iana rozdzierało mu serce, a życie z klanem Targitausa, choć zupełnie odmienne od tego, jakie poznał w Galii, miało w sobie część tej samej niefrasobliwej wolności. Dwa lata wcześniej był gotów porzucić Videssos dla Namdalen, lecz teraz, kiedy badał swoje uczucia, czuł tylko nikłą pokusę i żal, że nie jest większa.

Potrząsnął głową ze smutkiem. – Nie mogę, chłopcze. Avshar jest tu najważniejszy, tak myślę, i jest moim wrogiem od chwili, kiedy przybyłem na równiny. Nie chcę go teraz zostawić.

Batbaian opadł w siodle jak człowiek, którego właśnie dosięgnął cios. – Zatem pójdę sam. Mam swoje obowiązki, tak samo jak ty sądzisz, że masz swoje. – Viridoviks wzdrygnął się, jak gdyby ukłuty tymi słowami. Khamorth dodał bardzo cicho: – Zawsze znajdzie się miejsce dla ciebie w moich namiotach. – Zatoczył koniem i ruszył w swoją drogę.

–Czekaj! – zawołał Irnek. Batbaian ściągnął cugle. Naczelnik klanu Arshaumów rzekł do

niego: – Czy pojechałbyś, mając za sobą moich ludzi? Przy pomocy twoich rozproszonych Wło...

–zdusił w sobie to słowo – och, ludzi, możemy uczynić cię panem stepów tak daleko, jak sięgają

na wschód.

Oto – pomyślał Gorgidas – naprawdę ktoś, kto pilnuje, by jego życiowa szansa nie wymknęła mu się z rąk. Batbaian pewnie odczytał jego zamysł, ponieważ prychnął krótkim śmiechem. – Jeśli zgodziłbym się na to, Arshaumie, twoi ludzie pojechaliby na mnie, nie za mną. Nie zostanę dla ciebie przodownikiem stada baranów, wykastrowanym i z dzwonkiem na szyi, by poprowadzić mój lud do zagrody, którą wyznaczysz im ty i twoje pastuchy. Pamiętamy, jak wyparliście ostatnich z nas na wschód za Shaum parę pokoleń temu. Teraz również pragniecie Pardraji, prawda? Mimo wszystko dziękuję ci, ale zwyciężę lub przegram, nie uciekając się do czyjejkolwiek pomocy.

–Doprawdy? – rzekł Irnek. Wciąż uśmiechał się, lecz tylko ustami; jego oczy zmieniły się w

dwa kamienie. Ludzie

Irneka poruszyli się, spoglądając na niego w oczekiwaniu rozkazów. Batbaian zawahał się, a potem sięgnął po pałasz.

Wtedy jednak wybuchnął Arigh: – Na duchy wiatru, zrobi co zechce. Zapłacił za to wysoką cenę i ma to tego prawo. – Ten jeden raz Dizabul poparł swego brata. Przytakujący pomruk rozległ się wśród jeźdźców Siwego Konia Arshaumów, którzy znali i podziwiali Batbaiana. Spoglądali wyzywająco na Czarne Owce Irneka.

Irnek nie dał się wciągnąć w próbę sił. Rozległ się jego śmiech; swobodny, brzmiący zupełnie naturalnie. – Smutnie przedstawiają się sprawy, jeśli Arshaumi zaczynają spierać się o los Włochatych. – Nie marnował już uprzejmości na Batbaiana, tylko odprawił go machnięciem ręki. – Jedź zatem, jeśli ci to odpowiada. – Batbaian zasalutował niedbale Arighowi, a potem Viridoviksowi. Pokłusował na północ. Wkrótce pochłonął go półmrok zmierzchu.

–Któregoś dnia zostanie Królewskim Khaganem, tak myślę – szepnął Viridoviks do Gorgida-sa.

–Powiedziałbym, że masz rację... jeśli uda mu się tego dożyć – odparł Grek. Przypomniał sobie różdżkę, jakiej Tolui użył dla przedstawienia Khamorthów i to, w jaki sposób jej kawałki zaczęły płonąć. Po śmierci Varatesha i rozbiciu jego potęgi, wojna domowa obejmie klany Pardraji, rzucając przeciwko sobie byłych popleczników i ich mściwych wrogów. Batbaian, tego był pewien, zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, ku któremu zmierzał.

Gdy zapadły ciemności Arshaumi rozproszyli się po polu bitwy, obdzierając trupy i podryzując gardła tych Khamorthów, którzy wciąż jeszcze się ruszali oraz tych Arshaumów, którzy wiedzieli, że są śmiertelnie ranni i szukali ucieczki od bólu. Szamani, a Gorgidas wraz z nimi, robili co mogli dla tych, którzy odnieśli mniej poważne rany. Lekarz użył swej uzdrowicielskiej sztuki w przypadku dwóch ciężko rannych wojowników i to z dobrym rezultatem, lecz potem zachwiał się i niemal zemdłał. Całodzienny wysiłek połączony z wyczerpaniem, jakie niósł ze sobą uzdrowicielski trans

sprawił, że ledwie mógł się utrzymać na nogach z oszołomienia wywołanego zmęczeniem.

Większość zwłok pozostała na polu bitwy, oczekując na ostatnią posługę ze strony padlinożer-nych ptaków i innych czyścicieli równin. Tylko Arghun i jeszcze dwaj polegli zastępcy naczelników innych klanów otrzymali właściwy pochówek. Arshaumi Siwego Konia pracowali przy świetle ognisk, kopiąc grób na tyle duży i głęboki, by mógł pomieścić kgahana i jego kuca. Tolui poderżnął zwierzęciu gardło nad samym grobem, zgodnie ze zwyczajem koczowników. Mógł to zrobić albo Arigh, albo Dizabul, lecz żaden nie chciał zrzec się tego przywileju na rzecz drugiego.

Gorgidas wrócił do obozu, kiedy kłótnia o to zaczynała przycichać. Osunął się na ziemię przy ognisku razem z resztą członków poselskiej grupy i wgrzył się odruchowo w kawał wędzonego mięsa. Północ musiała już minąć; zachodził już rożek księżyca.

Synowie Arghuna znowu zaczęli się kłócić, krzycząc z wściekłością. – Ty zepsuty, głupi szczeniaku, dlaczego miałbyś zasługiwać na władzę?

–I kto to mówi, człowiek, który powrócił po trzech latach, by ograbić mnie...

–Długo tak nie pociągną – rzekł Viridoviks z posępną pewnością; z własnego doświadczenia znał walki frakcyjne. – Jedno słowo za wiele i do roboty wezmą się miecze.

Greki lękał się, że Viridoviks może mieć rację. Zniewagi z każdą chwilą brzmiały głośniejsze i stawały się coraz bardziej osobiste. – Wziąłbyś nawet parszywą owcę! – wysyczał Dizabul.

–Nie, bałbym się parchów, którymi ją zaraziłeś.

–A oto nowe kłopoty – zauważył Viridoviks, gdy zauważył Irneka kroczącego żwawo pomiędzy ogniskami. – Czego on chce?

–Własnych korzyści – odparł Gorgidas.

Synowie Arghuna umilkli pod sardonycznym spojrzeniem Irneka. Miał więcej lat i doświadczenia od każdego z nich; sama jego powierzchowność miała w sobie groźbę obnażonej broni. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam – powiedział, zyskując sobie wściekłe spojrzenie Dizabula i groźne zmarszczenie brwi Arigha.

–O co chodzi? – warknął Arigh na tyle wyniośle, że wódz Czarnych Owiec zawahał się.

Jednak Irnek, jak to miał w zwyczaju, z nawiązką wyrównał rachunek: – Mam coś do powiedzenia khaganowi Siwego Konia – oświadczył – bez względu na to, który z was może nim być. – Nie przerwał, by delektować się ich prychnaniem, tylko ciągnął dalej: – Jako że wasz... przyjaciel? klient?... Batbaian dał wyraźnie do zrozumienia, iż mój klan nie jest mile widziany na wschód od Shaum, uznałem za jedyną właściwą rzecz wrócić do naszych ziem i stad w Shaumkhiil. I tak jesteśmy zbyt długo z dala od nich. Wyruszamy jutro.

Obaj bracia krzyknęli zatrwożeni. Dizabul wybuchnął: – A co z twoimi żarliwymi obietnicami pomocy? – Miał powody do wzburzenia; Irnek dowodził więcej niż czwartą częśćią wojsk. Ar-shaumów.

–A jak nazwiesz nasz udział w dzisiejszej bitwie? – odciął się Irnek, wcale słusznie. – Straciłem blisko stu ludzi, a drugie tyle jest rannych. Wystarczająca pomoc, powiedziałbym, jak na walkę, która wcale nie jest moją własną. – Odwrócił się na pięcie i odmaszerował, nie zwracając uwagi na Dizabula, który wciąż zarzucał go wymówkami.

–Musisz być rolnikiem, skoro tak kochasz swoją ziemię – zadrwił miody książe. Plecy Irneka zeszytywniały, lecz nie zatrzymał się.

–Dobry strzał! – rzekł Arigh, klepiąc brata po ramieniu. Gniew na przywódcę klanu Czarnej Owcy stłumił jego złość na Dizabula, przynajmniej chwilowo. Krzyknął za Irnekiem: – Więc pójdziemy dalej bez ciebie! – Irnek wzruszył ramionami, nie zwalniając kroku.

Głowy Gorgidasa i Goudelesasa uniosły się równocześnie; spojrzeli na siebie w osłupieniu. – Nie dostrzegają niebezpieczeństwa. Jak się z tym uporamy? – zapytał Gorgidas.

–A chcemy się uporać? – odparł Goudeles. – Lepiej dia Imperium, jeśli nie będziemy się

wtrącać.

Viridoviks i Lankinos Skylitzes spojrzeli na nich, jak gdyby tamci nagle zaczęli rozmawiać w jakimś obcym języku. Lecz Gorgidas rzekł gniewnie: – Chcemy! To

niesprawiedliwe, by zwałać na nich całe niebezpieczeństwo i doprowadzić do nieszczęścia na ich pastwiskach. Poza tym lubię ich.

–Amatorzy – westchnął Goudeles. – Jakie znaczenie ma sympatia albo sprawiedliwość? – Mimo to w paru zdaniach udzielił zwięzłej rady, bardzo przypominającej to, co również Gorgida-sowi przyszło do głowy. Brwi ich przyjaciół uniosły się w nagłym zrozumieniu. Urzędnik zakończył: – Chcesz im to wyłożyć, czy też ja mam to zrobić?

–Ja to zrobię – odparł Gorgidas; strzyknęło mu w kolanach, kiedy wstawał. Ruszył ku Ar-shaumom, lecz po paru krokach odwrócił się do Goudelesa. – Powiedz mi, Pikridios, jeśli sprawiedliwość nie ma znaczenia, to czym różnisz się od Avshara? – Poszedł dalej, nie czekając na odpowiedź.

Synowie Arghuna rozkładali właśnie swoje lekkie, wojłokowe namioty, kiedy Grek zbliżył się do nich. Arigh skinął mu głową wcale przyjacielsko, Dizabul szorstko. Lekarz wciąż się zastanawiał, czy Dizabul ucieszył się, czy też zasmucił, kiedy zobaczył, że jego ojciec został uratowany przed zatruciem cykutą Bogoraza. Prawdopodobnie nigdy się tego nie dowie.

Zgodnie z uświęconą wiekami helleńską tradycją, wyłożył swoją sprawę w formie pytania. – Jak sądzicie, co Irnek robi w Shaumkhiil, kiedy wy będziecie ścigać Avshara?

–No, wróci do swoich stad – odparł Dizabul, zanim uświadomił sobie, że nie było to zwykłe pytanie. Arigh zrozumiał to szybciej. Używał ciężkiej gałki na rękojeści swego sztyletu do wbijania kołków namiotu; teraz cisnął broń z przekleństwem.

–Odpowiedź brzmi: cokolwiek mu się spodoba – zgrzytnął zębami. – Kto go przed tym po-

wstrzyma?

–W takim razie nie możemy mu na to pozwolić – rzekł gwałtownie Dizabul. Kiedy bogactwa Siwych Koni znalazły się w zagrożeniu, bracia wystąpili przeciwko temu w absolutnej zgodzie; co za pożytek z bycia khaganem klanu doprowadzonego do ruiny?

–Czyżbyś zapomniał, dlaczego się tu znaleźliśmy i co jesteśmy winni Yezd? Tym bardziej teraz. – Arigh spojrział z pogardą na młodszego brata. Nie opodał koczownicy wciąż zasypywali grób Arghuna.

–N-nie, ale co możemy zrobić? – odparł zakłopotany Dizabul. Arigh zagryzł wargę.

–Czy mogę coś zaproponować? – zapytał Gorgidas. I znowu Arigh pierwszy skinął

głową, a po nim dopiero, ostrożnie, Dizabul. Kiedy Grek zobaczył, że ma ich przyzwolenie, ciągnął dalej: – To może być jedyna chwila, kiedy wy dwaj, jako przywódcy klanu, będziecie działali na swoją rzecz, nie przeciwko sobie. Jeden może podążyć naprzód i uderzyć na Yezd, podczas gdy drugi z częścią waszych wojsk wróci przez Shaum na wasze stepy. Wcale nie musi brać tyle wojska co Ir-nek, tyle tylko, by tamten dwa razy zastanowił się nim zacznie szukać kłopotów.

Greki obserwowali ich, jak sobie to kalkulowali. Ten, który będzie kontynuował pościg za Avsha-rem, zatrzyma przy sobie większą część armii, lecz drugi zdobędzie możliwość umocnienia swej pozycji wśród reszty klanu na ojczystej ziemi. Jeśli kupią ten plan, to sądził, że wie, który z nich co wybierze. Goudeles ułożył go tak, by dla każdego z nich uczynić atrakcyjną jedną z tych ról.

Jednocześnie wyrwali się z zamyślenia. – Wrócę – rzekł Dizabul, podczas gdy Arigh oświadczył: – Niech się dzieje, co chce, jadę dalej. – Spojrzeli na siebie z zaskoczeniem; Gorgidas zachował powagę. Mieszkańcy Imperium znali sztuczki, o jakich Irnek nigdy by nie pomyślał.

Po tym rozpoczęły się targi, jak wielu jeźdźców pojedzie dalej, a ilu wróci do Shaumkhiil. Nie wszyscy koczownicy towarzyszący Dizabulowi mieli być członkami klanu Siwego Konia; inne klany, które wysłały mniejsze kontyngenty zbrojnych, również odczuwały niepokój wywołany zamiarami Irneka.

–Nie lubię pozbywać się tak wielu ludzi – zwrócił się Arigh do Gorgidasa, kiedy w końcu

osiągnięto porozumienie – lecz jaki miałem wybór?

Lekarz był tak zmęczony, że ledwie dotarło do niego to, co powiedział; czuł się niemal jak pijany. – Żadnego, lecz nie sądzę, by liczba miała jakieś większe znaczenie. Sam Avshar przewyższa liczebnie nas wszystkich. – Arigh potarł swój rozcięty policzek i skinął posępnie głową.

Miecze szczęknęły. Naciskana mocno, Nevrata Sviodo cofnęła się. Przeciwnik zadał cięcie wy-

mierzone w jej nogi. Ledwie zdołała odbić pałaszem ten cios i musiała się cofnąć. Następne cięcie poszło wysoko. Znowu złożyła paradę w samą porę. Czowała pot spływający jej do oczu. Piekł. Nie miała nawet czasu, by mrugnąć, ponieważ jej przeciwnik sunął naprzód, z paskudnym uśmiechem na twarzy.

Szybki, stalowy szkwał – luka! Nevrata zanurkowała pod cięciem, poszła do zwarcia. Jej nadgarstek wiedział, co robić w takiej sytuacji. Przeciwnik zatoczył się do tyłu.

Wciąż szczyrzył zęby w uśmiechu. Spojrzała na niego chmurnie, jej oczy pociemniały od groźby. – Niech cię zaraza, Vazken, więc pozwoliłeś mi trafić? Nie próbuj tego znowu, kiedy ćwiczysz ze mną, bo skończy się tym, że naprawdę puszczę ci krew.

Vazken rozłożył pojednawczo ręce. – Trudno mi nacierać z całych sił na kobietę.

–Sądziś, że Yezda będą równie uprzejmi co ty? – warknęła Nevrata. Podejrzewała, że dane

jej było widzieć więcej potyczek, niż jej partnerowi z pola ćwiczeń – zwiad wiązał się z większym

ryzykiem niż walka w szeregu. Nie powiedziała tego jednak. Vazken tylko machnąłby na to z roz

drażnieniem ręką.

Nie chciała też ćwiczyć z nim już więcej. Jak może się rozwinąć, jeśli nie zmusza się jej do największego wysiłku?

Widok zbliżającego się konno jej kuzyna, Artavasdosa, przyjęła z czymś w rodzaju ulgi. Oto pretekst, jakiego potrzebowała, by uwolnić się od Vazkena bez konieczności mówienia mu, żeby poszedł sobie do lodu. Powitała Artavasdosa olśniewającym uśmiechem.

Musiał się natrudzić, by go odwzajemnić. Z zaskoczeniem uświadomiła sobie, że jest przerażony. – O co chodzi? – zapytała, odciągając go od Vazkena. Raczej powściągliwi Vaspurakańczycy nauczyli się w Videssos radości plotkowania.

Artavasdos rozumiał to również. Poczekał, aż Vazken znalazł się poza zasięgiem

głosu, nim zeskoczył z siodła i podał jej strzemię, mówiąc: – Usiądź za mną. Wysłano mnie, bym cię sprowadził. Pojedziemy razem do miasta.

–Żebyś mnie sprowadził? – Nawet się nie poruszyła, żeby dosiąść konia. – Kto cię wysłał?

–Alypia Gavras – odparł jej kuzyn, dodając: -Jeśli nie dostarczę cię do niej szybko, oboje za to odpowiemy. – To wystarczyło, żeby wdrapała się na wierzchowca Artavasdosa. Zanim jeszcze zdążyła dobrze się usadowić, wskoczył na siodło, ujął cugle i szybkim kłusem ruszył ku miejskim murom.

–Na Phosa! – zawołała Nevrata. – Nie mogę spotkać się w takim stanie z księżniczką. Spójrz na mnie, w tych skórkach wyglądam jak Yezda. I cuchnę tak jak oni. Zatrzymaj się przy koszarach i pozwól mi się przebrać, a przynajmniej obmyć trochę.

–Nie – odparł zdecydowanym tonem Artavasdos. – Teraz nade wszystko liczy się pośpiech.

–Lepiej, żebyś się nie mylił.

Jechał spiesznie Ulicą Środkową. Kiedy skręcił z niej na północ, Nevrata powiedziała: – Wiesz, dokąd jedziesz?

–Tam, gdzie mi kazano – odparł. Miała ochotę złapać go i wydusić dokładniejszą odpowiedź,

lecz powstrzymała się. Z trudem. Jeśli to jest jakiś żart – pomyślała groźnie – to pałac Thorisina

wzbogaci się o nowego eunucha, kuzyn nie kuzyn.

Parę minut później Nevrata wybuchnęła: – Na zrodzonego z Phosa Vaspura, wiesz nas do Głównej Świątyni? – Wielka świątynia rosła na tle nieba od chwili, kiedy Artavasdos zjechał z Ulicy Środkowej, lecz Nevrata niewiele o niej myślała. Wyznając własną odmianę wiary w Phosa, Vaspurakańczycy nie odprawiali praktyk religijnych razem z mieszkańcami Imperium. Jednak teraz znalazła się zbyt blisko Głównej Świątyni, by ją zignorować.

Artavasdos odwrócił się w siodle i posłał jej pełne szacunku spojrzenie. – Prawie zgadłaś. Jak się domyśliłaś?

–Nieważne. – Wolałaby się raczej mylić. Z westchnieniem ulgi zsunęła się z konia, gdy Arta-

vasdos pętał go przed pokrytym stiukiem budynkiem na skraju dziedzińca Głównej Świątyni. Ra

zem, ostrożnie, podeszli do drzwi rezydencji patriarchy. Nevrata ujęła kołatkę i zastukała dwu

krotnie.

Nawet ona nie oczekiwała, że otworzy im sam Balsamon.

–Wejdźcie, moi przyjaciele, proszę – powiedział, uśmiechając się promiennie. Patrząc na jego uśmiech Nevrata odniosła wrażenie, że spływa na nią ciepły promień słońca; nic dziwnego – pomyślała – że Videssańczycy tak bardzo go kochają.

–Gdzie twój służący, panie? – zapytała, gdy prowadził ją i jej kuzyna korytarzem.

–Mam tylko jednego – odparł Balsamon – A Saborios został wysłany, by wykonać niepotrzebne polecenie. No, nie całkiem niepotrzebne, ale bardziej niż sądzi. – Roześmiał się. Choć Nevrata nie zrozumiała dowcipu, stwierdziła, że również się uśmiecha.

Patriarcha wprowadził dwoje Vaspurakańczyków do swojej zagraconej pracowni. On i czekająca tam młoda kobieta uprzątnęli nieco pokój, by goście mieli gdzie usiąść. Kobieta ubrana była skromnie, z wyjątkiem naszyjnika ze szmaragdów i macicy perłowej; Nevrata dopiero po chwili zrozumiała, kim ona jest.

–Wasza Wysokość – powiedziała i pochyliła się do głębokiego ukłonu, lecz Alypia powstrzymała ją uniesieniem ręki.

–Nie mamy na to czasu – stwierdziła – a i tak o przysługę, o jaką chcę cię prosić, zwracam się do ciebie jako przyjaciółka, nie jako księżniczka.

–Nie martw się, moja droga, Saborios jeszcze jakiś czas pozostanie bez butów – rzekł do niej Balsamon.

–Nawet Nepos nie wie, jak długo utrzyma się jego czas – odparła natychmiast Alypia. Szyb-

ko, jak gdyby żałując każdego słowa, wyjaśniła Nevracie: – Saborios, pies łańcuchowy mojego stryja, który jest tutaj na służbie, wyszedł z błękitnymi butami Balsamona, by je na nowo pofar-bować. Dopóki działa magia Neposa, nie zauważy *jak długo* na nie czeka. Nikt też, taką Nepos ma nadzieję, nie odkryje, że nie ma mnie w zespole pałacowym. Lecz nie może manipulować tymi dwoma czarami przez całą wieczność, tak więc musimy szybko załatwić naszą sprawę tutaj.

–Zatem pozwól mi od razu zapytać, czego chcesz ode mnie, Wasza Wysokość – powiedziała

Nevrata, troskliwie nie opuszczając oficjalnego tytułu Aypii – oraz dlaczego postanowiłaś nazy

wać mnie przyjaciółką, jeśli dotychczas nigdy się nie spotkałyśmy.

Artavasdos wciągnął głośno powietrze, słysząc tę zuchwałość, lecz Aypia skinęła z aprobatą głową. – Słuszne pytanie. Powiedziałam tak dlatego, że obie jesteśmy przyjaciółkami Marka Emiliusza Skaurusa.

Jej spokojne stwierdzenie zawisło na chwilę w powietrzu.

–Jesteśmy – potwierdziła Nevrata. Przyjrzała się uważnie księżniczce i dodała: – Wydaje

się, że jesteś dla niego czymś o wiele więcej niż przyjaciółką.

Wbrew swej roli pośrednika, Artavasdos sprawiał wrażenie, jak gdyby chciał uciec. Nevrata nie zwracała na niego uwagi; chciała zobaczyć, jak zareaguje Aypia. Jednak Balsamon odezwał się pierwszy: – Wydaje się też, że Skaurus w jakiś sposób zaraża wszystkich, którzy go znają, swoim bezceremonialnym sposobem mówienia. – Gdyby w jego słowach brzmiał gniew, Nevrata byłaby równie przerażona, co jej kuzyn, lecz patriarcha powiedział to z rozbawieniem.

–Cicho – poleciła mu Aypia. Zwróciła się ponownie do Nevraty: – Tak, on i ja jesteśmy czymś o wiele więcej niż przyjaciółmi, jak to ujęłaś. I właśnie dlatego został wysłany, by wykonać coś, co niemal na pewno oznaczać będzie dla niego śmierć. – Wyjaśniła, jakie żądanie Thorisina musi spełnić Marek, by odkupić swoje winy.

–Zemarkhos! – zawołała Nevrata. Spędziwszy tyle czasu z ludźmi Gagika Bagratouniego wiedziała więcej, niż mogłaby sobie tego życzyć, o pogromie, jaki fanatyczny kapłan sprawił wszystkim Vaspurakańczykom. Myśl o czymkolwiek, co mogło mu zaszkodzić, budziła w niej falę gorącego ożywienia. Lecz zgadzała się z Aypia; nie sądziła, by Skaurus miał jakąś szansę w walce z nim.

Kiedy to powiedziała, księżniczka z przerażeniem osunęła się na oparcie tapczanu. Nevrata porzuciła swój na wpół ukształtowany zamiar poinformowania Aypii, że Marek pragnął i jej. To mogłoby uleczyć namiętność, lecz była przekonana, że Aypia czuje coś więcej – i Skaurus również, skoro chce dla niej stawić czoło Zemarkhosowi.

–Powiedz mi, co mam zrobić – powiedziała tylko. Oczy Aypii zapłonęły, lecz nie traciła

czasu na podziękowania. – Żeby zniszczyć Zemarkhosa, Marek będzie musiał mieć do dyspozycji

jakąś armię, tak uważam. Jego Rzymianie i ci, którzy dołączyli do nich, przebywają w Garsavrze.

Jak sądzisz, co by zrobili, gdybyś tam pojechała i powiedziała im, co mu się przydarzyło?

Nevrata nie zawahała się nawet na chwilę. Dać Bagratouniemu jeszcze jedną szansę na odwet? Dać Gajuszowi Filipusowi – nie, to będzie Minicjusz; Gajusz Filipus jest ze Skaurusem – możliwość uratowania swego ukochanego dowódcy? – Ruszą na Amorion i niech Phos ma w opiece wszystko na ich drodze.

–Tak właśnie myślałam – powiedziała Alypia, po raz pierwszy wyraźnie ożywiona.

Nevrata spojrzała na nią ze zdumieniem. – Zrobiłabyś to, wbrew rozkazowi swego stryja?

–Rozkazowi? Jakiemu rozkazowi? – Alypia przedstawiała sobą uosobienie niewinności. – Balsamon, ty jako patriarcha musisz być dobrze poinformowany o tym, co dzieje się w pałacu. Czy Jego Imperatorska Mość rozkazał kiedykolwiek, bym nie przesyłała do Garsavry wiadomości o dymisji Marka?

–W rzeczy samej, nie – odparł uprzejmie Balsamon, choć nie potrafił do końca zachować powagi i kąciki jego ust drgnęły, wyginając się ku górze.

Tylko dlatego, że Thorisinowi nie przyśniło się nawet, że mogłabyś przesłać – pomyślała Nevrata. Jednak nie wyraziła głośno tej myśli. Powiedziała natomiast: – Myślę, że Marek jest niezwykłym szczęściarzem, księżniczko, skoro ktoś taki jak ty troszczy się o niego.

–Czyżby? – Głos Aypii przepelniała gorycz i wyrzuty wobec samej siebie. – W takim razie jego szczęście przejawia się w bardzo dziwny sposób.

–Jak dotąd – powiedziała dobitnie Nevrata.

–Zatem pojedziesz?

–Oczywiście, że pojedę. Senpat wścieknie się na mnie...

–Och, mam nadzieję, że nie! – zawołała Alypia. – Posłałabym przez niego...

–...ponieważ będzie tkwił tutaj w mieście – powiedziała Nevrata.

Równocześnie księżniczka dokończyła: -...lecz pomyślałam, że przy jego

obowiązkach miałby

kłopoty z opuszczeniem miasta bez wzbudzania podejrzeń.

Wytrzeszczyły na siebie oczy i zaczęły się śmiać. Nevrata, zwyczajem Rzymian, uczyniła gest skierowanym ku górze kciukiem. Bez zaskoczenia stwierdziła, że Alypia wie, co on oznacza. Księżniczka powiedziała: – W jaki sposób zdołam ci się za to odwdzięczyć?

–Nie widzę innego sposobu, jak tylko ten – odparła Nevrata. W odpowiedzi na zaintrygowa

ne spojrzenie Alypii wyjaśniła: – Zapraszając mnie na wesele, oczywiście.

Roześmiały się znowu. – Na Phosa, zaproszę! – przyrzekła Alypia.

–W najwyższym stopniu wzruszające, moje dzieci -wtrącił Balsamon. – Lecz sugeruję,

byśmy zakończyli nasze miłe zebranie, nim ten biedny chłopiec padnie trupem ze zdenerwowania.

–Skinął uprzejmie głową w stronę Artavasdosa, który sprawiał wrażenie, jakby miał właśnie wy

zionać ducha. – I, co jeszcze bardziej istotne, nim mój *drogi* towarzysz Saborios wróci w końcu z

moimi butami.

Uściskawszy Nevratę, Alypia wyszła pierwsza, tylnym wyjściem. Potem Balsamon odprowadził Nevratę i jej kuzyna na dziedziniec do konia Artavasdosa. – Nie stanie się nic wielkiego, gdyby Saborios zobaczył was przypadkiem – powiedział. – Pomyśli sobie tylko, że zwariowałem, zadając się z heretykami. – Jedna z jego krzaczastych brwi uniosła się do góry. – Chyba dałem mu lepszy powód do takiego mniemania niż to. – Klepnął Nevratę po ramieniu i wrócił do środka.

Dwoje Vaspurakańczyków znajdowało się jeszcze w pobliżu Głównej Świątyni, kiedy minął ich jakiś kapłan niosący parę błękitnych butów. Jego wyprostowana postawa i twarde rysy kłóciły się nieco z wyrazem nieuchwytnego oszołomienia, jaki miał na twarzy.

–Nie gap się tak na niego – syknęła Nevrata do ucha Artavasdosowi. Jej kuzyn ostentacyjnie

spojrzał w przeciwną stronę. Nie został stworzony do intryg – pomyślała Nevrata. Ale nie miało to

znaczenia. Poza spojrzeniem, jakie każdy mężczyzna mógł postać atrakcyjnej kobiecie, Saborios

nie zwrócił uwagi na żadne z nich.

Nevrata zaczęła zastanawiać się nad tym, czego zgodziła się podjąć, i zaczęła też się martwić. Podróż z Garsavry do Amorionu nie należała do krótkich, a pomiędzy tymi miastami włóczyło się wielu Yezda. Czy legioniści zdołają przedrzeć się tamtędy? Co istotniejsze, czy zdołają zrobić to na czas?

–Pozostaje tylko dowiedzieć się – mruknęła do siebie. I uśmiechnęła się. Jaki znak mógł

wróżyć lepiej, niż powiedzenie Skaurusa?

Jadąc na zachód przez urodzajne rolnicze ziemie nadbrzeżnej równiny, Nevrata nabrała pewności, że jest śledzona. W płaskim terenie mogła sięgnąć wzrokiem daleko i stwierdziła, że jeździec, który podążał jej śladem, znajduje się bliżej niż wówczas, kiedy spostrzegła go po raz pierwszy tego ranka.

Sprawdziła cięciwę łuku, by upewnić się, że nie jest wystrzępiona. Jeśli Thorisin był na tyle głupi, żeby posłać za nią pojedynczego jeźdźca, to pożałuje tego. I, jeszcze dosłowniej, pożałuje tego sam jeździec. Niewielu mieszkańców Imperium – pomyślała dumnie – mogło równać się z nią w grze pułapek i zasadzek.

Niepokoilią się jednak o Balsamona, Alypię Gavras i swego kuzyna, Artavasdosa. Zastanawiała się, co też poszło nie tak tam, w stolicy. Może Saborios zauważył coś mimo magicznego zamroczenia, jakie rzucił na niego Nepos albo może Nepos usiłował wprawić w działanie zbyt wiele zaklęć jednocześnie i coś mu nie wyszło, tak jak żonglerowi, który próbuje ze zbyt wieloma pałeczkami od razu.

Z drugiej strony, może kleszcze i noże wydarły prawdę z Artavasdosa, który nie miał na tyle wy-

sokiej rangi, by go przed tym obroniła.

Ostatecznie jednak nic z tego się nie liczyło. Liczył się tylko ten człowiek, który za nią jechał. Obejrzała się przez ramię. Tak, zbliżył się. Miał dobrego konia; nie na tyle jednak dobrego – pomyślała Nevrata – żeby mu to w czymś mogło pomóc.

Zbliżyły się do niej dwa zaprzężone w muły wozy, załadowane glinianymi dzbanami pełnymi jagód. Skręciła za nie. Pozwoliły jej niepostrzeżenie zjechać z drogi do

migdałowego sadu, ciągnącego się wzdłuż jej skraju.

Jeden z rolników jadących na wozach zawołał: – Stary Krates nie lubi obcych na swojej ziemi.

–Do lodu z nim, jeśli żałuje mi cichego miejsca, gdzie mogłabym kucnąć na chwilę – od

powiedziała. Rolnicy roześmiali się i powlekli dalej.

Nevrata zagłębiła się w sad i przywiązała konia do drzewa tak, by nie był widoczny z drogi. Założyła mu na łeb worek z obrokiem, żeby nie zdradził jej rzeniem. Potem wzięła łuk i kołczan, i usadowiła się, dobrze ukryta w zaroślach, by czekać na człowieka, który ją ścigał.

Coś o zbyt wielu nogach wpęzło jej pod spodnie i ugryzło kilka razy, tuż pod kolanem, zanim udało się jej to zabić. Ukąszenia swędziły. Drapanie ich dało jej coś do roboty.

Wreszcie śledzący ją człowiek zbliżył się. Nevrata spojrzała przez liście. Tak jak i ona, dosiadał jednego z tych niepozornych lecz wytrzymałych koni, tak cenionych przez Videssańczyków. Osadziła strzałę na cięciwie, lecz potem zawahała się, marszcząc brwi. Wolałaby mieć lepszy widok ze swojej kryjówki. Z pewnością żaden Videssańczyk nie nałożyłby takiej czapki, z trzema daszkami i mnóstwem pofarbowanych na jaskrawe kolory wstążek, zwisających z tyłu...

Wstała śmiejąc się, z rękoma wspartymi na biodrach, zapomniawszy o łuku. – Senpat, co tu robisz?

–W tej chwili cieszę się, że cię znalazłem – odparł jej mąż, podjeżdżając do niej. – Bałem się, że zjechałaś z drogi, żeby mi się wymknąć.

–Tak właśnie było. – Uśmiech Nevraty zgasł. – Sądziłam, że jesteś jednym z ludzi Thorisi-na. Tym bardziej – dodała – skoro onegdaj, kiedy wyjeżdżałam, powiedziałeś mi, że zostajesz w mieście.

Senpat wyszczerzył do niej zęby. – Myśl o spaniu samemu, przez kto wie jak długi czas, stała się zbyt przygnębiająca, bym mógł ją znieść.

Ręce Nevraty znowu znalazły się na biodrach, tym razem ze złości. Jej oczy rozbłysły niebezpiecznie. – Iz tego powodu naraziłeś na niebezpieczeństwo nas oboje? Czyżby nagle odebrało ci rozum? Podstawowym powodem, dla którego właśnie ja otrzymałam to zadanie był fakt, że twój wyjazd ze stolicy mógł wzbudzić zainteresowanie. Śledziłeś mnie... a jak wielu Videssańczyków jedzie za tobą?

–Żaden. Mój dowódca bardzo się zmartwił, kiedy otrzymałem z domu list błagający mnie o

natychmiastowy powrót, ponieważ mój starszy brat zmarł od ukąszenia węża. To właśnie przydarzyło mu się przed trzema laty i dlatego kazałem Artavasdosowi napisać taki list. Na dodatek napisał go w vaspurakańskim, którego to języka kapitan Petzeas nie potrafi czytać.

–Nie masz starszego brata – zwróciła mu uwagę Nevrata.

–Teraz już na pewno nie... biedaczysko, niech mu ziemia lekką będzie... a na potwierdzenie tego Petzeas ma list. – Senpat uniósł wytwornie brew. – Nawet jeśli ktoś, kto zna prawdę, usłyszy o tym, to i tak będzie już za późno, by miało to jakiegokolwiek znaczenie.

–Och, no dobrze – zagderała Nevrata. Nigdy nie potrafiła zbyt długo gniewać się na swego męża, nie wówczas, kiedy tak bardzo starał się ją oczarować. I miał rację. Mało prawdopodobne, by Videssańczycy dojrzeli prawdę za zasłoną podjętych przez niego środków ostrożności. Dodała jednak: – To było niebezpieczne posunięcie.

Senpat uderzył się ręką w czoło. – I to mówi kobieta, która przebyła sama drogę z Khliatu do Maraghy? Kobieta, która, jeśli znam ją tak dobrze jak sądzę, ma ochotę pobić się z Yezda albo z Ze-markhosem, lub z jednym i drugim na raz? – Nevrata miała nadzieję, że nie dostrzeże w jej oczach poczucia winy, które zaczęło ją ogarniać, jednak nie uszło to jego uwagi i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Ciągnął: – Nie spodziewam się, że przeszkodzę ci w zrobieniu głupstwa, ale przynajmniej mogę razem z tobą wpakować się w tarapaty. A poza tym Skaurus jest również i moim przyjacielem.

I znowu Nevrata zastanowiła się, czy powiedziała by to gdyby wiedział, że Rzymianin próbował zbliżyć się do niej. Prawdopodobnie – pomyślała – zeszłej jesieni Marek przechodził kryzys, lecz mimo to uznał „nie”, kiedy je usłyszał. Senpat pewnie zachichotałby i powiedział, że nie może winić trybuna za jego gust.

Jednak nie miała zamiaru tego sprawdzać.

Powiedziała: – Chodź ze mną po mojego konia. Spętałam go w sadzie, żeby mi nie popsuł zasadzki na ciebie.

–Hmm. Sądzę, że powinienem czuć się zaszczycony. Gdy szli, rozrzucając suche, zeszłoroczne liście, Senpat zauważył: – Miłe, spokojne miejsce.

–Paru miejscowych powiedziało mi, że stary Krates, który, jak zrozumiałam, jest właścicielem tego sadu, nie lubi nieproszonych gości.

–Wydaje się, że wcale ci nie przeszkadzał, kiedy zasiadałaś w tej swojej wspaniałej zasadzce. – Senpat położył rękę na ramieniu Nevraty. – Sądysz, że mógłby nie przeszkadzać jeszcze przez jakiś czas?

Przysunęła się do niego. – Sprawdzimy to?

–Nadal uważam, że nie powinienes zastrzelić psa Kratesa – powiedziała Nevrata do swego

męża kilka dni później.

Przez ten czas już niemal dotarli do Garsavry, lecz Senpat wciąż był w złym humorze. – Masz rację. Powinienem być zastrzelić Kratesa za to, że zjawił się w nieodpowiedniej chwili.

–Odrobiliśmy to.

–Tak, odrobiliśmy. – Senpat przyjrzał się uważnie leżącemu przed nimi miastu. – Dlaczego wygląda inaczej?

–Rzymianie nie próżnowali – odparła Nevrata. Garsavrę otaczał ziemny wał wysokości człowieka oblicowany darnią, żeby nie rozmył się w deszczu. Przez całe stulecia miasto nie posiadało umocnień, lecz czasy na zachodnich rubieżach Videssos zmieniły się i to nie na lepsze. Z tej strony, z jakiej się zbliżali, Nevrata mogła dostrzec dwa przejścia w wale, jedno skierowane dokładnie na północ, drugie na wschód. Miała całkowitą pewność, że odpowiadająca im para wychodzi na zachód i południe. – Zmienili to miasto w wielki obóz legionistów.

–Mam wrażenie, jak gdyby powiedział to Gajusz Filipus; niczego nie lubi bardziej. – Senpat zachichotał. – Zastanawiam się, czy nie kazał Rzymianom rozwalić połowy domów w mieście, żeby przejścia między bramami mogły biec prosto.

Nevrata potrząsnęła głową. – Nie jest marnotrawcą. Spójrz, jak na namdalajski sposób umocnili zewnętrzne wały swoich fortyfikacji. – Uważała starszego centuriona za zbyt jednostronnego żołnierza, by dał się łatwo polubić, lecz niezmiennie cieszyła się, że znajdują się po tej samej stronie.

Wartę przy północnym wejściu pełnili Vaspurakańczycy, ludzie z oddziału Gagika Ba-gratouniego. Rozpromienili się na widok dwojga swych rodaków. Mimo to energicznie i rzeczowo wypyтали przybyszów. Rzymska musztra robi swoje – pomyślała Nevrata, gdy żołnierze odsunęli się, by wpuścić ją i Senpata do Garsavry.

Sekstus Minicjusz miał swoją kwaterę główną tam, gdzie przedtem mieli ją Skaurus i Gajusz Filipus; w budynku, w którym mieściła się rezydencja rządcy miasta, Sekstus był przystojnym młodzieńcem, wyższym niż większość legionistów, o

granatowoczarnym zaroście, który kładł się ciemnym cieniem na jego policzkach i brodzie, bez względu na to jak często się golił.

Powitał Nevratę i Senpata ciepło, lecz z odrobiną skrępowania. Był tylko prostym żołnierzem, kiedy po raz pierwszy dołączyli do legionu; teraz przewyższał ich rangą. Jednak ich wieści natychmiast skupiły całą jego uwagę. Twarz stwardniała mu na kamień.

–Gajusz Filipus też, co? – mruknął, na wpół do siebie. Dodał jeszcze coś po łacinie, czego Nevrata nie zdołała zrozumieć. Widok niezrozumienia, jaki odmalował się na jej twarzy, kazał mu wrócić do terażniejszości i videssańskiego.

–Przepraszam. Powiedziałem, że to podobne do niego. Najlepiej będzie, jeśli tu poczekać, kiedy poślę po Bagratouniego i Pakhymera. Powinni usłyszeć waszą opowieść z pierwszej ręki,

żeby mogli mi najlepiej doradzić.

Ostatnie zdanie rozwiało wszelkie wątpliwości, jakie Nevrata mogła mieć co do tego, kto dowodzi w Garsavrze. W swym pewnym, zdecydowanym traktowaniu służby, Minicjusz bardzo przypominał Skaurusa.

Funkcję ordynansa przed jego kwaterą pełnił Rzymianin. Jego podbite ćwiekami *caligae* za-stukotały po marmurowej posadzce, gdy pobiegł by sprowadzić oficerów, z którymi chciał się zobaczyć dowódca.

Laon Pakhymer zjawił się pierwszy. W jakiś sposób wcale nie zdziwiło to Nevraty. Nic nigdy nie zaskakiwało Pakhymera – dowódca lekkiej kawalerii z Khatrish wyczuwał kłopoty i miał dar obracania ich na własną korzyść.

Minicjusz chodził już niecierpliwie po pokoju, zanim przybył Gagik Bagratouni, choć Vaspura-kańczyk zjawił się wcale szybko. Uściskał po kolei Senpata i Nevratę. Znał ich jeszcze z czasów, kiedy posiadali włości w Vaspurakanie, zanim najazdy Yezda wyгнаły tak wielu vaspurakańskich szlachciców z ich ojczystego kraju.

–No dobrze – rzekł w końcu, zwracając się do Minicjusza. – Cieszę się, że ich widzę, oczy

wiecie, ale czy to wystarczający powód, żeby wyciągać mnie z mojej kwatery? – Głos miał dud

niący i powolny, doskonale pasujący do jego masywnej postaci i silnych, posępnych rysów twarzy,

okolonej nie przystrzyżoną brodą, tak ciemną i gęstą jak broda Minicjusza, gdyby ją

zapuścił.

–Tak, wystarczający – rzekł zdecydowanym tonem Rzymianin. Nevrata wymieniła spojrzenia

ze swym mężem; niewiele osób potrafiło przeciwstawić się sile osobowości Bagratouniego, kiedy

zdecydował się nią posłużyć. Minicjusz skinął ku nim głową. – Zobaczyć ich, to jedna rzecz, a

wysłuchać, to zupełnie coś innego.

Zaczęli opowiadać; głównie mówiła Nevrata. Senpat uzupełniał opowieść szczegółami oraz zrelacjonował, w jaki sposób udało mu się opuścić miasto, by do niej dołączyć. Relacją tą zdobył sobie pochwalny uśmiech Pakhymera. Nevrata spostrzegła, jak jej mąż wypina pierś z dumy; pochwała Khatrisha równała się pochvale samego mistrza intryg.

Kiedy skończyli, Bagratouni zrobił to, czego Nevrata się po nim spodziewała – walnął pięścią w stół, za którym siedzieli i ryknął: – Moi ludzie już wyruszają! Dajcie mi Zemarkhosa, oby Phos był łaskaw, i nie poproszę już o nic w tym życiu!

Zaskoczył ją natomiast Minicjusz. Poczekał, aż wzburzenie Bagratouniego opadło nieco, a potem rzekł do Vaspurakańczyka: – Twój ludzie nigdzie nie wyruszą bez mojego zezwolenia, Gagik.

Broda Bagratouniego przesłoniła niemal zupełnie ciemny rumieniec gniewu, lecz nie do końca. – Kim jesteś, żeby mówić mi, co mam robić? Jestem *nakharar*, lord Vaspurakanu, i robię ze swoimi ludźmi to, co chcę.

–Nie jesteś w Vaspurakanie – odparł Minicjusz – zostałeś natomiast przyjęty do służby w

legionie jako dowódca manipułu. Pamiętasz o tym, czy nie?

Nevrata pochylili się naprzód w obawie, że Bagratouni rzuci się na Rzymianina. – Mając Ze-markhosa przed sobą, nie pamiętam o niczym – zgrzytnął *nakharar*. - W jaki sposób zamierzasz powstrzymać mnie przed zabiciem go, co i tak jest mniejszą karą niż ta, na jaką zasługuje?

–Występując przeciwko tobie z moim ludźmi, jeśli będę musiał – odparł spokojnie

Minicjusz. – W Garsavrze jest więcej Rzymian niż vaspurakańskich legionistów. Spójrz na mnie,

Gagik. Sądziś, że zawaham się rzucić ich przeciwko tobie, jeśli nie posłuchasz moich rozkazów?

Cenię sobie twoją radę i dobrze to wiesz. Ale chcę, byś stosował się do moich rozkazów i zrobię, co

będę musiał, by wymóc twoje posłuszeństwo.

Bagratouni przyjrzał się uważnie młodszemu mężczyźnie. Milczenie przeciągało się. – Zrobiłbyś to? – rzekł z niedowierzaniem Vaspurakańczyk. – Więc dobrze, jakie są twoje rozkazy?

–Chyba wiesz; ruszyć na pomoc Skaurusowi, oczywiście – odparł natychmiast Rzymianin. Nie był tak spokojny, jak chciałby się wydawać; pot perlił się na jego czole.

–Więc o co chodzi, jeśli chcemy tego samego? – zawołał Bagratouni.

–Wiem, co czujesz do Yezda i Zemarkhosa. Nie mam ci tego za złe, Gagik, lecz chcę, byś pamiętał, że wyruszasz jako część moich wojsk, a nie że ścigasz ich na własną rękę.

Wówczas odezwał się Laon Pakhymer: – Jak poczuje się Imperator, kiedy ty zaczniesz ścigać ich na własną rękę? Nie inaczej jak ty, gdyby zrobił to Bagratouni, spodziewam się.

Niespodziewanie i rozbijająco, Minicjusz uśmiechnął się. Z tym uśmiechem na ustach wyglądał doprawdy niezwykle młodo. – Prawdopodobnie tak. Lecz w Garsavrze jest więcej rzymskich żołnierzy niż videssańskich, więc co może z tym zrobić?

–Cholernie mało, najwyżej może się wściec. – Pakhymer również się uśmiechnął, łyskając białymi zębami w zaniedbanej brodzie, która zarastała wysoko jego policzki, by zakryć dzioby po ospie. Wydawał się uradowany taką perspektywą.

–Jeśli odbijesz dla niego Amorion, Thonsin nie będzie zawracał sobie głowy, dlaczego tak się stało – powiedziała Nevrata do Minicjusza.

–Ma rację. – Pakhymer skierował swój bezczelny uśmiech ku niej. Podejrzewała, że większy podziw wzbudzała w nim jej osoba niż to, co powiedziała, lecz spojrzenia mężczyzn nie kłopotowały jej. Raczej odwrotnie, chyba że nie poprzestawali na spojrzeniach. Pakhymer był za mądry, żeby zrobić coś niewłaściwego.

–Oczywiście, jeśli Yezda zabiją nas wszystkich po drodze, nie będziemy musieli martwić się tym, co pomyśli Thorisin – rzekł Minicjusz. – Cieszę się, że daliśmy

Yavlakovi co nieco do przemyślenia podczas jego najazdów zeszłej zimy. Jego klany nie będą chciały przepuścić nikogo z nas.

–Zostaw Yavlaka mnie – rzekł Pakhymer. – Kiedy tego potrzebowaliśmy, kupiłem od niego atak na Namdalajczyków; spodziewam się, że odrobina złota pozwoli mu nie zważać na nas, kiedy

będziemy przechodzili przez jego ziemie.

–Ziemie Videssos – rzekł Minicjusz, marszcząc brwi.

–Tam jest Yavlak, nie Imperator. Naprawdę chcesz narażać się na walkę podczas przemarszu przez nie i zmarnować na to Phos wie ile czasu?

Minicjusz zagryzł wargi. Nevrata zrozumiała, że Pakhymer znalazł magiczne słowo, którym mógł skusić Minicjusza mimo jego odrazy, by nie załatwiać spraw z Yezda w jakikolwiek inny sposób, jak tylko ostrzem miecza. Zabębnił palcami, znowu mruknął coś po łacinie. Nevrata usłyszała znajome słowo, lecz całego zwrotu nie zrozumiała.

Rzymianin zakończył jednak po videssańsku: – Nie zgadzam się. Jeśli będziemy poruszali się szybko, Yavlak nie ośmieli się nam przeszkadzać.

W przeciwieństwie do Bagratouniego, Pakhymer rozpoznał zdecydowanie, kiedy usłyszał je w głosie Rzymianina. – Ty jesteś tu szefem – powiedział z niedbałym machnięciem ręką, które zastępowało u niego salut. – Nie ma większego sensu gadać dalej, prawda? Przygotujmy się do wymarszu. – Wstał i wyszedł. Bagratouni podążył jego śladem chwilę później.

Minicjusz również powstał. – Khatrish ma rację. Czas ruszać.

–Czy mogę cię najpierw o coś zapytać? – zwróciła się do niego Nevrata. Minicjusz znieru

chomiał Ciągnęła dalej: – Wydaje mi się, że usłyszałam, jak wypowiadasz imię Marka, lecz nie

wiem, co oznaczała cała reszta.

Rzymianin wyglądał, rzecz dziwna, na zakłopotanego. – To będzie dla mnie nauczką, żeby nie gadać do samego siebie. Naprawdę chcesz wiedzieć? – Poczekał, dopóki nie skinęła głową, a potem rzekł nieco wstydliwie: – Zadałem sobie po prostu pytanie, co Skaurus zrobiłby w takiej sytuacji. Teraz wychodzę. On też nie marnowałby czasu.

Senpat Sviodo jadąc brzdąkał na swej bandurze; wierzchowcem kierował kolanami.

Jego pieśń i szmer rzeki Arandos stanowiły jedyną muzykę, jaka towarzyszyła maszerującej na zachód kolumnie. Rzymska armia, w przeciwieństwie do videssańskiej, maszerowała głównie w milczeniu.

Nevrata, tak jak i wszyscy pozostali, cieszyła się z sąsiedztwa rzeki. Centralny płaskowyż zachodnich rubieży w niczym nie przypominał żyznych, nadbrzeżnych nizin. Tam, gdzie brakowało bieżącej wody, gleba zmieniała się w spieczony przez słońce pył.

Jej mąż przerwał pieśń, brzęknąwszy strunami. Dwaj Khattrishe z kawaleryjskiej osłony Pakhy-mera wracali ku głównej kolumnie pieszych żołnierzy, prowadząc między sobą trzeciego jeźdźca. – Yezda – rzekł niepotrzebnie Senpat. Człowiek ów miał na sobie skóry koczowników i dzierżył małą, krągłą tarczę maźniętą tu i tam wapnem – znak rozejmu.

Na znak Minicjusza trębacze zagrali sygnał do postoju; kiedy Rzymianom było to potrzebne,

wcale nie pogardzali muzyką. Yezda podjechał do Minicjusza i rzekł w głośnym, kiepskim videssa-ńskim: – Co robicie na ziemi należącej do potężnego Yavlaka?

–Maszerujemy przez nią i wcale nie uważamy, żeby należała do Yavlaka – odparł rzymski dowódca. Zlekceważył wysiłki, jakie czynił Yezda, by zmusić go do opuszczenia oczu; dla kogoś, kto poradził sobie z Gagikiem Bagratounim, taki przeciwnik nie mógł stanowić równorzędnego wyzwania. – A jeśli Yavlakowi nie podoba się to, niech sobie przypomni, co mu się przydarzyło, kiedy próbował odwiedzić Garsavrę.

–Zwab wasze zwłoki w kupy, jak nawóz na opał – zagroził buńczucznie Yezda.

–Niech spróbuje. Powiedz mu to; jak na razie nie mam nic do niego. Lecz jeśli będę musiał skrócić, żeby się z nim załatwić, to jedyną ziemią, do jakiej może wnosić pretensje będzie ta, w której zostanie pochowany. A teraz wynoś się. Już dość czasu straciłem na ciebie.

Minicjusz skinął głową na trębaczy. Zatrąbili sygnał do wymarszu. Armia ruszyła naprzód ciężkim krokiem. Yezda musiał odsunąć się z koniem na bok, by nie zostać wdeptanym w ziemię. Rzucając gniewne spojrzenia, zatoczył koniem i odjechał kłusem.

–Kłopoty – stwierdziła Nevrata, obserwując jego zgięte gniewem plecy.

–Hmm, może nie – odpowiedział Senpat. Yavlak nie jest głupcem i wciąż boleśnie odczuwa zeszłą zimę. Poza tym musi mieć trochę czasu, żeby zebrać dość ludzi do walki, nawet jeśli jej chce. Zanim to zrobi, możemy już minąć tereny, którymi włada. –

Lecz mówiąc to, schował swoją drogocenną bandurę do pokrowca z miękkiej skóry i zaczął sprawdzać lotki na strzałach w kołczanie. Nevrata zrobiła to samo.

Mimo złych przeczuć, tego dnia nie spotkały ich żadne kłopoty. Jednym z powodów, Nevrata nie miała co do tego wątpliwości, była szybkość, z jaką poruszali się legionieści. Jako że posuwali się wzdłuż rzeki, musieli nieść tylko żelazne racje; żadne nieporęczne wozy nie przeszkadzały im w marszu. Bieg byłby pewnie lepszym określeniem – wręcz pędzili w górę Arandosu.

Pod koniec tego pierwszego, wyczerpującego dnia, kiedy legionieści zaczęli wznosić swój obóz ze znajomo wyglądającymi umocnieniami, Nevrata zapytała Minicjusza: -W jaki sposób udaje się wam poruszać tak szybko? Widziałam konne armie, które miałyby trudności z dotrzymaniem wam kroku.

-My, Rzymianie, jesteśmy szkoleni do tego od chwili, kiedy wstępujemy do legionów – odpowiedział. Nie ulegało wątpliwości, że jest zmęczony; twarz miał zaczerwienioną i spoconą, głos ochrypliwy. Lecz był przygotowany na więcej; zdobył się na znużony uśmiech, kiedy mówił dalej: – Wiesz, nazywamy siebie „mułami”, z powodu wszystkich tych marszów, jakie odbyliśmy w pełnym rynsztunku. A Vaspurakańcy i inni mieszkańcy Imperium są już z nami wystarczająco długo, by dotrzymać nam kroku.

-Gdybym musiała się zakładać, powiedziałabym, że Yavlak poprowadzi swoich jeźdźców do

miejsca, gdzie byliśmy dzisiaj wczesnym popołudniem.

-Może zostawi nas w spokoju. A jeśli nie, to miejmy nadzieję, że masz rację. –
Minicjusz ro

zejrzał się wokół, jak robił to mniej więcej co minutę. – Nie, ty idioto! – ryknął na jakiegoś Kha-

trisha. – Masz poić swoje przeklęte konie poniżej obozu, nie przed nim! Ten pieprzony Arandos

już bez nich jest wystarczająco zamulony, żebyśmy musieli jeszcze pić wzbijane przez nie błoto!

Mimo że była jedyną kobietą w obozie, Nevrata dzieliła namiot ze swoim mężem bez cienia niepokoju i nie martwiłaby się bardziej, gdyby przebywała wśród legionistów bez niego. I to nie tylko z tego powodu, że posługiwała się bronią równie zręcznie, jak większość z nich. Po tych wszystkich niebezpieczeństwach, przez jakie przeszła wspólnie z Rzymianami, żaden z nich nie naprzykrzałby się jej; nie bardziej niż własnej siostrze.

Następnego dnia ujrzeni kilku Yezda. Koczownicy uciekali na widok legionistów i z niedowierzaniem oglądali się przez ramię na żołnierzy w służbie Videssos maszerujących przez kraj, który przywykli już uważać za swój własny. Nigdy nie byli wystarczająco liczebni, by podjąć walkę.

Później tego popołudnia przygalopował Khatrish z tylnej straży z ostrzeżeniem, że od tyłu zbliża się do Rzymian prawdziwa armia koczowników. Minicjusz oddał Nevratie rzymski salut, wyciągając przed siebie ramię z zaciśniętą, pięścią. Pomachała mu kapeluszem w odpowiedzi.

Ryknęły rogi. – Formować szyk na tyłach! – krzyknął Minicjusz. Ze sprawnością, jaką dają nie kończące się ćwiczenia, legioniści wykonali manewr.

–Jaką mamy zająć pozycję? – zapytał Laon Pakhymer.

–Z przodu, żeby pomieszać szyki ich łucznikom. – Minicjusz badał wzrokiem teren. – I pchnij parę drużyn tam, do tego małego zagajnika. Jeśli bogowie zechcą, Yezda będą za bardzo zajęci nami, by przyjrzeć mu się bacznie. Jeśli twoi ludzie wyskoczą stamtąd w odpowiedniej chwili, to zwielokrotnią swoją siłę uderzenia. – Pakhymer skinął głową i zaczął wywrzaskiwać rozkazy w swoim sepleniącym khatrishzańskim narzeczu.

Zaraz gdy skończył, zawołał do niego Senpat: – Mamy jechać z tobą?

–Wolałbym, żeby zapytała o to twoja pani – odparł Pakhymer i poczeka! na prychnięcie Nevraty, nim podjął: – ale nie mam nic przeciwko temu, ruszajcie. Jeszcze jedna para dobrych łuków nie może nam zaszkodzić.

–Znajdujesz się pod opieką, pani – zwrócił się jeden z jeźdźców do mijającej go Nevraty. – Niech cię tylko spotka jakiś kłopot, a wszyscy rzucimy się, żeby cię ratować i i pewnie poprzewracamy się przy tym nawzajem. – Powiedział to na w pół żartobliwym tonem, jakiego często używali Khatrishe, lecz Nevrata wiedziała, że mówił prawdę.

Ujęło ją to i zirytowało jednocześnie. – Dziękuję ci – powiedziała – spodziewam się jednak, że sobie poradzę. – Khatrish skinął głową i pomachał do niej ręką.

Yezda znajdowali się niedaleko za zwiadowcą, który zawiadomił o ich pojawieniu się. Nevrata widziała ich już wyłaniających się z kurzu, jaki wzbijały kuce, których dosiadali i słyszała grzmot końskich kopyt.

–Robiliście to już przedtem, chłopcy – zwrócił się do swoich ludzi Pakhymer, spokojny jak

gdyby omawiał sprawę dostarczenia do domu worka grochu. – Uważnie wybierajcie

cele strzela

jąc i pomóżcie swoim towarzyszom, gdy przyjdzie kolej na miecze.

Końska czaszka na żerdzi – godło Yavlaka – zbliżała się. Bliżej, coraz bliżej... Nevrata naciągnęła cięciwę do ucha, wystrzeliła. Poczowała smagnięcie cięciwy na skórzanym ochraniaczu nadgarstka. Nie czekała, żeby zobaczyć czy strzala trafiła w cel; sięgnęła po następną, kiedy pierwsza wciąż jeszcze opadała.

Jakiś koń potknął się, inny gdy został trafiony kwiknął rozdzierająco, jak kobieta podczas porodu. Ludzie wrzeszczeli również, tak z powodu ran jak i po to, by przerazić swych wrogów. Lodowaty strach przeszył Nevratę, kiedy zobaczyła krew na twarzy swego męża. – To tylko draśnięcie – uspokoił ją Senpat, gdy krzyknęła do niego. – Zapuszczę gęściejszą brodę, żeby ukryć bliznę, jeśli cię to martwi.

–Nie bądź idiotą. – Samo w sobie takie draśnięcie nie liczyło się. Lecz przypomniało Nevra-

cie, jak łatwo otrzymać poważniejszą ranę i jak niewiele można zrobić, by uniknąć śmigającej w

powietrzu śmierci.

Jednak pojedynek na łuki nie trwał tak długo, jak podczas zwykłego starcia koczowników. Wydawało się, że Yavlak uparł się, by bezpośrednim starciem rozstrzygnąć bitwę. Jego jeźdźcy przebili się przez Khatrishów, którzy, nie mogąc sprostać przewadze liczebnej atakujących, zostali odrzuceni na boki. Nevrata zrozumiała dlaczego Yezda atakuja w ten sposób, kiedy usłyszała Yavlaka ryczącego w stronę rzymskich sztandarów: – Pobiliście nas kiedyś błotem i śniegiem! Teraz bierzemy odwet!

Posępny uśmiech wykrzywił twarz Senpata. – Naprawdę tak sądzi? Nie ma na to nawet w przybliżeniu dość ludzi, jak na moje oko.

Nevrata wcale go nie usłyszała. Toczyła zaciętą walkę z Yezda, którego ramiona wydawały się tak długie, jak łapy małpy. Mogła parować ciosy koczownika, lecz jej kontry nie dochodziły do niego.

W pewnej chwili Yezda niespodziewanie wyszczerzył zęby i przeszedł do walki z bliska. Nevra-ta rozpoznała błysk, który rozświetlił jego oczy. Nie był to bitewny szal, a po prostu żądza; uświadomił sobie, że walczy z kobietą. Obliział wargi z powolną, rozmyślną sprośnością.

Lecz nie był wielkim szermierzem; nie w sytuacji, kiedy Nevrata mogła go wreszcie dosięgnąć. Jej pałasz uderzył w odsłonięte miejsce pomiędzy szyją a barkiem. Zawył

jakieś przekleństwo i zatoczył się do tyłu. Nevrata nigdy nie dowiedziała się, czyjej cios okazał się śmiertelny – w bitwie

często tak się działo. Musiała poderwać miecz, by w ostatniej chwili sparować cięcie następnego koczownika i czyniąc to straciła z oczu pierwszego.

Gorączka bitwy opadła, przynajmniej dla Khatrishów. Yavlak rzucił swych jeźdźców na legionistów. Senpat z niedowierzaniem uderzył się ręką w czoło. – Idiota! – krzyknął. – Myśli, że się złamią i uciekną.

–Prawdopodobnie jedynymi pieszymi żołnierzami, z jakimi się zetknął od czasu Maraghy, byli pasterze, którzy łukami i toporami próbowali przeszkodzić jego ludziom w kradzieży owiec. – Dłoń Nevraty ścisnęła mocno rękojeść miecza, w radosnym oczekiwaniu wstrząsu, jakiego miał właśnie doznać wódz koczowników.

Przyglądając się z flanki natychmiast spostrzegła, że Senpat miał rację; Yavlak nie miał dość ludzi, by podjąć walkę z legionistami. Próbował jednak, nie zważając na nic. Krzycząc i wymachując pałaszami, Yezda pomknęli ku czekającym na nich szeregom tarcz. Jeśli uda im się zrobić wylom, liczba nie będzie miała znaczenia.

Zagrały rogi, powtarzając sygnał, jaki dał Minicjusz opuszczeniem ręki. Wraz z pojedynczym gromkim okrzykiem, który wzniósł się czysto ponad bezładne wrzaski ich wrogów, Rzymianie cisnęli swoje ciężkie oszczepy w Yezda. W chwilę później wzleciała kolejna ich salwa. Legioniści wyciągnęli swoje krótkie i szerokie miecze, i ruszyli w szyku naprzód, spozierając ponad podłużnymi, półokrągłymi *scutis*.

Straszliwy chaos wdarł się w pierwsze szeregi Yezda. Salwy *pilum* zahamowały impet ich szarży, zmiatając ludzi z siodła i przewracając konie. Jednak nie mogli zawrócić i umknąć, stosując zwykłą taktykę koczowników pod naporem przeciwnika, ponieważ ich towarzysze z tyłu wciąż parli naprzód, usiłując wkroczyć do walki. W rezultacie doszło do parominutowej rzezi.

Obserwując legionistów rojących się nad Yezda, Nevrata pomyślała o mrówkach. Zwykle Rzymianie walczyli z przeważającymi siłami wroga i wychodzili z tego zwycięsko. Mając przewagę liczebną, byli straszni. Jakiś koń kwiknął, kiedy podcięto mu pęciny. Zanim jeszcze upadł na ziemię, dwaj legioniści doskoczyli do jeźdźca, otaczając go z obu stron. Nie walczył długo. Inny Rzymianin odbił cięcie koczownika skrajem swej wielkiej, ciężkiej tarczy, a potem wykorzystując jej masę pchnął nią tak, że Yezda stracił równowagę. Drugi legionista zadał koczownikowi pchnięcie w plecy; prażona w ogniu skóra nie zdołała powstrzymać stali.

Yezda nie mogli nawet próbować oskrzydlić swoich przeciwników. Prawe skrzydło Rzymian opierało się na Arandosie, zaś lewe osłaniali Khatrishe Pakhymera. A w walce wręcz nawet dosiadający koni koczownicy nie stanowili równych przeciwników

dla zdyscyplinowanych, okrytych zbrojami weteranów Minicjusza. Wspominając spustoszone pola i spalone grody Vaspurakanu Nevrata stwierdziła, że opaly, w jakich znaleźli się koczownicy, budzą w niej jedynie dziką radość.

Lecz armia piechoty nie może zniszczyć konnicy, chyba że ta pozostanie, by walczyć. Yezda,

których legioniści nie pochwycili w kleszcze swego ataku, zaczęli się odrywać, najpierw pojedynczo i dwójkami, potem w większych grupach. Wówczas ukryty szwadron Khatrishów wypadł galopem z zasadzki; jeźdźcy, najszybciej jak mogli, opróżniali kołczany, szyjąc w bok uciekających Yezda. Odwrót zmienił się w pogrom.

–Jedź do Minicjusza! – wrzasnął Nevracie do ucha Pakhymer. Wzdrygnęła się; nie zauważy

ła, że się zbliżył. – Dowiedz się, jak długo mamy ścigać tych bękartów.

Odpowiedź Rzymianina padła natychmiast: – Tylko do chwili, kiedy nabierzemy pewności, że nie są w stanie się przegrupować. Chcę ruszyć w drogę. Ta awantura kosztowała nas blisko pół dnia marszu.

–Ale niewiele więcej. – Wśród ciał leżących na ziemi prawie wcale nie było legionistów.

Za surowej maski dowódcy wyjrzał na chwilę młodzieniec, jakim w rzeczy samej był

Minicjusz. – Dobrze poszło, prawda? Yavlak dostał to, co dostaje każdy, kto nie potrafi powstrzymać swej zapalczowości. – Jego oczy omiotły ludzi Bagratouniego, którzy z posępną zawziętością upewniali się, że wszyscy leżący na ziemi Yezda są trupami.

–Czy wracając do Pakhymera mam zatrzymać się i podziękować w twoim imieniu Gagikowi, że opanował własną zapalczowość i nie złamał szyku, by dobrać się do Yezda?

–Podziękować mu za to, że posłuchał rozkazów? – Zdumienie Minicjusza było absolutnie prawdziwe. – Bogowie, nie! Zrobił to co zrobił, ponieważ ja tak rozkazałem, a nie przez grzeczność dla mnie.

–Ma rację – orzekł Senpat już później, nocą, w ich namiocie, kiedy Nevrata opowiedziała mu o tej rozmowie. Leżeli obok siebie na macie, zbyt zmęczeni walką, by mieć ochotę na coś więcej, lecz też zbyt pobudzeni wydarzeniami dnia, by zasnąć.

–Oczywiście, że ma rację. – Nevrata odgarnęła mokry lok z policzka – zmycie z siebie brudu i potu stanowiło jedyną przyjemność, na jaką starczyło jej energii, gdy

legioniści wzniesli obóz. – Lecz jak zmusił Bagratouniego, by to zrozumiał – ciągnęła – po tym wszystkim, co wycierpiał od Yezda? To, co wydarzyło się w Garsavrze, nie ma teraz żadnego znaczenia. Tutaj Rzymianie nigdy nie wystąpiliby przeciwko ludziom Gagika, nie w samym sercu opanowanego przez wroga kraju.

–Przypuszczam, że nie – na wpół zgodził się Senpat – choć jestem ciekaw, co by się stało, gdyby Minicjusz wydał taki rozkaz. Cieszę się, że nie musimy się tego dowiadywać. Jednak masz rację; nie to powstrzymało Gagika.

–Więc co?

–Naprawdę chcesz wiedzieć, co o tym sędzę? Myślę, że w ciągu ostatnich paru lat, wcale nie zdając sobie z tego sprawy, Bagratouni zmienił się z *nakharara* w... jak oni to nazywają?...centuriona, ot co. Rzymska dyscyplina głęboko zapada w człowieku. Cieszę się tylko, że nas samych

nie spętała.

Nevrata zastanowiła się nad tym. Myśl o Gagiku Bagratounim, występującym pod postacią wygolonego dokładnie Rzymianina, kazała jej uśmiechnąć się, lecz stwierdziła, że Senpat uchwycił istotę rzeczy. *Nakharar* warczał na Minicjusza, lecz w końcu posłuchał go. Bagratouni, jakiego znała dawniej, tak urażony, mógł zmusić dowódcę legionistów do spełnienia groźby.

Po jakimś czasie powiedziała: – Jeśli Rzymianie nie mają na nas wpływu, to dlaczego jesteśmy tutaj nad Arandosem, a nie w stolicy, wykonując rozkazy Autokraty?

W odpowiedzi usłyszała tylko chrapanie. Przewróciła się na bok. Parę minut później sama już spała.

Yavlak walczył już raz z Rzymianami, zanim rozpoczęli swój marsz na zachód, lecz klęska, jaką wówczas poniósł, niewiele go nauczyła. Naczelnicy klanów Yezda, koczujących w głębi centralnego płaskowyżu, nic nie wiedzieli o przybyszach i byli na tyle głupi by wierzyć, że zdołają przepędzić ich tymi siłami, jakie mieli na podorędziu.

Parę bolesnych porażek przekonało ich, że się mylili. Wieści rozchodziły się szybko od jednego klanu do drugiego. Kiedy już się rozeszły, Yezda pozostawili legionistów w spokoju. W rzeczywistości koczownicy uciekali przed nimi, zabierając stada i całą resztę.

–Znalazłam jeszcze jeden porzucony obóz przed nami – zameldowała Nevrata Minicjuszowi na wieczornej naradzie, gdy wróciła ze zwiadu. – Ze śladów wynika, że opuścili go przed dwoma albo trzema dniami.

–To bez sensu – stwierdził Rzymianin. Zarost drapał go w dłoń, kiedy potarł szczękę. – Gdyby zostawili nas w spokoju, nie ścigalibyśmy ich. Można by się spodziewać, że zdążyli to już zauważyć.

–Tęsknisz za nimi? – zakpiła Nevrata.

–Nawet odrobinę. – I znowu pod poważną skorupą, w jakiej zamykał się Minicjusz, dostrzegła rozbawionego młodzika, lecz tylko przez chwilę. – Jednak nie ufam temu, czego nie rozumiem – dodał.

–To taki zwyczaj koczowników – rzekł Bagratouni. – Kiedy przybywa silny klan, słabe schodzą mu z drogi. Teraz będą walczyli między sobą o pastwiska i rozproszą się na terenie większym, niż zdołalibyśmy przejść w ciągu roku. – Perspektywa ta napełniła jego głos posępnym zadowoleniem.

Oczy Laona Pakhymera załśniły udawanym oburzeniem.

–Ha! Chcesz powiedzieć, że moi szlachetni przodkowie nie byli wielkimi bohaterami, o

których śpiewają nasi minstrele, a tylko że zostali zepchnięci ze stepów do Khatrish?

Bagratouni zrozumiał go dosłownie. – Mogło tak być, ale musiało się to dziać setki mil stąd.

–Zatem zepchniemy Yezda do Amorionu? – rzekł wolno Minicjusz.

Nevrata i Senpat wymienili przerażone spojrzenia; żadne z nich nie pomyślało o tym. Wielkie dłonie Gagika Bagratouniego zacisnęły się w pięści. – Może to i lepiej, jeśli nam się uda. Zemar-khos i Yezda zasługują na siebie nawzajem. Im więcej będą ze sobą walczyli, tym łatwiej poradzimy sobie z nimi potem.

–W normalnej sytuacji zgodziłbym się z tym i był za to wdzięczny – powiedział Minicjusz z

wyrazem zmartwienia na twarzy. – Lecz, jeśli taka jest wola bogów, Skaurus i Gajusz Filipus są

już w Amorionie albo zbliżają się do niego. Ostatecznie wyruszyliśmy im na ratunek, a nie po to, by

pakować ich w nowe nieszczęścia.

Ze swoim zwykłym darem zwracania uwagi na coś, co przy tegoż oczywistości łatwo

przeoczyć, Pakhymer przerwał zakłopotane milczenie, które zapadło po słowach Minicjusza.

–Cóż, odrobinę za późno, żeby wracać, prawda?

Następnego dnia Nevrata zastanawiała się właśnie nad kwaśną uwagą Khatrisha, kiedy wraz z mężem spostrzegła jeźdźca podążającego wzdłuż Arandosus za legionistami. Dwoje Vaspurakańczyków zmieniało się w straży tylnej z paroma ludźmi Pakhymera jadącymi przed armią.

Senpat chrząknął zaintrygowany, gdy obejrzał się przez ramię. – Ten człowiek nie siedzi na koniu jak koczownik.

–Rzeczywiście – przytaknęła Nevrata po chwili, kiedy przyjrzała się przybyszowi. Yezda, tak jak Khatrishe i inne ludy wywodzące się z khamorthckiego pnia, używali bardzo krótkich strzemion z ochraniaczami na nogi i jeździli z zadartymi kolanami. Natomiast przybysz trzymał nogi opuszczone nisko przy końskim boku.

–Wydaje się, że jest sam. – Senpat zagwizdał trzy nuty z vaspurakańskiej pieśni myśliwskiej, a potem nałożył strzałę na cięciwę. – Ubezpieczaj mnie, ja zobaczyłem go pierwszy.

Uprzedziwszy tą bezceremonialną uwagą ewentualną sprzeczkę, Senpat ruszył ku nieznanemu, a Nevrata podążyła za nim w odległości umożliwiającej łatwy strzał z łuku. Dwaj mężczyźni rozmawiali przez chwilę, a potem Senpat machnął ręką, że wszystko w porządku. Z łukiem złożonym na podołku, tak by w każdej chwili mogła go chwycić, Nevrata podjechała do nich.

–To nie Yezda, Nevrato. – Na twarzy Senpata malował się wyraz lekkiego oszołomienia. –

Nazywa się Arsakes Akrounos i jest imperatorskim kurierem.

Spoglądając na Akrounosa, Nevrata Sviudo nie poczuła się tym zaskoczona. Emanowała z niego spokojna fachowość, jakiej wymagała ta praca. Jeśli poczuł się zaskoczony, że zwiad prowadzi kobieta, niczym tego nie zdradził. – Mam rozkaz do przekazania waszemu dowódcy – powiedział tylko.

–Zaprowadzimy cię do niego – odparła Nevrata.

Jak większość Videssańczyków, Akrounos lubił słuchać samego siebie. Plotkował o tym i owym, kiedy kłusował na zachód pomiędzy Nevratą i Senpatem. Jednak w przeciwieństwie do wielu rodaków, niczego nie zdradzał swoją paplaniną i Nevrata dałaby sobie uciąć rękę, że żaden szczegół nie umknął jego oczom, kiedy mijali szeregi maszerujących legionistów.

Minicjusz kroczył na przodzie kolumny. – Doprawdy? – rzekł, kiedy Senpat wyjaśnił kim jest i po co przybył Akrounos. Zszedł na bok, pozwalając Rzymianom minąć go i zmierzył kuriera nieprzychylnym wzrokiem. – Dobrze, niech mówi to, co ma do powiedzenia.

Dopiero teraz Akrounos wydawał się być strapiony; przywykł do cieplejszych powitań. Pogme-rał w torbie przy siodle i wyjął z niej jakiś pergamin, opieczętowany rzucającą się w oczy słoneczną pieczęcią Imperatora. Z wykwintnym, zamaszystym gestem podał go Minicjuszowi.

Rzymianin oddał mu go, ponownie zbijając go z tropu.

–Sądzę, że po prostu możesz mi powiedzieć, o co chodzi. Przykro mi i tak dalej, ale niezbyt dobrze czytam po videssańsku.

–Z pewnością domyślasz się... – zaczął Akrounos. Minicjusz przerwał mu w pół zdania. – Po co miałbym się

domyślać, jeśli tu jesteś? Mów, co masz do powiedzenia, albo wracaj skąd przybyłeś.

–Co? - teraz kurier był już wyraźnie zgorszony; nikt nie zwracał się w taki sposób do przedstawicieli Imperatora. Z widocznym wysiłkiem opanował się i przełamał pieczęć na dokumencie. – „Jego Imperatorska Mość Thorisin Gavras, Autokrata Videssańczyków, do Sekstusa Minicjusza, dowódcy wojsk Naszej Wysokości w Garsavrze: pozdrowienia. Z żalem dowiaduję się, że zapomniałeś o obowiązku posłuszeństwa wobec naszej osoby i...”

–O co chodzi? – ponaglił go Minicjusz. – Nie mam czasu na takie wstępy.

Akrounos potrzebował chwili, żeby uporządkować myśli; mówienie krótko i wprost nie przychodziło Videssańczykom łatwo. W końcu powiedział: – Wróc z wojskiem do Garsavry, a Imperator w swej łaskawości przymknie oko na twoją chwilową dezercję.

–Tak też sądziłem. – Minicjusz skrzyżował ramiona na piersiach. – Nie.

I znowu Akrounos zawahał się, oczekując jakiejś dłuższej odpowiedzi. Kiedy zrozumiał, że nie

usłyszy już nic więcej, zawołał:

–Skąd taka niewdzięczność? Czy Imperium nie udzieliło wam schronienia, kiedy zostaliście

bez dachu nad głową, czy nie nakarmiło was, kiedy byliście głodni?

Rzymianin zmarszczył brwi. Szacunek Nevraty dla rozumu Thorisina Gavrasa, i tak już znaczny, zwiększył się jeszcze. Argument, jaki Imperator za pośrednictwem swego kuriera rzucił w twarz Minicjuszowi, odwoływał się do silnego poczucia obowiązku legionisty.

Lecz Minicjusz rzekł: – W pierwszym rządzie jesteście odpowiedzialni wobec Skaurusa, nie Gavrasa. A za nasze utrzymanie zapłaciliśmy krwią. Poza tym twój pan wysłał dwóch moich do-

wódców na samotną śmierć. Gdzie tu łaskawość, Akrounosie?

Maszerujący po boku żołnierze groźnym pomrukiem poparli słowa Minicjusza, Dwóch z nich uniosło *pila* i zmierzyło Akrounosa wściekłym spojrzeniem. Minicjusz uspokoił ich gestem ręki.

Manipuł, który wciąż jeszcze składał się niemal w całości z Rzymian, przeszedł, i teraz jego miejsce zajął oddział Bagratouniego. Akrounos zawołał do Vaspurakańczyka: – Czy ty też wolisz, by twoim panem był jakiś obcy najemnik, a nie Imperator?

–Dlaczego nie? – Bagratouni cały czas przysłuchiwał się rozmowie. – Czyż Skaurus nie

udzielił nam schronienia, gdy zostaliśmy bez dachu nad głową, czyż nie nakarmił nas, kiedy byli

śmy głodni? – Jego głęboko osadzone oczy zaśniły, gdy wbijał kurierowi tę szpilkę. Twarz

Akrounosa skamieniała. Bagratouni skinął poważnie głową Minicjuszowi i pomaszerował dalej.

Senpat mruknął w vaspurakańskim: – Trzeba by było czegoś większego niż Thorisin, żeby powstrzymać Gagika przed ściganiem Yezda... i Zemarkhosa.

–Ale jednak nie powiedział tego – odparła Nevrata w tym samym języku. – Odpowiedział tak, jak odpowiedziałby rzymski centurion; kolejny dowód, że miałeś rację.

–Przekażę twoją odpowiedź Jego Imperatorskiej Mości – rzekł Akrounos do Minicjusza.

–Zostań z nami – próbował nakłonić go Rzymianin. – Miałeś szczęście, że udało ci się dotrzeć tak daleko samemu. Pomyśl, jak niewielkie masz szanse, by wrócić cało.

Kurier wzruszył ramionami. – Będzie jak będzie. Moja lojalność też się tu liczy, a Imperator z pewnością zechce usłyszeć wieści, jakie przywiozę.

–Jedź zatem – powiedział Minicjusz, machnąwszy ręką w uznaniu odwagi Akrounosa. – Nie jestem twoim wrogiem ani też wrogiem Thorisina.

–Ha! – Akrounos zawrócił ostro konia i pokłusował na wschód. Minicjusz puścił się biegiem w przeciwnym kierunku, by zrównać się z czołem kolumny. Nie obejrzał się za siebie.

Od miejsca, gdzie do Arandosu wpada rzeka Ithome, legionieści pomaszerowali na północny zachód wzdłuż jej biegu. Od Amorionu dzieliły ich zaledwie trzy dni marszu. Wśród żołnierzy rosło podniecenie wywołane oczekiwaniem – u Rzymian na możliwość uratowania swego trybuna, a u Vaspurakańczyków na zbliżającą się perspektywę zadania ciosu znienawidzonemu prześladowcy ich ludu.

Właśnie kiedy Nevracie zaczęła świtać nadzieja, że Zemarkhos jest zbyt zajęty teologicznymi tyradami, by zawracać sobie głowę takimi doczesnymi szczegółami jak wystawienie straży na granicach terenu, którym władał, jeden z khatrishkańskich zwiadowców powrócił do armii, dzierżąc trofea w postaci hełmu, pałasza i łuku.

–Jakichś dwóch bękartów próbowało rzucić się na mnie zameldował Minicjuszowi. – Za-

strzeliłem jednego, do którego właśnie należały te rupiecie, lecz drugi łajdak uciekł. To byli mieszkańcy Imperium, nie Yezda.

Rzymski dowódca westchnął, – Wolałbym, żebyś ustrzelił obu, ale spisales się dzielnie, że dostałeś tego jednego. – Zwiadowca wyszczerzył zęby, zadowolony z pochwały.

–To tyle, jeśli chodzi o zaskoczenie – zauważył Laon Pakhymer. – Na twoim miejscu, Sek-stusie, spodziewałbym się ataku jeszcze dzisiaj.

–Nawet Yavlak stracił trochę czasu, by zebrać choć część swoich sił – zaprotestował Minicjusz.

–Yavlak szukał jedynie łupów i krwi – rzekł Bagratouni. – Co do mnie, sądzę że Pakhymer ma rację. Ten plugawy, kłamliwy kundel Zemarkhos wpoił swoim ludziom przekonanie, że Phos zabierze ich prosto do nieba, jeśli umrą spełniając wolę tego szaleńca.

Minicjusz potrząsnął głową ze zdumieniem. – Co za idiotyzm. – W tym też przypominał Nevracie Skaurusa, dla którego sekciarskie kłótnie pomiędzy różnymi odłamami czcicieli Phosa nic nie znaczyły. Jeśli chodzi o nią samą, to wyrosła w

vaspurakańskiej odmianie tej wiary i nigdy nie myślała o jej zmianie. Niektórzy zamieszkali w Imperium Vaspurakańczycy przechodzili jednak na inne wyznanie, by szybciej osiągnąć wysoką pozycję. Rodacy określali ich jednym słowem – zdrajcy.

–Nie mogę uwierzyć, by jakikolwiek żołnierz mógł być tak głupi – obstawał przy swoim

Minicjusz. Pakhymer i Bagratouni przekonywali go, lecz nie potrafili zmienić jego opinii. Im gło

śniej krzyczeli, tym bardziej zaciskał swoją wydatną szczękę, a w jego oczach pojawiał się wyraz

jeszcze większego uporu.

Nevrata uważała, że Pakhymer i Bagratouni mają rację. Zastanowiła się, co w takiej sytuacji przekonałoby Marka. Kiedy Minicjusz spojrział na nią, powiedziała: – Nie pozwól, by twoja niewiara przeszkodziła ci rozważyć fakt, że wiara innych może być prawdziwa. Przypomnij sobie, co spowodowało, że Bagratouni i jego ludzie dołączyli do was.

Rzymianin zacisnął usta. Pakhymer był dość bystry, by ugryźć się w język i dać mu czas na przemyślenie tego; kopnął Bagratouniego w kostkę, kiedy tamten chciał dalej się wyklócać. W końcu Minicjusz powiedział: – Będziemy maszerować manipuł przy manipule. W ten sposób szybko sformujemy szyk, jeśli zajdzie potrzeba.

Krzyknął rozkazy, jednocześnie przeklinając pod nosem z powodu opóźnienia, jakie to wywoływało. Pakhymer mrugnął do Nevraty, a potem wstrząsnął nią, odzywając się w najczystszy vaspurakański: – W twoich słowach kryło się coś więcej niż tylko logika.

Minicjusz obrzucił ich przenikliwym spojrzeniem. Nevrata sądziła, że i on nie zna wcale jej języka.

–Nikommu już nie można ufać – zachichotał Senpat, kiedy parę minut później wrócił z patrolu.

Lecz rozbawienie brzmiące w jego głosie i malujące się na twarzy było tylko powierzchowne. On i Nevrata nie musieli uciekać przed pogromem Zemarkhosa, lecz doświadczyli jadu fanatycznego kapłana w dawnym domu Bagratouniego przed bitwą pod Maraghą.

Tym razem zwiadowcy przekazali ostrzeżenie za ledwie na chwilę przed pojawieniem się wroga. – Niech cię zaraza, ilu? – krzyknął Minicjusz, kiedy jakiś Khatrish nadszedł galopem wołając, że ścigają go jeźdźcy.

–Nie czekałem, żeby ich policzyć – odciął się zwiadowca. Zlekceważył wściekle spojrzenie Minicjusza. Nevrata zachichotała. Swawolni Khatrishe mieli wyraźny talent do działania Rzymianom na nerwy.

–Formować szyk! – rozkazał Minicjusz. Skinął głową w stronę Laona Pakhymera. – Zdaje się, że miałeś rację. Czy twoi ludzie mogą dać nam trochę czasu na rozwinięcie szyku?

–Spieszcie się – odparł Pakhymer, machając ręką w stronę szybko zbliżającej się od zachodu chmury kurzu. Tak sprawnie jak na placu apelowym, Rzymianie zajmowali już swoje pozycje. Zdawało się to drażnić Pakhymera w tym samym stopniu, w jakim radosna samowola jego własnych ludzi irytowała Minicjusza.

–Ruszajcie się, prędko! – wrzeszczał Pakhymer na swoich jeźdźców. – Czy nie wiecie, jaki to rzadki przywilej umierać za dowódcę, który raczył przyznać, że się mylił? – Skłonił się Sen-patowi i Nevracie, podkreślając ukłon szerokim, wdzięcznym gestem ręki, bardziej pasującym do jakiegoś wielkiego pana. – Czy macie ochotę przyłączyć się do balu? Tańce rozpoczną się już wkrótce.

Zaczęły dźwięczeć cięciwy. Konnica ostrzeliwująca się z Khatrishami sprawiała wrażenie niewiele bardziej zdyscyplinowanej niż Yezda; ci kawalerzyści nie wiedzieli nic o skomplikowanych manewrach, jakich nauczały videssańskie podręczniki wojskowe. Lecz nie wiedzieli też nic o odwrocie, choć Nevrata zobaczyła jak niewielu ich było w porównaniu z przeciwnikami.

–Zemarkhos! – krzyczeli. – Niech Phos błogosławi Zemarkhosa!

Ten okrzyk wojenny rozwścieczył ludzi Gagika Bagratouniego. Zaczęli go powtarzać ze

sprośnymi ozdobnikami. Dowódca żołnierzy Zemarkhosa pokręcił głową. Nawet walczących na rzymską modłę podwładnych Bagratouniego można było rozpoznać po ich krępej budowie i gęstych, czarnych brodach.

–Vaspurzy! – zawył dowódca. Machnął ku nim mieczem.

Laon Pakhymer ocenił sytuację chłodnym okiem zawodowca. Posłał swoich ludzi bokami, by

oskrzydłili wolontariuszy Zemarkhosa, grożąc im otoczeniem, gdyby się nie wycofali. Ani on, ani nikt inny, kto oceniał sytuację jedynie w kategoriach militarnych, nie mógł się spodziewać, że rzucą się prosto na linię legionistów.

I właśnie dlatego, że szarża ta stanowiła niespodziankę, powiodła się bardziej niż powinna.

Nevrata strzeliła z bardzo bliska wprost w szarżującego Videssańczyka i z upokarzającym zdumieniem stwierdziła, że chybiła. Pochyliła się błyskawicznie, trąc twarzą o szorstkie włosy końskiej grzywy. Usłyszała syk klingi zaledwie kilka cali nad głową. I już ją minął, wciąż wywrza-skując imię Zemarkhosa.

Przebiwszy się przez osłonę jeźdźców Pakhymera, Videssańczycy pomknęli prosto na ludzi Ba-gratouniego. Reszta armii wydawała się dla nich nie istnieć, z wyjątkiem przeszkód pomiędzy nimi a upatrzoną ofiarą. Salwa *pilum* przyhamowała ich nieco, lecz parli dalej, nie zważając na nic. Raniony śmiertelnie koń przewrócił trzech Vaspurakańczyków, otwierając dla ludzi Zemarkhosa wyłom, przez który się wdarli. Zasyпали gradem ciosów cele swej nienawiści. Vaspurakańczycy odpierali atak z równą dzikością.

Lecz bitwa szybko straciła osobisty charakter. Rzymskie manipuły, sąsiadujące z manipulem Ba-gratouniego, przesunęły się do przodu i zatrzasnęły na bokach grupy Zemarkhosa. A za nimi khatri-shańska kawaleria szybko przegrupowała się, żeby zamknąć drogę ucieczki.

–Butelka została zakorkowana! – krzyknął Senpat. Ryknął wyzwanie do jednego ze srożącej

się przed nim zgrai. – Tutaj, szumowino. Co ze mną? Ja też jestem księciem Vaspurakanu! –

Wszyscy Vaspurakańczycy tytułowali się książętami, ponieważ twierdzili, że są potomkami pierw

szego człowieka, którego stworzył Phos.

Przeciwnik Senpata walczył z desperacją, jaką daje fanatyzm. To nawet ułatwiało walkę, ponieważ Sviodo lepiej władał mieczem. Lecz Videssańczyk nawet nie dostrzegł Nevraty, która parę kroków dalej naciągnęła łuk. Tym razem trafiła. Mężczyzna zwałił się z siodła.

–Obawiałaś się o mnie? – zakrzyknął Senpat.

–Ja też nauczyłam się czegoś od Rzymian. Nie ryzykuję.

–Wystarczy, rozumiem. Nie będę zrzędził z powodu nie rozlanej krwi, szczególnie kiedy jest to moja krew. – Senpat ruszył naprzód, popędzając konia. Nevrata podążyła za nim. Zaoszczędziła trochę strzał i teraz wykorzystywała je z ogromną skutecznością.

W końcu już nawet fanatyzm nie mógł pomóc ludziom Zemarkhosa. Grupa niedobitków oderwała się od wroga i podjęła próbę wyrwania się z otoczenia.

Powiodło się garstce; znacznie więcej padło podczas próby ucieczki. Ta zacięta potyczka trwała zaledwie parę minut.

Minicjusz podszedł do Gagika Bagratouniego. Rzymski dowódca miał nieco chwiejny chód; świeże wgniecenie na jego hełmie wskazywało, co było tego przyczyną. Jednak mimo to jego umysł pracował jasno. – Dobrze walczyliście, Gagik. Trzeba porozmawiać z paroma jeńcami, żeby dowiedzieć się, co nas czeka dalej.

Vaspurakańczyk rozłożył swoje wielkie ręce. – Jeńcami? Jaka szkoda... wydaje się, że nie wzięliśmy żadnego – W jego oczach kryło się wyzwanie, by Minicjusz właściwie to zrozumiał.

–Och, cóż, i tak dowiemy się tego bardzo szybko – rzekł Minicjusz. Rozejrzał się, szukając

wzrokiem Pakhymera, który, co było do przewidzenia, znajdował się w pobliżu. – Czy możesz wysłać swoich zwiadowców odrobinę dalej, Laonie? Uchroniłoby to nas przed niespodziewanym uderzeniem większej bandy tych szaleńców.

–Dopilnuję tego. – Wydawało się, że kiedy dowódca kawalerii wydawał rozkazy, czynił to z

większą powagą niż zwykle. Nie mógł przetrwać brutalnego lania, jakie wolontariusze Zemarkhosa

spuścili jego ludziom podczas pierwszej szarży, mimo że Khatrishe powetowali to sobie z nawiąz

ką.

Trąbki zagrały sygnał do marszu. Armia ruszyła naprzód. Senpat skończył bandażować drobną ranę ciętą na karku swego konia. – Zrobiliśmy to wszystko – powiedział – i nawet nie wiemy, czy Skaurusowi w ogóle udało się dotrzeć do Amorionu.

–To prawda – odpowiedziała Nevrata. – Bez przerwy zastanawiam się, co by się z nim stało, gdyby wpadł na jakichś fanatyków Zemarkhosa.

–Nie jest Vaspurakańczykiem – przypomniał jej mąż.

–Wiem, że nie jest. Nie to miałam na myśli. Lecz nawet jeśli przedostanie się do miasta, to na co może liczyć? – Nevrata wbiła pięty w końskie żebra. – Tak jak powiedział Minicjusz: dowiemy się tego bardzo szybko.

VI

Stęknęła katapulta. Kamienna kula, większa niż głowa mężczyzny, przemknęła z sykiem przez powietrze, niemal zbyt szybko, by oko mogło za nią nadążyć. Wbiła się w miękką ziemię na skraju stepu. Wiatr rozwiął tuman pyłu, jaki wzbiła.

Viridoviks potrząsnął pięścią w stronę warowni, która jak bestia z brunatnego kamienia leżała w wylocie przełęczy prowadzącej na południe, w głąb Erzerum. Na blankach twierdzy, jak pchły na grzbiecie bestii, roili się ludzie. – Wyjdźcie i walczcie, nikczemni tchórze! – krzyknął Gal.

–To był tylko ostrzegawczy strzał – rzekł Lankinos Skylitzes. – Z tej odległości mogliby w

nas trafić, gdyby mieli na to ochotę.

Pikridios Goudeles westchnął. – Zdaje się, że budowaliśmy za dobrze, my i Makurańczycy, ten jeden raz, kiedy potrafiliśmy zdobyć się na współpracę.

Gorgidas dotknął ręką torby przy siodle. Spisał tę opowieść kilka dni wcześniej, kiedy Goudeles opowiedział ją w obozie. Przed stuleciami dwa wielkie imperia zrozumiały, że w ich wspólnym interesie leży powstrzymanie stepowych koczowników przed przenikaniem do Erzerum i pojawianiem się na ich własnych ziemiach. Północne przełęcze znajdowały się poza zasięgiem stałych wpływów każdego z nich, lecz Mak uran dostarczył pieniądze na budowę strzegących

przełęczy warowni, zaś Videssos wniosło swój udział, zapewniając wykwalifikowanych budowniczych i coroczne subwencje dla miejscowych książątek, na utrzymanie stałej obsady garnizonów. Teraz Makuran już nie istniał, a pomoc Videssańczyków ustała, kiedy w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat spadły na Imperium kłopoty, lecz Erzerumczycy dalej obsadzali forty; na równi z Erzerum strzegli leżących dalej na południu ziem.

–Dać sygnał, że chcemy pertraktować – rozkazał Arigh, i pomalowana na białą tarcza uniosła

się do góry na lancy. Podjęcie decyzji o przedarciu się siłą przez którąś z wąskich przełęczy rów

nałoby się samobójstwu, a wielkie góry Erzerum, wciąż jeszcze lśniące w oddali śniegiem, okrywa

jącym niektóre szczyty mimo zbliżającego się lata, nie oferowały żadnych innych przejść.

Boczne wrota rozwarły się; jeździec dzierżący taki sam znak zawieszenia broni i dosiadający kościstego, górskiego wierzchowca, ruszył w stronę Arshaumów. Arigh szybko wybrał mającą wyjechać mu na spotkanie grupę: siebie samego, Goudelesa i Skylitzesa – pierwszego dla jego talentów dyplomatycznych, drugiego z powodu jego znajomości języka khamorthckiego, którym to językiem powinien władać każdy, kto zamieszkiwał pogranicze Pardraji – oraz Toluiego. Pod wpływem sugestii Goudelesa, dobrał do grupy jednego z żołnierzy Agothiasa Psoesa, władającego od biedy vaspurakańskim; „książęta” zadawali się ze swymi północno-zachodnimi sąsiadami jeszcze zanim wpływy Videssos sięgnęły tak daleko i z niektórymi łączyły ich jak najlepsze stosunki.

–Czy ja też mógłbym z wami pojechać? – zapytał Gorgidas.

–Zawsze pragnący wszystko poznać – rzucił Arigh na wpeł z rozbawieniem, na wpeł pogardliwie. – Cóż, dlaczego nie? – Viridoviks nie prosił o niczyje zezwolenie, tylko po prostu ruszył naprzód z całą grupą, radośnie udając, że nie dostrzega zmarszczonych brwi Arigha.

Erzerumczyk machnął im ręką, żeby zatrzymali się w bezpiecznej odległości. Z wyglądu bardzo przypominał Vaspurakańczyka – krępy, smagłokóry, o kwadratowej twarzy i haczykowatym nosie – lecz swoją kędzierzawą brodę układał w dwa szpice. Jego pozłacany pancerz, spiżowy hełm ozdobiony kitą piór i obcisłe spodnie z przedniego jedwabiu świadczyły o tym, że jest oficerem. Mógł mieć zarówno trzydzieści pięć jak czterdzieści pięć lat.

Ponownie machnął ręką, tym razem gestem ostatecznej odprawy. – Wracajcie – powiedział w mowie równin; mówił z dziwnym, syczącym akcentem. – Wracajcie. Zmiażdżymy was, jeśli zbliżycie się jeszcze choć o krok. Ja, Vakhtang, zastępca dowódcy zamku Gunib, mówię wam to. Czyż jesteśmy bezmózgimi prostakami, żeby otwierać nasz kraj przed krwiożerczymi barbarzyńcami? Nie, powiadam. Wracajcie i bądźcie wdzięczni, że nie zabiliśmy was wszystkich.

Arigh zjeżył się. Goudeles rzekł pospiesznie: – On nie mówi tego wszystkiego poważnie. Przemawia w videssańskim stylu, choć daleko mu do właściwego sposobu wyrażania się.

–W videssańskim stylu, co? To jest myśl. – Lata, jakie Arshaum spędził w stolicy Imperium,

pozwoili mu dobrze poznać ten język. Skorzystał z niego teraz: – Dlaczego zaraz dosiadasz tak

wysokiego konia, człowieku? Nie mamy nic do ciebie ani do twoich ludzi. To Avshar, niech będzie przeklęty, jest tym, kogo ścigamy.

Brwi Vakhtanga podjechały do góry. – Wiem, co to za język, jednak nie używam go. – Wydawało się, że dopiero teraz przyjrzał się uważnie grupie parlamentarzystów. W swych futrach i skórach Gorgidas, Goudeles, Skylitzes i żołnierz Psoesa – nazywał się Narbas Kios – mogli uchodzić za Khamorthów, choć nieco dziwnych. Lecz Arigh i Tolui wyglądali jeszcze inaczej. Zaś Viridoviks, ze swymi sumiastymi, opadającymi wąsami, ognistorudymi włosami wysypującymi się spod futrzanej czapy i bladą, piegowatą skórą nie przypominał żadnego z ludzi, z jakimi dotychczas zetknął się erzerumski dowódca. Mimo usilnych starań, jego opanowanie prysnęło. – Kim wy, ludzie, w ogóle jesteście? – wyrwało mu się.

Goudeles trącił łokciem kawalerzystę Narbasa, który wyjechał na parę kroków przed innych. – Upewnij się, że cię rozumie – powiedział urzędnik. Kiedy Narbas przemówił niepewnie po vaspura-kańsku, na twarzy Vakhtanga pojawiło się jeszcze większe zaskoczenie, lecz opanował je. Skinął po królewsku głową.

–Dobrze – odetchnął Goudeles. Zamilkł na chwilę; Gorgidas wręcz widział jak odrzuca

kwieciste zwroty videssańskiej retoryki, zachowując jedynie te, z którymi mógł poradzić sobie

Kios. – Powiedz mu, że Skylitzes i ja jesteśmy posłami Autokraty Videssańczyków. Powiedz mu,

skąd pochodzą Arshaumi i że przebyli całą tę drogę jako nasi sprzymierzeńcy w wojnie przeciwko

Yezd. Prosimy jedynie o glejt na przejście przez Erzerum, tak byśmy mogli zaatakować Yezda na

ich własnych ziemiach. Masz, daj mu nasze akredytywy, gdyby je zechciał.

Wyjął list uwierzytelniający, jaki otrzymał od Thorisina, już nieco wytarty, lecz wciąż olśniewający czerwonym i złotym atramentem oraz błękitną jak niebo, słoneczną pieczęcią Imperatorów Vi-dessos. Skylitzes również wręczył mu swój list. Trzymając po jednym w każdej ręce, tak że nie mógł wyciągnąć broni, Narbas podał je Vakhtangowi. Oficer zrobił wszystko, by sprawić wrażenie, że je uważnie studiuje. Gorgidas był pewien, że jeśli nie mówi po videssańsku, to również nie potrafi czytać w tym języku, lecz prawdopodobnie rozpoznał pieczęcie. Niewielu ludzi na tym świecie nie rozpoznałoby ich.

Erzerumczyk z powagą oddał listy. Znowu przemówił, tym razem w gardłowym vaspura-kańskim. Narbas Kios tłumaczył:

–Nawet tak daleko na północy, tak mówi, słyszeli o Yezd, i to nic dobrego. Nigdy

jeszcze nie pozwolili armii koczowników przejść przez swoje forty, lecz przekaże twoje słowa władcy Gunib.

–Powiedz mu, że jesteśmy wdzięczni za jego uprzejmość – rzekł Arigh i skłonił się głęboko w siodle. Viridoviks przyjrzał się swemu przyjacielowi z niedowierzającym szacunkiem; ów hulaka w Videssos, nauczył się być księciem.

Vakhtang odwzajemnił się paroma uprzejmymi słowami za podziękowania Arigha i zawrócił, by

odjechać do warowni. Nim zdołał się oddalić, od grupy oderwał się Tolui i dogonił go. Vakhtang obrócił się w popłochu i sięgnął ręką po miecz, lecz zrezygnował z tego spojrzawszy na szamana; choć nie przybrany w swoje szaty, Tolui wciąż budził swym wyglądem szacunek. Położył dłoń na ramieniu erzerumskiego dowódcy i przemówił do niego, wykorzystując tych parę słów, jakich nauczył się od Batbaiana: – Nie... walczyć z wami. Nie... zaszkodzić wam. Przejść, to wszystko. Przysięgać.

Wydawało się, że jego łamana mowa wywarła na Vakhtangu takie wrażenie, jak argumenty i listy Goudelesa razem wzięte. Gorgidas zauważył, że zarozumiały biurokrata poczerwieniał, kiedy Vakhtang pożegnał Toluiego gestem najwyraźniej oznaczającym salut, przykładając do czoła zaciśnięte pięści. Potem uściśnął dłoń szamana i odjechał, ponaglając konia do kłusu. Boczne wrota rozwarły się, by go przyjąć.

–Co teraz? – zapytał Gorgidas.

–Czekamy – odparł Arigh. Gorgidas i Videssańczycy wierzili się niespokojnie w siodłach, lecz Arigh, który miał cierpliwość koczownika, siedział spokojnie na swoim koniu, gotów czekać cały dzień, jeśli zajdzie taka potrzeba. Po jakimś czasie główne wrota fortecy Gunib uchyliły się nieco. – Ufają nam, przynajmniej niektórzy – rzekł Arigh. – Teraz załatwimy co trzeba.

W otoczeniu małego oddziału straży przybocznej, składającego się z uzbrojonych w lance kawalerzy stów, pojawił się Vakhtang w towarzystwie starszego mężczyzny, wyróżniającego się strojem i ekwipunkiem jeszcze bogatszym niż ten, jaki miał na sobie jego zastępca. Starcze plamy pokrywały grzbiet jego rąk, co Gorgidas zobaczył, gdy tamten się zbliżył, lecz emanowała z niego siła. Miał oczy wojownika, niezmiennie zmrużone w kącikach i zaczerwienione. Przyjrzał się przybyszom tak baczenie, jak mógłby to uczynić Gajusz Filipus.

W końcu powiedział: – Jestem Gashvili, pan Gunib. Przekonajcie mnie, jeśli potraficie, że powinienem zezwolić wam na przejście. – Głos miał oschły, posępne rysy nieodgadnione.

Wysłuchał opowieści, tej, którą poznał już Vakhtang, lecz wzbogaconej

szczegółami. Nieustannie przerywał pytaniami, a odpowiedzi sprawdzał, zadając nowe. Miał rozległą, acz nie całkowitą wiedzę o sprawach mieszkańców Pardraji; wiedział o próbie zagarnięcia władzy przez Varatesha i magicznej pomocy, jakiej udzielił mu Avshar, lecz sądził, że ten ostatni jest khamorthckim czarodziejem. Kiedy Arigh opowiedział mu o ucieczce księcia-czarodzieja na południe, Gashvili uderzył pięścią w otwartą dłoń drugiej ręki i warknął coś gniewnie we własnym języku.

–Dwa dni temu przepuściliśmy człowieka, którego wygląd odpowiadał waszemu opisowi –

powiedział, kiedy zdołał zapanować nad językiem tak, by przybysze z równin mogli go zrozumieć.

–Twierdził, że jest kupcem, którego na stepie napadli bandyci. Jako że przybył sam jeden i nie był

Khamorthem, nie mieliśmy powodu, by mu nie wierzyć.

Wszyscy członkowie grupy Arigha krzyknęli jednocześnie. Mimo ich nadziei, mimo oczekiwań,

nie dopadli Avshara. Musiał utkać jakąś magię, która pozwoliła jego ogierowi pędzić dzień i noc bez przerwy, z wytrzymałością daleko przewyższającą normalną siłę jakiegokolwiek wierzchowca. Ogier stale zdobywał przewagę nad Arshaumami, choć jeźdźcami byli niezmordowanymi. Potem ulewa zatarła ślady i zgubili trop.

–No, na co wasza czcigodność czeka? – zawołał Viridoviks. – Dlaczego nie wołasz swoich

ludzi, żeby ruszyli z nami pojmać tego drania, co byłoby więcej warte niż milion lat takiego

siedzenia pod drzwiami prowadzącymi donikąd. – Gal miał ochotę zeskoczyć z kuca i wbić

Gashviliemu rozum do głowy.

Rozbawienie wykrzywiło usta szlachcica. – Być może zrobię to. – Zwrócił się do Arigha. – Prosisz mnie, bym wziął na siebie ogromną odpowiedzialność. Czym możesz zagwarantować, że będzie tak jak mówisz i że twoja armia nie splądruje naszych pięknych dolin, gdy już was przepuszczę? Czy pozostawisz w Gunib zakładników jako gwarancję, że nie postąpisz wbrew swoim zapewnieniom?

–Co do gwarancji – odparł natychmiast Arigh – złożę przysięgę mego ludu i jakkolwiek

inną, która będzie ci odpowiadała. Czy jesteście czcicielami Phosa, jak Videssańczycy? Wydaje się

nie być złym bogiem, jak dla rolników.

W zamiarze Arshauma miał to być komplement, choć na twarzy Skylitzesa odmalowało się zgorszenie. Gashvili potrząsnął głową, aż jego siwe loki zatańczyły pod pozłacanym hełmem. – Mimo wszystkich wysiłków błękitnych szat, ja i większość moich ludzi wierzymy w odwiecznych bogów nieba i ziemi, skał i rzek. Jestem starym upartym człowiekiem i nasze wierne bóstwa pobbają mi.

–Jego ton zadawał kłam słowom, którymi z siebie pokpiwał; był dumny, że jego ludzie naśladują

go.

–Zatem wszystko w porządku – rzekł Arigh. Jego zachowanie nagle nabrało szorstkości. – Lecz co ma znaczyć to gadanie o zakładnikach? Czy ty też dasz mi zakładników, tak by żaden mój człowiek nie ryzykował bez świadomości, że jeśli zginie z powodu zdrady, to duch jakiegoś Erzerumczyka odejdzie wraz z nim, by służyć mu na drugim świecie?

–Na Tahunda gromowładnego, dam, i jeszcze więcej! – odparł Gashvili z nagłym zdecydowaniem. – Ja i wszyscy z wyjątkiem podstawowej obsady garnizonu pojedziemy z wami. Khamor-thci są w rozsypce, więc tego roku przełęcz nic nie zagrozi. I – dodał, spoglądając przenikliwie na Arigha – takie psy łańcuchowe bez wątpienia zachęcą was do spełnienia przyrzeczeń.

–Niewątpliwie – potwierdził Arigh tak uprzejmie, że Gorgidas wytrzeszczył na niego oczy. Ten człowiek – pomyślał – nie musi niczego się bać ze strony wyniosłego Dizabula, bez względu na to, jak przystojny mógł być młodszy syn Arghuna. Wciąż uprzejmym tonem, Arigh ciągnął dalej:

–Rozumie się, będziecie musieli dotrzymać nam kroku.

Dowódca fortu zachichotał. – Możesz znać step, lecz uwierz, że i ja mam niejakie pojęcie o

mojej robocie tutaj. Będziemy trzymać się tak blisko, jak rzepy pod ogonami waszych koni. – Podjechał, by potrzeć swój policzek o policzek Arigha. – Zatem dogadaliśmy się?

–Tak. Powiedz, na co mamy złożyć przysięgę.

–Lepiej zrobić to nocą. – Gashvili odwrócił się. – Vakhtang, przekaż ludziom, żeby

się przygotowali... – Lecz Vakhtang kłusował już z powrotem do fortu, machając ręką na znak, że wszystko w porządku. Gashvili roześmiał się głośno. – Moja córka wiedziała co robi, kiedy wybrała tego człowieka.

Arshaumi i załoga Gunib spędzili to popołudnie na ostrożnych próbach bratania się. Żaden z przybyszów nie został zaproszony do fortecy, a Gashvili dał jasno do zrozumienia, że jego czujność nie osłabła. Arigh czuł się tym urażony, dopóki Goudeles nie przypomniał mu: – Postępuje wbrew zwyczajowi całych pokoleń, że w ogóle z tobą pertraktuje.

Za pośrednictwem Skylitzesa – który miał wyraźnie nieszczęśliwą minę, kiedy tłumaczył – erzerumski kapłan, zasuszony starzec o gęstej, białej brodzie sięgającej poniżej pasa, wyjaśnił Toluiemu sposób, w jaki jego lud składa wiążące ślubowania. Kiedy skończył, szaman skinął z rozważą głową, mówiąc: – To potężny rytuał.

Pod pewnymi względami erzerumska ceremonia składania przysięgi przypominała Gorgidasowi tę, którą przeprowadzi!! Arshaumi, by zobowiązać grupę Videssańczyków i Rogoraza z Yezd do niepodejmowania jakichkolwiek działań przeciwko Arghunowi. O zmierzchu kapłan, którego imię brzmiało Tzathmak, rozniecił dwa rzędy ognisk, każdy długości około trzydziestu stóp, odległych od siebie o trzy, może cztery stopy.

–Przejdzie teraz pomiędzy nimi? – zapytał Viridoviks, który słyszał o arshaumskim obrzędzie, lecz nie widział go.

–Nie; tutaj mają inne zwyczaje – odparł Goudeles.

Tzathmak, w pasiastej obrzędowej szacie, przyprowadził do ognisk jednego z bezdomnych psów

tułających się po forcie. Tolui dołączył do niego w swych ozdobionych frędzlami szamańskich insygniach i masce. Razem pomodlili się nad psem, każdy we własnym języku. Tolui zawołał do swych przyglądających się uważnie rodaków: – To zwierzę stanowi symbol naszego porozumienia!

Normalnie nic nie zdołałoby nakłonić psa do wejścia pomiędzy dwa rzędy trzaskających płomieni, lecz ponaglony przez Tzathmaka podreptał potulnie w głąb ognistego tunelu.

–Tak jak ten pies stawia czoło płomieniom, tak niech pokój i przyjaźń pomiędzy nami prze

zwyciężą wszelkie przeszkody – rzekł Tolui. Tzathmak przemówił we własnym języku, przypusz

czalnie zwracając się do ludzi Gashvilięgo z tym samym wezwaniem.

Po drugiej stronie ognisk stał muskularny Erzerumczyk, nagi do pasa, opierając się na długim toporze, niewiele różniącym się od tych, jakich używali Halogajczycy. Kiedy pojawił się pies, jego

topór uniósł się w błyszczącym łuku i spadł ze świstem. Zwierzę zginęło bez jednego skamienia, przecięte czysto na pół. Erzerumczycy głośnym krzykiem obwieścili ów dobry znak.

–Niech to samo spotka każdego człowieka, który złamie to porozumienie! – zawołał Tolui i

Arshaumi, rozumiejąc o co chodzi, głośnym krzykiem wyrazili swe poparcie.

Gashvili mógł krzyczeć, kiedy mu się podobało. – Jutro wyruszamy! – zawołał po khamorthc-ku. Wówczas obie grupy krzyknęły razem – Arshaumi nierówno, gdyż wielu z nich nawet nie liznęło khamorthckiego, lecz mimo to z wielką radością.

–Efektowna symbolika, tak, choć nieco straszna – zauważył Goudeles, wskazując na złożonego w ofierze psa.

–Tylko tyle to dla ciebie znaczy? – rzekł Gorgidas. – Jeśli o mnie chodzi, wolałbym nie sprawdzać skuteczności tego obrzędu; aż za dobrze pamiętam, co przydarzyło się Bogorazowi.

–Ugh! – stęknął ze zgrozą urzędnik. Delikatnie poklepał się po pasie, jak gdyby uspokajając sam siebie, że żaden topór, prawdziwy czy magiczny, nie znajduje się nigdzie w pobliżu.

Viridoviks zerknął podejrzliwie ku nowej dolinie, migoczącej przed nimi w rozpalonym powietrzu. – Jestem ciekaw, co też tam na nas czeka.

–Coś innego – odparł z przekonaniem Gorgidas. Na pierwszy widok zwiadowców arshaum-

skiej armii pasterze zaczęli pędzić swoje stada w górę zboczy, a rolnicy rzucali się pod osłonę

warowni swych panów. Inni, uzbrojeni jeźdźcy, zbierali się pośpiesznie razem.

Viridoviks prychnął, spoglądając na Greka. – Wysłuchasz teraz Wielkiego Druida? To żadna przepowiednia, żadna, nie tutaj w Erzerum. Gdybyś powiedział, że czeka nas to samo, wtedy można byłoby nazwać to przepowiednią.

**–Przy twojej przekorze powinieneś czuć się zupełnie jak u siebie – warknął lekarz.
Wytrwał**

**jednak cierpliwie przy temacie. – Wydaje się absolutnie uzasadnione, że jakakolwiek
mała dolina**

tutaj w niczym nie przypomina żadnej ze swoich sąsiadek.

–Nie dla mnie, nie dla mnie – powiedzieli jednocześnie Viridoviks i Arigh.

**Arshaum ciągnął dalej: – Mój lud zamieszkuje kraj tysięcy razy większy od tego
obrzydliwego**

**galimatiasu skał, lecz wszystkie nasze klany tworzą jeden naród. – Wyglądał na
zmęczonego. Siedem odrębnych oddziałów Erzerumczyków towarzyszyło
koczownikom i na nim, jako zwierzchnim dowódcy, spoczywało niewdzięczne zadanie
powstrzymania ich przed rzuceniem się sobie nawzajem do gardeł. Używali pięciu
różnych języków, byli wyznawcami czterech religii – nie mówiąc o sektach – i
wszyscy nosili w sobie żarliwe przekonanie o własnej wyższości.**

**–Masz rację, drogi Arighu – poparł go Viridoviks. – Jeśli chodzi o moją Galię, to nie
przecz,**

**że Eburonowie, szczep zamieszkujący na południowy zachód od mojej rodzimej
Leksowii, to par**

**szywa rasa Celtów, lecz mimo wszystko to jednak Celtowie. No a tutaj człowiek nie
może roz**

**mówić się ze swoim sąsiadem mieszkającym o dzień drogi dalej za wzgórzami i
prawdę mówiąc**

**wcale nie ma na to ochoty}'. Wolałby już raczej poderżnąć gardło biednemu
nicponiowi.**

**–My, Videssańscy – powiedział Lankinos Skylitzes – wierzymy, że Skotos
pomieszał języki w Erzerum, kiedy mieszkający tu ludzie utracili łaskę Phosa,
odrzucając ortodoksyjne zasady wiary.**

**–Nie ma potrzeby sięgać po przesady, żeby wyjaśnić coś, co ma naturalną
przyczynę – westchnął Gorgidas, wznosząc oczy ku niebu. Kiedy Skylitzes zjeżył się,
Grek zapytał: – No dobrze, jak twoje twierdzenie przystaje do ludzi z Mzeh, którzy
jadą z nami? Są tak ortodoksyjni jak ty, lecz z wyjątkiem wyklepanych na pamięć
formułek liturgicznych nie znają ani jednego słowa po vides-sańsku. Poza tym nawet
Gashvili nie potrafi zrozumieć ich dialektu.**

Zakłopotany oficer zaczął szarpać brodę, nie przyzwyczajony do koncepcji sprawdzania idei poprzez fakty. W końcu powiedział:

–Więc czym jest ta twoja słynna „naturalna przyczyna”?

–W rzeczy samej możemy mówić o dwóch. – Grek odliczał je na palcach. – Pierwsza, kraj. Sama wielkość nie ma tu żadnego znaczenia. Shaumkhiil i Galia to otwarte kraje. Ludzie i idee przemieszczają się swobodnie, zatem nic dziwnego, że nie różnią się od siebie na całym obszarze. Lecz Erzerum? Całe poprzegradzane jest górami i rzekami. Każda dolina tworzy bastion, a ponieważ żaden z zamieszkujących tutaj ludów nie mógł marzyć o tym, by zawładnąć całym krajem, ich języki i zwyczaje mogły ostać się bez większych zmian, wywołanych mieszaniami się z innymi.

Przerwał, żeby łyknąć wina. Erzerumskie wina były cierpkie, lecz i tak lepsze niż kumys. Na dnie doliny, za osłoną strumienia, oddział jakiejś kawalerii wychodzi! dwójkami na pozycję na brzegu potoku. Nad jeźdźcami łopotały jaskrawe chorągwie.

Gorgidas schował bukłak, spieranie się sprawiało mu większą przyjemność. – Na czym skończyłem? A, tak, oto druga przyczyna różnorodności Erzerum. Całkiem naturalna: Erzerum pełni rolę śmietnika historii. Każdy lud pobity przez Makuran albo Videssos, lub nawet przez Va -spurakan czy szczepy Pardraji, próbował schronić się właśnie tutaj i sporo z nich dopięło swego. Stąd marny Shnorhalów, którzy umknęli przed Khamorthami, kiedy tamci wkroczyli do Pardraji, kto wie jak dawno temu. Niedobitki Shnorhalów przeżyły właśnie tutaj.

–I czyż ten mały spryciarz nie jest najbystrzejszym człowiekiem pod słońcem? – rzekł Viri-doviks, uśmiechając się promiennie do Greka. – Cały ten galimatias, którego zupełnie nie mogłem rozgryźć, uczynił klarownym jak górskie powietrze.

–Klarownym jak mgła, chciałeś powiedzieć – skrzywił się Skylitzes. Z wyzwaniem w głosie zwrócił się do Gorgidasa:

–Czy twoja wspaniała teoria potrafi wyjaśnić, dlaczego Mzesi są ortodoksyjni? Sam poruszyłeś tę sprawę, więc teraz racz to wytłumaczyć. Zgodnie z regułami twojej teorii, powinni przejąć doktryny swej wiary od vaspurakańskich heretyków; ludu, który najbliżej nich wyznawał Phosa,

choć zbłądził w tej wierze.

–Interesujący problem – przyznał lekarz. Po chwili zastanowienia rzekł wolno: – Powiedziałbym, że są ortodoksyjni z tego samego powodu, dla którego Vaspurakańczycy nie są,

–Znowu zaczynasz gadać paradoksami – burknął Skylitzes.

–Ci Grecy są stworzeni do takiego pokrętnego gadania wtrącił Viridoviks.

–Żeby was kruki zadziobały, jednego i drugiego. Nie ma tu żadnego paradoksu. Posłuchajcie, Vaspurakanowi spodobała się religia Videssos, lecz obawiał się wpływu, jaki Imperium zaczęłoby wywierać poprzez swoich kapłanów. Tak więc vaspurakańscy „księżęta” opracowali własną odmianę tej wiary, która zadowalała ich i jednocześnie pozwalała trzymać Imperium na dystans. Lecz Vaspurakan był dla Mzeh tym, czym Videssos dla Vaspurakanu: krajem, z którego można zapożyczyć atrakcyjne idee, ale też mogącym zagrozić wolności pożyczającego. Zatem Mzesi zdecydowali się na wyznanie ortodoksyjne. Videssos leży zbyt daleko, by im zagrozić.

Twarz Skylitzesa zastygła w grymasie skupienia, gdy analizował wywód Greka, lecz Goudeles, który do tej chwili milczał, powiedział: -To mi się podoba. Ma sens. I pokazuje nie tylko to, dlaczego Mzesi są ortodoksyjni, a „księżęta” nie, ale też pozwala zrozumieć, dlaczego Khatrishe, Tba-tagushe i Namdalajczycy tak uparcie trzymają się swoich ukochanych herezji.

–Rzeczywiście, wyjaśnia to-przytaknął Gorgidas. – Nie pomyślałem o tym wcześniej. Cóż, dobra teoria powinna tłumaczyć możliwie szeroki wachlarz przypadków. – Przerwał i machnął ręką w stronę rozmaitych grup nowych sprzymierzeńców. – Erzerum samo w sobie jest szerokim wachlarzem przypadków.

–Dla mnie ta twoja historia to nic więcej jak tylko fantazjowanie – powiedział Arigh. – Ja po prostu cieszę się, że jedyną rzeczą, jaka pozwala wszystkim tym góralom współdziałać ze sobą, jest nienawiść do Yezd.

–Masz rację – powiedział Skylitzes, a pozostali skinęli głowami. Choć Yezda przede wszystkim parli na wschód, pustosząc Vaspurakan i Videssos, to jednak wystarczająco dużo najeźdźców zapuszczało się na północ, gwałcąc, grabiąc i mordując wśród erzerumskich dolin, żeby ich mieszkańcy – bez względu na to jak maleńki naród mogli tworzyć – z otwartymi ramionami witali wrogów Yezd. I to była też jedyna przyczyna, dla której Arigh mógł w ogóle nad nimi zapanować. Możliwość odplacenia najeźdźcom tym samym stanowiła zbyt nęcącą perspektywę, by ryzykować jej urzeczywistnienie z powodu własnych, nieistotnych waśni.

Arshaum skinął ręką na łącznika. – Sprowadź mi, hmm, niech pomyślę, Hamrentza z Khaku-lów. Zobaczymy, co może nam powiedzieć o tej konnicy przed nami. – Jeźdźcy wciąż jeszcze rozwijali szyk wzdłuż potoku; poprzez kurz, jaki wzbijały ich wierzchowce, migotały rozbłyśki słońca na ostrzach włóczni.

Hamrentz, którego włości leżały o parę dni jazdy na północ, był chudym, posępnym czło-

wiekami o ogromnych rękach. Nosił misiurkę z kolczej siatki, lecz reszta jego zbroi składała się z sięgającej kolan skórzanej koszuli obszytej kościanymi łuskami. Choć znał trochę videssański, czcił Czterech Proroków Makuranu i miał na czole wytatuowane wersy z ich pism.

Kiedy Arigh zadał mu pytanie, jego smętne rysy wydłużyły się jeszcze bardziej; jeden z wersetów niemal zniknął w głębokiej zmarszczce. – To jest... jak by to powiedzieć po waszemu?... Dolina Wspólnoty. Tak ją tutaj nazywają, rozumie się. Nie są tchórzami. Tyle mogę im oddać. Widziałem, jak walczą. Ale dla swoich sąsiadów są... – Zakończył zdanie jakąś gardłowo brzmiącą sprośnością we własnym języku, uzupełniając to równie nieprzyzwoitym gestem.

Arigh, uśmiechając się, powtórzył sprośne przekleństwo. Nadawało się doskonale, by zająć usta i rozładować zły humor. – Wiem, że to plugawe – powiedział – lecz co dokładnie znaczy?

–To, co znaczy, oczywiście – odparł Hamrentz. – W tym języku nie znam na to słów. –

Sprawił wrażenie urażonego. Reszta jego odpowiedzi niewiele różniła się od pochrząkiwań. –

Dowiesz się i wtedy zrozumiesz – zakończył tajemniczo i odjechał.

Arigh spojrział na swoich doradców, którzy po kolei wzruszyli ramionami. Goudeles rzekł: – Możesz wezwać kogoś innego.

–Po co mam marnować czas, kiedy sam mogę się dowiedzieć? Chodźcie ze mną, jeśli macie

ochotę. – Arshaum podniósł głos. – Narbas, bywaj tu! Im dalej na południe, tym więcej tutaj

szych mówi po vaspurakańsku.

Zawiesili na lancy znak rozejmu i pokłusowali w głąb doliny, do potoku. Za nimi buchnęła kocia muzyka kilku oddziałów Erzerumczyków, którzy, zwyczajem górali, wyrażali drwinę za pomocą gwizdów i jazgotu. Viridoviks podrapał się po głowie. – Pomyślałby kto, że te chłopczyny Wspólnoty największym łotrom darują życie, sądząc po tej awanturze. Jednak tak na oko wyglądają na lepszych żołnierzy niż połowa z tych, co jest z nami.

Kawalerzyści ustawieni w szyku na drugim brzegu rzeczutki rzeczywiście wyglądali na zdyscyplinowanych wojowników, dosiadających rącznych koni i dobrze uzbrojonych w grzebieniaste hełmy, ukryte pod opończami kolczugi z kolczej siatki i

nagolenniki z brązu. W ich skład wchodziłi zarówno łucznicy jak i lansjerzy. Arshaumscy zwiadowcy, pragnąc uniknąć przypadkowego rozpoczęcia walki, zachowywali pełen szacunku dystans od dzielącego oba wojska strumienia.

Kiedy grupa Arigha zbliżyła się, paru jeźdźców nałożyło strzały na cięciwy lub pozwoliło wierzchowcom wysunąć się na parę kroków przed szereg, lecz wówczas czarnobrody olbrzym w pomarańczowej opończy, zajmujący pozycję w centrum szyku, skinął głową na swego towarzysza, młodszego mężczyznę w takiej samej opończy. Ów zadał w kręty róg, z którego wydobyły się trzy dźwięczne tony. Jeźdźcy natychmiast wrócili na pozycje, zachowując czujną gotowość.

Viridoviks, prawdopodobnie popchnięty do tego zachowaniem dowódców, przebiegł wzrokiem linię jeźdźców. – Może raczycie to zauważyć, co? Tworzą pary, dobrane zgodnie z kolorami

opończy. – Jego towarzysze zobaczyli, że ma rację. Para w jasnozielonych opończach, następna w szkarłatnych, kolejna w opończach barwy ochry, potem w ciemno niebieskim kolorze urzetu; wspomniawszy tunikę o takim właśnie odcieniu, którą niegdyś posiadał, Celt zatęsknił za swoimi utraconymi lasami.

–Co za dziwactwo – powiedział Goudeles ze wzgardą, jaką okazywał wszelkim nie videssa-

ńskim zwyczajom. – Zastanawiam się, co też to może znaczyć.

Gorgidas poczuł, że oblewa go fala gorąca, a potem zimna Nagle nabrał pewności, że rozumie sprośność Hamrentza. Pod pewnymi względami miał nadzieję, że tak jest, pod innymi, że nie; jeśli już nie do końca satysfakcjonujące, to przynajmniej jego życie od pewnego czasu było proste. Gdyby miał rację, mogło już wkrótce takim przestać być.

Miał tylko chwilę do namysłu; potrząsnąwszy nagle głową, wielkolud w pomarańczowej opończy spiął konia i skoczył do rzeczki, tak płytkiej w tym miejscu, że woda sięgała wierzchowcowi zaledwie do brzucha. Jego towarzysze z rogiem bez chwili namysłu popędził za nim. Wzdłuż linii jeźdźców rozległy się okrzyki trwogi. Wielki mężczyzna uciszył je, zawoławszy coś rozkazująco.

Przy własnych rozmiarach i rozmiarach swego konia – wierzchowiec należał do grubokościstej górskiej rasy – górował nad Arighem. Lecz Arshaum, mając za sobą wsparcie znacznie większej armii, odwzajemnił jego spojrzenie z królewską wyniosłością; wiele się nauczył w kontaktach z Erzerumczykami. Z gardła olbrzyma wydobyło się dudniące chrząknięcie aprobaty. Powiedział coś we własnym języku. Arigh potrząsnął głową. – Videssański? – zapytał.

–Nie – odparł czarnobrody dowódca; wydawało się, że jest to jedyne słowo w tym

języku, jakie zna. Odezwał się znowu, tym razem w gardłowym vaspurakańskim. Narbas Kios przetłumaczył: -Jak zwykle; chce wiedzieć, kim jesteście i co tutaj, w imię Nikczemności, robimy.

-Zatem czczą Czterech Proroków – wtrącił Skylitzes, rozpoznając zwrot.

-Właśnie Nikczemność nas tu sprowadziła, razem z Avsharem i całą resztą – dodał Virido-viks.

-Tak. – Arigh zaczął wyjaśniać, co jest ich celem. Kiedy powiedział „Yezd”, obaj miejscowi warknęli; młodszy sięgnął po najeżoną kolcami buławę wiszącą u biodra. Dzięki warowni Gunib i innym fortom strzegącym przełęczy, jedynymi koczownikami jakich widywali miejscowi byli przybywający z południa yezdańscy najeźdźcy, i teraz pomyśleli, że Arigh potwierdził swoją przynależność do nich. Roześmiali się, kiedy dzięki Kiosowi zrozumieli swoją pomyłkę. – Prosimy tylko o zezwolenie na przejście oraz o żywność i paszę – powiedział Arigh. – Sam widok oddziałów tutejszych wojowników, które towarzyszą moim ludziom, może wam powiedzieć, że nie splądrowaliśmy ich ziem. Wszyscy nagrabimy się do syta w Yezd.

Czarnobrody wysunął szczękę w stronę Erzerumczyków towarzyszących Arshaumom. – Gówno mnie obchodzą. Lecz – przyznał – stanowią dowód, że choć w części mówisz prawdę. – Nie

potrafił ukryć błysku w swoich oczach, błysku, który rozplómił twarz każdego górala, kiedy zaczyna myśleć o łupach, jakie można zagarnąć na równinach u podnóża gór.

Otrząsnął się, jak gdyby budząc się do pracy ze słodkiego snu. – Podaliście nam wasze imiona; poznajcie nasze w zamian. Wiedźcie, że jestem Khilleu, księżę Dozgonnej Wspólnoty Yrmido. To jest Atroklo, mój... – W tym miejscu wrócił do własnego języka. Atroklo, który, sądząc po puchu pokrywającym jego policzki, mógł liczyć niewiele ponad dwadzieścia lat, uśmiechnął się do księcia, kiedy ten wymienił jego imię.

Gorgidas znał ten uśmiech, czuł go na własnej twarzy przed laty – całe życie temu! – zanim pozostawił prowincjonalne Elis dla Rzymu i tego wszystkiego, co mogła oferować stolica. Nie – pomyślał – moje życie nie będzie już takie samo.

Khilleu uśmiechnął się do siebie; twarz miał grubo ciosaną, lecz szczerą; dobrą twarz dla przywódcy. – Więc chcielibyście szturchnąć Yezda, co? Podoba mi się to, naprawdę podoba.

Atroklo wtrącił coś w ich rodzimym języku; głos miał, rzecz zaskakująca, niewiele cieńszy od basu swego wodza. Khilleu ściągnął z namysłem usta, a potem machnął pobłażliwie ręką, jak gdyby mówiąc: – Powiedz to. – I Atroklo powiedział, w kulawym

vaspurakańskim: -Myślę, że czarodziej, o którym mówić... *mówiłeś*... przejechał tędy.

Z tego, jak oczy wszystkich skupiły się na nim, można byłoby wnosić, że Atrokło zrobiony jest z magnesu. Spłonął niemal niedostrzegalnym rumieńcem śniadoskórego człowieka, lecz brnął dalej ze swoją opowieścią. – Cztery dni temu my znaleźć na polu martwego czarnego ogiera, którego nikt z nas nie znać. – Przestał zawracać sobie głowę czasem przeszłym czasowników. – To być kiedyś wspaniały koń, tak myślę, lecz zajeżdżony na śmierć. Zajeżdżony bardziej niż na śmierć, chcę powiedzieć. Ja nigdy nie widzieć zwierzęcia tak zamęczonego. Sam szkielet, stara piana przyschnięta do boków, jedno kopyto bez podkowy i zdarte do żywej kości. Okrutny, ja myśleć wtedy. Teraz ja myśleć magiczny albo zropaczony, albo jedno i drugie. Ten martwy koń być bez siodła i uprząży i następnego dnia nasz szlachetny Aubolo odkryć, że brakować dwa jego najlepsze rumaki. Kim być złodziej, on nie wiedzieć wtedy i nie wiedzieć teraz.

–Avshar! – zawołali jednym głosem towarzysze Arigha; to już – pomyślał Gorgidas – zaczynało przypominać jakiś smętny chór. – Cztery dni! – rzekł z goryczą wódz Arshaumów. – Widzicie, straciliśmy do niego kolejne dwa dni. Ci Erzerumczycy nie mogą zostać z nami; tylko nas hamują.

Khilleu obserwował ich uważnie; choć nie mógł zrozumieć, o czym rozmawiają, same ich miny i postawy mówiły wiele. Razem z Atrokło pograżyli się w cichej rozmowie prowadzonej w języku Yrmido. Potem książę przeszedł z powrotem na vaspurakański. – Zaczynam wam wierzyć – powiedział, spoglądając Arighowi prosto w oczy. – My również niejednokrotnie ucierpieliśmy od tych nadciągających z południa szakali. Zadam ci dwa pytania: czy chcielibyście mieć u swego

boku Dozgonną Wspólnotę? I czy nasi uroczy sąsiedzi – ciągnął z pobrzmiwającą w donośnym basie ironią – zniosą takie towarzystwo?

–Co do pierwszego, dlaczego nie? Jeden Erzerumczyk hamuje nas tak samo jak tysiąc, a ty wydajesz się mieć dobrych ludzi. Jeśli chodzi o drugie, to Hamrentz z Khakulów powiedział, że nie jesteście tchórzami.

–Wśród innych rzeczy, o jakich raczył wspomnieć – dopowiedział Atrokło. Jednak śmiech, jakim wybuchnął razem z Khilleu'em, nie brzmiał wesoło.

–Zresztą rozważ ten oto jeszcze argument – wtrącił Skylitzes. – Ci tutaj Arshaumi trzykrotnie przewyższają liczebnie wszystkich górali, którzy nam towarzyszą.

–Trafne spostrzeżenie – przyznał Khilleu. Rozłożył ręce. – Ostatecznie, jaki mam wybór? Macie nie trzykrotną, lecz dziesięciokrotną przewagę nade mną. Och, pewnie, moglibyśmy oprzeć się wam w naszych warowniach, lecz przeszkodzić wam

w przejściu? – Nie. – I znowu zachichotał niewesoło. – Tak więc wolę wskoczyć na grzbiet irbisa, chwycić go za uszy i modlitwą wybla-gać u Czterech, by dobrzy bogowie nie pozwolili mu zboczyć ze ścieżki w pogoni za moimi owcami.

Atrokło zagrał na rogu inny niż poprzednio sygnał; Gorgidas obserwował pulsującą na jego skroni żyłę. Musiał grać sygnał oznaczający zawieszenie broni. Dozgonna Wspólnota opuściła swoją obronną pozycję nad brzegiem strumienia i uformowała długą kolumnę.

–Odpowiesz przede mną, jeśli nas zdradzisz – przestrzegł Khilleu Arigha. – Powiedz to też Hamrentzowi i reszcie; mimo całej waszej przewagi, ślubuję to.

–Nie – rzekł Arigh. – Powiedz im, że odpowiedzą przede mną.

–Król nie powiedziałby inaczej! – zawołał Khilleu, kiedy Narbas przetłumaczył słowa Ari-gha. – I tak zaprosiłbym cię dziś na ucztę do mojej warowni, by zadośćuczynić honorowi gospodarza, lecz teraz widzę, że wieczorne przyjęcie może sprawić mi radość. Weź ze sobą wszystkich tu obecnych. Zaproś też wodzów moich sąsiadów; niektórzy może przyjdą. – Wymuszona wesołość wyostrzyła mu głos. – Przyjemności i rozkoszy wystarczy do zaspokojenia wszelkich upodobań, nie tylko naszych własnych.

–Zasiądę z tobą do uczyty przed twoim zamkiem, lecz nie w nim – odpowiedział Arigh. Nie potrzebował ani posykiwań Goudelesa, ani ukradkowych gestów Skylitzesa, by nakazać sobie ostrożność wobec przysadzistego, kanciastego zwaliska murów, ku któremu wskazywał wódz Yr-mido.

Atrokło otworzył usta do gniewnego okrzyku, lecz Khilleu przerwał mu. – Nie mogę powiedzieć, bym cię za to winił – zwrócił się do Arshauma. – Moje Lio to silna twierdza; gdybym planował zdradę, mógłbym zaszyć się w niej i na dziesięć lat. Uczta odbędzie się poza murami... o zachodzie słońca? Dobrze. Najlepiej będzie, jeśli twoi ludzie rozłożą się obozem tutaj, nie tylko

dlatego, przyznaj, że jest tu pod dostatkiem czystej wody, lecz też po to, by zachować tak duży dystans pomiędzy twoimi i moimi ludźmi, jak to tylko możliwe.

Czekał, uważnie obserwując Arigha, gotów ocenić jego szczerłość po tym, jak zareaguje. – Do zachodu. – Tylko to padło z ust koczownika. Zatoczył koniem i odjechał, pozostawiając Khilleu'a nadrabiającego miną w obliczu oszczędnego stylu równin.

Hamrentz, który żywił do Yrmido niechętny, lecz nieklamany szacunek, zgodził się wziąć udział w uczcie, tak samo jak i Gashvili, który z kolei przyznał szczerze, że nic o nich nie wiedział, zarówno z dobrej jak i złej strony. Inni erzerumscy przywódcy odmówili, okazując przy tym rozmaite stopnie obrzydzenia. Jeden, Zromi z Redzh,

wziął swoich ludzi i wyruszył w drogę do domu, nie mogąc znieść myśli o tym, że Yrmido mają przyłączyć się do wyprawy. – I dobrze, żeśmy się go pozbyli! – rzekł Skylitzes. – Więcej zyskujemy niż tracimy, widząc ostatniego z tej jego bandy złodziei.

Choć żołnierze pozostali na murach Lio, most zwodzony opuszczono. Służba nieustannie kursowała po nim tam i z powrotem, wynosząc z zamku za fosę stoły na kozłach i ławy. Ogniska dymią na zamkowym dziedzińcu. Wraz z odorem śmietniska wiatr przynosił smakowitą woń pieczonej baraniny. Nozdrza Viridoviksa poruszały się niezależnie od woli właściciela, a ten wyczekująco poklepał się po brzuchu.

Lecz apetyt nie przeszkodził mu w uważnym sprawdzeniu przygotowań, gdy grupa Arigha zbliżała się do miejsca biesiady, jadąc przez pola dojrzewającej pszenicy i jęczmienia. – Gdyby chcieli spletać nam figła – powiedział, pętając konia – to zgromadziliby nas wszystkich razem, zamiast sadzać pomiędzy sobą. Wtedy łucznicy na murach bez trudu trafiliby w nas, nawet w tym słabym świetle pochodni. A tak jak teraz, prędzej naszpikowaliby strzałami własnych wodzów, za co tamci pewnie by im nie podziękowali, jak sądzę.

– Pewnie nie – zgodził się Gorgidas. Strzepnął nitkę z bandaża ze swej zdobionej haftami tuniki pragnąc, by tłusta plama na spodniach mniej rzucała się w oczy. Ubrał się na videssańską modłę; tego wieczoru ostatnią rzeczą na jaką miał ochotę było to, by Yrmido wzięli go za wyrosłego w stepie koczownika.

W powitaniu, jakie Khilleu i Atroklo zgotowali gościom, wyczuwało się uprzejmość, jeśli nie coś więcej. Ci dwaj sprawiali wrażenie nierozłącznych przyjaciół. Wstali razem i kłaniając się wskazali przybyszom ich miejsca. Viridoviks znalazł się pomiędzy jakimś krępyym Yrmido, starszym od niego o kilka lat, i drugim, szczupłym, kilka lat z kolei młodszym. Jeden znał kilka słów po khamorthcku, drugi żadnego. Dziwny wygląd Viridoviksa wzbudził w nich uprzejme zaciekawienie, lecz wrócili do swego wina, kiedy stwierdzili, że nie potrafią się z nim porozumieć.

Uniósł cynowy kufel i obsługująca dziewczyna napełniła go. Obserwował, jak poruszają się jej biodra, kiedy odchodziła. Po utracie Seirem przysięgł, że przez resztę życia nie dotknie kobiety,

ślub dość łatwy do spełnienia w arshaumskiej armii, przemierzającej równiny. Lecz czas zacierał smutek, a jego ciało miało własne potrzeby. Kiedy w Mzeh jedna z tamtejszych dziewczyn dała do zrozumienia, że ją interesuje, nie wycofał się. Pół nocy spędzonej w stogu siana nie liczyło się; nie mogło wymazać tego, czego doświadczył wcześniej.

Wśród uczujących mężczyzn brakowało kobiet zajmujących znaczącą pozycję. Większość Erzerumczyków hołdowało temu zwyczajowi, prawdopodobnie

zapożyczonemu z Makuranu. Viri-doviks, przywykły do swobodniejszych zwyczajów koczowników, tęsknił za nimi. Samą swoją obecnością ożywiały każde zgromadzenie.

Gorgjdasowi również nie uszła uwagi ich nieobecność i wyciągnął z tego własne wnioski. Siedział pomiędzy dwoma Yrmido, jednym odzianym posępnie w czerń ze srebrnymi wstawkami, i drugim, przybranym krzykliwie w szkarłat i żółć. Żaden z nich nie władał językiem zrozumiałym dla Gorgidasa. Westchnął, godząc się z perspektywą drugiego, nudnego wieczoru. Dziewczyna, która nalewała mu wino, uśmiechnęła się zachęcająco. Odpowiedział jej tak kamiennym spojrzeniem, że ze wzgardą poderwała głowę.

Nieoczekiwanie jeden z mężczyzn siedzących po drugiej stronie stołu odezwał się po videssa-ńsku, choć z wyraźnym akcentem: – Czy język ten mogę z tobą poćwiczyć? Kiedy młodzieńcem byłem, w Imperium jako najemnik służyłem dwa lata, nim brat zmarł mój i posiadłość odziedziczyłem jego. Rakio zwany jestem.

–Miło mi cię poznać – rzekł serdecznie Gorgidas i również przedstawił się. Rakio, jak ocenił z wyglądu, mógł dobiegać trzydziestki. Jego twarz ani przystojna, ani odpychająca, wyróżniała się spośród innych brodą przyciętą krócej niż zwykle czynili to Yrmido, odsłanianym w uśmiechu ukruszonym zębem i nosem, którego władczy garb równoważyła brew, nieustannie wyginająca się dziwacznie ku górze. Sympatyczny człowiek – uznał Grek.

Potem pojawiło się jedzenie i Gorgidas na jakiś czas zapomniał o Rakio. Rok spędzony na stepie aż nadto przyzwyczaił go do baraniny i koziego mięsa, choć przyjemnie było je mieć upieczone z ząbkami czosnku, zamiast pospiesznie osmalone nad ogniskiem z suchego łajna. Lecz groszek, szpinak i gotowane szparagi stanowiły delicje, o jakich niemal zapomniał, a po miesiącach żucia płaskich, gliniastych placków z pszennej mąki prawdziwy chleb, jeszcze pulchny i parujący po wyjęciu z pieców, doprowadził go niemal do ekstazy.

Popuścił pasa. – To było wspaniałe.

Rakio uśmiechał się do niego. – Jeść niegdyś z oddziałem Khamorthów musiałem – rzekł Yr-mido. – Co czujesz, wiem dobrze.

Grek wylał odrobinę trunku na ziemię w ofierze bogom i uniósł wysoko kufel. – Za dobre jedzenie! – zawołał i spełnił toast. Rakio, śmiejąc się, opróżnił swój kubek. To samo zrobił Gou-deles, siedzący dwa stoły dalej. Czulość mięsistych uszu biurokraty była tak wielka, jak wielką

przyjemność znajdował w jedzeniu.

Wśród ucztujących przechadzał się minstrel, śpiewając pieśni do akompaniamentu jęklivych tonów bandury. Żongler, którego ręce zmieniły się w rozmazaną plamę,

zawiesił w powietrzu pół tuzina sztyletów. Ktoś cisnął mu monetę. Złapał ją, nie upuszczając żadnego noża. Dwóch tancerzy z pochodniami skakało tam i z powrotem nad uniesionymi mieczami.

Kiedy dziewczyna z winem mijala go ponownie, Viridoviks objął ramieniem jej kibić. Nie wyrwała mu się, a tylko spojrzała nań z uśmiechem. Wyciągnęła palec wskazujący i pogłaskała jego ogniste wąsy; nie po raz pierwszy w tych krainach ciemnowłosych ludzi ich barwa przyciągała wzrok kobiet. Skubnął wargami jej palec. Przytuliła się mocniej.

Khilleu zahuczał coś po vaspurakańsku. Mężczyźni, którzy rozumieli ten język, poparli go okrzykami. Kios zwrócił się do Gala: – Prosi cię, żebyś nie zabierał jej na igraszki, dopóki nie opróżni swego dzbana.

–Całkiem słusznie. – Viridoviks klepnął dziewczynę po pośladkach. – Wkrótce, moja ślicz

na – mruknął. Choć nie znała języka, w jakim się odezwał, dziewczyna zrozumiała go. Arighowi

udało się już zniknąć wśród nocy z hożą dziewoją, która donosiła pieczone do jego stołu. Gashvili i

Vakhtang również przepadli. Khilleu przyglądał się temu dobrotliwie, ciesząc się, że jego goście są

zadowoleni. Żaden Yrmido nie odszedł od stołów.

Gorgidas pozwolił, by obsługująca dziewczyna minęła go ponownie. Brwi Rakio uniosły się. – Tobie nie podoba się ona? Inne wolisz? Bardziej tłuste? Chudsze? Młodsze może? Nie chcemy sam żebyś był. – Jego troska wydawała się szczerą.

–Wielkie dzięki, lecz nie – odparł lekarz. – Dziś nie mam ochoty na kobietę.

Rakio wzruszył komicznie ramionami, jak gdyby chcąc powiedzieć, że ten obcokrajowiec jest

szalony, lecz chyba nieszkodliwy. Gorgidas wbił oczy w dłonie. Wiedział, co chce powiedzieć, lecz nie miał pojęcia, jak to wyrazić, nie ryzykując śmiertelnej obrazy. Jednak był przecież tak pewien...

Odłożył dylemat na czas, kiedy inna służąca przyniosła tacę smażonych w cukrze owoców. Lecz i one wkrótce się skończyły. Nie mógł dłużej odkładać tego tematu, bo w przeciwnym razie w ogóle straci odwagę, by go poruszyć.

Czuł, że serce wali mu tak jak wówczas, kiedy był nieśmiałym młodzieńcem. Z trudem wydobywając słowa przez wyschnięte usta, powiedział tak niedbale jak tylko mógł:

–Zgromadziło się tu dzisiaj wiele pięknych par waszych ludzi.

Rakio wychwycił delikatny nacisk położony na słowo „par”. Tym razem jego brew uniosła się

do góry jak chorągiewka ostrzegająca przed niebezpieczeństwem. – Większość obcokrajowców powiedziała, że tu plugawym zwyczajom hołdujemy. – Yrvido przyglądał się Gorgidasowi z podejrzliwością, jaką wpoili w jego rodaków lata pogardy obcych.

–Dlaczego miałyby tak być? – Wspomniawszy złotoustego Platona, Gorgidas przytoczył teraz

jego słowa najdokładniej jak potrafił: – „Otóż powiadam, że kiedy człowiek kocha, a wyda się jakiś jego szpetny postępek, albo się pokaże, że się dał użyć do jakiejś podłej rzeczy, bo się nie bronił przez swoje tchórzostwo – wtedy najgorzej człowieka boli, gdy go oblubieniec zobaczy; wołałby już, żeby go widział ojciec albo przyjaciele albo ktokolwiek inny. Podobnie widzimy, że i oblubieńcy wstydzą się najwięcej swoich miłośników, kiedy się który da przychwycić na jakim ło-troście.

Więc gdyby to jak można stworzyć państwo lub wojsko złożone z miłośników i oblubieńców, z pewnością nie znaleźliby lepszego pierwiastka porządku społecznego, jak wzajemne powstrzymywanie się od postępów złych, chęć odznaczenia się w oczach drugiego i współzawodnictwo wzajemne. Tacy, choćby ich mało było, zwyciężyliby, powiem, cały świat” *.(* Platon „Uczta” tłum. Władysław Witwicki (przyp. Red.))

Wreszcie zostało to powiedziane. Z posępną odwagą Grek czekał na znak, że się mylił, czekał by Rakio okazał mu swoją pogardę. Szczęka Yrvido opadła. Zamknął ją z trzaskiem i podnieconym tonem zaczął coś szybko mówić we własnym języku. Wówczas mężczyzna w czerni i srebrze siedzący po lewej ręce Gorgidasa i jaskrawo odziany strojniś po prawej zaczęli ściskać mu rękę, klepać po plecach, podsuwać jedzenie i wino oraz wznosić hałaśliwe toasty.

Ulga spłynęła na niego jak słodki deszcz. Wyplątał się z niedźwiedziego uścisku, a potem podskoczył gdy ktoś, kto bezszelestnie podszedł doń z tyłu, stuknął go w ramię. Z góry szczyrzył do niego zęby Viridoviks. – Są wobec ciebie bardziej przyjacielscy, niż byli dla mnie, a tyś przecież taki poważny i w ogóle.

Gorgidas skinął głową na dziewczynę uwieszoną na ramieniu Gała, wyraźnie zniecierpliwioną zwłoką. – Dla każdego coś miłego.

–Och, tak, a ta miła jest moja. Nieprawdaż, moja słodka dziewczeczko? – Wzruszyła ramionami, nie rozumiejąc jego słów, lecz zachichotała, kiedy wtulił twarz w jej szyję. Odciągnął ją od uczujących, a potem pozwolił, by znalazła spokojne miejsce dla nich dwojga. Nie dalej jak o strzelenie z łuku od zamku Lio rósł jabłoniowy sad, a w samym środku Gal odkrył mały, porośnięty trawą skrawek ziemi. Z wyszukany ukłonem rozpostarł na nim swój płaszcz; trawa mogła równać się miękkością z każdym łóżem, a pachniała jeszcze przyjemniej.

Dziewczyna – przypuszczał, że ma na imię Thamara – okazała się równie ochocza jak on. Pomogli sobie nawzajem zrzucić odzienie; czuł ją gładką, miękką i ciepłą w swych ramionach. Osunęli się na płaszcz, lecz kiedy uniósł się na kolanach i łokciach, by ją posiąść, potrząsnęła gwałtownie głową i z jej ust wydobył się potok niezrozumiałych skarg.

W końcu, przy pomocy gestów, dała mu do zrozumienia, że Yrmido nie przepadają za tym sposobem uprawiania miłości. – Cóż, zatem cokolwiek, co ci odpowiada – zawołał, rozpościerając przyzwalająco ręce. – Zawsze mam ochotę na coś nowego.

Dosiadła go tyłem, z rękoma po obu stronach jego łydek. Kropla potu spadła mu na udo. Oto, pomyślał Gal, zupełnie odmienny punkt widzenia rzeczy. – Choć doprawdy -mruknął do siebie – jakiegoś pederastę ucieszyłoby to pewnie bardziej niż mnie.

Wówczas nagle to wszystko, co Gal zobaczył w kraju Yrmido, ułożyło się w jedną całość. Ryknął śmiechem tak, że Thamara obejrzała się na niego z mieszaniną zaskoczenia i oburzenia. – Nie, dziewczyno, to nie ma z tobą nic wspólnego – powiedział, głaszcząc jej kostkę.

Lecz wciąż chichotał. – Pewne jak nic, że teraz rozumiem, dlaczego wolisz robić to w ten sposób, to wszystko – powiedział, jak gdyby mogła go zrozumieć. – Och, ten Gorgidas, biedny nicpoń! Biedny jak kot, co wpadł do dzbana ze śmietanką, tak myślę. No, jak tam? – Z zapalem wziął się do dzieła.

Gorgidas wytłumaczył swoim gospodarzom, że nie jest Videssańczykiem i opowiedział im co nieco o tym, w jaki sposób znalazł się w Imperium oraz o zwyczajach swej utraconej ojczyzny. Rzecz oczywista, większość ich pytań dotyczyła jednego tematu. Pamiętając o pełnych pogardy drwinach, jakimi od stuleci zasypywały ich sąsiadujące z nimi ludy, uważali za zdumiewające aż do niewiarygodności, że jakiś obcokrajowiec może spoglądać na nich z sympatią.

Greki opowiedział o militarnym stowarzyszeniu Sparty, o łagodniejszych zwyczajach Ateńczyków i w końcu o tebańskim Związku Poświęconych, którego sto pięćdziesiąt par kochanków padło co do jednego, walcząc przeciwko Filipowi Macedońskiemu i jego synowi, Aleksandrowi Wielkiemu.

Ta opowieść doprowadziła jego słuchaczy, których liczba, w miarę jak upływała noc, stawała się coraz większa, niemal do łez. – I jakże? – zapytał Rakio, który pełnił obowiązki tłumacza. – Czy znieważyli ich ciała?

–W żaden sposób – odparł Gorgidas. – Kiedy Filip zobaczył, że wszyscy oni zginęli od ran zadanych z przodu, powiedział: „Biada tym, którzy pomyślą źle o takich ludziach”.

–Och! – jak jeden mąż westchnęli Yrmido, kiedy Rakio przetłumaczył. Skłonili głowy, oddając milczący hołd ludziom martwym już od niemal trzystu lat. Gorgidas, sam wzruszony tak, że ściśnięte gardło nie pozwalało mu mówić, przyłączył się do nich w tym milczącym hołdzie.

Jednak po chwili jego nienasycona ciekawość ponownie wzięła górę. Powiedział: – Wysłuchaliście mnie. Czy mogę w zamian zapytać, kiedy powstała wasza Dozgonna Wspólnota?

Rakio podrapał się po głowie. – Powstała? Zawsze była. Jeszcze zanim nastał Fraortish, pierwszy z błogosławionej Czwórki, już była.

Gorgidas wiedział, że był to inny sposób mówienia „wiecznie”. Westchnął, lecz niezbyt głęboko; teraz historię przesłoniły istotniejsze sprawy. Zwrócił się do Rakio: – Czy wasza Dozgonna Wspólnota składa się tylko z par, tak jak tebański Związek Poświęconych? Tak można byłoby wnosić, patrząc na ucztujących tutaj, gdyby nie ty.

–Przyjrzyj się uważnie. Spójrz tam – Pidauro, Rystheu i Ypeiro. Tworzą trójkąt – i ich żony też, tak mówią. Jeszcze jeden taki jest, ale teraz są na zwiadzie na południu. I jest całkiem sporo takich jak ja. „Sierotami” nazywają nas. Jeszcze w stały związek nie wstąpiłem, lecz ponieważ jestem najstarszym synem, już kiedy wiek męski osiągnąłem, stałem się członkiem Wspólnoty.

–Ach – rzekł Grek, zirytowany na samego siebie – widok samotnego Rakio powinien mu to uświadomić. By ukryć swój zawód, wypił duszkiem swoje wino. Napełniło go brawurą. Powiedział: – Czy nie urazi cię osobiste pytanie, zadane przez nieświadomego cudzoziemca? – Ra-kio zachęcił go uśmiechem. Ciągnął więc: – Czy dlatego jesteś „sierotą”, że, och, nie masz ochoty przestrzegać wszystkich zasad Wspólnoty?

Rakio zmarszczył z namysłem brwi, a potem uświadomił sobie, co Gorgidas, jako człowiek spoza Wspólnoty, usiłował przez to powiedzieć. – Że tylko kobiety lubię, o to ci chodzi? – Przetłumaczył pytanie na własny język. Wszyscy Yrmido zahukali radośnie; ktoś rzucił w niego kawałkiem chleba. – Ja tylko z założeniem stałego związku nie spieszę się – wyjaśnił niepotrzebnie.

–Tak właśnie to zrozumiałem – rzekł Gorgidas, oschły jak zwykle.

Brew Rakio znowu wygięła się ku górze. Tym razem na twarzy Yrmido pojawił się wyraz otwartej spekulacji. Gorgidas pochylił głęboko głowę, a potem przypomniał sobie, jak niewiele ów gest oznacza dla nie-Greków. Uniósł głowę i skinął nią nieznacznie. Kiedy pochodnie rozmieszczone wokół stołów zaczęły się dopalać, Gorgidas i Rakio opuścili biesiadujących, idąc ręka w rękę.

Z najwyższego punktu przełęcz, którą Erzerumczycy zwali Lejkim, Arshaumi i ich sprzymierzeńcy mogli dostrzec w oddali na południowym zachodzie rzekę Moush. Iskrzyła się jak srebrny drut, odbijając promienie popołudniowego słońca. Poza soczystozielonym paskiem żyznej ziemi wzdłuż brzegów rzeki, wszędzie ciągnęły się płowobure równiny, którymi władali Yezda.

Koczownicy wznieśli radosne okrzyki ucieszeni, że wreszcie ujrzeli cel, do którego zdążali, lecz Viridoviksowi wcale nie było przykro, kiedy zaczęli opuszczać się południowym zboczem Lejka i te jałowe, brunatne ziemie ponownie zniknęły mu z oczu. – Wygląda to na większe pustkowie niż videssański płaskowyż – powiedział – a wydawało mi się, że coś takiego nie jest możliwe.

–Rzeczywiście tym terenom brakuje wody – przyznał Goudeles – Lecz tam, gdzie ziemia jest nawodniona, może być niewiarygodnie żyzna. Zobaczysz to, naprawdę, w dolinach Tubtub i Tib. Zbierają tam plony trzy razy w roku.

–Nie wierz w to – rzekł natychmiast Gal. Wspominając bujną płodność swej ojczyzny, nie mógł sobie wyobrazić, by ten spieczony na kość kraj mógł ją prześcignąć, z wodą czy bez.

Lecz Skylitzes poparł swego rodaka, mówiąc: – Czy będziesz wierzył, czy nie, to i tak prawda. Ziemie pomiędzy Tubtub i Tib nazywają Krajem Stu Miast, ponieważ mogą wyżywić tak wielu

ludzi. Albo raczej mogły; zaczęły się dla nich złe czasy, od kiedy nastali Yezda.

–Hyyh! – prychnął Viridoviks przez nos. Zmienił temat, pytając: – Gdzie może być Mashiz, kiedy już załatwimy się z tym waszym krajem Stu Miast?

–Mogłoby sobie być na drugiej stronie księżycy – powiedział Goudeles, dodając żałość: – ale nie jest, na nieszczęście. To przekłete miasto gnieździ się u podnóża gór Dilbat, dokładnie na zachód od górnych dopływów Tubtub.

Kiedy tej nocy armia rozłożyła się obozem, Celt narysował na ziemi parę kresek, by lepiej przypomnieć sobie to, czego się dowiedział. Wyjaśnił Gorgidasowi o co chodzi w jego gryzmołach, a Grek skopiował je na wosku szybkimi pociągnięciami ryłca. – Interesujące. – Gorgidas zamknął z trzaskiem swoją tabliczkę. – Wychodzę do obozu

Yrmido – powiedział. – Opis ich zwyczajów może uzupełnić moją historię cennymi dygresjami.

–Doprawdy? – Wymówka Gorgidasa była szyta tak grubymi nićmi, że Viridoviks musiał zagryźć wargi, żeby się nie roześmiać. Lekarz przez trzy noce z rzędu korzystał z tego samego usprawiedliwienia. Dwukrotnie wrócił dopiero po północy; raz spędził całą noc z Dozgonną Wspólnotą.

–Cóż, tak – odpowiedział poważnie Gorgidas. – Ich relacja o pierwszym najeździe Yezda na Erzeriim, na przykład... zaraza, co się tak głupio uśmiechasz?

–Ja? – Celt próbował przybrać wyraz zaskoczonego niewiniątka o szeroko rozwartych oczach, coś co zupełnie nie pasowało do jego twarzy. Nie wytrzymał jednak i zarechotał głośno. – Pewne jak nic, że nie o samej historii rozmawiasz z Yrmido, bo inaczej nie spałbyś jak kłoda i nie miałbyś na twarzy tego głupiego uśmiešku, kiedy się budzisz.

–Jakiego głupiego uśmiešku? – parodia Viridoviksa sprawiła, że Grek skrzywił się. Wyrzucił ręce do góry. – Jeśli już znasz odpowiedź, to po co pytasz?

–Błagam cię o wybaczenie – rzekł szybko Viridoviks, widząc trwogę, jaka zawsze ogarniała Gorgidasa, kiedy o jego skłonności do mężczyzn wspominał ktoś, kto jej nie podzielał. – Chciałem tylko powiedzieć, że to naprawdę dziwne widzieć takiego skwaszonego włóczykija jak wasza czci-godność takim radosnym i w ogóle.

–Poskowycz sobie! – Z zakorzenionego nawyku lekarz szukał u Viridoviksa tego rodzaju śmiertelnej pogardy, z jaką Yrmido spotykali się ze strony swoich sąsiadów. Nie znalazł jej jednak, więc odprężył się; nie wyglądało na to, że Gal właśnie teraz odkrył, w jaką stronę zmiierzają jego zainteresowania.

Viridoviks klepnął go w plecy, aż Grek zachwiał się lekko. Na twarzy Celta malowała się szczerza ciekawość. – Czy mógłbyś mi teraz powiedzieć, jak to znajdujesz po roku spędzonym z kobietami?

–Po roku spędzonym na mój sposób, jak zareagowałbyś na dziewczynę?

Gal gwizdnał. – Nie myślałem tak o tym. Z miejsca ożeniłbym się z nią, niech będą przeklęty,

jeśli nie zrobiłbym tego.

–Mnie to nie grozi – stwierdził Gorgidas i obaj wybuchnęli śmiechem. Jednak owe słowa kryły w sobie nie tylko tę prawdę – pomyślał lekarz. Rakio nigdy nie zdołałyby zająć miejsca, jakie w jego sercu miał Kwintus Glabrio.

To prawda; Yrmido, jak większość jego rodaków, był odważny aż do przesady i posiadał poczucie humoru. Lecz był beznadziejnie prowincjonalny. Mimo podróży, jakie odbył po Videssos, nie obchodziło go nic poza własną doliną, podczas gdy dla Gorgidasa cały świat nie wydawał się wcale za duży. I tam, gdzie Glabrio i Gorgidasa łączyło wspólne dziedzictwo, dziwna składnia Rakio przypominała tylko, jak cała jego przeszłość różniła się od przeszłości Greka. Wreszcie, Yrmido otwarcie szydził z wierności. – Dla kobiet wierność jest – wyjaśnił Gorgidasowi. – Mężczyźni używać sobie powinni.

I lekarz używał sobie. Niech to tiwa tak długo, jak ma trwać; jak na razie, jest mu z tym wcale nieźle.

Przy swej szybkości Arshaumi spodziewali się wyroić nad rzeką Moush i znaleźć w granicach Yezd, zanim jego obrońcy zdążą przygotować się na ich przyjęcie. W swych rachubach nie uwzględnili jednak Avshara. Książę-czarodziej, wciąż wyprzedzający swych wrogów, ostrzegł Yez-da o ich nadejściu. Mosty pontonowe, prowadzące na północ do Erzerum, zostały ściągnięte. Szwadrony koczowników patrolowały południowy brzeg Moush. Lepiej wyszkoleni żołnierze, ludzie makurańskiej krwi, trzymali brody na rzece pod ostrzałem katapult.

Wbrew radzie wszystkich erzerumskich dowódców, Arigh, nie zważając na artylerię Yezda, próbował przedrzeć się przez jeden z brodów i został odparty. Pociski z katapult sięgały na drugi brzeg Moush, czego nie mogły dokonać nawet łuki jego koczowników. I katapulty miotały nie tylko kamienie. Dzbany wypełnione palną mieszanką roztrzaskiwały się wśród Arshaumów, rozbryzgując wszędzie wokół płomienie. Kwik koni mieszał się z wrzaskami ludzi; doszło niemal do paniki, nim koczownicy zdolali wycofać się poza pole ostrzału.

Arigh mężnie wziął na siebie ciężar winy, mówiąc: – Powinienem być posłuchać. Wiedzą więcej o walce przy pomocy tych machin niż ja. – Podrapał się po różowych, lśniących bliznach na policzku. – Od tej chwili pozostanę przy tym, co umiemy robić najlepiej. Niech Yezda zastanowią się nad tym, jak mnie przyjąć.

–Oto słowa mądrego generała – rzekł Lankinos Skylitzes i oczy Arshauma pojaśniały.

Arigh zrobił tak, jak powiedział, wykorzystując ruchliwość mieszkańców równin i umiejętność stosowania forteli. Pod osłoną nocy wysłał setkę Arshaumów, by przeprawili się w najszerszym miejscu Moush, płynąc ze swoimi wierzchowcami, z bronią i zbrojami zapakowanymi w skórzane

worki przywiązane do końskich ogonów. Gdy tylko przedostali się na drugi brzeg i zaczęli dosiadać koni, podążyła za nimi reszta ich rodaków.

Przez czysty przypadek jakiś pojedynczy Yezda wypatrzył pierwszą setkę właśnie w chwili, kiedy wydostawali się z rzeki. Wszczął alarm i zdołał umknąć w ciemnościach. Yezda, sami przecież mieszkańcy stepu, zareagowali szybko. Walka, która wybuchła, nie była mniej zaciepła tylko dlatego, że toczono ją niemal na ślepo. Arshaumi robili wszystko, by powiększyć przyczółek, podczas gdy ich przeciwnicy starali się ich rozbić i odzyskać kontrolę nad brzegiem rzeki, nim zdołają przeprowadzić się główne siły armii.

Viridoviks rozebrał się do naga i wskoczył do Moush zaraz po oddziale uderzeniowym. Niektórzy Arshaumi wygwizdali go. – Co da ci miecz, kiedy nie widać, w co uderzyć? – zawołał ktoś.

–To samo, co łuk – odciął się – a może wasze strzały mają własne oczy?

Kiedy jego kuc wygramolił się na południowy brzeg Moush, puścił jego kark i w szalonym

pośpiechu przywdział zbroję. Jeszcze nie tak dawno temu, w większości przypadków ruszały do walki chętniej niż do kobiety, lecz to minęło już bezpowrotnie. Jednak czekający go tu Yezda stanowili przeszkodę dzielącą go od Avshara. Za to zabije ich, jeśli tylko zdoła.

Słyszał ich krzyczących przed sobą, kiedy dosiadał konia i ruszał ku walczącym. Rozumiał ich okrzyki, a przynajmniej większość z nich; dialekt, jakim mówili, nie różnił się zbyt od khamor-thckiego języka Pardraji.

Jakiś jeździec pojawił się przed nim, niewyraźny w świetle gwiazd. – Możesz mi się opowiedzieć? – zawołał w języku, jakiego nauczył się w namiocie Targitausa.

–Tak – odpowiedział drugi jeździec, ściągając cugle. – Kim jesteś?

–Z pewnością nie twoim przyjacielem – rzekł Viridoviks i ciął mieczem. Yezda padł z jękiem.

Strzała warknęła Galowi przy uchu. Zaklął; nadleciała z tyłu. – Uważajcie tam, wy pustogłowi partacze! – ryknął, tym razem w języku Arshaumów. Okrzyk w obcym języku ściągnął ku niemu kolejnego Yezda. Ścięli się raczej na wyczucie. Viridoviks otrzymał cięcie w lewe ramię i jeszcze jedno powyżej kolana, nim przygalopowała garść Arshaumów i Yezda uciekł.

Jego towarzysze zaczęli oddawać pole wzdłuż całej linii walki. Oddział, który przez przypadek znalazł się w pobliżu wystarczył, by stawić czoło pierwszej fali wojowników Arigha, lecz coraz więcej i więcej ociekających wodą Arshaumów wyłaniało się z Moush i przystępowało do walki. Nie leżało w zwyczaju koczowników toczyć regularną bitwę z przeważającymi siłami wroga. Yezda rozproszyli się, ratując

życie, lecz oddając pozycję.

Panowały zbyt gęste ciemności, by można było użyć chorągiewek sygnalizacyjnych. Zahuczał bęben *naccara*. Łącznicy Arigha przekazywali rozkazy wzdłuż całej linii walki: – Natychmiast na

zachód do brodu! – Wyszukując drogę w nieznanym terenie, Arshaumi ruszyli wykonując rozkaz. Ich erzerumscy sprzymierzeńcy uczynili to samo na drugim brzegu Moush. Ciężko uzbrojeni górale nie mogli przepawić się przez rzekę równie łatwo jak koczownicy; do Arshaumów należało wywalczenie dla nich bezpiecznej przeprawy.

Viridoviks miał nadzieję, że może uda im się zaskoczyć straż przy brodzie, lecz tak się nie stało. Kolisko ognisk rozjaśniało przestrzeń wokół wrogiego obozu tak, jakby to był dzień. Załogi obsługujące katapulty stały przy nich w pogotowiu; wokół machin złożono w wysokich stosach strzały, kamienie i dzbany palnej mieszaniny. Kawaleria ustawiona w równych szeregach czekała na Ar-shaumów. Światło ognisk połyskiwało na ich pancerzach i lancach. To nie byli jacyś tam wolontariusze, lecz zaprawieni w bojach wojownicy, podobni tym, jakich wydawał Videssos – makura-ńskie oddziały walczące dla nowych władców ich kraju.

Z Arigha można było tylko dostrzec łyskający bielą zębów uśmiech. – To będzie łatwe; są ich tylko dwie setki. Możemy wdeptać ich w ziemię, zanim otrzymają posiłki. – Z wyrazem pewności siebie na twarzy zaczął ustawiać swoich ludzi w szyku.

Gdy wysyłał łączników tu i tam, z nieprzyjacielskich szeregów wyjechała pojedyncza postać i minęła ogniska, kierując się ku Arshaumom. Majaczyła na tle płomieni, olbrzymia i wyniosła. Serce Viridoviksa zabiło gwałtownie; był pewien, że ta ogromna sylwetka należy do Avshara. Potem jeździec odwrócił głowę i Gal zobaczył wyrazisty profil twarzy. Zatem to zwyczajny człowiek – pomyślał zawiedziony; twarz księcia-czarodzieja kryłyby zawoje.

Jeździec zbliżył się, wymachując lancą. Krzyknął coś, najpierw w języku, którego Viridoviks nie rozumiał, lecz uznał, że jest to makurański, potem w narzeczu Vaspurakanu, wreszcie w yezda-ńskim dialekcie. Teraz Celt zdołał go zrozumieć: – Hej, wy psy! Czy któryś z was ośmieli się w pojedynkę zmierzyć ze mną? Jestem Gusnaph, zwany nie bez powodu Dobroczyńcą Kruków i powaliłem już w pojedynkach czternastu przeciwników. Kto spośród was zechce dołączyć do nich?

Toczył koniem tam i z powrotem, dufny w swoją moc, co rusz wykrzykując ponownie swe wyzwanie. W szeregach Arshaumów rozległ się pomruk, gdy ci, którzy go rozumieli, tłumaczyli jego słowa pozostałym. Żaden jednak nie wydawał się skory odpowiedzieć Gusnaphowi. Na grzbiecie swego wielkiego konia, od stóp do głów zakuty w zbroję, sprawiał wrażenie żelaznej wieży. Zaśmiał się pogardliwie i uczynił

ruch, jak gdyby zamierzając wrócić do własnych szeregów.

Viridoviks krzyknął i wbił pięty w boki swego kuca.

–Wracaj, idioto! – usłyszał ryk Skylitzesa. – Nie poradzisz mieczem na jego lancę! – Gal nie zatrzymał się jednak. Nawet w zwycięskiej bitwie stanął ochoczo do pojedynku ze Skaurusem; gdyby tego nie uczynił, mignęła mu myśl, dalej siedziałby w Galii. Lecz tak jak wówczas, tak i teraz nie zawahał się. Zabicie wrogiego dowódcy warte było tyle samo, co pokonanie stu jego podkomendnych.

Gusnaph zawrócił, uniósł lancę w salucie, potem obniżył ją i runął z grzmiotem kopyt na Celta. Z przerażającą szybkością rósł w oczach. Lanca niezawodnie mierzyła w pierś Viridoviksa, bez względu na to, w którą stronę się wychylał.

W ostatniej chwili Gal uczynił jeszcze jeden zwód i Gusnaph znowu nadażył za ruchem – zbyt dobrze. Ostrze lancy minęło ramię Celta, gdy ich konie wpadły na siebie z łoskotem.

Obaj zostali wyrzuceni z siodeł. Runęli ciężko na ziemię. Viridoviks poderwał się na nogi. Był szybszy od Gusnapha, którego ruchy spowolniał ciężar zbroi. Jego lanca leżała pod wierzgającym koniem. Sięgnął do pasa po broń – czy miał to być krótki miecz, buzdygan, czy też sztylet, tego Viridoviks nigdy się nie dowiedział. Gal skoczył naprzód. Gusnaph wciąż jeszcze wspierał się na jednym kolanie, kiedy miecz Viridoviksa zwałił się na niego jak piorun. Makurański mistrz pojedynków runął na zrytą kopytami ziemię.

Zgodnie ze zwyczajem swego ludu Viridoviks pochylił się, rąbnął mieczem i uniósł ociekającą krwią głowę Gusnapha, tak by mogła zobaczyć ją reszta nieprzyjaciół. Z gardła Celta wydobył się godny banshee tryumfalny skowyt. Po drugiej stronie ognisk odpowiedziała mu pełna grozy cisza.

Z właściwą stepowej rasie prężnością, kuc Viridoviksa poderwał się z ziemi; sprawiał wrażenie, że ze zderzenia wyszedł bez szwanku, choć rumak Gusnapha kwiczał na tyle przeraźliwie, by kazać Galowi zastanowić się, czy nie złamał nogi. Stepowy koń zastrzygł nerwowo uszami i odsunął się, stroniąc od odoru krwi, kiedy Viridoviks zbliżył się do niego ze swoim trofeum.

Gal położył głowę na ziemi. – Nie mam bramy, do której mógłbym ją przybić – mruknął do siebie. Kuc zadrobił płochliwie nogami, odsuwając się, lecz pozwolił mu się dosięść. Celt machnął mieczem na Arshaumów, którzy wybuchnęli gromkimi wiewatami. – Więc spodziewaliście się czegoś innego, hę? – krzyknął.

Koczownicy zbliżyli się kłusem. Ich przeciwnicy nawet nie czekali, by z ciemności spadły na nich pierwsze strzały, tylko umknęli, porzucając namioty, katapulty i bród. Niebo poblądło zapowiedzią brzasku, kiedy Arigh stanął na brzegu Moush i machnął

ręką, dając Erzerumczykowi sygnał do przeprawy.

Przeprawiali się oddział za oddziałem, a płytka woda brodu chlupotała, rozbijając się o końskie boki. Gorgidas przeprawił się wraz z Dozgonną Wspólnotą, tuż za Rakio. W swoim pancerzu z prażonej skóry, uzbrojony jedynie w *gladius*, czuł się wyjątkowo nie na miejscu wśród zakutyh w zbroje Yrmido, lecz stwierdził bez żadnej wątpliwości, że Platon miał rację. Zrobiłby wszystko, byle tylko nie dać swemu kochankowi powodów do przypuszczeń, że się boi.

Yezda przeprowadzili kontratak o świcie, typowym dla mieszkańców równin natarciem konnych łuczników. Lecz, jako że w nocy starli się tylko z Arshaumami, Erzerumczycy zaskoczyli ich zupełnie. Yezda wrzasnęli z przerażenia, kiedy szeregi Arshaumów rozwarły się i runęli na nich ciężkozbrojni górale na swych wielkich koniach.

Wraz z Yrmido, Gorgidas znalazł się na czele szarżującego klina konnicy. Powstało straszliwe, choć trwające tylko parę chwil zamieszanie, kiedy Yrmido z Dozgonnej Wspólnoty i reszta Erzerumczyków zaatakowali Yezda lancami, wysadzając ich z siodeł i zmiatając z drogi lekkie wierzchowce koczowników. Sami również ponieśli straty; tuż przed lekarzem jakiś Yrmido zleciał z konia, z twarzą zmienioną w krwawą miazgę. Jego partner, ze łzami spływającymi po policzkach, zabił koczownika, z którego ręki poniósł śmierć jego kochanek. Grek ciął w jakiegoś Yezda. Odniósł wrażenie, że chybił. Nie miało to większego znaczenia. Natarcie parło niepowstrzymanie naprzód.

Gashvili krzyknął coś po vaspurakańsku do Khilleu. Świeże wgniecenie widniało na pozłacanym hełmie władcy Gunib, lecz nie odebrało mu to ani krzty odwagi. Khilleu, szczerząc zęby w uśmiechu, odpowiedział sprośnym gestem. – O co mu chodziło? – zwrócił się Gorgidas do Ra-kio, który przewiązywał ranę na grzbiecie dłoni.

–Mówi Gashvili: „Te twoje cholerne ciepłe chłopaczki potrafią walczyć”.

–Ma rację – rzekł z nagłym poczuciem dumy Gorgidas.

–Dlaczego nie miałby mieć? – Dla Rakio walka była czymś równie naturalnym, jak oddychanie. Spiął konia ostrogami i popędził na Yezda. Stepowy kuc Gorgidasa prychnął urażony, kiedy Grek wbił mu ostrogi w boki, lecz ruszył za rumakiem Rakio.

Potem, zupełnie niespodziewanie, wróg rozproszył się; każdy nieprzyjacielski wojownik uciekał, by uratować własną skórę, odrzuciwszy myśl o tym, żeby trzymać się razem jako zorganizowana siła bojowa. Arshaumi i Erzerumczycy wiwatowali sobie nawzajem, dopóki nie ochrypli. Mając wolną drogę, ruszyli z kopyta do Yezd.

VII

Gajusz Filipus machnął ręką, celując w gza brzęczącego wokół głowy kościstej, siwej szkapy, na której jechał. Giez bucząc odleciał. Centurion warknął: – Jestem zdumiony, że ten popierdujący kawał przynęty na sępy ma w sobie dość życia, żeby przyciągać bąki. Ruszaj się, ty parszywa, stara chabeto! Doczłap się tylko do Amorionu przed zachodem słońca i możesz sobie odpoczywać.

Szarpnął za cugle. Siwek spojrział na niego z wyrzutem i porzucił człapanie na rzecz paru kroków zasługujących na miano niezdarnego kłusa. Dyszał tak, że jego chude boki wznosiły się i opadały, jak gdyby kłus przekraczał jego siły. Gdy tylko uznał, że zadowolili centuriona, przeszedł z powrotem w człapanie. – Żałosna pokraka-powiedział Gajusz Filipus, chichocząc wbrew samemu sobie.

–To z pewnością jakiś weteran – rzekł Marek. – Bądź wdzięczny, że nie jest w lepszej for-

mie; przynajmniej nie kusi Yezda do kradzieży.

–Wcale nie chciałbym, żeby był lepszy! – zawołał Gajusz Filipus, przewrotnie dumny ze swego zgrzybiałego wierzchowca. – Pamiętasz tamtego bękarta, który przyglądał nam się dwa dni temu? Spadł ze swojego kuca ze śmiechu.

–I dobrze dla nas, że się tak stało – odpowiedział trybun. – To był prawdopodobnie zwiadowca jakiegoś większego oddziału.

Pod wpływem tej myśli opuścił go żartobliwy nastrój. Podróż z Nakolei w głąb lądu okazała się o wiele gorsza niż się spodziewał. Port wciąż znajdował się w videssańskich rękach, lecz otaczające go ziemie roily się od Yezda, którzy jak drapieżne ptaki spadali na rolników, ilekroć tamci próbowali zabrać się do pracy na polach. Gdyby Imperium nie zaopatrywało miasta drogą morską, Nakoleia nie miałyby szans na przetrwanie.

Większość wiosek leżących przy wiodącym na południe bitym trakcie stała opuszczona albo niewiele im do tego brakowało. Nawet te dwa miasta, które przez stulecia imperialnego pokoju zachowały prastare mury obronne, ziały pustką. Yezda uniemożliwiali zarówno uprawę jak i żniwa, tak więc miasta, choć nie do zdobycia przez koczowników, zostały opuszczone. Marek zastanawiał się, ilu zginęło, a ilu zdołało umknąć, kiedy w końcu musieli otworzyć bramy.

Przyszło mu do głowy, że do spustoszenia, do jakiego koczownicy doprowadzili zachodnie rubieże, musiało dojść też przed wiekami i to na bez porównania większą skalę, kiedy to Khamorthci wyroili się ze stepów i najechali wschodnie prowincje Videssos. Trybun potrząsnął głową. Nic dziwnego, że na tych ziemiach zapanowała

herezja, uznająca moc Skotosa za równą mocy Phosa; ludziom musiało się wydawać, że wcielenie zła zstąpiło na świat.

Zza zakrętu drogi wyłonił się oddział jeźdźców, podążający różnym kłusem na północ. Ich dowódca uniósł ostrzegawczo rękę, kiedy dostrzegł Rzymian, a potem opuścił ją do połowy, gdy uświadomił sobie, że nie są Yezda. Podjechał do nich, by ich skontrolować. Skaurus zobaczył, że ma hełm, krótki miecz i łuk, lecz ani kawałka zbroi na sobie. Jego ludzie byli podobnie wyekwipowani i dosiadali pstrokatej zbieraniny koni. Poprzedniego dnia trybun spotkał na drodze podobnych do nich – byli to ludzie Zemarkhosa.

Dowódca oddziału nakreślił na piersi znak słońca. Marek i Gajusz Filipus pospiesznie uczynili to samo; niebezpiecznie byłoby tego nie zrobić. – Phos z wami – powiedział Videssańczyk. Dobiał trzypięć, wysoki, żylasty, pokryty bliznami jak weteran, z niepokojąco bystrymi oczyma.

–Iz wami – odparł trybun.

Wstępny sprawdzian został zaliczony; głowa Videssańczyka uniosła się o parę cali, a potem

opadła. Zapytał: – No, przybysze, co robicie w dominiach Obrońcy Wiernych? – Znając samozwańczy tytuł Zemarkhosa z rozmowy ze spotkanymi poprzedniego dnia jeźdźcami, Marek nie mrugnął, kiedy go usłyszał.

–Zdążamy na *panegyris* świętego Moikheiosa w Amorionie – odparł, tak jak to ustalili z Gajuszem Filipusem na pokładzie *Morskiej Piany*. - Może uda nam się tam zaciągnąć jako ochrona karawany u jakiegoś kupca.

–To całkiem możliwe – stwierdził dowódca oddziału. Przyjrzał się uważnie trybunowi. – Sądząc po twoim języku i włosach, nie jesteś Videssańczykiem, ale też nie wyglądasz na Vaspura-kańczyka. Czy jesteś jednym z namdałajskich heretyków?

Przynajmniej raz Marek był zadowolony ze swoich blond włosów; choć piętnowały go jako obcokrajowca, to wskazywały również, że nie należy do tego rodzaju ludzi, których wyznawcy Ze-markhosa z miejsca zabijali. Wyrecytował credo wiary Phosa w wersji obowiązującej w Imperium; Namdałajczycy uzupełniali je słowami: „Na co stawiamy nasze dusze”, który to dodatek jeżył włosy videssańskim teologom. Gajusz Filipus poszedł za jego przykładem. Wyrecytował wyznanie wiary nie tak płynnie, lecz bezbłędnie.

Jeźdźcy odprężyli się i odsunęli ręce od broni. – To wystarczająco prawomyślne – rzekł ich dowódca – i nikt nie weźmie wam za złe, jeśli ograniczycie się do tych słów. Jednak stwierdzicie, że wielu, z szacunku do naszego pana, Zemarkhosa, dodaje: „Błogosławimy też Obrońcę twojej prawdziwej wiary”, po słowach „rozstrzygnięta na

naszą korzyść". Jak powiedziałem, nie jest to obowiązkowe, ale może sprawić, że w Amoronie potraktują was przez to przychylniej.

–Błogosławimy też Obrońcę twojej prawdziwej wiary – powtórzyli Skaurus i Gajusz Filipus, jak gdyby zapamiętując zwrot. Zemarkhos, jak się wydawało, posiadał całkowicie świecką potrzebę wywyższania własnej osoby, bez względu na to, jak to wyrażał. Twarz trybuna pozostała obojętna. – Dzięki za radę – powiedział.

–Nie ma za co – odpowiedział Videssańczyk. – Cudzoziemcy, którzy z własnej woli przyjmują prawdziwą wiarę, zasługują na szacunek. Powodzenia w mieście. Wysłano nas, byśmy wypatrywali yezdańskich złodziei i rabusiów.

–I nieczystych Vaspurakańczyków – dodał jeden z jego ludzi. – Trochę tych śmierdzących bękartów ciągle się tu czai, mimo wszystkich naszych wysiłków, żeby ich wytępić.

–To nie takie złe – rzekł drugi. – Lepsza z nimi zabawa niż z dropiami czy nawet z lisami. Zeszłej zimy dostałem trzech. – Mówił rzeczowym tonem, jakiego mógłby używać, opowiadając o łowach na wszelką inną zwierzynę. Wyrzuty sumienia, jakie Skaurus odczuwał z powodu obłudnego potraktowania wyznania wiary, zniknęły.

Dowódca oddziału dotknął wskazującym palcem brzeżka hełmu, skinął głową Rzymianom i ruszył dalej na czele swoich ludzi. Gajusz Filipus, który do tej pory głównie milczał, zawołał za nim. Jeździec ściągnął cugle. Starszy centurion rzekł do niego: – Przebywałem w tych okolicach parę lat temu i zaprzyjaźniłem się z paroma osobami w mieście zwanym Aptos. Czy teraz to miasto jest w rękach Yezda, czy Zemarkhosa?

–Jest nasze – odparł Videssańczyk.

–Miło mi to słyszeć. – Marek podejrzewał, że Gajusz Filipus martwił się przede wszystkim o Nersę Phorkainę, wdowę po miejscowym szlachcicu; Phorkain zginął pod Maraghą. Była to jedyna kobieta, pod adresem której trybun słyszał pochwały z ust Gajusza Filipusa, lecz kiedy legionieci zimowali w Aptos, weteran nie uczynił absolutnie nic, by dać jej do zrozumienia, że ją podziwia. Strach tego czy innego rodzaju – pomyślał Marek – w każdym znajdzie miejsce, by się zagnieździć.

Amorion, porównywalny wielkością z Garsavrą, nie był niczym więcej jak zakurzonym miasteczkiem wznoszącym się pośrodku centralnego płaskowyżu zachodnich rubieży. Pozbawione rzeki, Ithom straciłoby rację bytu. Lecz za każdym z tych zaledwie dwóch razy, kiedy Marek miał okazję je widzieć, było wypełnione po brzegi; najpierw przez armię Mavrikiosa Gavrasa maszerującą na zachód, ku czekającej ją tam katastrofie, a teraz z powodu *panegyris*.

Zmierzch już zapadał, kiedy Rzymianie wjechali pomiędzy równoległe szeregi

kupieckich namiotów rozbitych poza murami miasta. Thorisin miał rację; w tej ciżbie byli po prostu jeszcze jedną parą przybyszów. Kupiec o drugiej, prostokątnej twarzy i zażawionych oczach Makurańczyków roześmiał się z teatralnym zdumieniem, kiedy usłyszał jaką cenę za jego pistacje oferuje mu videssa-ński kontrahent. Sześciu nomadów z zawojami na głowach, przybyłych z pustym leżącej na południe od Słonego Morza – szczupłych, wielkonosych mężczyzn, wyróżniających się rodzinnym podobieństwem – pakowało na noc swoje kadzidła i zwitki wonnej kory. Przy ich namiocie stały spętane wielbłądy; koń Marka odsunął się, stroniąc od ich obcego odoru.

Jakiś kapłan targował się z tłustym rolnikiem o cenę muła. Szacunek, jaki wieśniak odczuwał dla błękitnej szaty, wcale nie przeszkadzał mu stać twardo przy wyznaczonej cenie i nie obniżyć jej ani odrobinę. Namdałajski kupiec znalazł w jakiś sposób drogę do Amorionu z koniem objuczonym ładunkiem glinianych lamp. Zachwalał je z animuszem. Kapłan kupił jedną po tym, jak sprzedawca muła roześmiał mu się w twarz.

–Nie widzę go, jak zalewa sadła za skórę heretykom – zauważył Gajusz Filipus.

–Odnoszę wrażenie, że dla Zemarkhosa „heretycy” i „Vaspurakańczycy” to jedno i to samo – odparł Skaurus. – Nakładł sobie i swoim ludziom do głów tyle bzdur o nich, że nie ma już czasu martwić się nieprawomyślnością kogokolwiek innego.

Starszy centurion chrząknął zadumany. Zwierzchnicy karawan, drobniejsi handlarze, buńczuczni żołnierze eskortujący karawany i przybyli na targ myśliwi reprezentowali szeroki wachlarz narodowości innowierczych lub zupełnie nie mających nic wspólnego z kultem Phosa, a jednak wszyscy oni robili swoje bez najmniejszej zaczepki ze strony ortodoksyjnego duchowieństwa. Lecz nie było

widać ani jednego Vaspurakańczyka, choć kraj „książąt” – jak siebie nazywali – leżał niedaleko na północny zachód od Amorionu i choć wielu z nich osiadło wokół miasta po tym, jak najazdy Yezda zmusiły ich do opuszczenia Vaspurakanu. Pogromy Zemarkhosa zrobiły swoje.

Rzymianie przejechali obok zwierzchnika karawany – wysokiego, szerokiego w barach, brzuchatego mężczyzny z wygoloną głową, wielkim, sterczącym nosem i sumiastymi, czarnymi wąsami, niemal tak wspaniałymi jak wąsy Viridoviksa – przeklinającego mulnika za to, że pozwolił okuleć jednemu z jego mułów. Przeklinał cudownie, w mieszaniu kilku języków dla większego efektu; jego głos przypominał basowy łomot skał spadających z grzmotem po górskim zboczu. Kierowani takim samym wewnętrznym impulsem, Skaurus i Gajusz Filipus zatrzymali się jednocześnie, by słuchać i podziwiać.

Kupiec spostrzegł ich kątem oka. Zakończył wiązanek grzmiącym: – I żeby mi się to

nie powtórzyło, ty z nieznannej matki, dupiasty kubie kozich rzygowin! – Potem wsparł mięsiste ręce na biodrach w teatralnym geście dobrze harmonizującym z jego strojem; miał na sobie kasztanowego koloru jedwabną tunikę rozciętą do pasa, obszerne wełniane spodnie, pofarbowane na jaskrawy błękit i wetknięte w wysokie do kolan, lśniące, czarne buty. W jego prawym uchu tkwił złoty, w lewym zaś srebrny kolczyk. Miał też trzy złote zęby; rozbłysły, kiedy uśmiechnął się do Rzymian. – Macie jakieś kłopoty, chłopcy?

–Tylko z zapamiętaniem wszystkiego tego, jak go nazwałeś – odparł Gajusz Filipus, odwzajemniając uśmiech.

–Ha! Nie usłyszał nawet połowy z tego, na co zasłużył. – Tubalny chichot zadudnił mu w piersi. Przyjrzał się Rzymianom ponownie, tym razem dłużej. – Jesteście wojownikami. – Nie było to pytanie. Ze sztyletem o szerokim ostrzu i masywnym kordem za pasem nie miał kłopotów z rozpoznaniem ludzi umiejących obchodzić się z bronią. – Brakuje mi pary zwiadowców... jesteście zainteresowani? Wezmę was obu, mimo tej straszliwej chabety, której dosiadasz, siwowłosa.

–Skąd przyszło ci do głowy, że miałem ochotę na twoje przekleństwa? – odciął się Gajusz Filipus.

–Nie twoja wina, że nie masz ochoty. No, co na to powiecie? Sztuka złota miesięcznie, jedzenia tyle, ile zdołacie zjeść i udział członka eskorty w zyskach po zakończeniu wyprawy. Wchodzicie w to?

–Być może wrócimy za dzień lub dwa – rzekł Marek; nie mógł z miejsca odrzucić propozycji ze względu na historię, jaką wymyślili z Gajuszem Filipusem. – Mamy sprawę do załatwienia w mieście, zanim będziemy mogli zastanowić się, co robić dalej.

–Cóż, oszczajcie mnie, a nie powiem, że zatrzymam te miejsca, ale jeśli do tego czasu nie znajdę nikogo, będę o was pamiętał. Znajdziecie mnie tutaj. Z powodu tych przeklętych Yezda i całego tego rozgardiaszu o Vaspurów handel idzie ciężko. Pytajcie o mnie, jeśli nie wpadnę wam w

oczy; jestem Tahmasp. – Makurańskie imię wyjaśniało jego nieco gardłowy akcent i obojętność wobec prześladowań Zemarkhosa, jeśli tylko nie przeszkadzały w handlu.

Ktoś rozdarł się, wykrzykując jego imię. – Idę, idę! – ryknął w odpowiedzi. Do Rzymian powiedział: – Zobaczymy się, jak się zobaczymy. – I odszedł ciężkim krokiem.

Gajusz Filipus kopnął swego konia po żebrach. – Ruszaj się, ty przerośnięty ślimaku. – Do Marka zaś rzekł: – Wiesz, nie byłbym wcale od tego, żeby służyć pod tym wielkonosym bękartem.

–Ani chwili nudy – przytaknął Skaurus. Centurion roześmiał się i skinął głową.

O każdej innej porze roku Amorion zamarłby wraz z nadejściem nocy, pozostawiając swe kręte,

cuchnące uliczki rzezimieszkom i tym niewielu wystarczająco bogatym, którzy mogli pozwolić sobie na wynajęcie nosicieli pochodni i straży przybocznej, by trzymać amatorów cudzej własności z dala od siebie. Lecz podczas odpustu świętego Moikheiosa główne arterie miasta płonęły blaskiem pochodni, by umożliwić nocne czuwania, występy współzawodniczących ze sobą chórów i przemarsz procesji, którymi duchowni czcili święto swego patrona.

–Kupisz figi w miodzie? – zawołał jakiś sprzedawca z tacą zawieszoną na karku. Kiedy

Marek skorzystał z propozycji, mężczyzna powiedział: – Niech Phos, Moikheios i Obrońca bło

gosławią cię, panie. Proszę, wciśnijcie się koło mnie i zajmijcie sobie miejsca. Wkrótce zaczniesz się

wielka parada. – Znowu Obrońca, czy tak? Trybun zmarszczył brwi, uświadamiając sobie wpływ,

jaki Zemarkhos wywierał na cały Amorion. Lecz miał już pomysł, jak ten wpływ zneutralizować.

Praktyczny jak zawsze, Gajusz Filipus powiedział: – Lepiej znajdziemy jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy się zatrzymać.

–Spróbujcie w gospodzie Souanitesa – rzekł usłużnie sprzedawca fig. Szybko udzielił im

wskazówek, dodając: – Nazywam się Leikhoudes. Powołajcie się na mnie, to zapewni wam dobrą

opiekę.

Zapewni, że dostanę swoją dolę, przetłumaczył w duchu Marek. Nie mając lepszego planu, pozwolił by Leikhoudes powtórzył swoje wskazówki, a potem zastosował się do nich. Ku jego zdziwieniu, odniosło to skutek. – Tak, mam coś, moi panowie – rzekł Souanites. To coś okazało się być stertami zwalonej na kupę słomy w stajni, gdzie umieszczono też ich konie, i to za cenę apartamentu, lecz Skaurus przyjął to bez słowa sprzeciwu. Każda przegroda w stajni miała zamknięte na zamek drzwi; Souanites mógł widywać swój zajazd niemal pustym przez całą resztę roku, lecz

kiedy nadchodził *panegyris*, wyciskał z niego wszystko, co się dało.

Kiedy już ułożyli swój ekwipunek i uporządkowali wierzchowce, Gajusz Filipus zapytał:
– Masz ochotę iść na tę głupią paradę?

–To może być okazja, by dowiedzieć się, jaki orzech przyjdzie nam zgryźć.

–Albo okazja, żeby nas dopadli, nim jeszcze cokolwiek zaczniemy – odparł posępnie Gajusz Filipus, lecz westchnąwszy wyszedł za trybunem na ulicę.

W drodze powrotnej skręcili w złą stronę i w ciągu paru minut zgubili się, lecz bez trudu odzyskali orientację, kierując się wrzawą i światłami głównej ulicy. Wyłonili się na niej dwie przecznice dalej od miejsca, gdzie skręcili by dojść do Souanitesa i natychmiast wpadli na sprzedawcę fig, który przeciskał się przez gęstniejący tłum. Tacę miał już niemal pustą. Rozłożył przepraszająco ręce. – Przykro mi, że nie mogę wam już zaoferować tak dobrego miejsca do oglądania parady.

–Jesteśmy ci winni wdzięczność – rzekł Marek. Wziąwszy Leikhoudesa pomiędzy siebie,

Skaurus i Gajusz Filipus utorowali sobie łokciami drogę na czoło tłumowi. Ściągnęli na siebie trochę

nieżyczliwych spojrzeń, lecz Skaurus o pół głowy przewyższał większość ludzi, a Gajusz Filipus,

choć przeciętnego wzrostu i rozmiarów, przecież nie wyglądał na kogoś, z kim mądrze byłoby wsz

czynąć sprzeczkę. Leikhoudes aż krzyknął z radości.

Przybyli w sam czas, choć pierwsza część procesji nieznośnie znudziła Rzymian. Kompania milicji Zemarkhosa spotkała się z wiwatami ze strony stojących obok, lecz Marek stwierdził, że maszerujący w jej szeregach są obdarci, słabo uzbrojeni i źle wyszkoleni. Odpierali Yezda siłą fanatycznego zapału, nie lśniąca bronią i znakomitym wyszkoleniem, czyli tym, co na paradzie kazało patrzeć na maszerujących żołnierzy. Również chóry, które przemaszerowały za milicją, nie zrobiły na trybunie większego wrażenia. Po pierwsze, nawet jego niewrażliwe ucho rozpoznało w nich zupełnych amatorów. Po drugie zaś, większość swych hymnów śpiewali w prastarym, obrzędowym języku, który ledwie rozumiał.

–Czyż nie są wspaniali? – zachwycił się Leikhoudes. – Tam!... Patrzcie, w trzecim rzędzie... mój kuzyn Stasios, szewc! – Wskazał dumnie ręką. – Hej, Stasios!

–Nigdy nie słyszałem żadnych śpiewaków, którzy mogliby się z nimi równać – rzekł

Skaurus.

–Tak, w tym, jak fatalnie śpiewają – dodał Gajusz Filipus, lecz po łacinie.

**Przemaszerował jeszcze jeden chór; temu akompaniowały piszczałki, rogi i bębny.
Straszliwy**

hałas mógł ogłuszyć. Potem nadjechała grupa młodzieńców z bogatych rodzin Amorionu na drobiących nogami koniach z grzywami przystrojonymi wstążkami i w czaprakach błyszczących od złota i srebra.

Wrzawa, jaką czynił tłum, zmieniła się w groźny pomruk, gdy pojawiła się wlokąca się za nimi grupka półnagich mężczyzn, skutych łańcuchami, poganianych oszczepami przez wolontariuszy Zemarkhosa. Więźniami byli krępi, śniadoskórzy mężczyźni z bujnymi brodami. – Przekłęci przez Phosa Vaspurakańczy! – zaskrzeczał Leikhoudes. – To wasze grzechy, wasza ohydna, perfidna herezja ściągnęły na nas wszystkich Yezda! – Tłum zasypał ich grudami ziemi, zgniłymi owocami i końskimi odchodami. W porywie furii Leikhoudes cisnął w nich resztką swoich fig.

Marek zacisnął zęby; stojący obok Gajusz Filipus przestąpił z nogi na nogę i zaklął pod nosem. Nie mieli żadnych szans na oswobodzenie więźniów; gdyby spróbowali, zostaliby przez motłoch

rozerwani na strzępy.

Rozbrzmiewające wokół nich groźne pomruki zmieniły się w radosne okrzyki. – Zemarkhos! Jego Świętobliwość! Obrońca! – Pod czujnym okiem swych sąsiadów, nikt nie śmiał wiwatować bez entuzjazmu.

Przed fanatycznym kapłanem maszerowali nosiciele parasoli, którzy dla Videssańczyków symbolizowali władzę, tak jak dla obywateli Rzymu symbolizowali ją liktorowie ze swoimi różgami i toporami. Marek gwizdnął, kiedy policzył parasole z błękitnego jedwabiu. Czternaście – nawet Thorisin Gavras był uprawniony jedynie do dwunastu.

Jak gdyby niepomny na schlebiające mu wiwaty, Zemarkhos kuśtykał ulicą, nie rzuciwszy okiem na prawo ni lewo. Pośępną twarz kapłana pokrywały straszliwe blizny, tak samo jak jego ręce i ramiona. Zarówno utykanie jak i blizny stanowiły pamiątkę po ukąszeniach wielkiego, ostrouchego psa, który kroczył przy nim.

Pies wabił się Vaspur, od imienia legendarnego przodka-założyciela narodu Vaspurakańczyków. Zemarkhos nadał psu to imię na długo przed Maraghą, by ubliżyć vaspurakańskim zbiegom, którzy schronili się w jego mieście. W końcu jednak Gagik Bagratouni znalazł sposób, żeby odpłacić mu za takie poniżenie.

Wrzucił kapłana i psa razem do wielkiego worka, a potem on i jego ludzie zaczęli weń kopać. Kąsający z bólu i przerażenia Vaspur zrobił resztę.

Marek, który przebywał wtedy w willi Bagratouniego, przekonał *nakharara*, by wypuścił Ze-markhosa, obawiając się, że jego śmierć jako męczennika wywoła zamieszki, do których podzegał fanatyczny kapłan. Może wywołałaby, lecz patrząc wstecz, trybun nie potrafił wyobrazić sobie, że sprawy mogłyby ułożyć się jeszcze gorzej dla „książąt”. Żałował, że nie pozwolił wtedy Vaspurowi rozedrzeć Zemarkhosa na strzępy.

Pies przystanął powarkując, kiedy mijał Rzymian. Sierść zjeżyła mu się na grzbiecie. Od tamtego wydarzenia minęły blisko trzy lata, a zwierzę czuło ich zapach zaledwie przez parę minut; czy mogło ich zapamiętać? Jeśli już o to chodzi, czy Zemarkhos rozpoznałby ich, gdyby ich znowu zobaczył? Skaurus nagle zapragnął stać się niskim brunetem, by mniej wyróżniać się w tłumie.

Lecz pies ruszył dalej, a Zemarkhos wraz z nim. Trybun pozwolił sobie na ciche westchnienie ulgi. Kapłan był niebezpieczny już przedtem, lecz teraz otaczała go aura złowrogiej mocy, która sprawiła, że Marek nie miałby nic przeciwko temu, by móc zjeżyć włosy na karku tak jak Vaspur. Nie sądził, żeby zwykła świecka władza nadała zniszczonym rysom Zemarkhosa taki wyraz; gnieździło się tam coś bardziej obcego i mroczniejszego. Na szczęście to coś było teraz skierowane do wewnątrz, rosnąc, karmiąc się zapamiętałą nienawiścią kapłana.

Z okrzykami „Phos czuwa nad Obrońcą!” tłum zalewał ulicę za Zemarkhosem, podążając za kapłanem na główny rynek Amorionu. Ludzie zagarnęli ze sobą Skaurusa i Gajusza Filipusa. Mnóstwo Videssańczyków wypełniło już obrzeża placu; nowo przybyli przeciskali się i rozpychali,

żeby znaleźć miejsce.

Strażnicy z oszczepami spędzili vaspurakańskich jeńców na środku rynku. Puścili końce łańcuchów, które trzymali. Jeden ze strażników wyjął zza pasa młot o krótkim trzonku i przybił te wolne końce za pomocą kołków do ziemi, unieruchamiając w ten sposób każdego więźnia. Paru Vaspurakańczyków szarpało łańcuchy, lecz większość po prostu stała, ogarnięta apatią albo załękniona.

Strażnicy oddalili się od nich z niejakim pośpiechem.

Zemarkhos pokuśtykał ku więźniom. Idący przy nodze Vaspur czekał i warczał, pokazując lśniące kły. – Chce poszczuć na nich psa? – mruknął z odrazą Gajusz Filipus. – Co oni mu zrobili?

Marek spodziewał się, że pies rzuci się na więźniów w odwecie za to, jak Bagratouni potraktował Zemarkhosa. Miałoby to jakiś wypaczony, ale sens. Lecz na polecenie

kapłana pies przysiadł przy nim. Kiedy Zemarkhos skupił swoją wolę na Vaspurakańczykach, jego profil stał się równie drapieżny, co profil polującego jastrzębia.

Wyciągnął ku nim długi, szponiasty palec. Tłum ucichł. Kapłan zadygotał; Skaurus wręcz widział, jak ujmuje w karby kipiącą w nim moc. W jakiś sposób – pomyślał trybun – była to wstrętne parodia rytuału, przy pomocy którego kapłani-uzdrowiciele skupiali wolę przed przystąpieniem do leczenia.

Zemarkhos jednak nie miał zamiaru leczyć. – Przeklęta, potępiona i starta z powierzchni ziemi będzie vaspurakańska rasa! – zawołał, a jego przenikliwy głos palił jak rozżarzone do czerwoności żelazo. – Podstępna, zła, szalona, kapryśna, w dwójnasób nikczemna! Złośliwa, zdradziecka, zwierzęca i zawzięta w swej plugawej herezji! Przeklęta, przeklęta, przeklęta!

Powtarzając to słowo, za każdym razem dźgał palcem w stronę jeńców. I za każdym powtórzeniem tłum wył w żądnym krwi podnieceniu, ponieważ Vaspurakańczycy skręcali się w męce, jak gdyby smagani kolczastymi biczami. Dwóch lub trzech krzyknęło, lecz ryk tłumu zagłuszył okrzyki.

–Przeklęte będą podle kreatury Skotosa! – skrzeknął Zemarkhos i więźniowie padli na kolana, zagryzając w męce usta. – Przeklęty będzie każdy ich obrządek, każde misterium, wstrętne i nienawistne Phosowi! Przeklęte niech będą ich nikczemne usta, którymi wypowiadają bluźnierstwa! – I po brodach Vaspurakańczyków pociekła krew.

–Przeklęte niech będą te dzikie psy, te węże, te skorpiony! Przeklinam ich wszystkich, na śmierć i ostateczne zniszczenie! – Tak gwałtownie jak gdyby rzucał oszczepem, ponownie dźgnął palcem w stronę jeńców. Z twarzami wykrzywionymi grozą i męką, z wychodzącymi z orbit oczyma, Vaspurakańczycy trzepotali na ziemi, jak wrzucone do łodzi ryby, coraz słabiej i słabiej, by w końcu znieruchomieć zupełnie.

Dopiero wówczas Zemarkhos, z oczyma rozjarzonymi blaskiem chorobliwego tryumfu, podszedł do nich dumnym krokiem i trącił ciała stopą. Tłum, rozpalony religijnym entuzjazmem, który aż nadto łatwo ogarniał Videssańczyków, krzykiem wyrażał swoje poparcie. – Phos ma w swej pieczy Obrońcę Wiernych! Taki koniec czeka wszystkich heretyków! Prawdziwa wiara zwycięża! – Jakaś kobieta o donośnym głosem wykrzyczała nawet imperatorskie pozdrowienie: – Tyś zwyciężcą, Ze-markhosie.

Kapłan niczym nie dał poznać, czy owacja mu się podobała. Utkwił nieruchomy wzrok w tłumie i rzekł surowo: – Czuwajcie, by nie zbłądzić i nie pozwólcie, by wasi sąsiedzi zbłądzili. – Przywołał Vaspura do nogi i pokuśtykał do swej rezydencji.

Jednak jego wierni byli przyzwyczajeni do niezmiennej surowości kapłana i wiwatowali mu, jak gdyby udzielił im błogosławieństwa. Tłumnie opuszczali plac, niezmiernie zadowoleni z nocnego widowiska.

Kiedy Rzymianie wracali do swych skromnych kwater, Gajusz Filipus zwrócił się do Marka i zapytał: – Jesteś pewien, że chcesz wykonać to, co zaplanowałeś?

–Szczerze mówiąc, nie. – Siła czarów Zemarkhosa, podsycana żarliwością fanatyka i furią tyrana, napęliła trybuna lękiem. Przeszedł parę kroków nie odzywając się. W końcu powiedział: – Jednak czy mam jakąś inną możliwość? Wolałbyś być skrytobójcą, skradającym się w ciemnościach?

–Wolałbym – odpowiedział natychmiast Gajusz Filipus – gdybym nie sądził, że złapią nas potem. Albo, co bardziej prawdopodobne, przedtem. Jednak ciesz się, że moja rola w twoim planie jest niewielka.

Marek wzruszył ramionami. – Videssańczycy to chytry lud. Co bardziej zbije ich z tropu niż oczywistość?

–Szczególnie, jeśli to wcale nie jest oczywiste – rzekł weteran.

Świt następnego dnia niósł ze sobą obietnicę okrutnego upału, typowego dla centralnego płaskowyżu Videssos; upału, jaki szybko zabiłby człowieka nie mającego dostępu do wody. W końskim korycie, w którym Skaurus mył głowę i ręce, ta życiodajna woda była ciepła jak krew.

Trybun nie miał apetytu na chleb, którego bochenek kupił od oberżysty. Gajusz Filipus dokończył to co pozostało, kiedy już spałaszował swoją porcję. Marek wiedział, że nie stało się tak dlatego, iż jego towarzysz czuł się pewniej, ponieważ nie obawiał się o własne bezpieczeństwo. Gdyby zamienili się rolami, niewzruszony centurion nie zjadłby ani odrobiny mniej.

Pozostali w cieniu stajni aż do wczesnego popołudnia, przyciągając zaciekawione spojrzenia chłopców stajennych i gości, którzy przychodzili zabrać swoje wierzchowce.

Kiedy cienie zaczęły się ponownie wydłużać, Marek rozpakował swój wojskowy rynsztunek rzymskiego oficera i wdział go na siebie – nagolenniki, nabijany żelaznymi ćwiekami kilt, hełm z wysokim czubem z końskiego włosia, kolczugę i szkarłatną opończę swej szarzy. Nawet w cieniu natychmiast zaczął się pocić.

Gajusz Filipus, wciąż w zwykłym stroju, dosiadł swego kulejącego siwka. Kiedy wyłonił się ze stajni, prowadził za sobą osiodłanego wierzchowca trybuna; pochylił się w siodle, by uścisnąć Skaurusowi rękę. – Będę gotowy na swoim miejscu, nie żeby robiło to jakąś różnicę, jeśli sprawy przybiorą zły obrót. Niech cię bogowie mają

w opiece, ty cholerny, przzerośnięty głupcze.

Całkiem stosowne epitafium – pomyślał Marek – gdy powoli cichło kłapanie kopyt wierz-chowca-weterana. Trybun ruszył w swoją stronę najwolniej jak potrafił; idąc w zbroi pod palącym słońcem uświadomił sobie, nie po raz pierwszy, jak musi czuć się homar gotowany w swojej skorupie.

Zanim dotarł do głównej ulicy Amorionu zgromadził wokół siebie tłumek małych chłopców. Dzieciarnia przywykła do żołnierzy, lecz nie do tak wspaniałych jak on. Wolną ręką rozdał miedziaki; chciał ściągnąć na siebie tyle uwagi, ile tylko mógł. Zapytał: – Czy Zemarkhos będzie miał dzisiaj kazanie?

Niektórzy chłopcy unieśli żywo głowy na wzmiankę o kapłanie, podczas gdy inni skierowali na trybuna puste, nieruchome twarze; jednak nie poprzez samą miłość Zemarkhos władał Amorionem, Jeden z tych chłopców, którzy się uśmiechnęli, powiedział: – Tak, ma kazanie, panie. Przemawia na placu codziennie, naprawdę.

–Dzięki. – Skaurus dał mu jeszcze jednego miedziaka.

–Dziękuj wam, panie. Masz zamiar posłuchać go? Widzę, panie, że przybyłeś z daleka, może właśnie po to, żeby go usłyszeć? Czy to nie cudowne? Czy kiedykolwiek spotkałeś kogoś takiego jak on?

–Nie, coś takiego nie zdarzyło mi się, synu – odparł zgodnie z prawdą Rzymianin. – Tak, mam zamiar go posłuchać. Być może – ciągnął – nawet z nim porozmawiam.

Zwłoki Vaspurakańczyków wciąż leżały w poskręcanych męką pozach pośrodku placu. W niczym nie przeszkadzały zawziętym targom, jakie z okazji *panegyris* toczyły się wszędzie wokół nich. Dwaj sprzedawcy pleców ustawili stragany naprzeciwko siebie i każdy głośno szydził z towarów drugiego. Jakiś płatnerz depcząc na pedał obracał skrzypiący kamień szlifierski, na którym ostrzył noże klientów. Pulchna matrona przeglądała się w lusterku z brązu, szukając skaz w zwierciadle i w swym makijażu. Odłożyła je i niechętnie skinęła głową; teraz rozpoczęły się poważne targi.

Sprzedawcy wina, orzechów, pieczonego drobiu, piwa, soków owocowych, fig, małych, pikantnych ciasteczek i setki innych smakołyków wędrowali przez ożywiony tłum, krzykiem zachwalając

swoje towary. Tak też czynili siłacze spływający potem pod ciężarem wielkich kamieni, które dźwigali nad głowami, przechadzający się muzycy, akrobaci – łącznie z tym, który chodził na rękach, a cynowy kubek żebraka miał przywiązany do nogi, właściciele tresowanych psów i gadających kruków, lalkarze ze swoimi marionetkami i całe mnóstwo różnych innych wydrwigroszów.

I tak też, mimo całej ascetycznej pruderii Zemarkhosa, czyniły prostytutki, przyciągnięte wraz z innymi kupcami do skupianego przez *panegyris* bogactwa. Marek wyłowił wzrokiem Gajusza Fili-pusa, dobrze ustawionego na skraju placu i rozmawiającego z wysoką, ciemnowłosą kobietą, pociągającą na swój sposób mimo surowych rysów twarzy. Być może przypomina mu Nerse Phorkaię – pomyślał trybun. Na chwilę zsunęła suknię z ramion, by pokazać centurionowi piersi. Marek, zaskoczony, roześmiał się – chyba jednak nie przypomina.

Zgodnie z obietnicą małego ulicznika, Zemarkhos wygłaszał kazanie do sporego tłumu. Mając po bokach kilku strażników z oszczepami, kapłan z Vaspurem u nogi stał za przenośną trybuną. Podkreślał tezy kazania, waląc w nią pięściami. Skaurus nie musiał słyszeć początku tyrady by wiedzieć, czego dotyczyła.

–Są pomiotem Skotosa – krzyczał Zemarkhos – usiłującym zniepawić nieskazitelną wiarę

Phosa jej nikczemną parodią, jakiej dają wyraz w swych heretyckich obrządkach. Tylko ich znisz

czenie może uchronić prawowierną doktrynę przed skazą. Tak, i zniszczenie tych bałamutnych

miłośników herezji w stolicy, których miłosierdzie dla ciał niewiernych zostanie sprawiedliwie

ukarane męką ich dusz!

Słuchacze zagrzewali go, wołając: – Śmierć heretykom! Chwała mądrości Zemarkhosa Obrońcy, potępienie grzesznym Vaspurakańczykom!

Trzepocząc karmazynowa opończą, Marek torował sobie drogę do podium Zemarkhosa. Przedstawiał sobą imponującą postać; ludzie, którzy odwracali się z pretensjami na ustach, gdy przeciskał się obok nich, dukali przeprosiny i odsuwali się, by go przepuścić. Wkrótce stanął w drugim albo trzecim rzędzie, wystarczająco blisko, by widzieć żyły pęczniejące na gardle i czole Zemarkhosa, gdy grzmiał przeciwko wybranym przez siebie ofiarom.

–Klątwa na tych, którzy wywodzą się z Vaspurakanu, korzeni wszelkiej nieczystości!
–

wrzeszczał. – Niech zanurzą się w najgłębszych ciemnościach Skotosa, gdzie zostaną pożarci

przez swego pana! Są najgorszymi z całego rodzaju ludzkiego, skowyczącymi jak dzikie psy prze

ciwko naszej prawdziwej wierze... nieczuli, hardzi, próżni i szaleni!

Marek przepchnął się do pierwszego rzędu słuchaczy. – Bzdury! – krzyknął, najgłośniej jak potrafił.

Usłyszał jak stojący przy nim krztuszą się, wstrzymując oddech. Zemarkhos otworzył właśnie usta do kolejnej klątwy. Stał przez chwilę z obwisłą szczęką i głupim wyrazem twarzy, gapiąc się niedowierzająco na trybuna; od lat nikt mu się nie przeciwstawił. Wreszcie machnął ręką na swych

strażników. – Zabić mi tego bluźnierczego idiotę. – Szczercząc zęby, ruszyli naprzód, by wykonać rozkaz.

–Tak, posyłaj swoje psy, żeby wykonały robotę za ciebie – zadrwił Rzymianin. – Jesteś zbyt

głupi, by się czegokolwiek nauczyć, czyż nie? Spójrz, co ci się przytrafiło, kiedy próbowałeś tego

ze swoim ukochanym Vaspurem. Jesteś mizernym, krwiożerczym oszustem i zasługujesz na każdą z

tych blizn, które nosisz.

Parę osób stojących w pobliżu Skaurusa odsunęło się pospiesznie od niego w obawie, że mogą zostać w jakiś sposób skażone jego świętokradztwem. Vaspur warknął. Strażnicy, już bez uśmiechu na twarzach, gniewnie ważyli w dłoniach oszczepy. Trybun wsparł dłoń na rękojeści miecza, lecz nie spuszczał oczu z Zemarkhosa. Ufny we własną moc, kapłan ponownie skinął ręką na swoich ludzi. Mruknęli niechętnie, lecz cofnęli się.

–Doskonale, szaleńcze, niech będzie tak, jak sobie życzysz; nadajesz się równie dobrze jak

każdy inny, by dowieść, że jest we mnie moc Phosa. – W oczach Zemarkhosa błyszczała trawiąca

go żądza. Gdy mierzył wzrokiem Skaurusa, jego spojrzenie przywiodło trybunowi na myśl starego

orła, gotowego spaść na ofiarę.

Nagle brwi fanatycznego kapłana zmarszczyły się, a zaskoczenie przywróciło ludzki wyraz jego twarzy. – Znam cię – zgrzytnął. – Jesteś jednym z tych barbarzyńców, którzy woleli towarzystwo Vaspurakańczyków od głoszonej przeze mnie prawdy.

Późno zaczniesz żałować, lecz wcale przez to nie mniej.

–Oczywiście, że wolałem ich towarzystwo od twojego. Są prawdziwymi ludźmi, nie poskręcanyimi, jadowitymi fanatykami, „nieczułymi, hardymi, próżnymi i szalonymi!”
– Marek z wyraźnym, obraźliwym smakiem zacytował kapłana. Tłum znowu wydał głośnie „ach”; Zemarkhos podskoczył jak użądłony.

–Prawdziwi ludzie, czy tak? – odkrzyknął. Jego dźgający palec śmignął ku Vaspurakańczy-kom, których uśmiercił. – Oto leżą, całe ich mnóstwo, oddani śmierci przez sprawiedliwy osąd Phosa.

–Gówno prawda. Każdy zły czarodziej mógłby zrobić to samo, i to nie przywdziewając na siebie płaszczyka Phosa. – Trybun drwił teraz wyraźnie. – Moc Phosa! Co za bzdura! Gdyby nie twoje wściekłe okrucieństwo, Zemarkhosie, byłbyś jakimś żartem, i to kulawym na dodatek. No dalej, pokaż wszystkim tu obecnym moc Phosa. Jeśli przechodzi przez ciebie, zabij tą mocą *mnie*.

–Nie musisz o to prosić – rzekł Zemarkhos krwiożerczym szeptem. – Dam ci to, czego chcesz. – Nie poruszył się, lecz mimo to wydawało się, że urósł za trybuną. Marek mógł niemal zobaczyć moc, którą przywoływał do siebie. Oczy kapłana wyglądały jak dwa migoczące płomienie; całe jego ciało dygotało, gdy obierał cel dla ładunku złej woli.

Ramię Zemarkhosa wystrzeliło, mierząc w trybuna. Skaurus zatoczył się pod niematerialnym

ciosem i zapragnął odeprzeć go swoim *scutum*. Uszy wypełnił mu ryk, oczy zasnuła czerń; spłynęła nań fala męki, jak gdyby do mózgu wlewano mu roztopiony ołów. Zagryzł wargi, aż poczuł smak krwi. Jak przez mgłę usłyszał gdakanie okrutnego, chełpliwego śmiechu Zemarkhosa.

Przywarł do swego miecza, choć nie wyciągnął go z pochwy. Fanatyczny zapał Zemarkhosa spotęgował siłę jego magii tak, że mogła równać się z każdą, z jaką Marek zetknął się od czasu przybycia do Videssos, lecz druidyczne zaklęcia poradziły sobie z nią. – Musisz postarać się lepiej – zawołał do Zemarkhosa i ponownie stanął wyprostowany.

Nienawiść na twarzy kapłana przerażała, zmieniając go w coś, co z trudem przypominało człowieka. Zebrał całą moc, jaką miał w sobie i uwolnił ją w pojedynczym wybuchu woli. Jednak tym razem czary ochronne galijskiej klingi były już rozbudzone i bez trudu odbiły uderzenie. Skaurus zaledwie się wzdrygnął.

Trybun rozciągnął usta w uśmiechu. – Nie sądzę, żeby Phos poświęcał ci wiele uwagi – powiedział. – Spróbuj znowu... może akurat zajęty jest czymś ważnym?

W tłumie rozległ się pomruk wywołany jego bezczelnością, lecz również niepowodzeniem Ze-markhosa. Kapłan przygotowywał kolejną klątwę, lecz Marek dostrzegł w jego oczach zaczątki wątpliwości, śmiertelnego wroga czarodziei. Trzeci atak był najslabszy; trybun odczuł go jako nieokreśloną dolegliwość, lecz nie pokazał tego po sobie.

–Oto... czy widzicie? – krzyknął do zgromadzonych wokół niego ludzi. – Ten stary sęp sieje kłamstwa za każdym razem, kiedy otworzy usta! – Nie raczył wspomnieć, że leżałbym martwy w pyle, gdyby nie niewidzialna osłona miecza.

–Zaprzedałeś duszę Skotosowi i on chroni cię swoją tarczą! – wrzasnął Zemarkhos łamiącym się głosem. Jego ostre rysy błyszcząły od potu; dyszał jak żołnierz po trwającej cały dzień bitwie.

Ten okrzyk miał oddać Skaurusa w ręce motłochu, lecz trybun był na to przygotowany. – Słuchajcie tego zdesperowanego oszusta, chwytającego się brzytwy! Czyż nie nauczasz, Zemarkhosie, że Phos ostatecznie pobije Skotosa? A może nagle stałeś się wyznawcą Równowagi, jednym z tych khatrishańskich heretyków, którzy twierdzą, że dobro wcale nie musi być silniejsze od zła?

Kiedy indziej wyraz, jaki pojawił się na twarzy kapłana, mógłby rozśmieszyć. Niezliczoną ilość razy rzucał oskarżenia o herezję, lecz nigdy nie spodziewał się, że oskarżenie takie zostanie wysunięte przeciwko niemu albo że doczeka dnia, kiedy jego pobożność będzie podawana w wątpliwość. Otworzył usta, by krzyknąć: – Zabić go! – do swych strażników, lecz z tłumu wyleciała główka kapusty i uderzyła go w skroń, rozciągając na podium. Nie wszystkim w Amorionie było w smak życie pod jego religijną tyranią.

Ale też nie wszyscy nienawidzili takiego życia; ten, który cisnął kapustą, wrzasnął i upadł na ziemię, gdy mężczyzna stojący przed nim odwrócił się gwałtownie i wbił mu nóż między żebra. Zaczął z wściekłością kopać człowieka, którego zasztyletował, a potem sam upadł, kiedy stojąca obok

kobieta rozbiła mu na głowie gliniany dzban z wodą.

–Wykopać kości Zemarkhosa! – krzyknęła. Był to okrzyk wzywający Videssańczyków do

zamieszek. Setka gardeł podjęła wezwanie. Setka innych odezwała się ze zgrozą, krzycząc: –

Błuźniercy! Kochankowie heretyków!

Zemarkhos powstał chwiejnie. Dwaj mężczyźni popędzili na niego, jeden wymachując tęgim kawałkiem drewna, drugi z gołymi rękoma. Warcząc straszliwie,

Vaspur skoczył pierwszemu z nich do gardła. Mężczyzna poderwał ramiona, by się osłonić. Vaspur rozdarł je do kości; mężczyzna upuścił maczugę i uciekł, ociekając krwią. Jeden ze strażników kapłana przeszył oszczepem drugiego, nie uzbrojonego napastnika. Mężczyzna wytrzeszczył ze zdumieniem oczy na ostrze tkwiące w jego brzuchu, zgiął się i upadł.

–Morderca! Zobaczcie mordercę! – zawołała ta sama kobieta. Jej głos, donośny i ochrypy jak ryk osła, rozbrzmiewał na całym placu. Zanim strażnik zdołał wyciągnąć oszczep, runęła nań, prowadząc za sobą innych. Strażnik upadł i nie podniósł się już. – Wykopać koś...! – Jej okrzyk urwał się nagle, gdy inny strażnik odwrócił oszczep i uderzył ją nim jak maczugą. Chwilę później wyrwana z chodnika płyta roztrzaskała mu czaszkę.

–Śmierć tym, którzy szydą z Obrońcy! – wykrzyknął jakiś młodzieniec z obłędem w oczach i okazał się na tyle głupi, by uderzyć pięścią w obleczone w żelazo żebra Marka. Trybun usłyszał trzask łamanych kłykci. Młodzieniec zaskowyczał. Trybun kopnął go w żołądek, nim chłopak zdołał wymyślić jakiś groźniejszy atak; młodzieniec złożył się jak wachlarz.

Uzbrojony, okryty zbroją i doskonale wyszkolony Skaurus zabawiał się straszliwą klingą wśród burzących się cywilów. Zataczał swoim mieczem ogromne łuki, nie tyle by uderzać, ile by zachować wokół siebie wolną przestrzeń. Widok trzech stóp ostrej jak brzytwa stali w rękach kogoś, kto wiedział, jak się nią posługiwać, zmuszał nawet najzagorzalszych fanatyków do zastanowienia. Trybun zaczął prześlizgiwać się przez tłum w stronę Gajusza Filipusa.

Największy niepokój budzili w nim strażnicy Zemarkhosa, lecz ci trzej lub cztery z nich, którzy wciąż jeszcze trzymali się na nogach, mieli pełne ręce roboty, by nie dopuścić wzburzonych ludzi do swego pana. Jego klątwy spadały teraz gradem na tłum, który tak długo go czcił. Lecz podczas cywilnych zamieszek, tak jak i w bitwie, namiętności rozpały się na tyle, by chronić przed magią. I gdy jedna i druga z upatrzonych ofiar nie padła, pewność siebie opuściła kapłana. Odwrócił się i rzucił do ucieczki, a szata trzepotała wokół jego nóg, gdy zmuszał je do kuśtykającego biegu.

W ślad za nim poleciał grad kamieni i śmieci. Kilka pocisków trafiło w cel; zatoczył się i przyklęknął. O wiele więcej trafiło w jego psa, Vaspura. Zaskowyczał i skoczył tak daleko, na ile pozwalał mu łańcuch, który wciąż trzymał Zemarkhos. Kiedy łańcuch naprężył się, pies spadł ciężko na ziemię, na wpół uduszony.

Warkot, jaki wydobył mu się z gardła sprawdził, że wszyscy, którzy znajdowali się w pobliżu,

pospiesznie się cofnęli. Najbliższym celem, na którym mógł wyładować swoją

wściekłość, był jego pan. Zemarkhos wrzasnął: – Nie! – gdy Vaspur skoczył na niego. Kły psa rozdarły mu gardło. Przez chwilę rozbrzmiewał jeszcze bardziej przenikliwy i ostrzejszy wrzask, a potem opadł do bulgoczącego charkotu i zmarł zupełnie.

Poplecznicy Zemarkhosa zakrzyknęli ze zgrozy, lecz jego przeciwnicy wzniesli grzmiące „hura”. Jego śmierć w żaden sposób nie przyczyniła się do zakończenia zamieszek. Do tego czasu każdy obecny na placu został już przynajmniej raz uderzony od tyłu i sam oddawał ciosy na oślep, nie pozwalając ucichnąć potyczkom i nieustannie wszczynając nowe. Niektórzy przemykali się wśród tłumu bardziej zdecydowanie, wypatrując starych wrogów, by odpłacić im za doznane krzywdy.

Motłoch zaczął sobie też uświadamiać, że nikt nie powstrzyma go przed ograbieniem każdego kupca, którego towary mu się spodobają. Pierwszy kupiecki stragan runął z hukiem. Przyjaciele i przeciwnicy Zemarkhosa zapomnieli o swej kłótni i rozgrabili go wspólnie.

–Phos nie zna łaski! – ryczał jakiś krępy, muskularny mężczyzna w skórzanym fartuchu

rzeźnika. Miotał się wśród tłumu, młócąc ciężkimi pięściami. Marek zastanawiał się, po czyjej jest

stronie i czy sam to wie.

Ktoś walnął trybuna maczugą. Hełm przyjął największą siłę ciosu, lecz mimo to Skaurus się zatoczył. Zakręcił się odruchowo i poczuł, że jego miecz przeszywa ciało. Napastnik jęknął, upadł i został stratowany. Trybun nawet go nie zobaczył.

Po drugiej stronie placu jakiś zawiedziony uczestnik grabieży przeklinał, ponieważ najlepsze opale sprzedawcy pierścionków zostały rozkradzione, zanim zdołał się do nich dostać. – To niesprawiedliwe! – ryczał, nie zwracając uwagi na jubilera, który leżał nieprzytomny na ziemi parę stóp od niego, z twarzą jakby przeciętą cienkim strumykiem sączącej się krwi.

–Głowa do góry – pocieszył go inny mężczyzna. – Z pewnością lepsze błyskotki są w kupieckich namiotach za miastem.

–Masz rację! – zawołał pierwszy złodziejaszek. – A większość z tych ludzi to heretycy i prawdziwi poganie, więc z pewnością można się do nich dobrać. – Wykrzykiwał przeciwko Ze-markhosowi, lecz tylko dlatego, że jego szwagier padł ofiarą kapłana. Teraz nabrał powietrza w płuca i krzyknął: – Oskubmy tych bogatych skurwysynów, którzy przyjeżdżają tu co roku właśnie po to, żeby nas oszukiwać!

Wiwaty zabrzmiały jak skowyt wilków. Wymachując pochodniami i prowizorycznym orężem, tłum runął na północ ulicami Amorionu, spragniony grabieży. Większość

domów zamknięto na głucho w obawie przed zamieszkaniami, lecz fala podniecenia wygarnęła z nich wcale niemało ludzi.

Marek przedarł się przez potok biegnących ludzi do Gajusza Filipusa. *Gladius* weterana znajdował się w jego pokrytej bliznami pięści; nogi zwisały poza strzemionami. Chwilę przed tym, gdy trybun dotarł do niego, ktoś z motłochu spróbował ukraść deresza, którego centurion prowadził na

postronku. Gardząc mieczem, centurion użył na złodzieja swej lewej stopy. Podkuta podeszwa jego *caligae* rozorała grzbiet Videssańczyka. Mężczyzna zaskowyczał jak chłostany pies; kiedy odwrócił się, by umknąć, Gajusz Filipus pomógł mu w tym celnym kopniakiem zadany szpicem buta w pośladki.

Kiedy Skaurus wskakiwał na siodło, starszy centurion spojrzał na niego z kwaśną miną. – Mogłeś trochę poczekać, nim zaczęłaś tę burdę. Wtedy może starczyłoby mi czasu na szybki numerek pod ścianą z tą kurewką, ale gdy tylko zaczęła się ta awantura uciekła, żeby buchnąć wszystko, co nie zostało przybite. To łatwiejszy sposób zarobkowania niż pieprzenie, przypuszczam.

–Poskowycz sobie. – Marek uderzył piętami konia i ruszył naprzód. Zdjął swój grzebieniasty

hełm i zwinął opończę, starając się jak najmniej przypominać człowieka, który doprowadził

Amorion do wrzenia.

Pomogło, lecz nie na tyle, na ile by chciał. – Nasienie Skotosa! – ryknął jakiś stary, łysy mężczyzna, rzucając się na niego z zagrabionym sztyletem w rękę. Lecz koń trybuna był tresowanym wojskowym wierzchowcem z imperatorskich stajni. Stał dęba i uderzył na odlew okutymi żelazem kopytami. Mężczyzna runął na ziemię, a jego nóż zakreślił łuk w powietrzu.

–Ten nieszczęsny próżniak, na którym siedzę, zabiłby się, gdyby spróbował czegoś takiego – rzekł z zawiścią Gajusz Filipus. Siwkowi jednak nic takiego nie groziło; jeden pokaz wystarczył, by motłoch trzymał się od nich z daleka. Na razie pozostawieni w spokoju, Rzymianie jechali za płynącym na północ motłochem.

–Co teraz? – zapytał starszy centurion; musiał wykrzyczeć pytanie, żeby zostać usłyszonym. – Z powrotem do Nakolei?

–Tak sądzę – odparł Marek, lecz wciąż się wahał. – Chciałbym jednak mieć jakiś dowód na to, że Zemarkhos nie żyje.

–Więc co masz zamiar zrobić, wrócić tam i odciąć mu głowę, żeby rzucić ją

Thorisinowi pod nogi, tak samo jak Avshar rzucił ci głowę Mavrikiosa? – Kiedy Skaurus nie odpowiedział od razu, Gajusz Filipus spojrział na niego ze zdumieniem. – Bogowie, ty naprawdę zastanawiasz się nad tym!

–Tak, zastanawiam się nad tym – rzekł ciężko trybun. – Po tym wszystkim niech mnie diabli wezmą, jeśli pozostawię Gavrasowi jakikolwiek pretekst, żeby mógł mnie oszukać. Muszę mieć pewność, że nie będzie mógł tego zrobić.

–Tak czy owak zrobi to, jeśli zechce. Po to właśnie jest się Imperatorem, żeby móc robić takie rzeczy. W tej zdradzie będzie szło tylko o to, żebyś nie został zabity bez celu. – Gajusz Filipus zamilkł na chwilę. – Teraz posłuchaj mnie i zobacz, czy nie rozumię jak jakiś głupi grecki sofista... wstyd, że nie ma tu Gorgidasa, żeby nagrodził mnie swoim rzeniem.

–Mów.

–Dobrze więc. Czy sądzisz, że bez Zemarkhosa to miasto długo potrafi odpierać Yezda? Co oni zrobią? Będą siedzieć z paluchami w dupach? Za cholerę. I nawet Thorisin nic na to nie poradzi, że znajdą się tutaj zamiast tego szaleńca w błękitnej szacie.

–Nie mylisz się – musiał przyznać Marek. – Jednak Gavras nie podziękuje nam za oddanie im Amorionu.

–Więc dlaczego nie dał ci armii, żeby nie wpuścić ich do miasta? Znasz odpowiedź równie dobrze jak ja. – Gajusz Filipus przeciągnął kantem dłoni po gardle. – Zrobiłeś, co ci kazał; nie może mieć pretensji o to, co zdarzy się potem.

–Oczywiście, że może; właśnie przed chwilą sam mi to wykazałeś. – Lecz Marek uświadomił sobie, że Gajusz Filipus ma rację. Zemarkhos jest martwy i bez żołnierzy trybun nie mógł pomóc Amorionowi. – No dobrze, przekonałeś mnie. Wyrwijmy stąd, póki jeszcze możemy.

–To rozumiem! – Gajusz Filipus wymusił żalostny galop ze swego wierzchowca i walnął go w kościsty bok, kiedy próbował zwolnić. – Nie, tym razem nie możesz. – Wkrótce razem z Markiem znaleźli się w pobliżu czoła tłumu. Centurion szczyrzył złośliwie zęby do spieszących wokół niego ludzi.

–Niech się cieszą swoim łupem póki mogą. Yezda spadną na nich jak muchy na gnijące mięso.

–Tak właśnie robią. – Marek zaklął z nagłym przerażeniem. – A spadną też z północy, dokładnie z kierunku, w którym chcemy się udać.

–Zaraza! Nie pomyślałem o tym. Mieliśmy szczęście, kiedy dostaliśmy się tutaj, nie

widząc niczego więcej niż parę rozproszonych band. – Gajusz Filipus potarł pokryty bliznami policzek. – A oni również będą spragnieni łupów, kiedy natkną się na nas. Źle.

–Źle. – Budynki zaczęły stawać się coraz rzadsze, w miarę jak zbliżali się do skraju miasta; jak większość miast leżących na niegdyś bezpiecznych zachodnich rubieżach Videssos, Amorion nie miał murów obronnych. Przed sobą Marek widział już namioty z wełny, lnu i jedwabiu, skupisko kupców, jedno z tych, które wyrastały jak grzyby po deszczu by zniknąć, gdy tylko *panegyris* się kończył. – Już wiem! – zawołał, bowiem widok namiotów potrącił jakąś strunę w jego pamięci. – Niech ten Tahmasp najmie szukającego zarobku strażnika. W jego karawanie jest mnóstwo dobra do złupienia, tak, lecz tylko największa banda rabusiów ośmieli się być może napaść na niego. Każdą mniejszą wyrznie do nogi.

–Rzuciłeś potrójną szóstkę! – zawołał Gajusz Filipus. – To najlepsze, co możemy zrobić! – Napiął grube mięśnie na ramionach. – To może dać nam okazję, żeby popробować jeszcze tych szakali wokół nas. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby dobrać im się do skóry. – Jak większość weteranów, nienawidził motłochu i pogardzał nim, tak za brak dyscypliny, jak i upodobanie do plądrowania.

W miasteczku namiotów panował już rozgardiasz, kiedy Rzymianie dotarli do niego. Pierwsza

fala łupieżców zjawiała się tam tuż przed nimi; biegli od jednego sprzedawcy do drugiego, grabiąc wszystko, co wpadło im w ręce. Kupujący, którzy już się tutaj znajdowali, dali się porwać gorączce plądrowania i dołączali do motłochu. Kilka ciał, w większości należących do mieszkańców miasta, leżało zakrwawionych w piachu.

Lecz nie tylko napaść motłochu siała zamieszanie. Kupcy w obłędnym pośpiechu zwijali kramy, składali namioty i ładowali wszystko na swoje konie, osły i wielbłądy. Niektórzy już niemal skończyli; musieli zacząć o bladym świcie, na długo przed tym, nim Skaurus wywołał rozruchy w Amorionie.

–Gdzie teraz przyczał się Tahmasp? – warknął Gajusz Filipus. Rzymianie liczyli, że odnajdą

go, kierując się widokiem jego największego namiotu, którego kłujący w oczy szafran jarzył się na

wet w zapadającym zmierzchu poprzedniego dnia. Lecz namiot został już zwinięty.

–Tam, w tamtą stronę, jak sądzę – rzekł Marek wskazując ręką. – Pamiętam, że namiot w

biało-niebieskie pasy znajdował się niedaleko od namiotu Tahmaspa.

Ruszyli naprzód. – Miałeś rację – potwierdził Gajusz Filipus, kiedy spostrzegł bele żółtego płótna przymocowane do końskich grzbietów. Nigdzie jednak nie było widać zwierzchnika karawany, choć kupcy, którzy z nim wędrowali, miotali się tu i tam, kończąc pakowanie.

Mimo panującego chaosu, motłoch pozostawił karawanę Tahmaspa w spokoju. Dobra czterdziestka uzbrojonych strażników, w większości dosiadających koni, otoczyła pierścieniem karawanę, by zniechęcić najbardziej ryzykanckich rabusiów.

Niektórzy wyciągnęli łuki, inni dzierżyli oszczepy albo trzymali obnażone pałasze. Mieli wygląd pstrokatej zbieraniny, jak każda tego rodzaju kompania, różniąc się tak ekwipunkiem i uzbrojeniem, jak ludzkimi typami, poczynając od jasnowłosego Halogajczyka, poprzez Videssańczyków i Maku-rańczyków, aż po spowitych w zawoje koczowników z pustyni, a nawet paru Yezda. Wszyscy oni byli pokryci bliznami, kilku nie miało palców albo ucha i prawdopodobnie cztery piąte z nich wiedziało, co to banicja, lecz wyglądali na takich, którzy potrafią walczyć.

Zjeżyli się na widok zbliżających się Rzymian. – Gdzie Tahmasp? – zakrzyknął Marek do człowieka, który wedle jego mniemania był ich dowódcą; niskiego, ciemnoskórego Videssańczyka o wąskiej twarzy i ostrych rysach, obnoszącego się ze swoim bogactwem – jego ręce lśniły od złotych pierścieni, a ramiona od masywnych bransolet. Jego pas i pochwę pokrywały drogie kamienie, a torques na szyi wzbudziłyby zazdrość Viridoviksa czy jakiegokolwiek innego galijskiego wodza. Pomijając te błahostki, wyglądał na szybkiego i niebezpiecznego. – Jest, psiakrew, zajęty – warknął. – Co wam do tego? Gajusz Filipus odezwał się piskliwym falsetem: – Och, jaki niedobry człowiek! Zrobił mi dziecko i mój tatuś goni za nim z toporem! – Dowódcy straży opadła szczeka; paru jego ludzi zgięło się, wybuchając śmiechem. Już normalnym głosem, centurion zgrzytnął: – Kim jesteś, gnoju, żeby nie dopuszczać ludzi do niego?

Mężczyzna spurpurowiał. Marek rzekł pospiesznie: – Powiedział, żebyśmy zgłosili się do niego, gdybyśmy szukali miejsca w twoim oddziale. Więc jesteście.

To sprawiło, że wyjadacze Tahmaspa spojrzeli na nich pod innym kątem. Nagle na twarzy małego, strojnego dowódcy oddziału pojawiło się rzeczowe zainteresowanie. Jego strzelające, czarne oczy zbadały pomarszczoną bliznę na prawym przedramieniu trybuna i pozbawioną rękawów kolczugę. – Śmieszny ekwipunek – mruknął. Przebiegł po Gajuszu Filipusie twardym spojrzeniem.

–Cóż, być może – powiedział. Zawołał do Halogajczyka: – Pędź, Njal, sprowadź szefa.

–Co to znowu za idiotyzm? – zahuczał Tahmasp, gdy pojawił się, biegnąc ciężko. Spojrzał z

wściekłością na dowódcę straży. – Niech to lepiej będzie coś ważnego, Kamytzes. Te cymbały,

których mamy w karawanie, nie wiedzą nawet, jak włożyć kutasa tam gdzie trzeba, nie mówiąc

już... – Przerwał nagle, rozpoznając Rzymian. – Ha! Załatwiliście swoją ważną „sprawę”, co?

Gdzieś za Markiem jakiś złodziejaszek zawył, gdy kupiec zatrzasnął mu wieko skrzyni na rękę.

–Można tak powiedzieć – odparł trybun.

Oczy Tahmaspa błysnęły, lecz tylko wzruszył potężnymi ramionami. – Im mniej pytań zadam,

tym mniej kłamstw usłyszę w odpowiedzi. Więc wy dwaj chcecie dołączyć do mnie, co? – Kiedy Rzymianie skinęli potwierdzająco głowami, ciągnął dalej: – Zajmowaliście się już wojaczką... nie, nie opowiadajcie mi o tym; wołę nie wiedzieć. To ułatwia życie. Warunki znacie. O płacy i całej reszcie mówiłem wam już. Za pierwszą kradzież dajemy wycisk; za drugą kolejny, mocniejszy, i zostajecie wykopani goli jak niemowlęta. Spróbujecie uciec od nas, a zabijemy was, jeśli zdołamy. Nie lubimy podstawianych przez bandytów szpiegów.

–Całkiem słusznie – rzekł Marek. Gajusz Filipus powtórzył to za nim.

–Dobrze. – Krzaczaste brwi zwierzchnika karawany opadły, gdy je zmarszczył. – Zapomniałem zapytać, jak mam was nazywać?

Podali mu swoje imiona. – Nigdy takich nie słyszałem – rzekł Tahmasp. – No, ale to nie ma znaczenia. Ty, Markhos, od teraz jesteś w oddziale Kamytzesza. Kiedy jesteśmy w drodze, jest to prawe skrzydło straży. A ty, Ghejush -jego makurański akcent sprawił, że imię weterana zabrzmiało jak chrząknięcie – ty będziesz u Muzaffara na lewej flance zwiadu. – Wskazał na swego rodaka, wysokiego, szczupłego mężczyznę o czarnych jak sadza, siwiejących na skroniach włosach i arystokratycznych rysach, zeszpeconych złamanym nosem.

Tahmasp zobaczył, że Rzymianie spojrzeli po sobie. Roześmiał się tak, że jego wielki brzuch zaczął się trząść – nie tyle jak galareta, jak brzuch Balsamona, ile jak skaczący w górę i w dół głaz.

–Nie znam was, bękarty – stwierdził. – Myślicie, że pozwolę wam zostać razem, żebyście

sobie, być może, knuli diabli wiedzą co? Za nic, do cholery.

Może i nie był Videssańczykiem – pomyślał Marek – lecz jego umysł pracował tak samo. Nic na to nie można było poradzić; podejmowane przez Tahmaspa środki ostrożności sprawiały, że wci-

aż jeszcze żył.

–Skąd to całe zamieszanie? – zapytał zwierzchnika karawany Gajusz Filipus. – Zdaje się, że zamierzaliście wyruszyć, nim jeszcze zaczęły się zamieszki, a większość tu obecnych razem z wami. – Jak gdyby dla podkreślenia jego słów, kolejna karawana oderwała się od skupiska; kupcy smagali zwierzęta, żeby przynaglić je do biegu. Razy spadały też na rabusiów, którzy odskakiwali z przekleństwami i wyciem.

–Musiałbym mieć głowę wetkniętą w zadek, żeby zostać. Jakiś jeździec przyjechał tego ranka z wieściami o straszliwie wielkiej armii, zmierzającej na wschód w naszą stronę wzdłuż biegu lthom. To dla mnie oznacza Yezda i nie jestem takim durniem, by dalej tu siedzieć i czekać na nich.

–Wywołałeś wilka z lasu – rzekł Skaurus do Gajusza Filipusa. Zbliżające się wojska muszą być wojskami koczowników, uznał trybun. Thorisin ledwie zaczynał mobilizację, kiedy Marek został wydalony z miasta; wątpił, by imperialne wojska zdołały dotrzeć nawet do Garsavry.

–Wystarczy tej paplaniny – oświadczył Tahmasp. – Musimy wyruszyć stąd szybko, a głupie gadanie nam w tym nie pomoże. Część z tych durni, która jest ze mną, wałęsałaby się tutaj, żeby sprzedać jakiemuś Yezda miecz, którym w następnej chwili ściąłby im łeb. Kamytzes, Muzaffar, ci dwaj to teraz wasz problem. Gdyby sprawiali kłopoty, skręćcie im kark; dawaliśmy sobie radę bez nich przedtem i założę się, że udałoby nam się to znowu. – Odwrócił się i oddalił ciężkim truchtem, krzyżąc: – Czy ten cholerny namiot nie jest jeszcze złożony? Zwijać go, wy głupie pedały!

Kamytzes przywołał Marka szorstkim gestem. Muzaffar uśmiechnął się do Gajusza Filipusa; jego zęby łysnęły białą w śniadej twarzy. Kiedy się odezwał, jego głos zabrzmiał miękko i melodyjnie: – Powiedz mi, jak zwiesz tego swojego rumaka?

–Chodzi ci o tę zataczającą się ruinę? Najgorzej jak potrafię wymyślić.

–Widzę, że mam do czynienia z człowiekiem, któremu nie brakuje umiejętności trafnego osądu. To raczej nic złego. – Skinieniem ręki przywołał weterana do siebie. – Jeśli jesteś jednym z nas, to stoisz zwrócony w złą stronę.

Karawana Tahmaspa wyruszyła w drogę w niecałą godzinę po tym, jak Rzymianie wstąpili do niego na służbę. Czterdziestu strażników wydawało się wcale imponującą siłą, kiedy karawana stała zebrana razem, lecz nawet uzupełnieni przez kupców,

koniuchów i służących, okazali się żałośnie nieliczni, gdy już rozciągnęła się na szlaku. Podzielony na trzyosobowe grupy, oddział Kamytzesa patrolował swoją stronę długiego szeregu fur, wozów i zwierząt jucznych, podczas gdy ludzie Muzaffara pilnowali drugiej.

Marek wypatrywał Gajusza Filipusa, lecz nie zdołał go dostrzec.

To, co mogło skończyć się źle, wydarzyło się tuż za Amorionem, kiedy jeszcze motłoch roił się

tak gęsto, jak pchły na psie. Spora grupka złodziejasków zaatakowała Skaurusa i jego towarzyszy z grupy, do której został przydzielony, Njala Halogajczyka i chudego, wysuszonego przez słońce koczownika z pustyni, nie znającego ani słowa po videssańsku. Trybun słyszał, że wołają nań Wa-thią.

Część rabusiów starała się przyciągnąć uwagę strażników, podczas gdy reszta rzuciła się na idące za nimi osły. W zetknięciu z takimi samymi jak oni, ten prosty plan powiódłby się. Lecz Njal, władający swym toporem z precyzją chirurga, odciął jednemu z napastników ucho, zmuszając wrzeszczącego i tryskającego krwią rabusia do sromotnej ucieczki. Marek zabił drugiego, nim mężczyzna zdołał doskoczyć do konia i podciąć mu pęciny. Wathią odwrócił się w siodle i zastrzelił jednego z mężczyzn, którzy minęli ich, biegnąc do osłów. Rabusie zrezygnowali i uciekli, podczas gdy trzej zawodowcy wyszczerzyli do siebie zęby z zadowoleniem.

Njal i Wathią mogli jako tako porozumieć się ze sobą w łamanym makurańskim. Poprzez Halo-gajczyka trybun dowiedział się, że Wathią poparł niewłaściwego księcia podczas plemiennej wojny i musiał uciekać. Sam Njal został wygnany, ponieważ był zbyt biedny, by zapłacić okup za człowieka, którego zabił. Skaurus oświadczył, że jest wędrownym najemnikiem, któremu ostatnio nie sprzyjało szczęście; dwaj jego towarzysze przyjęli tę historię bez słowa komentarza. Nie miał pojęcia, czy mu uwierzyli.

Rzymianin uznał to za rzecz zupełnie naturalną, kiedy Tahmasp poprowadził swoich podopiecznych na zachód; mając za sobą zbliżające się z przeciwnej strony nieprzyjacielskie wojsko, czyniłby to samo, żeby zyskać miejsce potrzebne na manewry.

Obóz rozbili nad Ithom. W obliczu nadciągających letnich upałów poziom rzeki obniżył się, lecz woda płynęła w niej przez okrągły rok. Na spieczonym słońcem centralnym płaskowyżu fakt ten czynił ją cenniejszą niż rubiny.

Członkowie każdej grupy dzielili ze sobą wspólny namiot; w tej sytuacji Marek zrezygnował z myśli o ułożeniu z Gajuszem Filipusem jakichkolwiek, dotyczących tylko ich, planów. Mimo to – stwierdził w duchu – łacina, za pomocą której mogli się

porozumiewać, wystarczy, by uchronić ich rozmowy przed wścibskimi uszami. Lecz kiedy wyszedł, aby odszukać centuriona przy ogniskach, gdzie przygotowywano posiłek, odkrył, że grupę jego towarzysza wyznaczono do pełnienia pierwszej nocnej warty. Zaś jego, Wathiq'a i Njala Kamyetzes skierował do pełnienia środkowej. Z tego, czego zdążył dowiedzieć się o metodach Tahmaspa, wyciągnął wniosek, że raczej nie był to przypadek.

Jednak musiał przyznać, że zwalisty zwierzchnik karawany najmował najlepszych ludzi. Jego kucharz w jakiś sposób zdołał upitrasić smakowity gulasz z podróznego wikt składającego się z wędzonego mięsa, niełuskanego zboża, grochu i cebuli. Sam jego zapach był bardziej esencjonalny niż rzadka, nędzna papka, jaką podawali dozorczy więzienni Thorisina Gavrasa.

Trybun usadowił się przy ognisku, by ze smakiem zjeść gulasz, lecz nim zdołał unieść łyżkę do ust, jeden ze strażników potknął się o niego. Miska Marka wyleciała w powietrze. Strażnik, Vides-sańczyk, szerszy w barach niż większość mieszkańców Imperium, wyróżniał się dyndającym w lewym uchu na piracką modłę złotym, kolistym kolczykiem. – Przepraszam – powiedział, lecz jego szyderczy uśmiech dawał wyraźnie do zrozumienia, że wcale nie jest mu przykro.

–Ty niezdarny... – zaczął Marek, lecz potem zauważył, że reszta strażników spogląda na niego wyczekująco, i zrozumiał. Każdy nowy rekrut może spodziewać się znęcania, nim weterani zaakceptują go. Mężczyzna, który go zaczepił, majaczył nad nim groźnie, zaciskając w oczekiwaniu bochny pięści. Nie wstając, trybun uderzył stopą w kostkę Videssańczyka, ścinając go z nóg. Mężczyzna upadł z rykiem wściekłości; Skaurus skoczył na niego.

–Bez noży! – krzyknął Kamyetzes. – Jeśli któryś wyciągnie nóż, będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobi!

Walczący toczyli się po ziemi, okładając się nawzajem pięściami. Videssańczyk chciał uderzyć kolanem w pachwinę Marka. W ostatniej chwili Skaurus zdołał przekręcić się tak, by przyjąć uderzenie na biodro. Chwycił przeciwnika za brodę i pociągnął, orząc jego twarzą po ziemi. Kiedy Videssańczyk spróbował zastosować wobec niego ten sam chwyt, ręka ześlizgnęła się po nagim podbródku trybuna.

–Ha! – zawołał ktoś. – Jednak golenie ma swoje zalety! Rzymianin zobaczył wszystkie

gwiazdy, kiedy strażnik

grzmotnął go pięścią w nos. Krew popłynęła mu po twarzy; powietrze łapał ustami. Zaczął walić pięścią w brzuch Videssańczyka. Mężczyzna był tak silnie umięśniony, że przypominało to uderzanie w kloc drewna, lecz jeden z ciosów trybuna trafił w

owo czule miejsce nad splotem słonecznym. Strażnik zgiął się w pół i walka wywietrzała mu z głowy, gdy usiłował złapać oddech.

Marek powstał, ostrożnie macając się po nosie. Kość nie przemieszczała się, stwierdził z ulgą, lecz nos zaczął już puchnąć. Jego własny głos zabrzmiał mu dziwnie w uszach, gdy zapytał Kamyt-zesa: – Zdałem, czy też będą jeszcze inne egzaminy?

–Dla ciebie wystarczy – odparł mały kapitan. Skinął głową na przeciwnika trybuna, który wreszcie zaczął w miarę normalnie oddychać. – Byzos to nie piórko.

–Aż nadto prawda – przytaknął Skaurus, ponownie badając nos. Pomógł Byzosowi wstać i wcale nie zrobiło mu się przykro, kiedy zobaczył, że zdarł Videssańczykowi spory kawałek skóry z policzka. Lecz strażnik przyjął jego rękę, kiedy mu ją podał. Walka była uczciwa i nie wydawała się brutalniejszym rytuałem wprowadzania niż piętnowanie, po którym uznawano, że rekrut na trwałe wszedł do rzymskiego legionu.

–Płacić, szefie – rzekł jeden ze strażników. Kamytzes, z kwaśną miną, ściągnął jeden z pierścieni i podał mu go.

Marek zmarszczył brwi; nie podobało mu się, że jego nowemu dowódcy żal złota, które stracił dlatego, że trybun okazał się lepszy od swego przeciwnika. – Jeśli chcesz odzyskać, coś stracił – postaw na mojego przyjaciela Gajusza, kiedy przyjdzie jego kolej po zakończeniu warty.

–Postawić na tę jego siwą głowę? – wytrzeszczył oczy Kamytzes. – Przecież to starzec.

–Nie pozwól, by usłyszał, że tak mówisz – ostrzegł go trybun. – Wiesz co? Postaw, tak jak ci mówiłem. Jeśli przegrasz, zapłacę za ciebie, a tutaj masz świadków, którzy potwierdzą, że tak powiedziałem.

–Ładny z ciebie wariat, ale ciesz się, że wzięłeś to na siebie. Nigdy nie odrzucaj darowanych pieniędzy ani darowanej kobiety, tak zawsze powtarzał mi mój ojciec, a pieniądze nigdy nie zarażą cię tryprem.

Kiedy drużyna Marka wyruszyła na wyznaczone im miejsce warty, Njal powiedział: – Lepiej, żebyś był bogatszy niż na to wyglądasz, cudzoziemcze. Jeśli chodzi o hazard, ten Kamytzes mógłby się niemal równać z Namdalajczykami. – Powiedział coś do Wathiq'a, który skinął żywo głową i zrobił ręką gest naśladujący rzucanie kości.

–Jestem zupełnie pewny swego – rzekł Marek i miał nadzieję, że powiedział to szczerze.

Warta minęła równie spokojnie; ciszę przerywało tylko brzęczenie owadów i chichoczące głosy

Ileków. Videssańskie konstelacje, wciąż obce dla trybuna po niemal czterech latach pobytu w Imperium, przesuwały się wolno po nieboskłonie Zabijając czas leniwą rozmową z Njałem trybun dowiedział się, że widoczne na niebie gwiazdy układają się dla Halogajczyków w zupełnie inne konstelacje niż te, jakie rozpoznają w nich Videssańczycy. Wathią zaś, jak się okazało, widział w gwiazdozbiorach coś jeszcze innego.

Minął niezmiernie długi czas, jak się wydawało, nim przybyła obsada ostatniej warty, by ich zmienić. Potrząsnęli głowami, kiedy Skaurus zapytał się, czy wiedzą, jak poradził sobie Gajusz Fili-pus. – Poszliśmy spać zaraz jak rozbiliśmy namiot – odparł w imieniu wszystkich jeden z nich. – Trzeba też czegoś więcej, niż jakiejś tam burdy, żeby nas zbudzić. Nie cierpię tej cholernej, ostatniej nocnej warty.

Jako że Marek sam ziewał, trudno mu było spierać się z tym. Powróciwszy do obozu stwierdził, że z ognisk pozostały kupki żarzących się węgli; nawet plotkarze i amatorzy ostatniego kubka wina, pitego długo w noc, dawno już położyli się spać. – Dowiesz się rano – pocieszył Skaurusa Njał, gdy wślizgiwali się pod zwijane posłania. Trybun zapadł w sen w połowie mruknięcia, które miało służyć za odpowiedź.

Tahmasp oznajmił nadejście świtu nie sygnałem granym na trąbkach, lecz, na modłę koczowników, dudnieniem bębna, którego rezonujące, przenikające do kości uderzenia wyrzucały ludzi z posłań jak trzęsienie ziemi. Przecierając załzawione oczy, Marek spryskał wodą twarz i sięgnął po omacku po tunikę. Wciąż jeszcze oddychał ustami; spuchnięty nos zrobił się dwa razy większy niż

normalnie.

Po parnej duchocie namiotu, zapach skwierczących na ogniu placków z pszennej mąki wydawał się podwójnie nęcący. Marek, za pomocą sztyletu, ukradł jeden placek z blachy, a potem podrzucał go, aż ostygł na tyle, że mógł go chwycić, nie narażając się na poparzenie. Pożarł go, nie zwracając uwagi na przekleństwa kucharza. Smakował wyśmienicie.

Odwrócił się gwałtownie, gdy ktoś trącił go w żebra. Obok stał Kamytzes z miną lisa, który właśnie wymiótł do cna kurnik. Dowódca oddziału podał mu parę sztuk srebra.

–Wygrałem o wiele więcej – powiedział – lecz to masz w zamian za radę, jakiej mi udzieliłeś.

–Dzięki – Marek schował monety. Rozejrzał się, szukając wzrokiem Gajusza Filipusa, lecz druga połowa oddziału strażników pod dowództwem Muzaffara

kwaterowała po przeciwnej stronie obozu. Odwróciwszy się ponownie do Kamytzesa, zapytał: – Jak to załatwił?

–Wybrali na niego wielkiego, ciężkiego awanturnika, same mięśnie i ani krzty rozumu,. Z tego, jak zadzierał nosa, ślepy idiota wiedziałby, co zamierza. Twój przyjaciel nie zdążył jeszcze usiąść do kolacji. Udawał, że nie zauważa, co się dzieje, dopóki ten wielki dureń niemal na niego nie wlaź. Wówczas odwrócił się na pięcie, rąbnął drania tak, że tamten stracił przytomność, zaciągnął do latryny i spuścił go do niej nogami naprzód; nie chciał go utopić. Po tym wszystkim poszedł po swój gulasz i zjadł go.

Skaurus skinął głową; potyczka nosiła piętno skuteczności starszego centuriona. – Czy coś powiedział? – zapytał Kamytzesa.

–Właśnie do tego dochodziłem. – W buńczucznych oczach oficera zamigotało rozbawienie. – Po paru kęsach uniósł wzrok i powiedział, nie kierując tego do nikogo w szczególności: – Jeśli coś takiego zdarzy się znowu, mogę się zirytować.

–Całkiem do niego podobne. Sądzę, że nie musi się przejmować.

–Też tak myślę. – Zwędziwszy placek w taki sam sposób, jak uczynił to Marek, Kamytzes popędził, by pomóc Tahmaspowi przygotować karawanę do drogi.

Znaleźli się na szlaku półtorej godziny po wschodzie słońca – nie dorównywało to obowiązującym w legionie normom, lecz jak na wynajętą zgraję awanturników – pomyślał trybun – było to całkiem niezłe tempo. Tahmasp jeździł tam i z powrotem wzdłuż linii kupców, którzy podróżowali wraz z jego karawaną, i nie przebierając w wyzwiskach naglił ich do pośpiechu. – Myślisz, że kim jesteś, eunuchem w lektyce? – ryknął na jednego, który w jego mniemaniu poruszał się zbyt wolno. – Dalej się tak wlecz, a kurewsko dobrze obejdziemy się bez ciebie. Zobaczymy jak popędzisz, kiedy Yezda dobiorą ci się do dupy! – Kupiec przyspieszył; zwierzchnik karawany nie dysponował skuteczniejszą groźbą, niż obietnica pozostawienia go za sobą.

Tak jak poprzedniego dnia, karawana zmierzała na zachód. Marek machnął na Tahmaspa, kiedy

tamten mijał go podczas kolejnego z nie kończących się objazdów kontrolnych. – O co chodzi? – zapytał jowialnie zwierzchnik karawany. – Kamytzes mówi, że wywalczyłeś sobie pozycję – dodał chichocząc – choć nie zaskarbisz sobie względów, powiększając swój nos do takich rozmiarów, jak mój.

–Jako że nie urodziłem się z takim nosem, niezmiernie ucieszę się, kiedy już taki nie będzie – odciął się trybun. Zadowolony, że zastał Tahmaspa w dobrym humorze, zapytał, kiedy karawana skręci na północ ku portom Imperium na wybrzeżu Morza Videssańskiego.

Tahmasp pokręcił palcem w ucho, żeby upewnić się, czy dobrze usłyszał. Potem odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem, aż łzy pociekły mu po spalonych słońcem policzkach. – Na północ? Czy ktoś kiedykolwiek powiedział słowo o północy? Ty biedny, głupi, smętny synu kurwy, to Mashiz jest miejscem, do którego zmierzam, nie twoje oszczone porty. Mashiz! – Niemal zadławił się chichotem. – Mam nadzieję, że ta wycieczka sprawi ci przyjemność.

lita LU LLI!



VIII

Poddaj się! – wrzasnął Lankinos Skylitzes do yezdańskiego oficera stojącego na murze z lepionych z mułu i suszonych w słońcu cegieł.

Yezda wsparł ręce na biodrach i roześmiał się. – Chciałbym zobaczyć, jak mnie do tego zmusisz – powiedział. Splunął na Videssańczyka, który tłumaczył dla Arigha.

–Och, będziecie słuchać tej plugawej świni? – oburzył się Viridoviks. Potrząsnął pięścią w stronę Yezda. – Tylko tu zejź, a zobaczysz, czy się nie poddasz, ty nikczemny włóczykiju!

–Zmuś mnie – powtórzył oficer, wciąż się śmiejąc. Skinął ręką na stojącą przy nim drużynę łuczników. Napięli swoje podwójnie gięte łuki, przyciągając ciężki do uszu. Słońce zaśniło na żelaznych grotach strzał; Gorgidasowi wydawało się, że każda z nich wycelowana jest prosto w niego. Yezda rzekł: – Pertraktacje skończone. Cofnijcie się albo zacznę do was strzelać. Walczcie lub nie, jak sobie chcecie.

By podkreślić realność groźby, jeden z koczowników posłał strzałę, która wbiła się w ziemię parę stóp przed kucem Arigha. Arshaum siedział nieporuszony, ze wzrokiem wbitym w Yezda, jak gdyby wyzywając ich do tego, by zaczęli strzelać. Po całej minucie skinął na swoją grupę i z całym rozmysłem odwrócił się tak, by pokazać miejskiemu garnizonowi swoje plecy. On i jego towarzysze nie spiesząc się odjechali.

W chwili, kiedy opuścili cień murów, powalający upał lata władającego nadrzeczną równiną uderzył! w nich ponownie z całą mocą. Viridoviks, by chronić swoją jasną cerę przed słońcem, nosił okropnie brzydki, słomiany kapelusz, lecz mimo to skórę miał zaczerwienioną i całą w łuszczących się pęcherzach. Pot, który spływał mu po twarzy, piekł jak ocet. Noszenie zbroi stawało się męką, jakiej żadne kąpiele, bez względu na to jak długie i częste, nie potrafiły uczynić lżejszą. Arigh monotonicznie przeklinał cichym głosem, dopóki nie znaleźli się w sporej odległości od miasta, nie chcąc swym gniewem sprawiać satysfakcji yezdańskiemu oficerowi. Ustawione w szyku szeregi jego armii, chorągwie powiewające leniwie w parnym powietrzu, wszystko to prezentowało się wspaniale. Lecz bez machin oblężniczych, których nie mieli, szturmowanie chronionego murami miasta z gotowymi na wszystko obrońcami pociągnęłoby za sobą więcej ofiar niż mogli sobie pozwolić.

–Oby duchy wiatru wywiały duszę tego psa tak daleko, by nigdy nie odnalazła drogi na miej-

sce spoczynku i nie mogła ponownie się narodzić – wybuchnął w końcu Arigh, uderzając pięścią w udo w pełnym zawodu gniewie. – Nie potrafię wyrazić, jak drażni mnie, że nie zobaczę go, jak topi się we własnej krwi za swoje zuchwalstwo, za rzucanie mi wyzwania ze swoją marną setką czy dwiema żołnierzami.

–Kłopot w tym, że wie, jak sprawy się mają – rzekł Pikridios Goudeles. – Nie mamy drabin, żeby wdrzeć się na mury tej żalosnej, przerośniętej wioski, bez względu na to, czy nazywa się...

–Erekh – wtrącił Skylitzes.

–Nazwa o stosownym brzmieniu dla przyprawiającego o mdłości miasteczka. W każdym razie nie mamy drabin i nawet nie możemy ich zrobić, ponieważ jedynymi drzewami rosnącymi w tej spieczonej na kość krainie są palmy daktylowe, których drewno nie nadaje się do niczego. Nie wspominając już o fakcie, że jeśli przystąpimy do oblężenia jakiegoś miasta, zamiast nieustannie posuwać się naprzód, wszystkim okolicznym garnizonom Yezda odpadnie konieczność ochrony własnych placówek i będą mogły wspólnie na nas uderzyć.

–Jesteś już generałem? – warknął Arigh, lecz nie potrafił podważyć logiki urzędnika. – Przyjdzie nam za to zapłacić – dodał posępnie. Kiedy zbliżył się do oczekujących w szyku żołnierzy, machnął ręką na południowy zachód i krzyknął:

–W drogę!

Wydał rozkaz najpierw w mowie Arshaumów, dla własnych ludzi, potem po videssańsku, tak by

Narbas Kios mógł przetłumaczyć go na vaspurakański dla Erzerumczyków. W szeregach górali nastąpiło poruszenie; tylko głuchy mógłby nie dosłyszeć ich oburzonych pomruków. Niektórzy Erzerumczycy wcale nie mruzczyli. Część kontyngentu z Mzeh wykrzykiwała swoją wściekłość na wodza Arshaumów i tych swoich dowódców, których zadowalało pozostanie z koczownikami. Jeden z ich oficerów zbliżył się do Arigha. Z rumieńcem wściekłości na smagłokórej twarzy ryknął coś do Arshauma we własnym, dziwnym języku, a potem zapanował nad sobą na tyle, by przypomnieć sobie vaspurakański. Akcent miał okropny; Narbas Kios zmarszczył brwi, starając się upewnić, czy dobrze zrozumiał. W końcu powiedział: – Nazywa cię człowiekiem małego ducha. – Sądząc po wściekle wykrzywionej twarzy Mzesi, Gorgidas dałby sobie uciąć rękę, że Narbas złagodził w tłumaczeniu jego wypowiedź. Kios ciągnął dalej:

–Mówi, że przybył tu walczyć, a ty uciekasz. Przybył po łupy, a zdobył garść świecidełek z brązu, do których nie przyznałby się jego kowale. Mówi, że został oszukany i że wraca do domu.

–Czekaj – rzekł Arigh za pośrednictwem videssańskiego tłumacza. Powtórzył argumenty Goudelesa niemal dosłownie i dodał: – Wciąż nie jesteśmy pokonani, a Mashiz wciąż leży przed nami. To przez cały czas był nasz cel; zostańcie i pomóżcie nam go zdobyć.

Mzesi zmarszczył brwi w wyrazie skupienia. Gorgidas pomyślał, że rozważy to, co powiedział Arigh, lecz wówczas mężczyzna puścił głośno wiatry. Jego twarz wypogodziła się.

–Być może ta odpowiedź nie jest szczytem krasomówstwa, lecz jej znaczenia nie da się z niczym pomylić – zauważył Goudeles z opanowaniem dyplomaty.

Uśmiechając się tryumfalnie, oficer pokłusował z powrotem do swoich stronników i wygłosił do nich kilkuminutową orację. Poparli go krzykiem, wymachując lancami i mieczami. Uprzęże koni i kolczugi wojowników zadzwoniły, kiedy oderwali się od swych rodaków i ruszyli w drogę wiodącą do swej górskiej siedziby. Kilku pojedynczych jeźdźców opuściło szeregi tej reszty wojowników z Mzeh, która jeszcze pozostała przy Arighu, i dołączyło do nich.

Arigh odzyskał swoje zrównoważenie, kiedy zaczęli maleć na tle nieba. – Zastanawiam się, kim będą następni, którzy zrezygnują – powiedział. Już dobrze ponad jedna trzecia Erzerumczyków zrezygnowała z kampanii i zawróciła.

Viridoviks z posępną miną wypuścił powoli powietrze przez wąsy. – A wszystko zaczęło się tak ładnie – powiedział. Rozciągnąwszy się w wachlarz po przekroczeniu Tubtub Arshaumi spadli na trzy lub cztery miasteczka, nim zaskoczeni obrońcy uświadomili sobie, że wśród Stu Miast pojawił się wróg. Nic łatwiejszego bowiem, jak przejechać przez otwarte wrota; oporu prawie nie napotykali i, wbrew narzekaniom Mzesi, ruszali dalej na koniach obładowanych lupami.

Lecz wkrótce przestało to być łatwe. Nie tylko że miasta zastawali z bramami zaryglowanymi w obawie przed atakiem; Yezda rozpoczęli wojnę podjazdową, w której nie ustępowali Arshaumom. Tu dwóch zwiadowców wpadło w zasadzkę, tam z kolei furazer. Yezda również tracili ludzi, to prawda, lecz mieli do dyspozycji mieszkańców całego kraju, by uzupełnić straty. Arigh nie miał czym uzupełniać.

Wydał rozkazy dobošowi *naccary*; bęben zahuczał, przekazując rozkazy całej armii. Ustawiła się w marszowym szyku; jego trzon stanowiła długa kolumna złożona z pozostałej jeszcze przy Ari-ghu ciężkozbrojnej erzerumskiej kawalerii, oskrzydlanej i osłanianej przez Arshaumów.

Gorgidas jechał z Rakio w pobliżu czoła erzerumskiej kolumny. Większość z Dozgonnej Wspólnoty pospieszyła z powrotem do kraju Yrmido; Khilleu niechętnie zrezygnował z kampanii, lecz nie ośmielił się pozostawić swego kraju bez ochrony, gdy nieżyczliwi sąsiedzi zaczęli wracać do siebie. Sporo sierot i nieco par, głównie starszych mężczyzn, pozostała przy Arighu.

Lekarz schlebiał sobie, że Rakio pozostał z armią przez wzgląd na niego. Z pewnością Yrmido nie cieszył się z samej podróży. – Jaki dziwny kraj ten jest –

powiedział. Wskazał ręką. – Czym jest ten mały pagórek, znad płaskiej równiny wznoszący się? Kilka takich widziałem już tutaj.

Gorgidas spojrział tam, gdzie wskazywał. Rzeczywiście, niewielkie z tego było wzgórze, być może nawet nie tak wysokie jak mury otaczające Videssos, lecz na absolutnie płaskiej nadrzecznej równinie rzucało się w oczy jak góra, wyrastając z płaskości tak raptownie, iż przyszło mu do głowy, że nie mogła stworzyć tego natura.

Nie mając pojęcia, skąd mogło się to wziąć, ujął tabliczkę i rylec, nim wykrzyknął pytanie,

kierując je do każdego, kto mógł je usłyszeć. W pobliżu jechał Skylitzes, zajęty rozmową z Vakh-tangiem z Gunib. Videssańczyk uniósł głowę. – To nagrobek martwego miasta – powiedział do Greka. – Widziałeś, jak budują tutaj z cegieł z suszonego błota i mułu. Muszą z tego budować; tylko to znajduje się w tym kraju. Żadnych wartych wzmianki kamieni, Phos świadkiem. Materiał jest więc lichej, a ludzie przykładają się do roboty nie bardziej niż do czegokolwiek innego. Kiedy jakiś dom albo zajazd zawali się, odbudowują go na gruzowisku. Wystarczy, żeby stało się tak parę razy, i już masz swój wzgórek. Powinno być to jasne dla każdego, jak sędzę.

Gorgidas skrzywił się pod wpływem protekcyjnego tonu oficera. Skylitzes poczęstował go jednym ze swych rzadkich, krótkich wybuchów śmiechu. – Teraz widzisz, jak to jest, kiedy się słucha wykładu, zamiast go dawać – powiedział. Gorgidas szybko schował tabliczkę, czując jak płoną mu uszy.

Rakio nie zauważył zmieszania swego kochanka; dalej narzekał na krajobraz. – Jak trędowaty wygląda. Te części, które pod uprawą są, dość żyzne wydają się, lecz tyle tam skrawków pustyni, brzydkich i bezużytecznych jednocześnie.

Usłyszawszy go, Skylitzes powiedział: -Powstały niedawno; wiń za nie Yezda. Doprowadzili do ich powstania przez...

–Zniszczenie miejscowych systemów nawadniających – przerwał mu Gorgidas. Nie miał zamiaru pozwolić, by jego miłość własna doznała uszczerbku dwa razy z rzędu. – Bez Tubtub i Tib cały ten kraj byłby pustynią. Kwitnie jedynie tam, gdzie docierają ich wody. Lecz Yezda to koczownicy – co ich obchodzi uprawy? Ich stada wyżywiają się cierniami i ostami, a jeśli wypędzą stąd głodem miejscowych rolników, tym lepiej dla nich.

–Powiedziałbym dokładnie to samo – rzekł Skylitzes, dodając: – Tylko zrobiłbym to dwa raz krócej.

–O czym rozprawiacie? – zapytał Vakhtang w mowie równin. Kiedy Skylitzes przetłumaczył, Erzerumczyk poradził Gorgidasowi: – Nie zwracaj na niego uwagi. Nie znam go długo, lecz widzę, że kąsa każde słowo, nim wypuści je z ust.

–Wolę to, niż potok bzdur, którym tryska Goudeles – powiedział oficer, nie przepuszczając okazji, by poużywać sobie na człowieku, który w Videssos był jego politycznym przeciwnikiem.

Jednak Vakhtang czuł słabość do bardziej kwiecistego sposobu wysławiania się biurokraty. – Niedostatek słów może zatrzeć znaczenie równie skutecznie, jak ich nadmiar.

Roztrząsali to wciąż na nowo przez resztę tego dnia, który spędzili jadąc to przez pola uprawne, to znów przez pustynię. Temat sprzyjał interesującej debacie; obie strony miały swoje racje, lecz przedmiot sporu nie był na tyle istotny, by ktokolwiek traktował go naprawdę poważnie.

Otoczony pustymi polami, Gorgidas zapomniał, że jest na wojnie. Jednak Rakio spojrział tylko raz i już wiedział, co ta pustka oznacza. – Schowali się przed nami – stwierdził. – Chłopi za-

wsze robią tak. Tydzień minie i pola zapełnią się rolnikami.

–Masz rację, bez wątpienia – westchnął Grek. Zasmucała go myśl, że dla tutejszych mieszkańców jest tylko jeszcze jednym najeźdźcą.

–Yezda! – Chłop był niski, zgarbiony i nagi, z wielkimi, wytrzeszczonymi oczyma. Wskazał

na sztuczny kopiec na południowym horyzoncie, większy i lepiej zachowany niż ten, na który Ra-

kio zwrócił uwagę dwa dni wcześniej. Kilka razy szybko otworzył i zamknął dłonie, by pokazać, że

jest ich wielu.

Arigh zmarszczył brwi. – Dziś rano nasi zwiadowcy niczego tam nie zauważyli. – Spojrzął na tubylca, który powtórzył gesty. – Chciałbym, żebyś mówił językiem zrozumiałym dla kóregoś z nas. – Lecz rolnik władał jedynie gardłowym narzeczem Stu Miast, zmienionym w żargon przez stulecia zależności od Makurańczyków i Yezda.

Uśmiechnął się przymilnie do wodza Arshaumów, naśladując gestami jeźdźców wspinających się na kopiec, by w ruinach spętać swe konie. Wskazał słońce i machnięciem ręki posłał je wstecz po nieboskłonie. – To było wczoraj? – zapytał Arigh. Tubylec wzruszył ramionami, nie rozumiejąc pytania. – Warto przyjrzeć się jeszcze raz – zdecydował Arigh. Zarządził postój i wysłał oddział jeźdźców z poleceniem, by zbadali wzgórek.

Zmierzchało już niemal, kiedy wrócili. – Nic tam nie ma – rzucił Arighowi gniewnie ich dowódca. – Żadnych śladów, końskich odchodów, resztek po ogniskach, zupełnie nic.

Chłop odczytał treść z tonu głosu zwiadowcy i upadł na kolana przed Arighem. Dygotał ze strachu, lecz wciąż uparcie wskazywał na południe. – Co on tak jójczy? – zapytał Gorgidas, wracając po opatrzeniu swego kuca.

–Twierdzi, że tam, na tym wzgórku, są żołnierze, ale kłamie – odparł Arshaum. – Przez jego

bdzury straciliśmy parę godzin; powinienem obciąć mu za to uszy. – Pokazał gestem, by tubylec

mógł zrozumieć. Chłop skulił się i rozciągnął na brzuchu, zawodząc coś w swoim języku.

Gorgidas podrapał się po głowie. – Dlaczego narażałby się na niebezpieczeństwo, okłamując nas? Nie ma powodów, by kochać Yezda; widać, jak dobrze mu się żyje pod nimi. – Pod brudną skórą widać było wyraźnie każde źebro. – Może po prostu stara się wyświadczyć ci przysługę. – Grek pragnął w to wierzyć; nie lubił świadomości, że ktoś może traktować go tak samo jak Yezda.

–Więc gdzie są wojownicy? – zapytał gniewnie Arigh, wspierając ręce na biodrach. – Jeśli powiesz mi, że moi zwiadowcy oślepli, równie dobrze możesz poderznąć sobie gardło.

–Ślepi? Chyba nie. Już dziesięć razy bylibyśmy martwi, gdyby byli ślepi. Lecz mimo wszystko... -Zmierzył wzrokiem chłopą, który przestał jęczeć i tylko wpatrywał się w niego z niemym błaganem w oczach. Wyszkolone oko lekarza dostrzegło delikatne zmętnienie lewego oka

mężczyzny, świadczące o zaczątkach zaćmy. Jego myśli dokonały nagłego przeskoku. – Ślepi, nie... lecz oślepieni? Magia może ukryć żołnierzy lepiej niż gruzy czy zarośla.

–To jakaś myśl – przyznał Arigh. – Gdybym miał potraktować tego chłopka poważniej – trącił rolnika nogą; mężczyzna jęknął i zakrył twarz spodziewając się, że w następnej chwili umrze – posłałbym szamana, żeby powęszył na tym miejscu. – Ponownie przedzierzgnął się w energicznego dowódcę. – Dobrze, przekonałeś mnie. Weź Toluiego i tylu ludzi, ilu będzie ci potrzeba, a potem pojedź tam i sprawdź, co się dzieje,

–Ja? – zapytał z przerażeniem Grek.

–Ty. To twój pomysł. Wykonaj go albo poniechaj. Wtedy jednak nie będę miał innego wyboru, jak tylko uznać tego utyłanego w gnoju człowieka za szpiega, prawda?

Arigh – pomyślał Grek – stawał się dokuczliwie dobry w zmuszaniu ludzi, by robili to, co on chciał. – Czar ukrywający? – zastanowił się Tolui, kiedy doktor znalazł szamana jedzącego zsiadłe kobyle mleko. – Bardzo możliwe, że masz rację. To nie jest magia wojenna; ktokolwiek go rzuci nie musi się martwić, czy będzie działał dalej, gdy jego ludzie wypadną już z zasadzki.

Ściągnął tunikę przez głowę i z westchnieniem rozwiązał ściągacze spodni. – Przy tej pogodzie noszenie maski to prawdziwe katusze, a szata jest z grubego zamszu. No cóż, zawsze lepiej nocą niż za dnia.

„Weź tylu ludzi, ilu będzie ci potrzeba”, powiedział Arigh, lecz Gorgidas nie miał władzy nad koczownikami, którzy nie lubili słuchać rozkazów obcych. W końcu obecność Toluiego pomogła Grekowi przekonać kapitana sotni, by wykonał jego rozkaz. – Polowanie na duchy, co? – rzekł kwaśno oficer. Był nim mężczyzna ze złamanym nosem, imieniem Karaton, którego piskliwy głos niweczył pozę posępnej srogości, jaką usiłował przybierać.

Jego ludzie gderali, gdy z żarłocznym pośpiechem kończyli posiłek i zabierali się do siodłania koni. Karaton rozładował swoją irytację przeklinając Gorgidasa, kiedy okazało się, że lekarz jako ostatni zakończył przygotowania do zwiadu. Mimo to nie zapadły jeszcze zupełne ciemności, kiedy ruszyli ku pagórkowi, który niegdyś był miastem.

Rakio dopędził ich w połowie drogi. Kiedy zrównał się z kłusującym Gorgidasem, spojrzał na niego z wyrzutem.

–Dlaczego nie powiedziałeś mi, że walczyć wyruszasz?

–Przepraszam – mruknął lekarz. Prawdę mówiąc, nie pomyślał o tym; wciąż musiał sobie przypominać, że jego towarzysze nie podzielają niechęci do walki, którą odczuwał. Rakio był jej tak żądny, jak niegdyś Viridoviks.

Wzgórek w świetle księżyca wyglądał upiornie. Z jego wyniosłości Gorgidas mógł zobaczyć wciąż jeszcze stojące odcinki murów; oczyma duszy przywołał czas, kiedy budowle stały całe, a ulice roiły się od namaszczonych wonnościami mężczyzn, ubranych w długie tuniki i dzierzących

laski, od kobiet z twarzami pod zasłoną welonów, w szatach kryjących ich postacie przed wzrokiem obcych. Miasto rozbrzmiewałoby jękliwą muzyką i głośnymi, wyrażającymi zadowolenie rozmowami. Teraz zalegała w nim cisza. Nawet nocne ptaki nie kwiliły tutaj.

Jak każdy dobry żołnierz, Karaton odruchowo posłał swoich ludzi, by otoczyli podstawę wzgórza, lecz robił to bez przekonania. – Dziesięć tysięcy schowało się tutaj... przynajmniej.

–Och, przestań na mnie pisać – zachnął się Gorgidas, życząc sobie, żeby jego oczy nigdy nie spoczęły w pierwszym rzędzie na owym chłopie. Nie cierpiał wychodzić na głupca. W swej złości na samego siebie nie spostrzegł, że Karaton zeszywniał pod wpływem zniewagi i sięgnął po pałasz, wyciągając go do połowy z pochwy.

–Przestańcie obaj – zganił ich Tolui. – Musi otaczać mnie harmonia, jeśli duchy mają odpowiedzieć na moje wezwania. – Nie było w tym ani słowa prawdy, lecz dawało obu mężczyznom przyzwoitą wymówkę, by zaniechać kłótni.

Karaton uspokoił się, mruknąwszy: – Dlaczego przywołujesz duchy, szamanie? Czteroletnie dziecko mogłoby ci powiedzieć, że to miejsce jest martwe jak kaftan z owczej skóry.

–Więc następnym razem przyprowadź czteroletnie dziecko, a teraz daj mi spokój – odparł

Tolui. Karaton dotknął palcem czoła, przepaszając go.

Tolui wyciągnął z torby przy siodle płaską płytkę jakiegoś na wpół przezroczystego, ciemnego, podobnego do wosku kamienia, przekłutą grubą igłą z innego kamienia. – Chalcedon i korund – wyjaśnił Gorgidasowi. – Twardość korundu pozwala człowiekowi, który spogląda przez czysty chalcedon, przeniknąć wzrokiem większość iluzji.

–Daj mi to – rzeki niecierpliwie Karaton. Spojrzał przez kamień na szczyt pagórka. – Nic – powiedział – lecz czyżby w jego głosie zabrzmiało powątpiewanie? Tolui wziął od niego kamień i podał go Gorgidasowi. Kontury na wierzchołku wzniesienia jak gdyby podskoczyły, gdy przytknął go do oka, lecz szybko znieruchomiały.

–Sam nie wiem – powiedział w końcu Gorgidas. – Dostrzegłem migotanie, lecz... – Oddał kamień Toluiemu. – Sam zobacz. Ostatecznie ta zabawka jest twoja; to ty powinieneś umieć posługiwać się nią najlepiej.

Szaman zdjął maskę i ułożył ją na kolanie. Uniósł kamień i spoglądał przez niego ponad minutę. Gorgidas czuł rozchodzące się fale jego skupienia, gdy koncentrował wzrok, by przemknąć przez pozory i zobaczyć prawdę.

Lekarz nigdy nie zastanawiał się wiele nad mocą, jaką posiada Tolui jako czarodziej. Jeśli już, przypuszczał, że szaman nie dysponuje wielką siłą, jako że zastępował tylko Onoguna aż do chwili, kiedy Bogoraz otruwał starego czarodzieja Arghuna, ponieważ

tamten faworyzował Videssos. Od tego czasu magia Toluiego zawsze stawała na wysokości zadania, lecz Grek, nie mając dowodu na to, że szaman kiedykolwiek poradził sobie z naprawdę poważnym wyzwaniem, dalej uważał go za po-

mniejszego czarownika, zainteresowanego głównie ziołami, korzeniami i nieistotnymi wróżbami.

Nagle uświadomił sobie, że nie doceniał szamana. Kiedy Tolui zawołał: – Duchy wiatru, przybądźcie mi na pomoc! Rozwiejcie pajęczyny czaru, które nie pozwalają mi widzieć! – wydawało się, że noc wstrzymała oddech.

Nad pagórką rozległo się wycie, jak gdyby rozszalała się tam burza, lecz Gorgidas nie poczuł na twarzy uderzeń wiatru. Karaton krzyknął ze zdumienia, a jego ludzie naciągnęli łuki i obnażyli miecze. Jak kurtyna, która unosi się błyskawicznie znad sceny teatru lalek, tak w jednej chwili rozwiana została iluzja pustki na grzbiecie wzgórza. Pół tuzina obozowych ognisk zapłonęło wśród ruin, oświetlając rozciągniętych wokół nich w swobodnych pozach wojowników.

Pierwsze strzały przeszły powietrze, zanim jeszcze Karaton zdążył wydać rozkaz, by strzelać. Jakiś Yezda runął w jedno z ognisk; inny wrzasnął, gdy został trafiony. Rozległ się jeszcze jeden okrzyk, okrzyk wściekłości, kiedy dwóch czarodziei w obozie wroga poczuło, że coś rwie ich osłaniający czar na strzepy.

–Do góry i brać ich! – ryknął Karaton. – Szybko, zanim się opamiętają i chwycą za broń i

zbroje!

Wrzeszcząc, by jeszcze bardziej odebrać Yezda ochotę do walki, ludzie Karatona popędzili swoje kuce w górę stromych zboczy pagórka, potem zeskoczyli z siodła i zaczęli wdrapywać się na szczyt na własnych nogach. Gorgidas i Rakio biegli z nimi, dla lepszej równowagi chwytając się krzaków i wspierając się na bryłach cegieł. Unosząc wzrok na grzbiet, Grek zobaczył, jak ogniska i biegnące postaci Yezda zaczynają migotać i znikać, gdy czarownicy starali się ponownie ściągnąć na nich osłonę, lecz Tolui ciągle im przeszkadzał, a strach i podniecenie zarówno własnych ludzi jak Ar-shaumów również osłabiało ich magię. Ogniska ponownie pojaśniały.

Gorgidasa minął jakiś kuc, pędzący z grzmotem kopyt w dół zbocza. Jakiś szalony Yezda, widząc w tym jedyną drogę ratunku, zdecydował się na ten ryzykowny skok w ciemność i przeżył, by o nim opowiedzieć. Jego koń dotarł do podnóża pagórka i pomknął błyskawicznie, roztapiając się w mroku.

–Co za jeździec! – zawołał Rakio. Łomot i dwa przeraźliwe głosy, jeden ludzki, drugi wydo

bywający się z gardła śmiertelnie rannego kuca powiedziały im, że inny jeździec próbował tego

samego, lecz nie udało mu się.

Jeszcze kilku konnych Yezda wyrwało się ścieżką, którą chcieli zaatakować arshaumską armię. Jednak większość, ogłuszona nieoczekiwanym nocnym atakiem, wciąż w pośpiechu siodłała konie lub szukała po omacku pałaszy, kiedy dopadli do nich ludzie Karatona.

Gorgidas potknął się o wystającą dachówkę właśnie w chwili, kiedy dotarł na szczyt wzniesienia. Niedaleko od jego głowy strzała wbiła się w resztki muru, syjąc odłamkami zaprawy. Rakio chwycił go za rękę i poderwał na nogi.

–Zgłupiałeś ty? – krzyknął Grekowi do ucha. – Wyciągnij miecz.

–Hę? Och, tak, oczywiście – odparł pokornie Gorgidas, jak uczeń, któremu nauczyciel wytknął jakiś niewielki błąd. Potem jakiś Yezda znalazł się przed nim, a jego pałasz zaczął spadać ze świstem na głowę Greka. Gorgidas nie miał miejsca na odpowiednią pracę nóg, która pozwoliłaby mu zwodem uniknąć ciosu. Złożył paradę odbijając cios, a potem sparował jeszcze jeden, który wy-prułby z niego wnętrzości. Yezda wyszedł z niską fintą, ciął wysoko. Gorgidas nie poczuł piekącego uderzenia klingi, lecz kiedy ciepła lepkość spłynęła mu po szyi uświadomił sobie, że koczownik rozciął mu ucho.

Zadał pchnięcie, które Yezda zablokował, i cofnął się niezdarnie, zmieszany nieznanym uderzeniem. Gorgidas pchnął ponownie, w pełnym wypadzie. W wypadzie miał większy zasięg, niż koczownik mógł przypuszczać. Jego *gladius* przeszył brzuch przeciwnika. Mężczyzna jęknął i zgiał się we dwoje.

Większość wrogów, których Arshaumi dwukrotnie przewyższali liczebnie, wycofała się na mały dziedziniec otoczony ruinami murów, wciąż jeszcze sięgającymi stojącemu człowiekowi do piersi. Arshaumi rąbali ich z otaczającego zwaliska ruin, szyli strzałami i ciskali kamieniami w ich stłoczone szeregi. Yezda nie zdołał wytrzymać długo takich ciągów; ruszyli tłumnie do wyjścia i z siłą rozpoczy przerwali szeregi swych przeciwników. Karaton wrzasnął z oburzenia, gdy Yezda rzucili się w dół zbocza, nie myśląc o złamanych kościach ani czymkolwiek innym z wyjątkiem ucieczki.

Udało się to tylko garstce; Arshaumi większość powalili. Jeden z yezdańskich czarodziei, szaman w szatach chyba nie mniej bogato ozdobionych frędzlami niż szaty Toluiego, padł w tym szalonym pościgu, z mieczem w ręku zamiast magii, która tak zawiodła.

Drugi czarodziej był stworzony z innego, i to twardszego materiału. Gorgidasowi

wydało się, że dostrzegł jakieś poruszenie w głębi wąskiej alejki i zawołał w języku Arshaumów:

–Przyjaciel? – Nie otrzymał odpowiedzi. Z *gladiusem* w rękę, wkroczył w zasypaną gruzami

uliczkę.

Obozowe ognisko buchnęło za nim płomieniami. W nagłym wybuchu jasności stwierdził, że alejka jest ślepa, i że uwięziony w niej człowiek nie jest zwykłym Yezda. Przez chwilę czerwona szata i ząbkowana tonsura nic nie znaczyły dla lekarza. Potem lodowate mrówki przebiegły mu po kręgosłupie, kiedy rozpoznał symbole Skotosa.

Twarz czarodzieja – pomyślał Gorgidas – ujawniłaby jego prawdziwą naturę nawet pod nieobecność innych znaków. Człowiek, który zna dobro i zło, i z całą świadomością wybiera to drugie, musi nosić jego ślady. Oczy czciciela boga ciemności odbiły światło ogniska jak wilcze ślepie. Mocno naciągnięta skóra opinała ciasno jego policzki i rozciągała usta w kącikach, nadając jego twarzy wyraz powarkującej nienawistnie bestii. Lecz nie był on przeznaczony specjalnie dla Greka; Gorgidas dałby sobie uciąć rękę, że wyraz ten gościł na twarzy czarodzieja zarówno kiedy spał, jak

i kiedy czuwał.

Lekarz posunął się naprzód. Zobaczył, że mężczyzna ma tylko krótki sztylet za pasem. – Poddaj się – zawołał po videssańsku i w języku Khamorthów. – Nie chciałbym cię teraz zabić.

Gdy czarodziej wbił wzrok w Gorgidasa, jego szyderczy grymas stał się jeszcze wyraźniejszy. Ręce mężczyzny śmignęły naprzód, wargi wykrzywiły się w bezdźwięcznej inwokacji. Strach o życie nadał jego zaklęciu wystarczającą siłę, by mogło uderzyć mimo wywołanego bitwą chaosu. Gorgidas zatoczył się, jak od zadanego od tyłu ciosu maczugą. Pole widzenia rozmyło się; ręce i nogi przestały go słuchać; miecz wypadł mu z dłoni. Powietrze świszcząco chrapliwie w gardle, gdy z trudem łapał oddech. Osunął się na ziemię i wsparł na kolanie, co rusz potrząsając głową, by ją oczyścić.

Zaklęcie zostało rzucone po to, by zabić; chyba tylko dyscyplina sztuki leczniczej dała Grekowi siłę woli wystarczającą, by przeciwstawić mu się choćby po części. Właśnie szukał po omacku miecza, kiedy czarodziej podszedł do niego. W rękę czarownika połyskiwał sztylet, wystarczająco długi, by dotrzeć serca.

Z lisim uśmiechem napinającym jego szczupłe rysy uklęknął, by zadać mordercze pchnięcie. Gorgidas usłyszał głuche uderzenie. Pomyślał, że jest to odgłos noża

wchodzącego w jego ciało. Lecz yezdański czarownik zatoczył się do tyłu ze stłumionym chrząknięciem bólu. Niszczycielska moc zaklęcia zniknęła, gdy czarownik przestał się na nim koncentrować.

Gorgidas skoczył na czarodzieja, lecz ktoś przemknął obok, wyprzedzając Greka. Miecz uderzył z mięsistym „czunk”. Yezda wierzgnął nogami i legł bez ruchu; Gorgidas poczuł, że zwieracz mężczyzny puścił w chwili śmierci.

–Rozum straciłeś – rzeki Rakio, ocierając klingę o rękaw. Tym razem było to stwierdzenie, nie pytanie. Objął Greka ramieniem. – Zbyt głupi nie jesteś, żeby od pomocy uciekać i dać się przyłapać samemu?

–Tak by się wydawało. Jestem niedoświadczony w wojennym rzemiośle i nie postępuję właściwie, jeśli się nad tym nie zastanowię – odparł Grek. Przyciągnął Rakio do siebie w krótkim uścisku i dotknął jego policzka. – Cieszę się, że znalazłeś się w pobliżu i nie dopuściłeś, bym musiał zapłacić za swój błąd.

–Chciałbym, byś dla mnie to samo zrobił – rzekł Yrmido – lecz czy potrafiłbyś?

–Mam nadzieję – odparł Gorgidas. Lecz nie była to zadowalająca odpowiedź i sam dobrze to wiedział. Usłyszeli jak jakiś Arshaum krzyknął nie opodal i razem popędzili mu na pomoc.

Mniej niż połowie Yezda udało się wydostać z okrążenia lub ukryć w ruinach na tyle dobrze, by ujść przed szukającymi ich wrogami. Reszta, z wyjątkiem dwóch zaoszczędzonych po to, by ich później wypytać, zapłaciła gardłem; Arshaumi zdobyli dobre trzy tuziny koni. Kosztowało ich to siedmiu zabitych i dwukrotnie tylu rannych.

–Dobrze nas poprowadziłeś – rzekł Karaton do Gorgidasasa; wobec nie-Arshauma nie zdobyłby się na coś, co bardziej przypominałoby przeprosiny. Leżał na brzuchu, podczas gdy Grek zszywał mu cięcie na łydce. Rana biegła głęboko, lecz na szczęście wzdłuż mięśni, a nie w poprzek; ścięgnięta pozostały nie tknięte, więc czysta, obficie krwawiąca rana nie wymagała sztuki uzdrowi-cielskiej, by się zagoić.

Karaton nawet nie drgnął, kiedy igła raz za razem przesywała mu ciało, ani kiedy lekarz polał ranę płynem zapobiegającym zakażeniom, a składającym się z ałunu, grynszpanu, paku, żywicy, octu i oliwy. – Powinieneś zachować tego ich czarodzieja przy życiu – ciągnął dowódca sotni tonem absolutnie towarzyskiej rozmowy. – Mógłby powiedzieć nam o wiele więcej, niż ci prości wojownicy, których pojaliśmy. – Choć Grek nie lubił Karatona, przecież musiał podziwiać jego męstwo w znoszeniu bólu.

–Niemał żałowałem, że sam przeżyłem to spotkanie – powiedział Viridoviksowi znacznie później tej nocy. Celt ziewał, lecz Gorgidas wciąż jeszcze był zbyt podniecony, by zasnąć. Odesławszy chłopca, który ich ostrzegł, obladowanego

złotem do domu, nieustannie rozprawiał o walce.

–Ta bijatyka byłaby pewnie łatwiejsza dla twoich chłopców, tak sędzę, gdybyś zabrał mnie ze sobą – przerwał mu Viridoviks. W większości przypadków z przyjemnością wysłuchałby swego przyjaciela, lecz teraz akurat oczy ciążyły mu w głowie jak dwie kamienne kule.

–Na pewno. Nie wątpię, że spłaszczyłbyś ten pagórek jednym tupnięciem i zaoszczędziłbyś nam trudów walki – rzekł cierpko Gorgidas. – Myślałem, że przeszła ci już młodzieńcza miłość do puszczania krwi innym.

–Bo przeszła – przytaknął Gal. – Lecz jak na kogoś, kto szcyci się swoim rozumem, nie masz powodu, by czynić mi zarzuty. Jeśli podejrzewałeś w tym udział magii, to czy ten mój miecz nie poradziłby sobie z nią lepiej, niż te świecidełka i cała reszta, które biedny Tolui musiał ścierpieć na sobie?

–Zaraza! Powinienem był o tym pomyśleć! – Niewiele rzeczy potrafiło zirytować Gorgidasa bardziej niż Viridoviks, podający na dłoni coś, co on sam przeoczył. Rozparty wygodnie, przeczesujący palcami wąsy, Celt wyglądał na tak zadowolonego z siebie, że Gorgidasowi przyszła ochota walnąć go pięścią.

–Nie martw się tak bardzo – rzekł Gal chichocząc. – Przecież zwyciężyłeś i wróciłeś cały, a to liczy się w tym wszystkim najbardziej. – Położył wielką dłoń na ramiami Greka.

Gorgidas miał już strząsnąć ją z siebie gniewnie, lecz nagle przyszła mu do głowy lepsza myśl. Roześmiał się ponuro i powiedział: – Masz rację, oczywiście. Nie okazałem się za bardzo sprytny, prawda? – Zakłopotana mina Viridoviksa pozwoliła zaznać Grekowi słodczy zemsty.

Oddział Yezda przerąbał się przez osłonę kawalerii Arigha, zasypał pozostałych jeszcze w jego armii Erzerumczyków gradem strzał i umknął, nim ciężkozbrojni, wolno poruszający się górale zdołali związać się z nim walką. Arshaumi ścigali maruderów przez pola. Ranni jeźdźcy chwiali się w siodłach; na oczach Gorgidasa jeden z nich stracił równowagę i runął naprzód w stratowany jęczmień. Miejscowi rolnicy -pomyślał Grek – uznałiby te zwłoki za niedostateczną rekompensatę za głód, jaki czeka ich najbliższej zimy z powodu zniszczonego zboża.

Kiedy ostatni Yezda zostali zwaleni z siodła albo umknęli, ich prześladowcy wrócili do swoich. Paru prowadziło zdobyczne konie; wielu pokazywało miecze, buty i inne złupione dobra. Mimo to Viridoviks cmoknął językiem, wyrażając niezadowolenie z powodu potyczki. – Och, im więcej z tych Stu Miast zostawiamy za sobą, tym zuchwalsze stają się te yezdańskie dupki. Przez ostatnie dwa dni nic tylko potyczki i to zawsze Erzerumczycy są atakowani.

–I spełnia to swoje zadanie. – Przygnębień sprawiło, że Pikridios Goudeles wyrażał się wyjątkowo otwarcie. Jeśli chodzi o górali, wszyscy napatrzyli się już dość nizin, z wyjątkiem być może dwóch setek awanturników z rozmaitych klanów i dzielnej grupy Gashviliego, której członkowie wciąż uważali się za związanych przysięgą. Ich liczba każdego dnia zmniejszała się o paru, którzy uciekli lub padli w potyczkach.

–Jutro będzie jeszcze gorzej – rzekł Skylitzes. Trudne chwile w takim samym stopniu rozwiązywały mu język, co odbierały chęć do rozmowy Goudelesowi. – Yezda znają teraz nasze możliwości. Wiedzą, jakie miasta możemy zdobyć, a które są przed nami bezpieczne. Załogi garnizonów wzmacniają partyzantów, którzy bez przerwy nas prześladują.

Viridoviksowi nie spodobał się wniosek, do jakiego doszedł.

–Więc zostaniemy jak nic po trochu zadziobani na śmierć, i to już niedługo. Nie mamy ludzi, żeby uzupełnić straty.

–A mielibyśmy – rzekł Goudeles. – Gdyby nie pechowa bitwa na stepie, i gdyby nie kłótnia między samymi Arshaumami, mielibyśmy teraz dwa razy tyle ludzi.

–Służyłem kiedyś pod Nephonem Khoumnosem – powiedział Skylitzes – a on wciąż powtarzał: „Gdyby gdybanie było kaczką w śmietanie, to wszyscy byliby tłuści”. – Jego oczy spoczęły na brzuchu Goudelesesa. – Może miał ciebie na myśli.

Przypomnienie biurokracie o politycznej rywalizacji, jaka dzieliła ich w Videssos, okazało się rzeczą nieroztropną.

–Może – odparł oschle Goudeles. – Jestem pewien, że wspaniała filozofia generała stanowi

teraz dla niego wielką pociechę.

Zaległa pełna trwogi cisza. Czary Avshara zabiły Khoumnosa pod Maraghą. Goudeles poczer-

wieniał, zdając sobie sprawę, że posunął się za daleko. Pospiesznie zmienił temat.

–Mielibyśmy się też lepiej, gdyby Erzerumczycy nie okazali się takimi wojownikami od świ

ęta, którzy wracają do domu, gdy tylko sprawy zaczynają przybierać zły obrót.

Nie do końca było to nieprawdą, lecz jego towarzysze nie chcieli darować mu lekką ręką gafy, którą popełnił. – To niesprawiedliwe – rzekł Gorgidas, podwójnie

ziartywany, ponieważ ubliżało to również rodakom Rakio. – Przybyli walczyć we własnym imieniu, nie za nas, i widzimy, jak Yezda nieustannie wyróżniają ich szczególną uwagą.

–Tak; żeby przekonać ich, by zrezygnowali. – Goudeles nie miał zamiaru ustępować. –

Lecz kiedy rezygnują, odchodzą swobodnie, podczas gdy my płacimy cenę za ich ucieczkę. Za

przecz, jeśli możesz. – Nikt nie mógł.

Jednak argumenty, jakie przedstawił w sporze Gorgidas, zostały w nieprzyjemny sposób potwierdzone nieco później tego popołudnia. Potwierdziły je ciała kilku Erzerumczyków, pojmanych podczas napadu, jaki miał miejsce tydzień wcześniej. Zwłoki zawieszono na oszczepach i ustawiono na Unii marszu armii Arigha. Mając czas, by zająć się nimi, Yezda wykorzystali swoją pomysłowość. Wśród innych poniżających tortur, najpierw nasączyli brody więźniów oliwą, a dopiero potem podpalili.

Arigh pogrzebał zmalretowane zwłoki bez słowa. Jeśli Yezda zamierzali w ten sposób nastraszyć przeciwników, osiągnęli wręcz przeciwny efekt. Kierowani zimnym gniewem, Arshaumi dopadli oddział yezdańskich zwiadowców i popędzili ich prosto na lance tych górali, którzy wciąż jeszcze im towarzyszyli. Jeźdźcy wroga nie wytrwali długo. Wieczorem w obozie panowała atmosfera posępnego zadowolenia.

Lecz Yezda powrócili, by zaatakować już następnego dnia. Oblicowane żelazem wrota jednego z większych ze Stu Miast, Dur-Sharrukin, rozwarły się, by wypuścić wycieczkę, podczas gdy dwa oddziały, które podążały śladem Arshaumów, wpadły na nich od skrzydeł.

Wciąż ustępowali liczebnie i mogli zostać zdziesiątkowani, lecz Arigh rzucił trzon swych sił na wrota Dur-Sharrukin. Gdyby zdołał wedrzeć się do środka, miasto byłoby jego. Yezdański dowódca posterunku przy bramie zrozumiał to również. Niestety, należał do ludzi, którzy potrafią szybko działać. Sam zaczął przecierać wrota i wrzasnął na swoich żołnierzy, by mu pomogli. Rygiel zatrzasnął się na ułamek chwili przed tym, nim znaleźli się tam Arshaumi. Znaczna część załogi garnizonu została odcięta poza murami, lecz miasto było bezpieczne.

Przybysze z równin kotłowali się bezładnie tuż pod murami Dur-Sharrukin. W swym wyścigu do bramy oderwali się od Erzerumczyków i oskrzydlający atak Yezda uderzył wprost w górali. Na swym skrzydle kompania Gashviliego powstrzymała natarcie jednym manewrem. Przywykli do potyczek z Khamorthami na obrzeżu stepu, weterani lorda Gunib poczekali, aż Yezda zbliżą się na tyle, by szarża mogła okazać

się skuteczną, a potem, świetnie wyliczywszy czas, wyprowadzili

przedwuderzenie, które już przy pierwszym starciu zmiotło z siodła jakiś tuzin lekkobrojnych łuczników i sprawiło, że reszta zawróciła i umknęła galopem.

Na drugim skrzydle walka przebiegała mniej pomyślnie. Wolontariusze z rozmaitych klanów, którzy pozostali przy Arshaumach, nie uznawali nad sobą żadnego pojedynczego dowódcy. Tworzyli grupy wedle wspólnej narodowości albo wzajemnej sympatii, i każdy mały oddział robił co chciał. Z braku dyscypliny, która umożliwiłaby wspólną szarżę, próbowali walczyć na modłę koczowników, na czym ci ostatni tylko skorzystali.

–Trzymaj się mnie! – zawołał Rakio do Gorgidasa, gdy pierwsze strzały przemknęły wokół

nich ze świstem. Yrmido opuścił lancę i spiął ostrogami swego wielkiego wałacha. Z grzmotem

kopyt runął na Yezda, który napinał łuk do ponownego strzału. Dosiadając zwrotniejszego wierz

chowca, nie miał żadnych kłopotów, by ominąć Yrmido, lecz jego uśmiech zmienił się w wark

nięcie, kiedy zobaczył za Rakio pędzącego nań Gorgidasa.

Greki sam dosiadał stepowego kuca i wymierzył pchnięcie w Yezda w chwili, gdy tamten wyciągał właśnie pałasz, gwałtowny przechył do tyłu uratował go przed mieczem Gorgidasa, lecz inny „sierota” z Dozgonnej Wspólnoty zmiotł go lancą z siodła. Wszyscy Yrmido, którzy pozostali przy Arighu, trzymali się razem w jednej grupie; nawet teraz garstka innych Erzerumczyków nie chciała mieć z nimi nic wspólnego.

Powalili jeszcze paru Yezda, płacąc za to rannymi we własnych szeregach. Jeden został postrzelony w ramię, drugi ranny w nogę ciosem miecza. Pałasz przeciwnika Yrmido zranił również jego konia. Oszałamiał z bólu zwierzę skoczyło do góry i ruszyło dzikim galopem, na szczęście w stronę żołnierzy Gashviliego. Jeden z nich, z tylnej straży, wyjechał na spotkanie rannemu wojownikowi, pomógł mu opanować wierzchowca, i wraz z nim pospieszył pod osłonę własnych szeregów.

–Dobrze to zrobione było – rzekł Rakio. – Ci ludzie z Gunib przyzwoitymi towarzyszami

okazali się. Niektórzy tutaj pozwoliliby, by Yezda wzięli go.

Pod wrotami Dur-Sharrukin Arshaumi przegrupowali się i pomknęli na pomoc swym sprzymierzeńcom. Yezda, widząc, że ich przewaga wkrótce przestanie istnieć, zaczęli walczyć z jeszcze większą energią, by jak najbardziej poszczerbić przeciwników, nim będą musieli się wycofać.

Yrmido przyjął na siebie impet tego dzikiego ataku, i ponieważ byli tym, kim byli, reszta Erzerumczyków nie pospieszyła im z pomocą. Gorgidas parował cios za ciosem i sam też zadał kilka. – Eleleleu! – krzyknął, przypominając sobie okrzyk wojenny Greków.

Przyszło mu do głowy, że chciałby umieć posługiwać się łukiem; strzały przelatywały obok, bzy-cząc jak rozzłoszczone osy. Zauważył, że lewą nogawkę spodni ma rozdartą i przesiąkniętą krwią. Zastanowił się niemądrze, czy to jego krew.

Poprzez bitewny zgiełk usłyszał wojenny skowyt Viridoviksa.

–Eleleu! – ryknął i pomachał kapeluszem, żeby pokazać Celtowi, gdzie się znajduje. Dzikie

galijskie wycie rozległo się znowu, tym razem bliżej. Wydało mu się, że usłyszał też okrzyk Skylit-

zesa; Goudeles miał raczej skłonność do wykrzykiwania przed walką, niż w trakcie.

Rakio krzyknął i uniósł gwałtownie rękę do twarzy. Mała pustułka wbiła szpony w nadgarstek jego ręki, potem zaskrzeczała i lotem błyskawicy umknęła do swego yezdańskiego pana. Inny Yez-da walnął Rakio maczugą, trafiając go tuż nad uchem. Yrmido osunął się bezwładnie na ziemię.

Gorgidas spał kuca ostrogami, ruszając ku niemu, i tak samo uczyniło dwóch albo trzech wojowników z Dozgonnej Wspólnoty, którzy akurat w tej chwili nie walczyli o własne życie. Lecz od Rakio dzieliło ich jakieś sto pięćdziesiąt stóp. Choć Gorgidas przemknął pomiędzy dwoma yez-dańskimi wojownikami zanim któryś z nich zdążył zadać mu cios, to jednak między nim a jego kochankiem znajdowali się inni; zbyt wielu, by mógł ich pokonać, nawet gdyby miał siłę półboga i spowitą w czary klingę Viridoviksa.

Niemniej jednak próbował, waląc na prawo i lewo, zapomniawszy w jednej chwili o wszelkich zasadach sztuki szermierczej, i obserwował z bólem, jak jakiś Yezda zeskoczył z konia, by zedrzeć z Rakio kolczugę. Yrmido poruszył się, spróbował niepewnie powstać. Yezda chwycił za miecz, potem zobaczył jak słaby i oszołomiony jest Rakio. Krzyknął na towarzysza. Razem szybko związali Rakio ręce z tyłu, a potem ułożyli go w poprzek na grzbiecie konia pierwszego wojownika. Wskoczyli na siodła i pokłusowali na zachód.

Kiedy nadciągnęli Arshaumi, Yezda przerwali walkę wszędzie tam, gdzie mogli. Pościg Gorgida-sa zakończył się w chwili, kiedy się zaczynał. Strzała przeszła szyję jego kuca. Koń zwał się na ziemię ze zduszonym kwikiem. Grek, tak jak go nauczono, wyrwał nogi ze strzemion. Stracił oddech, kiedy wylądował pośrodku jeszcze jednego stratowanego pola, lecz poza tym nic mu się nie stało.

Viridoviks niemal spadł z siodła, kiedy runął jak burza do Gorgidasa. Tak mocno wbił ostrogi w konia, że zwierzęciu pociekła krew po brzuchu. W końcu wierzchowiec nie mógł już tego znieść i spróbował zrzucić go z siebie. Celt przywarł do niego z odruchową zręcznością, jaką dał mu rok spędzony w siodle.

–Naprzód, ty stara chabeto! – ryknął i walnął ręką w zad zwierzęcia. Zobaczył, jak koń za-

strzygł uszami do tyłu i uderzył go jeszcze raz, mocniej, zanim zdążył się znarowić. Wierzchowiec,

pokonany, pobiegł. – Szybciej albo na zawsze stracisz łaskę słodkiej Epony – zagroził, kiedy

ponownie usłyszał wojenny okrzyk Gorgidasa. Kuc skoczył naprzód, jak gdyby galijska bogini koni

rzeczywiście posiadała moc w tym nowym świecie.

Celt sam krzyknął, a potem zaklął, kiedy nie otrzymał odpowiedzi. – Pewne jak nic, że sam zabiję tego kochasia, jeśli pozwolił, by Grekowi stała się krzywda; jemu, który w bitwie zachowuje

się jak dziecko i w ogóle – wydyszał, choć wolałby dać się obedrzeć ze skóry, niż żeby Gorgidas miał to usłyszeć.

Nawet nie zwróciłby uwagi na yezdańskiego jeźdźca, gdyby nie to, że stanowił przeszkodę. Jednym uderzeniem miecza wytrącił mu pałasz z ręki, drugim rozwalił ramię. Nie zatrzymując się, by go dobić, pogalopował dalej.

Choć lekarz miał na sobie skórzany strój koczowników, Celt rozpoznał go od tyłu po prostym mieczu w ręce i ułożeniu ramion; tak przygarbioną postawę pewni siebie Arshaumowie rzadko przybierali. – Więc będzie na odwrót – powiedział do siebie Gal – i żeby mnie pokręciło za to, że pomyślałem źle o tym obwiesiu, gdy jest niczym więcej jak zimnym trupem.

Lecz kiedy zeskoczył z konia, by złożyć mu takie wyrazy współczucia, na jakie potrafił się zdobyć, Gorgidas naskoczył na niego: – Nie jest martwy, ty cholerny, bezmózgi barani łbie! Jest gorzej; Yezda go mają.

Viridoviks widział przerażające ostrzeżenie, jakie Yezda pozostawili na szlaku armii, więc wiedział, co Grek chciał przez to powiedzieć. – Nie ma na to innej rady, jak tylko żebyśmy go odbili, dobrze mówię?

–Jak? – zapytał gniewnie Gorgidas, machnąwszy ręką w stronę wycofujących się Yezda. Jak

to mieli w zwyczaju, rozproszyli się i uciekali we wszystkich kierunkach. – Może być gdziekolwiek

wiek. – Zacisnąwszy z rozpaczy pięści, skierował swój gniew na Viridoviksa. – I co znaczy gada

nie o tym „żebyśmy”? Dlaczego miałoby obchodzić cię to, co dzieje się z moim kochankiem? –

Wyrzucił z siebie to słowo z wyzwaniem, jak gdyby wolał usłyszeć je ze swoich własnych ust niż z

ust Gala.

Viridoviks przez chwilę stał w milczeniu. – Dlaczego ja? Po pierwsze, nie oddałbym zdechłego psa w ręce Yezda, jako ich więźnia. Jeśli twój pokręcony grecki umysł musi znać powody, oto pierwszy. Po drugie, twój *przyjaciel* - wypowiedział to z naciskiem, odtrącając tamto nienawistne słowo i własne myśli sprzed paru chwil – to wspaniały chłop i zasługuje na lepszy los. A po trzecie – zakończył cicho – czyż nie słyszałem, że próbowałeś puścić się sam jeden na północ przez Par-draję wtedy, kiedy pojmał mnie Varatesh?

–Zawstydzasz mnie – rzekł Gorgidas, zwieszając głowę. Wspomnienie słów Rakio, które Yr-mido wypowiedział, kiedy uratował go przed śmiercią z rąk yezdańskiego czarownika, powróciło z palącą wyrazistością.

–Och, nie miałem takiego zamiaru – odparł Viridoviks. – Gdyby kopnięcie w twoją głupią dupę pomogło w czymś, natychmiast bym to zrobił i miałbym też z tego mnóstwo radości.

–Poskowycz sobie! – lekarz nie mógł powstrzymać śmiechu. – Ty barbarzyński lisie, nie wątpię, że przygotowałeś już jakiś plan ratunku.

–Tego nie zrobiłem. To wasza czci godność zasłużyła sobie na miano sprytnego. Co do mnie,

wolę awanturować się i nie myśleć – łatwiejsze i mniej nużące jednocześnie.

–Kłamca – rzekł Gorgidas. Lecz jego umysł, gdy już Gal otrząsnął go, wbrew jego własnej

woli, z przygnębienia, zaczął znowu pracować. Rzekł rażno: – Zatem będziemy musieli poprosić

Arigha o żołnierzy i o Toluiego, jak sądzę. Co lepiej nadaje się do wytropienia kogoś, niż magia?

Ku ich zaskoczeniu i złości, Arigh odmówił im kategorycznie, kiedy poprosili go o oddział wojowników. Żaden z ich argumentów nie zdołał zmienić jego postanowienia. – Chcecie się podjąć szalonego zadania – oświadczył – takiego, z którego nie spodziewam się, byście wrócili. Zabijcie się, jeśli chcecie, lecz ja nie wydam rozkazu, by ktokolwiek wyruszył z wami, a wręcz przeciwnie.

–Czy tak zachowuje się przyjaciel? – zawołał Viridoviks.

–Tak zachowuje się wódz – odparł poważnie Arshaum. – Jakim byłbym pasterzem, gdybym na poszukiwanie zagubionej owcy wysyłał dwadzieścia innych prosto w wilcze paszcze? Muszę myśleć o całej armii, a to jest daleko ważniejsze, niż jakakolwiek pojedyncza osoba. Poza tym, jeśli Erzerumczyk ma szczęście, to już jest martwy. – Odwrócił się, by

omówić sprawę wyboru miejsca na wieczorne obozowisko z dowódcami dwóch swoich sotni. To, że jego słowa zawierały niemało prawdy, niczego nie zmieniło. Gorgidas kipiał zimną wściekłością, kiedy udał się na poszukiwanie Toluiego. Znalazł szamana i dowiedział się, że Arigh uprzedził go. Kiedy wyłożył swoją prośbę Toluiemu, koczownik potrząsnął głową i powiedział: – Otrzymałem rozkaz, by wam nie towarzyszyć. – Och, jakież miły rozkazik, co? – rzucił beztrasko Viri-doviks. – Pewnie, wszystko w porządku, kiedy robisz, co ci każą, czy jest na to rozkaz, czy nie, lecz kiedy postąpisz wbrew rozkazom, wtedy może spotkać cię drobna przykrość.

Tolui uniósł brew. – Odpowiadam głową za wykonanie tego rozkazu. – Widząc, że Gorgidas jest bliski wybuchu, powstrzymał go uniesieniem ręki. – Spokojnie, spokojnie. Może jednak potrafię wam pomóc. Masz przy sobie coś, co należy do twojego towarzysza? Lekarz ściągnął z lewego nadgarstka srebrną bransoletę z wytłoczonymi na niej wizerunkami Czterech Proroków. – Misterna robota – zauważył Tolui. Sięgnął za siebie i wyciągnął z juków wylupiastooką, diabelską maskę swego fachu, a potem nasunął ją na głowę.

–Pomóżcie mi, duchy! – zawołał cicho; jego głos wydał się daleki i odcieleśniony. – Pój

dźcie ścieżką łączącą tę rzecz z jej właścicielem i ukażcie drogę, którą będzie można

odbyć podróż

zarówno w tym świecie, jak i w waszej krainie.

Przechylił głowę, jak gdyby nasłuchując. Potem wyprostował się, podrzuciwszy z irytacją głową, i wyjął ozdobiony frędzlami bębenek służący do przywoływania duchów. – Pomóżcie mi, pomóżcie mi! – zawołał znowu, ostrzejszym tonem, i zaczął wybijać na bębenku skomplikowany rytm. Gorgidas i Viridoviks wzdrygnęli się, kiedy znikąd rozległ się jakiś gniewny głos. Tolui przekazał swój rozkaz albo tylko próbował to zrobić, ponieważ duch sprzeciwił się rykiem. Przy po-

mocy bębena i głosu zmusił go do posłuszeństwa, a potem wyrzucił przed siebie rękę, wysyłając ducha na poszukiwanie.

–Traktuję rozkazy tak samo jak ty – rzekł do Viridoviksa.

–Ho, ho! – Celt czekał wraz z Gorgidasem na powrót ducha. Obserwując zastygłe rysy Greka – przez sam wysiłek, by to ukryć, tym więcej mówiące o tym, co przeżywał – Viridoviks wiedział, co jego przyjaciel widzi oczyma duszy. Sam wyobrażał sobie podobne rzeczy i bez trudu przychodziło mu zastąpić twarz Rakio twarzą Seirem.

Tolui ponownie przybrał tę dziwaczną, nasłuchującą pozę, potem chrząknął z zadowoleniem i wyciągnął rękę, oddając bransoletę Gorgidasowi. Przyjmując ją, lekarz łamał sobie głowę nad efektem inwokacji, dopóki nie zauważył słabego, niebieskawego pałania, wieńczącego głowę proroka przedstawionego na lewym, skrajnym wizerunku. Odpowiadając na nieme pytanie, szaman wyjaśnił: – Oto wasz przewodnik. Wraz ze zmianą kierunku waszych poszukiwań, światło będzie przesuwano się z jednego wizerunku na drugi, od zachodu na północ, wschód i południe; im bliżej celu się znajdziecie, tym będzie jaśniejsze.

Machnięciem ręki zbył podziękowania. Gorgidas i Viridoviks ruszyli pośpiesznie w drogę; słońce stało już nisko nad zachodnim horyzontem, a armia zwalniała tempo, przygotowując się do rozbicia obozu.

Kiedy opuścili już jej szeregi, ktoś krzyknął za nimi. Viridoviks zaklął – czyżby Arigh mimo wszystko chciał ich zatrzymać? Wyciągnął miecz i położył go sobie na kolanach.

–Jeśli sam chce wszcząć o to awanturę, zrobię mu tę przyjemność, naprawdę zrobię.

Jednak człowiek, który ich ścigał, okazał się nie Arshaumem, lecz jednym z Yrmido; cichym,

wzbudzającym zaufanie wojownikiem imieniem Mynt. – Iść razem – powiedział w łamanym va-spurakańskim, z którego to języka Grek i Celt nauczyli się garści słów. Yrmido prowadził okulba-czonego, zapasowego konia. – Dla Rakio.

Viridoviks palnął się nadgarstkiem w czoło. – Ależ z nas para durni! Wieźlibyśmy tego nieszczęśnika na zmianę i pewnie zupełnie zajeździłibyśmy nasze konie.

Gorgidas pieczołowicie układał te vaspurakańskie słowa, jakie znał. – Wielkie niebezpieczeństwo – powiedział do Mynta. – Dlaczego jedziesz?

Yrrnido spojrzał na niego. – Taki sam powód, co ty jechać.

Lekarz wolałby pewnie nie usłyszeć takiej odpowiedzi, lecz nie mógł odmówić Myntowi prawa przyłączenia się do nich.

–Jedźmy zatem. – powiedział tylko. Viridoviks zdołał przełknąć uśmiech, nim Grek odwrócił

się do niego.

Słońce schowało się za szczyty gór Dilbat. Zjadliwy upał, jaki panował za dnia, zmniejszył się nieco. Noc w krainie Stu Miast miała w sobie piękno, jakiego za dnia brakowało płaskiej i mono-

tonnej nadrzecznej równinie. Niebo wyglądało jak ogromna płachta granatowoczarnego aksamitu, na którą ciśnięto niedbale diamenty gwiazd.

Jeźdźcy mieli jednak niewielkie możliwości, by smakować powab i piękno nocy. Roje komarów, brzęcząc jadowicie, nadleciały z pól i brzegów kanałów nawadniających, by zmienić nocną jazdę w pasmo udręki. Jeźdźcy okładali się rękoma i przeklinali, okładali i przeklinali. Ogony ich wierzchowców śmigaly tam i z powrotem, robiąc co w ich mocy, by odegnać owady. Gorgidasowi przypomniawszy się walka Heraklesa z Hydrą; na miejscu każdego owada, jakiego zmiażdżył, pojawiały się dwa inne.

Komary dręczyły szczególnie Viridoviksa, którego twarz w srebrzystej, gwiazdnej poświacie wyglądała jak pokryta plamami bania. – Wkrótce będzie można mnie rzucić psom na pożarcie – zajęczał, wymachując rękoma w daremnym trudzie przegonienia krwiożerczych owadów.

Dzięki opuchliznie od ukąszenia nad jednym okiem, Gorgidas mógł tylko zerkać spod przymrużonych powiek na bransoletę, która ich prowadziła. – Na północ – powiedział po chwili, gdy błękitne jarzenie zaczęło się przesuwać, i niemal zaraz potem: – Znowu bardziej na zachód. – Nie miał wątpliwości, że plamka pałania jarzy się mocniej niż wówczas, kiedy wyruszali w drogę.

Na tyle, na ile mogli, trzej mężczyźni próbowali też zdecydować, co zrobią, kiedy znajdą Rakio. Przeszkadzał im w tym nie tylko język; wiele zależało od tego, ilu nieprzyjaciół zastaną przy Yrr-nido, i co będą z nim robili, kiedy pojawią się wybawcy. Viridoviks ujął istotę rzeczy: – Musimy załatwić to szybko. Jakakolwiek dłuższa walka i będzie po nas, bez dwóch zdań.

Objechali w ciemności jeden yezdański obóz, nie wywołując alarmu; bransoleta dalej wiodła ich na północny zachód. Wkrótce potem szwadron Yezda minął ich w odległości zaledwie kilkuset stóp. Nikt nie wezwał ich do opowiedzenia się; dowódca szwadronu musiał wziąć ich za rodaków. – Nie być księżyca... dobrze – szepnął Mynt.

–Cholernie dobrze – wybuchnął Gorgidas, kiedy Yezda znaleźli się poza zasięgiem głosu.

Schowwał bransoletę w rękawie, by ukryć jej blask, kiedy mijali pagórek znaczący jeszcze jedno

porzucone miasto. Kiedy go objeżdżali, ujrzeli przed sobą kilka ognisk i poruszające się na ich tle ludzkie sylwetki. Kiedy lekarz sprawdził bransoletę, jej blask niemal go oślepił. – To muszą być oni.

–Tak. – Mynt wskazał ręką. Miał sokoli wzrok; musieli się zbliżyć, nim nieruchoma postać

przy jednym z ognisk zaczęła cokolwiek oznaczać dla Greka. Gwałtownie wciągnął powietrze w

płuca, wstrzymując oddech. Nic dziwnego, że mężczyzna nie poruszał się – był przywiązany do

pala.

–Gotowi do zabawy, czy tak, włóczykije? – zapytał Viridoviks. – Rozruszamy ich nieco.

Pomrukując cicho zaczęli układać plan ataku, a potem niemal zostali zmuszeni do natych

miastowego uderzenia, kiedy z ciemności rozległ się głos wartownika wzywającego ich do

opowiedzenia się. – Ty tam, nie hałasuj tak – syknął do wartownika Viridoviks w używanym przez Yezda języku Khamorthów, naśladując jak umiał jego akcent. – Mamy wiadomość dla twojego dowódcy od samego khagana. Chodź po nią, jeśli

chcesz; musimy jeszcze odwiedzić innych.

Wartownik podjechał ku nim, nie okazując szczególnej podejrzliwości. Dopiero kiedy znalazł się kilka stóp od nich, zawołał: – Nie jesteście... – Jego głos umilkł nagle, kiedy Mynt cisnął mu w twarz połówkę cegły. Spadł na ziemię przez koński zad.

Czekali w napięciu, by zobaczyć, czy hałas zaniepokoił przebywających w obozie Yezda. Kiedy stało się oczywiste, że nieprzyjaciel niczego nie zauważył, Viridoviks rzekł: – Oto jak spróbujemy to zrobić – przeszedł na swój kulawy, wspomagany gestykulacją vaspurakański, tak by Mynt mógł go zrozumieć.

–To moje zadanie – zaprotestował Gorgidas, kiedy Gal zaczął omawiać swoją własną rolę

–Nie – odparł stanowczo Viridoviks. – Mynt ma kolczugę, a ja tę ogromną, morderczą klingę i całą biegłość w posługiwaniu się nią. Każdy wykonuje zadanie, do którego się nadaje albo wszyscy zginiemy, i Rakio również. Jasne czy nie?

–Tak, zaraza z tobą. – Lekarz, który całe życie kierował się logiką i rozumem, zapragnął nagle zapomnieć o nich.

–Uderzysz sobie raz czy dwa, to pewne – obiecał Viridoviks, kiedy ruszyli. Jechali stępą, zbliżając się najciszej jak potrafili. Yezda wokół ognisk zajmowali się swoimi sprawami. Jeden z nich podszedł do Rakio i uderzył go w twarz z obojętnym okrucieństwem, tak powszechnym wśród nich. Kilku innych roześmiało się i nagrodziło go oklaskami. Gorgidas słyszał ich zupełnie wyraźnie. Dzieliło ich już od ognisk mniej niż sto pięćdziesiąt stóp, kiedy jeden z Yezda spojrział w ich stronę – byli wystarczająco blisko, by zobaczyć jak oczy robią mu się okrągłe i wielkie, i jak ze zdumienia opada mu szczęka.

–Teraz! – ryknął Viridoviks, wrywając z ręki Mynta cugle zapasowego konia. Spinając konie

ostrogami, runęli naprzód.

Ich wierzchowce zdążyły rozpędzić się do pełnego galopu, kiedy spadli na wstrząśniętych Yezda, wrzeszcząc ile sił w płucach. W pierwszych, wypełnionych paniką chwilach, musieli wydawać się jakąś armią. Yezda rozproszyli się przed nimi. Wrzeszczeli trafieni lancą lub miażdżeni grzmiącymi kopytami. Jakiś żołnierz skoczył do ogniska, by umknąć przed ciosem miecza Viridoviksa, i wypadł z drogiej strony w płonącym kaftanie.

Gorgidas skręcił gwałtownie w stronę spętanych przy obozie kuców. Viridoviks miał rację; dwóch Yezda gramoliło się już na swoje wierzchowce. Powalił ich, a potem wjechał pomiędzy stojące dęba i rżące zwierzęta, przecinając linki i tnąc w same

konie. Wymachiwał rękoma i krzyczał piskliwie, robiąc wszystko, by doprowadzić je do szału i uczynić bezużytecznymi dla ich panów.

Przerażone okrzyki zmieniły się w ryk wściekłości, gdy Yezda uświadomili sobie, jak niewielu

napastników na nich uderzyło. Lecz Mynt czynił wśród nich straszliwą rzeź, sam czy nie sam. Okute żelazem kopyta jego rumaka łamały żebra i rozłupywały czaszki; jego lanca zabijała aż do chwili, gdy umierający wojownik chwycił ją kurczowo i wyszarpnął mu z rąk. Wówczas Yrmido wyciągnął pałasz i, pochylając się nisko w siodle, ciął okrutnie w dwóch pędzących ku niemu Yezda. Jeden zawirował i runął na ziemię, drugi zatoczył się do tyłu z ręką przyciśniętą do rozciętego nosa.

Wśród otaczającego go chaosu, Viridoviks ruszył prosto do Rakio. Zeskoczył z konia tuż przy Yrmido. Yezda nie zaczęli jeszcze tak naprawdę zabawiać się swoim więźniem. Był posiniaczony i sponiewierany, opuchlizna nie pozwalała mu otwierać jednego oka, a strużka krwi ciekła z kącika ust, tam gdzie trafiło ostatnie uderzenie. Jego kolczuga, oczywiście, została zagrabiona. Rozdarta aż do pasa spodnia tunika pokazywała, że ci, którzy go pojмали, sprawdzali ostrza sztyletów na jego ciele. Lecz był przytomny, czujny i wcale nie zamierzał umierać.

–Przepraszam, że wieczór wam zmarnowałem – powiedział, poruszając nadgarstkami tak, by

Viridoviks łatwiej mógł dostać się do więzów. Celt przeciął je i pochylił się, aby uwolnić kostki.

Gdy to robił, yezdański pałasz uderzył w pał, przy którym stał Rakio, tuż nad jego głową. Virido-

viks wyprostował się nieco, a jego sztylet śmignął z dołu do góry w skrytym, morderczym

uderzeniu prawdziwego nożownika. Yezda wrzasnął krótko i upadł.

Rakio zachwiał się, gdy spadły rzemienie krępujące mu stopy. Kiedy Viridoviks poderwał się, by go podtrzymać, Yrmido zwrócił ku niemu twarz i pocałował go prosto w usta.

–Mam wobec ciebie dług – powiedział.

Pewien, że twarz ma bardziej czerwoną niż włosy, Viridoviks zdołał chrząknąć: – Możesz jechać?

–Pozostaje albo jechać, albo umrzeć – odparł Yrmido. Viridoviks pomógł mu

dosiąć konia,

którego przyprowadził

Mynt, i włożył mu stopy w strzemiona. Jako że ręce miał jeszcze zbyt odrętwiałe, żeby utrzymać cugle, Rakio objął końską szyję ramionami.

Viridoviks ujął postronek i wskoczył na swego kuca. Wyjął tryumfalnie, przeorał ostrogami boki konia i uderzył go w pysk, kiedy odwrócił łeb, by ugryźć. Z przenikliwym rzeniem kuc pomknął przed siebie. Jakiś Yezda skoczył w stronę Rakio, żeby ściągnąć go z siodła, lecz spostrzegł pędzącego nań Mynta i zmienił zamiar. Dwaj Dozgonni Wspólnicy zamienili ze sobą kilka podnieconych zdań.

Świdrujący okrzyk Gala przebił się przez wrzawę równie łatwo, jak łatwo jego sztylet przeszył ciało koczownika. Ze zręcznością, której nie miał dopóki nie znalazł się na stepie, za pomocą cugli, ucisku kolan i stanowczych rozkazów, Gorgidas wyprowadził swego kuca z kłębowiska uwolnionych wierzchowców, które skakały i wierzgały wszędzie wokół niego. Ruszył galopem za swoimi towarzyszami.

Kiedy się z nimi zrównał, Rakio mógł już kierować swoim koniem i Viridoviks puścił postronek, na którym go prowadził. Grek podjechał do Yrmido i wyciągnął rękę, by uścisnąć mu dłoń. – Jestem, tak jak powiedziałem.

Rakio skinął głową, spoglądając na Gorgidasa lśnącymi oczyma, lecz skrzywił się, kiedy Grek ujął jego dłoń; rękę wciąż miał nabrzmiąłą od uwięzionej w niej krwi. – Przepraszam – rzekł Gorgidas, a w jego głosie ton lekarza nierozdzielnie zlał się ze współczuciem kochanka. – Mocno cierpisz?

–Nie tak bardzo, jak cierpiałbym za godzinę – odparł beztrosko Rakio. – Wygląda to gorzej, niż jest w rzeczywistości. – Sam wyciągnął rękę, ostrożnie, i potargał włosy Greka. – Wykazałeś odwagę, wyruszając mi na ratunek; wiem, że nie urodziłeś się wojownikiem. – Zanim Gorgidas zdążył cokolwiek powiedzieć, ciągnął dalej: – Jak mnie znaleźliście?

–Twój podarunek. – Gorgidas uniósł rękę, by pokazać Rakio bransoletę, której blask już zniknął. Opowiedział o magii Toluiego.

–Tu dałeś mi cenniejszy – rzekł Yrmido. Ze zręcznością urodzonego jeźdźca, której Gorgidas jeszcze nie dorównywał, przechylił się w siodle, by objąć lekarza.

–Och, dość już tych umizgów, wy tam – burknął Viridoviks, a wspomnienie pocałunku Rakio sprawiło, że zabrzmiało to bardziej szorstko niż zamierzał. Za bardzo lubił kobiety, by go to wzruszało, lecz też nie budziło w nim odrazy, jak mógłby się spodziewać. Wskazał za siebie, na obóz Yezda.

–Pilnujcie tyłów. Dochodzą do siebie, jak sądzę. Niedobrze dla nas, że tak szybko.

Zmieszane okrzyki i jęki rannych cichły w oddali, lecz Gorgidas słyszał też stanowcze rozkazy.

Kiedy spojrzął za siebie, zobaczył na tle ognisk sylwetki pierwszych ruszających w pościg jeźdźców. Przeklął siebie za to, że nie rozpędził ich koni lepiej.

Viridoviks przerwał mu ostro. – Skąd miałeś wziąć na to czas? Nic ci nie da, że będziesz się teraz tym martwił.

Lepiej obeznani z terenem niż uciekinierzy, Yezda zmniejszyli dzielącą ich od ofiar odległość. Strzała szczęknęła na kamieniu gdzieś za Viridoviksem i jego towarzyszami. Był to zmarnowany, wypuszczony na oślep strzał, lecz wkrótce inne padną bliżej. Viridoviks zagryzł wargi. – Te świńskie pomioty dopędzą nas, oby bogowie zesłali na nich krwawą sraczkę.

–Zatem na pagórek? – rzekł z nieszczęśliwą miną Gorgidas. Zgodzili się, że martwe miasto może w razie potrzeby stanowić schronienie, lecz mieli nadzieję, że nie będą musieli z niego korzystać. – To tak, jakbyśmy sami wleźli w pułapkę.

–Wiem, wiem – odparł Gal. – Lecz nie ma na to rady, chyba że wasza czcigodność ma jakiś lepszy pomysł. Pewne jak nic, że na płaskim dogonią nas. W ruinach możemy przynajmniej sprawić, że namęczą się, nim nas wykurzą, i może znajdziemy jakiś sposób, żeby się wydostać. Kiep-

skie to widoki, tak sądzę, lecz lepsze takie niż żadne.

Przylapawszy Yezda na podobnej pozycji, Gorgidas wiedział, jak znikome są to szanse, lecz paru z nich rzeczywiście wtedy uciekło. A bez osłony on i jego towarzysze nie zdołają oderwać się od ścigających; pod tym względem Viridoviks też miał rację. Lekarz szarpnął cugle, zmieniając kierunek biegu kuca. Inni zmierzali już w stronę sztucznego pagórka.

Krzyki, jakie rozległy się z tyłu powiedziały im, że ich manewr został dostrzeżony. Wtedy jednak ściągali już ostro cugle, zwalniając do stępa, by wyszukać drogę w górę stromych, zawalonych gruzem zboczy pagórka. Mynt, najcięższy w swej zbroi, zeskoczył z siodła i wspinał się pieszo, prowadząc wierzchowca. Wkrótce reszta musiała pójść w jego ślady.

Rakio wspinał się ręką w rękę z Viridoviksem. Przedzierając się przez zarośla i szczątki budowli, które przy każdym kroku usuwały się spod nóg, Celt nie zwracał na Rakio większej uwagi, dopóki ten nie trącił go łokciem. Viridoviks spojrzął na niego. Nawet w świetle gwiazd wyraźnie mógł dostrzec zakłopotanie, jakie malowało się na twarzy Rakio. – Dlaczego jesteś tutaj? – zapytał Yr-mido tak cicho, by Gorgidas i

Mynt nie mogli go usłyszeć. – Sądziłem, że moim wrogiem jesteś.

Gdy Viridoviks uświadomił sobie, co znaczą jego słowa, wytrzeszczył oczy na Yrmido. – A mógłbyś mi powiedzieć, co w ogóle doprowadziło cię do tak idiotycznego mniemania?

–Przez rok spałeś z Gorgidasem. – Rakio wyłożył argument, który wydawał mu się zbyt

oczywisty, aby potrzebował wyjaśnień. – Całkiem naturalne, byś odczuwał wobec mnie zazdrość

za to, że ci go odebrałem. Dlaczego nie jesteś zazdrosny?

Przed głośnym wybuchem śmiechu powstrzymała Gala tylko obawa, że ściągnąby tym Yezda. – Och, jakiż z ciebie wielki głupek. W tym naszym namiocie tylko spaliśmy i niekiedy gwarzyliśmy sobie przyjemnie, to wszystko. Lepszego przyjaciela niż Grek nie może być, mimo całej jego zarozumiałości, lecz następna męska dupa, jakiej będę pożądał, będzie też pierwszą.

–Doprawdy? – Teraz z kolei Rakio wyglądał na rozbawionego. Bez względu na to, co i ile wiedział o zwyczajach innych ludów i jak oceniał je w kategoriach zdrowego rozsądku, pod względem emocjonalnym zwyczaję Dozgonnej Wspólnoty były dlań jedynymi prawidłowymi i właściwymi. – Żal mi ciebie.

–Dlaczego jest ci go żal? – zapytał Gorgidas; Rakio, mówiąc to, zapomniał ściszyć głos.

–Niech cię to nic a nic nie obchodzi – rzekł mu Viridoviks. – Po prostu zamknij się i drap do góry. Te nicponie za nami będą tu aż za szybko.

Lecz kiedy Grek obejrzał się, by zobaczyć jak blisko są Yezda, stwierdził z osłupieniem, że widzi właśnie, jak kłusują na wschód, zostawiając za sobą kopiec. Z tego, co do siebie wykrzykiwali, wynikało, że wciąż są przekonani, iż zawzięcie ścigają Rakio i jego wybawców. Mynt powiedział coś w języku Yrmido. Rakio przetłumaczył: – W odpowiedniej chwili oszaleli, lecz dlaczego?

Pytanie było retoryczne, niemniej jednak udzielono na nie odpowiedzi. Jakiś cienki głos zawołał

ze szczytu pagórka:

–Proszę, spotkajcie się ze mną, moi przyjaciele, jeśli macie na to ochotę. – Gorgidasowi wy

dało się najpierw, że słowa te wypowiedziano po grecku, potem po videssańsku.
Zduszone okrzyki

innych przekonały go, że są tak samo oszołomieni; Viridoviks, zaskoczony, rzucił coś w od

powiedzi w swej melodyjnej celtyckiej mowie. W jakimkolwiek języku usłyszeli wezwania, żadne

mu z nich nie przyszło do głowy, by okazać wobec nich nieposłuszeństwo, przynajmniej nie więk

sze niż to, jakie mogli okazać ukochanemu dziadkowi.

Wkrótce musieli spętać konie i pomóc sobie nawzajem na ostatnim odcinku stromego zbocza wiodącego na grzbiet wzgórza. Ten sam chaos zniszczonych wiatrem i wodą murów oraz budynków z suszonych cegieł, jaki Gorgidas widział na miejscu niedosłej zasadzki Yezda, ukazywał im się i tutaj, tym trudniejszy do przebycia, że nie oświetlały go ogniska. Głos rozległ się znowu: – Tędy. – Potykali się wśród ruin czegoś, co niegdyś mogło być miejskim rynkiem, i wreszcie

natknęli się na budowlę, która nie tchnęła starością i zniszczeniem – zadaszenie z krzewów i patyków wsparte na wpół rozwalonym murze.

Coś się tam poruszyło, gdy się zbliżyli. Z przybudówki wyłonił się nagi mężczyzna, początkowo pełznąc na czworakach, nim w końcu z trudem dźwignął się na nogi. Uniósł lewą rękę w geście błogosławieństwa, z jakim Gorgidas i Viridoviks dotychczas się nie spotkali, lecz który Rakio i Mynt odwzajemnili. – W imię każdego z większej Czwórki, witam was czterech.

Gorgidas zastanowił się, skąd pustelnik wie, ilu ich jest; jego oczy były zaciągnięte bielmem i ślepe. Lecz to zdziwienie okazało się niewielkie wobec zdumienia, jakie wywołał w lekarzu fakt, że człowiek ten w ogóle mógł stać. Grek nigdy nie widział równie wychudzonej ludzkiej istoty. Uda miał cieńsze niż kolana; skóra zapadała się pomiędzy sterczącymi żebrami, a właściwie tym, co można było z nich dostrzec za skołtunioną, siwą brodą. Gdyby nie ślepotą, jego twarz mogła niegdyś należeć do księcia; teraz najbardziej przypominał wyglodzonego jastrzębia.

Podczas gdy Gorgidas szacował cechy fizyczne, Viridoviks od razu zgłębił jego istotę. – To święty druid – rzekł Gal – a przynajmniej bliżej mu do takiego niż jakimkolwiek kapłanowi, z którym się tutaj zetknąłem. – Pokłoniwszy się pustelnikowi, zapytał z szacunkiem: – Czy to wasza czcigodność uchroniła nas przed pościgiem Yezda?

–Wysłałem tylko zjawy – powiedział mężczyzna. Albo tak Celt go zrozumiał;

przyglądając

mu się nie zauważył, by usta świętego poruszyły się.

Poczuł zaskoczenie, kiedy z kolei pustelnik skłonił się przed nim, a potem wbił mu prosto w twarz to niepokojące, puste spojrzenie. Usłyszał: – Złamałem swoją zasadę nie wtrącania się w sprawy tego świata z twojego powodu; niesiesz w sobie zbyt wiele przeznaczenia, by warto je było zaprzepaścić w jakiejś drobnej, bezsensownej potyczce.

Teraz wszyscy spoglądali na Viridoviksa; dwaj Yrmido w oszołomieniu, Gorgidas taksująco.

Greki czuła prawdę emanującą z tego człowieka. Tak samo czuł ją Viridoviks, który sprzeciwił się: – Ja? Jestem tylko biednym, samotnym Celtem, próbującym przeżyć... za co muszę ci teraz podziękować. Lecz powinszowania nie są moją mocną stroną.

–O jakim przeznaczeniu mówisz? – wtrącił Gorgidas. Akurat teraz – pomyślał – Virido-

viks musiał dostać tak niezwykłego dlań ataku skromności.

Po raz pierwszy w postawie pustelnika pojawiła się niepewność. – Tego nie mogę i nie potrafię wam powiedzieć. Sam nie widzę tego wyraźnie, a wynik też nie jest pewny. Inne moce, odmienne od mojej, zaciemniają mi obraz, a koniec, na dobre czy na złe, waży się na szali, którą może przechylić piórko. Lecz bez tego przybysza klęska jest pewna. Dlatego właśnie postanowiłem jeszcze raz wmieszać się w człowiecze sprawy, choć to tylko jedna z dwóch potrzebnych rzeczy.

–Och, prawdziwy z niego druid – stwierdził Viridoviks. – Mówi więcej, niż naprawdę chce

powiedzieć. Czy tak samo jest z twoimi wyroczniami, Greku?

–Tak – odparł Gorgidas, lecz w chichocie Gala wyraźnie usłyszał nerwowość.

Rakio odezwał się w mowie Yrmido; mając taki dar do języków, świętobliwy starzec zrozumiał

go bez trudu. Gorgidas zrozumiał zaledwie parę słów; jednym z nich był „Mistrz”, tytuł, jaki nosili kapłani Czterech Proroków. Lekarz z niecierpliwością czekał na odpowiedź pustelnika.

–Uczyłem to wzgórce moją twierdzą przeciwko pokusie, nim jeszcze pojawili się

Yezda –

powiedział – szukając w odwróceniu się od doczesności drogi wiodącej do lepszego życia; tej

drogi, jaką wskazała nam Święta Czwórka. Lecz zabrakło mi sił; moja wiara zachwiała się, kiedy

mordercy nadciągnęli z zachodu i spustoszyli mój kraj, zabili moich wiernych wyznawców, a ja nie

otrzymałem żadnego znaku, że spotka ich za to kara. Często zastanawiałem się, dlaczego postano

wiłem dalej żyć w obliczu takiego nieszczęścia; o ileż łatwiej byłoby pozbyć się cielesnej powłoki i

radować wiecznym szczęściem. Teraz wreszcie wiem, dlaczego tego nie zrobiłem.

Ruszył naprzód chwiejnym krokiem, by objąć Viridoviksa. Celt zrobił wszystko, co w jego mocy, by się nie odsunąć; nie tylko dlatego, że przypominało to uścisk szkieletu, ale i z tego powodu, iż nie sądził, by świętobliwy starzec umył się choć raz od chwili, kiedy tu zamieszkał. Co gorsza, ten ufny dotyk ponownie podkreślił pewność świętego co do czekającego go losu. Bał się bardziej niż podczas jakiegokolwiek bitwy, ponieważ odzierało go to z wolności tak, jak nawet śmierć nie potrafiłaby tego uczynić.

Odsunął się tak szybko, że pustelnik aż się zatoczył. Mynt podtrzymał starca, piorunując Celta spojrzeniem. – Błagam waszą czcigodność o wybaczenie – wydusił z siebie Viridoviks. Spojrzał na swych towarzyszy. – Czy nie powinniśmy się już stąd zabierać, kiedy Yezda zostali tak okpieni i w ogóle?

Zaczęli przytakiwać, lecz świętobliwy starzec zadygotał z gwałtownością, która wzbudziła w Vi-ridoviksie obawę, że zaraz rozsypie się na kawałki. Chwycił ramię Celta z nieoczekiwaną siłą. –

Nie możesz odejść! Te diabły kręcą się jeszcze tutaj i z pewnością zabiją cię, jeśli ośmielisz się stąd odjechać. Muisz zostać i poczekać, nim spróbujesz wrócić do swych przyjaciół.

Mynta i Rakio przekonało to natychmiast. Gorgidas wzruszył ramionami w odpowiedzi na nieme błaganie Viridoviksa.

–Kimkolwiek jeszcze może być ten człowiek – podkreślił lekarz – stwierdziliśmy, że na tyle

jest czarodziejem, by przechytzyć Yezda. Czy ośmielimy się założyć, że nie wie, o czym mówi?

–Mówisz w ten sposób „nie” – westchnął Gal – lecz, och, chciałbym, żebyśmy się ośmielili.

Gdyby Gorgidas wiedział, że czekanie rozciągnie się na cztery dni, zaryzykowałby spotkanie z

Yezda. W towarzystwie Mynta nie czuł się swobodnie z Rakio, tym bardziej że ten ostatni zdawał się czerpać przyjemność z drażnienia go schlebaniem swemu byłemu kochankowi. Również Viri-doviks, nieustannie buntujący się przeciwko temu, co według uporczywych twierdzeń świętobliwego starca miało być jego przeznaczeniem, nie stanowił lepszego towarzystwa. Gal, na przemian ponury i zły, albo pogrążał się w posępnym milczeniu, albo warczał wyzywająco na cały świat.

Zostawał mu pustelnik. Gorgidas robił wszystko, by go rozruszać, lecz okazał się tak opętany wiarą, jak najzagorzalsi videssańscy kapłani-fanatyki. Grek dowiedział się więcej, niż naprawdę chciał wiedzieć o kulcie Czterech Proroków; tyle samo z tego, czego pustelnik nie powiedział, ile z tego, co powiedział. Tak jak Rakio i Mynt, nigdy nie wspominał swego boga czy bogów, uważając boskość za zbyt świętą, by kłaść ją słowami, lecz bez końca mógł mamrotać o przymiotach i aspektach Proroków. Przyłapany choć raz bez przyborów do pisania, Gorgidas starał się zapamiętać tyle, ile potrafił.

Pierwszego ranka ich pobytu w zrujnowanym mieście zapytał starca o jego imię, by móc w jakiś sposób zwracać się do niego. Starzec zamrugał, wyglądając w tej chwili jak jakiś zwykły, zakłopotany śmiertelnik. – Wiesz – odpowiedział – zapomniałem. – Wydawało się, że zupełnie go nie obeszło, kiedy Gorgidas poszedł za przykładem Rakio i zaczął zwracać się doń „Mistrzu”.

Ze zgrozą odmówił przyjęcia części żelaznych racji, które Grek i jego towarzysze wzięli ze sobą. Z gorliwością ascety jadł tylko zebrane własnoręcznie korzonki i jagody. Wodę czerpał z jedynej studni, jaka nie zaważyła się od czasu, kiedy martwe miasto, w którym mieszkał, zostało porzucone. Była ciepła, zamulona i obdarzyła wszystkich jego czterech gości gwałtowną biegunką.

–Nic dziwnego, że jest taki chudy – stwierdził Viridoviks, kiedy wspinał się chwiejnym

krokiem w górę zbocza, gnany potrzebą natury. – Takie jedło i picie wykończyłoby mnie w ciągu

tygodnia, niech skonam, jeśli nie.

Jednak pomimo to wszystko Celt nie ponaglał swych towarzyszy do wyjazdu, nim pustelnik nie orzekł, że jest to bezpieczne. Przez pierwsze dwa dni Yezda nieustannie kręcili się w okolicach wzgórza. W jednym z oddziałów uciekinierzy dostrzegli odzianego w czerwone szaty czarodzieja. Gorgidasowi serce podeszło do gardła z obawy, by czarownik nie przeniknął magicznych osłon

chroniących to miejsce, lecz Yezda w czerwonych szatach minął pagórek i pojechał dalej.

Kiedy wreszcie świętobliwy starzec pozwolił im odjechać, lekarz poczuł, że tym samym spełnił on swe zadanie. I, jak strażnik przestrzegający uwolnionych więźniów przed popełnieniem nowych przestępstw, tak pustelnik ostrzegł ich: – Jedźcie prosto na spotkanie głównych sił waszej armii, a nic się wam nie stanie. Jeśli z jakiegokolwiek powodu zboczycie z drogi, spotka was tylko nieszczęście.

–Nie wiem, jak moglibyśmy zrobić coś innego – zauważył Rakio, gdy pagórek zaczął maleć za nimi. – W tym płaskim, szpetnym kraju niewiele jest rzeczy mogących zwrócić uwagę.

Być może szukając właśnie takiej, mrugnął do Mynta. Gorgidas zgrzytnął zębami i postanowił udać, że tego nie widział.

Podążanie śladem arshaumskiej armii nie zasługiwało na miano tropienia. Pozostałości wojny stanowiły wystarczający drogowskaz; nie pogrzebane zwłoki i końskie trupy, nabrzmiące i cuchnące w promieniach bezlitosnego słońca, stratowane brzegi kanału, gdzie pojono tabun koni, spalona stodoła, która służyła jakiemuś pułkowi za latrynę, porzucone buty, złamany łuk, zagrabiony kobierzec, ciśnięty na ziemię, bo okazał się zbyt ciężki, żeby go ze sobą taszczyć.

Czterej jeźdźcy zmuszali wierzchowce do tak szybkiej jazdy, na jaką mogli się ważyć bez obawy, że zajeżdżą zwierzęta; Arshaumi, opuszczeni przez tak wielu sprzymierzeńców, z pewnością zwiększyli tempo. Oprócz odległych punkcików na horyzoncie, nigdzie nie widzieli śladu Yezda. – Miałeś rację – przyznał Viridoviks, zwracając się do Gorgidasa. Wiedział, co mówi. – Gdyby nie te śmieci i reszta, mogłoby się wydawać, że jedziemy sobie spacerkiem przez wieś.

Następny ranek utwierdził ich w zaufaniu do mocy pustelnika. Chmura kurzu ostrzegła ich o zbliżającej się kolumnie jeźdźców, zanim ta się pojawiła, nadciągając od południa. Znajdowali się właśnie na połaci kraju zmienionej na powrót w pustynię, po zniszczeniu przez Yezda tutejszej sieci irygacyjnej, i spieczona słońcem, brunatna ziemia nie mogła im dać żadnej osłony.

–Do broni! – zawołał Viridoviks, wyszarpując miecz z pochwy. – Nie ma na to rady, jak tyl

ko żebyśmy sprzedali się najdrożej jak potrafimy.

Mynt wyciągnął swój pałasz, piękną broń ze złotymi inkrustacjami na rękojeści. Klepnął pusty uchwyt po prawej stronie siodła i rzekł coś do Rakio. – Chciałby mieć swoją lancę – przetłumaczył Rakio. Nie mogąc się powstrzymać, dodał scenicznym szeptem, zwracając się do Gorgida-sa: -Była naprawdę długa.

–Och, mech diabli wezmą Mynta i jego lancę, a ciebie razem z nimi – warknął lekarz. Czuł

swój pot ściekający na skórzaną okładzinę rękojeści *gladiusa*. Krótki miecz leżał mu w dłoni rów

nie dobrze jak każdy nóż chirurgiczny i zaczynał już władać nim z niejaką zręcznością. Lecz roz-

miary nadciągającej kolumny wojska mogły jedynie wywołać rozpacz perspektywą beznadziejnej walki.

Poprzez wirujący kurz dostrzegał odzianych w zbroje wojowników, z lancami pochylonymi i gotowymi do użycia. Znaczenie tego, co widzi, umykało mu aż do chwili, kiedy Viridoviks zawył z radości i wcisnął gwałtownie miecz do pochwy. – Użyj swoich oczu, człowieku! – zawołał do Greka. – Czy to Yezda?

–Bogowie, nie! – Wraz ze swymi towarzyszami, Gorgidas skierował wierzchowca ku Erzerumczykom.

Rakio rozpoznał ich. – To oddział Gashviliego z Gunib.

Choć Viridoviks dalej krzyczał i wymachiwał rękoma, by pokazać góralom, że nie jest wrogiem, to jednak coś w nim zadrżało. Straszliwa przysięga zobowiązywała Gashviliego, by towarzyszył Ar-shaumom. Jeśli ich porzucił, czy zechce pozostawić świadków, którzy mogliby o tym opowiedzieć? Gal nie wyciągnął ponownie miecza, lecz upewnił się, czy tkwi luźno w pochwie.

Zatrwożył się jeszcze bardziej, kiedy ludzie z Gunib niemal stratowali jego grupę, pomimo przyjaznych okrzyków. Dopiero kiedy Erzerumczycy w końcu się zatrzymali, dostrzegł w nich coś więcej niż tylko groźne postacie za ostrzami włóczni. Chwiali się w siodłach, oczy mieli czerwone ze zmęczenia; każdego okrywał zlepiony potem kurz, znak wyczerpującej jazdy. Strzępy brudnych szat okrywały świeże rany. Chmary much opadały na nich, by pożerać sączącą się ropę albo ciekącą krew. Większość żołnierzy nie zwracała sobie głowy, by je odganiać.

–To pobici ludzie – rzekł cicho ze zdumieniem Viridoviks. Na próżno wypatrywał

złożonych łusek kolczugi Gashviliego. – Gdzie mogę znaleźć waszego dziedzica? – zapytał najbliższego górala.

–Padł – odparł po dobrej chwili Erzerumczyk, jak gdyby musiał zebrać siły, by zrozumieć język Khamorthów, w jakim przemówił Viridoviks.

–Więc bogowie zaopiekują się nim, kiedy się z nimi spotka. Kto teraz wami dowodzi?

Vakhtang przecisnął się przez swoich ludzi, zmierzając ku przybyszom. Obrzucił ich posępnym

spojrzeniem. – Ja dowodzę – rzekł, lecz jego głos nie krył w sobie władzy. Milion mil dzieliło go od pysznego junaka, który wyjechał z fortu Gunib, by stawić czoło ludziom Arigha. Jego ułożona w dwa szpice broda tworzyła teraz rozczochrane kłębowisko opadające na napierśnik, którego złocenie szpeciła rysa od uderzenia miecza, sadza i krew. Chwacki pióropusz już dawno przestał zdobić jego hełm. Z wynędzniałej i wykrzywionej kłeską twarzy patrzyły oczy, nie całkiem ostro, w przestrzeń gdzieś za prawym uchem Viridoviksa.

Był gorzej niż pobity – uświadomił sobie Gal; był ogłuszony, jak od uderzenia maczugą. – Co z waszą przysięgą, złożoną Arighowi? – warknął, zamierzając uszczypliwością ożywić tego przegranego człowieka, jakiego miał przed sobą. – Uciekliście i zostawiliście go samemu sobie, czy

tak? Mimo wszystkich tych magicznych sztuczek i pięknych słów, rzuconych przed waszym wspaniałym zamkiem?

Tak samo bez życia jak przedtem, Vakhtang rzekł: – Nie. Nie jesteśmy krzywoprzysięzcami. – Lecz, wbrew sobie, uniósł głowę; po raz pierwszy spojrzął Viridoviksowi w oczy. Jego głos nabierał stanowczości, w miarę jak ciągnął: – Sam Arigh i jego kapłan Tolui zwolnili nas ze ślubu, kiedy armia zaczęła iść w rozsypkę.

–Opowiedz mi – rzekł Viridoviks, lekceważąc okrzyki trwogi, najpierw Gorgidasa, a potem

Rakio i Mynta, kiedy słowa Vakhtanga zostały przetłumaczone na videssański oraz narzecze Yr-

mido.

Opowieść przerażała swoją prostotą. Yezda, w niespotykanej dotychczas liczbie, wypadli na nich od południa, by powtórzyć, na bez porównania większą skalę, manewr oskrzydający, jaki próbowali przeprowadzić pod Dur-Sharrukin. Arshaumi nigdy przedtem nie spotkali się też z tak zdyscyplinowanym wojskiem; jeden z

pojmany Yezda chełpił się, że wybierał ich sam khagan Wulghash.

Mimo wszystko Arigh nie ustąpił, a nawet rozbił w puch lewe skrzydło Yezda, spychając ich na dopływ Tib. – Nie byle jaki z niego dowódca – rzekł Vakhtang, ożywiając się coraz bardziej, w miarę jak ciągnął opowieść. Lecz jego twarz ściągnęła się znowu, gdy spadły nań wspomnienia niedawnych przeżyć. – Potem zjawiły się płomienie.

Viridoviks zeszywniał w siodle. – Co się pojawiło? – wychrypiał. Targnął się pod wpływem nagłego bólu w rękach. Spojrzał w dół i zmusił się do rozwarcia pięści; poczuł, jak paznokcie wychodzą z ciała.

Nie potrzebował opisu Erzerumczyka, by wyobrazić sobie strzelające linie ognia, pędzące, by rozdzielić i uwięzić nieprzyjaciół ich twórców; Avshar na stepach Pardraji pokazał mu, jak wyglądają w rzeczywistości. Jednak, w miarę jak Vakhtang ciągnął opowieść, zrozumiał, że Arigh nie zetknął się z czarem najwyższej mocy. Szlachcic mówił dalej: – To była bojowa magia; nasi kapłani i szamani zdołali ją po pewnym czasie powstrzymać. Lecz było już za późno, by uratować bitwę; do tego czasu nasze pozycje zostały rozbite tak, że nic już się nie dało zrobić. To właśnie wówczas twoi Arshaumi pozwolili nam odejść. Bogom niech będą dzięki, poszarpaliśmy Yezda tak, że dwa razy się zastanowią, nim ruszą w pościg.

–Wybacz mi proszę, lecz sądzę, że spotkaliście się tylko z drugim rzutem – rzekł Viridoviks. – Gdyby ognie stworzył sam Avshar, a nie jego magowie, żeby ich zaraza, uwolniliby się tylko ci, którym by na to pozwolił.

–Być może – odparł Vakhtang. Paru jego ludzi zjeżyło się, słysząc sugestię, że zostali pobici nie przez doborowe siły Yezda, lecz on był tak znużony, że niewiele go to obeszło.

–Teraz chcę tylko ponownie ujrzeć Gunib. Cieszę się, że natknęliśmy się na was; w powrotnej drodze pomocny nam będzie każdy miecz.

Gorgidas, a potem Rakio, skończyli tłumaczyć; zapadła cisza. Dwaj z nich, Gal i Mynt, spojrzeli po sobie. Rozsądek z pewnością nakazywał odwrót wraz z tą dobrze uzbrojoną grupą, lecz nie potrafili zapomnieć o przestrodze pustelnika, że zmiana trasy przyniesie nieszczęście. Ostatecznie jednak nie to wpłynęło na decyzję Viridoviksa. – Zabrnąłem zbyt daleko, by teraz zawracać – powiedział po prostu.

–I ja – rzekł Gorgidas. – Na dobre czy na złe, to jest moja walka i chcę wiedzieć, jak się skończy.

Jak nic innego, właśnie ta ich decyzja wyrwała Vakhtanga z letargu. – Szaleńcy! –

zawołał. – Skończy się strzałą, która przeszyje wam brzuch, i waszymi kośćmi bielejącymi w tym przeklętym słońcu. – Zwrócił się do dwóch Yrmido; rozpostarł błagalnie ręce i przemówił do nich po vaspura-kańsku.

Mynt odpowiedział nagłym, gwałtownym skinieniem głowy. Między nim i Rakio wywiązała się prowadzona przyciszonymi głosami dyskusja; z tej odrobiny, którą zrozumiał Gorgidas wynikało, że Mynt powtarza argumenty Vakhtanga. Rakio głównie słuchał; na jego twarzy malowało się niezdecydowanie. Kiedy w końcu odpowiedział, Mynt zagryzł wargi w rozpacz. Rakio przeszedł na videssański: – Pojadę na południe. Lekceważenie słów świętego pustelnika, który dowiódł, jakimi łaskami obdarzyła go Czwórka, sprawia na mnie wrażenie jeszcze większego szaleństwa.

Kiedy Mynt zrozumiał, że nie zdoła przekonać swego rodaka, objął go z czułością, jakiej żaden kochanek nic mógłby odmówić swemu ukochanemu. Potem ruszył naprzód, by dołączyć do ludzi z Gunib. Vakhtang uniósł obie pięści do czoła, w pełnym wdzięczności salucie.

–Życzę wam szczęścia, jakiego się dla was nie spodziewam – zwrócił się do pozostałej trój

ki. Machnął ręką na swoją sponiewieraną grupę. Ruszyli na północ na swych okrytych pianą, dys

zących koniach, przy absurdalnie wesołym podzwanianiu uprzęży.

Wkrótce kurz i odległość uniemożliwiły odróżnienie sylwetki Mynta od otaczających go wojowników z Gunib. Rakio westchnął cicho. – To wspaniały, dzielny towarzysz i tęsknić za nim będę – rzekł. Jego oczy przebiegły po twarzy Gorgidasa, badając jej wyraz.

Viridoviks zrozumiał podtekst. Natarł gwałtownie na Yrmido. – Czy ty jesteś jakimś kotem, żeby się tak zabawiać? Dobij biedaka albo zostaw go w spokoju.

–Zamkniesz się czy nie? – wrzasnął Gorgidas, purpurowy na twarzy i wściekły.

Rakio, śmiejąc się, spojrział z ukosa na Gala. – Jesteś pewien, że to nie zazdrość? – Powa

źniejąc, ciągnął dalej:

–Czy miałem wyłożyć Myntowi wszystkie powody, dla których zdecydowałem się pojechać z

wami? To tylko zabolaloby go niepotrzebnie.

Ta przemowa sprawiła, że obaj jego towarzysze zamilkli. Ruszył na południe wzdłuż szlaku, którym nadciągnęli ludzie Vakhtanga. Viridoviks i Gorgidas podążyli jego śladem. Żaden z nich nie

spojrzał drugiemu w oczy.

IX

Pieniądze zadźwięczały na dłoni Marka. – Cztery i pół – powiedział Tahmasp. – Jedna za miesiąc pobytu z nami, reszta to należny udział z puli zysku. – Dwie sztuki złota pochodziły z mennic Yezd, z wybitą na nich yezdańską skaczącą panterą i napisem, którego trybun nie potrafił odczytać, reszta zaś z Videssos. Nawet w Mashiz imperialne złoto miało swoją wartość.

Gajusz Filipus podszedł do Tahmaspa, żeby odebrać zapłatę.

–Zarobiliśmy więcej za czas służby, gdybyś nie obrał południowego szlaku – powiedział.

Tahmasp zrobił kwaśną minę. – Wasz udział w zyskach też byłby większy. – Kraje leżące pomiędzy Tubtub i Tib pozwoliłyby mu zarobić na handlu dwa razy więcej, niż wyciągnął z trasy biegnącej skrajem pustyni, lecz najazd barbarzyńców pograżył Sto Miast w zamęcie.

Zwierzchnik karawany objął po kolei każdego Rzymianina niedźwiedzim uściskiem. – Jesteście pewni, bękarty, że nie pokręcicie się tutaj, dopóki znowu nie wyruszę?

–Za parę miesięcy? – Marek potrząsnął głową. – Mało prawdopodobne.

–Nie żeby mnie obchodziło bardziej niż wczorajsze pierdnięcie, co się z wami stanie – powiedział Tahmasp, ale zatroskana mina zadała kłam jego gburowatym słowom – lecz dwaj mężczyźni samotnie jadący przez Yezd mają taką samą szansę wyjścia z tego cała, jak dwa jajka przeznaczone na jajecznicę.

–Prawdę mówiąc, myślę, że samotna jazda może nam wyjść na dobre – odparł trybun. – Przynajmniej nie będziemy przyciągać koczowników tak bardzo, jak ten twój wędrowny dom wariatów. – Yezda roili się jak muchy przez pierwsze dwa tygodnie od opuszczenia Amorionu. Porzucenie wówczas karawany oznaczałoby śmierć, nawet bez obietnicy Tahmaspa, który ślubował zgubę dezterterom.

Później mogli zbiec bez trudu, lecz do tego czasu zdążyli wraz z innymi stawić czoło niebezpieczeństwu trzech zaciekłych potyczek oraz spędzili niezliczone godziny na nocnych wartach i rozmowach wokół obozowych ognisk, co na trwałe związało ich z całą kompanią. Łatwo porzucić obcych; wcale nie tak łatwo przyjaciół. I tak oto – pomyślał Skaurus – znaleźli się w sercu Yezd, wyłącznie przez wzgląd na lojalność.

Wydawało się to dziwne i nie bardzo sprawiedliwe.

Tahmasp potrząsnął ręką Gajusza Filipusa, klepnął Marka po plecach. Jak zawsze, trybun przygotował się na to; jak zawsze, zatoczył się. – Macie rozum pary

otumanionych słońcem osłów, ale życzę wam powodzenia. Jeśli przeżyjecie, w co wątpię, może się jeszcze spotkamy. – Zwierzchnik

karawany odwrócił się. Dla niego byli już przeszłością.

Wyprowadzili konie z ufortyfikowanego domu składowego w cieniu popołudnia Mashiz. Marek, spojrzawszy na wschód, mógł zobaczyć wciąż jeszcze lśniące jasno słońce, lecz szczyty Dilbat rzucały na miasto wczesny zmierzch. Pod pewnym względem należało to traktować jak błogosławieństwo, ponieważ zamykało dostęp upałowi yezdańskiego lata. W porównaniu z Yezd, temperatury panujące na centralnym płaskowyżu Videssos wydawały się umiarkowane.

–Co teraz? – zapytał Gajusz Filipus, skoncentrowany na najbardziej palących problemach. –

Jeśli o mnie chodzi, jestem za tym, żebyśmy jak najszybciej się stąd wynieśli. Tahmasp jest znany i

mile widziany w tym mieście.

Marek skinął z wolna głową. Inne jeszcze cienie poza tymi, jakie padały od gór Dilbat, kładły się na Mashiz. Rozejrzał się, próbując zlokalizować źródło niepokoju. Nie wywoływały go budowle; tego przynajmniej był pewien. Wzrok zaczął już przywykać do wysmukłych wieżyc zwieńczonych cebulastymi kopułami, do spiczastych łuków, szerszych niż znajdujące się pod nimi drzwi i do kwadratowych kolumn, pokrytych mozaiką układaną w geometryczne wzory. Mashiz wydawało się bajkowo obce, lecz makurańska architektura była tylko odmienna, nie złowieszcza.

Yezda, zaledwie od dwóch pokoleń żyjący poza stepem, nie byli ludem budowniczych. Jednak mimo wszystko odbili na Mashiz swe piętno. Trybun zastanawiał się, jakie rozmiary przybrało plądrowanie, kiedy miasto padło. Odnosiło się wrażenie, że w co drugim kwartale domów znajduje się zniszczony budynek, a co druga budowla wymagała remontu. Ta atmosfera rozkładu, z wolna przemieniającego się w ruinę, stanowiła część problemu – uznał Skaurus.

Lecz tylko część. Wśród zniszczonych budynków przeważały zdecydowanie świątynie Czterech Proroków; Yezda odnosili się do narodowego kultu Makurańczyków równie bestialsko, jak wobec wyznania Phosa. Po drodze na miejski rynek Rzymianie minęli zaledwie dwie ocalałe świątynie. Obie mieściły się w małych budynkach, prawdopodobnie będących niegdyś prywatnymi siedzibami, i do tego dość skromnymi.

Dalej w kierunku zachodnim, bliżej obrzeża Mashiz, stała jeszcze jedna świątynia, niegdyś poświęcona Czwórcę; olśniewająca piramida z czerwonego granitu, bez wątpienia odpowiednik Głównej Świątyni Phosa w Videssos. Jednak Yezda uznali ją

za swoją własną. Wyryte na każdej ścianie, brutalnie zamazujące płaskorzeźby opowiadające historię Czterech Proroków, raziły oczy bliźniacze pioruny Skotosa. Chmura gęstego, brunatnego dymu unosiła się nad budowlą. Kiedy wiatr zmienił się i przywiał ku nim strzępiasty fragment chmury, zarówno Marek jak i Gajusz Filipus zaczęli kaszleć od fetoru, jaki ze sobą niosła.

–Wiem, co się tu pichci i z czego – rzekł pośępnie starszy centurion.

Mieszkańcy Mashiz – uświadomił sobie Skaurus – czują tę chmurę każdego dnia swego życia.

Nic dziwnego, że gdy szli ulicą, przemykali się po niej ukradkiem, wtapiając się w najgłębsze

cienie budynków, spoglądali na przybyszów z ukosa i z rzadka wznosili głos ponad szept. Nic dziwnego, że urodzeni pyszałkowie, tacy jak Tahmasp, większość swego czasu spędzali na szlaku.

W Mashiz pysznili się Yezda. Pieszko czy wierzchem, z butą zdobywców paradowali środkiem ulicy i oczekiwali, że wszyscy inni będą schodzili im z drogi.

Tutaj Rzymianie po raz pierwszy zobaczyli kapłanów Skotosa; sprawiali wrażenie upiornej parodii duchownych, którzy służyli Phosowi. Nosili szaty koloru krzepnącej krwi – by nie rzucała się na nich w oczy przelana krew ich ofiar – pomyślał ponuro Marek. Czarny symbol swego boga nosili na piersiach; włosy mieli przystrzyżone w kształt podwójnej błyskawicy. Miejscowi umykali na boki, ilekroć ujrzeli zbliżającą się parę kapłanów; nawet Yezda wydawali się nerwowi w ich pobliżu.

Nie odezwali się do Skaurusa, co niezmiernie mu odpowiadało.

Ku jego uldze na rynku panowało coś w rodzaju normalności. Obrazki i odgłosy handlu były takie same, bez względu na to, gdzie gromadzili się ludzie. Nie musiał znać gardłowego makura-ńskiego języka, by zrozumieć, że ten klient twierdzi, iż rzeźnik oszukał go albo że tamten ma zamiar wytargować korzystną cenę od kupca bławatnego, nawet jeśli miałyby to trwać całą noc.

Marek obawiał się, że będzie musiał targować się na migi, lecz większość sprzedawców znała parę słów po videssańsku: oznaczenia liczb, tak, nie i dość obelg, by odpowiednio przyprawić odmowę. Kupił twarde ser, grubo mieloną mąkę i małą blachę, na której mógł piec placki. Potem wpadł na szczęśliwy pomysł, by dodać do tego worek ciastek wypiekanych na vaspurakańską modłę; kulek z pożywnej mieszaniny mąki, siekanych migdałów i mielonych daktyli, obsypanych cukrem.

–„Książęce jajka” – rzekł piekarz, chichocząc, gdy zawiązywał worek. Marek słyszał

już ten żart, lecz śmiechem, jakim nań odpowiedział, zbił parę miedziaków z ceny.

–Potrzebujemy coś jeszcze? – zapytał Gajusza Filipusa.

–Nową manierkę – odparł centurion. – Przy tej lut puścił na spoinie i przecieka. Może położenie nowego lutu wystarczy, lecz coś z tym trzeba zrobić, tak czy inaczej. W takim kraju jak ten utrata wody może zabić, i to szybko.

–Zatem znajźmy druciarza albo kotlarza. – Ku zaskoczeniu Marka żaden druciarz, jak się wydawało, nie kręcił się po placu, a piekarz nie rozumiał videssańskiego słowa.

–Niczego takiego nie mają tutaj, jak rozumiem. Och, tak, chodzi o kowala.

Dzielnica kotlarzy znajdowała się niedaleko rynku. Piekarz wskazał drogę. – Trzy przecznice w

górze, i jeszcze dwie.

Rzymianie usłyszeli odgłosy bójk w głębi uliczki. Usłyszało je również kilku miejscowych, którzy nie zwrócili na nie uwagi; jeśli nie im się to przydarzyło, nie chcieli nic o tym wiedzieć. Lecz kiedy Skaurus i Gajusz Filipus zbliżyli się do zaułka, zobaczyli jakiegoś mężczyznę, wsparte-

go plecami o ścianę z glinianych cegieł i rozpaczliwie wymachującego pałką w obronie przed czterema napastnikami.

Rzymianie spojrzeli po sobie. – Wyrównamy szanse? – zapytał Marek. Nie czekając na odpowiedź, skoczył na swego konia. Gajusz Filipus siedział już w siodle. Miał teraz lepszego wierzchowca niż tamten siwek, mocnego wałacha, kasztanka z białą gwiazdką pomiędzy oczyma.

Rabusie odwrócili się gwałtownie, gdy grzmot końskich kopyt wypełnił wąską uliczkę. Jeden uciekł. Drugi cisnął w trybuna sztyletem, lecz chybił w pośpiechu. Wierzchowiec Skaurusa powalił go i stratował, Trzeci zbir zamachnął się buławą na Gajusza Filipusa, który sparował uderzenia swym *gladiusem*, a potem pchnął nim, przeszywając napastnikowi gardło. Ostatni rabuś rzucił się na centuriona i próbował ściągnąć go z siodła, lecz niedoszła ofiara podskoczyła na pomoc swym wybawcom. Cios pałki zmiażdżył potylicę bandyty.

Marek ruszył za rozbójnikiem, który wybrał ucieczkę, lecz mężczyzna umknął mu, zniknąwszy w labiryncie krętych zaułków. Kiedy Skaurus wrócił, uratowany przez nich mężczyzna pochylał się właśnie nad stratowanym rozbójnikiem, który jęczał i rzucał się na ziemi. Mężczyzna wyciągnął składany nóż, szarpnął głowę bandyty odchylając ją do tyłu, i poderżnął napięte gardło.

Skaurus zmarszczył brwi na widok tak doraźnie wymierzonej sprawiedliwości, lecz stwierdził, że rozbójnik miał prawdopodobnie szczęście, unikając dostania się w ręce tych, wśród których Yez-da uchodzili za stróżów porządku.

Mężczyzna powstał i skłonił się nisko najpierw jednemu, a potem drugiemu Rzymianinowi. Był mniej więcej w wieku Marka i niemal tak wysoki jak trybun, lecz znacznie szczuplejszy. Twarz miał długą i wychudłą, z zapadniętymi policzkami. Jego oczy, posępne i mroczne, również spoglądały z zapadniętych oczodołów.

Skłonił się ponownie, mówiąc coś po makurańsku. Marek zdążył nauczyć się z tego języka dokładnie tyle, by móc odpowiedzieć, że nie rozumie. Bez większej nadziei zapytał:

–Mówisz po videssańsku?

–Tak, w rzeczy samej. – Mówił z silniejszym akcentem niż Tahmasp, lecz jednocześnie z większą ogładą. – Czy mogę zapytać o imiona moich wybawców?

Rzymianie spojrzeli po sobie, wzruszyli ramionami i przedstawili się.

–Winien wam jestem wdzięczność, panowie. Jestem Tabari. – Powiedział to tak, jak gdyby

powinni wiedzieć, kim jest Tabari. Marek spróbował pokazać miną, że zrobiło to na nim odpowied

nie wrażenie. Gajusz Filipus chrząknął.

W tej właśnie chwili oddział łuczników wypadł z za rogu. Ktoś w końcu musiał zawiadomić straż o toczącej się bójce. Dowódca Yezda zobaczył ciało rozbójnika leżące na ziemi w kałuży krwi i warknął coś do swoich ludzi. Wymierzili napięte łuki w Rzymian i Tabariego.

Skaurus i Gajusz Filipus znieruchomieli, dbając, by nie uczynić żadnego ruchu mieczami, które

wciąż dzierżyli w dłoniach. Tabari pewnym siebie krokiem postąpił naprzód. Rzucił parę zdań w języku Yezda. Jeźdźcy ze straży miejskiej opuścili łuki tak szybko, że jednemu wypadła strzała. Ich dowódca zgiął się w niskim ukłonie.

–Tak jak powiedziałem, jestem Tabari – rzekł uratowany przez Rzymian mężczyzna, ponow

nie zwracając się ku nim – minister sprawiedliwości mego pana, wielkiego khagana Wulghasha.

–Nagle jego oczy przestały wydawać się Markowi posępne. Stały się groźne. Sprawiedliwość, tu i

teraz, oznaczała dla trybuna więzienie, a on miał już więzień dość na całe życie.

Tabari ciągnął: – Pozwólcie mi, traktując to jako skromny wyraz mej wdzięczności, przedstawić was na przyjęciu, jakie odbędzie się dziś wieczorem na dworze. Z pewnością mój pan Wul-ghash zwróci uwagę na wasze męstwo i wielkoduszność, i nagrodzi was tak, jak na to zasługujecie. Moje własne zasoby, obawiam się, są na to zbyt skromne, lecz wiedzcie, że posiadacie moją dozgonną wdzięczność.

–Wulghash? Och, co za kurewskie szczęście! – stęknął po łacinie Gajusz Filipus.

–Z pewnością czynisz nam zbyt wielkie honory – zwrócił się Marek do Tabariego, dokładając wszelkich starań, by wyrazić grzeczną odmowę. – Nie wiemy nic o dworach ani o dworskich manierach...

–Mój pan Wulghash nie dba o nie i powiem wam, że ogromną radość sprawi mu możliwość okazania swej łaski ludziom, którzy uratowali jego ministra sprawiedliwości, nawet jeśli – w głosie Tabariego zabrzmiała ironia – nie znana im była jego pozycja. – Zwrócił się do yezdańskiego podoficera, który odpowiedział ukłonem. – Obecny tu Rhadzat zaprowadzi was do pałacu. Uczyniłbym to sam, lecz obawiam się, że mam do załatwienia pilną sprawę, w której usiłował mi przeszkodzić ten martwy zbójcecki pies i jego wspólnicy. Spotkam się z wami dziś wieczorem. Zatem do zobaczenia, przyjaciele.

–Do zobaczenia – odpowiedzieli mu Marek i Gajusz Filipus z osobliwym brakiem entuzjazmu.

W przeciwieństwie do rozrzuconego pałacowego kompleksu stolicy Videssos, dwór Mashiz mieścił się w pojedynczym budynku. Wielkie kamienne bloki, z których go zbudowano, wyglądały, jak gdyby wyrwano je z serca gór. Mierząc wzrokiem wygładzone niepogodą lat zewnętrzne mury, Marek domyślił się, że pałac był twierdzą, nim jeszcze Mashiz stało się miastem.

Kiedy znaleźli się już w obrębie wałów, z oddziału Rhadzata odłączyło się dwóch Yezda, by zaprowadzić konie Rzymian do stajen. Wiedząc, jaką troską Yezda otaczali własne wierzchowce, Skaurus miał pewność, że jego koń może oczekiwać z ich strony równie znakomitej obsługi. Jednak w żaden sposób nie uspokoiło go to. Odsunięcie od własnych wierzchowców mogło jedynie utrud-

nić Rzymianom ewentualną ucieczkę.

Rhadzat zaprowadził trybuna i starszego centuriona do wejścia, gdzie jakiś służący zmierzył całą trójkę pełnym niesmaku spojrzeniem. Sługa, z pochodzenia

Makurańczyk, szczupły, ciemnoskóry i wytworny, miał na sobie brokatowy kaftan i sandały ze złotymi sprzączkami. Jego wyniosła postawa zniknęła, kiedy yezdański oficer wyjaśnił, po co przybyli. Służący z kocim wdziękiem pokłonił się Rzymianom. Zawołał w głąb korytarza, przywołując innego służącego. Kiedy mężczyzna zjawił się, pierwszy służący przemówił do Rzymian w swym własnym języku. Marek wzruszył ramionami i rozłożył ręce. We wzroku odźwiernego pojawił się cień dawnego szyderstwa. – Zechciejcie pójść za nim – rzekł po videssańsku, wolno, chropawo, lecz całkiem wyraźnie.

Ich przewodnik mówił tylko po yezdańsku i makurańsku.

Trajkotał bez przerwy, nie dbając o to, czy jest rozumiany, czy nie, gdy prowadził Rzymian podejściem z zielonego marmuru, wypolerowanego tak, że aż odbijał światło pochodni, umieszczonych co kilka stóp na ścianie w złożonych, kinkietowych lichtarzach. Jego pantofle na miękkich podszewkach sprawiały się lepiej na gładkiej powierzchni niż *caligae* Rzymian; zachichotał głośno, kiedy Gajusz Filipus poślizgnął się i niemal upadł.

Tapczany w holu wypełniał puch, a pokrywał je miękki zamsz. Słodczyce, jakie służba pałacowa podała na srebrnych tacach, napełniały usta delikatnym aromatem. Obserwując cienie przesuwające się po ozdobnych ściennych obiciach, Marek czuł się jak mucha pochwycona delikatnie lecz nieodwołalnie w jedwab pajęczej sieci.

Sala zdążyła pogrążyć się w półmroku, nim powrócił dworski urzędnik, by zabrać Rzymian dalej. U wejścia do sali tronowej przekazał swych podopiecznych innemu szambelanowi, makura-ńskiemu eunuchowi w podeszłym wieku, który miał na sobie kaftan z niemal przezroczystego jedwabiu.

Ten znał nieco videssański. – Nie musicie składać pełnego hołdu, kiedy będziecie przedstawiać się khaganowi Wulghashowi – rzekł, prychnając z potępieniem na barbarzyńską bezceremonialność swego pana. – Ukłon wystarczy. Zachowuje się tak jak jego dziadek – jak gdyby zwyczaje jakiegoś pożerającego jaszczurki koczownika były obowiązujące. – Kolejne prychnięcie. – Pozwala nawet swej pierwszej żonie zasiadać obok siebie. – Trzecie prychnięcie, głośniejsze niż dwa poprzednie.

Marek nie zwrócił na to większej uwagi. Sala tronowa była długa i wąska; trybun, czuł, jak jego buty toną w gęstej wełnie kobierca, kiedy zmierzał ku odległej parze wysokich tronów z kości słoniowej. Starając się nie kręcić za bardzo głową, próbował wypatrzeć Tabariego, lecz w migotliwym świetle pochodni każdy z tu obecnych był podobny do swego sąsiada.

Ruchome cienie, rzucane przez płonące pochodnie, wcale też nie przyczyniały się do uwydatnienia zarysów płaskorzeźb zdobiących ściany, pod którymi stała szlachta Yezd. Jak tamte, zatarte i

zeszpcone na świątyni obecnie należącej do Skotosa, tak i te wyrzeźbiono w przeładowanym ozdobami stylu, który nie miał nic wspólnego z surowością videssańskiej sztuki. Jedna z płaskorzeźb przedstawiała scenę myśliwską, z jakimś dawno zapomnianym makurańskim królem, przeszywającym mieczem lwa. Inna... oczy Marka rozszerzyły się, kiedy rozpoznał insygnia postaci ukazanej na klęczkach przed jeszcze jakimś siedzącym na koniu królem. Tylko Autokrata nosił taki strój. Idący obok niego Gajusz Filipus zachichotał cichuteńko.

–Zastanawiam się, co też ci pyszałkowaci Videssańczycy mają do powiedzenia o tym w swoich dziejach – szepnął.

Kiedy Rzymianie zbliżyli się do tronów, wyszedł im na spotkanie herold. Ujął ręce gości i uniósł je nad ich głowy – wcale niełatwy wyczyn; był o kilka cali niższy od Gajusza Filipusa – i zawołał coś po makurańsku i w języku Yezda. Skaurus wychwycił swoje imię i imię centuriona.

Deszcz oklasków spłynął na Rzymian. Paru makurańskich panów, widząc, że goście są cudzoziemcami, zawołało: – Brawo! – po videssańsku. Trybun wreszcie dostrzegł Tabariego, siedzącego niemal na samym przodzie. On i inni Makurańczycy wiwatowali głośniejsze i dłużej niż ich yezda-ńscy towarzysze. Była to podniosła chwila, choć Marek zastanowił się, ilu z klaszczących teraz mężczyzn wiodło armie w głąb Imperium.

Herold poprowadził ich ku tronom. Khagan siedział na wyższym, tym ustawionym z prawej strony. Wulghash miał na sobie nakrycie głowy przypominające te, jakie nosili uwiecznieni na ścianach sali tronowej makurańscy królowie: wysoką, stożkową koronę ze sztywnego białego filcu, z nausznikami sięgającymi mu niemal do barków. Pionowy rząd drogich kamieni biegł od krawędzi aż po szpic korony; podwójna opaska z końskiego włosia tworzyła diadem na czole khagana. Marek przyjrzał się uważnie Wulghashowi – wcale nie chciał spotkać się z władcą Yezd, lecz nie zamierzał marnować okazji, jaka mu się nadarzyła. Khagan był śniadoskórym mężczyzną, w wieku mniej więcej pięćdziesięciu lat. Gęsta broda, równo ścięta na dole, miała kolor soli zmieszanej z pieprzem, z przewagą soli. Kanciaste rysy twarzy układały się w twarde wyraz, częściowo łagodzony znużonymi, inteligentnymi oczyma. Szeroki w barach i dobrze zbudowany, ledwie zaczynał tyć w pasie.

–Ostrożnie – szepnął Gajusz Filipus. – To nie jest człowiek, z którym warto by zadzierać. –

Skaurus odpowiedział ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy; odniósł dokładnie takie samo wra

żenie.

Herold zatrzymał Rzymian w miejscu, gdzie kończył się kobierzec, na kamiennej płycie wygładzonej w ciągu stuleci tysiącami stóp. Pokłonili się, co wywołało nowe oklaski. Zabrzmiały jeszcze głośniejsze, kiedy Wulghash powstał z tronu i podszedł do niego, by uścisnąć mu rękę – jego własna ręka była krzepka, sucha i pokryta zrogowaciałą skórą, bardziej jak ręka żołnierza niż biurokraty – i objąć ich.

–Uratowaliście drogiego mi dworzanina i członka rządu, czym zyskaliście sobie moją przyjaźń

–rzekł Wulghash. Żaden dworzanin Thorisina nie potrafiłby wyrazić się po videssańsku płynniej i

z większą oglądą. – Pozwólcie mi przedstawić sobie moją pierwszą królową, Atossę.
– Skinął na

kobietę siedzącą na niższym tronie.

Przyglądając się z uwagą Wulghashowi, trybun ledwie rzucił na nią okiem. Atossa, mniej więcej w wieku khagana, wciąż jeszcze zwracała uwagę swoją pięknnością. Uśmiechnęła się i przemówiła po makurańsku. – Przeprasza, że nie potrafi podziękować wam w takim języku, jaki moglibyście zrozumieć – przetłumaczył Wulghash.

Marek odwzajemnił się pierwszym komplementem, jaki wpadł mu do głowy. – Proszę, powiedz jej, panie, że jest równie uprzejma, co piękna. – Atossa po królewsku pochyliła głowę. Trybun odpowiedział ukłonem, czując zamęt w myślach. Oto, z ręką po przyjacielsku złożoną na jego ramieniu, stoi nieprzejejdany wróg Videssos, człowieka, którego Avshar nazywa panem. Gdyby wyszarpnął sztylet zza pasa, pchnął...

Nie poruszył się. Nie potrafił w taki sposób pogwałcić łaskowości Wulghasha. Jaki sens miałyby walka z Avsharem, gdyby poniżył się do korzystania z jego metod? Nic nigdy przedtem nie doprowadziło go bliżej do zrozumienia dualizmu Videssos niż ta właśnie myśl.

Czysty świst piszczałki przeciął paplaninę dworzan. Twarze wszystkich obecnych pojaśniały. – Uczta gotowa – wyjaśnił Wulghash – i to w sam czas. – Podał rękę Atossie, która wstała z tronu i ujęła go pod ramię. Rzymianie ustawili się w szeregu za królewską parą.

Sala bankietowa, choć urządzona w zwykłej pałacowej komnacie, była niemal tak duża jak Sala Dziewiętnastu Tapczanów w Videssos. Światło pochodni iskrzyło się w błękitnych kryształach oraz w złotych i srebrnych blaszkach abstrakcyjnej mozaiki,

która pokrywała ściany. Jako goście honorowi, Rzymianie zasiedli na zaszczytnych miejscach; Skaurus zajął miejsce po prawej ręce Wulgha-sha, natomiast Gajusz Filipus po lewej Atossy.

Khagan powstał, by wznieść toast na ich cześć. Pił wino, tak jak ci szlachcice, którzy według Marka byli Makurańczykami. Większość yezdańskich wodzów wolała swój tradycyjny kumys. Kiedy bukłak ze sfermentowanym kobyliim mlekiem dotarł do trybuna, ten z grzeczności łyknął odrobinę i podał Wulghashowi. Khagan zmarszczył mięsisty nos i nie kosztując, przekazał bukłak dalej.

–Mamy również wino z daktyli, jeśli miałbyś na nie ochotę – zwrócił się do Rzymianina.

Marek, wzdrygnąwszy się, odmówił grzecznie. Miał okazję skosztować tego napitku podczas pod

róży z Tahmaspem. Był tak słodki i lepki, że przy nim sycąco mdłe videssańskie wino wydawało się

przyjemnie wytrawne.

Część potraw stanowiło proste pożywienie koczowników: placki z pszennej mąki, jogurt i pieczone mięso. Z drugiej jednak strony, Wulghash przedkładał upodobania Makurańczyków nad

gusta swych przodków. Zajadając się nadzieniem z koziego mięsa i oliwek podanym w liściach winorośli, różnymi pieczonymi w cieście ptakami śpiewającymi, gotowanymi i podsmażanymi jarzynami oraz baraniną opiekaną w sosie z gorczycy, rodzynek i wina, Skaurus stwierdził, że nic nie może zarzucić upodobaniom khagana. A przy pikantnej zupie ryżowej wręcz rozpromienił się; spotkał się z tym daniem w pewnej makurańskiej gospodzie w Videssos, owej pierwszej, magicznej zimowej nocy, którą spędził z Alypią Gavras.

Myśl o niej spowiała całą tę uroczystość w aurę dziwności i uczyniła ją w jakiś sposób nierzeczywistą. Co robi tutaj, po latach walki z Yezda, tocząc uprzejmą, banalną rozmowę z księciem, którego ludzie pustoszyli jego nową ojczyznę – bo za taką przywykł już uważać Imperium? I co tu robi Wulghash jako ów książę? Wydawał się być wszystkim, tylko nie potworem, jakiego w tej roli wyobrażał sobie Skaurus, ani też głodnym łupu barbarzyńcą. Najwyraźniej zdolny władca, znajdował się w takim samym stopniu pod wpływem cywilizacji Makuranu, co wielki hrabia Drax pod urokiem osiągnięć Videssos. Wiodąca rola, jaką odgrywał w spustoszeniach

będących dziełem Yezda, stanowiła zagadkę, której trybun nic potrafił rozwiązać.

Pierwszą wskazówkę otrzymał, kiedy oficer łącznikowy, Jeszcze spocony po

podróży, dostarczył khaganowi plik komunikatów. Wulghash przebiegł je szybko wzrokiem, z każdą kartką wzbierając coraz większym gniewem. Powarkując, wyrzucił z siebie potok rozkazów.

Kiedy posłaniec przerwał mu jakimś zastrzeżeniem czy pytaniem, khagan z rozdrażnieniem uderzył się ręką w czoło. Zaczął pisać na odwrocie jednego z komunikatów szybkimi, wściekłymi pociągnięciami pióra. Potem zanurzył sygnet, jaki nosił na środkowym palcu prawej ręki, w sosie musztardowym i odcisnął rozmazaną, żółtobrazową pieczęć na swych rozkazach. Posłaniec zasalutował, wybałuszając oczy, chwycił pergamin i wycofał się pospiesznie.

Wulghash, nie mogąc pohamować gniewu, jednym łykiem opróżnił swój puchar rzeźbiony na kształt rogu w kości słoniowej. Zwrócił się do Marka: – Są chwile, kiedy wydaje mi się, że wszyscy moi dowódcy to idioci, wpadający w panikę z powodu byle cienia. Najeżdżają Erzerum od czasów rządów mego dziada, czy można się dziwić, że górale próbują niekiedy oddać? Jednak znam na to lekarstwo. Uderzyć w nich z trzech stron jednocześnie, tak żeby ich armia rozpadła się na te wszystkie małe, odrębne grupy, i już nie stanowią żadnego zagrożenia. Zaczęliśmy już tak robić; teraz musimy tylko wytrwać przy tym. A głowy zaczęły się już wspinać do ich dolin. Górale długo będą się zastanawiali, nim wyruszą na kolejną wyprawę.

–Głowy? – powtórzył trybun.

–Zabitych w walce, jeńców, co za różnica? – rzekł Wulghash z bezlitosną obojętnością. – Dopóki Erzerumczycy rozpoznają większość z nich, spełniają swoje zadanie.

Khagan uderzył pięścią w stół; Atossa ujęła jego lewe ramię, próbując go uspokoić. Strząsnął z siebie jej rękę. – To *mój* kraj – oświadczył dumnie Skaurusowi – i kiedy będę przekazywał go

memu synowi chcę, by był większy niż wówczas, kiedy otrzymałem go od swego ojca. Pobitem Vi-dessos; czy mam pozwolić, by zgraja jakichś drugorzędnych górskich szczurów pokonała mnie?

–Nie – odparł Marek, lecz poczuł dreszcz strachu. Życzenie Wulghasha nie było naganne,

lecz khagana nie obchodziły środki, jakimi zamierzał je spełnić. Człowiek, który obrał taką drogę

–pomyślał trybun – zmierza skrajem otchłani. By ukryć niepokój, zapytał: – Twemu synowi?

Jak mógłby to zrobić każdy ojciec, Wulghash nabrzmiał dumą. – Khobin to

wspaniały chłopiec, nie, nie mogę już go tak nazywać. Wszedł już w męski wiek i ma własnego synka. Jak ten czas leci. Strzeże dla mnie północno-zachodnich granic pilnując, by ci cuchnący Arshaumi pozostali po swojej stronie Degirdu. Będą z nimi kłopoty; poselstwo, jakie posłałem do nich w zeszłym roku, nie powiodło się.

Skaurus stłumił falę podniecenia, jaka go ogarnęła. Jeśli yezdańskie poselstwo nic nie wskórało, to może misja Videssos z posłaniem do stepowych plemion zakończyła się powodzeniem. Zastanowił się, jak też miewają się Viridoviks i Gorgidas, a nawet poświęcił myśl Pikridiosowi Gou-delesowi. Gryzipiórek był łobuzem, lecz sprytnym jak mało kto.

Zaledwie kilka kropel wina wyciekło ze srebrnego dzbana, kiedy Wulghash uniósł go, by ponownie napełnić swój puchar w kształcie rogu. – Potrzebuję więcej, Harshad – zawołał, w roztargnieniu wciąż używając videssańskiego. Jakiś Yezda siedzący przy końcu stołu uniósł wzrok, kiedy usłyszał swe imię. Widząc, że mężczyzna drapie się po głowie, khagan uświadomił sobie swoją pomyłkę i powtórzył prośbę w swoim ojczystym języku.

Wyszczrzywszy zęby w uśmiechu, Harshad wymruczał parę słów pod nosem i zakreślił palcami szybki, skomplikowany wzór nad stojącym przed nim dzbanem z winem. Dzban uniósł się gładko, aż znalazł się na wysokości dwóch stóp nad stołem, a potem popłynął ku Wulghashowi. Gajusz Fili-pus odcinał właśnie wieprzowe żeberka; uniósł wzrok w chwili, kiedy dzban mijał go w powietrzu. Starszy centurion upuścił nóż.

Żaden z yezdańskich ani makurańskich szlachciców nie zwrócił szczególnej uwagi na magię. Uśmiechnąwszy się pod wąsem, Wulghash powiedział: – To drobnostka, te czary. – Wskazał ręką puchar Gajusza Filipusa i przemówił w języku, który Markowi wydał się nieomal znany. Puchar uniósł się i poszybował do unoszącego się w powietrzu dzbana. Wówczas dzban pochylił się, wino polało się i wypełniło puchar po brzegi, a dzban wrócił do poprzedniej pozycji. Wulghash

uczynił gest ręką. Puchar wrócił do Gajusza Filipusa, a dzban z winem osiadł na stole. Khagan napełnił swój róg już w zwykły sposób.

Gajusz Filipus wytrzeszczał oczy na swój puchar, jak gdyby spodziewał się, że się uniesie i zagra z nim w kości.

–To tylko wino – uspokoił go Wulghash, kosztując trunku z własnego pucharu. – Lepsze niż

to, co mieliśmy poprzednio, prawdę mówiąc. Nie jesteś oswojony z magią, prawda?

–Bardziej niż bym chciał – odpowiedział weteran. Ujął puchar w obie dłonie i opróżnił go

jednym haustem. – Jest dobre. Mógłbyś podać mi dzban, żebym nalał sobie jeszcze?

Udało mu się roześmiać, kiedy Wulghash uniósł dzban z taką samą przesadną ostrożnością, z jaką on ujął swój puchar.

Khagan zwrócił się ponownie do Marka, który ze wszystkich sił starał się nie okazać zaskoczenia magią. Jednak to najwyraźniej nie wystarczyło, ponieważ Wulghash powiedział:

–Jak to jest, że czary wydają się wam czymś aż tak dziwnym? Wśród Videssańczyków

musieliście przecież widzieć ich całkiem sporo. – Jego wzrok nagle nabrał ostrości; trybun przypo

mniał sobie tę chwilę, kiedy ujrzawszy khagana uznał, że ma on inteligentne oczy. Teraz te oczy ba

dały Rzymianina. – Lecz z drugiej strony, mówisz z akcentem, jakiego nigdy nie słyszałem i roz

mawiasz ze swoim towarzyszem w języku, którego nie rozpoznaję, a znam ich niemało.

Zobaczył, że twarz Rzymianina staje się ostrożna, i powiedział: – Nie chciałem cię przestraszyć. Jesteście moimi przyjaciółmi, przyrzekłem wam to. Na wszystkich bogów i proroków, nawet gdyby któryś z was był Autokratą Videssańczyków, moglibyście bezpiecznie odejść od mojego stołu, posiadając gwarancję mej przyjaźni. – Wydawał się być zły zarówno na siebie, jak i na Skaurusa; bardziej niż cokolwiek innego właśnie to przekonało trybuna, że może mu wierzyć.

Khagan mówił dalej: – Jednak jako przyjaciela zadziwiasz mnie, tym bardziej, kiedy zaskakuje cię magia, mimo klingi, jaką masz u boku. – Tym razem Marek nie zdołał opanować zaskoczenia i aż podskoczył. Chichot Wulghasha zabrzmiał tak oschle, jak szelest rozrzucanych butami suchych liści.

–Czyż jestem ślepcem, by nie zobaczyć księżyca na niebie? Opowiedz mi o sobie, jeśli chcesz,

tak jak przyjaciel opowiada swemu przyjacielowi.

Marek zawahał się, zastanawiając się, co Wulghash mógł usłyszeć o Rzymianach od Avshara albo od szpiegów, których khagan musiał mieć w Videssos. Historia, jaką zdecydował się opowiedzieć, była mocno spreparowaną wersją prawdy. Nie

wspominając o reszcie legionistów oświadczył, że on i Gajusz Filipus pochodzą z kraju leżącego za wschodnim oceanem, a do ucieczki na te obce wybrzeża zmusiła ich klótnia z wodzem. Po służbie w charakterze najemników dla Vi-dessos musieli znowu uciekać, kiedy Skaurus naraził się Imperatorowi – nie powiedział jednak, w jaki sposób. Karawana Tahmaspa, zakończył zgodnie z prawdą, doprowadziła ich do Mashiz.

–Tego łajdaka – rzekł bez złości Wulghash. – Kto wie, jakiego dochodu pozbawia mnie każdego roku, oszukując na podatku od handlu i opłatach celnych. – Przyjrzał się uważnie trybunowi. – Więc Gavras skazał cię na banicję, czy tak? Biorąc pod uwagę, jak łatwo wpada w złość, powinieneś być wdzięczny, że jeszcze oddychasz.

–Wiem – odparł Skaurus z takim przejęciem, że z gardła khagana znowu wydobył się ów oschły chichot.

–Nie masz szczęścia ze szlachtą, jak się wydaje – zauważył Wulghash. – Dlaczego tak jest?

Trybun wyczuł niebezpieczeństwo kryjące się w tym pytaniu. Kiedy szukał w myślach jakiejś

bezpiecznej odpowiedzi, Gajusz Filipus przybył mu na ratunek. – Ponieważ mamy złe maniery; mówimy, co myślimy. Jeśli jakiś wysoko urodzony łajdak żre jak świnia przy korycie albo jakiś inny jest zrzędlwym skurwysynem, mówimy to. Tak, to ściąga na nas kłopoty, ale jest lepsze od włożenia w dupę.

–Zrzędlwy skurwysyn, co? Nieźle – rzekł Wulghash. Tak jak zamierzał Gajusz Filipus, po

traktował to jako aluzję do Thorisina. Wydawał się być uspokojony – zgrzytliwy głos centuriona i

szorstkość malująca się na jego twarzy przyczyniły się do wywołania wrażenia szczerości.

Khagan z zadumą przenosił wzrok z jednego Rzymianina na drugiego. – Nic nie wiem o krajach leżących za wschodnim morzem – powiedział wreszcie. – Za Namdalen i barbarzyńskimi krajami na południowym wybrzeżu Morza Żeglarzy, nasze mapy są puste. Możecie nauczyć mnie mnóstwa rzeczy. – Mówił dalej, a jego uśmiech odsłonił mocne, żółte zęby.

–I byliście oficerami w armii Videssos. Bez wątpienia potraficie powiedzieć mi też sporo o waszym tam pobycie. Czy mam przygotować dla was mieszkanie w pałacu? Tak będzie najlepiej; sądzę, że w ciągu paru najbliższych tygodni sporo czasu spędzimy razem.

–Będziemy zaszczytni – rzekł Marek i wiedział, że oto po raz kolejny skłamał przed Wul-ghashem.

Ku przerażeniu Rzymian, khagan zrobił tak, jak powiedział. Miał mnóstwo pytań, jednak tak naprawdę nie poddał ich prawdziwemu przesłuchaniu, wpytując niemal tyle samo o ich ojczyznę, co o Videssos i jego siły zbrojne. Na te pierwsze pytania, pomijając początkowe kłamstwo dotyczące wschodniego oceanu, Skaurus odpowiadał uczciwie. Niekiedy jego odpowiedzi różniły się zasadniczo od odpowiedzi Gajusza Filipusa; trybun pochodził z miejskiej warstwy patrycjuszowskiej, natomiast korzenie centuriona tkwiły we wsi i legionie.

Wulghash należał do owego niezwykle rzadkiego gatunku ludzi, którzy potrafią słuchać. Jego pytania zawsze pociągały za sobą dyskusję i za każdym razem na nowo przekonywały Skaurusa o inteligencji Khagana. Sekretarz Pushram, który zapisywał odpowiedzi Rzymian, nie zadawał żadnych pytań. Dokładał starań, by sprawiać wrażenie znudzonego wszystkim, co znajdowało się poza dworem khagana. Znużenie to nie bardzo do niego pasowało, ponieważ był chudym, drobnym człowieczkiem o spalonej słońcem skórze, nadzwyczaj dużych uszach i zdumiewająco elastycznych rysach.

Gdzieś w połowie drugiego tygodnia pobytu Rzymian na dworze służący przyniósł tacę z plastrami bakłażana, obsmażanymi w serze z dodatkiem mięty. Wulghash wziął jeden kawałek. –

Wyśmienite! – zawołał. – O wiele lepsze niż zwykle. Proszę, człowieku, poczęstuj również moich przyjaciół.

–Bardzo smaczne – rzekł uprzejmie Marek, choć w rzeczywistości bakłażan wydał mu się

mdły, a dodatki zbyt ostre. Gajusz Filipus, któremu obcy był oportunizm, zostawił swój kawałek

ledwie napoczęty.

Pushram jednak wykrzywił twarz w wyrazie niebiańskiej rozkoszy. – Jakiż wspaniały bakłażan! Miły dla oka, delikatny w smaku, pełen aromatu i rozplywający się w ustach; jarzyna, której należy się szacunek z powodu wielorakich sposobów, na jakie może być przyrządzona, a każdy z nich rozkoszniejszy jest od poprzedniego. Doprawdy książę, nie, powiem więcej: khagan wśród warzyw!

Skaurus słyszał rozmaite, niekiedy wzbudzające niesmak pochlebstwa na dworze Videssos, lecz niczego, co choć w przybliżeniu przypominałoby takie schlebianie. – Kto chciałby królować i być zmuszonym do wysłuchiwanie takich bzdur? – rzekł po łacinie Gajusz Filipus.

Wulghash wzniosł oczy ku niebu i wrócił do wypytywania Rzymian. Pushram dalej tryskał pochwalnym peanem z taką samą szybkością, nawet kiedy zapisywał odpowiedzi Marka. Szukając jakiegoś sposobu, by zamknąć mu usta, khagan wziął jeszcze jeden plaster bakłażana, wykrzywił się i powiedział: – Zmieniłem zdanie. To jest obrzydliwe.

Z szybkością, która zdumiała Skaurusa, na twarzy Pushrama pojawił się wyraz obrzydzenia. Wyrwał bakłażan z ręki Wulghasha i rzucił go na podłogę. – Jakimże obrzydliwym, niezdrowym zielskiem jest bakłażan! – zawołał. – Nie tylko ma barwę żółci, ale i nie dostarcza ludziom pożywienia lepszego niż zwykła trawa. Co więcej, wywołuje u mnie czkawkę.

I już zaczął na nowo, równie gotów kontynuować w tym stylu, co obsypywać warzywo komplementami. Marek słuchał z otwartymi ustami. Wulghash zmierzył Pushrama spojrzeniem, które winno ściąć szpik w kościach każdemu człowiekowi, lecz sekretarz nawet się nie zająknął i dalej wyrzucał z siebie potok obelg. – Dość! – warknął w końcu Wulghash. – Czy dwie minuty temu, zamiast przeklinać, nie wychwalałeś bakłażanu pod niebiosą?

–Z pewnością.

–No i? – Pytanie zawisło w powietrzu jak ręka zagłady.

Lecz w żaden sposób nie zmąciło to pogodnego nastroju Pushrama. – No i co? – rzekł radośnie. – Jestem twoim dworzaninem, a nie dworzaniem bakłażana. Muszę mówić to, co się podoba tobie, a nie to, co się podoba bakłażanowi.

–Won! – ryknął Wulghash, lecz nie mógł powstrzymać śmiechu. Pushram, mimo wszystko,

wymknął się z komnaty. Khagan potrząsnął głową. – Makurańczycy – powiedział, bardziej do

siebie niż do Rzymian. – Przez nich czasami chciałbym, żeby mój dziad pozostał na stepie.

Marek wskazał na tacę z bakłażanem. – Jednak przejąłeś wiele zwyczajów Makurańczyków.

Gdyby twój dziad pozostał koczownikiem, nigdy nie miałby okazji polubić takiego dania.

–Mój dziad jadł żuki, jeśli zdołał je złapać – rzekł khagan, a potem westchnął. – Zbyt wielu

moich wodzów uważa, że jakakolwiek zmiana starych zwyczajów jest zła tylko dlatego, że jest

zmianą. Niektóre ze stepowych zwyczajów miały sens. Jaki jednak ma sens trzymanie kobiet pod

kluczem? Czyż one nie są ludźmi? Lecz ogólnie rzecz biorąc, byliśmy wówczas barbarzyńcami, a

Makurańczycy, mimo całej swej służalczości i głupoty, potrafili pod wieloma względami lepiej żyć

i skuteczniej rządzić niż nam kiedykolwiek przysłoby do głowy. Spróbuj jednak powiedzieć to sta

remu koczownikowi, który nie widzi nic poza swoimi stadami. Spróbuj doprowadzić do tego, żeby

cię wysłuchał albo posłuchał.

Przez chwilę Skaurus rozumiał go doskonale; od czasu, kiedy legioniści przybyli do Videssos, sam żył z takim uczuciem uwięzienia pomiędzy dwiema kulturami.

Przed salą tronową rozległy się odgłosy jakiegoś poruszenia. Marek usłyszał okrzyki gniewu, potem strachu. Głowy szlachciców poruszyły się, gdy spojrzeli by zobaczyć, co się dzieje. Paru eunuchów potruczało do drzwi. Gwardziści Wolghasha dalej stali nieporuszeni, lecz Marek zobaczył jak mięśnie ramion napinają się, gdy dłonie zacisnęły się na pałaszach.

–Przepuść mnie albo pożałujesz tego na wieki! – Na dźwięk tego głosu Marek i Gajusz Fili-pus poderwali się na nogi i sięgnęli po miecze. Krzyknawszy ostrzegawczo, najbliżsi gwardziści przełamali bezruch i skoczyli na nich.

–Stać! – zawołał Wolghash, zatrzymując w miejscu zarówno Rzymian, jak i własnych żołnierzy. – W jakież to idiotyzmy się bawicie?

Skaurusowi zaoszczędzono kłopotu szukania odpowiedzi. Do sali tronowej, wycofując się w popłochu, wpadli tyłem ostatni strzegący jej słudzy. Avshar ruszył wyciągniętym krokiem po kobiercu, który wiodł do bliźniaczych tronów. Mimo gęstej, miękkiej wełny, każde stąpienie odbijało się echem. Stłumiony łomot kroków był jedynym dźwiękiem w sali, rozbrzmiewając coraz głośniejsze, w miarę jak Avshar się zbliżał.

Szaty księcia-czarodzieja nie oślepiały już nieskazitelną bielą. Wirowały wokół niego w brudnych, zakurzonych strzępach. Tak jak wymagał tego protokół, zatrzymał się

tuż za krawędzią kobierca; jego głowa przesunęła się od jednego Rzymianina do drugiego. – No, no – rzekł z budzącym grozę dobrym humorem – co my tu mamy?

Nie zwrócił uwagi na Wulghasha, który powiedział ostro:

–Mamy sługę, który nie zna swego pana, jak się wydaje. Czy zapomniałeś o należnym mi

szacunku, a może jest to tylko kolejny przejaw właściwego ci grubiaństwa?

Marek spojrział na khagana z pełnym zaskoczenia podziwem Wulghash nie okazywał cienia strachu, który paraliżował zarówno przyjaciół jak i wrogów Avshara, strachu, którego ciężar zwałił się teraz na trybuna z całą siłą.

Książę-czarodziej zeszywniał z gniewu i zmierzył Wulghasha swym lodowatym spojrzeniem, tym trudniejszym do zniesienia, że jego oczy były niewidoczne. Khagan wytrzymał je, a niewielu ludzi potrafiłoby się na to zdobyć. Zgrzytając zębami z wściekłości, Avshar pochylił się w ukłonie, którego sama głębokość oznaczała zniewagę. – Błagam o wybaczenie, Wasza Wysokość – powiedział, lecz jego ton nie wskazywał, że się usprawiedliwia. – Zaskoczenie wytrąciło mnie z równowagi – ciągnął dalej. – Kiedy zobaczyłem tutaj tych dwóch oszustów, przez chwilę pomyślałem, że znowu jestem w tym przeklętym Videssos, na dworze równie przeklętego Autokraty. Powiedz mi, czy pojmałeś ich w bitwie, czy też zostali przyłapani na szpiegowaniu?

–Ani to, ani to – odparł Wulghash, lecz jego oczy przesunęły się na Rzymian. – Jak możesz twierdzić, że spotkałeś parę prostych najemników na dworze Videssos? – zapytał Avshara. – Co oni tam robili, pełnili straż? – Wciąż sprawiał wrażenie, że nie wierzy księciu-czarodziejowi.

–Prostych najemników? Na straży? – Avshar odrzucił głowę i wybuchnął śmiechem, który zabrzmiał tak straszliwie, że znajdujący się najbliżej szlachcice odskoczyli przerażeni, potykając się w popłochu. Śmiech odbił się od wysoko sklepionego stropu i powrócił echem, zimnym i upiornym; jakiś lelek, który drzemał na ścianie pod stropem sali tronowej, zbudził się przerażony i odleciał, trzepocząc skrzydłami. – Czy to właśnie ci powiedzieli? – Avshar roześmiał się znowu, a potem opowiedział ubarwioną, lecz zasadniczo prawdziwą historię kariery Skaurusa w Videssos, kończąc: – A ten drugi, ten niski, jest jego pierwszym giermkiem.

–Pierdol się – rzekł Gajusz Filipus. Stał balansując na palcach nóg, gotów rzucić się na Avshara.

Wulghash nie zwrócił uwagi na starszego centuriona. – Czy to prawda? – zapytał Marka głosem twardym jak żelazo.

Avshar zasyczał, jak gotujący się do ataku wąż. – Zważ, co czynisz, Wulghash. Mogłeś przekroczyć granice mojej wytrzymałości, rzucając na szalę słowo tego heretyka przeciwko memu świadectwu.

–Zamilcz. Czynię, co mi się podoba, czy tego chcesz, czy nie. – Khagan równie płynnie jak

Avshar posługiwał się starym videssańskim dialektem, którego książę-czarodziej często używał.

Może – pomyślał Marek – nauczył się go od Avshara.

Wulghash ponownie zapytał trybuna: – Czy to, co mówi, jest prawdą?

–W większości – westchnął Skaurus. Jaki sens ma kłamstwo w obliczu Avshara, który tylko

czekał, by go zdradzić?

Avshar roześmiał się ponownie, tym razem tryumfalnie.

–Własnymi ustami wydał na siebie wyrok. Oddaj mi ich, Wulghash. Dług, jaki jestem im

winien, jest większy i starszy niż twój. Ręczę ci, że zniewaga, jaką wyrządzili swymi nikczemnymi

kłamstwami, będzie pomszczona... och, tak, tysiąckrotnie. – Prawie że mruczał w oczekiwaniu. Na

jego gest pałacowi gwardziści posunęli się naprzód, wyczekując rozkazu khagana, by pojmać Rzymian.

Wulghash powstrzymał ich. – Powiedziałem ci kiedyś, czarodzieju, i to wystarczająco wiele razy, że ja tu rządzę, jednak ty wciąż zdajesz się o tym zapominać. Bez względu na to, jaką historię opowiedzieli mi ci ludzie, zanim usłyszałem od nich choć słowo, uratowali życie mojemu ministrowi. Obdarzyłem ich swoją przyjaźnią.

–A zatem? – W szepcie Avshara czaiła się groźba.

–Przysługa za przysługę. Daruję im życie, w zamian za życie Tabariego. – Wulghash zwrócił się do Skaurusa i Gajusza Filipusa. – Weźcie swoje konie. Możecie odjechać. Nikt was nie będzie ścigał, przysięgam. Nazwałem was moimi przyjaciółmi i nie cofam mego słowa, ale powinniście zaufać mi do końca. Nie cieszy mnie już wasze

towarzystwo, czy jesteście moimi przyjaciółmi, czy nie. Idźcie; zabierajcie się stąd.

Ledwie śmiać wierzyć własnym uszom, Marek wbił wzrok w twarz khagana. Zobaczył, że jest wzburzona wywołanym zawodem gniewem, lecz nie dostrzegł w niej podstęp. Tak, jak Wulghash powiedział o sobie, był równie stały w swych uczuciach wobec przyjaciół, co wobec wrogów. – Jesteś człowiekiem honoru – rzekł cicho trybun.

–Dobrze zrobiłeś, przypominając mi o tym, kusi mnie bowiem, żeby o tym zapomnieć. – Wulghash machnął szorstko ręką, by zesli mu z oczu.

–Ty głupcze z łajnem zamiast mózgu! – ryknął Avshar zanim Rzymianie zdołali się ruszyć. Znowu skamienieli; wychodząc musieliby minąć księcia-czarodzieja.

Lecz w swej wściekłości Avshar niemal zapomniał o nich. Wrzeszczał, zarzucając khagana obelgami: – Ty tumanie, ty durniu, ty idioto, ty piszczący łowco myszy z pretensjami do męskości! Cuchnący, brudny, zawszony, barbarzyński, bękarci synu wielbłądniego gówna, sądzisz, że sprzeciwisz się *mnie*? Ci podlizujący się szpiedzy są moi; na brzuch, robaku, i czołgaj się w dziękczynieniu, że nie potraktuję cię gorzej niż ich za tve zuchwalstwo!

Poblady wokół ust, Wulghash warknął jakiś rozkaz do swych gwardzistów w języku Yezda. Obnażyli broń i ruszyli na księcia-czarodzieja.

–Pojmiesz, że nie tak prosto pozbyć się mnie w ten sposób – rzucił drwiąco Avshar. – Czyż

jestem tak głupi jak ty, by nie przedsięwziąć żadnych środków ostrożności przeciwko twoim dzieci

nnym myślom o zdradzie? – Wymówił jedno jedyne słowo, po videssańsku albo w jakimś innym,

dawniejszym języku, wyzwalające czar od dawna przygotowany na taką właśnie chwilę. Gwardzi

ści khagana zatrzymali się prawie równocześnie. Nagle zaczęli patrzeć na Avshara z oddaniem, z

jakim piesek salonowy spogląda na swoją panią. – I co teraz, sprytny durniu! – zachichotał ksi-

ążę-czarodziej.

Jednak Wulghash zapoznał się ze zwyczajami Makuranu z powodów daleko

istotniejszych niż

zamiłowanie do historii. Wiedział, dlaczego dawni makurańscy królowie nakazali, by ci petenci, którym wyznaczono audiencję, zatrzymywali się w wyznaczonym miejscu. Jego ręka śmignęła ku sprężynie sprytnie ukrytej w poręczy tronu. Sześciostopowa kamienna płyta usunęła się Avsharowi spod stóp.

Lecz książę-czarodziej nie runął w otchłań, jaka się pod nim rozwarła. Szybki ruch ręką pozwolił mu spocząć na pustce jak na polerowanym marmurze. Szlachta Wulghasha jęknęła; niektórzy zakryli twarze. Gwardziści khagana – nie, teraz już gwardziści Avshara – uśmiechnęli się na widok kolejnego dowodu potęgi swego pana. Te uśmiechy sprawiły, że Skaurus zadrżał. Poruszyły się tylko usta żołnierzy. Ich oczy pozostały błyszczące i puste.

–Ta farsa nuży mnie – rzekł Avshar. – Niech zatem się skończy. Spójrz, Wulghash, na po

tęgę, której chciałeś się przeciwstawić. – Dalej stojąc swobodnie na pustce, książę-czarodziej od

rzucił welony, które zawsze spowijały mu twarz.

Nawet Gajusz Filipus, zahartowany wojaczką, której poświęcił więcej niż pół życia, nie zdołał powstrzymać jęku. Jego okrzyk przepadł w chórze zgrozy, który potężniał i potężniał, w miarę jak Avshar zwracał się ku szlachcie Yezd.

Dwie myśli przebiegły Skaurusowi przez głowę. Pierwsza, że właśnie oszalał. Pragnął, by okazało się to prawdą. Druga zaś dotyczyła mitu o kochanku Aurory, Titonosie. Bogini wyblagała dla niego nieśmiertelność u Jowisza, lecz zapomniała poprosić o to, by się nie starzał.

Zgrzybiały Titonos został zamieniony przez Jowisza w świerszcza. Żaden bóg nie okazał takiej łaski Avsharowi. Wytrzeszczając oczy – nic nie mógł poradzić na to, by nie wytrzeszczać – trybun próbował zgadnąć, ile lat przetoczyło się po czarodzieju. Szybko zrezygnował; równie dobrze mógł próbować policzyć, ile sztuk złota poświęcono na budowę Głównej świątyni Phosa. Wyobrazenie sobie takiego wieku wystarczyłoby, by człowiek pokrył się gęsią skórą. Widok takiej starości, i to w połączeniu z niezaprzeczalną żywotnością Avshara, był nieskończenie gorszy.

–No i? – odezwał się Avshar w bezmiernej ciszy. – Mam za sobą osiem i pół stulecia.

Osiem wieków minęło od czasu, kiedy w ruinach Skopentzany dowiedziałem się, gdzie leży praw

dziwa moc. Która z was, słabowitych ludzkich jętek, zechce mi się teraz sprzeciwić?

– Nie było na

to odpowiedzi; nie mogło być. Wykrzywiając twarz w trupim uśmiechu, książę-
czarodziej skinął

ręką na gwardzistów, których zaczarował. – Ja tutaj rządzę. Zabić mi tę kupę śmieci,
która pasku-

dzi mój tron.

Przemówił po videssańsku, lecz gwardziści zrozumieli. Ruszyli ku Wulghashowi,
ściskając w pięściach pałasze.

Khagan był prawdopodobnie jedynym człowiekiem w sali, którego nie sparaliżowało
przerażenie. Nie musiał czekać, by Avshar odsłonił twarz, żeby dowiedzieć się, kto
mu służy. Sam wcale nieźle obeznany z czarami, odgadł to już dawno temu. W swej
ambicji sądził, że wykorzysta go, by

wynieść siebie, że zdobędzie wielkość na grzbiecie Avshara. Jednak mimo całej tej
arogancji pamiętał, że któregoś dnia narzędzie i jego użytkownik mogą zamienić się
miejscami. Tak więc nacisnął jeszcze jeden ćwiek zamontowany w swym tronie.
Tajne wejście rozwarło się za nim. Wul-ghash rzucił się w tunel, jaki skrywało.

Avshar zawył, ogarnięty wściekłością; drzwi stanowiły tajemnicę nawet dla niego.

–Za nim, wy partacze! – wrzasnął na gwardzistów, choć to nie oni zawinili.

Pushram skoczył naprzód i szepił się z biegnącym na przodzie gwardzistą.
Sekretarz był chudy

i nie miał przy sobie niczego bardziej śmiercionośnego niż rylec, lecz okupił swym
życiem parę kolejnych chwil dla swego pana.

Jego poświęcenie wyrwało Rzymian z oszołomienia. Wydawało się, że obaj
pomyśleli o tym samym jednocześnie – lepiej umrzeć walcząc niż w szponach
Avshara. Wyrwali miecze z pochew i rzucili się na żołnierzy księcia-czarodzieja.

Avshar natychmiast pojął ich zamiar. – Brać ich żywcem! – krzyknął. – Nie skończą
tak łatwo, jak im się marzy. Jakiś makurański szlachcic, z mieczem w ręku, skoczył
ku tronem, by pomóc Rzymianom i bronić khagana. Avshar zaklął i pełnym
wściekłości ruchem zakreślił obleczonymi w rękawice rękoma jakiś wzór w powietrzu.
Szlachcic runął na posadzkę, skręcając się w męce. – Ktoś jeszcze? – zapytał
czarodziej. Nikt się nie poruszył.

Wykorzystując przewagę liczebną, gwardziści odepchnęli Skaurusa i Gajusza

Filipusa od wejścia do tunelu, w którym zniknął Wulghash. Kilku popędziło za khaganem. Trybun walił rozpaczliwie na prawo i lewo, lecz jakieś sprytnie wymierzone cięcie trafiło w jego miecz tuż przy rękojeści. Wyleciał z jego odrętwiałych palców. Wiedząc, jak niewiele to da, wyszarpnął sztylet i pchnął w najbliższego gwardzistę. Poczuli, że ostrze weszło w ciało i usłyszeli stęknienie bólu.

Rozkaz Avshara ograniczał jego ludzi, którzy przez to ponosili straty i nie zadali kilku z pewnością śmiertelnych ciosów. Rzymianie walczyli jak szaleni, próbując zmusić swych przeciwników, by ich zabili. W pewnej chwili jeden z gwardzistów zadał Markowi ogłuszający cios pięścią w kark. Trybun runął jak długi. Nie zobaczył już, jak Yezda rzucili się całą gromadą na Gajusza Filipusa i w końcu powalili go na ziemię.

Odbijający się echem krzyk, który wydobył się z wejścia do tajemnego tunelu, przywrócił Skaurusowi świadomość, choć widział jeszcze wszystko jak przez mgłę. Ktoś wrzasnął, potem znowu zapadła cisza. Parę chwil później rozrośnięty w barach gwardzista wyłonił się z tunelu, zataczając się pod ciężarem niesionych na grzbiecie zwłok. Okrywały je królewskie szaty. Marek dostrzegł w przelocie mięsisty nos, przyciętą równo, siwiejącą brodę, znieruchomiałe i wytrzeszczone oczy – teraz już nie mógł stwierdzić, czy błyszczała w nich inteligencja.

Straszliwy uśmiech Avshara rozciągnął szerzej jego usta.

–Brawo – powiedział. – Za to, coś dzisiaj uczynił, zostaniesz kapitanem. Jaki spotkał go

koniec?

Czarodziej, jak zwykle, mówił po videssańsku, jednak gwardzista nie miał żadnych kłopotów, by go zrozumieć. Odpowiedział we własnym języku. Avshar skrzywił się niecierpliwie. – Co mnie obchodzi, że padł twój głupi towarzysz. Nieudolność karze się sama, jak zwykle. Dalej, przekaż ciało innym, by wyrzucili je na śmietnik; udaj się teraz szybko do oficerskich kwater i odziej się w coś lepszego niż szmaty, jakie masz na sobie.

Żołnierz powiedział coś, co brzmiało jak protest człowieka, który niegodzien jest zaszczytu, jaki go spotyka. Avshar nadał swemu głosowi tak dobrotliwy ton, na jaki tylko mógł się zdobyć, odpowiadając: – Nie, zasłużyłeś sobie na to. Hyazdat, Gandutav, zabierzcie go i wyekwipujcie odpowiednio. – Dwaj oficerowie gwardii, klepiąc żołnierza po plecach, wyprowadzili go z sali.

Paru innych gwardzistów wyniosło zwłoki, które ich towarzyszowi przyniosły awans. Z wyjątkiem tych, którzy wciąż trzymali trybuna i Gajusza Filipusa, dwóch tylko gwardzistów pozostało jeszcze w sali tronowej.

Avshar przecież ich nie potrzebował. Sam potrafił zastraszyć szlachtę Yezd, tak

śmiałych i wyniosłych Makurańczyków, jak i gwałtownych, niepohamowanych Yezda. Ludzie wpatrywali się w swoje buty, w siebie nawzajem, w ściany, wszystko, byle nie spojrzeć mu w oczy. Avshar warknął na nich. Opadli na kolana, a potem na brzuchy, składając mu hołd. Niektórzy, głównie Makurańczy-cy, bili mu czołem z wdziękiem, inni powoli i niezdarnie. Lecz wszyscy uklękli.

–I ty – rzekł Avshar do Marka. – Słyszałem, że nie chcesz zginać kolan przed Autokratami.

Jestem większy niż oni, ponieważ jestem zarazem kapłanem i władcą, patriarchą i Imperatorem. Po

znają moją potęgę, i potęgę mego boga. tak jak ty ją poznasz.

Nie dał trybunowi żadnej możliwości odmowy; na jego rozkaz gwardziści rzucili mu Skaurusa do nóg. Jego but, wciąż jeszcze cuchnący końską pianą, zmiażdżył okrutnie ramię Rzymianina. Niespodziewanie zapytał: – Coś zrobił z głową Mavrikiosa Gavrasy, kiedy ci ją dałem?

–Pogrzebałem ją – odparł Marek, zbyt zaskoczony, by odpowiedzieć milczeniem.

–Szkoda; teraz, kiedy dostanę głowę Thorisina, zestaw będzie niepełny. Być może twoja zastąpi mi głowę Mavrikiosa Takich decyzji nie powinno się podejmować lekkomyślnie, lecz z drugiej strony cieszyć się teraz z wolności wyboru spośród paru interesujących możliwości.

Avshar podszedł wyciągniętym krokiem do miecza trybuna, który wciąż leżał tam, gdzie upadł. Książę-czarodziej pochylił się, by podnieść łup, lecz znieruchomiał, nim jego ręka zamknęła się na rękojeści – ta klinga zbyt wiele razy okazała się niebezpieczna dla jego czarów, by łatwo mu było jej dotknąć. Lecz nie trwał długo w zakłopotaniu. Wskazał na jednego ze szlachciców. – Tabari, podejdź.

–Tak, mój panie – rzekł skwapliwie człowiek, którego uratowali Rzymianie. Uderzył czołem

przed czarodziejem. Z twarzą przy posadzce ciągnął dalej: – Czuję się zaszczycony, widząc cię

wyniesionego wreszcie do należnej ci pozycji. Twoi stronnicy tutaj od dawna czekali na tę chwilę.

–Ja także – rzekł Avshar. – Ja także. – Nie tylko ból, umiejscowiony za oczami Marka, wy

woływał teraz mdłości. Wystarczająco złą rzeczą było uratowanie ministra Yezd. Zaś

wybawienie

przed śmiercią jednej z kreatur Avshara, by przez to wpaść w ręce księcia-czarodzieja, upokarzało

trybuna nie do zniesienia.

Ledwie zauważył, kiedy dwaj zaczarowani gwardziści poderwali go na nogi. Druga para uczyniła to samo z Gajuszem Filipusem, którego również rzucono pod nogi Avsharowi. Starszy centurion próbował im się wyrwać, lecz nie zdołał.

Avshar mówił: – Zanieś ten kawałek zardzewiałego żelaza do mojej pracowni w lochach. Jako minister sprawiedliwości bez wątpienia znasz je wystarczająco dobrze, by trafić do niej bez trudności.

Śmiech Tabariego nie zabrzmiał przyjemnie dla nikogo, z wyjątkiem Avshara. – Och, w rzeczy samej, mój panie.

–Doskonale – rzekł książę-czarodziej. – Tak właśnie sądziłem. A przy okazji, zaprowadź gwardzistów trzymających tych nikczemników – dźgnął kciukiem w stronę Rzymian – do bloku cel przylegających do pracowni. Być może ta klinga wyda mi swoje tajemnice, kiedy spocznie w ich ciałach.

–Jakaż miła perspektywa – zauważył Tabari, niwecząc wszelką nieśmiałą nadzieję Skaurusa na trwałość jego wdzięczności. Tabari skinął ręką na gwardzistów, trzymających trybuna. Wywlekli go z sali tronowej. Słyszał prowadzonego za sobą Gajusza Filipusa, który wciąż przeklinał.

Doszedł ich głos Avshara: – Cieszcie się tym wytchnieniem, kiedy możecie, ponieważ nie zaznacie innego już nigdy.

Tabari, machnąwszy ręką, powiódł gwardzistów w dół wąskiego, spiralnego zejścia, wyciętego w żywej skale tuż przed wejściem do sali tronowej. Kiedy zanurzali się w trzewia pałacu, daleko w górze zabrzmiał kobiecy krzyk. Atossa – pomyślał tępo Marek – musiała wejść do sali tronowej. Krzyk urwał się nagle.

Gajusz Filipus również rozpoznał okrzyk. – Wulghash ma syna – powiedział.

–I co z tego? Jakie ma szanse, jeśli Wulghash nie potrafił oprzeć się Avsharowi we własnym pałacu?

–Cholernie małe – westchnął weteran. – Przez chwilę myślałem, że udało mu się uciec; był przygotowany na wszystko. Słyszałeś, jak Avshar zawył, kiedy otworzyło się przejście? Nie miał pojęcia, że tam jest.

Gwardziści, kiedy usłyszeli imię swego pana, chrząknęli cicho z psim oddaniem. Poza tym zdawali się nie zwracać uwagi na to, czy ich więźniowie rozmawiają. Zastanawiając się, czy czar Avshara ograniczył jeszcze w jakiś sposób ich umysły, Marek napiął mięśnie, próbując się uwolnić.

Trzymające go dłonie zacisnęły się mocniej. Zatem fizyczne reakcje nie ucierpiały – pomyślał posępnie.

Nie przeszkadzało im, że kręci głową raz w tę, raz w tamtą stronę. Zauważył już kilka tuneli odbiegających od zejścia. W niektórych mieściły się magazyny; z innych dobiegał rytmiczny szcęk kowalskich młotów, uderzających w rozpalone żelazo. Wciąż schodzili niżej i niżej. Kilka razy minęli robotników zmieniających wypalone pochodnie. Nawet w głębi podziemi pochodnie paliły się równo i nie wypełniały korytarzy dymem. Makurańscy królowie – pomyślał Marek, kiedy podmuch chłodnego powietrza owiał mu policzek – stosowali lepsze systemy wentylacyjne w swych więzieniach, niż Videssańczycy w swoich. Zastanowił się, ilu ludzi miało okazję porównać je ze sobą.

Gajusz Filipus szczerknął śmiechem, kiedy Marek mruknął o tym pod nosem. – Nie ma się czym przechwalać. – Potakujące skinienie wywołało nowy błysk bólu w głowie Skaurusa.

Trybun poczuł pstryknięcie w uszach, wraz z którym zniknął ból, nim strażnicy skręcili wreszcie w pogrążony w ciszy, odosobniony boczny korytarz. – Tak, panowie, jesteśmy już niemal na miejscu – powiedział Tabari. Milczał przez cały czas długiej wędrówki w głąb podziemi, a i Rzymianie nie mieli ochoty odzywać się do niego.

Jednak w końcu Marek zwrócił się z prośbą do ministra Wolghasha – nie, teraz już ministra Avshara. Nie błagał jednak o życie; stracił już na to nadzieję. Zamiast tego powiedział: – Wyciągnij mój miecz i zabij nas. Jeśli już nic innego, choć tyle jesteś nam winien.

–Ja sam osądzam swe długie, nikt inny. – Tabari zważył w rękę galijską klingę. Bez jakiegokolwiek ostrzeżenia wbił ją w plecy jednego ze strażników Gajusza Filipusa. Yezda jęknął i zwałił się na ziemię.

Gajusz Filipus zachował się tak, jak gdyby czekał na ten cios. Okręcił się na pięcie i zwał się z drugim strażnikiem, dając Tabariemu czas na wyszarpięcie klingi z ciała.

Strażnicy Skaurusa wahali się przez chwilę, która okazała się dla nich zgubą. Gdyby natychmiast odepchnęli go od siebie, mogliby szybko obezwładnić Tabariego, potem odwrócić się i bez przeszkód pochwycić znowu trybuna. W tej sytuacji jednak Skaurus zdołał podłożyć jednemu z nich nogę, o którą tamten potknął się i

przewrócił. Marek skoczył mu na plecy, chwytając za nadgarstek ręki, w której żołnierz trzymał nóż.

Yezda był silny jak byk. Szczepieni, motali się na ziemi. Trybun czuł, że jego chwyt słabnie. Strażnik uwolnił rękę. Jego sztylet przejechał Skaurusowi po żebrach. Tłumiąc jęk bólu, trybun próbował znowu pochwycić jego ramię, przez cały czas czekając na pchnięcie, które położy kres zmaganiom. Zmusiłem ich jednak, by mnie zabili – pomyślał z czymś w rodzaju tryumfu.

Gwardzista prychnął, jak gdyby z pogardą. Ciężar przygniatający Marka nagle się zwiększył. Trybun jęknął i rozpaczliwie zaczął odpychać od siebie Yezda. Strażnik zsunął się, a jego nóż za-

dźwięczał na kamiennej podłodze, gdy wyslizgnął mu się z dłoni. W jego plecach sterczał inny sztylet. Gajusz Filipus pochylił się i wyciągnął go. Marek poczuł w nozdrzach odór śmierci – odór opróżnionych nagle kiszek. Drugi z jego strażników również nie żył. Ten, z którym walczył Gajusz Filipus, leżał bez ruchu. – Bękart miał twardą głowę, ale nie tak twardą jak kamienie posadzki – rzekł Starszy centurion. A Tabari klęczał przy ostatnim, ocierając galijski miecz o kaftan żołnierza.

–Jesteś ranny – powiedział minister sprawiedliwości Yezd, wskazując na czerwoną plamę rozlewającą się na piersi Marka. Pomógł trybunowi ściągnąć tunikę i podał ją na pasy, próbując opatrzeć długie cięcie, które biegło w dół prawie od sutka lewej piersi Skaurusa. Krwawienie zmniejszyło się, lecz nie ustało całkowicie; prowizoryczne bandaże zaczęły nasiąkać krwią.

–Więc to wszystko na górze to było przedstawienie, to twoje wiwatowanie na cześć Avshara? – zapytał gniewnie Gajusz Filipus. Z tonu jego głosu nie wynikało, by w to uwierzył, i dalej trzymał sztylet jak gotujący się do ataku nożownik, stojąc na lekko ugiętych nogach.

–Nie, nie wszystko było przedstawieniem – rzekł Tabari.

Gajusz Filipus uniósł się na palcach nóg, by rzucić się na ministra. – Wysłuchaj go – rzekł

szybko Marek.

Zupełnie spokojnie, Tabari ciągnął dalej: – Od dawna sprzyjałem bardziej Avsharowi niż Wul-ghashowi; Avshar uczyni z Yezd mocarstwo. Lecz powiedziałem już raz, że to ja osądzam swoje długi. – Podał Markowi galijski miecz. Trybun chwycił go skwapliwie; bez niego czuł się niemal jak nagi.

Gdy Skaurus podniósł się z trudem na nogi, Gajusz Filipus warknął do Tabariego: – Czyś ty oszalał, człowieku? Kiedy te chodzące zwłoki dowiedzą się, że nas

wypuściłeś, będziesz zazdrościł tego, co ten trup zaplanował dla nas.

–Ta myśl również przyszła mi do głowy. – Ciemna brew Tabariego uniosła się do góry. – Chcę więc cię prosić, byś mnie teraz brutalnie pobił. Mam jednak nadzieję, że obejdzie się bez trwałych uszkodzeń. Jeśli znajdą mnie ogłuszonego i pobitego, wszyscy pomyślą, że dałem z siebie tyle, ile mogłem, walcząc z wami.

–Cóż więc robimy? – zapytał Marek.

–Możesz chodzić?

Skaurus spróbował przejść parę kroków. Wysilek, jaki musiał w to włożyć, przeraził go; czuł

krw ściekającą mu po brzuchu. Powiedział jednak: – Jeśli muszę, to znaczy, że mogę. Próbowałbym latać, żeby tylko wyrwać się z rąk Avshara.

–Zatem wejdźcie w ten labirynt tuneli. – Tabari wskazał otwór tunelu w skalnej ścianie. – Nikt teraz nie wie, jak daleko się ciągnie, z wyjątkiem być może Wulghasha, a on nie żyje. Może znajdziecie wyjście z tego labiryntu. Nic lepszego nie mogę wam oferować.

–Wydaje mi się, że wolałbym latać – mruknął nieufnie Gajusz Filipus, spoglądając niechętnie

na pusty, czarny otwór. Lecz nie było innego wyjścia; uświadomił to sobie równie szybko, jak Marek.

Tabari wyciągnął się na baczność. – Jestem do twojej dyspozycji – powiedział i czekał.

Gajusz Filipus podszedł do niego i klepnął go po ramieniu.

–Nigdy dotychczas nie robiłem tego w ramach przysługi – powiedział. W połowie zdania

rąbnął lewą pięścią w brzuch Tabariego. Gdy minister zgiął się wpół, prawa pięść Gajusza Filipusa

grzmotnęła jak młot w jego szczękę. Tabari osunął się na ziemię.

Rozcierając stłuczone kłykcie, starszy centurion rozsunał tunikę nieprzytomnego mężczyzny i pociągnął sztyletem krwawą krechę na jego piersi. – Teraz pomyślą, że uznaliśmy go za trupa.

–Nie zapomnij też przeciąć tuniki – rzekł Marek. Gajusz Filipus zaklął ze złością na

samego siebie i zajął się tym. Marek pozbierał manierki martwych gwardzistów – nie było wiadomo, jak długo przyjdzie Rzymianom błąkać się po labiryncie. Wolałby też, żeby Yezda mieli przy sobie jakiś prowiant. Kiedy skończył, zobaczył, że Gajusz Filipus wyciąga pochodnie z kinkietowych lichtarzy osadzonych w ścianie tunelu. – Dlaczego to robisz? We wszystkich tych korytarzach winny czekać gotowe do użycia pochodnie, więc możemy je wziąć po drodze.

–Tak, lecz jeśli to zrobimy, wówczas każdy, kto pójdzie za nami, zdoła nas po tym wytropić

–odparł weteran i teraz z kolei Skaurus zgrzytnął zębami ze złości na siebie. Gajusz Filipus

ciągnął dalej: – W końcu i tak będziemy musieli korzystać z pochodni, jakie znajdziemy po

drodze, ale do tego Czasu zagubimy się już pewnie w labiryncie na tyle, że nie sprawi to żadnej

różnicy. – W chichocie centuriona nie było słyhać radości. Ruszył wyciągniętym krokiem w

stronę mrocznego wejścia do tunelu. Marek niechętnie podążył za nim. Rzymianie zanurzyli się ra

zem w ciemności.

Krażek światła, jaki zostawili za sobą skurczył się, a potem nagle zniknął, gdy tunel skręcił w prawo. Przed i za chybotliwą łuną pochodni rozciągała się nieprzenikniona czerń.

Prowadził Gajusz Filipus, trzymając pochodnię w wysoko uniesionej ręce. Marek robił wszystko, by dotrzymać mu kroku. Czuł, że rana na żebrach zaczyna tężeć. Nie sądził, że wciąż jeszcze krwawi, lecz rana osłabiła go i spowolniła ruchy. Wbrew samemu sobie pozostawał w tyle, w ciemności.

Kiedy wysunął się poza krąg światła pochodni zobaczył, że druidyczne runy na jego mieczu jarzą się słabo. Gdzieś tu tka się magia – pomyślał. Dopóki blask pozostawał przyćmiony, nie chciał zaprzętać sobie tym głowy.

Korytarz rozgałęział się mniej więcej co sto kroków. Rzymianie skręcali raz w lewo, raz w prawo, wybierając drogę na chybił trafił. Przy każdym rozgałęzieniu kładli trzy kamyki przy wejściu do tunelu, który wybrali. – To ustrzeże nas przed krążeniem w kółko po własnych śladach

–stwierdził Skaurus.

–O ile ich nie przeoczymy, oczywiście.

–Jaki radosny, prawda? – Marek przypuszczał, że znaleźli się jeszcze głębiej pod ziemią; znowu poczuł pstryknięcie w uszach. Nic nie wskazywało na to, że ktoś ich ściga. Pościg usłyszeliby z daleka; z wyjątkiem ich własnych oddechów i cichego szmeru stóp na kamiennym podłożu, otaczała ich cisza tak absolutna, jak ciemność.

Po jakimś czasie zatrzymali się, by odpocząć. Wypili parę łyków wody. Potem, czując się jak mrówki zagubione w jakiejś dziwnej norze, powędrowali dalej. Raz, z daleka, zobaczyli oświetlony korytarz i umknęli przed nim, jakby to był sam Avshar.

–A to co takiego? – rzekł w pewnej chwili Gajusz Filipus. – Na ścianie tunelu widniał wydrapany w skale jakiś napis.

–To videssańskie pismo – odparł zaskoczony Marek. – Przysuń pochodnię. Nie, trzymaj ją z boku, żeby cień wypełnił litery. Tak, teraz lepiej. – Przeczytał: „Ja, Hesaios Stenes z Resainy, wydrążyłem ten tunel i napisałem te słowa. Sharbaraz z Makuranu pojmał mnie w dziewiątym roku panowania Autokraty Genesiosa. Niech Phos ma w opiece Autokratę i mnie”.

–Biedny skurwysyn – rzekł Gajusz Filipus. – Zastanawiam się, kiedy żył ten imperator Genesios.

–Nie potrafię ci tego powiedzieć. Alypia wiedziałaby. – Jej imię sprawiło, że w Marku wezbrało uczucie osamotnienia.

–Spodziewam się, że będę miał okazję zapytać ją o to, choć nie wydaje się to zbyt prawdopodobne. – Gajusz Filipus potrząsnął manierką. Trybun nie musiał słyszeć chlupotu, by pamiętać, że pozostało im tylko tyle wody. Minie jeszcze parę dni i nie będzie już miało znaczenia, czy Avshar wytropił ich, czy nie.

Ruszyli dalej. Nie musieli już oznaczać drogi. Tak głęboko w labiryncie pozostawiali odciski stóp w nie naruszonej od dawna warstwie kurzu.

Napis Hesaiososa znowu pochłonęła noc, w której trwał od stuleci.

Jedyną rozrywką Rzymian w tunelach była rozmowa i korzystali z niej, dopóki nie ochrypli. Opowieści Gajusza Filipusa sięgały wstecz do czasów dzieciństwa Skaurusa. Weteran wojował najpierw pod Gajuszem Mariuszem przeciw ludom sprzymierzonym Italii w Wojnie Sojuszniczej, a potem przeciwko Sulli. – Mariusz był już wtedy stary i na wpół szalony, lecz nawet w tym, co z niego pozostało, można było zobaczyć, jakim był żołnierzem. Niektórzy z jego centurionów byli z nim w każdej bitwie od czasów Jugurty; oni naprawdę go czcili. Oczywiście, większość z

nich sam mianował; do jego czasów ludzie nie posiadający ziemi nie mogli służyć w legionach.

–Zastanawiam się, czy tak jest lepiej – rzekł Marek. – Nie posiadając własnej ziemi są zawsze zobowiązani wobec swego dowódcy i mogą stanowić zagrożenie dla państwa.

–To ty tak mówisz, który wyrastałeś w rodzinie ziemian – odpowiedział Gajusz Filipus z za-

wziętością człowieka urodzonego w biedzie. – Jeśli dowódca może dać irn ziemię, tym więcej władzy dla niego. Co robiliby bez armii? Głodowali w mieście, jak ten Apokavkos, którego uratowałeś w Videssos? A większość wcale nie jest tak zła w złodziejskim fachu, jak on.

Jedynym tematem, nad którym rozwodzili się z równą pasją co nad wojną i polityką, były kobiety. Mimo wcześniejszych prób wyrażenia współczucia, Gajusz Filipus nie potrafił zrozumieć oddania, z jakim Marek traktował najpierw Helvis, a potem Alypię. – Dlaczego kupować całą owcę, jeśli potrzebna jest tylko wełna?

–A skąd ty niby możesz wiedzieć? Przecież ożeniłeś się z legionami. – W zamierzeniu trybuna miał to być żart, jednak zrozumiał, że tak jest naprawdę. To zmusiło go do zastanowienia się; ciągnął dalej, starannie dobierając słowa:

–Kochająca kobieta dzieli z tobą smutki i podwaja radości. – Lecz miał uczucie, że próbuje uzmysłwić piękno poezji głuchemu.

Przeczcucie nie zawiodło go. Gajusz Filipus rzekł: – Podwaja smutki i zmniejsza radość, gdyby się mnie kto pytał. Nie wspominając już o Helvis...

–Dobry pomysł – rzekł szybko Skaurus. Wspomnienie tego, jak Helvis porzuciła go, było jeszcze na tyle świeże, by wywoływać w nim ból za każdym razem, kiedy go nachodziło.

–W porządku. Cóż zatem dała ci Alypia takiego, czego nie mógłbyś dostać od każdej dziewczki w tawernie? Rozumiem, że nie położyłeś się z nią do łóżka z powodu ambicji politycznych?

–*El tu?* Przez chwilę wydawało mi się, że słyszę Thorisina. – Zadane przez kogokolwiek innego, obcesowe pytania rozgniewałyby Marka, lecz centurion taki miał właśnie sposób bycia i Skaurus dobrze o tym wiedział. Odpowiedział z powagą:

–Co mi dała? Poza prawdziwym uczuciem, którego srebro nie kupi, dała mi świadectwo odwagi, jakiej nie dorównuje odwaga żadnego ze znanych mi mężczyzn, i która pozwoliła jej wyjść cało ze wszystkiego, co musiała ścierpieć. Jest bystra,

dobra i daje wszystko, co posiada: wiedzę, rozum, serce tym, o których się troszczy. Byłbym szczęśliwy, potrafiąc jej dorównać. Kiedy jestem z nią, ogarnia mnie spokój.

–Powinieneś pisać peany – chrząknął Gajusz Filipus. – Spokój, co? A mnie się zdaje, że wpakowała cię w kłopoty, które wystarczyłyby dla czterech mężczyzn, nie mówiąc o jednym.

–Z paru mnie też wybawiła. Gdyby nie ona, kto wie, co zrobiłby Thorisin po – zawahał się; ból pojawił się znowu – ucieczce Namdalajczyków.

–Och, tak. Gdyby ci było dane jeszcze parę miesięcy wolności przed tym, nim trafiłeś do więzienia, to z pewnością znalazłbyś się w jeszcze większych kłopotach niż te, z powodu których cię tam wpakowano.

–To nie przez to, kim jest; to przez to, kim się urodziła.

Marek prawie nie zauważył, że druidyczne runy wyryte na jego klindze lśnią jaśniej, lecz teraz

przyćmiewały niesioną przez Gajusza Filipusa pochodnię. – Zatrzymaj się – polecił weteranowi. – Gdzieś tu w pobliżu tka się magia. – Wbili wzrok w ciemność, z dłońmi zaciśniętymi na rękojeściach mieczy; pewni, że czary mogą oznaczać tylko Avshara.

Lecz nigdzie nie dostrzegali śladu księcia-czarodzieja. Drapiąc się po głowie, Skaurus cofnął się o parę kroków. Druidyczne runy przygasły. – Zatem przed nami. Pozwól mi poprowadzić, Gaju-szu. Miecz ochroni mnie przed magią.

Zamienili się miejscami. Trybun wolno ruszył naprzód, trzymając miecz przed sobą, jak tarczę. Bijący od niego blask wciąż potężniał, aż tunel, który nigdy nie poznał dziennego światła, pojaśniał jak stojące w zenicie słońce.

W tym złotym świetle ziejąca przed nimi jama pozostawała łąką smolistej czerni. Jej długość trzykrotnie przekraczała wzrost człowieka; tylko wąskie skalne występy pozwalały minąć ją z jednej i drugiej strony. Skaurus wysunął miecz nad krawędź jamy i spojrzał w dół. Z dna jamy sterczały niegodziwie zaostrome kołki; dwa wystawały z ażurowej klatki żeber rozciągniętego w wiecznym śnie szkieletu.

Gajusz Filipus klepnął Marka po ramieniu. – Na co czekasz?

–Bardzo śmieszne. Jeden krok i będę już na wieki dotrzymywał towarzystwa temu biedakowi

na dole. – Trybun wskazał na to, co pozostało z człowieka, który padł ofiarą pułapki.

Albo tak mu się przynajmniej zdawało. Starszy centurion obrzucił go

zaintrygowanym spojrzeniem. – Jaki biedak? Na dole? Widzę tylko spory kawałek zakurzonej podłogi.

–Nie widzisz jamy? Ani osadzonych na dnie oszczepów? Ani szkieletu? Jeden z nas stracił ro

zum. – Wtem na Skaurusa spłynęło olśnienie. – Masz, weź mój miecz.

Obaj krzyknęli jednocześnie; Marek, ponieważ w chwili, kiedy jego palce przestały dotykać miecza jama zniknęła i to, co z niej pozostało, nie różniło się na oko niczym od reszty tunelu; Gajusz Filipus zaś, ujmując klingę, krzyknął z dokładnie przeciwnego powodu. – Czy to jest prawdziwe? – zapytał.

–Chcesz się przekonać? Trzy kroki naprzód i będziesz wiedział.

–Hmm. Dzięki, występ w zupełności wystarczy. Widzimy go tak czy inaczej. – Wyciągnął klingę do Skaurusa. – Weź ją w lewą rękę, ja będę trzymał w prawej i przesuniemy się bokiem jak kraby, z plecami wspartymi o ścianę. W ten sposób obaj będziemy mogli widzieć, co robimy... mam nadzieję.

Gdy trybun ujął rękojeść miecza, jama w okamgnieniu znowu stała się widzialna. Szerokość występu pozwalała, by zmieściły się na nim stopy Rzymian, i niewiele więcej. Niektóre z oszczepów na dnie jamy wciąż błyszcząły jasno, odbijając światło miecza; inne miały zardzewiałe ostrza i na drzewcach ciemne plamy, które mówiły same za siebie.

Rzymianie przebyli dwie trzecie drogi po występie, kiedy Marek potknął się. Jego stopa ześli-

zneła się z krawędzi; palce zgięły się kurczowo na pustce. Silne ramię Gajusza Filipusa uderzyło go w klatkę piersiową, przyciskając z powrotem do ściany. Wstrząs przeszył go falą bólu. Kiedy już znów mógł mówić, wychrypiał: – Dzięki. Jest prawdziwa, już to wiemy.

–Tak myślałem. Masz, łyknij sobie. – Nawet skacząc bokiem na ratunek Skaurusowi, wete

ran nie uronił ani kropli drogocennej wody. Żołądek Marka skręcił się na myśl o tym, że mógłby

nadziać się na pal.

Druidyczne runy ponownie przygasły, kiedy Rzymianie oddalili się od pułapki. Gajusz Filipus znowu objął prowadzenie; jego pochodnia oświetlała drogę lepiej niż miecz trybuna.

Jednak kiedy blask miecza przygasł, Skaurusa rozplomieniło podniecenie. – Makurańczycy nie wykopaliby tej pułapki, gdyby nie strzegła drogi do czegoś ważnego... może szlaku ucieczki? – powiedział.

–Może. – Z wrodzonym pesymizmem Gajusz Filipus dodał: – Zastanawiam się, z czego

jeszcze skorzystali, żeby nie pozwolić wymknąć się nieproszonym gościom?

Wraz z rozpaloną na nowo nadzieją, pojawił się nowy niepokój. Każde rozgałęzienie tunelu nappełniało ich rozterką; wybór złej drogi mógł oznaczać utratę szansy na wolność. Przez jakiś czas Rzymianie męczyli się nad każdą decyzją.

W końcu Gajusz Filipus powiedział: – Zaraza z tym Roztrząsanie nic nie pomoże. W tę czy w tamtą, po prostu idźmy. – To pomogło, trochę.

Skaurus uniósł głowę jak wietrzące wiatr zwierzę, uciekające przed myśliwymi. – Nie ruszaj się – szepnął. Gajusz Filipus, skamieniał. Trybun nasłuchiwał; to co usłyszał sprawiło, że wykrzywił usta. Korytarzy za nimi nie wypełniała już cisza. Rozbrzmiewając dziwnie w oddali, raz mocno, raz słabo, napływały tunelami okrzyki żołnierzy i, podobne do szmeru spływających na brzeg fal, odgłosy biegnących stóp. Avshar uświadomił sobie, co stracił.

Rzymianie spieszili się, jak mogli, lecz tak sponiewierali nie mogli przecież posuwać się w takim tempie, jak wypoczęci żołnierze. Odgłosy pościgu zbliżały się przerażająco szybko. Yezda nie szukali na ślepo; musieli natknąć się na ślady stóp uciekinierów odcisnięte w kurzu. Być może drogę wskazywała im również magia Avshara. Marek wciągnął powietrze w płuca i poświęcił je na to, by przekląć księcia-czarodzieja.

Lecz Avshar nie był panem wszystkich tajemnic labiryntu rozciągającego się pod pałacem, którym teraz władał, ani też nie przygotował na nie swych pacholek. Przeraźliwy wrzask rozległ się w tunelach, a w chwilę po nim jeszcze dwa. Jeden z nich drgał i drgał, nie milknąc.

Słudzy księcia-czarodzieja musieli badać krawędzie jamy i znaleźć w końcu wąskie przejścia wiodące bokami pułapki. Tak Skaurus odczytał ciszę, jaka zapadła za Rzymianami, ciszę przerwana straszliwym krzykiem, gdy jeszcze jeden Yezda wkroczył na zwodniczą pustkę i runął w nią ku swej zgubie.

Trybun wzdrygnął się. – Nie są tchórzami, jeśli ośmielili się przejść po występach, nie potrafiąc odróżnić ich od jamy.

–Kiedy ścigają mnie, to wolałbym, żeby *byli* tchórzami. Ale na razie mają chyba dość, jak się

wydaje. – Utrata czwartego żołnierza musiała przerazić Yezda ponad granice wytrzymałości. Nie

poszli dalej; wkrótce w tunelach rozlegały się już tylko jęki umierających w jamie ludzi.

Ani Marek, ani Gajusz Filipus nie powiedzieli tego, czego obaj się obawiali – że ich wytchnienie nie potrwa długo. Albo ścigający ich znajdą jakiś szlak, który omija pułapkę, albo też Avshar odsłoni ją swoją magią, tak że będą mogli obejść ją bezpiecznie.

Kiedy druidyczne runy roziskrzyły się ponownie, trybun w pierwszej chwili pomyślał, że to właśnie się stało, i że jego miecz reaguje na zawirowanie magii wywołane zaklęciem Avshara. Lecz blask runów jaśniał, w miarę jak oddalali się coraz bardziej i bardziej od jamy.

–Co teraz? – chrząknął Gajusz Filipus.

–Kto wie? Wydaje mi się, że zaczęło się to z chwilą, kiedy minęliśmy wylot tamtego bocznego tunelu. – Skaurus wrócił na czoło, starając się patrzeć na wszystkie strony równocześnie. Tym razem mogła to nie być jama, lecz kwas z otworu W stropie albo wybuch ognia, albo... cokolwiek.

Niepewność zżerała go, sprawiała, że wzdrygał się na widok własnego cienia przesuwającego się po ścianie tunelu. Zatrzymał się na krótki odpoczynek pozwalając, by miecz przeorał kurz.

Światło trysnęło z ostrza, tak jaskrawe, że trybun poderwał ręce, żeby osłonić oczy. Oślepiający błysk trwał zaledwie chwilę. Marek odskoczył do tyłu, zastanawiając się, na jakąż to pułapkę się natknął. Potem zobaczył sznur odcisków stóp znikający przed nim w głębi tunelu.

Gajusz Filipus nie mógł ich dostrzec, dopóki nie dotknął rękojeści galijskiego miecza. – Zatem ktoś ukrywa swe ślady za pomocą magii, czy tak? – rzekł weteran. Poruszył sztyletem, jak gdyby grożąc komuś. – Domyślasz się może, kto?

–Któżby inny, jeśli nie Avshar? – odparł gorzko Marek. W jaki sposób książę-czarodziej znalazł się przed nimi? To bez znaczenia – pomyślał posępnie trybun; to był on. Rzymianie nie mogli się wycofać, nie kiedy w korytarzach za nimi znajdowali się Yezda. Nie pozostawało im nic innego, jak tylko iść dalej. – Nie weźmie nas nie przygotowanych.

–Wcale nie będzie musiał. – Lecz Gajusz Filipus sunął już naprzód. – Dla odmiany, my go podejmiemy.

Tak jak się to działo od początku, kiedy weszli w tunele, kurz zalegał na przemian grubymi i cienkimi warstwami, to unosząc się w dławiących chmurach spod ich stóp, to znowu ledwie znacząc ich ślady. Jednak światło miecza Skaurusa ujawniało ukryty przez magię trop nawet w miejscach, gdzie najslabiej odbił się w kurzu.

–Tunel rozgałęzia się przed nami – rzekł Gajusz Filipus. – Którym korytarzem poszedł ten

bękart? – Mówił szeptem; w tych krętych korytarzach dźwięk niósł się dalej niż światło.

–W lewo – odpowiedział z przekonaniem Marek. Lecz po przejściu jeszcze jakichś piętnastu

stóp ślady zniknęły, czy patrzyło się na nie przez galijską magię, czy nie. – Co to... – zaczął try

bun. Nagle usłyszał za sobą odgłos kroków biegnącego człowieka. Świadom, że znowu został oszu

kany, razem z Gajuszem Filipusem odwrócił się na pięcie, by stanąć do ostatniej rundy beznadziej

nej walki.

Na zawsze miał zapamiętać ten obraz – trzech mężczyzn ze wzniesionymi klingami, każdy skamieniały ze zdumienia. – To ty! – krzyknęli wszyscy w tej samej chwili, i jak marionetki na tym samym sznurku, równocześnie opuścili miecze.

–Widziałem cię martwym – rzekł Marek, niemal ze złością w głosie.

–To nie mnie widziałeś – odparł Wulghash. Zdetronizowany khagan Yezd miał na sobie spodnie z miękkiego zamszu, pancerz z prażonej w ogniu skóry, który okrywała jedwabna, oficerska opończa. Spodnie i opończa były powalane brudem, jak i on sam, lecz nadal zachowywał się jak król. Ciągnął dalej: – Nałożyłem mój wizerunek i moje szaty na jednego ze zdrajców, którego zabiłem, i z kolei otoczyłem się iluzją jego postaci, kiedy go wynosiłem. Avshar, w swej arogancji, nie zadbał o to, by przeniknąć wygląd zewnętrzny. – Khagan mówił rzeczowym tonem o swych czarach; Skaurus mógł sobie tylko wyobrażać jego pośpiech i zdesperowanie, kiedy tkął zaklęcie, nie mając pojęcia, czy inni pachołkowie księcia-czarodzieja nie uderzą nań, zanim czar zacznie działać. Lecz Wulghash spoglądał na Rzymian z podobnym zdumieniem.

–Jak to się stało, że znaleźliście się tutaj wolni? Widziałem, że zostaliście pojmani przez Avshara naprawdę, nie pozornie. Nie macie do dyspozycji żadnej magii, z

wyjątkiem twego miecza, a wtedy już go straciłeś i znalazł się w jego posiadaniu.

Marek schował klingę za siebie, zanim odpowiedział. Oczy khagana łzawiły; niewiele światła zaznał w tunelach. – Magia nie miała z tym nic wspólnego – rzekł trybun i opowiedział, co uczynił Tabari.

–Wdzięczność jest silniejszą magią niż większość czarów, jakie znam. – Wulghash chrząk

nął. – Wyczarowałaś jej więcej od Tabariego niż ja, jak się zdaje, jeśli obecnie słuchasz rozkazów

Avshara. Tabari ma jednak szczęście -przemknęło Skaurusowi po głowie – że w tej chwili jego

khagan nie ma go pod ręką.

Z charakterystyczną dla siebie praktycznością, Gajusz Filipus zapytał Wulghasha: – Więc dlaczego nie uciekłeś, skoro miałeś już na sobie oblicze innego człowieka?

–Uciekłbym, lecz Avshar, oby jego własny Skotos pożarł go, uznał za stosowne awansować

mnie za zamordowanie samego siebie i dać mi te błyskotki. – Khagan klepnął się po ubłoconych

ozdobach oficerskiego stroju. – To sprawiło, że znalazłem się w towarzystwie jego pachołków i

mogłem niewiele więcej, niż pójść z nimi. Poza tym czar, jaki rzuciłem, był słaby. Nie miałem

czasu na lepszy, a ten mógł w każdej chwili się rozwiać. To *zabiłoby* mnie, gdyby zdarzyło się w

pałacu, na oczach jego niewolników. Więc kiedy w końcu znalazłem się przez chwilę sam, najlepszą rzeczą, jaka przyszła mi do głowy, była myśl o ukryciu się w tunelach.

Machnął ręką. – Tutaj jestem dość bezpieczny. Znam te korytarze lepiej niż większość. Inaczej jak osobiście nie da się ich poznać; ukrywające czary zabezpieczają wiele z nich i wiele pułapek przed odkryciem za pomocą magii. Niektóre czary sięgają czasów makurańskich królów, inne rzuciłem sam na czarną godzinę; kiedy dosiadasz węża, strzeż się jego kłów. Jeśli się wie, gdzie szukać, można znaleźć zbiorniki z wodą i schowki z makurańskim chlebem, twardym jak skała po upieczeniu, żeby mógł przetrwać wieczność. Nie jest to wikt, który

radowałby moje podniebienie, ale da się na nim przeżyć.

Rzymianie spojrzeli najpierw po sobie, a potem skierowali wzrok na manierki, w których pozostało nie więcej niż po parę łyków na głowę. Ile razy przegapili okazje napełnienia ich? Głosem szorstkim z powodu wywołanej tym złości, Gajusz Filipus rzekł: – W porządku, wymknąłeś się Avsharowi. Lecz to krecie gniazdo musi mieć jakieś wyjścia. Dlaczego nie skorzystałeś z któregoś?

W odpowiedzi Wulghasha zabrzmiał dumny ton: – Ponieważ zamierzam odebrać to, co moje. Tak, wiem, że Avshar w ciągu tych wszystkich stuleci zakonserwował się w swej złości, jak ogórek w occie, lecz ja też nie jestem pierwszym lepszym czarodziejem. Niech tylko dopadnę go nie przygotowanego, a zdołam go pobić.

Marek i Gajusz Filipus znowu spojrzeli po sobie. – Nie wierzcie mi – rzekł khagan. – Niewykluczone, że macie rację, lecz nawet nie mając żadnej nadziei, i tak byłbym tutaj. Dziwna łagodność pojawiła się w jego głosie, w całej jego postawie. – Na kimże innym może polegać Atossa?

Rzymianie wzdrygnęli się i nic na to nie mogli poradzić. Nie uszło to uwagi Wulghasha. – Co wy wiecie? Powiedzcie mi. – Zważył pałasz w dłoni, jak gdyby gotując się do wyprucia z nich odpowiedzi.

–Obawiam się, że nie żyje – rzekł Skaurus i opowiedział o krzyku, jaki rozległ się w pałacu i o tym, jak nagle się urwał.

Wulghash znowu uniósł pałasz. Nim trybun zdołał poderwać miecz dla sparowania ciosu, kha-gan rozciął sobie policzki w żalobnym rytuale mieszkańców stepu. Krew popłynęła wsiąkając w brodę, a potem pociekła, spadając kroplami w kurz u jego stóp.

Nie zwrócił na to żadnej uwagi. Odwróciwszy się na pięcie, ruszył w głąb korytarza, którym nadszedł. Teraz już nie starał się ukryć swych śladów; nie dbał już o magię. Pałasz w ręku był teraz wszystkim, co miało dla niego znaczenie. – Avshar! – ryknął. – Idę po twoją głowę!

Bliski obłędu z żalu i wściekłości, nawet przez chwilę nie byłby dla księcia-czarodzieja równorzędnym przeciwnikiem. Gajusz Filipus natychmiast pojął, w jaki sposób można go zatrzymać. Rzucił urągliwie za khaganem: – No pewnie, idź sobie, też poświęć swoje życie na darmo. A potem, kiedy spotkasz się ze swoją kobietą na drugim świecie, będziesz mógł jej powiedzieć, jak ją

pomściłeś przez to, że dałeś się niepotrzebnie zabić.

Drwina okazała się skuteczna tam, gdzie rozsądniejszy głos Marka nie przydałby się na nic. Wulghash okręcił się na pięcie z kocim wdziękiem. Nieco ustępował

Gajuszowi Filipusowi wiekiem, lecz prawie wcale jako wojownik. – A kiedy nadarzy się lepsza okazja, żeby wziąć tego pająka przez zaskoczenie, jeśli nie wówczas, gdy wszystko w pałacu jest przewrócone do góry nogami z powodu waszej ucieczki? – Wręcz pluł słowami w weterana, lecz to, że mimo wszystko spierał się dowodziło, iż rozsądek jeszcze przemawiał do niego, choć ledwo ledwo.

–Kto kogo weźmie przez zaskoczenie? – zaśmiał się pogardliwie starszy centurion. – W pałacu, mówiłeś? A ja myślę, że ten syn kurwy jest nie dalej jak pięć tuneli za nami, a jego gwardziści razem z nim, odsłaniając czarami drogę, która pozwoli im obejść ten dół z oszczepami. To dotarło do Wulghasha, choć nie z powodu, o którym myślał Gajusz Filipus. – Przeszliście tym tunelem z jamą? zapytał z niedowierzaniem khagan. – Jak, bez czarów? To najniebezpieczniejsza pułapka w całym labiryncie.

–Mamy to -przypomniał mu Skaurus, unosząc miecz. – Odsłonił pułapkę, zanim w nią wpadliśmy, i tak samo pokazał nam twoje ślady – dodał.

Mięśnie na szczęce Wulghasha napięły się. – Potężne czary – rzekł. – Na tyle potężne, by uczynić Avshara tak Ślepym, jak jaskiniowe ryby. – Spojrzał pochmurnie na Gajusza Filipusa. – Masz rację, żeby cię. Mając Avshara tuż za sobą i to z przygotowanymi do użycia czarami, nie mogę się spodziewać, że go pokonam. Lepiej uciekajmy, choć te iłowa przyprawiają mnie o mdłości.

Wciąż chmurząc się, zwrócił się ponownie do Marka: – Jaki sens w ucieczce, jeśli niesiesz latarnię, którą przyciągasz myśliwych do siebie? Zostaw miecz tutaj.

–Nie – odparł trybun. – Kiedy Avshar mnie pojmał, bał się dotknąć tego miecza. Nie porzucę najlepszej broni, jaką posiadam ani też nie pozwolę, żeby ją sobie badał, kiedy tylko zechce.

–Nieszczęsny to był dzień, kiedy was spotkałem – rzekł złowrogo Wulghash – i wolałbym nigdy nie nazwać was moimi przyjaciółmi.

–Skończ z tą gównianą mową – warknął Gajusz Filipus. – Gdybyś nas nigdy nie spotkał, to sam byłbyś już martwy, a Avshar i tak rządziłby tym twoim parszywym krajem.

–Tak bezczelny język należy odciąć.

Okrzyki tych, którzy ścigali Rzymian, nagle zabrzmiały głośniejsz. – Ludzie czarodzieja obesзли

dół – rzekł Marek do Wulghasha. – Mówisz jak Avshar; może też myślisz jak on i masz nadzieję wykupić u nich własne życie za nasze?

–Na wszystkich bogów, jacy mogą istnieć, nigdy nie będę pertraktował z nim ani z

jego

ludźmi, dopóki serce bije mi w piersi. – Khagan zamilkł, by się zastanowić. Wsunął pałasz do po

chwy. Jego ręce mignęły w powietrzu, kreśląc jakiś wzór; wymruczał coś w tym samym staroświec-

kim, videssańskim dialekcie, jakiego używał Avshar.

–Twoja magia nie zdoła wpłynąć na mnie ani na mój miecz – przypomniał mu Skaurus.

–Wiem – rzekł Wulghash, kiedy skończył i mógł już mówić normalnie. – Lecz mogę rzucić czar, który otoczy zarówno ciebie jak i miecz, żeby spowić we mgłę tego, który będzie go szukał za pomocą magii. Mój czar nie dotknie ciebie, rozumiesz? Gdyby tak się stało, zostałby zniszczony. Lecz przez to właśnie tylko otoczy mgłą szukającego. Nic oślepi go. A zatem, moi przyjaciele – powiedział, wzdrygając się przed słowem, które w jego ustach zabrzmiało jak oskarżenie – czy zechcecie uciec ze mną, ponieważ udowodniliście, że ucieczka jest mądrzejszym rozwiązaniem? Uciekli więc.

X

Tam sobie siedzi, Mashiz we własnej osobie, i cholernie dużo możemy mu zrobić – rzekł z kwaśną miną Viridoviks. Spozierał przez wieczorny zmierzch w stronę stolicy Yezd ze wzgórz, które wznosiły się w nieładzie u podnóży masywu Dilbat.

–Tak, jedna wspaniała, miazdząca szarża, i jest nasze – rzekł Pikridios Goudeles dźwięcznym

tonem, który kiepsko harmonizował z jego brudną tuniką z kozłej skóry i zabandażowanym ra

mieniem. Cierpki śmiech rozległ się na skraju obozu Arshaumów, gdzie zgromadzili się pozostali

przy życiu członkowie videssańskiego poselstwa i garść ich przyjaciół.

Gorgidas stwierdził, że nie potrafi winić koczowników za gorycz, z jaką odnosili się do mieszkańców Imperium. Mimo niezachwianej przyjaźni Arigha, większość przybyszów z równin miała uczucie, że zostali wciągnięci w przegraną kampanię z powodu Imperium. A Mashiz, tak bliskie, a jednak całkowicie nieosiągalne, symbolizowało ich zawiedzione nadzieje.

Chmura duszącego dymu, unosząca się znad granitowej piramidy w zachodniej części miasta, nie przesłaniała ciżby jurt, namiotów i innych schronień, która z dnia na dzień rozrastała się, w miarę jak wojska Yezd napływały do stolicy. Obozowe ogniska lśniły jak gwiazdy. W swym pierwotnym stanie arshaumska armia nie obawiałaby się takiego tłumu. Porozdzielaną i zdziętkowaną tak jak teraz, jeden zdecydowany atak zmiotłby zupełnie.

Greki zastanawiali się, dlaczego taki atak nie nadchodzi. Po uderzeniach, które rozbiły Ar-shaumów, wydawało się, że ich przeciwnicy przestali się nimi interesować. Codzienne patrole pilnowały, by rozproszone grupy trzymały się z dala od Mashiz, lecz poza tym ignorowano je. Yezda pozwalali im nawet kontaktować się ze sobą, jednak górską krainą okazała się zbyt niedostępna i zbyt uboga pod względem zaopatrzenia, by mogli ponownie przegrupować się w jedną armię.

–Kto idzie? – szczeptał nerwowo Prevalis, syn Haravasha, kiedy zbliżył się jakiś Arshaum;

doszło do tego, że żołnierz z Pristy odnosił się równie podejrzliwie do sprzymierzeńców, co do

wrogów. Po chwili młody wartownik odprężył się.

–Ach, to wy, panie.

Arigh oparł się o głaz osadzony w zboczu wzgórza i spojrzął po kolei na Goudelesę, Viridoviksa,

Skylitzesa, Gorgidasa i Agothiasa Psoesa. Uderzył pięścią w udo. – Nie zamierzam przeżyć moich dni jako banita przekradający się wśród tych gór i uważający się za bohatera dlatego, że zdołał ukraść pięć owiec albo jakąś szpetną dziewczkę.

–Więc co zamierzasz zrobić, żeby tak nie było? – zapytał Psoes. Videssańskiego podoficera cechowała właściwa Rzymianom bezpośredniość.

–Na wszystkie duchy wiatru, nie wiem. – Arigh spojrzął z wściekłością na mrugające w oddali gwiazdkami ognisk obozowisko.

Skylitzes podążył za jego spojrzeniem. – Jeśli ich obejdziemy, możemy ruszyć do Imperium – powiedział.

–Nie – rzekł stanowczo Arigh. – Nawet gdybym zdołał nakłonić do tego moich ludzi, to i

tak nie chcę porzucić Mashiz, jeśli wciąż jeszcze mogę walczyć. Duch mojego ojca wzgardziłby

mną, jeśli poniechałbym zemsty tak szybko.

Videssańczyk, obeznany ze zwyczajami równin, skinął głową. Spróbował z innej beczki. – Nie zrezygnowałbyś przecież z zemsty, a tylko zyskałbyś nowych sprzymierzeńców, by jej dopełnić, tak jak zrobiłeś to w Erzerum. Zwrócenie się o pomoc do Imperium udobruchałoby twoich żołnierzy.

–Bardzo być może, lecz mimo to nie chcę. W Erzerum byłem panem sytuacji. U Thorisina byłbym żebrakiem.

–Gavras nienawidzi Yezd tak samo jak ty – wtrącił się Gorgidas. – Szukanie u niego pomocy nie oznacza, że twoja dotychczasowa walka pójdzie przez to w niepamięć.

–Nie – powtórzył Arigh. – Thorisin rządzi swoim własnym królestwem i moje zmartwienia nie są takie same. Może mieć powód, by na jakiś czas zawrzeć teraz pokój z Yezd. A jeśli Namda-lajczycy wciąż mu zagrażają, tak jak w zeszłym roku? Jestem zbyt słaby, by zdawać się na takie niepewne rozwiązania. Straciłbym przez to tę resztę swobody działania, jaką jeszcze posiadam. Gdybym miał coś do zaoferowania Gavrasowi, coś do prehandlowania za jego pomoc, sprawa mogłaby wyglądać inaczej. Jednak tak, jak jest teraz...

Westchnął. – Chcecie dobrze, wy wszyscy, lecz kariera dowódcy najemników nie przemawia do mnie bardziej, niż granie do końca życia roli herszta rabusiów. Co się stanie z moim klanem, pod wodzą Dizabula jako jego khagana? Muszę znaleźć sposób, żeby wrócić do Shaumkhiil razem z moimi ludźmi.

Połykający końcówki arshaumski akcent Arigha przydał natarczywości jego słowom. Viridoviks zdumiał się tym, jak w ciągu roku jego przyjaciel z młodego hulaki wyrósł na dalekowzrocznego dowódcę. – Zaiste, przerósł mnie jak nic – mruknął do siebie zaskoczony Gal. – Ja rzuciłbym

wszystko, żeby wziąć odwet i cholernie mało obchodziłoby mnie, co będzie potem. Och, jakimż wspaniałym księciem będzie dla swego ludu, bo zawsze ma na względzie dobro wszystkich.

Jednak Gorgidasowi Arigh jawił się jako tragiczny bohater, który ze szczytów wielkości runął w otchłań zguby. Zastanawiał się, ilu pokonanych władców zostało zepchniętych w górskie komysze Erzerum z nie spełnioną przysięgą zwycięskiego powrotu na ustach. Lecz ciche ustronia Erzerum przepadły w oddali. W Dilbat Arshaumi mogli jedynie oczekiwać pogromu.

–Co twój szaman ma do powiedzenia o znakach? – zapytał Psoes. Mając za sobą tak długą służbę na pograniczu i na samym stepie, był skłonny szybciej niż inni mieszkańcy Imperium uznać, że rytuały koczowników mogą się do czegoś przydać. Skylitzes spojrzął na niego, marszcząc brwi.

–Odprawił obrzędy kilka razy i nic z nich nie odczytał. Zbyt blisko tego... - Arigh wskazał na dymiącą piramidę. Nie musiał nic więcej wyjaśniać. Gorgidas znał fetor, jaki niosły ze sobą te wyziewy; kiedyś pomagał wynosić zwłoki ze spalonego budynku. Arigh ciągnął dalej: – Ta ziemia, na której stoimy, w głębi pełna jest jam, tak mówi Tolui.

–Pogańskie zabobony. – Skylitzes jeszcze bardziej zmarszczył brwi, lecz przyznał: – Można byłoby to uznać, jak sądzę, za metaforę tych wyziewów zła, które spowijają Mashiz. – On również rozpoznawał odór palonego ludzkiego ciała; videssańska armia używała palnych mieszanin, którymi wypełniano pociski wystrzeliwane z katapult.

–Metaforę? – Goudeles uniósł brew w wyrazie udawanego zaskoczenia. – Nigdy nie przy-szłoby mi do głowy, że taki prostoduszny żołnierz jak ty rozpoznałby metaforę, nawet gdyby podeszła i ugryzła cię w nogę, Lankinosie.

–Zatem kto wykazuje się ignorancją, ty czy ja?

Viridoviks uniósł rękę, zaliczając punkt. – Trafiony – oznajmił. Goudeles, zirytowany, spojrzął

na niego kwaśno. Urzędnika drażniło, że Skylitzes, w swój oszczędny w słowa sposób, odpowiedział pięknym za nadobne.

Z głazu, o który opierał się Arigh, wydobył się stłumiony, zgrzytliwy dźwięk. Kamyki i małe kamienie prysnęły mu spod stóp. Arigh sapnął i odskoczył. – Co się dzieje? Czy w tym parszywym kraju skały potrafią chodzić?

–Trzęsienie ziemi! – Rakio krzyknął to pierwszy, a Gorgidas, Skylitzes i Goudeles zgodnym chórem zaraz po nim. Lecz ziemia tak naprawdę nie dygotała, a kamienie nie sypały się gdziekolwiek, tylko wokół szarego, granitowego głazu. Wstrząśnięty Gorgidas zagryzł wargi, tłumiąc okrzyk. Głaz zaczął dygotać jak żywy.

–Meta-co, hę? – rzekł tryumfalnie Arigh do Skylitzesa. Arshaum sięgnął po miecz. – A mnie przypomina to bardziej zwykłą pułapkę. Teraz zatrzaśnię się na tych, którzy ją zastawili, tym razem wymierzili zbyt celnie, żeby mogło wyjść im to na dobre. – Jego towarzysze również obnażyli broń.

Po tym zgrzytliwym początku, głaz przesuwiał się już ciszej.

–Tam jest wgłębienie, wzdłuż którego może się przesuwac – powiedział Rakio, wskazując

ręką. I rzeczywiście, płytka bruzda pozwalała odsuwać wielki kamień od zbocza wzgórza. Za nim

pozostawała poszerzająca się szczelina czerni. – Próbują okpić nas tajnym przejściem, co? – Yr-

mido ruszył naprzód, przyczajony, ważąc ciało na palcach stóp.

Viridoviks zatrzymał się. Przypomnił sobie *enaree* Lipoksaisa w skazanym na zgubę namiocie Targitausa. Szaman Khamorthów zobaczył oczy, dokładnie pięćdziesiąt, drzwi w górach i dwa miecze. Pierwsza część przepowiedni została potwierdzona takim nieszczęściem, że Gal nie chciał żadnego potwierdzenia drugiej.

Otwór w zboczu wzgórza poszerzył się już na tyle, że od biedy precyzyjnie się przezeń człowiek. – Ktokolwiek się tam czai, rozłupię go na pół! – zawołał Viridoviks. Przepchnął się obok Rakio, dzierżąc wzniesiony do ciosu miecz.

Gdy zbliżył się do przesuwającego się głazu, runy wyryte na Jego klindze rozпалиły się złotym światłem. – Uwaga! – zawołał do swoich towarzyszy. – To Avshar albo jeden z jego czarowników.

Zza głazu dobiegł czyjś głos. – Nie pojmuję tego, Skaurusie. Wydało mi się właśnie, że z zewnątrz dobiegł mnie głos tego wielkiego galijskiego cymbała.

Na dźwięk znajomego zgrzytliwego głosu, Viridoviks musiał szybko chwycić miecz, który wypadł mu z dłoni. On i Gorgidas spojrzeli po sobie błędnym wzrokiem. Potem Celt z całych sił naparł na głaz. Lekarz skoczył mu na pomoc. Kamień przechylił się i przewrócił na bok. Mrużąc oczy przed blaskiem ognisk, dwaj Rzymianie i ich towarzysze potykając się wyszli z tunelu.

Z rykiem radości Viridoviks otworzył ramiona. Gajusz Filipus odwzajemnił jego uścisk z równą ochotą. Jednak Marek skrzywił się w jego objęciach. – Rana – wyjaśnił, jak zawsze uprzejmie, choć zarówno on jak i starszy centurion byli posiniaczeni, wymizerowani i brudni.

–Niech Phos ma mnie w swojej opiece, toż to Skaurus – wyszeptał Pikridios Goudeles. Po raz

pierwszy od czasu jak Gorgidas sięgał pamięcią, Goudeles nakreślił na piersiach słoneczny krąg.

Greki ledwie to zauważyli, nie zwrócili też uwagi na Arigha, który wykrzykiwał do swoich ludzi, że ci oto, wbrew wszelkim oczekiwaniom, są przyjaciółmi. Nie potrzebował swego lekarskiego oka by dostrzec, że Rzymianie są paskudnie poturbowani. – Co wy tu robicie? – prawie że krzyczał do nich, kiedy pomagał spocząć im przy ognisku.

Ani Skaurus, ani Gajusz Filipus nie próbowali sprzeciwić się jego opiece. – *Khaire* - rzekł trybun, wolno i ze znużeniem. – Witaj. – Gorgidas musiał odwrócić głowę, żeby ukryć łzy. Nikt inny na tym świecie nie mógłby powitać go po grecku. Tak bardzo pasowało to do trybuna, mimo jego wyczerpania.

Marek przenosił wzrok z lekarza na Viridoviksa, wciąż z trudem pojmując, że ich widzi. –

Daleko stąd do stepów – zdołał wreszcie wydusić z siebie tę oczywistą aż do bezmyślności uwagę, lecz na nic innego nie było go stać.

–Daleko też do Videssos – zaznaczył Gorgidas. On również był zbyt zaskoczony, by powiedzieć coś istotnego.

–Czy to naprawdę ty, szarlatanie? – rzekł Gajusz Filipus. – Wyglądasz, psiakrew, okropnie z tą brodą.

–Lepsza broda, niż te parchy, które wyskakują ci na twarzy – odciął się Grek. Gajusz Filipus mówił dokładnie tak, jak zawsze; to pomogło Gorgidasowi uwierzyć, że Rzymianie naprawdę siedzą przed nim. Starszy centurion nic utracił również umiejętności, które pozwalały mu skutecznie dopieć lekarzowi.

Mężczyzna, który wyłonił się z tunelu wraz ze Skaurusem i Gajuszem Filipusem, podszedł do nich i uklęknął przy trybunie. Gorgidas zobaczył, że to jakiś Yezda, oficer, sądząc po stroju, który należało uznać za brudny nawet wedle niechlujnych kryteriów, do jakich Grek zdążył się już przyzwyczać; mężczyzna miał zakrwawioną twarz. Jednak posługiwał się językiem Imperium z pozbawioną akcentu płynnością. – Arshaumi i Videssańczycy, na wszystkich możliwych bogów – rzekł gniewnie, rozglądając się wokół. A potem do Marka: – Znasz tych ludzi?

Rozdrażniony jego szorstkim tonem, Viridoviks położył mu rękę na ramieniu. – Ty tam, nie zwracaj mu głowy takim głupim gadaniem. A kim wy w ogóle jesteście, panie? Przyjacielem, czy może dozorcą więziennym?

Yezda strącił z siebie rękę Celta i spojrzał na niego bez lęku.

–Jeśli dotkniesz mnie jeszcze raz bez mojego zezwolenia, wtedy zobaczysz, kim jestem. – Ostrzeżenie powiało lodowatym chłodem. Miecz Viridoviksa wysunął się na kilka cali z pochwy.

–To przyjaciel – rzekł pośpiesznie Marek. – Pomógł nam uciec. Zwie się... – przerwał, nie mając pewności, czy Wulghash chce, by dowiedziano się, kim jest naprawdę.

–Sharvesh. – Khagan wpadł mu w słowo tak zgrabnie, że nikt nie dostrzegł chwilowego wahania trybuna. – Pojmano mnie, kiedy Avshar obalił Wulghasha, ale uwolniłem się. Jakiś czas błąkałem się w tunelach, a potem spotkałem tych dwóch, których spotkało to samo. – Jego przytomność umysłu wzbudziła podziw Skaurusa; z wyjątkiem imienia, jakim się przedstawił nic, co powiedział, nie było do końca nieprawdziwe.

Co więcej, wiadomość, jaką od niechcienia im rzucił sprawiła, że wszyscy bez wyjątku zapomnieli o nim. – Avshar co zrobił? – zawołali Skylitzes, Goudeles i Arigh, każdy głośniejsze niż poprzednik.

Wulghash opowiedział im, stwarzając wrażenie, że jest Jednym ze swoich własnych gwardzistów, który nie uległ Czarom księcia-czarodzieja.

–I tak właśnie Mashiz znalazło się całkowicie we władzy Avshara – zakończył. – Jesteście

jego wrogami, prawda? – Gniewny pomruk, jaki rozległ się wśród jego słuchaczy wystarczył za odpowiedź. – To dobrze. Czy mogę was prosić o konia dla siebie? Mam krewnych na północnym zachodzie, którzy mogą znaleźć się przeze mnie w niebezpieczeństwie i chciałbym ich ostrzec, kiedy jeszcze mam taką możliwość.

–Wybierz sobie, jakiegokolwiek chcesz – rzekł natychmiast Arigh. – Chciałem cię

prosić,

byś pojechał z nami, lecz to oczywiste, że sam wiesz, co jest dla dębie najlepsze.

Wulghash podziękował sztywnym ukłonem. Gdy ruszył ku spętanym kucom, Marek, wbrew protestom Gorgidasa, podniósł się z trudem na nogi. – Hej... Sharvesh! – zawołał.

Khagan Yezd miał zbyt bystry umysł, żeby nie zareagować na swój pseudonim. Odwrócił się i poczekał, dopóki Rzymianin nie podszedł do niego.

–Chciałbym cię prosić o przysługę – rzekł Skaurus na tyle cicho, by tylko Wulghash mógł go usłyszeć. – Zrób z mieczem Viridoviksa... to ten wysoki mężczyzna z rudymi włosami i wąsami... zrób z jego mieczem to samo, co zrobiłeś z moim, żeby Avshar nie mógł nas śledzić, tropiąc go za pomocą magii.

–A niby dlaczego? Nie nazwałem go moim przyjacielem. Nie mam wobec niego żadnych zobowiązań.

–Jest moim przyjacielem.

–Tak jak i Thorisin Gavras, jak rozumiem, a ja nie jestem jego przyjacielem – odparł chłodno Wulghash. – Ten argument nic dla mnie nie znaczy. A jeśli Avshar ruszy w pościg za wami, nie będzie mógł pójść za mną. Bardzo by mi to odpowiadało. Nie, nie spełnię twojej prośby.

–Więc dlaczego miałbyś sobie teraz odejść? Moglibyśmy cię zatrzymać.

–Zróbcie to. Jeśli sądzisz, że potrafisz ze mnie wycisnąć magię, w jaki sposób mogę powstrzymać cię przed próbowaniem? – Cała postawa Wulghasha wyrażała pogardę wobec kogoś, kto chce zerwać więzy przyjaźni. Marek poczuł, że uszy zaczynają mu płonąć. Ostatecznie nieszczęścia khagana nic spowodowali Rzymianie i trybun nie mógł zmusić go, by dał mu to, czego dać nie chciał.

–Rób co chcesz – rzekł Skaurus i odsunął się.

Twarz khagana ożywiła się nieco. – Gdybyśmy mieli spotkać się jeszcze kiedyś, ty i ja,

chciałbym byś mógł wówczas być moim przyjacielem tak samo, jak teraz jesteś *moim* przyjacielem. – Intonacja nie pozostawiała wątpliwości co do znaczenia jego słów. Kiwnął głową Skaurusowi i ruszył do stojących w rzędzie koni.

Kiedy właściciel wierzchowca, którego sobie wybrał, zaprotestował, Arigh dał mu jednego z własnych kuców jako rekompensatę. Zadowolony Arshaum pomógł

Wulghashowi dosiąć konia. Khagan nie miał kłopotów z jazdą na oklep Machnąwszy ręką Arighowi, Wulghash wbił piętę w boki kuca i ruszył kłusem w górę doliny, w stronę gór.

Trybun wrócił do ogniska; siadanie okazało się wcale nie łatwiejsze niż wstawanie. – Wyciągnij się wygodnie – polecił mu Gorgidas. – Zasłużyłeś sobie na to.

Skaurus zaczął właśnie się odprężyć, kiedy nagle usiadł, i to na tyle szybko, by wyrwało to z niego zduszony jęk. – Na bogów! – zawołał, wskazując otwór tunelu. – W każdej chwili sam Avshar może wyjść z tej dziury.

–Och, gównu! – To był Gajusz Filipus. – Z tego wszystkiego całkiem zapomniałem o tym

pomarszczonym czarowniku. Może zjawić się tutaj z połową Yezd.

Arigh rozważał wybór, uciekać czy walczyć. – Ruszamy stąd – zdecydował.

Arshaumi zwinęli obóz z szybkością, która zaimponowała nawet Rzymianom. Oczywiście – pomyślał Skaurus – wchodziło tu w grę o wiele mniej czynności niż przy obozowisku Rzymian – złożyć namioty, dosiąć koni i już można było ruszać w drogę.

Nie jechali daleko, trzy lub cztery mile przez przełęcz, na południe i nieco na zachód, tak że Mashiz, obecnie leżące na północny wschód od nich, zakrywało przed wzrokiem podnóże Dilbat. Choć jechali krótko, nierówny kłus stepowych kuców wytrząsł Skaurusa i Gajusza Filipusa tak, że na miejsce dotarli z posiniałymi z bólu wargami.

Kiedy w końcu zsunęli się z siodła, cierpienie Skaurusa tak rzucało się w oczy, że Gorgidas rzekł nie znoszącym sprzeciwu tonem: – Zrzuć te szmaty. Niech cię obejrzę.

Lekarze nauczyli się posługiwać rozkazującym tonem nie gorzej niż oficerowie; Marek posłuchał bez chwili zastanowienia. Trybun dostrzegł, że oczy Gorgidasa rozszerzyły się nieco, lecz Grek miał za sobą zbyt długą praktykę, by zdradzić cokolwiek poza tym. Przesunął ręce wzdłuż ciętej rany, przez cały czas obserwując reakcje Skaurusa. Mruknął do siebie we własnym języku: – Zaczerwienienie i opuchlizna, gorączka i bolesność – a potem rzekł do Skaurusa: – W twojej ranie wywiązało się zapalenie.

–Możesz mi dać jakiś lek, by je powstrzymać? Jestem pewien, że czeka nas jeszcze dalsza jaz

da i muszę czuć się na tyle dobrze, by nie spaść z konia.

Pomyślał, że Gorgidas nie usłyszał go. Grek siedział, wpatrując się w ogień. Gdyby nie głęboki, regularny oddech, nie różniłby się niczym od odlanej z brązu figury; spokój i bezruch malował się na jego twarzy. Kiedy lekarz odwrócił się i położył ręce na piersi trybuna, Marek uświadomił sobie, że nawet nie mruga.

Dotyk był silny, najsilniejszy w miejscu, które bolało najbardziej. Skaurus mimowolnie otworzył usta do okrzyku, lecz ze zdumieniem stwierdził, że dotyk lekarza wcale nie wywołuje bólu. W rzeczywistości było wręcz przeciwnie; cierpienie rozpływało się, zastępowane wrażeniem dobrego samopoczucia, jakiego nie zaznał od chwili, kiedy pojmał go Avshar.

Palce Greka nieomylnie odnajdywały najbardziej zaognione miejsca rany. Wraz z każdym zdecydowanym dotknięciem trybun czuł, że ból i gorączka opuszczają go. Kiedy Gorgidas odsunął ręce,

Skaurus spojrział na swoją klatkę piersiową i brzuch. Rozcięcie wciąż tam było; ślad po nim będzie nosił aż po grób. Lecz teraz na jego ciele widniała jedynie blada szrama, która wyglądała jak wieloletnia blizna. Trybun pochylił się, a potem przeciągnął i stwierdził, że może poruszać się całkiem swobodnie.

–Nie potrafisz tego robić! – wybuchnął. Niemożność nauczenia się videssańskiej sztuki

uzdrowienia była jedną z przyczyn, które zapędziły Gorgidasa na równiny.

Lekarz otworzył oczy. Twarz miał ściągniętą wyczerpaniem, lecz zdobył się na cień uśmiechu. – Oczywiście – rzekł. Zwrócił się do Gajusza Filipusa. – Sądzę, że zdołam te/, uporać się z tobą, choć pewnie uważasz, że to po męsku jest pozwolić, żeby stłuczenia bolały.

Musiałeś pomylić mnie z Viridoviksem – odciął się weteran. – Dalej, rób co w twojej mocy, a ja będę ci wdzięczny. Choć muszę powiedzieć, że z uzdrawianiem czy nie, z brodą czy bez brody, pod pewnymi względami niewiele się zmieniłeś.

–Masz rację – odparł Grek, marnując okazję do drwiny. Kiedy Gorgidas zapadł znowu w

lecniczy trans, Marek

szepnął do Viridoviksa: – Czy wiesz, jak się nauczył tej sztuki?

–Odpowiedź brzmi zarówno tak jak i nie. Pewne jak nic, że tam byłem i można nawet po

wiedzieć, że ja to wszystko spowodowałem, kiedy zamarzęm na kość, lecz stan ten

uniemożliwił

mi poczynienie jakichkolwiek spostrzeżeń ku nauce waszej czcigodności, jeśli rozumiesz, co mam

na myśli. Majaczyło mi się, biednemu durniowi, że siedzisz sobie w Videssos, bezpiecznie i przy

tulnie, być może z sześcioma czy ośmioma berbeciami, jakie urodziła ci ta twoja Helvis... wygląda

na taką, przy której człowiek nie zmarznie w nocy, jak sędzę.

Syk Gajusza Filipusa nie miał nic wspólnego z dłońmi, które ścisnęły jego ramię. – Czyżbym powiedział coś nie tak? – zapytał Viridoviks, a potem przyjrzał się uważnie twarzy Skaurusa, która wyraźnie sposepniała. – Och, widzę, że tak. Błagam o wybaczenie, cokolwiek to było.

–Nieważne – westchnął trybun. – Choć prawdę mówiąc, mieliśmy pełen wydarzeń rok, za

sługujący na to, by nadrobić naszą wiedzę o wzajemnych poczynaniach.

Gorgidas ocknął się z transu i wypuścił Gajusza Filipusa z rąk. – Jutro, błagam was, kiedy też będę mógł tego wysłuchać – poprosił. Z najwyższym trudem udawało mu się powstrzymać powieki przed opadnięciem. – Na razie jedyne czego naprawdę chcę, to odpocząć.

Gajusz Filipus, wyleczony z takich samych stłuczeń i zwichnięć, jakich doznał Marek, oddał lekarzowi oficjalny, legionowy salut, wyciągnąwszy przed siebie rękę z zaciśniętą pięścią.

–Rób, co tylko chcesz – powiedział szczerze. – Mówię to oficjalnie. Masz do tego prawo.

Wzruszony Grek uniósł brew. – Naprawdę? Zobaczymy. – Machnął ręką na młodego mężczyznę w kolczudze z metalowych łusek nie znanego Markowi typu. Młodzieniec zbliżył się swobodnym krokiem, z uśmiechem na ustach, i położył rękę ni ramieniu Gorgidasas. Lekarz przedstawił go:

–To jest Rakio, z Dozgonnej Wspólnoty Yrmido. Mój kochanek. – I czekał, by niebo zważyło mu się na głowę.

–Cieszę się, że mogę was poznać, panowie – rzekł Rakio, kłaniając się.

–Żeby cię kruki zadziobały – warknął Gajusz Filipus do Gorgidasa. – Nie zrobisz ze mnie kłamcy tak łatwo. – Wyciągnął rękę do Yrmido. To samo uczynił Skaurus. Rakio uściśnął je po kolei; jego dłoń ujęła ich dłonie ze świadomie opanowaną siłą żołnierza. Teraz przedstawili mu się Rzymianie.

–Zatem jesteście ludźmi ze świata Gorgidasa! – zawołał Rakio. – O was wiele opowiadał mi.

–Opowiadałeś, co? – zapytał Marek Gorgidasa, lecz nie Otrzymał odpowiedzi. Lekarz zasnął tam, gdzie siedział.

Pozostawiwszy Rakio, by zakutał Gorgidasa w jego plecy, Rzymianie przeszli się po obozie Ar-shaumów. Leczenie zmyło z nich wyczerpanie, jak gdyby nigdy go nie zaznali, a poruszanie się bez bólu sprawiało przyjemność, którą delectowali się z powodu nowości tego uczucia. Marek, z czystej fizycznej radości, przeciągnął się tak, że aż zatrzeszczało mu w stawach.

–Wydaje się, że miałem rację – stwierdził. – Doprawdy, mnóstwo wydarzyło się w ciągu

tego roku.

Mówił po videssańsku, ponieważ w tym języku rozmawiał z Rakio. Pikridios Goudeles wyrwał go z zamyślenia sarkastyczną uwagą:

–Jeśli nie masz już do przedstawienia innych, tak głęboko filozoficznych twierdzeń, może byś naradził się ze mną nad naszym następnym ruchem, o ile, oczywiście, nie rozkoszujesz się Yezd tak bardzo, by być oczarowanym myślą o pozostaniu tutaj przez nieokreślony czas. Co do mnie, uważam, że jakiegokolwiek inne miejsce, łącznie z piekłem Skotosa, będzie lepsze.

–Jestem do twojej dyspozycji – odparł natychmiast trybun. – Od kiedy Avshar zaczął tu rządzić, różnica między Yezd a piekłem Skotosa nie jest warta splunienia. – Przykucnął, ponownie odczuwając radość z pozbawionego bólu ruchu. – Najpierw jednak opowiedz mi, skąd się tutaj wzięliście i jaka jest wasza sytuacja.

–Dalej gadasz jak oficer – orzekł Goudeles. Zaczai opowiadać w typowy dla siebie rozwlekły, pełen dygresji sposób Skylitzes, widząc ich razem, podszedł do nich i streścił najistotniejsze sprawy w paru zdaniach. Urzędnik spojrział na niego z oburzeniem, lecz i tak niemal przemocą pozbawił go możliwości wypowiedzenia końcowych wniosków. – Arigh nie ruszy n; i wschód, jeśli sojusz z Videssos oznaczać będzie konieczność poświęcenia jego własnej niezależności, ani jeśli nie przestanie podejrzewać, że Imperator może zawrzeć pokój z Yezd.

–To z pewnością nie grozi – rzekł Skaurus. – Kiedy opuszczałem Videssos, Gavras

planował na lato kampanie przeciwko Yezd. A jeśli chodzi o pierwsze, będzie zawierał sojusze na jakich-

kolwiek postawionych mu warunkach... sarn nie jest tak silny, by móc pozwolić sobie na lekceważenie sprzymierzeńców.

–Więc go mamy! – zawołał Goudeles do Skylitzesa Wyciągnął rękę, by klepnąć wyższego mężczyznę po plecach. Marek spojrział na nich z zaciekawieniem. Urzędnik dostrzegł to spojrzenie. Z zakłopotanym uśmiechem powiedział: – Kiedy już znajdziemy się z powrotem w stolicy, bez wątpienia po jakimś czasie znowu przeciwstawię się frakcji wojskowej z całego serca...

–Niewiele go tam masz – wtrącił Skylitzes.

–Och, idź do lodu. Oto miałem właśnie powiedzieć, że pobyt wśród barbarzyńców zmienił, przynajmniej chwilowo, moje widzenie świata i miejsca, jakie zajmuje w nim Videssos. I czym mi się za to dziękuje? Zniewagami! – Goudeles wywrócił dramatycznie oczy.

–Zachowaj swoje teatralne sztuczki na Święto Zimowego Przesilenia – powiedział nie wzruszony Skylitzes. – Porozmawiajmy z Arighem. Mamy teraz argumenty, które mogą zmienić jego postanowienie.

Gajusz Filipus zbadał *gladius* krytycznym wzrokiem.

–Dbales o niego – przyznał. – Jedna szczyrba na ostrzu, o tutaj, widzisz? I jeszcze jedna bliżej końca klingi, ale nic takiego, z czym nie poradzi sobie osetka. Chociaż czy potrafisz się nią posługiwać? Widzę tu nierówność.

–Tak – odparł sucho Gorgidas. Wciąż miał mieszane uczucia co do miecza i wszystkiego, co się z nim wiązało.

Opodał Viridoviks kpił z Marka: – I co, nie jesteś taki sam? Na wszelkie możliwe sposoby lamentowałeś nad moimi igraszkami z Komittą Rhangawe, a potem sam dałeś się przyłapać między prześcieradłami z Alypią. Chylę przed tobą Czoło, ot co. – I zdjął w ukłonie swoją futrzaną czapę.

Trybun zgrzytnął zębami, z rezygnacją poddając się takim docinkom ze strony Celta. Szukał słów odpowiedzi, podczas gdy jego kuc brnął z pluskiem przez wody górnego biegu rzeki Gharraf, jednego z głównych dopływów Tubtub. Nie znalazł nic istotnego, mimo że posługiwał się łaciną, żeby mieszkańcy Imperium, z którymi podróżował, nie mogli dowiedzieć się o jego związku z Alypią. Zdołał powiedzieć tylko tyle: – To nie były, nie są... igraszki. To coś większego. Większego też niż to, co łączyło mnie z Helvis, jak się przekonałem. Patrząc na to z perspektywy czasu, wcześniej powinienem był dostrzec łkały w tym strumieniu.

Wspominając zachowanie Viridoviksa w Videssos, gdzie Celt poczynił sobie jak kocur w marcu, trybun spodziewał się, że dotnie mu teraz kąśliwiej niż kiedykolwiek. Lecz zamiast tego Viridoviks spowaźniał. – Zatem to jedna z tych, co? Może więc znajdziesz w tym szczęście. Ja nie znalazłem, kiedy mnie to spotkało i naprawdę nie wiem, czy coś takiego powtórzy się jeszcze. – Mówił dalej,

głównie do siebie samego:

–Och, Seirem, to nie szczęście przyniosłem ci ze sobą.

Jechali na wschód połączeni smutnymi wspomnieniami. Układ terenu nie przedstawiał się dla Skaurusa całkiem obco, bowiem wraz z Tahmaspem przybył do Mashiz szlakiem biegnącym nieco tylko dalej na południe od tego, jaki obrał Arigh. Kraj był nizinny, falisty i pagórkowaty – południowe kresy żyznej, napływowej równiny Stu Miast. Tutejsze niewielkie miasteczka tuliły się do potoków. Z dala od wody słońce aż do suchej żółci wypaliło trawy i cierniste krzewy okrywające cienką warstwą wzgórza. Paszy starczało ledwie na to, by konie nie opadły z sił.

Jakiś zwiadowca zjechał z leżącego przed nimi wzniesienia, wykrzykując coś w mowie równin. Gorgidas przetłumaczył dla Rzymianina: – Oddział Yezda zdąża w naszą stronę. – Słuchał jeszcze przez chwilę. – Mówi, że mamy nad nimi przewagę liczebną. – Marek odchrząknął z ulgą. Arigh prowadził zaledwie sześciuset ludzi. Jakakolwiek naprawdę duża kompania Yezda, zdążająca do Mashiz, by dołączyć do Avshara, mogłaby rozbić ich bez trudu.

Tak jak kompetentny dowódca winien to czynić, Arigh szybko powziął decyzję. Chorągiewki sygnałowe zatańczył przy nim, przekazując rozkazy. Arshaumi przegrupowali się z kolumny marszowej w szyk bitewny w spokojnym pośpiechu, który przypomniał Skaurusowi jego legionistów. Jeźdźcy po obu flankach pokłusowali naprzód, by utworzyć wystające skrzydła. Środek pozostał nieco w tyle. Wraz z własnymi łucznikami Arigh zatrzymał tam resztki Erzerumczyków i grupę Videssańczyków. Kiedy Arigh zauważył, że Skaurus przygląda się uważnie czynionym przez niego przygotowaniom błysnął zębami w pozbawionym radości uśmiechu. – Za mało ciężkozbrojnych jeźdźców, by móc sobie na wiele pozwolić lecz jeśli coś będzie miało znaczenie, to właśnie oni.

Posłaniec nadszedł pędem z lewego skrzydła, rzucił pan słów dowódcy Arshaumów i pogalopował z powrotem. Kolej nr chorągiewki zatrzepotały w powietrzu. – Spostrzegli tam drani – rzekł Viridoviks, odczytując sygnały. Cały szyk obrócił się nieco w lewo.

Nie będąc wytrawnym jeźdźcem, Marek miał tylko nadzieje że potrafi zapanować nad kucem podczas walki. Gajusza Filipusa musiało dręczyć to samo zmartwienie, ponieważ wyglądał na bardziej zdenerwowanego niż przed jakąkolwiek z walk, w

których dotychczas widział go trybun. Niepewnie ważył w dłoni pożyczony pałasz. Gorgidas chciał zwrócić mu jego *gladius*, lecz centurion nie przyjął go, mówiąc: - Poradzę sobie lepiej niż ty z nieznanym mieczem. – Trybun zastanowił się, czy Gajusz Filipus żałował swej hojności.

Wjechali na szczyt wzniesienia, z którego zjechał zwiadowca. Skaurus zobaczył Yezda, częściowo przesłoniętych wzbijanym przez siebie kurzem, jak oddalają się galopem, utrzymując szyk. Viridoviks krzyknął ostrzegawczo: – Nie dajcie się oszukać! To fortel, jaki stosują wszyscy ci koczownicy, żeby wmówić przeciwnikom, że są tchórzami.

Ścigający ich Arshaumi z obu skrzydeł, świadomi podstępu, zachowywali pomiędzy sobą a

głównymi siłami przeciwników pełen szacunku dystans. Jednak najszybsze arshaumskie kuce zrównały się już z pozostającymi z tyłu końmi Yezda. Arshaumi nie próbowali się zbliżyć, lecz rozciągnęli się szeroko, usiłując otoczyć Yezda.

Widząc, że może im się to udać, i że wezmą w sak całe jego wojsko, dowódca Yezda wrzasnął rozkaz. Ze zdumiewającą szybkością i zręcznością jego ludzie zatoczyli końmi i popędzili i grzmotem kopyt tam, skąd przybyli, prosto na Arigha i środek jego szyku. Jeden po drugim prostowali się w swych krótkich strzemionach, szyjąc z luków.

Marek zetknął się już pod Maraghą z ogniem zaporowym tuczników z równin. Wówczas, wraz ze wszystkimi żołnierzami piechoty, nie mógł zrobić nic innego, jak tylko wytrwać w miejscu i przyjąć go na siebie. Wydawało się, że trwa całą wieczność. Teraz on również siedział w siodle, wśród koczowników odpowiadających strzałem na każdy strzał Yezda, a potem szarżujących na wroga z szybkością, od której jego smagane wiatrem oczy napełniły się łzami.

Koń jakiegoś Arshauma runął na ziemię, przygniatając pechowego jeźdźca. Kuc biegnący za nim skręcił, by go wyminąć, i tym samym wystawił brzuch na strzały Yezda. Chwilę później drugi wierzchowiec kwiknął i zwałił się na ziemię parę stóp za pierwszym. Dosiadający go jeździec wyrwał nogi ze strzemion i spadł na nierówny grunt, osłaniając rękoma głowę.

Strzała ukąsiła Skaurusa w łydkę. Zaskowyczał. Kiedy spojrzął w dół, zobaczył obficie krwawiące cięcie, długości może dwóch cali; grot przelatującej strzały przeorał mu skórę nogi. Rana znajdowała się tuż poniżej miejsca, gdzie kończyła się nogawka spodni. Spodnie do konnej jazdy, pożyczone od jakiegoś Arshauma, pasowały nań dobrze w pasie, lecz były o wiele za krótkie.

Potem już rozgorzała walka wręcz, podczas której Yezda próbowali przerąbać się

przez swych przeciwników, zanim tamci zdołają wprowadzić wszystkich swoich ludzi do walki, zaś ludzie Ari-gha walczyli, by ich powstrzymać. Marek robił co mógł, żeby ustawić się na drodze Yezda, jednak ku jego upokorzeniu pierwszy jeździec, do którego się zbliżył, ominął go tak łatwo, jak gdyby on sam i jego wierzchowiec nagle zastygli bez ruchu.

Kolejny jeździec zbliżył się do trybuna. Walka wręcz rozgorzała już na dobre i jeźdźcy nie pędzili tak szybko, jak przedtem. Yezda złożył fintę i wyszedł z niej cięciem. Marek miał szczęście parując cios; musiał myśleć o wszystkim, co robi – a to słabość, która w walce łatwo może okazać się zgubną. W odpowiedzi zadał cios, którym niemal odciął ucho swojemu kucowi. Yezda, widząc że ma do czynienia z nowicjuszem, pozwolił sobie na uśmiech, który łysnął bielą zębów przez gęstą, czarną brodę.

Sam jednak władał mieczem, kierując się bardziej dziką zaciętością niż sztuką szermierczą i Skaurus, odbiwszy serie zamasztych ciosów poczuł, że jego pewność siebie zaczyna wracać. Potrafił walczyć w ten sposób, choćby tylko w obronie Uśmiech Yezda zgasł. Nowa fala walczących rozdzieliła ich

Z ukłuciem zazdrości trybun zauważył, jak dobrze radzą sobie w siodle Viridoviks i Gorgidas. Długie ramię Celta i długa, prosta klinga czyniły zeń śmiertelnego przeciwnika: Gorgidas nie wywierał takiego wrażenia, lecz poczynał sobie wcale dzielnie. No i był jeszcze Gajusz Filipus, który walił na odlew pałaszem, jak gdyby się z nim urodził. Marek zapraгна! mieć więcej takiej zdolności przystosowania się.

Toczył właśnie zaciętą potyczkę z Yezda, który okazał się lepszym wojownikiem niż ten pierwszy, kiedy koczownik nagle zatoczył koniem, by stawić czoło nowemu zagrożeniu. Zbyt późno; lanca Erzerumczyka przeszła jego małą, skózaną tarczę, jak gdyby zrobiono ją z płótna, wbiła się głęboko w brzuch Yezda i zmiotła go z siodła. Od czasów Namdalajczyków Skaurus nie miał okazji widzieć ciężkozbrojnego kawalerzysty w akcji; wolałby, żeby Arigh miał ze sobą więcej górali.

Ci Yezda, którym się to udało, wyrwali się i umknęli na zachód. Arshaumi nie ruszyli za nimi w pościg – ich droga wiodła w przeciwnym kierunku. Potyczka kosztowała ich kilkunastu zabitych. Trzykrotnie więcej Yezda leżało martwych na spieczonej słońcem ziemi; jeszcze kilku wilo się i skowyczało od ran, które miały zabić ich wolniej, lecz nie mniej pewnie.

Arigh stanął nad Yezdą, którego, wnętrzości rozlały się wśród suchej trawy. Mężczyzna skowy-czał przy każdym oddechu; nie można było mu pomóc. Arshaum przywołał do siebie Skylitzesa. – Powiedz mu, że uwolnię go od cierpienia, jeśli odpowie mi zgodnie z prawdą. – Wódz Ar-shaumów wyciągnął sztylet; oczy Yezda zawisły na nim z pożądaniem. Skinął głową; ból wykrzywił mu twarz. – Zapytaj go, gdzie Avshar zamierza poprowadzić armię, którą tworzy.

Skylitzes przełożył pytanie na język Khamorthów. – Videssos – wychrypiął Yezda; po policzkach pociekły mu łzy. Dodał jeszcze dwa słowa. – Twoja obietnica – przetłumaczy! z roztargnieniem Skylitzes. Twarz mu sposępniała; spodziewał się takiej wieści, lecz mimo to zmartwiła go.

Arigh przebił sztyletem gardło Yezda.

–Lepiej się upewnić – powiedział i zadał pytanie innemu powalonemu Yezda, lecz żołnierz

zmarł, nim Skylitzes zdążył e przetłumaczyć. Jednak trzecia próba potwierdziła uzyskaną wiado

mość. – Dobrze – rzekł Arigh. – Teraz czuję się lepiej. Nie zostawiam Avshara za sobą.

Arshaumi porzucili wrogów tam, gdzie padli. Zabrali zwłoki własnych ludzi i wykopali dla nich płytkie groby, kiedy znaleźli się na miękkim gruncie nad brzegiem strumienia. Tolui wypowiedział parę słów, gdy koczownicy zakopywali ciała swych towarzyszy. – Co on mówi? – zwrócił się Marek do Gorgidasa.

–Hmm? Posłuchaj tylko... nie, co ze mnie za idiota; przecież nie znasz języka Arshaumów. –

Lekarz przetarł kłykciami oczy. – Tak bardzo jestem zmęczony – mruknął; po potyczce pomógł

jeszcze wyleczyć trzech wojowników. – Modli się, żeby duchy zabitych przez tych wojowników

wrogów służyły im na drugim świecie.

Skaurusowi przyszło coś do głowy. – Jak silnym jest czarodziejem?

–Z pewnością silniejszym, niż początkowo sądziłem. Dlaczego pytasz?

Nie wymieniając imienia Wulghasha, trybun opowiedział, w jaki sposób jego miecz został

częściowo ukryty przed tropiącymi czarami. Gorgidas pochylił głęboko głowę pokazując, że rozumie. – Tak; Viridoviks został wytropiony na stepie właśnie przez swoją klingę. Jeśli Tolui zdoła dorównać utkanej dla ciebie magii, niemało zyskamy, ukrywając nasz szlak przed Avsharem. – Jego wzrok nabrał ostrości. – Wydaje się nieco dziwne, że spotkany przypadkowo gwardzista miał na podorędziu tak potężne czary, czyż nie?

Marek poczuł, że czerwienieje; powinien mieć więcej rozumu w głowie i nie trudzić się próbami ukrycia czegokolwiek przed Grekiem. – Sądzę, że nie ma to już znaczenia – stwierdził i powiedział Gorgidasowi, kim był ów czarodziej.

Lekarz dostał ataku kaszlu. Kiedy znowu mógł już mówić, powiedział: – I dobrze się stało, że nie nazwałeś go po imieniu w obecności Arigha. Widziałby w Wulghashu jedynie suzerena Yezd i swego wroga; nie oszczędziłby go za to, że ciebie uratował. Lubi cię, zważ to, lecz nie na tyle, by ze względu na ciebie zrezygnować z własnych planów.

–Jest zatem taki sam jak jego przeciwnik – rzekł Skaurus. – I jak Thorisin, prawdę mówiąc.

–Uśmiechnął się krzywo. – Niekiedy czułem się źle w Rzymie jako republice, lecz zobaczywszy

królów w działaniu mam nadzieję, że będzie trwała wiecznie.

Tego wieczoru Tolui poddał miecz trybuna drobiazgowym badaniom, a potem uczynił to samo z mieczem Viridoviksa.

–Widzę, co zostało zrobione – rzekł w końcu, lecz nic wiem, jak. Mimo wszystko spróbuję

dorównać temu, na swój własny sposób. – Szybko nałożył swoje ozdobione frędzlami insygnia i

zaczął uderzać w swój owalny bębenek, by przywołać mające mu pomóc duchy.

Skaurus podskoczył, kiedy jakiś głos rozległ się znikąd; nigdy przedtem nie widział tego rodzaju czarów. Dłuższe i głośniejsze bębnienie podporządkowało ducha władzy szamana.

Lecz magia w galijskiej klindze musiała uznać obecność zbliżającego się ducha za zagrażającą i wrogą mieczowi, bowiem druidyczne runy buchnęły nagle gorącym i złotym światłem. W odpowiedzi duch zaczął jęczeć i zawodzić. Tolui zachwiał się i krzyknął ponagląco, lecz odpowiedział mu jedynie gasnący, urągliwy śmiech.

Trzęsącymi się rękoma szaman zdjął swoją maskę o łypiących oczach. Smagłość skóry nie mogła ukryć bladości, jaka powlokła jego szeroką, płaską twarz. Pełnym upokorzenia tonem rzucił parę słów Gorgidasowi. Grek przetłumaczył:

–Mówi, że sławi czarodzieja, który zamaskował twój miecz, Skaurusie. Sam zrobił wszystko,

co w jego mocy, lecz jego magia nie jest dość subtelna dla takiego zadania.

Trybun ukrył zawód. Zapewniwszy Toluiego gestem rąk, że wszystko w porządku, rzekł do Gor-

gidasa: – Warto było spróbować... nie jesteśmy przez to w gorszej sytuacji niż przedtem.

–Prawda, z wyjątkiem tego biednego, osmalonego duszka. – zastrzegł z kwaśną miną Virido-

viks, chowając miecz do pochwy. – Wył, jak obdzierany ze skóry kot, nie ma co.

Nieco później Gorgidas rzekł do Skaurusa: – Nie sądziłem, że Tolui zawiedzie cię. Nie dał sobie rady z dwoma magami jednocześnie; Wulghash musi posiadać nadzwyczajną moc, jeśli zdołał rzucić czar na twoją klingę.

–W rzeczy samej, nie „na”... *wokół* będzie właściwszym określeniem, jak sądzę – odpowiedział trybun. – Nawet Avshar nie ośmielił się rzucić zaklęcia, które wiązałyby się *t* samym mieczem.

–I tak właśnie być powinno – rzekł Viridoviks. – Święci druidzi posiadają więcej mocy, niż jakkolwiek toczony przez robaki czarownik, ponieważ mają ją od prawdziwych bogów, których czczą. – Nic nie mogło wzruszyć jego absolutnego przekonania o wyższości jego celtyckich magów.

Gajusz Filipus prychnął: – Jeśli twoi potężni druidzi są tak wspaniali, jak mówisz, to jak to się stało, że obecny tu Marek zdobył swoją galijską klingę od jednego z nich w bitwie? I jak to się stało, że magia w jego mieczu i w twoim sprowadziła wszystkich nas tutaj, łącznie z tobą, zamiast zostawić cię w twoim ojczystym kraju, jak zrobiłyby to właściwie utkane czary?

Viridoviks spojrzał wzdłuż swego długiego, prostego nosa na starszego centuriona. – Pewne jak nic, że udało mi się zapomnieć, jaki z ciebie jadowity gnojek. – Pochylił się naprzód, by poruszyć węgle ogniska, wokół którego siedzieli. Uczyniwszy to, podjął na nowo: – Z tego, co wiadomo, znaleźliśmy się tutaj nieprzypadkowo.

Gal odezwał się w odruchowej próbie obrony druidów, lecz Gorgidas zlekceważył szydercze prychnięcie Gajusza Filipusa, mówiąc poważnie: – Możliwe, że tak właśnie było. Pustelnik w ruinach tak uważał.

–O co w tym chodzi? – zapytał Marek; biorąc pod uwagę, że tyle wydarzyło się po obu

stronach, żadna z nich nie wiedziała wszystkiego o poczynaniach drugiej.

Lekarz i Viridoviks na zmianę opowiedzieli historię spotkania z pustelnikiem. Skaurus słuchał i drapał się po brodzie. Zarost kłuł go w palce. Jedną z pierwszych rzeczy, jakie uczynił po odzyskaniu wolności, było pożyczenie brzytwy od Viridoviksa i zgolenie brody. Wytrwał w tym, chociaż golenie przy pomocy starego tłuszczu pozostawiało wiele do życzenia.

Kiedy Viridoviks i Gorgidas skończyli, Gajusz Filipus, który również pozbył się brody, zauważył: – Wygląda mi to na jeszcze jednego kapłana, może zbyt długo duszonego we własnym sosie. Nie powiedział jednak, czym jest ów niezwykły cel, prawda?

–Moim zdaniem to ludzie określają cele, nie na odwrót – rzekł Gorgidas. Zwrócił się wyzy

wającym tonem do weterana: – Co ty byś wskazał, gdybyś miał taką możliwość?

–Zadaj mi jakieś trudniejsze pytanie. – Śmiech Gajusza Filipusa nie miał nic wspólnego z wesołością. – Ja chcę Avshara.

–Tak. – Viridoviks wymruczał to słowo, w swej gorliwości ponownie przybierając minę i ton barbarzyńcy, jakim już niemal przestał być. – Jego głowa nad moimi drzwiami.

Marek pomyślał, że nie warto było zadawać tego pytania Nie licząc tego, co książę-czarodziej uczynił każdemu z nich, naraził Videssos na śmiertelne niebezpieczeństwo. Pozostawiając na boku własne blizny – nie licząc nawet Aypii – samo to na zawsze uczyniłoby Rzymianina jego wrogiem. Mimo wszystkich jej wad, Skaurus podziwiał tradycję łagodnych rządów swej przybranej ojczyzny; wiedział, jak rzadko coś takiego miało miejsce.

Właśnie znowu pocierał szczękę, kiedy jego ręka znieruchomiła, zapomniana. Bardzo wolno odwrócił się do Viridoviksa i zapytał: – Ile poświęciłbyś, żeby go dopaść?

–Jego? – Celt nie wahał się ani chwili. – Żadna cena nie byłaby zbyt wysoka.

–Mam nadzieję, że wiesz, co mówisz. Słuchaj...

Arshaumi zatrzymali się przed rozwidleniem drogi. Żadne z rozgałęzień nie wydawało się obiecujące. Północny szlak biegi przez kolejne połacie jałowego, porośniętego krzewami kraju, który poznali już aż za dobrze, podczas gdy drugi skręcał na południe, niknąc w czymś, co wydawało się szczerą pustynią.

Marek i Gajusz Filipus nakłaniali Arigha do obrania południowego szlaku. – Szybciej przedostaniesz się do Videssos, ponieważ na południu jego granica wygina się

bardziej na wschód – przekonywał trybun. – A i Yezda będą tam mniej liczni. Pozostawiają pustkowie koczownikom z pustyni; nie ma tam dość wody, by ich stada mogły przeżyć.

–Więc jak znajdziemy jej dość dla siebie? – zapytał uszczypliwie Arigh.

–Woda tam jest, jeśli się wie, gdzie jej szukać – rzekł Gajusz Filipus – a Skaurus i ja wiemy. To jest szlak, którym jechaliśmy na zachód z karawaną Tahmaspa. Oprócz miasteczek, ten pirat zna nazwę każdej maleńkiej studni, i studni, które były tam przedtem też. Nie jesteście rekrutami, Arigh; mieliśmy oczy otwarte.

–Dziwny szlak, jak na zwierzchnika karawany – zadumał się wódz Arshaumów. – Sto Miast z pewnością oferowało Większe zyski z handlu.

–Normalnie tak, lecz ten lis zwietrzył najeźdźców przewracających je do góry nogami. – Marek wyszczerzył zęby W uśmiechu. – Musiało chodzić o ciebie, przypuszczam.

–I tak było. – Arigh zadumał się nad zbiegiem okoliczności. – Może duchy dają nam jakiś znak. Zatem niech tak będzie. – Rzadko mając kłopoty z podjęciem decyzji, machnął ręką na swych ludzi, by ruszyli proponowanym przez Rzymian szlakiem.

Powietrze miało zapach rozpalonego kurzu. Słońce raziło, odbijając się od łąch piasku. Rakio wpatrywał się przez zmrużone powieki w spalony słońcem, płaski teren, przez który jechał wraz z towarzyszami. – Och, na doliny, potoki i chłodne, zielone łąki! – jęknął żałośnie. – Smutne miejsce do umierania.

–Jakby miało znaczenie to, gdzie się umiera – rzekł Viridoviks. – Będę martwy już nieba

wem, tu albo gdzie indziej. – Jak to się działo od chwili, kiedy wysłuchał planu Skaurusa, wyda

wał się bardziej zrezygnowany niż posępny. Fey, pomyślał Gorgidas; celtyckie słowo pasowało.

Ze swej strony trybun robił co mógł, by nie myśleć o prawdopodobnych owocach swego pomysłu. Pomagała mu w tym rola przewodnika. Szybko stwierdził, że obietnice, jakie z Gajuszem Fili-pusem dali Arighowi, łatwiej złożyć niż dotrzymać. Punkty orientacyjne wyglądały inaczej od strony, z której je zapamiętał. Częściowo przyczyniał się do tego wiejący piasek. Droga znikła pod nim niekiedy na całe setki stóp.

Co gorsza, przebył ten szlak tylko w jednym kierunku, ze wschodu na zachód. Widziane z drugiej strony, znaki orientacyjne pozostawały nierozpoznane za nimi.

Dopiero kiedy je minął i spoglądał za siebie, miał pewność, że je rozpoznaje.

–Oto zaleta oglądania się za siebie, jakiej sobie nie uświadamiałem – rzucił do starszego cen

turiona, kiedy udało im się zawrócić Arshaumów do pierwszego, jakże ważnego, zagłębienia z

wodą.

Pod wpływem nalegań Rzymian, koczownicy prowadzili konie do wodopoju po kolei, zachowując porządek. – Jeśli zapaskudzisz oazę, mieszkańcy pustyni dopadną cię i zabiją – ostrzegł Ari-gha Skaurus.

Wódz Arshaumów nie wyglądał na przekonanego, dopóki Skylitzes nie powiedział: - Pomyśl o tym, z jaką troską wasze klany zajmują się ogniem na stepach.

–Ach. Tak, rozumiem – rzekł Arigh, pojmując podobieństwo. – Tutaj ogień nie stanowi nie

bezpieczeństwa; gdzie się rozprzestrzeni? Lecz zniszczenie lub zanieczyszczenie wodopoju może

stanowić o wojnie.

Alarm wartowników wyrzucił Arshaumów z pledów o pierwszym brzasku. Oddział pustynnych koczowników rozpościerał się w luźny szyk, w miarę jak zbliżał się od południa Większość koczowników jechała na drobnych, pełnych wdzięku koniach; paru dosiadało wielbłądów. Niektóre z arshaumskich kuców zaczęły prychać i stawać dęba, chwytając nieznaną woń wielbłądów.

–Chcą atakować, nie pertraktując najpierw? – zdziwił się Arigh.

–Nie powiedziałbym, biorąc pod uwagę, że jest nas trzykrotnie więcej – odparł Skaurus. Za nimi Arshaumi gramolili się na konie.

–Nigdy jednak nie można im ufać – dodał Gajusz Filipus. – Zdradzają się nawzajem dla samej zabawy; obcy są następnym łupem, jeśli wyglądają na słabych. I mają też jeszcze jedną wadę.

Ich łuki nie niosą daleko, lecz niekiedy sieją zatrutymi strzałami.

Arigh skinął głową. – Pamiętam, że w Videssos posłowie z ich szczepów zawsze byli ze sobą na wojennej stopie. – Tak już bez reszty wszedł obecnie w rolę wodza, że Marek niemal zapomniał o latach, które Arigh spędził jako ambasador w stolicy

Imperium.

Arshaum ponownie skierował swoją uwagę na przybyszów.

–Co to?

Z luźnego szyku wysunęła się naprzód mniejsza grupa. Zbliżali się wolno, ostentacyjnie pokazując puste ręce. – Wiecie o nich więcej, niż ktokolwiek inny tutaj – zwrócił się Arigh do Rzymian. – Jedźmy. – W towarzystwie arshaumskich łuczników ruszyli razem z nim ku zbliżającym się mieszkańcom pustyni.

Pustynni koczownicy i przybysze ze stepów przyglądali się sobie z zaciekawieniem. Zamiast spodni i tunik, jeźdźcy zmierzający do oazy mieli na sobie luźne szaty z białej albo brązowej wełny. Niektórzy owijali głowy pasami materiału, podczas gdy inni chronili się przed słońcem płóciennymi lub jedwabnymi przepaskami. W większości byli to ludzie chudzi, o długich, mocno opalonych twarzach, rzeźbionych zaskakująco delikatnie, i głęboko osadzonych oczach, tak chłodnych, jak ich kraj był gorący. Dwóch nosiło pociągnięte woskiem wąsy; większość wolała wąski frędzel brody, podkreślający zarys szczęki.

Czekali, żeby Arigh odezwał się pierwszy i stracił przez to twarz. Lecz zaskoczenie, jakie okazali kiedy zapytał: – Czy macie videssański? – przywróciło mu ją.

–Tak – rzekł w końcu jeden z nich. Brodę miał szpakowatą, twarz ciemną jak mocno i dawno

wygarbowana skóra. Wódz – domyślił się Marek – tyle ze sposobu, w jaki spoglądała na niego

reszta koczowników, jak i z ciężkich, srebrnych bransolet, które nosił na obu nadgarstkach. – Je

stem Shenut z ludu Nufud. – Machnął ręką na swoich ludzi. – A kim wy jesteście, żeby korzystać

z wód Qatif bez naszego zezwolenia? Wasza obcość w tych stronach nie jest żadnym usprawiedli

wieniem.

Arigh odwzajemnił mu się własnym imieniem, a potem rzekł głośno: – Toczę wojnę z Yezd. Czy to wystarczające usprawiedliwienie?

Trafił w dziesiątkę; Shenut nie zdołał ukryć zaskoczenia, jakie pojawiło się na jego twarzy. Powiedział coś szybko we własnym, gardłowym języku. Kilku jego ludzi

wykrzyknęło; jeden potrząsnął pięścią wyciągniętą na północny zachód, w stronę Mashiz. – To usprawiedliwienie godne rozważenia – przyznał Shenut, kiedy zdołał już zapanować nad twarzą.

Arigh wykorzystywał zdobytą przewagę. – Nie uczyniliśmy Qatif nic złego, z wyjątkiem tego, że się tam napiliśmy. Poślij ludzi, żeby sprawdzili, jeśli chcesz. A w zamian za wodę mam dla ciebie podarunek. – Podał wodzowi ludu Nufud swój zapasowy łuk. – Widzisz wzmocnienia z rogu i ścięgien, tutaj i tutaj? Z łatwością pośle strzały dalej, niż najlepszy łuk, jaki posiadasz. Uczyń

jeszcze więcej; poślij je przeciwko Yezda.

–Nigdy jeszcze nie widziałem człowieka, który wyglądałby równie dziwnie jak ty, lecz przyznaję, że zachowujesz się jak książę – powiedział Shenut. – Czy masz córkę, którą mógłbym pojąć za żonę, żeby przypieczętować naszą przyjaźń?

–Przykro mi, lecz nie mam; a gdybym nawet miał, podróż z mojego kraju, który leży daleko stąd na północy, nie byłaby łatwa. – Arigh rozłożył z żalem ręce.

Shenut skłonił się w siodle. – Zatem niech zamiar zostanie uznany za czyn. Zezwalam tobie i twoim ludziom korzystać z Qatif, jak gdyby należało do was. Ten przywilej dziełu będziecie tylko z trzema zwierzchnikami karawan: Stryph nosem Videssańczykiem, który w zamian nauczył mnie tej mowy; Jandalem, którego matka pochodzi z ludu Nufud; i Tahmaspem, który prawo do korzystania ze wszystkich moich oaz wygrał ode mnie w kości.

–To zupełnie do niego podobne – rzekł ze śmiechem Gajusz Filipus.

Shenut, po raz pierwszy, przeniósł wzrok na Rzymian.

–Znacie Tahmaspa? – Szczególną uwagą obdarzył Skaurusa. – Raz czy dwa widziałem żółtówłosych w jego kompanii

–Lud, do którego należą, nie jest moim ludem – od powiedział trybun. – Mój obecny tutaj towarzysz i ja służyliśmy u niego tylko raz jako strażnicy podczas wyprawy, którą odbył do Mashiz wcześniej tego roku. Jest to najkrótszy szlak do Videssos, jaki znamy, i dlatego też powiedzieliśmy o nim naszemu przyjacielowi Arighowi. Tak jak wyjaśnił, nie zamierzaliśmy zaszkodzić niczemu, co należy do ciebie.

–Dobrze powiedziane – rzekł Shenut. – Gdybym musiał wybierać pomiędzy Videssos a Yezd, sądzę, że wybrałbym Videssos. Lecz przecież nie muszę wybierać; żadne z nich nigdy nie zostanie panem pustyni. Być może kiedyś zniszczą się nawzajem. Wówczas lud Nufud i inne szczepy wolnych ludzi opanują ich własne ziemie.

–Może tak się stanie – odparł uprzejmie Marek, choć jego zdaniem pustynni koczownicy, mimo swych pełnych dostojęstwa manier, byli takimi samymi barbarzyńcami jak Khamorthci czy Arshaumi. A jednak Khamorthci podbili niegdyś znaczne obszary Videssos.

Wódz ludu Nufud i Arigh złożyli sobie nawzajem przysięgi; Shenut przysięgał na słońce, księżyc i piasek. Skaurus pomyślał, że spotkanie dobiegło końca, lecz kiedy Arigh zatoczył kucem, by wrócić do oazy, Shenut powiedział: – Kiedy dogonisz Tahmaspa, przekaż mu, że dalej uważam, iż grał oszukanymi kośćmi.

–Myśleliśmy, że Tahmasp jest wciąż w Mashiz, gromadząc towar – zdziwił się Gajusz Fili-

pus. – Powiedział nam, że poświęci na to parę miesięcy.

Shenut wzruszył ramionami. – Przedwczoraj poił swoje zwierzęta przy studni Fadak na południe stąd. – Marek nie znał tej oazy. Koczownik ciągnął dalej: – Powiedział jednak, że zamierza

skręcić nieco na północ, gdy tylko oddali się bardziej na wschód. Wasze konie wyglądają na dobre i nie jesteście obciążeni towarami; według mnie już wkrótce się z nim spotkacie. Nie zapomnijcie mojego posłania. – Ponownie pokłonił się Arighowi, skinął na swoich współplemieńców i ruszył z powrotem do reszty Nufud. Na jego głośny rozkaz Cały oddział pokłusował na południe.

–Ciekawe, dlaczego Tahmasp wyruszył tak szybko – zastanowił się głośno Gajusz Filipus. –

To raczej niepodobne do niego.

–Chciałbyś zostać w mieście, którym właśnie zawładnął Avshar? – zapytał Marek.

Weteran zastanowił się nad tym bardzo krótko. – W żadnym razie.

Kiedy Arshaumi opuścili Qatif, wystawili podwójne patrole na wypadek, gdyby lud Nufud lekce sobie ważył przysięgi. Lecz choć paru pustynnych koczowników pozostało w zasięgu wzroku, by z podobnych przyczyn pilnować przybyszów z równin, Shenut okazał się człowiekiem, który dotrzymuje danego słowa.

Marek i Gajusz Filipus stopniowo przywykali do siodła, przechodząc te same etapy hartowania się, jakie musieli ścierpieć Viridoviks, Gorgidas i Goudeles, kiedy przed rokiem znaleźli się na stepie. Podczas każdego postoju starszy centurion rozcierał obolałe uda. Kiedy Arshaumi zaczęli wyśmiewać się z niego, warknął: – Gdybyście uczestniczyli w forsownym marszu w legionach, śmialibyście się tyłem waszych głów, macie na to moje słowo. – Puścili to mimo uszu, czym tylko jeszcze bardziej go

rozdrażnili.

Kiedy Skaurus doprowadził Arshaumów do następnej oazy, poczuł, że zaczyna odzyskiwać pewność siebie. A kiedy natrafili na ślady niedawno zwiniętego obozu i trop wiodący na wschód, ogarnęła go fala podniecenia. – Tahmasp, niechybnie! – zawołał, kiedy znalazł strzęp żółtego płótna zwisający z ciernistego krzewu. Dołki w ziemi po wyciągniętych kołkach pokazywały rozmiary wielkiego namiotu zwierzchnika karawany. Gdy Arigh zmierzył je krokami, nie ukrywał, że zrobiły na nim wrażenie. – Nieźle, jak na kogoś, kto nie urodził się koczownikiem. Niewiele widziałem większych jurt.

Viridoviks zmierzył Marka chytrym spojrzeniem. – Dobrze się stało, tak myślę. Kiedy już dostaniemy tego handlarza w swoje ręce, nie będziemy musieli więcej zdawać się na łaski tych Rzymian, jeśli chodzi o wskazanie drogi, gdy są luk zdezorientowani i w ogóle.

To tyle, jeśli chodzi o pewność siebie – pomyślał trybun.

–Powiem ci tylko, że również poczuję ulgę, kiedy to się stanie.

Zdumiał się, kiedy Celt zawołał ze złością: – Och, przejadły mi się te ulizane odpowiedzi, jakimi uraczył mnie już Grek! – i odmaszerował wyciągniętym krokiem. Rozdrażnienie nie opuszczało Viridoviksa przez całą noc.

Pustynny wiatr wyprawiał różne rzeczy z tropem karawan; lecz Arshaumi uczepili się go. I w miarę jak posuwali się naprzód, ślady stawały się coraz wyraźniejsze. Słońce za chodziło już za ich plecami, kiedy spostrzegli tylną straż Tahmaspa. Ich również dostrzeżono; do czasu, nim zrównali się z samą karawaną, została już ustawiona w szyk obronny, a za pospiesznie zwalonymi belami materiału kulili się łucznicy Kupcy przemykali w popłochu tu i tam; Marek usłyszał znajomy, basowy ryk Tahmaspa, który wyrzaskiwał rozkazy.

Trybun zwrócił się do Arigha: – Pozwól nam z nim porozmawiać.

–Poradzicie sobie z tym lepiej. Nie sądzę, by zechciał mnie wysłuchać. – Wódz Arshaumów

pozwoił sobie na krótki, suchy śmiech. Jego skośne oczy szacowały przygotowania karawany do

obrony. – Wygląda, że zna się na rzeczy Idźcie więc i uspokójcie go.

Nieoczekiwanie odezwał się Pikridios Goudeles: – Jeśli nie macie nic przeciwko temu, chętnie będę wam towarzyszył. Być może potrafię udzielić wam wsparcia.

–Na pewno nie jednym z tych twoich długich przemówień – rzekł zatrwożony Gorgidas,

wspominając napuszone oracje, jakie urzędnik wygłaszał na stepie. – Z tego, co Rzymianie mówi

li o nim, nie sądzę, by ten Tahmasp należał do ludzi, którzy cenią sobie retorykę.

Goudeles prychnął pogardliwie. – Pozwól mi przypomnieć sobie, że wiem, co do mnie należy. Jeśli chcesz dobić targu, weź ze sobą prawnika.

I tym jego towarzysze musieli się zadowolić. Wzruszywszy ramionami, Arigh powiedział: – Jak sobie chcesz. – Trybun, centurion i imperialny urzędnik wyjechali z gromady otaczających ich Ar-shaumów i ruszyli stępa naprzód, aż znaleźli się W zasięgu strzału z łuku od karawany.

Nikt ich nie okrzyknął. Skaurus zawołał więc: – Tahmasp! Kamytzes! – Gajusz Filipus poszedł za jego przykładem, wołając zastępcę, pod którym służył: – Muzaffar! – Potem wykrzyknęli własne imiona.

–To wy dwaj, naprawdę? – ryknął wściekle Tahmasp. – Jeszcze jeden krok, a staniecie się

smacznym kąskiem dla lepów, jeden i drugi. Powiedziałem wam kiedyś, co robimy ze szpiegami.

–Nie byliśmy szpiegami – odkrzyknął trybun. – Wysłuchasz nas, czy nie?

Wówczas po raz pierwszy odezwał się Goudeles: – Sprawimy, że ci się to opłaci. – Zdumiało

to Marka; Arshaumi posiadali niewiele poza końmi, ubraniami i bronią. Lecz urzędnik prezentował niewzruszoną pewnością siebie.

Skaurus usłyszał podniesiony głos Kamytzesza, który mówił coś w tonie wymówek. Znając zacięte usposobienie małego Videssańczyka, trybun domyślił się, że pomocnik Tahmaspa sprzeciwia się pertraktacjom. Lecz wojsko za plecami Marka miało swoją własną wymowę, a pod zawadiactwem Tahmaspa kryła się wybitnie praktyczna natura. Ustąpił, niechętnie bo niechętnie, lecz przecież ustąpił. – W porządku, wysłucham was. Zbliźcie się – burknął.

Dawni towarzysze broni Rzymian witali ich lodowatymi spojrzeniami, kiedy parlamentarzyści

wkraczali w granice prowizorycznego obozu. Tahmasp wyszedł im naprzeciw,

krocząc sztywno; zapinał właśnie ostatni zatrzask swej kolczugi z kolczej siatki, która mogłaby pomieścić zarówno Skaurusa jak i Gajusza Filipusa jednocześnie. Najeżony kolcami makurański hełm siedział mu nieco krzywo na ogolonej głowie. Kamytzes trzymał się parę kroków za nim, z rękoma tuż przy parze przeznaczonych do ciskania noży, wsadzonych za obsypany klejnotami pas.

Zwierzchnik karawany skrzyżował ramiona na masywnej klatce piersiowej. – Myślałem, że jesteście już z powrotem w Videssos – zwrócił się oskarżycielskim tonem do Rzymian. – A może dalej zajmujecie się tym, co nazywacie „sprawą”?

–A my sądziliśmy, że dalej siedzisz w Mashiz – odciął się, takim samym tonem Marek. – A

może nie mogłeś ścierpieć Avshara? – Miał nadzieję, że odgadł trafnie. Kiedy Tahmasp umknął

oczywiście przed jego spojrzeniem zrozumiał, że zgadł.

–My też nie mogliśmy – powiedział i ściągnął tunikę przez głowę.

Na widok blizny Tahmasp zacisnął usta. Kilku żołnierzy z którymi Rzymianie zaprzyjaźnili się

podczas służby u Talimasp, zakłęło w rozmaitych językach. Lecz Tahmasp, jak zawsze, martwił się przede wszystkim o swoją karawanę.

–No dobrze, mamy powody, żeby nie lubić tego samego człowieka. Lecz co to ma wspólnego z tymi rabusiami, o tam? – Dźgnął kciukiem w stronę Arshaumów, majaczących w gęstniejącym mroku jako niewyraźna, lecz groźna masa.

–To długa historia – rzekł Gajusz Filipus. – Pamiętasz, dlaczego postanowiłeś nie przejeżdżać przez Sto Miast podczas drogi na zachód?

–Z powodu jakiejś barbarzyńskiej inwazji albo... – Zwierzchnik karawany zestawiał fakty równie szybko, jak szybko wypisywał swoje listy przewozowe. – To oni, co? Nie mówcie mi tylko, że byliście w to zamieszani.

–Nie całkiem. – Marek opowiedział szybko o najważniejszych wydarzeniach i zakończył: – Zmierzasz do Videssos i my również, lecz ty znasz wszystkie skróty i najlepsze szlaki. Pokaż je nam, a w zamian otrzymasz taką eskortę, o jakiej żadnej karawanie nawet się nie śniło. Yezda nie ośmiela zbliżyć się do ciebie.

–A jeśli nie pokażę... – zaczął Tahmasp. Oczywistość odpowiedzi sprawiła, że jego głos zawisł w powietrzu i rozpląnął się w ciszy. Zdjął hełm i kopnął go z całych sił; hełm wzleciał wirując i zniknął w ciemności. – Cóż mogę powiedzieć innego niż

„tak”? Może te twoje bękarty złupią mnie później, lecz z pewnością złupią mnie teraz, jeśli powiem „nie”. Żeby was zaraza, cudzoziemcy. Mój stary dziadunio zawsze mi powtarzał, żebym uciekał z krzykiem od wszystkiego, co pachnie polityką, a teraz wciągacie mnie w to po same uszy.

–Nie cała polityka jest zła – odezwał się Goudeles. – Nie ucierpisz też za to, że nam pomagasz.

W swych arshaumskich zamszach i skórach, z nie przyszyżoną brodą i zapuszczonymi, niezbyt czystymi włosami, urzędnik przedstawiał się raczej niepociągająco. Tahmasp zagrział: – Kimże jesteś, żeby czynić takie obietnice, Człowieczku?

Biurokrata podczas pobytu na równinach nauczył się dawać sobie radę mimo swej niepozornej postury. Kiedy wyprostował się i oświadczył wyniośle: – Panie, masz oto zaszczyt zwracać się do Pikridiosa Goudelesa, ministra i ambasadora Jego Imperatorskiej Mości Thorisina Gavrasa, Au-tokraty Videssańczyków – Tahmaspowi nawet nie przyszło do głowy, by wątpić w jego słowa.

Zwierzchnik karawany nie należał jednak do ludzi, których można na długo onieśmielić. – Dlaczego jest to taki zaszczyt, hę?

–Dostarcz mi pergamin, pióro i atrament, i trochę wosku do pieczęci. – Na rozkaz Tahmaspa jeden z jego ludzi przyniósł to, czego zażądał Goudeles. Urzędnik napisał szybko parę linijek. – Dobrze, masz pod ręką ogień?

–Obyłbym się bez niego? – Kilku ludzi Tahmaspa niosło kaganki, służące do przetrzymywania żarzących się węgli W czasie, kiedy podróżowali. Jeden z nich postawił swój nad rozsypaną na ziemi hubką. Kiedy strzelił mały płomyk, Goudeles zapalił knot z czerwonego wosku i pozwolił, by kilka kropel spadło na pergamin, u dołu kartki. Odcisnął swój sygnet w wosku, kiedy był jeszcze miękki, i podał Tahmaspowi gotowy dokument.

Zwierzchnik karawany przykucnął przy pełgającym ogniu. Czytał, poruszając ustami. Nagle pochmurna mina, która pojawiła się na jego twarzy z chwilą, kiedy Rzymianie i Goudeles wkroczyli do jego obozowiska zniknęła, zastąpiona przez szeroki uśmiech. Odwrócił się do swoich ludzi i krzyknął:

–Zwolnienie z imperialnych ceł na następne trzy lata!

Członkowie eskorty i kupcy wybuchnęli wiewatami. Tahmasp zamknął Goudelesa w niedźwiedzim uścisku i pocałował go w oba policzki. – Człowieczku, dobiliśmy targu.

–Jakże wspaniale. – Urzędnik wyplątał się z jego uścisków najszybciej jak potrafił.

Kiedy Marek machał do Arshaumów, dając im znać, że zawarto porozumienie, Tahmasp wbił

Goudelesowi łokieć w żebra. Urzędnik zaskowyczał. Zwierzchnik karawany rzekł z przebiegłą miną: – Wiesz, prawdopodobnie i tak zdołałbym wymigać się od tych opłat. Nawet wasi przekłęci inspektorzy nie mogą być wszędzie.

–Zapewne. – Goudeles wyciągnął rękę. – Czy mam więc odebrać ten dokument?
Rzeczywi

ście, karą za przemył jest konfiskata wszystkich nielegalnie przewożonych towarów, co pociąga też

za sobą piętnowanie żelazem jak przestępców.

Pergamin zniknął jak zdmuchnięty sprzed oczu Goudelesa

–Nie, nie, nie ma takiej potrzeby – zapewnił pospiesznie Tahmasp. – To jest, jak już po

wiedziałem, obopólnie korzystny interes.

Reszta Videssańczyków, Arigh, i garść jego dowódców podjechali, by zbratać się ze zwierzchnikiem karawany i jego pomocnikami; interes, korzystny czy nie, lecz Tahmasp i tak z wyraźną nerwowością patrzył, gdy zbyt wielu nowych sprzymierzeńców zbliżało się do jego towarów. Jednak okazał się na tyle rozsądny, by posłać przybyszom z równin kilka bukłaków wina – dość, żeby ich uszczęśliwić bez obawy, że zaczną się awanturować.

Jako że od pewnego czasu Skaurus nie pił niczego innego oprócz wody, rozkoszował się winem. Był właśnie w połowie drugiego kubka, kiedy zawołał: – Och, niemal zapomniałem!

Podszedł do Tahmaspa, który jednocześnie wypytywał Viridoviksa – urzeczony jego ognistoru-dymi włosami – i odpowiadał Gorgidasowi, który chciał dowiedzieć się wszystkiego, co tylko możliwe, o wszystkich dziwnych miejscach, jakie zwierzchnik karawany miał okazję zobaczyć podczas swych podróży. Tahmasp zachichotał, kiedy trybun przekazał mu posłanie Shenuta.

–Więc sądzi, że moje kości są szachrajskie, czy tak? Myli się; nigdy czegoś takiego nie robię

–oświadczył z cnotliwą miną tęgi kupiec. – Lecz byłbym niezmiernie zdziwiony, gdyby temu

staremu oszustowi pozostała jeszcze choć jedna własna koszula, jeśli dalej używa tej pary, którą

grał tamtej nocy. Tamte były obciążone, zgadzam się, ale nie tak, jak trzeba!

Przez pustynną noc przetoczył się jego grzmiący śmiech.

XI

To wszystko jest w najwyższym stopniu niezgodne z przepisami – powiedział Evtikhios Kory-kos. *Hypasteos* Serrhes zdążył powtórzyć to już kilka razy. Niezgodne z przepisami, czy nie, najwyraźniej przekraczało to jego możliwości. W Serrhes, małym miasteczku leżącym w miejscu, gdzie pustynia zbiegała się z centralnym płaskowyżem rubieży Imperium, nigdy nic się nie działo. Nawet Yezda je omijali; ich szlaki, którymi wdzierali się do Imperium, biegły dalej na północ. Wszystkie polityczne wstrząsy, jakie przetoczyły się przez Videssos, pozostawiły to miasteczko nietknięte i niemal zapomniane.

Odpowiadało to Korykosowi, którego głównym celem była spokojna wegetacja wraz ze swoim miastem. Wpatrywał się z urazą w obcych, z wyglądu brudnych nieokrzeszańców, którzy tłoczyli się w jego biurze. – Niezgodne z przepisami – powtórzył. – Ten dokument udziela bezprecedensowego zwolnienia i nie jestem pewien, czy posiadam odpowiednią władzę, by go kontrasygnować.

–Ty tępy durniu! – ryknął Tahmasp. – Gównu kogo obchodzi, czy go kontrasygnujesz, czy nie. Po prostu posłuchaj go i wracaj do zmiatania kurzu.

–Choć nasz zacny zwierzchnik karawany wyraża się bezceremonialnie, niemniej jednak ujął istotę sprawy. Pełnomocnictwa, o których tu mowa, posiadam ja sam – rzekł gładko Goudeles.

Zbijał z tropu *hypasteosa* bardziej, niż którykolwiek z pozostałych. Wyglądał jak barbarzyńca, lecz przemawiał jak wielki szlachcic, jakim był wedle swych słów.

–Ja też to potwierdzam – wtrącił Marek. Wprawiał Korykosa niemal w tak wielkie zakłó

potanie jak Goudeles. Zarówno jego mowa jak i wygląd wskazywały, że jest cudzoziemcem, lecz

jeśli miało się mu wierzyć, był nie tylko generałem, ale i przełożonym Goudeles w imperialnej

kancelarii. A jego wiedza o wydarzeniach w stolicy tak bardzo przewyższała wiedzę Korykosa, że

nie sposób było uznać go za kłamcę.

–Daj nam prowiant, kilka świeżych koni i wyślij nas w drogę do Gavrasy w Videssos – rzekł

**Arigh. W normalnych warunkach Korykos zemdlałby ze strachu na sam jego widok
Teraz jednak**

**stawianie mu czoła przynosiło *hypasteosowi* coś w rodzaju ulgi, on przynajmniej nie
udawał, że jest**

kimś innym niż to było widać.

**Dawał też Korykosowi możliwość wyrażenia swych podejrzeń i chwilę małego
tryumfu. – Autokraty nie ma w Videssos – rzekł oficjalnym tonem. – Dlaczego wy,
rzekomo wysocy, imperialni urzędnicy, nie wiecie o tak istotnym fakcie?**

**A jednak nie miał okazji ucieszyć się zamieszaniem, jakie wywołał. – No więc, gdzie
jest, ty bezmózgi kretynie? – szczerknął Gajusz Filipus, pochylając się nad biurkiem
Korykosa, jak gdyby zamierzał własnymi rękoma wyrwać z niego odpowiedź. Arigh
zawisł nad nim tuż obok starszego centuriona. Jeśli Thorisin wyruszył na wschód
przeciwko Namdalajczykom, wszystkie nadzieje Ar-shaumów legły w gruzach. Tym
razem Goudeles nie próbował ich powstrzymać. Sam pochylił się naprzód, a jego
prawa ręka spoczęła na rękojeści miecza, podświadomie wyrażając to, jak bardzo się
zmienił w ciągu minionego roku.**

–No, w Amorionie, oczywiście – wydukał przez zbieleńsze wargi Korykos.

**–Niemożliwe! – Skaurus, Gajusz Filipus i Tahmasp powiedzieli to jednocześnie.
Karawana kupca opuściła to miasto na chwilę przed przybyciem Yezda.**

**–Och, czyżby? – Korykos szperał wśród pergaminów rozrzuconych na biurku.
Ospała wegetacja Serrhes zgromadziła ich tam niewiele. Marek rozpoznał słoneczny
wzór imperialnej pieczęci w chwili, gdy *hypasteos* znalazł w końcu dokument,
którego szukał. Trzymając go przed sobą na odległość wyciągniętej ręki, przeczytał:
– „...tak więc wymagany jest, byś wysłał kontyngent liczący jedną trzecią stanu
osobowego garnizonu twojego miasta, by dołączył do nas i naszych armii**

w Amorionie. Nie będzie tolerowane żadne usprawiedliwienie w przypadku niewykonania tego naszego rozkazu". – Korykos uniósł wzrok. – Wysłałem dziewięciu ludzi, zgodnie z rozkazem.

–Cudownie – rzekł Gajusz Filipus. – Jestem pewien, że Yezda podziękują ci za tę prze

kąskę. – Korykos zamrugał, zastanawiając się, co też centurion miał na myśli. Weteran westchnął i

dał za wygraną.

–To bez wątplenia Gavras. Z niczym nie da się pomylić tego obcesowego, nieprzyjemnego stylu – rzekł Goudeles. W głębi piersi Skylitzesa rozległ się pomruk, lecz poza tym pozwolił, żeby szydercza uwaga biurokraty uszła mu na sucho.

–Co on robi w Amorionie? – nie ustępował Marek. Pomijając Yezda, miasto znajdowało się wcześniej we władaniu Zemarkhosa i Imperium nie sprawowało nad nim żadnej kontroli.

Trybun nie skierował tego pytania do Korykosa, lecz wydawało się, że właśnie ono doprowadziło urzędnika do granic wytrzymałości. – Nie wiem i wcale mnie to nie obchodzi! – wrzasnął piskliwym głosem. – Dowiedzcie się sami i zostawcie mnie w spokoju! – W napadzie energii, typowym dla słabych ludzi, wyrwał z rąk zaskoczonych Tahmaspa zwolnienie od opłat celnych, pospiesznie nagryzmołił dużymi literami swój podpis pod podpisem Goudelesesa i cisnął dokument w twarz zwierzchnikowi karawany. – Dalej, wynoście się, zanim każę strażnikom wyrzucić was!

Tahmasp puknął się ręką w czoło. – Wszystkim osiemnastu, jacy ci zostali, co? – rzekł Marek najuprzejmiej, jak potrafił. Arigh parsknął śmiechem, dodając: – No, sprowadź ich! Tak jak tu stoimy wykopujemy ich, tych trzech, którzy się jeszcze nie schowali.

–Wynoście się! Wynoście się! – Korykos spurpurowiał z bezsilnej wściekłości. Skylitzes wy

prostował się na baczność i zasalutował mu ironicznie. *Hypasteos* wciąż wrzeszczał, kiedy jego nie

proszeni goście wychodzili jeden po drugim, lecz Marek zdążył jeszcze zauważyć wyraz ulgi, jaki

pojawił się na jego twarzy, gdy w końcu opuścili biuro.

**–Jaskiniowcy! – zawołał Gorgidas, kiedy od Serrhes dzieliły ich już dwa dni drogi.
Zamiast**

**budować domy z miękkiego, szarego kamienia, którego było tu pod dostatkiem,
tubylcy wykuwali**

**swoje domy, a nawet świątynie Phosa, w żywej skale. Grek zapisywał swoje
sposrzeżenia ilekroć**

**przejeżdżali przez jakąś wioskę: – „Ponieważ nawet jej użytkownicy nie
przestrzegają tej techniki**

**jako naturalnej, naśladują bardziej rozpowszechnione style budowy najdokładniej,
jak potrafią. Stąd**

**też widać murarkę, okiennice, nadproża, nawet balustrady, wszystko wykonane w
formie pła**

skorzeźb, mających wywołać złudzenie, że istnieją w rzeczywistości”.

**Mieszkańcy skalnych wiosek reagowali na widok Arshaumów podobnie jak
mieszkańcy Serrhes. Większość zatraskiwała drzwi na głucho i, Marek dałby sobie
uciąć rękę, zastawiała je najcięższymi meblami. Garstka śmiazków zbierała się na
rynku osady, żeby pohandlować z kupcami Tahmaspa.**

**Zwierzchnik karawany krzywił się z powodu tak kiepskich interesów. – Co mi ze
zwolnienia z opłat, jeśli nikt nic nie kupuje?**

**–Co przyjdzie ci z bogactwa, kiedy Yezda spadną ci na kark? – odwzajemnił mu się
Marek.**

**–Nie powiem, że nie masz racji – przyznał Tahmasp – lecz czułbym się lepiej, gdyby
tak**

bardzo nie wyglądało na to, że już się tak stało.

**Jego narzekania nie były bezpodstawne. Jako że Arshaumi zmierzali na wschód ku
Amorionowi, na pierwszy rzut oka mogli wyglądać na jeszcze jedną bandę
koczowników ciągnącą do Videssos drogą, która otwarła się po klęsce imperialnych
wojsk pod Maraghą. Z daleka nawet Yezda brali ich za swych rodaków. Kilka razy
minęły ich małe grupy jeźdźców, które pojechały dalej, nie przyjrzawszy im się bliżej.
A dla Videssańczyków wyglądali równie przerażająco jak cała reszta koczowników.
Nawet niedościgłe krasomówstwo Goudelesa nie zawsze wystarczało, żeby zdobyć**

zaufanie miejscowych.

–Trudno w obecnych czasach ufać komukolwiek – rzekł pewien siwowłosa naczelnik wioski, kiedy w końcu ubłagano go, by wyszedł z domu, budynku, którego nowe mury wskazywały, że myślano tu o obronie. Odchrząknął i splunął. Pluł znakomicie, przez szczerbę w siekaczach górnej szczęki. Ciągnął dalej: – W zeszłym roku sami mielibyśmy kłopoty, gdyby nie głupie szczęście.

–Jakże to? – zapytał Tahmasp. Wydawał się nieco mniej przygnębiony; mieszkańcy wioski wyszli z domów, żeby pohandlować, kiedy już zobaczyli, że ich naczelnikowi nic się nie stało. Kobiety wydawały okrzyki zachwytu nad sztukami materiału farbowanego na makurańską modłę w barwne pasy i kłóciły się z kupcami o jakość liści bobkowych, podczas gdy ich mężowie badali palcami ostrza sztyletów i próbowali wyciągnąć jak najwięcej w zamian za faszzerowane miedzią sztuki złota.

Starzec splunął znowu. – Obchodziliśmy właśnie uroczystość weselną... w rzeczy samej, mojej wnuczki. Następnego ranka, kiedy wyszliśmy, żeby zająć się naszymi stadami, co widzimy? Ślady pokazujące, że jakiś wojskowy oddział Yezda podjechał tuż do granic osady, a potem zawrócił i uciekł, jakby gonił go sam Skotos. Musi być, co przez te śpiewy, tańce i całe to dokazywanie wydało im się, że gościmy tu żołnierzy, i wynieśli się cichcem.

–Oto rzeczywisty pożytek z małżeństwa – mruknął Goudeles – coś, w co nigdy przedtem

bym nie uwierzył. – Poznawszy żonę urzędnika, kościstą wiedźmę, która przestawała gadać tylko

wtedy, kiedy kładła się spać, Marek wiedział, co nasunęło Goudelesowi tę uwagę.

Naczelnik wziął to za żart i zaczął się śmiać tak, że aż musiał ścisnąć się za chude boki. – Hi, hi! Muszę powiedzieć to mojej pani. Od tygodnia śpię w stodole, lecz warto, panowie, och warto.

–Ciesz się, że masz choć taką, która na ciebie pomstuje – rzekł Viridoviks, co zakłopotало Vi-

nessańczyka, lecz nie stłumiło jego wesołości, pozostawiając obu z poczuciem niezadowolenia z tej

wymiany zdań.

Podróż przez wyżynną krainę ujawniła wszystkie talenty Tahmaspa. Zawsze wiedział, w którym łożysku strumienia będzie płynęła woda, a które będzie suche, która gromada pasterzy sprzeda lub

przehandluje parę sztuk bydła, a która ucieknie w głąb pustkowi na pierwszy widok obcych.

Posiadał też dar przewidywania, jakie szlaki obiorą Yezda, a jakie pozostaną wolne. Arshaumi musieli walczyć tylko raz, i to krótko. Oddział Yezda startł się ze strażą przednią Arigha i szarpał się z nią aż do chwili, kiedy reszta Arshaumów przybyła na pomoc swym towarzyszom, co sprawiło, że ich przeciwnicy nagle stracili zainteresowanie potyczką i wycofali się po spiesznie.

Oprócz innych swych uzdolnień, zawadiacki zwierzchnik karawany posiadał też szybko umiejętność płynnego przeklinania w języku Arshaumów. Jego potężny głos i junackie maniery wywoływały uśmiech na twarzach przybyszów z równin, lecz wkrótce słuchali go równie ochoczo, co Ari-gha, który potrząsał głową z niedowierzającym szacunkiem. – Ten jeden raz chciałbym umieć pisać, tak jak ty – zwrócił się któregoś dnia do Gorgidasa. – Zapisywałbym to sobie, naprawdę.

Jednak zdolności Tahmaspa nie pozwalały zamknąć oczu na fakt, że na zachodnich rubieżach Imperium najeźdźcy panoszyli się jak chcieli. Pozrywane mosty, wypalone szkielety szlacheckich posiadłości i leżące odłogiem ziemie uprawne, wszędzie opowiadały tę samą historię. A raz Ar-shaumi przejechali przez pole bitwy, gdzie, sądząc z walających się po nim wciąż jeszcze szczątków, starli się ze sobą sami Yezda.

Gorgidas, jak to miał w zwyczaju, szukał uogólnienia dla tego, co zobaczył. – To pole bitwy pokazuje nadzieję Videssos – rzekł tego dnia wieczorem, kiedy rozbili obóz. – W naturze zła leży zwracanie się przeciwko samemu sobie, i to jest jego największa słabość. Weźcie pod uwagę, jak Wulghash i Avshar poróżnili się między sobą, zamiast zjednoczyć siły przeciwko wspólnemu wrogowi.

–Dobrze powiedziane! – zawołał Skylitzes. – Z ostatniej wielkiej próby Phos z pewnością wyjdzie zwycięsko.

–Ja tego nie powiedziałem – odparł cierpko Gorgidas. Nie odpowiadały mu uogólnienia, jakie czynił Skylitzes.

Gajusz Filipus rozdrażnił zarówno Greka, jak i Videssańczyka z powodu sprzeciwu, jaki wysunął. – Nie traktowałbym Avshara i Wulghasha tak samo. Różnią się od siebie, i to bardzo, gdyby się mnie kto pytał.

–Czym się różnią, jeśli obaj chcą zniszczyć Imperium? – rzekł Skylitzes.

–Tak jak w zeszłym roku chcieli je zniszczyć Namdalajczycy – i jak będą chcieli znowu, gdy tylko dostrzegą taką możliwość. Wulghash, z tego, co się o nim dowiedziałem, jest właśnie taki; wróg, tak, lecz nie jest nikczemny dla samej nikczemności. Znowu Avshar... – starszy centurion przerwał, potrząsając głową. –

Avshar to jeszcze coś innego.

Nikt się temu nie sprzeciwił.

Marek rzekł: – Sądzę, że coś jest nie tak z całym twoim konceptem, Gorgidasie, nie tylko jeśli chodzi o ten szczegół jak bardzo zły jest Wulghash, choć oceniam go tak samo jak Gajusz. – Mów

dalej. – Gorgidas, mimo zakłopotania wywołanego krytyką, nie mógł oprzeć się perspektywie ożywionej dyskusji. Skaurus z uwagą dobierał słowa. – Odnoszę wrażenie, że wichrzycielstwo i brak zaufania są częścią natury rodzaju ludzkiego, nie zaś samego zła. Gdyby było inaczej, czym wyjaśniłbyś niesnaski, jakie rozdzierały Videssos w ciągu paru ostatnich lat, albo na przykład Rzym w czasach, nim się tutaj znaleźliśmy?

Kiedy Grek zawahał się, Skylitzes udzielił odpowiedzi właściwej jego własnemu ludowi: – To Skotos, oczywiście, podjudza ludzi do czynienia zła.

To zadowolone z siebie „oczywiście” rozdrażniło Gorgidasa wystarczająco, by zapomniał na chwilę, jak trwałym składnikiem natury Videssańczyków jest ich wiara. – Absolutna bzdura – warknął. – Odpowiedzialność za zło tkwi w każdym człowieku, a nie w ręku jakiejś zewnętrznej siły. Nie byłoby zła, gdyby nie czynili go ludzie.

Przekonanie Greka o znaczeniu jednostki było czymś, co i Marek uważał za rzecz oczywistą, lecz Skylitzesem wyraźnie to wstrząsnęło. Viridoviks siedział sobie cicho opodal, nie wtrącając się do dyskusji, lecz kiedy zobaczył jak twarz imperatorskiego oficera tężeje w srogim wyrazie, rzucił jedną ze swych zjadliwych uwag, które w tych dniach tak łatwo mu przychodziły: – Uważaj z tym, drogi Gorgidasie; naprawdę nie widzisz tego stosu, jaki wznosi dla ciebie w myślach?

Na stepie Skylitzes zdobyłby się na cierpki uśmiech i zmienił temat. Teraz jednak znajdował się z powrotem na swej ojczystej ziemi. Nie zmienił wyrazu twarzy. Dyskusja zaczęła się urywać i wkrótce zamarła. Czasami – pomyślał Marek – towarzystwo mieszkańców Imperium jest równie nieprzyjemne, co towarzystwo ich wrogów – jeszcze jeden argument przeciwko początkowej tezie Gorgidasa.

Małeńkie źródło tryskało z bulgotem spomiędzy dwóch skał; strumyk ciekł dalej na wschód. – Wierście lub nie, ale to jest początek rzeki Ithom – rzekł Tahmasp. – Stąd z jej biegiem dotrzecie prosto do Imperium.

–Więc nie jedziesz z nami do miasta? – zapytał zawiedziony Viridoviks; w zuchowatym zwierzchniku karawany czuł bratnią duszę. – Gdzie tu sens, żeby rozdzielać się po przebyciu takiego szmatu drogi?

–Gdybyś był kupcem, umarłbyś z głodu – odpowiedział Tahmasp. – Żaden handlarz

przy zdrowych zmysłach nic zawita w ciągu roku dwa razy do tego samego miasta. Dotrzymałem umowy, do której mnie zmuszono; już czas, żebym zaczął myśleć o własnych korzyściach. Za mniej więcej dwa tygodnie ma się odbyć *panegyris* w Dokson. Jeśli pogonię karawanę, zdążę.

Bez względu na to, przez kogo proszony, nie chciał zmienić swego postanowienia. Kiedy Arigh, który podziwiał jego zaradność, naciskał go mocno, odparł mu: – Jest jeszcze coś; chcę się od-

dzielić od żołnierzy. Tak, twoi rodacy traktowali mnie lepiej, niż mógłbym się spodziewać, lecz w Amorionie będzie obozowała wielka armia, a ja nie chcę mieć z nią nic wspólnego. Dla kupca żołnierze są gorsi od bandytów, ponieważ wojsko ma za sobą prawo. Jak sądzisz, dlaczego wymknąłem się z Mashiz? – Arshaum nie miał na to żadnej odpowiedzi.

Tahmasp walnął Gajusza Filipusa po plecach. – Jesteś w porządku. – Odwrócił się do Skauru-sa, mówiąc: – A co do ciebie, to cieszę się, że nie muszę się z tobą targować; z takim wyniosłym draniem, co nigdy nie puszcza pary z gęby! No, teraz, kiedy się was pozbyłem, życzę wam szczęścia. Coś mi mówi, że będzie wam potrzebne.

–Też tak sędzę – odparł trybun.

Nawet przez myśl mu nie przeszło, że Tahmasp go usłyszał. Zwierzchnik karawany wyrza-skiwał rozkazy do członków eskorty i kupców. Strażnicy, umiejętnie kierowani przez Kamytzesa i Muzaffara, sprawnie zajęli swe miejsca. Kiedy okazało się, że kupcy marudzą, Tahmasp ryknął: – Ostatni w szeregu jest moim prezentem dla Arshaumów! – To ich popędziło. Tahmasp, z błyszczącą w słońcu, ogoloną głową, zaintonował sprośną piosenkę, kiedy karawana odłączyła się od koczowników, i nawet nie obejrzał się za siebie.

–Oto jedzie wolny człowiek – rzekł Gajusz Filipus, odprowadzając go wzrokiem.

–Być może, lecz jak długo takim pozostanie, jeśli Avshar zwycięży? To nasze zadanie, żeby zapewnić mu wolność – odpowiedział Marek.

–Będzie z tym mnóstwo cholерnej roboty, jeśli już o to chodzi.

Arshaumi ruszyli na wschód z biegiem Ithon. Szybko powiększała się, gdy jeden mały dopływ

po drugim wlewał w nią swe wody. Pod koniec pierwszego dnia podróży od rozstania z Tahmaspem stała się już wcale pokaźną rzeką, a teren, przez który płynęła, zaczął się wydawać Rzymianom znajomy.

–Przy tym tempie dotrzemy do Amorionu w ciągu dwóch dni – zauważył Skaurus, gdy rozbili obóz nad brzegiem rzeki.

–Tak, a Gavras, psiakrew, cholernie się ucieszy, kiedy nas zobaczy – powiedział Gajusz Fili-pus. – Zważywszy, że już tam siedzi, będzie miał niezłą zabawę twierdząc, że nie odzyskaliśmy miasta dla niego.

–Pewnie tak. – Teraz, kiedy ich cel znajdował się tak blisko, trybun czuł, że ogarnia go coraz większy lęk. Gdyby Autokrata obiecał mu tylko szlachectwo, byłby pewien swej nagrody. Ale układ, jaki zawarli, przewidywał coś więcej... Zastanawiał się, co też teraz dzieje się z Alypią.

Viridoviks wcale nie polepszył mu samopoczucia, kiedy powiedział: – Pewne jak nic, że królowie nie są najlepsi w dotrzymywaniu obietnic, bo kto zmusi takiego, żeby dotrzymał słowa, jeśli nie będzie miał na to ochoty? – Choć dowiedział się od Rzymian, że Thorisin rozstał się z Komittą, również nie miał pewności, z jakim powitaniem czeka na niego Imperator. Niepokój z tym związa-

ny usunął z jego myśli inne zmartwienia.

Arshaumi zerwali się gwałtownie z posłań w półmroku brzasku, kiedy wartownicy dostrzegli oddział obcej konnicy. – Bezmyślne skurwysyny – stwierdził Gajusz Filipus, łykając placek. – Rzucają się w oczy jak kurwy na ślubie, nadjeżdżając od wschodu. Z każdej innej strony byliby niewidoczni.

Jeźdźcy niczym nie pokazali, że mają zamiar się wycofać, kiedy ich dostrzeżono. – To już naprawdę zuchwalstwo z ich strony, że tak śmiało się nam przyglądają – rzekł Viridoviks. Nasadził mocno na głowę swój galijski hełm; jego grzebień, spiżowe półkole o siedmiu szprychach, łyskał czerwono, tak jak włosy Celta, w świetle wschodzącego właśnie słońca.

Marek osłonił oczy ręką, by przyjrzeć się jeźdźcom, którzy wciąż nie zmieniali zajętej pozycji. – Nie sądzę, żeby to było zuchwalstwo – stwierdził w końcu. – Myślę, że to pewność siebie. Gdzieś za sobą mają dużą armię, o ile się nie mylę.

Gorgidas również zmrużył oczy w słońcu. Jako że by! odrobinę dalekowzroczny, podczas gdy Skaurus odwrotnie, dostrzegł więcej niż trybun. – To koczownicy – rzeki z troską w głosie. – Co tak wielu Yezda robi tak blisko wielkiej imperialnej armii?

Zaprzestali domysłów, kiedy ruszyli biegiem do swych koni, większość Arshaumów siedziała już w siodłach i gwizdami oraz pohukiwaniem nagrodziła ich spóźnienie. – Trochę zamarudziliście – prychnął Arigh, kiedy wreszcie znaleźli się w siodłach. – Zobaczmy, o co tu chodzi.

Poprowadził ku obcym setkę wojowników w szyku, nie w kolumnie marszowej, lecz

zbliżali się wolno, tak żeby nic zostało to odczytane jako jawna groźba. Marek zobaczył, że obcy jeźdźcy sięgają za barki po strzały, lecz żaden z nich nic uniósł łuku. Dwóch lub trzech miało na sobie pancerze z prażonej w ogniu skóry, podobne do tych, jakich używali Arshaumi, lecz większość nosiła kolczugi z kolczej siatki.

Uniósłszy rękę, Arigh zatrzymał swoich ludzi na skraju zasięgu strzału z łuku. Dalej pojechał sam. Po paru chwilach jeden z czekających jeźdźców odpowiedział tym samym. Kiedy odległość między nimi zmniejszyła się do mniej więcej dwustu pięćdziesięciu stóp, wódz Arshaumów wykrzyknął w języku Knamorthów słowa, których nauczył się na pamięć: – Kim jesteście? – Sądząc z wyglądu, zbliżający się jeździec mógł być albo Yezda, albo przybyszem z równin Pardraji.

–Kim wy jesteście? – padła odpowiedź w dziwnie akcentowanym videssańskim.

Marek miał już okazję słyszeć ten melodyjny zaśpiew. Wbił piętę w boki kuca i ruszył ku Ari-ghowi szybkim kłusem. Kilku Arshaumów krzyknęło, żeby wrócił na swoje miejsce. Jednak jego własny krzyk zagłuszył ich okrzyki: – Hej, Khatrishu! Gdzie Pakhymer?

Obcy, kiedy Rzymianin ruszył ku niemu, chwycił za pałasz, lecz cofnął szybko rękę, kiedy usłyszał okrzyk. – Jest dokładnie tam, gdzie ma być, i nigdzie indziej! – odkrzyknął. – A kto chce wiedzieć? – Impertynencka odpowiedź nie zakłopotowała Skaurusa; takie zachowanie było typowe

dla Khatrishów.

–To przyjaciele – zawołał do Arigha, a potem krzykiem oznajmił własne imię Khatrishowi.

–Jak to, ty kłamliwy skurwysynu! On nic żyje!

–Nie żyje? Ja nie żyję? – Trybun minął Arigha i zbliżył się do jeźdźca na tyle, że mógł rozróżnić rysy twarzy. Tak jak się spodziewał, Khatrish był jednym z niższych oficerów Laona Pakhy-mera. – Przyjrzyj mi się... – Jak mu było? Przypomniał sobie! – ...przyjrzyj mi się, Konyos, i powiedz mi, że nie żyję.

Konyos przyjrzał mu się z wielką uwagą. – No, niech mnie wrzucą do nocnika – powiedział.

–To ty. A ten drugi rekrut jest wciąż z tobą, ten nieokrzesaniec?

–Gajusz? – Marek stłumił uśmiech. – Jest tam z tyłu.

–Zawsze będzie – mruknął niejasno Konyos. Machnął ręką na Arshaumów. – A kim są ci obszarpańcy? Jeśli jesteś Z nimi, to nie sądzę, żeby to byli Yezda.

–Masz rację. – Gdy Skaurus zaczął wyjaśniać, Arshaumi i Khatrishe widząc, że nie dojdzie do walki, ruszyli ku sobie.

Konyos spoglądał na wojowników z Shaumkhiil z wyraźnym zainteresowaniem; ich szerokie, niemal pozbawione zarostu twarze, perkate nosy i skośne oczy stanowiły dla niego zupełną nowość.

–Śmiesznie wyglądają te bękarty – zauważył bez złośliwości. – Potrafią walczyć?

–Przeszli przez Pardraję i Yezd.

–Więc potrafią. Trybun przedstawił Konyosa Arighowi, a potem niemal wykrzyczał pytanie, które go rozsadzało:

–Co Gavras robi

w Amorionie?!

–Powinieneś wiedzieć – odparł Khatrish. – To przez ciebie.

–Hę? – Była to ostatnia odpowiedź, jakiej spodziewał się Skaurus.

–A przez co innego? Kiedy Senpat i Nevrata Sviodo zawiadomili Minicjusza, że zostałeś wy

prawiony, żeby dać w skórę Zemarkhosowi, nawet dzikie konie nie zdołałyby go powstrzymać

przed wyruszeniem ci na pomoc razem ze wszystkimi legionistami. Pakhymer, oczywiście, wziął

nas ze sobą na tę przejażdżkę.

Marek, mimo niefrasobliwego tonu Konyosa poczuł, że coś ściska go za gardło. Bardziej niż cokolwiek innego pokazywało to, co jego żołnierze – i Khatrishe również – czują do niego.

–Zatem legioniści są w Amorionie?

–Właśnie to powiedziałem, czyż nie? Wszystko policzone i uporządkowane, raz-dwa... paskudnie nudne, gdyby się mim kto pytał. Nie to, żeby się pytał.

–Hmm. – To był Gajusz Filipus, tłoczący się razem z Viridoviksem i Gorgidasem, żeby wysłuchać wieści.

Konyos powtórzył je dla nich, a potem ciągnął dalej, szczerząc zęby w uśmiechu. –

Mieliśmy kawał dobrej zabawy pędząc w górę Arandosy. Poruszaliśmy się tak szybko, że Yavlak wciąż jeszcze nie wie, co go trafiło.

Gajusz Filipus dźgnął oskarżycielsko palcem w Khatrishii

–Więc to wasza pieprzona armia... nasza własna pieprzona i armia!... szła cały czas na Amorion?

–Oczywiście. A ty myślałeś, że czyja?

–Nieważne – odparł weteran. – Och, moja biedna głowa.

Markowi chciało się płakać i śmiać jednocześnie. On i Gajusz Filipus tylko dlatego wyruszyli

na zachód z karawaną Tahmaspa – i wyłącznie dlatego trafili do Mashiz i labiryntu pod nim – gdyż mieli absolutną pewność, że musi to być armia Yezd.

Konyos zwrócił się do trybuna: – Och, jeszcze jedna sprawa – Gagik Bagratouni ma z tobą na pieńku.

–Ze mną? Dlaczego? Pozbyłem się Zemarkhosa i nie musi się już nim przejmować.

–Właśnie dlatego. Chciał załatwić go sam, po trochu, w ciągu paru dni. Za bardzo nie mogę go za to winić po tym, co słyszałem. Lecz zważywszy na to, jaki koniec spotkał tego skurwysyna, spodziewam się, że Bagratouni wybaczy ci tym razem. – Khatrish spoważniał na chwilę. – Myśleliśmy też, że wy dwaj wpadliście do jakiejś dziury, z której już nigdy nic wyjdziecie. Porozrywaliśmy Amorion na strzępy, szukając was, i nie znaleźliśmy nawet śladu. – Wydawał się nieco urażony, że jednak przeżyli.

–Do dziury, z której nigdy nie wyjdziemy? – powtórzył Skaurus z drżeniem wywołanym wspomnieniami. – Niewiele brakowało, żeby okazało się to prawdą; istnieją gorsze miejsca niż Amorion.

Równe rzędy ośmioosobowych, skórzanych namiotów za kwadratowym, ogrodzonym palisadą szańcem rażąco kontrastowały z otaczającym je zewsząd bezładem rozmaitych schronień; tutaj jedwabny namiot jakiegoś szlachcica; tam grupa jurt; nieco dalej cała masa szałasów stłoczonych razem bez żadnego porządku, granicząca z trzema albo czterema małymi namiotami z bawełny, stojącymi tuż obok ogromnego, płóciennego pawilonu, który mógłby pomieścić cały pluton.

Wartę przy osłoniętej szańcem bramie pełnił ciemnoskóry, krępy mężczyzna w kolczudze bez rękawów. Znad swej wielkiej, wypukłej tarczy wpatrywał się w czterech nadjeżdżających kawa-lerzystów przyodzianych w skóry koczowników. Ważąc w

dłoni ciężki oszczep zawołał: – Stać i opowiedzieć się.

–Witaj, Pinariuszu. To niewiele jak na dzień dobry – Odezwał się po łacinie Marek i patrzył

jak rzymski legionista upuszcza swoje *pilum*.

**–Widzicie tę nieszczęsną fujarę? – rzekł Viridoviks, potrząsając ze smutkiem głową.
– Jeśli**

**nie potrafi nazwać po Imieniu nas tu obecnych, to pewne jak nic, że nie zdoła
Odróżnić przyjaciół**

od wrogów, więc żaden z niego pożytek.

Pinariusz miał właśnie rzucić się w głąb obozu, lecz kiedy rozpoznał Gajusza Filipusa, przecież nie ośmielił się złamać dyscypliny przez porzucenie posterunku. Zamiast tego ryknął: – Bogowie, trybun wrócił i wszyscy z nim! – Porwał z ziemi oszczep, odwrócił go z ozdobnym zawijaszem i odsunął się, by wpuścić przybyszów do środka.

Dyscyplina ucierpiała wówczas, ponieważ Rzymianie wypadli z namiotów i nadbiegli pędem z placu ćwiczeń z mieczami i oszczepami. Marek i jego towarzysze zdążyli zsunąć się z kuców, zanim zostali z nich ściągnięci. Legioniści zaroili się wokół nich, przepychając się, by ich objąć, ucisnąć im dłonie, klepnąć po plecach, wreszcie by po prostu dotknąć.

–Och, nawet w Galii nie przetrzepaliście mi tak skóry – skarżył się w udanym gniewie Viri-

doviks. Rzymianie wygwizdali go.

Dla Gorgidasa, który przywiązywał szczególną wagę do tego, kogo dotykał, burzliwe powitanie stanowiło coś w rodzaju próby ognia. Z zaskoczeniem zobaczył obok siebie Rakio; Yrmido podążył jego śladem, gdy opuścił oddział Arigha, lecz trzymał się w oddali. Ktoś zauważył obcego. – Kto to?

–Przyjaciel – odpowiedział Grek.

–Wspaniale! – Od tej chwili poklepywano Rakio z takim samym entuzjazmem, co pozostałych. W przeciwieństwie do Gorgidasa, czerpał z tego ogromną radość.

–Z drogi! Przejście! – Sekstus Minicjusz przepychał się przez legionistów. Szło mu to wolno, ponieważ ścisk był straszliwy, lecz w końcu stanął przed trybunem. Miesiące sprawowania dowództwa spowodowały, że młody żołnierz dorósł; na jego

szerokiej, przystojnej twarzy malował się wyraz dojrzałości, którego Skaurus nie widział tam przedtem.

Wyrzucił rękę w precyzyjnym salucie. – Zwracam o dowództwo, panie.

Marek potrząsnął głową. – Nie mogę odebrać czegoś, co nie jest moje. Gavras pozbawił mnie dowództwa, nim wysłał mnie przeciwko Zemarkhosowi.

Legioniści krzyknęli gniewnie. Minicjusz rzekł: – Słyszeliśmy o tym, panie. Powiem na to tylko tyle: postanowiliśmy, kto nami dowodzi i nikt inny nie będzie tego robił. – Ponów nie zasalutował.

Rzymianie krzyknęli znowu, tym razem we wrzaskliwym poparciu. – Cholerna prawda! Nie mówimy Gavrasowi, co ma robić; niech się nie wtrąca do nas! Gdyby nie my, dalej siedziałby w Vi-dessos. Wybiliśmy taką dziurę w Yezda, że ślepiec by przez nią przeszedł. – I w potężniejącym chórze: Skaurus! Skaurus! Skaurus! – Niewypowiedzianie wzruszony, trybun oddał salut.

Rozległy się ogłuszające wiwaty. Viridoviks trącił łokciem Gajusza Filipusa. – Zauważ, że żaden z nich nie wrzeszczy na twoją cześć – zachichotał.

–Byłoby coś nie tak, gdyby to robili – odparł spokojnie weteran. – Mam być takim kłótni

wym łajdakiem, który sprawia, że szef wygląda dobrze.

Mając powyżej uszu ustępliwych odpowiedzi, Gal warknął: – Tak, pewnie, masz zupełną rację

–i poczuł się lepiej, zyskując złe spojrzenie starszego centuriona.

Nie-Rzymianie wśród legionistów początkowo trzymali się z tyłu, by nie przeszkadzać rodakom

Marka w powitaniu, lecz wkrótce oni również przyłączyli się do świętowania powrotu trybuna. Tędy Vaspurakańczycy brali go w niedźwiedzie uściski, wykrzykując słowa powitania w łamanej łacinie i niemal równie kiepskim videssańskim.

–No, wreszcie jesteś bezpieczny – huczał Gagik Bagratouni, wyciskając ostatni dech z trybuna. Ze swymi dumnymi, grubokościstymi rysami twarzy, gęstymi, falującymi włosami i zbitą, czarną brodą, *nakhhar* zawsze kojarzył się Skaurusowi z lwem. – Mimo wszystkich naszych starań nie znaleźliśmy się tu wystarczająco szybko i sądziliśmy, że ten przeklęty kapłan zabił was.

–I tak jestem zdumiony tym, jak się pospieszyliście – rzekł Marek.

–Dobre informacje, ot co – odparł z zadowoleniem Bagratouni. Odwrócił się, rozejrzał, wskazał ręką. – Senpat, Nevrata... do mnie!

Wskazani przepchnęli się do *nakharara* i Skaurusa. Senpat Sviodo, jako jedyny ze znanych trybunowi ludzi, mógł pozwolić sobie na noszenie tradycyjnej vaspurakańskiej czapki z trzema daszkami i kitą pstrokatych wstążek; jego uroda i pogodny charakter sprawiały, że uchodziło mu na sucho wszystko, cokolwiek postanowił. Tupnął obutą nogą i zaintonował trzy pierwsze nuty pieśni wojennej. – Hej, hej, *hej!* Myśleliśmy, że zobaczymy cię wcześniej, lecz lepiej późno niż wcale, jak powiada stare przysłowie.

Jego uśmiechowi trudno było się oprzeć; Marek poczuł, że jego wargi same się rozciągają. Zwrócił się do Nevraty. Nawet jeśli nie została jego kobietą, zasługiwała na uwagę. Zbyt wyraziste rysy Vaspurakańczyków psuły urodę większości kobiet, lecz ona stanowiła szczęśliwy wyjątek – tak jak w przypadku Senpata, po części dlatego, że przezieriała przez nią jej pogodna natura.

Nie chciała słuchać podziękowań trybuna. – To przecież nic; parę dni jazdy przez zaprzyjaźniony kraj do Garsavry. Nie ma czym zaprzętać sobie głowy. Co to jest w porównaniu z czasem, kiedy walczyliśmy z ludźmi Draksa podczas pierwszej wojny domowej, gdy zabiłeś tego Namdalajczyka, który mnie powalił?

–Och, to. Pamiętasz, jak mi za to podziękowałaś?

Otoczający ich legioniści zaczęli gwizdać i pohukiwać. Coś w oczach Nevraty mówiło, że

pamięta też inne rzeczy, ale w jej źrenicach zapłonęły również figlarne ogniki. – Całkiem dobrze

–odparła zuchwale.

–Zatem załatwię to tak samo – powiedział Marek. Pohukiwania rozległy się głośniej. Trybun zwrócił się do Bagratouniego: – Patrz uważnie; mam zamiar pocałować zamężną kobietę. – Objął Nevratę.

–Wszystko z tobą w porządku? – szepnęła mu do ucha. Kiedy odpowiedział skinieniem głowy, mruknęła: – Więc dobrze – i pocałowała go dokładniej, nie tak spieszenie, jak on sam zamierzał. Jej usta spoczęły na jego ustach zdecydowaną i słodką miękkością. – Jeśli coś robisz, rób to dobrze powiedziała, kiedy się rozdzielili.

–Może powinniśmy zostać w Videssos – warknął Senpat, lecz on również się śmiał. Ledwie dostrzegalne potrząśnięcie głowy Nevraty powiedziało Skaurusowi, że Senpat nic nie wie – nie to, doprawdy, żeby było wiele do opowiadania.

Bagratouni wbił trybunowi łokieć w żebra. – Po co miałem na to patrzeć? Tyle to widziałem, kiedy miałem dwanaście lat.

Zamieszanie w obozie Rzymian przyгнаło innych żołnierzy imperialnej armii – Videssańczyków, Khatrishów, Halogajczyków, Khamorthów, paru Namdalajczyków – do wałów, żeby zobaczyć, co tak poruszyło zwykle zrównoważonych legionistów. Żołnierze w obozie wykrzykiwali wieści do przyjaciół albo do nikogo w szczególności.

–To tyle, jeśli chodzi o nierozgłaszanie naszego przybycia – rzekł Gorgidas.

Skaurus zrozumiał, co chciał przez to powiedzieć. – To nie ma znaczenia – rzekł. Po raportach Goudelesa i Skylitzesa Imperator już wie, kto przybył z Arshaumami. – Był pewien, że już wkrótce zostanie skierowane do niego wezwanie.

Viridoviks nie oczekiwał czegoś takiego wobec siebie. – Ty przynajmniej masz od niego słowo – rzekł do Marka. – Mnie najpewniej posieka na kawałeczki za to, że zabawiałem się w prześcieradłach z damą jego serca.

Nic, co Rzymianie mu powiedzieli, nie przekonało Celta, że Thorisin nie tylko pozbył się Komit-ty Rhangawe, lecz również, że serdecznie się z tego cieszył. A trybun zastanowił się, jaką wartość mają złożone mu przez Autokratę obietnice. Wiedział, że dotychczas Gavras dotrzymywał danego słowa, lecz wiedział też, jak wielka istnieje pokusa, żeby je złamać.

Nic na to nie można było poradzić. I bez względu na to, co zamierzał Gavras, Avshar również chciał zrealizować swoje plany, które miały wszelkie szanse, żeby zniweczyć plany wszystkich innych. – Musimy dowiedzieć się więcej o tym, co się tutaj dzieje – rzekł trybun do Gajusza Filipu-sa.

–Minicjusza i Bagratouniego masz już pod ręką – odparł weteran. – I posłałem już po Pakhymera.

–Dobrze.

Minicjusz zaprowadził ich do namiotu dowódcy, który stał pośrodku *via principalis*, głównej

ulicy obozu. Odsunął się, by przepuścić najpierw Skaurusa, i powiedział: – Wygląda, że będę musiał na nowo przyzwyczajać się do mniejszej kwatery.

Wnętrze namiotu zadawało kłam jego słowom. Z wyjątkiem pledu, paru mat i ekwipunku Minicju-sza, namiot ział pustką, ekwipunek był ekwipunkiem prostego legionisty; Minicjusz został awansowany w ciągu ostatnich dwóch lat. Viridoviks rozejrzał się po namiocie, potrząsnął głową i rzekł: – Co cię obchodzi, ile masz miejsca? Mógłbyś mieszkać w beczce, jak myślę, i też by ci wystarczyła.

–Nie sądzę, żeby Erenie się to spodobało – odparł Minicjusz. – Znowu spodziewa się dziecka.

–Jest w Garsavrze? – zapytał Marek.

–Tak. Wszystkie kobiety tam są, z wyjątkiem Nevraty, ale ona to całkiem inna historia. Ruszyliśmy na zachód w szalonym pośpiechu. Nie przepędzaliśmy Yezda, po prostu przebijaliśmy się przez nich. To samo robił Gavras; dranie dalej roją się między Garsavrą a Amorionem.

–To wyjaśnia jedną rzecz – powiedział Gajusz Filipus. – Nie to chciałem usłyszeć, lecz tego się spodziewałem.

Laon Pakhymer zjawił się w chwili, gdy siadali na matach. Również usiadł i skinął Skaurusowi i Gajuszowi Filipusowi tak niedbale, jak gdyby widział się z nimi parę godzin wcześniej.

–Szybko się sprawiłeś – rzekł niechętnie starszy centurion. Nikt nie miał pewności, czy to

niedbale maniery Pakhymera, czy też to, że przybył na czas rozdrażniły go bardziej.

Dowódca Khatrishów wiedział, że zirytował weterana i dalej się tym bawił. – Mamy swoje sposoby – rzucił beztrosko.

–Rozmawiał z Konyosem, nim posłaniec z legionu dotarł do niego – rzekł Gorgidas.

Pakhymer przybrał urażony wyraz twarzy. – Dlaczego mam zawracać sobie głowę sztuczkami,

jeśli i tak zostaną wyciągnięte na światło dzienne?

–Skończcie z tym – rzekł Marek. Khatrish pochylił się naprzód, nagle równie rzeczowy, jak

wszyscy pozostali w namiocie.

Przedstawił Skaurusowi taki sam obraz sytuacji, jaki trybun uzyskał już od pozostałych: legionieści i Khatrishe dokonali wypadu z Garsavry na własną rękę, i kiedy zaczęło wyglądać na to, że zakończył się powodzeniem, Thorisin z resztą wojsk podążył ich śladem do Amorionu. Nie zdobył kontroli mul doliną Arandosu, lecz trybun dowiedział się, że wysłał oddział do Nakolei, leżącej na północy, na wybrzeżu Morza Videssańskiego. – Sensowne – powiedział. – Zatem nie jesteśmy tutaj całkowicie odcięci od reszty Imperium.

Potem rozmowa przeszła na sprawy zaopatrzenia, gotowości wojsk i planów Gavrasa. Sekstus Minicjusz rzekł: – Początkowo, kiedy przybył za nami tutaj sądziłem, że nie ma żadnych, z wyjątkiem tego, by nie dopuścić, abyśmy zatrzymali Amorion dla siebie. Lecz teraz otrzymaliśmy mel-

dunek, że Avshar idzie ku nam forsownym marszem przez Vaspurakan. Jeśli tak jest w rzeczywistości, wówczas to miasto oznacza dobrą bazę operacyjną do wykorzystania przeciwko niemu.

Ci, którzy właśnie wrócili, spojrzeli po sobie. – Przeklęty chodzący trup porusza się zbyt szybko jak na mnie – stwierdził Gajusz Filipus, lecz był to tylko komentarz. Nikt z nich nie wątpił, że książę-czarodziej zamierza zmiążyć Videssos raz na zawsze. Na własne oczy oglądali czynione przez niego przygotowania; trybun i starszy centurion słyszeli jego przechwałki i groźby z jego własnych, bezwargich ust.

Pakhymmer rzekł: – Sądzę, że Imperator przybył tu za nami nie tylko z tych przyczyn, o których wspomniał Minicjusz. Czekał, by Skaurus i jego przyjaciele sami sobie na to odpowiedzieli.

–Polityka? – zaryzykował Gorgidas.

Dowódca Khatrishów podrapał się po głowie. Jego wyznanie różniło się od wiary Videssańczyków, lecz należał do tego świata tak niepodzielnie, jak to nigdy nie miało stać się udziałem Greka, Rzymian czy Viridoviksa. Powiedział: – Czasami wydaje mi się, że urodziliście się na wpół ślepi. Zrozumcie, jeśli potraficie: przez ostatnie dwa lata Amorion był w schizmie przeciwko stolicy i duchowieństwu dzięki Zemarkhosowi. Wy, Rzymianie, w większości jesteście poganami, zaś mieszkańcy Imperium uważają mój lud i lud Bagratouniego za dwa odrębne rodzaje heretyków. Thorisin nie mógł zaufać nikomu z nas, jeśli chodzi o zaprowadzenie tu porządku; po cóż innego sprowadziłby tu Balsamona, jeśli nie po to, by wprowadzić odszczepieńców z powrotem do owczarni?

–Sprowadził go? – Marek nadstawił uszu. – Nie słyszałem o tym.

–Z pewnością sprowadził. Ten stary łysol potrafi z czarnego zrobić białe. Sam go słuchałem raz czy dwa; to pełen życia człowiek. Prawdę powiedziawszy, niewielu jest takich jak on i myślałem nawet o nawróceniu się na wiarę Imperium; on sprawia, że człowiek zaczyna wierzyć w dobro.

–Ja też go słuchałem – rzekł Bagratouni. – Lepszy od Zemarkhosa? Tak, tysiące razy. Nawrócić się? Nie, nigdy. Zbyt wiele „książęta” wycierpiały od Videssos, żebym kiedykolwiek przeszedł na wiarę Imperium.

Po tym narada zaczęła kuleć. Marek nie sądził, by w takiej sytuacji nawet pobożny Skylitzes śmiał nakłaniać *nakharara* do przyjęcia swojej wiary. Co do siebie samego,

choć wcale nie wyznawał wiary Phosa, czuł większy lęk przed władcą Videssos, niż przed wszystkimi jego duchownymi wziętymi razem.

Następnego dnia rano dwóch halogajskich gwardzistów czekało na Skaurusa przy *porta praetoria*. Musieli dowiedzieć się co nieco o zwyczajach legionistów – pomyślał, kiedy wyszedł ku nim; z czterech bram obozu *porta praetoria* leżała najbliżej namiotu dowódcy. Próbował skupić

myśli na takich błahostkach. Halogajczycy przyszli wezwać tylko jego, nie Gajusza Filipusa, Gorgi-dasa, lub Viridoviksa. – Nie miał pewności, czy może to być uznane za dobry znak.

Najemnicy z północy spływali potem w upale videssańskiego lata. Byli to wielcy, jasnowłosi mężczyźni, tak wysocy jak trybun i jeszcze szersi w barach. Jeden miał włosy przycięte na wysokości ramion; drugi nosił je splecione z tyłu w gruby warkocz, który sięgał aż do pasa. Obaj mieli miecze przy biodrach, lecz bardziej polegali na swym charakterystycznym, narodowym orężu: masywnych toporach wojennych na długich styliskach.

Skinęli głowami, kiedy go rozpoznali. Ten z warkoczem powiedział: – Khazano nam sphowa-dzić cię do Autokhaty. – Halogajczyk mówił niewyraźnie, z silnym akcentem, lecz trybun zrozumiał. Ustawił się pomiędzy gwardzistami, którzy zarzucili topory na ramiona i odmaszerowali wraz z nim.

Kilku oficerów Thorisina Gavrasa posiadało namioty okazalsze niż jego własny. Nie pragnął luksusu dla siebie samego i podczas kampanii zawsze mieszkał skromnie. Błękitny proporzec ze złotym, promienistym godłem Imperium, stojący przed jego namiotem, mówił wszystko co trzeba o jego pozycji.

Jeszcze jedna para Halogajczyków przechadzała się przed wejściem do namiotu. Wyprostowali się czujnie, gdy zbliżył się Marek ze swoją eskortą. Gwardzista z warkoczem zwrócił się do nich oficjalnym tonem: – Tho dhowódca Rzymian. Wartownicy odsunęli się.

Nurkując pod klapą namiotu, Skaurus robił wszystko, żeby na jego twarzy nie pojawił się wyraz zaskoczenia. Thorisin pozbawił go tego stopnia – czyżby odzyskał swoją rangę? Nic miał czasu, by się dziwić; przed nim Imperator mówił niecierpliwym tonem: – Dobrze, dopilnuj więc tego. Mam teraz inne sprawy na głowie.

–Tak jest, panie. – Oficer, który salutował, stał plecami do Skaurusa, lecz trybun zeszywniał na dźwięk jego głosu. I kiedy Provhos Mourtzouphlos odwrócił się by wyjść, stanął w miejscu, a niedowierzanie i wściekłość przemknęły mu po twarzy, wykrzywiając regularne rysy. – To ty! – zawołał i sięgnął po miecz.

Ręka Marka śmignęła w dół. Jeden z Halogajczyków skoczył pomiędzy

Mourtzoughlosa i Rzymianina; drugi zamknął nadgarstek Skaurusa w żelaznym chwycie. – Zhostaw to w pochwie – rozkazał i trybun mógł tylko posłuchać.

Thorisin nie wysunął się z za składanego, zarzuconego pergaminami stolika, przy którym siedział. – Wykonaj swoje rozkazy, Provhosie – powiedział. – Zapewniam cię, że załatwię się z nim tak, jak na to zasługuje.

Nie zabrzmiało to zachęcająco dla Skaurusa, lecz wcale nie bardziej odpowiadało Mourtzough-losowi. – Tak jest, panie – powtórzył, lecz tym razem musiał to z siebie wydusić. Zamiótł płaszczem z arystokratyczną wzdargą i przeszedł obok Marka, rzuciwszy przez zaciśnięte zęby: – Jesz-

cze nie koniec między nami, ty ośle w lwiej skórze.

Przed rzuceniem się na Mourtzoughlosa powstrzymał Rzymianina tylko niezłomny chwyt, w jakim gwardzista wzięił jego ramię. Jego wściekłość zdumiała go, a jej przyczyna jeszcze bardziej. Nie czuł gniewu za to, co sam przeszedł; to już minęło, nie liczyło się. Lecz Mourtzoughlos był również odpowiedzialny za wszystko, co w ciągu ostatnich miesięcy przydarzyło się Aypii i tego trybun nie mógł mu wybaczyć. Już dość wycierpiała w życiu, by zasługiwać na nowe nieszczęścia.

Być może widok Imperatora, przez to, że przypomniał mu o Aypii, doprowadził Skaurusa do takiego wzburzenia. Owalna twarz Thorisina była dłuższa niż twarz Aypii, bardziej nierówna, jego oczy ciemne zamiast zielonych, lecz wystarczyło jedno spojrzenie, by każdy rozpoznał w nich bliskich krewnych. – Zabierajcie się stąd, Bjorgolf, Harek – zwrócił się Thorisin do stojących po obu stronach trybuna Halogajczyków. – Eyvind i Skallagrim zostaną przed wejściem, żeby dopilnować, by ten tu nie próbował mnie zamordować. Ale nie zechce; potrzebuje mnie żywego. Czyż tak nie jest, cudzoziemcze? – Obrzucił Marka cynicznym spojrzeniem. Nie mając pewności, czy Imperator nie szczuje go na siebie, trybun stał dalej bez słowa.

Halogajczycy zasalutowali i wyszli; nie mieli zamiaru sprzeczać się ze swym panem, od którego otrzymywali żołd. Thorisin zwrócił się do służącego, który czyścił na wysoki połysk parę butów. Rzucił mężczyźnie sztukę srebra. – Wystarczy, Glykas. Idź już; wydaj to na coś. – Dziękując wylewnie, Videssańczyk wyszedł z namiotu w ślad za najemnikami.

Kiedy zniknął, Imperator chrząknął z zadowoleniem. – Teraz nie zgorszysz już nikogo oprócz mnie, nie oddając mi hołdu. – Marek stał bez słowa. Raz czy dwa razy przedtem widział już Thori-sina w takim żartobliwym nastroju. Zawsze wprawiał go w nerwowość; nie potrafił wówczas odczytać zamiarów Thorisina. Gavras uniósł brew. – Jeśli nie chcesz paść na brzuch, równie dobrze możesz usiąść na krześle.

Trybun posłuchał. Złączywszy koniuszki palców, Thorisin przyglądał mu się przez

dobłą chwilę, zanim odezwał się ponownie: – I co ja mam z tobą zrobić, Rzymianinie? Jesteś jak fałszywy miedziak; wciąż pojawiaasz się na nowo.

Markowi nagle obrzydły takie podchody; Gavrasa cechowała większa bezpośredniość, nim został Autokratą. Powiedział: – Wydaje mi się, że masz dwie możliwości. Albo dotrzymać naszej umowy, albo ściąć mnie.

Imperator uśmiechnął się cierpko. – Próbujesz mnie przekonać? Wystarczająco wiele razy miałem ochotę zobaczyć twoją głowę osadzoną na Kamieniu Milowym. Lecz nie chcę być teraz tym, kto zdecyduje o twoim losie.

–Avshar. – To nie było pytanie.

–Tak. – Sprawy wojskowe sprawiły, że Thorisin znowu spoważniał. – Masz, sam zobacz. – Skaurus przysunął krzesło do stolika; Gavras odwrócił mapę zachodnich rubieży Videssos, tak

że Rzymianin mógł spojrzeć na nią od właściwej strony. Imperator wskazał na rzekę Rhamnos, na wschodnim krańcu Vaspurakanu. – Otrzymałem wiadomość za pośrednictwem wież sygnałowych, że armia Yezd przekroczyła wczoraj rzekę na północ od Soli.

Trybun ocenił odległości. Książę-czarodziej poruszał się szybciej niż sądził, że to możliwe. – Więc dzieli go od nas jakiś tydzień drogi. Może dzień lub dwa więcej; będą mieli trudny teren do przebycia, kiedy skręcą na południowy wschód. A może chcesz spotkać się z nimi gdzieś w połowie drogi?

–Nie; zamierzam pozostać w defensywie. – Gavras odstłonił zęby w grymasie zawodu; w

jego naturze leżał atak. Lecz ciągnął dalej: -Po Maraghrze, po wszystkich kolejnych etapach woj

ny domowej, nie zdołam już zebrać następnej armii. Jeśli stracę tę, nie pozostanie mi ani Imperium,

ani już nic. Co jest jeszcze jednym powodem, by pozostawić cię zdrowym; nie mogę pozwolić

sobie na bunt ze strony twoich żołnierzy.

Marek przystał na to, by zwrócenie mu dowództwa przez Imperatora nastąpiło w tak niedbały sposób, jak uczynił to Thorisin. Zapytał: – Ilu ludzi prowadzi Avshar?

–Miałem nadzieję, że ty mi to powiesz. Sądzę, że dysponuje większymi siłami niż

moje, ale sam wiesz, ile warte są meldunki zwiadu operującego na taką odległość. A poza tym Yezd a maszerują z tymi wszystkimi zapasowymi końmi, co sprawia wrażenie, że jest ich więcej niż w rzeczywistości. Ale ty byłeś w Mashiz; na piekło Skotosa, z tego, co mówi Goudeles, znajdowałeś się w sali tronowej Wulghasha, kiedy Avshar pozbawił go tronu. To była pierwsza wieść o przewrocie, jaką uzyskałem. Powinieneś wiedzieć więcej o tym, co dzieje się w Yezd, niż ktokolwiek inny.

–Tylko jeśli interesuje cię, jak to wygląda z perspektywy tuneli. Mogę opowiedzieć ci co nieco o Avsharze, jeśli masz ochotę tego słuchać.

Thorisin potrząsnął niecierpliwie głową. – Wiem już więcej, niż bym chciał. Bez względu na to, do kogo należał tytuł khagana Yezd, do niego, czy do Wulghasha, on i tak od lat ciągnął za wszystkie sznurki.

–Po spotkaniu z Wulghashem nie jestem tego taki pewien – odparł Skaurus. – A oto coś, czego nie dowiedziałeś się od Goudelesa: Wulghash żyje, choć Avshar sądzi, że jest martwy. – Opowiedział o tym, jak khagan i Rzymianie spotkali się w podziemiach pod pałacem.

–Interesująca historia, lecz co z tego? – rzekł Gavras. – Martwy czy zbiegły, jest poza grą, a tęsknię za nim jeszcze mniej, jeśli jest tak bystry, jak mówisz.

Marek wzruszył ramionami. – Więc usłyszałeś już to, co wiem. Jeśli chcesz dowiedzieć się czegoś o Yezda, porozmawiaj z Arighem. Bił się z nimi przez całe lato i obserwował, jak grupują się pod Mashiz.

–Uczynię to. Postąpię rzetelnie, ten jeden raz, Skaurusie, Sprowadzając tu ze sobą Arigha i

jego koczowników. – Imperator przerwał, spojrzał na Rzymianina z rozdrażnieniem i niechętnym szacunkiem. – Obyś zgnął, synu kurwy, lecz okazałeś się zbyt użyteczny, żeby cię skrócić o głowę. Jeśli przeżyjemy, może będziemy musieli ostatecznie dobić targu.

Trybun skinął głową. – Z Alypią wszystko w porządku? – zapytał cicho.

Thorisin zacisnął usta. – Nie starasz mi się tego ułatwić, prawda?

–Równie dobrze mogę dowiedzieć się najgorszego teraz. Co mi z tego przyjdzie, że dzisiaj będę się starał wprowadzić cię w radosny nastrój, jeśli jutro znowu skwaśniejesz?

–Mmm. Czasami myślę, że Mavrikios powinien był na samym początku ukrócić twoje zuchwalstwo; zaoszczędziłoby to nam kłopotów. – Imperator Zabębnił palcami o blat stolika. W końcu powiedział: – Cóż, miewa się doskonale. Połowa młodych

szlachciców, z tego wszyscy ambitni, nadskakiwała jej na moim weselu. Nie to, żeby zwracała na nich jakąś uwagę.

Skaurus nie martwił się o jej wierność, lecz to, co oprócz tego powiedział Gavras sprawiło, że wytrzeszczył oczy jak głupiec. – Na twoim czym?

–Weselu – powtórzył Thorisin. – Najwyższy czas, prawda? Twoje igraszki przypomniały mi, jak bardzo potrzebuję prawdziwego następcy. I będę go też miał; przed czterema dniami otrzymałem wiadomość, że żona jest w ciąży.

–Gratulacje – rzekł szczerze Marek. Jeśli Thorisinowi urodzi się spadkobierca, może będzie mniej zainteresowany tym, gdzie Alypia skierowała swoje uczucia. Trybun zawahał się, a potem zapytał: – E... kim ona jest?

–Prawda, skąd miałbyś wiedzieć? To Alania Vourtzes Ach, widzę, że słyszałeś o tej rodzinie. Tak, to urzędnicy, bez wątplenia. To pomoże przeciągnąć tych drani do mojego obozu, a przynajmniej poróżni ich między sobą. Jest cichą, drobną osobką; to jeden z powodów, dla których ją wybrałem, po paru latach spędzonych z tą moją wrzaskliwą sekutnicą. Droga Komitta; niech Phos ma w swej opiece ten klasztor, do którego ją wysłałem.

Imperator uśmiechnął się krzywo. – Dalej nie lubisz mówić, prawda? Usłyszałeś ode mnie o wiele więcej, niż sam powie działaś, to pewne. – Trybun zaczął protestować, że przecież sam Gavras nie chciał wysłuchać jego wieści, lecz Thorisin zbył to machnięciem ręki. – Nieważne. Zabieraj się stąd i jeśli czeka tam któryś z moich zarządców, powiedz mu, że przyszła jego kolej.

Mrugając w słońcu, by przyzwyczać oczy do jego blasku po półmroku namiotu, Skaurus zobaczył jakiegoś urzędnika przestępującego z nogi na nogę przed wejściem. Trybun przytrzymał klapę w zapraszającym geście. Zarządca wszedł do środka z osobliwym brakiem ochoty. Marek usłyszał ryk Thorisina: – Ty nieudolny, niekompetentny, skończony ośle! Gdzie jest tych pięćdziesiąt fur pszenicy, o których mówiłeś, że będą tu przedwczoraj?

–Nie złagodniał tak całkiem, jak widzę – szepnął trybun do jednego z Halogajczyków. Gwar

dzista wzniósł oczy ku niebu.

Kiedy Marek wrócił do obozu Rzymian, zastał go w stanie dalekim od spokoju. Tłum legionistów tłoczył się przed jednym z namiotów. Dostrzegł przed namiotem Viridoviksa, wyższego o głowę od większości legionistów. – W czym rzecz? – zapytał. Żołnierze rozstąpili się, by go przepuścić.

Gal wbił w ziemię dwa kołki od namiotu, a potem zaostrzył je od góry. Na każdy

nadział ociekającą krwią głowę. Jedna wciąż jeszcze groziła gniewnym wyzwaniem, zaś wyrazu drugiej nie dało się odczytać, bowiem cios miecza odwalił niemal połowę twarzy.

–Trofea? – zapytał ostrym tonem Skaurus. Viridoviks uniósł wzrok. – Och, hej, hej, drogi

Rzymianinie.

Tak właśnie, trofea. Rzucili się na mnie, łobuzy, nie pytając się ciebie o pozwolenie. Błagam o wybaczenie za ten cały bałagan i w ogóle, ale nie mam drzwi, żeby je nad nimi przybić.

–Ani nawet Kamienia Milowego – rzekł trybun, wspomniawszy niedawną rozmowę. Ponownie przyjrzał się głowom. Obie należały do śniadych ludzi i miały długie, niechlujne brody, teraz całe nasiąknięte krwią. – Yezda.

–Myślę, że masz rację, choć nie przystanęłam, żeby się zapytać.

–Jak dostali się do obozu? – zapytał Marek.

Wrzawa ściągnęła Gajusza Filipusa. Odwrócił się do legionistów. – Ty, ty, ty i ty! – rzekł, wyznaczając czterech. – Jeden do każdej bramy – zwolnić wartowników i przysłać ich tutaj. Obejmą ponownie swoje posterunki natychmiast, gdy z nimi skończymy. – Starszy centurion wrócił zaledwie dzień wcześniej, lecz jego władza nie podlegała dyskusji. Legioniści oddali mu salut i oddalili się pospiesznie.

Rzymianin, który przyznał, że wpuścił niedoszłych morderców, wytrzeszczał ze zgrozą oczy na dzieło Viridoviksa. – Ja, ja... nie zastanowiłem się nad tym – wyjąkał w odpowiedzi na pytanie Marka. – Pytali o ciebie, panie, albo o Gala, po imieniu. Cały obóz wiedział, że zostałeś wezwany do Imperatora, więc powiedziałem im, gdzie mogą znaleźć Celta. Myślałem, że to wasi przyjaciele, których poznaliście podczas podróży.

–To nie twoja wina, Vektilianusie – uspokoił go Skaurus. Nie musiał pytać, w jaki sposób Yezda podążali za nim i za Viridoviksem przez te wszystkie mile drogi, lecz przecież poświęcił chwilę na żal, że nie udało mu się przekonać Wulghasha, by osłonił swoim czarem miecz Celta – wówczas Avshar nie mógłby tak łatwo ich wytropić.

–Skończyło się całkiem dobrze – rzekł Viridoviks, wycierając do czysta swoją klingę. – Oto dwóch mniej włóczykijów stanie po niewłaściwej stronie, kiedy nadejdzie pora, a on sam pewnie nie będzie chciał posyłać znowu swych pacholków, kiedy jest już tak blisko i w ogóle.

–Blżej niż sądziliśmy. – Marek zrelacjonował to, co usłyszał od Thorisina.

–Dobrze. Zatem wkrótce się rozstrzygnie, w tę, czy w tamtą stronę. – Z cichym zgrzytem

metal u metalu Viridoviks wsunął miecz do pochwy.

Jeszcze nie zajaśniał świt następnego dnia rano, kiedy vaspurakański legionista wsunął głowę do namiotu trybuna i zbudził go. – Posłaniec czeka po ciebie przed *porta principalis dextra* – powiedział, kalecząc videssański niemal tak samo juk łacinę. – Po tym, co dzieje się wczoraj, nie chcę wpuścić go do obozu.

–Dobrze zrobiłeś – wymamrotał Skaurus, szukając po omacku tuniki i spodni. Pod brodą skarżył się sam do siebie: – Gavras mógłby przynajmniej pozwolić mi na jedną całą noc snu. – Nasunął tunikę przez głowę, spryskał twarz wodą. Prychając, spytał wartownika: – Czyj to posłaniec?

–Mówi, że od... jak to jest?... głównego kapłana Imperium. – Vaspurakańczyk splunął; po przejściach z Zemarkhosem nikt z kościelnej hierarchii Videssos nie potrafiłby zjednać sobie jego sympatii. – Gdyby się mnie kto pytał, to może sobie czekać do śmierci.

Marek precisnął się obok niego. Wezwania od Balsamona miały niemal taką samą wagę, jak wezwania Imperatora.

Porta principalis dextra brała nazwę od swej pozycji widzianej przez obozujących legionistów. Lecz namiot dowódcy znajdował się po drugiej stronie *via principalis*; Skaurus skręcił w lewo w główną ulicę obozu i pospieszył do bramy.

Rozpoznał czekającego nań kapłana, odzianego w błękitną szatę, choć bez żadnej przyjemności. Głos trybuna przypominał warknięcie, kiedy zwrócił się do niego: – Czego ode mnie chcesz, Saboriosie?

Usługujący Balsamonowi kapłan, mimo swej wygolonej czaszki, nosił się jak żołnierz, którym zresztą był. – Zaprowadzić cię do mojego pana, oczywiście – odparł szorstko. Spojrzał Skauru-sowi prosto w oczy. – Możesz żywić sobie urazę, jeśli chcesz. Dla mnie najważniejsze jest dobro Jego Imperatorskiej Wysokości.

–Ba – rzekł Marek, lecz złość wyparowała z niego. Jego własne, silne poczucie obowiązku

pozwalalo mu zrozumieć Saboriosa, który w swym postępowaniu kierował się tym samym.

Słońce wzeszło, gdy wkroczyli do Amorionu. Miasto zdążyło ucierpieć od czasu,

kiedy widział je po raz ostatni. Wiele budynków nosiło ślady walki, powstałe czy to podczas wywołanych przez Skaurusa zamieszek, czy to później, kiedy resztki fanatyków Zemarkhosa okazały się na tyle nierozważne, by przeciwstawić się zawodowym umiejętnościom legionistów i Khatrishów.

Inne budynki zostały po prostu opuszczone; chwasty pleniły się u podstawy murów, bramy dziedzińców otwierały się na beznadziejną pustkę. Niektóre z najokazalszych siedzib miasta znalazły się w takim stanie. – Właściciele uciekli już dawno temu – rzekł Saborios, podążając za

wzrokiem Marka. – Niektórzy uciekli przed twoimi żołnierzami, inni ze strachu przed Yezda albo przed sprawiedliwością Imperatora.

Parę domów zostało ponownie zasiedlonych przez samowolnych lokatorów; rodzinę albo kilka takich rodzin. Inni przybysze zatłoczyli miejski rynek, który w połowie wypełniała zbieranina brudnych namiotów i prowizorycznych bud. – Uciekinierzy, którzy nie chcieli poznać na własnej skórze czulego miłosierdzia Yezda – wyjaśnił niepotrzebnie Saborios.

–Więcej takich zjawi się tutaj, uciekając przed Avsharem – przepowiedział Marek.

–Wiem. Mieliśmy kłopoty, by nakarmić tych, którzy tu już są. Oczywiście, niektórzy z nich uciekną dalej, co utrzyma ilość zbiegów mniej więcej na tym samym poziomie. – Saborios mówił z pewnością człowieka, który widział już takie rzeczy.

Balsamon zatrzymał się w willi, w której przedtem zamieszkiwał Zemarkhos, w pobliżu głównej świątyni Amorionu. Jak; większość takich świątyń w prowincjonalnych miastach, również i ta wyglądała jak mniejsza, pośledniejsza kopia Głównej Świątyni Phosa w Videssos. Marek i Saborios wkroczyli w cień jej kopuły, gdy pochodzili do małego, kryjącego się za nią budynku. Trybun dostrzegł na jego bielonych ścianach stare plamy krwi.

Balsamon sam otworzył drzwi, by ich powitać. – Witaj,, witaj! – powiedział, uśmiechając się promiennie do Skaurusa. – Niespodziewany gość wart jest tuzina widzianych na co dzień. – Na jego twarzy malował się dobrze znany trybunowi wyraz, jak gdyby zapraszający go do uczestniczenia w jakimś sekretnym żarcie.

Lecz krotocwilna mina była niemal wszystkim, co pozostało z dostojnika, którego Marek pamiętał ze stolicy. Wówczas i zastanawiał się nad stanem zdrowia Balsamona; teraz patriarcha gasł w oczach. Stracił mnóstwo ciała, tak że jego ukochana i wyświechtana szata zwisała na nim w luźnych fałdach. Skóra obwisała niezdrowo na policzkach i pod brodą; musiał wesprzeć się o ościeżnicę.

Chory czy nie, bardzo niewiele umykało jego uwagi. Roześmiał się na widok przerażenia, którego Marek nie zdołał ukryć. – Jeszcze nie umarłem, przyjacielu –

powiedział. – Będę żył tak długo, jak to będzie potrzebne, bez obawy Wejdz, wejdz, proszę. Mamy mnóstwo do obgadania, ty i ja.

Marek za nic na świecie nie potrafił zrozumieć, co może oznaczać to „mnóstwo”, lecz postąpił naprzód. Potem przy stanął i odwrócił się. Tak jak i przedtem, Saborios spojrział mu w oczy bez drgnienia. – Imperator wie, że tu jesteś – powie dział poważnie. – Nie będę podsłuchiwał przez dziurkę od klucza.

Skaurus musiał się tym zadowolić. Balsamon odsunął się, by go wpuścić do środka. Poruszając się wolno i z mozołem, patriarcha podszedł do najbliższego z trzech nie wyściełanych krzeseł, które, oprócz niewielkiego stołu, stanowiły jedyne meblowanie maleńkiego pokoiku. Ascetyczna

skromność pomieszczenia musiała stanowić spuściznę po Zemarkhosie.

Balsamon usiadł z cichym chrząknięciem ulgi. Marek rzeki gniewnie: – Jakie prawo miał Tho-risin, żeby wyciągnąć cię z Videssos?

–Najlepsze ze wszystkich: jest Autokratą, zastępcą Phosa na ziemi – odparł patriarcha. Absolutna powaga, z jaką to powiedział, zaskoczyła Skaurusa; dla Videssańczyków boska władza Imperatora była niezwykle realna. Balsamon ciągnął dalej: – Gwoli ścisłości, rozkazał mi tu przybyć, bym nadzorował rozkład schizmy Zemarkhosa. Podjąłem się tego z przyjemnością; na własnej skórze odczułeś nienawiść, którą głosił.

–Tak – przyznał trybun. – Lecz dlaczego ty? Czy do zwykłej praktyki należy wysyłanie patriarchy ze stolicy, aby zajmował się takimi sprawami?

–Ostatnim, który opuścił Videssos, z tego co wiem, był Pothos, trzysta pięćdziesiąt lat temu. Został wysłany do Imbros, by udzielić pomocy w likwidowaniu narastającej fali herezji Hazardzi-sty. – Znużone oczy Balsamona zdobyły się na mrugnięcie. – Sądzę, że udało mi się rozdrażnić mego Imperatora bardziej niż Pothosowi swego.

Wiedząc, co wywołało gniew Gavrasa, Marek z zakłopotaniem opuścił głowę. Balsamon roześmiał się głośno. – Phos ma mnie w swojej opiece; zawstydziłem człowieka z kamienia. – To tylko tym bardziej zmieszało trybuna. Patriarcha ciągnął dalej: – Nawiasem mówiąc, człowieku z kamienia, mam wiadomość dla ciebie; nieco spóźnioną, jako że nie było cię w Amorionie wówczas, kiedy spodziewano się, że będziesz, lecz być może interesującą mimo wszystko.

–Mów – rzekł Skaurus. Wiedział, od kogo pragnął wiadomości, lecz po szelmowskich kpi

nach Balsamona nie chciał dawać patriarsze satysfakcji z okazywania ożywienia czy niepokoju.

Jego udawane opanowanie zdawało się rozbawiać patriarchę niemal tak samo, jak uczyniłoby to podniecenie: – Mówiłem o kamieniach, czyż nie? – Balsamon prowadził rozmowę w aluzyjnym, wykrętnym stylu Videssańczyków. – No cóż, jest ktoś, kto chciał, bym ci powiedział, że istnieją pewne kamienie, być może ci znane, które ta osoba nosi bez przerwy od chwili, kiedy widzieliście się po raz ostatni, i że ta osoba nie zdejmie ich aż do waszego następnego spotkania, bez względu na to, kiedy może ono nastąpić.

Niech teraz Saborios coś z tego zrozumie – pomyślał Marek; przypuszczał, że służący Balsa-mona ma swoje sposoby, by wiedzieć, co robi jego nominalny pan, bez względu na to czy podsłuchiwał przez dziurkę od klucza, czy nie. Lecz trybun zmarnował jedynie chwilę na myśl o Saboriosie. Napomknienie Aypii o naszyjniku, który jej podarował, ze wszech miar go uradowało.

Widząc, że Balsamon wie, iż zrozumiał, powiedział tylko:

–Wielkie dzięki. Mam nadzieję, że zdołam odpowiedzieć na to postanie osobiście.

–Taką też nadzieję żywi osoba, która mi je powierzyła. – Patriarcha przerwał, jak gdyby nie mając pewności, w jaki sposób zmienić temat. Po chwili powiedział: – Zawędrowałeś o wiele

dalej niż do Amorionu.

–Nie zamierzałem tego, i wcale też nie musiałem – rzekł Skaurus, wciąż nie mogąc pogodzić się z myślą o niepotrzebnej ucieczce na zachód z karawaną Tahmaspa właśnie w chwili, kiedy jego ludzie byli tuż, pędząc mu na ratunek.

–Nigdy nie można być absolutnie pewnym – odparł Balsamon. – Jedną z rzeczy, jakie zrozumiałem, zarówno jako kapłan, jak i wcześniej, jako uczonego dążącego do zrozumienia doczesnego świata, była i ta, że sieć zdarzeń jest zawsze większa, niż się to wydaje musze, walczącej o wolność na jej skraju.

–Jakież miły obrazek.

–Nieprawdaż? – rzekł z dobrotliwą ironią patriarcha. I znowu zawahał się dziwnie, nim podjął na nowo: – Do no mi do zrozumienia, że, ach, miałeś sporo do czynienia u z przywódcami Yezd.

–Owszem. – Marka wcale nie zdziwiło, że Balsamon ma swoich informatorów; znając Vides-sańczyków, byłby zaskoczony, gdyby dostojnik ich nie miał. Opowiedział o spotkaniu z Wulgha-shem. Balsamon słuchał uprzejmie, lecz bez większego zainteresowania.

Jednak gdy tylko Skaurus wspomniał o Avsharze, postawa patriarchy zmieniła się.

Jego oczy wwierały się w oczy Rzymianina; z twarzy i całej postawy patriarchy było takie napięcie, że zarówno on sam jak i Marek zapomnieli o jego słabości. Wyszczekiwał pytania do Skaurusa tak, jak do jakiegoś niezbyt rozgarniętego studenta w sali wykładowej Akademii Videssańskiej.

Kiedy trybun w jakiś sposób wyłowił ze swej pamięci nazwę Skopentzana, Balsamon opadł na swoje twarde krzesło jak przekłuty balon. Teraz Marek mógł zobaczyć, jak bardzo jest on stary, chory i znużony. Patriarcha siedział nieruchomy i milczący tak długo, że Skaurus zaczął zastanawiać się, czy nie zasnął z otwartymi oczami, lecz w końcu odezwał się:

–Wiele się teraz wyjaśniło.

–Nie dla mnie – rzekł uszczypliwym tonem trybun.

–Nie? – Balsamon uniósł krzaczastą brew. – Avshar wyznawał niegdyś naszą wiarę, przed wieloma wiekami. Gdyby było inaczej, czy nienawidziłby tak bardzo Videssos i czy wyszydzałby każdy aspekt naszej wiary swoim własnym?

Marek skinął wolno głową. Biegłość, z jaką księżę-czarodziej posługiwał się tak językiem Imperium, jak i jego starożytną odmianą, przemawiała za tym, że videssański jest jego ojczystym językiem. A przypomniawszy sobie świątynię Skotosa w Mashiz i odzianych w czerwone szaty kapłanów mrocznego boga, Skaurus zrozumiał, co patriarcha miał na myśli.

–W jaki sposób Skopentzana powiedziała ci to? – zapytał. – I co to w ogóle jest? Nigdy o niej nie słyszałem, z wyjątkiem tego jednego jedyne go razu z ust Avshara.

–Obecnie Skopentzana nic nie znaczy – rzekł Balsamon. – Pozostały z niej tylko ruiny, rudery i, w sezonie, namioty koczowników. Leży na terenie tego, co teraz nazywa się Thatagush. Lecz

kiedy Avshar nie liczył sobie więcej lat niż zwykły człowiek, była to prowincja Bratzista, a Skopentzanę uznawano za trzecie miasto w Imperium, a może nawet drugie. Ze złotych piaskowców ją wzniesiono, a rzeka Algos śpiewała, płynąc ku szaremu morzu, tak to chyba ujmuje pewien starożytny poeta.

–A Avshar?

–Był jej najwyższym kapłanem. Naprawdę tak cię to zaskakuje? Nie powinno. Był też i prawdziwym księciem, dalekim kuzynem Autokraty w tych pełnych świetności dniach, kiedy to Vides-sos władał ogromnym obszarem ciągnącym się nieprzerwanie od granic Makuranu aż po skutą lodami Zatokę Halogajską. Wysoko urodzony, zdolny, któregoś dnia mógł się spodziewać, że zostanie patriarchą, i to wielkim patriarchą.

–Ruiny, Thatagush... – Marek połączył to ze sobą. – To działo się wówczas, kiedy Khamor-thci najechali Imperium, prawda?

–Dokładnie. – Z tego, jak Balsamon spojrział na niego wynikało, że być może ma jeszcze jakieś szanse jako jego student. – Wojna domowa osłabiła granice i wówczas oni wkroczyli. W ciągu dziesięciu lat obrócili w perzynę owoce trzystu lat cierpliwego rozwoju cywilizacji. Wraz z tyloma innymi mniejszymi miastami, padła i Skopentzana. Pod pewnym względem Avshar miał szczęście. Przeżył. Przewędrował z biegiem Algosu do morza i w końcu trafił do stolicy Videssos. Lecz okropności, jakie widział i przeżył, skierowały jego myśli na nowe ścieżki.

Trybun przypomniał sobie, co Avshar powiedział owego strasznego dnia w sali tronowej pałacu w Mashiz. – I wówczas odwrócił się od Phosa i zaczął czcić Skotosa?

Zobaczył, że jego oceny znowu poszły w górę. – Właśnie. Ponieważ wywnioskował, że dobro nie może mieć żadnej władzy w świecie, który daje schronienie takiemu złu, i że ciemny bóg jest jego prawdziwym panem. I kiedy dotarł do stolicy, uznał za swój obowiązek przekonanie całej hierarchii do swoich idei.

Videssańczyk z krwi i kości – pomyślał Skaurus. Lecz powiedział: – To głupie idee. Jeśli spali ci się dom, czy do końca swych dni będziesz żył w lesie? Sensowniejszym będzie wykorzystać wszystko, co ci się trafi i odbudować go, jeśli się da.

–Ty tak twierdzisz; ja tak twierdzę. Lecz kult Skotosa jest jak zatrute wino; słodki aż do same

go dna. Ponieważ bez dobra, zauważ, nie ma winy; dlaczegóż nie zabić człowieka, dlaczego nie

zniewolić kobiety, dlaczego wreszcie nie uczynić czegokolwiek dla samej przyjemności czy wła

dy?

Krańcowy egoizm – doprawdy mocne wino. Pod pewnymi względami przypominało to Markowi obrzędy Bachusa, których rzymski senat zakazał na sto lat przed jego urodzeniem Lecz przy całym swym rozpasaniu, obrzędy Bachusa stanowiły jedynie chwilowe, ograniczone oderwanie od prawdziwego świata. Avshar uczyniłby bezprawie sposobem na życie.

Trybun powiedział to, dodając: – Czy ludzie nie uświadamiają sobie tego? Bez władzy i ustalonych zwyczajów, każdy znajduje się na łasce najsilniejszego i najchytrzejszego.

–Tak też oświadczył synod, który potępił Avshara – rzekł I Balsamon. – Zajrzałem do protokołów tego synodu; to najbardziej przerażająca rzecz, jaką kiedykolwiek czytałem Nawet po tym, kiedy już zwrócił się ku złu i nieprawdzie, był olśniewający i straszliwy, jak piorun. Jego argumenty przeciwko usunięciu ze stanowiska są tam odnotowane. Porażają zjadliwą klarownością, która mrozi krew w żyłach jeszcze teraz.

–A jeśli – zadumał się patriarcha – czcząc ciemność znalazł tam środki, by przetrwać do naszych czasów, i siły na to, by zniszczyć Imperium, które najpierw obdarzyło go łaskami, a potem przeklęło...

–Nie żeby zniszczyć, lecz żeby podbić je i władać nim tak, jak będzie chciał – przerwał mu Skaurus.

–To jeszcze gorsze. Lecz jeśli tak jest, wiele z tego, co wydarzyło się w minionych stuleciach, staje się bardziej zrozumiałe; choćby na przykład bestialskie zachowanie grupy halogajskich najemników, która przekroczyła Astris podczas panowania Anthimosa III pięć wieków temu. Choć dalej twierdziłbym, że błazeństwa Anthimosa nie miały przyczynić się do ich sukcesu, którym cieszyli się aż do chwili zdobycia tronu przez Krisposa, parę lat później.

–Obawiam się, że nie znam tych imion – rzekł Marek. Przyznanie się do tego zasmuciło go. Nawet po tak drugim pobycie w Videssos, wciąż nieświadom był tak wielu dotyczących go spraw.

Zaczął coś mówić, lecz Balsamon nie zwrócił na to uwagi. W oczach patriarchy pojawiło się owo nieobecne, nieco szkliste spojrzenie, jakie Skaurus miał okazję widzieć już kiedyś, w Videssos. Trybun poczuł na karku mrowienie, wywołane przez jeżące się włosy. Rozpoznał ów łagodny trans i wiedział, co ze sobą niesie.

Pogrążony w swej proroczej wizji, Balsamon sprawiał wrażenie człowieka dręczonego jakimś koszmarem. – To samo – powiedział głosem stłumionym przez pełen męki sprzeciw – zawsze to samo.

Powtórzył to jeszcze kilka razy, zanim doszedł do siebie. Marek nie potrafił się zmusić, by zapytać patriarchę o wizję; pożegnał się tak szybko, jak tylko na to pozwalały dobre obyczaje. Mimo ciepłego dnia, przez całą powrotną drogę do obozu czuł przebiegające po nim dreszcze. Aż nadto dobrze pamiętał, co Alypia powiedziała o wizjach patriarchy: że miał nieszczęście widzieć tylko nadciągające katastrofy. W sytuacji, kiedy Avshar z każdym dniem zbliżał się coraz bardziej, trybun obawiał się, że wie, skąd ta katastrofa nadciągnie.

XII

Meldunek dostarczony przez wywiad Thorisina okazał się dokładny, pomyślał Marek; z mrugających po drugiej stronie równiny ognisk wynikało, że Yezda mają armię większą niż ta, która stanęła im na drodze. Zachodni wiatr donosił do uszu trybuna nie ustający ani na chwilę, ochryply zaśpiew:

–Avshar! Avshar! Avshar! – Basowo brzmiące bębny wybijały nie milknący akompaniament:

bum-bum, bum-bum, bum-bum.

Dźwięk ten jeżył włosy każdemu, kto walczył pod Maraghą, wydobywając z pamięci wspomnienia owej straszliwej nocy, kiedy to Yezda otoczyli obóz imperialnej armii. Choć teraz jednak Gajusz Filipus prychnął tylko z ostentacyjną pogardą.

–Niech sobie walą – stwierdził. – Spaskudzą sobie sen o wiele wcześniej niż mnie.

Skaurus skinął głową. – Gavras może i nie lubi walczyć w defensywie, lecz kiedy już musi, wie

jak się to robi. – Imperator przesunął armię na północ i zachód od Amorionu aż znalazł miejsce dokładnie takie, jakie chciał; pochyła równina, której wyższy kraniec zajęli Videssańczycy, tworzyła jedyny większy rozstęp w łańcuchu poszarpanych wzgórz. Kilka kompanii i parę lekkich katapult wystarczyło do obsadzenia pomniejszych przejść.

Avshar nawet nie próbował ich forsować. Kierował się prosto na główne siły imperialnej armii. W przeciwieństwie do Thorisina, Avshar chciał bitwy.

Zwiadowcy potykali się już w harcach na obszarze pomiędzy pozycjami zajętych przez obie armie. Kwik rannego konia przebił się przez monotony śpiew Yezda.

–Jutro – rzekł Gajusz Filipus, majstrując przy bocznych osłonach hełmu, który pożyczył od

jakiegoś legionisty. Kiedy już go dopasował, odwrócił się plecami do ogniska, przy którym siedział,

i wbił wzrok w ciemność, usiłując zobaczyć, kto wygrał potyczkę. Nie dało się tego powiedzieć.

Skierował swoją uwagę na imperialne wojska. Po jakimś czasie odezwał się znowu, z wyrazem zakłopotania na twarzy:

–Na tyle, na ile się na tym znam, Gavras robi wszystko dobrze. Dlaczego mi się to nie podoba?

–To przez to beczynne siedzenie – odparł natychmiast Viridoviks. Jego temperament, jeszcze bardziej niż temperament Thorisina, domagał się działania.

–To nie miałyby znaczenia w armii, na której można polegać – nie zgodził się po części Gor-gidas. – Jednak w tej... – pozwolił, by jego głos zamarł w ciszy.

Marek wiedział, co miał na myśli. Niektóre oddziały niejednorodnej armii były wystarczająco pewne. Legioniści zawsze wyciągali na wierzch wszystkie niedostatki Yezda, tak samo jak Khatri-she, którzy walczyli u ich boku. Halogajscy gwardziści Imperatora nie obawiali się żadnej żywej istoty. A dla Arshaumów Yezda tak bardzo przypominali Khamorthów, że bili ich z równą łatwością. Ludzie Arigha tworzyli znaczną część kawaleryjskiej osłony armii.

Lecz Videssańczycy, tworzący większość armii Thorisina, mieli różną wartość. Niektóre oddziały weteranów mogły iść w zawody z najemnikami, którzy służyli wraz z nimi. Jednak w skład innych oddziałów wchodziły załogi garnizonów z takich miejsc jak Serrhes lub członkowie milicji, którzy po raz pierwszy mieli stawić czoło prawdziwej walce. Nikt nie mógł przewidzieć, jak będą stawiali.

A za tym wszystkim, nie wspomniane przez nikogo, lecz zawsze obecne, czaiło się pytanie, jakąż to szatańską magię przygotował Avshar. Pytanie to dręczyło umysły i podkopywało ducha zarówno weteranów, jak i nowicjuszy.

–Jutro – mruknął Skaurus i zastanowił się, czy zabrzmiało to jak modlitwa, czy jak przekleństwo.

Ogniska zapłonęły wraz ze świtem, dając żołnierzom ciepły posiłek, nim zajęli swoje pozycje. Mając już wybrane pole bitwy, Imperator mógł ze znacznym wyprzedzeniem ustawić armię w bitewnym szyku. On sam i Halogajczycy z Imperialnej Gwardii stanowili centrum szyku. Gdy najemnicy z północy maszerowali na swoją pozycję, ostrza ich toporów łyssały krwawo w promieniach wschodzącego słońca.

Legioniści zajęli miejsce po ich prawej, ustawiając się manipuł po manipule, każdy za swoim *signo*; otoczone wieńcami ręce, zdobiące proporce, zostały niedawno na nowo pozłoczone i przedstawiały piękny widok w porannym świetle Ostrza niesionych przez legionistów *pilorum* wygładały jak ruchomy las.

Tu i tam jakiś wojownik w szeregach legionistów pozostał przy broni, do której przywykł, zamiast przejąć właściwe Rzymianom oszczepy i krótkie miecze. Viridoviks, rzecz/ oczywista, zatrzymał swoją galijską klingę. A Czerwony Zeprin, z zarzuconym na ramię toporem, równie dobrze mógł być wzięty za jednego ze swych rodaków z gwardii Imperatora. Lecz Halogajczyk wciąż nie uważał się za godnego

służby w jej szeregach i maszerował wraz z resztą legionistów.

Z lewej strony Imperialnej Gwardii znalazły się dwie setki rycerzy z Namdalen, ludzi, którzy wciąż cieszyli się zaufaniem Thorisina, mimo konfliktu dzielącego Księstwo i Videssos. Nosili stożkowate hełmy z daszkami osłaniającymi nos, kolczugi z kolczej siatki sięgające kolan, zaś ich oręż składał się z długich lanc, obosiecznych mieczy i jaskrawo pomalowanych tarcz w kształcie latawca. Krzepkie konie, których dosiadali, również osłaniały pancerze z grubego płótna, skór i metalu.

Rakio, we własnym pełnym rynsztunku, wyjechał z obozu Rzymian, by dołączyć do nich, kiedy imperialne wojska zaczęły ustawiać się w szyku. – Nic o mnie nie bój się – rzekł do Gorgidasa. – Najlepiej będę walczył z ludźmi, którzy to tak samo jak ja robią. – Pochylił się w siodle, by po-

całować Greka na pożegnanie.

Legioniści zawyli radośnie. Rakio wyprostował się. – Zazdrośni jesteście, wy wszyscy – powiedział, co wywołało kolejną burzę okrzyków. Wcale nie zmąciły spokoju Yrmido; był zadowolony wedle kryteriów własnego ludu. Pomachał ręką i odjechał kłusem.

Gorgidas życzyłby sobie niewinnej szczerości swego kochanka. Znalazłszy się z powrotem wśród legionistów, przyłapał się na tym, że odruchowo popada w stare szablony ukrywania swych uczuć. Lecz kiedy rozejrzał się wokół zobaczył, że uśmiechy szczerzących zęby Rzymian wcale nie są złośliwe. Może też przemówiła do nich nonszalancja Rakio. Grek nie wiedział tego ani o to nie dbał. Po prostu przyjął to z wdzięcznością.

–Pożycz mi ktoś oselkę? – zapytał, chcąc po raz ostatni przed bitwą naostrzyć swój *gladius*.

Dwóch czy trzech legionistów podało mu kamienie; jeden zachichotał: – Ten jeździec uważa, że twoje ostrze jest wystarczająco ostre. – Gorgidas wzdrygnął się, lecz w ustach legionisty zabrzmiało to jak zwykły, obozowy żart, a nie jak zjadliwe szyderstwo; jedno z tych, jakim parę lat wcześniej musiał stawiać czoło Kwintus Glabrio. Odpowiedział sprośnym gestem. Żołnierz roześmiał się głośno.

Laon Pakhymer, prowadząc swych Khatrishów na flankę Rzymian, ściągnął cugle i jego kuc stanął dęba. Marek zdjął hełm, by odwzajemnić salut. – Są w porządku, ci tam, niedbali czy nie – rzekł Gajusz Filipus, wyrażając głośno myśli trybuna.

Videssańscy kawalerzyści, nie tak ciężkozbrojni, jak środek szyku Gavrasa, lecz zwrotniejsi, zajęli pozycje na obu skrzydłach linii. Niektórzy dzierżyli łuki, inni oszczepy albo pałasze. Jeden z ich oficerów również zmusił swego wierzchowca, by stanął dęba, w czym Skaurus nie mógł dopatrzeć się niczego innego jak tylko

przejawu dobrego humoru. Mieszkańcy Imperium zwykle tak się nie zachowywali; niewielu chełpiło się przewagami wojennymi. Potem rozpoznał w oficerze Provhosa Mourtzoughlosa. Nachmurzył się. Nie chciał przyznawać swemu wrogowi żadnych zalet, nawet odwagi.

Thorisin ustawił koczowników na skrajnych pozycjach szyku, jeszcze za własną jazdą. Na lewej flance znaleźli się Khamorthci, najemnicy z pardrajańskich stepów. Marek zastanawiał się, czy są to wojownicy z okolicy Astris, rzeki stanowiącej granicę Videssos i równin, czy też przez Pristę przysłał ich na pomoc Imperium przyjaciel jego przyjaciół,

Batbaian.

Nie miał takich wątpliwości co do wojowników na drugiej flance. Stał tam Arigh. Rzymianin słyszał bęben *naccara*, o tonach zarazem głębszych jak i ostrzejszych od tonów bębnów, jakich używali Yezda, przebijający się przez dźwięki rogów i piszczałek, które sygnalizowały formowanie szyku imperialnych wojsk.

Armia Avshara również zajmowała pozycje, kierowana wolą swego wodza. Sprawiała wrażenie,

że cała składa się z kawalerii. Godła księcia-czarodziej a znajdowały się w ceni rum, naprzeciwko videssańskiego złotego słońca na błękitnym tle. Avshar miał dwie ogromne chorągwie. Mniejsza była flagą Yezd, przedstawiającą skaczącą panterę na polu barwy krzepnącej krwi. Tło drugiej miało ten sam odcień, lecz jej godła nic dało się od razu rozpoznać. Kiedy mieszkańcy Imperium wreszcie zdołali zobaczyć je wyraźnie, wielu z nich nakreśliło szybko na piersiach słoneczny krąg; godło na chorągwi miało postać bliźniaczych piorunów Skotosa.

Wokół księcia-czarodzieja ustawiły się pułki makurańskich lansjerów; ich rynsztunek, pod względem opancerzenia i wagi oręża, można było umieścić pośrodku pomiędzy rynsztunkiem Vi-dessańczyków i Namdalajczyków. Wielu z nich na swych kolczastych hełmach nosiło pióropusze, by wywołać wrażenie, że są wyżsi.

Jednak znakomita część siły Avshara tkwiła w prawdziwych Yezda. Skaurus widział ich w akcji zbyt wiele razy, by lekceważyć ich za nieporządek, w jakim przystępowali do walki; łączyli barbarzyńską odwagę z wyrafinowanym okrucieństwem, którego nauczyli się od swego pana. Godła wielu klanów – tu zielony sztandar, tam wilcza czaszka, ówdzie ludzka, zatknięte na żerdziach – sterczały wysoko w górze, w nieregularnych odstępach wzdłuż całej ich linii.

Avshar nauczył ich też do pewnego stopnia posłuszeństwa; zatrzymali się w nierównym szeregu, kiedy flaga Skotosa przechyliła się trzykrotnie do przodu i do tyłu. Obie armie wciąż znajdowały się o kilka strzeleń z łuku od siebie. Podejrzewając

jakąś czarnoksięską pułapkę, Thorisin zatrzymał własne wojska. Jego zadanie polegało na utrzymaniu pozycji, nie na ataku; niech Avshar przyjdzie do niego.

Jakiś jeździec wyłonił się z szeregów Yezda i wyjechał na pustą przestrzeń między dwiema armiami. Pomruk przebiegł wzdłuż linii imperialnych wojsk, gdy zbliżył się na tyle, by zostać rozpoznany; to straszliwe oblicze mogło należeć jedynie do samego księcia-czarodzieja.

Rzucił wówczas czar, drobne zaklęcie, które sprawiło, że wszyscy żołnierze Imperatora słyszeli jego głos tak, jak gdyby stał tuż przy nich: – Kundle! Świnie! Ostatnie zmiotki przebrzmiałej herezji! Czy w żyłach któregoś z was płynie na tyle gorąca krew, by ośmielił się stanąć do walki ze mną sam na sam?

–Ja się ośmielę! – ryknął Czerwony Zeprin, z twarzą pociemniałą rumieńcem, od którego wzięto się jego przezwisko. Z uniesionym toporem, w pobrzękującej ciężkiej kolczudze, wyrwał się z szeregu Rzymian i popędził tupocząc w stronę księcia-czarodzieja, przedmiotu swej najwyższej nienawiści od czasów Maraghy.

–Zatrzymajcie go! – warknął Marek i kilku legionistów skoczyło za Halogajczykiem. Sam i pieszo miałby niewielkie szanse w uczciwej walce z Avsharem, a trybun wcale nie sądził, by taka go czekała.

Avshar w każdym razie zignorował Zeprina. Jakiś videssański jeździec pomknął w stronę ksi-

ęcia-czarodzieja, wołając: – Phos ze mną! – Naciągnął łuk i wystrzelił.

Zaśmiawszy się okropnie, Avshar uczynił szybki, urągliwy gest. Strzała buchnęła płomieniem i zniknęła. – Spróbuj jeszcze raz przywołać swego fałszywego boga – rzekł książę-czarodziej. – Zobaczymy, jak bardzo go obchodzisz. – Znowu przesunął rękoma w powietrzu, tym razem w całym ciągu gestów. Snop pomarańczowoczerwonego światła wystrzelił z jego kościotrupich palców i uderzył w szarżującego videssańczyka, którego dzieliło teraz od Avshara zaledwie kilkanaście stóp.

Żołnierz i jego wierzchowiec szarpnęli się i zaskwierczeli, jak ćmy w płomieniu. Ich zwęglone, szerniałe ciała runęły na ziemię pod kopyta czarnego ogiera, który odsunął się z niesmakiem. Wiatr przywiał intensywny odór spalonego mięsa.

–Ktoś jeszcze? – zapytał Avshar w bezmiernej ciszy. Do tego czasu Rzymianom udało się

przywlec wrywającego się Zeprina z powrotem do szeregów. Najwyższy władca Yezd roześmiał

się znowu, wieszcząc tym dźwiękiem zgubę.

Viridoviks spojrział Skaurusowi w oczy. Trybun skinął głową. Gdyby Avshar spotkał się z nimi, byłaby to najlepsza okazja, na jaką mogli liczyć. W najgorszym zaś razie, potyczka będzie bardziej wyrównana niż ta, w której poległ dzielny, nieroztropny Videssańczyk.

–Ktoś jeszcze? – odezwał się znowu Avshar. Najwyraźniej nie oczekiwał odpowiedzi.

Skaurus wciągnął powietrze do płuc, by krzyknąć. Lecz nim zdążył to zrobić, dostrzegł poruszenie

w samym środku videssańskiej armii. Szeregi Halogajczyków rozdzieliły się, by przepuścić poje

dynczego jeźdźca.

Przerażenie ścisnęło trybunowi gardło. Przez myśl mu nie przeszło, że Thorisin mógł być na tyle szalony, by ośmielić się przyjąć wyzwanie swego wroga. Był znakomitym żołnierzem, lecz żaden śmiertelnik nie mógł przeciwstawić się potędze Avshara.

Lecz to nie Autokrata zbliżał się, by stawić czoło księciu-czarodziejowi, lecz starzec w wyświechtanej, błękitnej szacie dosiadający kłapouchego muła. I to przed nim Avshar cofnął się, czego nie uczyniłby przed żadnym śmiertelnym wojownikiem. – Odejdź – rzekł Balsamon; ta sama pomniejsza magia, która pozwalała rozbrzmiewać wszędzie głosowi Avshara, niosła również jego słowa. – Synod przed wiekami wtrącił cię w najgłębszą ciemność klątwy, jaką na ciebie rzucił. Odejdź w nicość; w Videssos nie ma miejsca dla ciebie i twoich dzieł

Marek wpatrywał się z nabożną czcią w plecy patriarchy. Oto zobaczył jak Balsamon, tak bezpośredni i wesoły prywatnie, potrafi w jednej chwili olśnić dostojnością, jakiego wymagał jego kapłański urząd. Balsamon-dostojnik przewyższał Balsamona-kpiarza w równym stopniu, co kpiarz dostojnika. Jako sędzia, patriarcha wydawał się tak samo silny i surowy, jak przedstawiony w mozaice wielki wizerunek Phosa pod kopułą Głównej Świątyni w stolicy Videssos.

Lecz Avshar otrząsnął się szybko. – Jakiż z ciebie głupiec, jakiż zramolały staruch, żeby stawać

tu przede mną i bajdurzyć o klątwach. Bez względu na zarozumiałość, z jaką się do mnie zwracasz, nim rok minie będziesz martwy, martwy jak te wszystkie ślepawe półgłówki, które nie chciały ujrzeć prawdy, jaką im przedstawiłem. Jednak stawiałem im wówczas czoło i teraz stawiam czoło tobie. Któż więc stoi przy potężniejszym bogu?

–Któregoś dnia twój czas dobiegnie końca. Prędkiej czy później, jakież to ma znaczenie? Zostaniesz wezwany, by zdać relację ze swych uczynków i spędzisz wieczność, uwięziony w lodzie Skotosa wraz z resztą jego kreatur.

Posępne oczy księcia-czarodzieja zapłonęły pogardą. – Okazujesz się tak samo omamiony, jak twoi przodkowie. Wszyscy jesteśmy stworzeniami Skotosa; ty i ja, i ten uparty dureń, który zajmuje należny mi tron, i wszyscy inni też. Tak, zaprawdę to człowiek jest najwspanialszym dziełem Skotosa. Ze wszystkich żyjących istot tylko człowiek naprawdę wie, czym jest zło, i czyni je ze swej własnej, wolnej woli.

Mówił tak, jak gdyby oprócz niego i Balsamona nikogo tam nie było, i rzeczywiście, w pewnym sensie stali tam sami, jako te obaj stanowili, bez względu na to jak odmienne, wytwory surowych zasad videssańskiej tradycji teologicznej. Balsamon odpowiedział w ten sam sposób, bardziej sprawiając wrażenie, iż pragnie sprowadzić błądzącego kolegę na drogę słusznej doktryny, niż że stawia czoło najstraszliwшему wrogowi swej wiary i narodu.

Powiedział: – Równie dobrze można przekonywać, że całe jedzenie jest zepsute przez to, iż znalazł się w nim kawałek zgniłej ryby. A możeś oślepił już tak bardzo, iż zapominasz, że dusza każdego człowieka mieści zarówno bezprzykładne dobro, jak i nikczemność?

Być może patriarcha zamierzał potraktować to pytanie jako retoryczne, lecz Marek uznał, że sięgnął nim sedna rzeczy. Im człowiek starszy, tym pełniej staje się sobą. Avshar nie skupiał w sobie zła w większym stopniu niż jakikolwiek inny człowiek, dopóki nie odczytał najazdów Khamorthów i upadku Videssos jako świadectw tryumfu Skotosa na ziemi, i nie przeszedł na stronę mrocznego boga. Lecz przez swoją magię zyskał stulecia życia i wiódł je wedle dokonanego wyboru, i teraz...

Teraz przeklinał Balsamona z okrucieństwem, o jakim nie mógł nawet marzyć żaden z jego Yez-da, bowiem wyrzutek zawsze nienawidzi goręcej, niż zwyczajny wróg. Jego głos wznosił się coraz wyżej, aż wybuchnął krzykiem: – Umrzyj więc i zobacz, co da ci to twoje dobro!

Jego ręce przemknęły w powietrzu, kreśląc ten sam ciąg znaków, jakich użył przeciwko videssa-ńskiemu kawalerzyście. Kiedy ogniste światło ugodziło Balsamona, Marek krzyknął i skoczył naprzód, a Viridoviks wraz z nim. Patriarcha zasługiwał na coś lepszego niż to, by padł nie pomszczony w ogniu czarów Avshara.

Lecz Balsamon nie upadł, choć skulił się w siodle, jak gdyby nagle przygnieciony jakimś ogromnym ciężarem. – Odrzucam ciebie i wszystkie twoje uczynki – rzekł głosem napiętym, lecz pełnym zdecydowania. – Dopóki żyję, twoje plugawe czary nie będą rządziły na tym polu.

–To ty tak mówisz. – Avshar rzucił na patriarchę kolejne zaklęcie. Nie przejawiało się ono w

żaden widzialny sposób, lecz Skaurus usłyszał jęk Balsamona. Wówczas patriarcha poniechał tak

nieistotnej rzeczy jak owa drobna magia, która rozprzestrzeniała jego głos po całym polu.

Księżę-czarodziej zarzucił go ciskanymi jedno po drugim zaklęciami. Balsamon nie był, nie mógł być, czarodziejem który dorównałby takiemu magowi jak Avshar. Kilka razy przechylił się, raz niemal upadł na ziemię. Wcale nie próbował oddawać ciosów. Lecz w obronie nic nie mogło ugiąć jego woli. Jak nie mający szans wojownik, który pragnie tylko nie dopuścić do siebie przeciwnika najdłużej, jak to jest możliwi patriarcha wytrzymywał albo odbijał czary, jakie zniszczyłyby silniejszego, lecz mniej wytrwałego maga.

Widząc, że patriarcha wciąż jest żywy w tym huraganu czarów, videssańska armia zaintonowała jego imię jak okrzyk wojenny, wykrzykując je wciąż i wciąż, aż odległe wzgórza odpowiedziały jego echem: – Balsamon! Balsamon! Balsamon! – I, jak to Marek miał okazję widzieć już wcześniej, patriarcha zdawał się czerpać nowe siły z podziwu swych wielbicieli. Wyprostował się na swym mule, rozwarł szeroko ramiona i jego krótkie ręce zaczęły śmigać to w tę, to w tamtą stronę, gdy przechwytywał i odbijał każdy cios, jaki Avshar wymierzał w niego albo w imperialną armię jako całość.

–Och, dobra wróżka kieruje nim – szepnął stojący obok Skaurusa Viridoviks. Gorgidas,

wcale daleko od nich, mruknął do siebie greckie słowo: – *Enthousiasmós*. - Znaczyło ono do

kładnie to samo.

W końcu, wrzeszcząc w pełnej zawodu furii, Avshar poniechał ataku, szarpnął brutalnie za cugle, zatoczył koniem i popędził wściekłym galopem z powrotem do własnych szeregów. Imperialne zastępy posłały za nim chór szyderstw i zniewag. Wszyscy wiwatowali, gdy jakiś Halogajczyk wybiegł, by chwycić cugle muła Balsamona i zaprowadzić patriarchę z powrotem w bezpieczne miejsce w szeregach videssańskiej armii. Wyczerpany, lecz nie pokonany, Balsamon pomachał ręką do otaczających go żołnierzy. Lecz Marek zdołał ujrzyć jego twarz. Wyglądał jak człowiek, który zażegnał klęskę, lecz wcale nie jak ktoś, kto zwyciężył.

Zaległa krótkotrwała cisza. Wzdłuż szeregów obu armii oficerowie przemawiali do swych ludzi, usiłując wzbudzić w nich bitewny zapał. Marek zajrzał w głąb siebie,

szukając odpowiednich słów. Niewiele ich znalazł. Jeśli miał jakiegokolwiek złudzenia co do chwały, jaką można zdobyć na polu bitwy, już dawno temu rozsypały się w proch, tak samo jak złudzenia jego legionistów.

Wreszcie nabrał powietrza w płuca i powiedział: – To bardzo proste. Jeśli przegramy tę bitwę, jesteście zgubieni. Nie pozostało już nic, do czego moglibyśmy się wycofać i znaleźć oparcie. Trzymajcie się razem, róbcie to, co rozkazują wam wasi oficerowie i nie dajcie przedrzeć się tym bękartom. To wszystko, jak sędzę.

Słyszał parę głosów tłumaczących to, co powiedział tym „księżętom”, którzy nie zdołali nauczyć

się łaciny. Nie otrzymał wielkiego aplauzu; legioniści wyczerpali zapas wiwatów na Balsamona. Nie dbał o to. Jego ludzie sprawiali wrażenie gotowych i nie zalęknionych. Poza tym nic więcej nie miało znaczenia.

Skaurusowi wydawało się, że usłyszał grzmot, a że niebo było czyste, zastanowił się, jakichż to nowych czarów próbuje Avshar. Lecz to nie był grzmot. – Zaczyna się – rzekł Gajusz Filipus, gdy Yezda spięli konie, ruszając na zastępy Thorisina Gavrasy. To łomot kopyt ich koni był dźwiękiem, który wypełnił świat.

Laon Pakhymer wrzasnął rozkaz. Khatrishe ruszyli galopem, by dać osłonę piechocie stojącej na ich flance, zwalniając legionistów i Halogajczyków od konieczności stawienia czoła gradowi strzał, na który nie mogli odpowiedzieć. Kawalerzyści Pakhymera ostrzeliwali się nawzajem z Yezda, hamując impet ich szarzy. Marek przyglądał się, jak po obu stronach padają i konie i ludzie.

Khatrishe stawali dzielnie, lecz Yezda przewyższali ich liczebnie. Uczyniwszy co w jego mocy, Pakhymer pomachał w powietrzu swym zdartym kapeluszem. Jego ludzie, ci którzy przeżyli, wycofali się na swoją pozycję w szyku.

–Avshar! Avshar! – Okrzyki Yezda wypełniały Skaurusowi uszy. Na Rzymian zaczęły spadać

strzały. Gdzieś za trybunem rozległo się przekleństwo i szczęk metalu, gdy jakiś j legionista upadł

na ziemię. Jeszcze jeden zaklął, trafiony strzałą.

Tuk! W *scutum* Marka trzasnęła strzała. Zachwiał się i jednocześnie ucieszył z grubości warstw drewna, skóry i metalu. Ta strzała z pewnością przeszłaby lekką tarczę jaką nosił, kiedy przebywał z Arshaumami.

Pchane przez masę znajdujących się za nimi wojowników, pierwsze szeregi Yezda znajdowały się już bardzo blisko.

–Gotuj *pila*! – zawołał trybun, oceniając odległość. Uniósł wysoko prawe ramię i spojrzał w

oczy trębaczom, trzymającym w pogotowiu swoje kornety. – W nich! – krzyknął; rogi za

grzmiały, przekazując komendę legionistom.

Setki ciężkich oszczepów wleciały w powietrze jak jeden Ranni Yezda buchnęli rykiem; ich konie kwiknęły. Okrzyki przerażenia nie milkły, bowiem pędzące kuce przewracały sic o te, które padły.

Niektórzy jeźdźcy przechwycili lecące *pila* swoimi tarczami To uratowało ich chwilowo, lecz kiedy chcieli wyrwać oszczepy i odrzucić je na przeciwników stwierdzili, że nasady ostrzy z miękkiego żelaza zgięły się pod wpływem uderzenia, uniemożliwiając im zarówno posługiwanie się tarczami, jak i od rzucenie bezużytecznych *pila*. Z gardłowymi przekleństwami zaczęli porzucać swoje nagle bezwartościowe osłony.

–W nich! – Jeszcze jedna salwa oszczepów wdarła sic w szeregi Yezda. Potem krótkie miecze

legionistów wysunęły się ze zgrzytem z pochew. Czy Yezda walczyli ze strachu przed swym

panem, czy z czystej żądzy krwi, przecież nie cofnęli sic przed walką. Najechali z trzaskiem na Rzymian.

Kurz, jaki wzbily ich konie, spadł na legionistów duszący chmurą. Marek kichnął i rozkaszał się. Mając oczy zalane łzami, rąbnął na oślep w majaczącego przed nim jeźdźca. Poczul miękki opór, co znaczyło, że klinga zagłębiła się w ciało. Spryskała go ciepła wilgoć. Usłyszał jęk. Nawet nie wiedział, czy trafił w człowieka, czy w jego wierzchowca.

Przejechał przedramieniem po twarzy, ocierając oczy, i szybko rozejrzał się wokół. Tu i tam Yez-da wbili się głębokimi klinami w szeregi legionistów, lecz nigdzie nie dostrzegł wyłomów w linii. Drużynami i manipułami Rzymianie spieszyli, by wesprzeć najbardziej zagrożone miejsca. W walce wręcz mieli przewagę, mimo że stawali przeciwko konnym. Zbroje legionistów, tarcze i zdyscyplinowana zwrotność liczyły się bardziej, niż większy zasięg i możliwość zadawania ciosów z góry ich wrogów.

Marek zobaczył jak Tytus Pullo, wyjąc, urągając i odbijając cięcie za cięciem swoim *scuto*, ściera się z jakimś Yezda. Podczas gdy rozwścieczony przeciwnik podoficera myślał jedynie o tym, by go zabić, jeden z żołnierzy Pulla schylił się ukradkiem i zatopił miecz w brzuchu kuca. Koń zwałił się na ziemię ze zduszonym kwikiem; Pullo

w jednej chwili zabił jeźdźca, który go dosiadał.

–Tak jest! Bierz go, kiedy leży – roześmiał się Lucjusz Worenus. Sam pojedynkował się z

Yezda, który stracił wierzchowca; *gladius* legionisty śmigał w błyskawicznych pchnięciach, jakich

uczyli rzymscy mistrzowie szermierki. Zwykła dzikość nie mogła opierać się zbyt długo takiej

śmiertelnej sztuce. Yezda zatoczył się do tyłu, ściskając się kurczowo za brzuch; Skaurus poczuł

odór latryny, co oznaczało przedziurawione wnętrzności.

Pullo walczył już teraz z kolejnym jeźdźcem. On i Worenus może i puścili w niepamięć dzielącą ich nienawiść, lecz przecież Pullo nie miał zamiaru dać się wyprzedzić przez swego towarzysza.

Jakiś Yezda pchnął lancą w Czerwonego Zeprina; Halogajczyk wykręcił się przed ciosem z gibką łatwością, której pozornie przeczyła tęgość jego ciała. Rąbnął toporem w kuca barbarzyńcy, trafiając go prosto między oczy. Mózg spryskał wszystkich w pobliżu, a koń runął na ziemię tak, jak gdyby w największym pędzie uderzył głową w kamienny mur. Następne uderzenie topora załatwiło się z jego jeźdźcem.

Topory wznosiły się i opadały bez chwili przerwy po lewej stronie legionistów, gdzie halogajscy gwardziści Thorisina zbierali obfite żniwo wśród najlepszych żołnierzy Avshara. Lecz makurańscy lansjerzy, którzy się z nimi starli, sami walczyli z zaciętością i odwagą, i nowi najemnicy z północy musieli nieustannie przesuwać się naprzód, by zająć miejsca tych, którzy padli.

–Wzmocnić tam szeregi! – ryknął Marek. – Pomóc im! – Poprowadził manipuł na lewo

wzdłuż linii, żeby dopilnować, by żadna luka nie otworzyła się pomiędzy Halogajczykami a jego

własnymi żołnierzami. W armii, w której obok siebie walczyły oddziały różnych narodowości, za-

wsze istniało takie niebezpieczeństwo. Namdalajczycy Draxa nauczyli go tego, jego kosztem, pod Sangariosem.

Viridoviks, choć nie podlegał niczym rozkazom, ruszył wraz z trybunem. Cieszył się, że idzie na pomoc Halogajczykowi. Choć z natury bardziej ponurzy, niż jego własny celtycki lud, przecież żaden inny naród tego świata nie przypominał mu go tak bardzo, jak oni właśnie.

Jakiś Makurańczyk wymierzył w głowę Gala złamanym drzewcem lancy. Viridoviks pochylił się i sam zadał cios; świetny pancerz jeźdźca zatrzymał ostrze, chroniąc go przed śmiertelną raną. Jego wierzchowiec kopnął Gala, który zwinnie odskoczył.

Dwaj mężczyźni patrzyli na siebie przez chwilę, obaj ciężko oddychając. Pod ozdobionym pióropuszem hełmem Makuran czyka śniada twarz lśniła od potu, choć jego wąsy usztywnione woskiem wciąż sterczały zawadiacko jak rogi. Wąsy Viridoviksa zwisały miękkie, przesączone potem. Ostrożnie, nie spuszczać oczu z Gala, Makurańczyk pociągnął wielki haust z bukłaka z winem. Uniósł go, salutując Viridoviksovi a potem zawrócił konia i odjechał.

–Obyś wyszedł z tego cało! – zawołał za nim Viridoviks. Nie miał pojęcia, czy Makurańczyk

dosłyszał go ani czy zrozumiał po videssańsku, jeśli okrzyk doszedł do jego uszu

Nowa fala Yezda niemal zmusiła Marka do spieszego powrotu wraz z jego manipulem, by przejąć część naporu z jakim borykała się reszta legionistów, jednak Gajusz Filipus i Gagik Ba-gratouni zatrzymali koczowników w miejscu Vaspurakańczycy Bagratouniego, ludzie wygnani z ojczyzny przez Yezda, walczyli teraz z najeźdźcami z nieustępliwą dzikością i z takim lekceważeniem własnego życia, że przeraziło to Gajusza Filipusa.

Starszy centurion nie mógł opanować grymasu, kiedy na jego oczach jeden z „książąt” i Yezda pchnęli się nawzajem i razem upadli, spleceni w śmiertelnym uścisku. – Idioci! – krzyknął, choć ludzie Bagratouniego zachowywali się tak, jakby go w ogóle nie słyszeli. – Nie marnujcie się! Walka jeden na jednego z tymi bękartami nic wam nie da!

–Ty! – zgrzytnął, spostrzegając pieszego żołnierza, który sprawiał wrażenie, że nie wie, gdzie

jest jego miejsce. Żołnierz spojrzał na niego. – Och, ty – rzekł Gajusz Filipus zupełnie innym

tonem.

Gorgidas nie odpowiedział. Właśnie w tej chwili jakiś Rzymianin zatoczył się opodal, chwytając za ranę na wewnętrznej stronie ramienia, z której tryskała jasna krew. – Stój! – krzyknął lekarz i legionista, wyszkolony do posłuszeństwa, znieruchomiał.

Gorgidas oderwał długi pasek od swej żołnierskiej tuniki, ścisnął brzegi rany i przewiązał ją mocno. – Wracaj na tyły – powiedział. – Nie możesz dalej z tym walczyć.

Kiedy legionista chciał zaprotestować, Grek przekonał go niezbitą logiką. – Rób co ci każę; w stanie, w jakim teraz jesteś, wymagasz większej ochrony niż jesteś wart. Yezda nie przedrą się tylko dlatego, że ciebie tu nie będzie. – Żołnierz zataczając się odszedł na tyły. Gorgidas miał nadzieję,

że opatrunek powstrzyma krwawienie; ramię zostało rozcięte aż do kości.

Wyciągnął z pochwy swój *gladium*, który schował tam na czas potrzebny mu, by zająć się rannym Rzymianinem. Lecz zaraz szarpnął się zatrwożony, gdy ktoś wytrącił mu go z ręki.

–Spokój tam – rzekł Gajusz Filipus. – Myślę, że chcę go jednak z powrotem.

–W sam czas! – oburzył się Gorgidas. – A czym ja mam się bronić?

–Pozwól, żebyśmy to my się o to martwili – odpowiedział weteran, chrząknawszy z zadowoleniem, gdy poczuł w ręce znajomy ciężar starego miecza. – Z tego, co widziałem, nigdy jako legionista nie przydasz nam się bardziej niż jako lekarz. To dobrze, że wiesz co i jak, ale pozostań przy tym, w czym jesteś najlepszy.

Greki rozważył to, potem pochylił głowę, wyrażając zgodę, i powiedział: – Daj mi jednak tę klingę, którą masz przy i sobie. Lepsze to niż nic.

Gajusz Filipus odwrócił się już od niego; walka znowu rozgorzała z całą mocą. – Szybciej, Minicjuszu! – ryknął. – Potrzebuję tu jeszcze dwie drużyny!

Właśnie w chwili gdy krzyczał, dwóch Yezda przedarło się przez wyginającą się linię żołnierzy. Centurion przyjął cięcie pałasza na *scutum*, potem szepił się z koczownikiem, ściągnął go z siodła i cisnął nim na ziemię. Skoczył do drugiego wojownika i wbił mu *gladium* w krzyże na wysokości pasa, nim jego ofiara zdała sobie sprawę, że ktoś ją atakuje.

Lecz pierwszy Yezda wyszedł z upadku tylko lekko ogłuszony. Pozbierał się i skoczył na Gaju-sza Filipusa. Gorgidas złapał go od tyłu. Chwycił w obie dłonie prawy nadgarstek koczownika i nie popuścił chwytu, gdy potoczyli się po ziemi. Siła jego żylastych rąk nie pozwoliła przeciwnikowi wyrwać się, dopóki Gajusz Filipus, celujący uważnie, by nie trafić lekarza, nie przeszył koczownikowi gardła.

–Świetna robota – stwierdził starszy centurion, gdy pomagał Grekowi podnieść się z ziemi. – Ale dlaczego nie pchnąłeś go swoim sztyłem?

–Zapomniałem, że go mam – odparł zawstydzony Gorgidas.

–Amatorzy! – Gajusz Filipus zmienił to słowo w przekleństwo. – Postaraj się nie zabić tym, dobrze? – powiedział, podając Gorgidasowi miecz, o który prosił. Grekowi został, zaoszczędzone dalsze kłopotliwe uwagi, weteran bowiem zajął się przysyłanymi przez Minicjusza żołnierzami, rozkazując im wesprzeć osłabione miejsce w szyku, przez które przedostali się Yezda.

Napór na legionistów zelżał, gdy z lewej strony centrum szyku Thorisina Gavrasa rozległ się basowy ryk rogów. Jego Namdalajczycy potoczyli się z łoskotem naprzód, wykrzykując być może jedyne zawołanie bitewne, jakiego mogli używać wspólnie z Videssańczykami: – Phos z nami! – Z początku masa ich zbroi oraz ciężar wielkich koni, jakich dosiadali, nadały ich szarzy niemal niepowstrzymany impet. Makurańczycy Avshara przyhamowali ich, lecz nie zdołali zatrzymać; w bezpośrednim starciu Yezda, na kucach i w lżejszych zbrojach, padali jak muchy.

Gdyby Namdalajczyków było więcej, być może zdołaliby rozedrzeć szyk wroga. W tej jednak sytuacji Yezda zaroili się na ich flankach i zasypali gradem strzał. Nawet długie kolczugi Namdalaj-czyków ani zbrojne rzędy ich koni nie chroniły bez reszty przed tym morderczym ostrzałem. Zwolnili jeszcze bardziej.

Lecz osadzając rycerzy w miejscu, Yezda osłabili własną linię. Widząc otwierającą się przed nim lukę, Provhos Mourtzouphlos runął w nią szaleńczym atakiem, którym kiedyś zwrócił na siebie uwagę Thorisina. Krzycząc i waląc mieczem, poprowadził kompanię videssańskich jeźdźców, tak samo nic zważających na nic jak on sam, prosto na tyły wroga.

I znowu, gdyby reszta imperialnej jazdy dorównywała bitnością jego żołnierzom, mogliby rozdzielić szyk Yezda. a potem otoczyć i rozbić ich prawe skrzydło. Yezda rozumieli to również; zaczęli krzyczeć jak szaleni. Odpowiedziały im wiwaty legionistów, którzy nie wiedzieli, co się dzieje, lecz byli pewni, że nie oznacza to nic dobrego dla ich wrogów.

Jednak mimo wiwatów, mimo błagań i przekleństw Mourtzouphlosa, reszta videssańskiej jazdy zamarudziła o kilka chwil za długo. Yezda zlikwidowali wyłom i wówczas Mourtzouphlos znalazł się w pułapce, nie oni.

Skierował swoją kompanię prosto na Avshara, lecz ta droga okazała się zamknięta – zbyt wielu Yezda i Makurańczyków, i wszyscy oni rzucili się na ten oddział. Jego krzyk przebił się przez bitewny zgiełk: – Wracamy do naszych, chłopcu! – Ci, którym się to udało – może połowa z tych, którzy uderzyli w wyłom – wychynęli z bitewnego zamętu pomiędzy Namdalajczykami i Halogajczykami, przerąbawszy się przez trzecią część yezdańskiej armii.

Wraz z resztą wojsk Gavrasa, Marek wrzeszczał aż do utraty tchu, obserwując ów wyczyn – dopóki nie rozpoznał Mourtzouphlosa. – No, bodaj go – rzekł do nikogo w

szczegółności. – Ten fanfaron nie jest ostatecznie taki zupełnie do 1 niczego. – Tak jak i przedtem, myśl ta go zapiekła.

W samym środku bitewnego szyku Yezda, Avshar skręcał się pod wpływem bolesnego rozczarowania. Czuł, że wszystkie jego zamierzenia, wszystkie jego wypieszczone plany biorą w łeb. Po raz setny przeklął Balsamona, ciskając kolejny czar na patriarchę Videssos.

Zabolał; wyczuwał mękę Balsamona. Koilo go to cierpienie, lecz nie koilo wystarczająco. Wiedział, że w końcu roztrzaska Balsamona jak gliniany garnek – ale kiedy? Normalnie Balsamon nie wytrzymałby uderzenia jego czarów, lecz to, niestety, nie była normalna sytuacja. W swej rozpaczycy patriarcha w jakiś sposób doprowadził się do takiego stanu, w którym wciąż mógł się opierać. Nawet bez ataków Avshara wysiłek, jaki na to poświęcił, i tak zabiły go w ciągu paru dni, lecz księżę-czarodziej nie mógł czekać tak długo.

Nic nie przerażało Avshara tak jak to, że jego magia jest nieskuteczna. Bez niej niczym nie

różnił się od zwykłego dowódcy, który tryumf – albo porażkę – zawdzięcza tylko swemu rozumowi i swoim żołnierzom. Nic nie wskazywało na to, że imperialne wojska ustępują pola; jeśli już, wydawało się, że poczynają sobie pewniej niż jego barbarzyńcy. Wojownikom, Yezd nie brakowało odwagi, kiedy wyczuwali zwycięstwo, lecz równie szybko jak inni koczownicy podawali tyły, kiedy brali cięgi.

Księżę-czarodziej zgrzytnął zębami. Ba! sam niemal został zmuszony do walki wręcz, kiedy ten videssański szaleniec przeciął jego oddziały jak ser. Pragnął, żeby Mourtzoughlos *zdołał* dotrzeć do niego; nawet bez swych czarów zgotowałyby temu łajdakowi gorzki koniec za jego zuchwalstwo.

Niespodziewanie Avshar odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się. Kilka stojących obok niego koni odsunęło się; nawet tego nie zauważył. – Ależ ze mnie dureń! – zawołał. – Jeśli moi runą do rzeki, przecież zawsze mogę ją przepłynąć!

Wbił wzrok w ścierające się szeregi żołnierzy oceniając, co musi zrobić. Nawet dla niego nie będzie to łatwe, lecz leżało to w granicach jego możliwości. Roześmiawszy się znowu sięgnął po czarnopiorą strzałę i osadził ją na cięciwie.

Jęk, który rozległ się w centrum videssańskiego szyku zabrzmiał tak głośno i rozdzierająco, że Marek pomyślał, iż wieści śmierć Imperatora. Lecz słoneczny sztandar Thorisinn wciąż powiewał na wietrze i trybun ujrzał go pod nim, na gniadym rumaku, zagrzewającego żołnierzy do walki. W pozłacanej, paradnej zbroi, diademie, narzucie i czerwonych butach nie można go było pomylić z nikim innym.

Halogajczycy stawali dzielnie, a lewe skrzydło, jeśli już, to posuwało się naprzód. W

czym więc kłopot? Skaurus wykorzystał swój wzrost, by się rozejrzeć. Nieco za Autokratą dostrzegł jakieś zamieszanie, kilku Videssańczyków tłoczyło się wokół muła z pustym siodłem...

Trybun nie uświadomił sobie, że jęknął głośno, dopóki Viridoviks nie zapytał: – Gdzie cię trafili, człowieku?

–Nie mnie – odparł niecierpliwie Skaurus. – Balsamon padł.

–Och, zaraza. Marek chwycił za ramię jednego ze swoich Rzymian.

–Znajdź Gorgidasa i zaprowadź go tam – rozkazał, wskazując ręką. Prawie na pewno vides-

sańscy uzdrowiciele zajęli się już patriarchą, lecz wziął pod uwagę tę niemal nieprawdopodobną

możliwość, że wszyscy są martwi albo unieszkodliwieni. Legionista pomknął wykonać rozkaz.

Gorgidas ruszył Balsamonowi na pomoc w najwyższym pośpiechu. Nie znał patriarchy tak dobrze jak Skaurus i nic go nie obchodziło, że jest duchowym przywódcą Videssańczyków; Gorgidas nie czcił Phosa. Lecz każdego człowieka, którego siła ducha i wola potrafiły okiełznać czary Avsha-

ra, uważał za zbyt cennego, by pozwolić mu zginąć od przypadkowej strzały – bowiem Grek przypuszczał, że taką właśnie został ugodzony patriarcha.

Skaurus nie mylił się sądząc, że kapłani-uzdrowiciele zrobią dla patriarchy wszystko, co w ich mocy. Spojrzeli podejrzliwie na zdyszanego Gorgidasa, lecz po chwili odprężyli się nieco, rozpoznając w nim człowieka, który posiadał wspólne im wszystkim umiejętności, choćby i był cudzoziemcem. Dobry bóg pobłogosławi cię za twoją troskę – rzekł jeden z nich, kreśląc na piersi słoneczny krąg Phosa – lecz spóźniłeś się. Byłbyś spóźniony nawet w chwili, kiedy został trafiony.

–Pozwólcie mi go zobaczyć – rzekł lekarz. Przepchnął się przez stojących wokół Balsamona

Videssańczyków; mimo ich graniczącego z cudem daru, wiedzieli o zwykłej medycynie znacznie

mniej niż on. Być może jego doświadczenie medyczne, które miał w pogardzie od chwili przybycia

do Videssos i odkrycia wyższej sztuki uzdrawiania, przyda mu się teraz.

Jednak gdy tylko spojrzął na Balsamona zrozumiał, że kapłan-uzdrowiciel miał rację. Balsamon leżał skręcony niewygodnie na lewym boku. Na jego twarzy nie malowało się zaskoczenie, lecz oczy miał nieruchome i puste; cienka strużka krwi wyciekała z kącika ust i plamiła brodę. Pierś nie unosiła się i nie opadała. Strzała, która go powaliła, wbiła się niemal po belt, kilka cali na lewo od mostka. Gorgidas uklęknął, by ująć nadgarstek patriarchy, lecz wiedział, że nie znajdzie pulsu.

Lekarz spojrzął na linię walczących. Znał siłę koczowniczych łuków, lecz by trafić z tak daleka, strzelec musiałby posiadać fantastyczne umiejętności. Nagle zeszywniał. Viridoviks opowiadał o takich umiejętnościach strzeleckich – i o czarno upierzonych strzałach. Wszyscy, którzy uważali Avshara jedynie za czarodzieja, robili fatalny błąd, zapominając o tym, jakim jest wojownikiem.

Odwrotny zaś błąd również groził... a teraz imperialnej armii wyrwano jej tarczę! Podrywając się zatrwożony na równe nogi, Gorgidas zawołał do otaczających go ludzi:

–Czy któryś z was jest również czarodziejem? Kilku skinęło głowami. Grek miał czas, by powiedzieć:

–Więc pilnujcie się, ponieważ Avshar został... – Nie zdążył już wypowiedzieć „spuszczony ze smyczy”. Wszyscy ci uzdrowiciele, którzy byli również czarodziejami, z wyjątkiem jednego runęli na ziemię jak uderzeni maczugą. Niektórzy jęknęli lub krzyknęli zdławionym głosem; inni po prostu upadli, z wyrazem grozy na twarzach i z wykrzywionymi śmiertelną męką ustami.

Ostatni uzdrowiciel, silniejszy od swych towarzyszy, stał chwiejąc się dobre dwie minuty, jak szczenię, które próbuje stawić czoło smokowi. Łzy pociekły mu po policzkach; po chwili spływała już nimi krew. Okładał pięściami skronie, jak gdyby próbując uwolnić się od nieznośnego ciśnienia rozsadzającego mu czaszkę. Potem oczy uciekły mu w głąb czaszki i upadł na ziemię obok zwłok Balsamona.

Czarodzieje padali jeden po drugim wzdłuż całej videssańskiej linii, łamiąc się pod wściekłym atakiem Avshara. Paru najpotężniejszych zachowało życie i zdrowe zmysły, ale też było to

wszystko, co zdołali uczynić; nie mieli już sił, by strzec armii.

Gorgidas poczuł, że bitwa przyjmuje nowy obrót. Nagle imperialne wojska opanowała niepewność i lęk, zaś Yezda wezbrali nową odwagą. Grek wyciągnął miecz, który dał mu Gajusz Filipus, i pobiegł do linii walczących. Weteran mylił się; wyglądało na to, że jednak trochę powalczy.

Gdyby Avshar był kotem, z pewnością by mruczał. Wsparł łuk na kolanie, obserwując przerażenie, które rozprzestrzeniło się wśród videssańskiej armii jak

atrament w czystej wodzie albo jak czarna chmura nasuwająca się na słońce. Zmiażdżył kolejnego czarodzieja żarnami swej magii i poczuł, jak duch człowieka gaśnie i umiera. To było łatwe, bez Balsamona. Poklepał czule swój łuk.

–Za twe dary, Skotosie, składam ci podziękowania – szepnął. Zamyślił się na chwilę, rozważając następne posunięcia. Dopiero teraz mógł dzięki magii zyskać tak wiele. Jednak utrzymywanie morderczego naporu na czarodziei, którzy wciąż jeszcze mu się opierali, ograniczało go do pomniejszych zaklęć. Lecz jeśli uwolni ich, by utkać jakiś większy czar, być może znajdą sposób, by go zablokować. Bojowa magia, nawet jego bojowa magia, ziała mnóstwem niebezpieczeństw.

Zatem pozostał przy drobniejszych czarach – zdecydował. Wystarczy, by wzbudzić panikę wśród żołnierzy Imperium, którzy z pewnością odczytają je jako zwiastuny potężniejszej magii. A to zapewni zwycięstwo w bitwie jego wojownikom; już ruszyli naprzód, wyczuwając zamieszanie w szeregach przeciwników.

Książę-czarodziej odłożył łuk i wyciągnął długi, prosty miecz. Nie chciał pozostawić żadnych wątpliwości, kto zetnie Thorisina Gavrasa. Wiedząc, że Imperator – dwaj Imperatorzy! – i patriarcha padli z jego ręki, Videssańczycy rozumieją, kto jest ich prawowitym panem. Przez chwilę pożałowali, że nie złoży Balsamona w ofierze swemu bogowi na ołtarzu Głównej Świątyni w stolicy, ale nie było na to rady. Jego oczy zaślniły. Będzie mnóstwo ofiar.

Walcząc w pierwszej linii, Marek czuł, że imperialne wojska zaczynają tracić przewagę, nim jeszcze zwrot w bitwie stał się oczywisty dla Gorgidasa. Środek trzymał się, a daleko na prawym skrzydle Arigh kruszył walczących z nim Yezda. Lecz sami Videssańczycy zachwiali się, gdy rozeszła się wieść o śmierci Balsamona; poczuli się tak, jak gdyby wraz z nim odeszła też część ich duszy.

Trybun zapragnął, żeby Mourtzouphlos znalazł się z powrotem na wyznaczonej mu pozycji. Śmierć Balsamona nie odebrała ducha arystokracie, bowiem nie pozwalała mu na to jego własna pycha, i swoim przykładem mógłby zachęcić do walki szeregi tych, którzy po utracie patriarchy zwątpili w możliwość zwycięstwa. Jednak jego szaleńcza szarża pozostawiła go wśród żołnierzy,

którzy nie potrzebowali żadnej zachęty.

Tak jak pod Maraghą, tak i tutaj Skaurusa zdumiewała nieugiętość Halogajczyków. Dźwigali na swych barkach brzemię jeszcze cięższe niż legionieści, ponieważ na nich i na Imperatorze, którego chronili, skoncentrowało się uderzenie głównych sił makurańskich lansjerów Avshara. Jednak stali pewnie, odpierając atak opancerzonych jeźdźców; ich topory wznosiły się i opadały równomiernie, jak gdyby rąbali drewno, a nie ludzi. Ilekroć któryś padał, inny wysuwał się naprzód, by zająć jego miejsce.

Śpiewali walcząc jakąś powolną pieśń w swym własnym i języku, która przywodziła trybunowi na myśl fale załamujące się na skalistej, omiatanej wichrem plaży. Potężną siłą musiała mieć ta pieśń, jeśli tak na niego oddziaływała; czuł się na wpół upieczony w swym pancerzu, jego twarz przypominała oblepioną kurzem maskę, poznaczoną strużkami ściekającego potu. A ta płaska, rozpalona równina nigdy nie poznała dotyku oceanu, i nigdy nie pozna.

Zaprzątnięty takimi myślami, Marek omal nie został trafiony pałaszem jakiegoś Yezda. Szarpnął głową do tyłu w absolutnie ostatniej chwili. Viridoviks cmoknął z wyrzutem. – To nic czas ani miejsce, żeby wachać piękne kwiatuszki, drogi Rzymianinie.

–Masz rację – przyznał trybun. Lecz okazało się, że obaj nie poświęcili bitwie całej swej

uwagi; druidyczne runy na ich klingach rozplómiły się w tej samej chwili. – Avshar! zawołał

Marek. W tyle, kilkaset stóp za nimi, Gorgidas wykrzykiwał właśnie swe daremne ostrzeżenie.

Okrzyki przerażenia wzbily się w niebo nad szeregami imperialnej armii, gdy jej magowie padali miażdżeni czarami Avshara jak robaki, które rozdeptywał butem. Wśród zamieszania i bitewnej wrzawy Skaurus usłyszał wołanie Thorisina Gavrasa: – Trzymać się! Trzymać się! – W głosie Imperatora nie wyczuwało się paniki ani nawet zbytniego zaniepokojenia Z tonu jego głosu można by wnosić, że jest to rozkaz rzucony podczas defilady na placu apelowym.

Jego opanowanie pomogło armii otrząsnąć się z przerażenia. Kiedy żołnierze zobaczyli, że ich dowódca nie jest zaniepokojony, ponownie rzucili się do walki, czerpiąc odwagę z tego widoku. I znowu atak Yezda został odparty.

Viridoviks spojrzął na swój miecz. Druidyczne runy wciąż się jarzyły, i to coraz jaśniej. Potrząsnął posępnie głową.

–Niech będą dzielni, póki jeszcze mogą, biedne skurwysyny. Zbliża się coś gorszego, pewne

jak nic.

Marek pomyślał najpierw, że brzęczenie, które wypełniło mu głowę, jest skutkiem jego wyczerpania. Potem stojący obok niego Halogajczyk przerwał pieśń, by warknąć jakieś przekleństwo i trzepnął się ręką. Chwilę później następny uczynił to samo, potem jakiś legionista i jeszcze jeden Halogajczyk.

Gwardzista Imperatora wytarł rękę o tunikę. Zauważył, że Skaurus spogląda na niego. – Prze-

klęte muchy – rzeki z cierpkim uśmiechem. – Ghorsze niż strzały, whydaje mi się czasem.

Trybun skinął głową; owady od zawsze stanowiły jedną z pomniejszych katuszy bitewnego pola. Sam nie został jeszcze ukąszony, lecz widział wielkie, czarne muchy jak buczały wokół, śmigając od jednej ofiary do drugiej.

Ich ukąszenia okazywały się niemal niemożliwe do zlekceważenia, jak to ku swemu nieszczęściu odkrył jeden z Rzymian. Ukąszony nieoczekiwanie we wrażliwe miejsce, nie zdołał powstrzymać odruchu, który kazał mu trzepnąć w nie ręką. Yezda, z którym walczył, me niepokojony chmurą owadów, powalił go ciosem pałasza.

Ponieważ muchy nie nękały Skaurusa, dopiero po pewnym czasie uświadomił sobie, że pod tym względem stanowi osobliwy wyjątek w szeregach imperialnych wojsk. Rzadko który z żołnierzy Imperatora nie okładał się jak szalony albo ze wszystkich sił starał się tego nie robić, ponieważ właśnie walczył o życie. A wszyscy ich przeciwnicy cieszyli się odpornością na ataki much, tak samo jak ów pierwszy koczownik.

Kiedy trybun dostrzegł to, wiedział już z posępną pewnością, czyja to sprawka. Avshar zwykł tkać tak potężną magię – pomyślał Marek – lecz rzadko który jego czar dorównywał w swej szatańskiej zjadliwości temu. Muchy nieznośnie dokuczały żołnierzom Thorisina, nie pozwalając im skoncentrować się na walce, co dawało przewagę ich przeciwnikom. Ów pierwszy legionista wcale nie był jedynym żołnierzem, który zapłacił wysoką cenę za chwilowe odwrócenie uwagi.

Lecz atak much dziesięciokroć gorzej odbił się na wierzchowcach imperialnej armii. Nie istniał żaden sposób, by przyzwyczaić konia do niespodziewanego, uderzającego znikąd bólu. Co chwila rozlegał się kwik i kolejny wierzchowiec stawał dęba albo ponosił, a jego jeździec, nawet jeśli sam uniknął ukąszenia, stawał się łatwym łupem dla Yezda na kucu, którym bez przeszkód kierował.

Szeregi imperialnej armii, wytrącone z równowagi nagłym zamieszaniem, znowu zaczęły się chwiać. Tym razem Thorisin miał kłopoty z przywróceniem porządku. Sam musiał poświęcić całą uwagę temu, by utrzymać się w siodle; jego gniadosz podskakiwał, wyginając grzbiet i wierzgał nogami, jak każdy inny nękany przez muchy wierzchowiec.

Nie pozwolił zrzucić się z siodła. Kiedy zmusił ogiera do poddania się jego woli, znów zaczął wykrzykiwać słowa zachęty, jak to czynił od samego początku: – Dalej, bękarty, pozwolicie, żeby parę much dało wam po dupie? Jutro możecie się drapać;

dzisiaj trzeba walczyć!

Te jego okrzyki oraz podobne słowa zachęty rzucane tu i tam wzdłuż całej linii przez parę dziesiątków upartych oficerów pomogły, lecz wyglądało to tak, jak gdyby Videssańczycy walczyli w samym środku wiejącej im z całą mocą prosto w twarz burzy piaskowej. Każdy kolejny cios Yezda odpierali z coraz większym trudem, a spadały one coraz gęściej.

Wkrótce – pomyślał Marek, wymierzając cięcie jakiemuś koczownikowi – Yezda znajdą gdzieś lukę albo wyrąbią ją, i to będzie koniec wszystkiego.

Lecz Avshar nie dostrzegał niczego, co przypominałoby zwycięstwo. Chciał zmieść wszystko przed sobą i nie udawało mu się osiągnąć tego celu. To prawda, wojska Imperium cofnęły się na skrzydłach, lecz niewiele, a ich środek ani drgnął. Na tej części pola plaga much, jaką zesłał, nie spełnił swego zadania. Muchy nie zdołały zachwiać zdecydowania, z jakim walczyła piechota Gavrasa, zaś ciężkie rzędy namdalajskich wierzchowców z rzadka tylko pozwalały gryzącym owadom dobrać się do swej skóry.

Księżę-czarodziej zacisnął swe spiczaste zęby, obserwując jak jego przeciwnicy odpierają kolejny atak. Ponad pół wieku poświęcił na to, by wykuć swoją magiczną broń; *nie* pozwoli, by obróciła się przeciw niemu. Wojna z Videssos kosztowała go zbyt wiele lat, zbyt wiele klęsk, by zniósł jeszcze jedną. Jeśli ten jeden raz jego magia wyczerpała swe możliwości, do zwycięstwa będzie musiała wystarczyć sama brutalna siła.

Zwrócił się do stojącego przy nim posłańca: – Sprowadź mi Nogruga i Kaykausa. – Makura-ńscy generałowie zjawili się szybko. Nogrug, gdyby sprawy potoczyły się inaczej za czasów jego dziada, mógłby zostać Królem Królów Makuranu, lecz pokłonił się przed Avsharem. Dumny, zdolny i bezlitosny, służył mu nawet lepiej niż Varatesh – pomyślał księżę-czarodziej – a Kaykaus niemal mu dorównywał.

Avshar wskazał słoneczny sztandar wciąż dumnie powiewający nad pozycją Thorisina Gavrasa.

–Zbierzcie swoich ludzi. Widzicie cel. Rozbijemy ich najsilniejszą pozycję. – Wyciągnął miecz.

–Sam poprowadzę szarżę. Leniwy uśmiech rozjaśnił szczupłe, orle rysy Nogruga.

–Będę strzegł twego boku, panie.

–I ja. – To powiedział Kaykaus, choć jego udo i bark spowijały postrzępione bandaże. Tradycyjna wrogość starej szlachty Makuranu wobec Imperium sięgała dawniejszych czasów niż nienawiść Avshara. Wykorzystaj każde narzędzie, jakie

wpadnie ci w ręce – pomyślał książę-czarodziej i przygotował się do szarży.

Halogajczycy ryknęli szyderczo, kiedy jeźdźcy, z którymi walczyli cały dzień wycofań się, lecz mieli zbyt duże doświadczenie wojenne, by ruszyć za nimi w pościg. Piechota, która ściga kawalerię, prosi się o to, by wycięto ją do nogi. Zamiast tego oparli się na toporach i odpoczywali, zabijając muchy, popijając wino albo wodę z manierek, przewiązując rany i wachlując się dla ochłody, nim bitwa rozgorzeje na nowo.

Marek stał wraz z nimi, dysząc i życząc sobie, by mógł ściągnąć kolczugę. Jak to często się zda-

rza podczas zaciętej walki, odniósł kilka drobnych ran, wcale o tym nie wiedząc: na policzku, prawym przedramieniu – w poprzek starej blizny – i na prawym udzie, tuż nad kolaniem. Kiedy je zauważył, zaczęły boleć. Uświadomił sobie też, że cuchnie.

Viridoviks wypatrywał przeciwników. – Śmierdzi mi to, wcale nie skończyli, wcale – westchnął, ocierając pot z twarzy. Połączone działanie słońca i wysiłku sprawiło, że twarz miał zarumienioną jak Czerwony Zeprin.

Wtarł trochę ziemi w dłoń prawej ręki, splunął, potarł znowu, a potem sprawdził, jak leży w niej rękojeść miecza. – Och, lepiej.

Makurańczycy ustawili się w wielki klin wymierzony prosto w centrum armii Thorisina. Skaurus nie sądził, że jest ich aż tak dużo. Wykrzywił usta wypluwając słowo, na poły przekleństwo, na poły modlitwę, kiedy zobaczył jak chorągiew z podwójną błyskawicą wysuwa się na ostrze klina.

Sztandar Imperatora również wysunął się naprzód, a Gavras wraz z nim. Tę walkę poprowadzi z pierwszej linii. – Ostatni rzut kości – rzekł Marek bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego.

Rozległ się jęk trąbki grającej w minorowej tonacji. Makurańczycy wykrzyknęli imię księcia-czarodzieja. Ci, którzy wciąż jeszcze mieli całe lance, opuścili je. Reszta zaczęła wymachiwać płą-szami albo potrząsać pięściami.

Halogajczycy i legionieści wstrzymali oddech, gotując się do odparcia szarży. Daleko z prawej Skaurus usłyszał ryk Gajusza Filipusa wydającego rozkazy i znalazł chwilę, by poczuć zadowolenie, że weteran wciąż bierze udział w boju. Potem żalospny lament trąbki rozległ się znowu i jeźdźcy Avshara runęli z grzmotem kopyt, mierząc w sam środek imperialnej armii.

Skaurus poczuł w ustach jeszcze większą suchość niż ta, jaką mógł wywołać całodzienny wysiłek. Stawiał już przedtem czoło kawaleryjskim szarżom i wcale nie pragnął zobaczyć następnej. Największa i najbardziej przerażająca różnic;: pomiędzy

rymską a videssańską sztuką wojenną kryła się w strzemionach i w tym, co dawały kawalerii. Tutaj jazda posiadała morderczą siłę, nie piechota.

Laon Pakhymer, z odwagą teriera, próbował poprowadzić swoich lekkozbrojnych Khatrishów do ataku mającego zahamować impet szarżującego klina, lecz Yezda, z którymi toczyli już zaciętą walkę, nie dali się strząsnąć. Pakhymer musiał szybko się zatrzymać, by nie dopuścić do okrążenia swego pułku.

Przeciwuderzenie Namdalajczyków miało zupełnie inny przebieg. Dowódca wyspiarzy, wielki, krzepki mężczyzny imieniem Hovs, którego Skaurus ledwie znał, nie miał zamiaru odpierać ataku Avshara, stojąc wraz ze swymi rycerzami w miejscu; impet szarży Namdalajczyków stanowił równie ważny oręż, co ostrza ich lanc. Roznieśli Yezda, którzy podskoczyli, by zagrozić im drogę, i uderzyli w prawy bok makurańskiego klina, blisko wierzchołka.

Huk zderzenia przypominał trzęsienie ziemi w sklepie handlarza wyrobami żelaznymi. Namda-

lajczycy wbili się głęboko w szeregi przeciwników, spychając Makurańczyków z siodła pchnięciami lanc, przewracając ich konie i siekąc jeźdźców potężnymi, zamasztytymi ciosami mieczy.

Provhos Mourtzouphlos bez chwili wahania rzucił swych pozostałych przy życiu śmiałków w ślad za rycerzami z Księstwa. Gardził nimi i nie ufał im, lecz za dobrze znał się na żołnierskim fachu, by nie zrozumieć, co należy robić.

Wyspiarze i Videssańczycy zachwiali klinem i zepchnęli go na lewo. Lecz Makurańczycy, bez względu na to, komu służyli, sami z siebie byli wojownikami z krwi i kości. Opierali się walcząc dziko i dzięki swej przewadze liczebnej zatrzymywali imperialną jazdę, podczas gdy ich atak osiągnął cel, uderzając w pobliżu miejsca, gdzie szeregi legionistów łączyły się z Halogajczykami.

Pierwszych parę szeregów piechoty rozsypało się jak kręgle; żołnierze padali przekłuci lancami albo stratowani przez Makurańczyków, czego Marek ledwie zdołał uniknąć. Uderzony, zakręcił się i upadł; okute żelazem kopyto uderzyło głucho w ziemię cał od jego twarzy, zasypując mu oczy piaskiem. Pchnął na oślep mieczem w górę. Klinga wbiła się w ciało, choć niemal została wyrwana mu z dłoni. Raniony koń kwiknął. Jeździec krzyknął z trwogi, a potem z bólu, gdy wierzchołek przewrócił się przygniatając go.

Trybun powstał, tnąc dziko mieczem na wszystkie strony. Nie tylko on został przewrócony; zobaczył konie z pustymi siodłami i lansjerów usiłujących powstać i uchronić się przed stratowaniem przez własnych towarzyszy.

Kilka stóp od trybuna jakiś legionista odbijał odzyskanym *pilo* ciosy makurańskiego

jeźdźca. Ostatkiem sił umierający Halogajczyk podciął pęciny wierzchowca, którego dosiadał lansjer. Kiedy koń runął na ziemię, Rzymianin przebił oszczepem kark Makurańczykowi.

Trybuna nie mogło dzielić więcej niż dwadzieścia kroków od miejsca, gdzie walczyła imperialna piechota, starając się zewrzeć rozbity szyk, lecz jemu wydawało się, że są to całe mile. Skaurus i legionista walczyli wsparci o siebie plecami, gdy przerąbywali się przez ciżbę. Jakiś Makurańczyk przejechał po trybunie uzbrojoną w ostrogę piętą. Marek zaskowyczał i uderzył żołnierza w twarz głownią swego miecza, bowiem ścisk nie pozwalał mu na nic innego.

Kamień, ciśnięty, a może wyrzucony w powietrze kopnięciem konia, zadźwięczał na jego hełmie. Zatoczył się i prawie że znowu upadł, lecz wówczas silne ręce wciągnęły go wraz z jego towarzyszem w głąb osłoniętego tarczami szyku imperialnej piechoty.

Choć Rzymianie i Halogajczycy wciąż ustępowali, pod naporem, to jednak nie wycofywali się w panice. Wiedzieli, że jeśli pozwolą rozbić szyk, są skończeni. *Gladii* i *pila* śmigły pomiędzy wielkimi *scutis*, zadając pchnięcia z wyćwiczoną precyzją. Halogajczycy nie śpiewali już, lecz bez chwili przerwy siekli toporami i szerokimi mieczami, z wysuniętymi ku górze okrągłymi drewnianymi tarczami, by zapewnić sobie jak największą osłonę. Tam, gdzie walczone najzacieklej, na-

jemnicy z północy i Rzymianie byli beznadziejnie pomieszani – I każdy, kto przeciwstawiał się szarzy Makurańczyków, pomagał swoim towarzyszom nie patrząc, czy są jasnowłosi, czy śniado-skórzy.

Stąpili ostrze klina taboru, lecz nie bardziej niż Namdalajczycy i Videssańczycy byli w stanie go powstrzymać. Książę-czarodziej powalał jednego wojownika za drugim. Widok oczu płonących w tej prastarej twarzy odbierał odwagę nawet najzuchwalszym, czyniąc ich łatwym łupem, lecz Avshar byłby śmiertelnie niebezpieczny i bez strachu, jaki wzbudzał. Jego ogier, szkolony rumak bojowy, roztrzaskiwał kopytami tarcze i kości, podczas gdy on wymachiwał długim, ciężkim mieczem jak nauczyciel swoją różgą.

Jego ludzie szli za nim ze strachu, nie z oddania, lecz szli Odległość między krwawą chorągwią Skotosa a słonecznym sztandarem Imperium zmniejszała się. Stopniowo, lecz nieustannie, dowodzeni przez Avshara żołnierze przesuwali się w kierunku, z którego zostali zepchnięci. – Najpierw twój brat, Gavras, potem twój kapłan... a teraz ty, i Videssos razem z tobą! – zawołał książę-czarodziej.

Imperator uniósł lancę w wyzwaniu i skierował wierzchowca w stronę Avshara, lecz jego wielki gniadosz nie zdołał przedostać się przez stłoczone szeregi walczącej piechoty.

Nie tylko on szukał księcia-czarodzieja. Marek przesuwał się wzdłuż linii walczących, to robiąc krok, to dwa albo trzy, to znowu zatrzymując się, zmuszony do walki. Wciąż i wciąż wykrzykiwał imię Avshara, lecz jego głos ginął w otaczającej go wrzawie.

Viridoviks znajdował się niedaleko trybuna, choć uderzenie makurańskiej szarży rozdzieliło ich. Celt miał swój własny okrzyk wojenny. Nic on nie znaczył dla otaczających go żołnierzy, lecz Viri-doviks nie dbał o to. – Seirem! – krzyczał. – Za Seirem!

Dwaj Makurańczycy, którzy stracili konie, ruszyli na niego. Sparował cięcie pałasza, potem odbił następną tarczą. Makurańczycy przesuwali się, by podejść go z obu stron. Viridoviks kręcił głową, rozpaczliwie szukając sposobu, by załatwić jednego, nim drugi zdoła go zabić.

Wtem jeden z nich runął z jękiem, cięty od tyłu. Viridoviks skoczył na drugiego. Cięli równocześnie, zakrzywiony miecz zadźwięczał na prostym. Gal przewyższał przeciwnika siłą i szybkością. Zbił gardę Makurańczyka i powalił go ciosem, który niemal odrąbał mu głowę.

Viridoviks odwrócił się na pięcie, by upewnić się co do drugiego Makurańczyka, lecz ten został już na dobre wyłączony z walki, a legionista, który go powalił, walczył już z kimś innym. Teraz on również znalazł się w kłopotach, ponieważ nie miał tarczy. Viridoviks popędził mu na pomoc. Razem udało im się zmusić makurańskiego kawalerzystę do wycofania się w szeregi swoich towarzyszy.

–Szczere dzięki – rzekł Gal. – Wyjątkowo paskudnie przyparli mnie do muru, wtedy tam.

–Nie ma o czym mówić – odparł jego wybawca, szczupły mężczyzna mniej więcej w wieku

Gala, z zaczynającą siwieć brodą. – Nawet Herakles nie wygra z dwoma naraz, jak powiada przysłowie.

–Och, toż to nasze zwariowane greckie chłopię, co ty tu robisz? Zajmij się swoimi rannymi.

–Ktoś inny zająłby się twoimi zwłokami, gdyby mnie tu nie było – odpalił Gorgidas, podrywając głowę. Nie mając na to gotowej odpowiedzi, Viridoviks pochylił się, zabrał tarczę martwemu Makurańczykowi i podał ją Gorgidasowi. Była to tarcza kawalerzysty; mała, okrągła, oblicowana prażoną w ogniu skórą – mizerna osłona dla pieszego żołnierza, lecz lepsza taka niż żadna. Grek znalazł i chwilę, by burknąć podziękowanie, nim walka rozgorzała na nowo.

Dalej poruszając się bokiem jak krab, Marek znalazł się mniej więcej trzydzieści stóp od Avsha-ra. W ciżbie walczących książę-czarodziej niczym nie dawał poznać, że wie o jego obecności; czar Wulghasha wciąż osłaniał jego miecz. Zaciekłość walczących sięgała teraz szczytu. Ostrze makura-ńskiego klina składało się z najprzedniejszych wojowników armii Avshara; minięcie każdego z nich równało się nowemu wyzwaniu, gdzie przebiegłość i sztuka walki liczyła się tyle samo, co brutalna siła.

A przynajmniej tak sądził trybun. Lecz właśnie wtedy, całkiem niespodziewanie, kilka koni runęło z łoskotem na ziemię. Makurańczycy z lewej strony Avshara, przeciwnej niż ta, po której znajdował się Skaurus, krzyknęli zatrwożeni. Przez ich krzyki trybun usłyszał kogoś ryczącego jak wściekły i byk. Wyjąc w bojowym szale, z toporem koszącym ludzi jak sierp trawę, Czerwony Ze-prin pędził ku Avsharowi.

Tylko jeden jeździec po lewej ręce Avshara dzielił go od księcia-czarodzieja – szlachcic w posrebrzanym napierśniku i złożonym hełmie. Ciął w Zeprina. Marek zobaczył, że cios doszedł celu, lecz Halogajczyk tego nie zauważył. Śmignął toporem w błyszczącym łuku. Szlachcic wytrzeszczył oczy w pełnej niedowierzania grozie na tryskający krwią kikut ręki, uciętej w nadgarstku. Następny cios zdruzgotał pancerz jeźdźca i zmiotł go z siodła, martwego.

–Kaykaus! – krzyknęli Makurańczycy; imię jeźdźca uznał trybun.

Zeprin nie zwrócił na to żadnej uwagi. Rycząc niezrozumiale z uniesionym do góry, spryskanym

krwią toporem, runął na Avshara.

Książę-czarodziej nie miał czasu, by odwrócić się w siodle i odeprzeć jego atak mieczem, lecz Avshar naprawdę był największym magiem swoich czasów. Nie zdejmując żadnego z rzuconych przez siebie czarów, bezbłędnie utkał złożoną magię, którą spalił Videssańczyka podczas walki sam na sam przed bitwą. Ogniste światło jeszcze raz strzeliło z jego palców.

Lecz Halogajczyk, choć zachwiał się, przecież nie padł w płomieniach. Bitewny szal i pragnienie zemsty chroniło go przed magią. Otrząsnął się; jego topór wzniósł się i opadł Avshar przyjął cios na miecz, lecz nie zdołał uczynić nic więcej, jak tylko odchylić go nieco. Zamiast rozplątać mu czaszkę, topór spadł prosto na kark rumaka.

Koń zgiął, zanim ugięły się pod nim nogi. Widząc jak pada, żołnierze imperialnej armii wzniesli grzmiący okrzyk radości. – Avshar poległ! – wrzasnął Skaurusowi do ucha jakiś legionista krwawiący z rozciętego policzka.

Trybun również krzychał ochryplym od wysiłku głosem. Lecz okrzyk uwiązał mu w gardle, kiedy książę-czarodziej wyrwał nogi ze strzemion, potoczył się po ziemi i

poderwał na nogi, nim Zeprin zdołał zadać mu śmiertelny cios.

Halogajczyk runął na niego. Marek rzucił się Zeprinowi na pomoc, lecz tamci starli się już, nim zdołał się zbliżyć. Pierwszy wściekły cios Zeprina przeciął tylko powietrze. Pełen obłąkanej siły, Halogajczyk zatoczył toporem, opuszczając go ze świstem w kolejnym zabójczym łuku. Avshar sparował cios, choć jego siła niemal wyrwała mu miecz z ręki.

A jednak śmiał się głośno, mimo strasznego położenia, w jakim się znalazł. – Jeśli chcesz zabić człowieka, niezdaro – szydził – powinieneś robić to tak... tak... i tak! – Każde cięcie dochodziło celu; tak szybkie, że oko ledwie mogło za nimi nadążyć. I po każdym tryskała krew. Każde z nich rzuciłoby na ziemię zwykłego wojownika, szczególnie ostatnie, okropne cięcie, jakie Zeprin otrzymał w szyję, nad barkiem.

Jednak w bojowym szale Halogajczyk sprawiał wrażenie, że ich nie czuje. Jeszcze raz rzucił się naprzód i tym razem Avshar ryknął z bólu i wściekłości, gdyż topór odciął mu mały palec lewej ręki tak gładko, jak gdyby złożył go na katowskim pniu. Zacisnął dłoń w pięść, by zatamować upływ krwi.

Teraz już walczył w milczeniu, lecz nie mniej zaciekle. Odpowiadał trzema ciosami na każde cięcie Zeprina i większość z nich trafiała w cel; Halogajczyk zupełnie zapomniał o obronie. Z ręką cofniętą do kolejnego cięcia wymierzonego w księcia-czarodzieja, Zeprin zamarł w nagłym zmieszaniu. Z jego ust i nosa chlusnął potok krwi. Wytrzeszczone obłąkańczo oczy zamgliły się; topór wysunął mu się z ręki. Zbroja zadzwoniła na nim, gdy zakołysał się i runął na ziemię.

–Jeszcze ktoś? – zawołał Avshar, wymachując uniesionym do góry mieczem i z obutą nogą wspartą na znak zwycięstwa na karku Zeprina. Ruszył naprzód wyciągniętym krokiem pewien, że żaden żołnierz imperialnej armii nie ośmieli się stawić mu czoła. Nagle zatrzymał się w miejscu, a jego kościotrupia twarz wykrzywiła się w gniewnym zaskoczeniu. – Ty! – wysyczał.

–Ja. – Skaurusowi, zdyszanemu i przestraszonemu, starczyło tchu tylko na to jedno słowo. Był tak zmęczony, że ledwie mógł unieść tarczę do góry. W przeciwieństwie do pojedynku, który odbył się tak dawno temu w Sali Dziewiętnastu Tapczanów, Avshar nie miał teraz tarczy. Tym razem Rzymianin nie dbał o rycerskość. Uniósł miecz. – Ani kroku dalej – powiedział.

Pomyślał z przerażeniem, że Avshar będzie chciał go zmiażdżyć nie czekając, natychmiast, lecz księżę-czarodziej przystanął, pozwalając mu zebrać siły. Oczywiście – uświadomił sobie Skaurus – zastanawia się, skąd wyskoczyłem, bo przecież nie wyczuwał mojej klingi. Zaryzykował od-

wrócenie i głowy w poszukiwaniu Viridoviksa, lecz nie zdołał wypatrzeć Celta.

Wahanie Avshara trwało nie dłużej niż parę uderzeń serca. Kiedy znowu ruszył na Rzymianina, czynił to ostrożniej niż w spotkaniu z Zeprinem. Mając już za sobą pojedynkę z Markiem wiedział, że trybun nie jest zapalczywcem szukającym rozstrzygnięcia tylko w ataku – i czuł wyraźny szacunek wobec galijskiego miecza.

Pierwszy szcęk oręża pokazał Skaurusowi, że przewaga jest po stronie przeciwnika. Ledwie stał na nogach ze zmęczenia, podczas gdy Avshar czerpał siły z pozornie niezgłębionej studni mocy. Trybun przyjmował cios za ciosem na swoje *scutum*; ostra klinga Avshara przerąbała spiżowe oblicowanie tarczy i wgrzyła się w leżące pod nim drewno. Książę-czarodziej bez wysiłku unikał albo odbijał pchnięcia, jakie trybun., udawało się zadać w odpowiedzi na jego ciosy.

Pojedynekowali się samotnie. Żaden Makurańczyk. nie przyszedł Avsharowi z pomocą; gdyby Marek walczył z dowódcy którego żołnierze kochają, nie przetrwałby długo. Lecz z drugiej strony, żołnierze imperialnej armii bali się księcia-czarodzieja tak samo, jak jego ludzie. Żadnemu z nich nie starczyło odwagi, by wesprzeć walczącego z nim Rzymianina. I, jak gdyby czyniąc sobie z tego powodu wyrzuty, obie strony rzuciły się na siebie zacieklej, niż kiedykolwiek przedtem.

Gorgidasowi, który znajdował się dokładnie za plecami trybuna, Marek przypominał Ajaksa z *Iliady* walczącej z Hektorem – pobity, pozbawiony złudzeń, lecz zbyt uparty, by nawet za cenę życia ustąpić choć o cal. Grek pchnął Viridoviksa w plecy. – Bogowie, spiesz się!

–Uważaj, durniu! – zawył Viridoviks, wyginając się jak wąż, by uniknąć ciosu Makurańczyka. – Próbujesz mnie zabić? – Zadany na odlew cios trafił jego przeciwnika w praw bark. Maku-rańczyk upuścił miecz i zaczął uciekać. Jeden z halogajskich gwardzistów rozciął go niemal na pół ciosem od tyłu.

–Spiesz się! – krzyknął znowu Gorgidas. Pchnął w lansjera, który wyłonił się przed nim, i ranił wierzchowca. Jego wierzgające kopyta okazały się równie niebezpieczne, co długa lanca jeźdźca. Grek odskoczył w ostatniej chwili.

Niedaleko przed nim Marek wciąż jeszcze trzymał się na nogach, choć zastanawiał się mętnie, jak mu się to tak długo udaje. Avshar igrał z nim jak kotek z myszką, dręcząc, lecz powstrzymując cios, który położyłby tej męce kres. Co jakiś czas zadawał kolejne uderzenie, które dochodziło celu, raniąc; lekko trybuna, i uśmiechał się drapieżnie. – Umknij mi teraz jeśli możesz! – naigrawał się wniebowzięty. Rozkoszował su zwycięstwem nad trybunem niemal tak samo, jak gdyby to był Gavras, i nie spieszył się, by zakończyć tę przyjemność.

Niecała krew na jego szatach i pancerzu pochodziła z obciętego palca; nawet mysz może ugryźć, Lecz draśnięcia, te nie miały znaczenia, podczas gdy trybun krwawił z dziesiątka ran

Po czasie, który zdawał się wiecznością, książę-czarodziej zawołał: – Niech ta farsa skończy się wreszcie! – i skoczył na Skaurusa. Gruchnął opancerzonym barkiem w tarczę Rzymianina i prze-

wrócił go.

Tak jak go wyszkolono, Marek osłonił się swoim *scuto* przed wrogiem. Miecz Avshara spadł z miażdżącą siłą. Trybun poczuł jak drewniane tarcice *scuti* rozszczepiają się pod wpływem dru-zgoczącego uderzenia. Trybun wiedział, że nagstępnym ciosem pokieruje przebiegłość, a nie ślepa żądza krwi. Czekał, by stał zanurzyła się w jego ciele.

Lecz niespodziewanie usłyszał gniewny krzyk księcia-czarodzieja i zobaczył, że odwraca się, by stawić czoło nowemu wrogowi. Równocześnie druidyczne runy na mieczu trybuna rozbłysły tak jasno, że aż zacisnął powieki, oślepiony wybuchem światła. Nad nim klinga Viridoviksa jaśniała jak jeszcze jedna rozplómienna pochodnia. – Tutaj, ty morderczy, bękarcie, wypróbuj swój miecz na kimś, kto stoi mocno na nogach! – ryczał Gal.

Związany z Avsharem wymianą wściekłych ciosów, zaczął odpierać go od Skaurusa. To jednak nie odpowiadało zamierzeniom trybuna. – Czekaj! – krzyknął, wspierając się na kolanie, a potem podrywając na nogi.

Lecz Viridoviks nie chciał czekać. Kiedy wreszcie zobaczył przed sobą Avshara, opanowała go taka sama wściekłość jak i przedtem Zeprina. Plany, jakie przygotowywali ze Skaurusem na tę właśnie chwilę, zmiotł czerwony gejzer furii. Zranić, okaleczyć, zabić... gdyby Avshar nie miał broni, Viridoviks I odrzuciłby miecz i rozdarłby go na strzępy gołymi rękoma.

Jeśli Gajusz Filipus zdołał nauczyć Marka czegokolwiek, to właśnie tego, by w czasie walki nie tracić panowania nad sobą. Popędził za Galem, którego wściekły atak zmusił Avshara do cofnięcia się o kilkanaście kroków. Z każdym krokiem, jaki robił, jego miecz i miecz Viridoviksa rozplómieniały się jaśniej. I ta magia szalejąca w jego mieczu zdawała się używać mu nowej energii, jak gdyby trybun stał się jakimś przewodem, przez który mogła płynąć siła potężniejsza niż on sam.

Straszliwe uderzenia, jakie Viridoviks zadawał księciu-czarodziejowi, świadczyły o takim samym, nagłym przyplýwie sił. Lecz Avshar, nieugięty jak góra, nie cofał się już. Siłą fizyczną i umiejętnością walki na miecze dorównywał Galowi, przewyższał zaś go siłą woli.

Kiedy walczył, nie pozwolił sobie też na osłabienie żadnego ze swych czarów. W dalszym ciągu paraliżował czarodziei imperialnej armii, a plaga much dalej dręczyła jego przeciwników i ich konie. Wierzchowiec Thorisina Gavrasa, do prowadzony do

szau dziesiątkami ukąszeń, kwiczał, wierzgał i nie chciał ruszyć naprzód, mimo przekleństw Imperatora i jego ostróg.

W końcu ludzie Avshara zaczęli przychodzić mu z pomocą. Jeden z nich, masywnie zbudowany wojownik, startł się w Skaurusem i zadał cięcie wymierzone w nogi Rzymianina. Marek widział w nim tylko przeszkodę, nic więcej. Trybun odparował cios i skontrował, mierząc równie nisko. Koniuszek jego miecza rozplątał Makurańczykowi udo tuż pod rąbkiem kolczugi. Mężczyzna jęknął, zatoczył się i upadł, ściskając rękoma nogę. Marek przemknął obok niego.

Straszliwe oczy Avshara łysnęły, omiatając trybuna. – No chodź – powiedział, zmieniając nie-

co pozycję. – I was dwóch nie wystarczy na mnie.

Marek zatrzymał się nagle. Obezwładniający śmiech księcia-czarodzieja smagnał go jak bicz. Miecz trybuna wystrzelił ku walczącym. Avshar poruszył się, by odparować cios, lecz Skaurus nie mierzył w niego. Zamiast tego, całkiem delikatnie, dotknął swoim mieczem klingi Viridoviksa.

Można było odnieść wrażenie, że struktura samego świata napięła się do granic wytrzymałości. Serce trybuna waliło głośniejsz niż wszystkie bębny Yezda. Nigdy od chwili, kiedy celtyckie miecze przeniosły Rzymian do Videssos, nie zaryzykował wyzwolenia tkwiącej w nich, ostatecznej magii. Zielone jak morska toń oczy Viridoviksa patrzyły szeroko rozwarte i wytrzeszczone. Przystąpił na plan Skaurusa, lecz teraz przejmował go krańcowym lękiem. Kto mógł przewidzieć, do jakiej z kolei dziwnej krainy przeniesie ich teraz magia druidów?

To zawieszenie między nadzieją a przerażeniem mogło trwać zaledwie chwilę. Avshar wciąż odwracał się, by zmienić kierunek ataku, kiedy potok złotych płomieni wystrzelił z mieczy jego przeciwników. Czując moc wyzwolonej magii, odskoczył do tyłu, odrzucając miecz, by mieć obie ręce wolne do utkania czaru. Jego usta poruszały się bezdźwięcznie, kiedy w pośpiechu wypowiadał słowa zaklęcia, mającego obronić go przed magią druidów.

Skaurus spodziewał się, że płomienie utworzą wielką, pałającą kopułę, jak to się stało cztery lata wcześniej na spływającej krwią galijskiej polanie – kopułę, która porwie Avshara, kwiat jego armii i, aż nadto prawdopodobnie, jego i Viridoviksa również. Lecz w Galii nie działała żadna przeciwstawna magia. Tutaj wyzwolona z mieczy moc ledwie wystarczała, by uwięzić największego z wrogów Videssos; ich czarodziejski ogień otoczył go światłem, lecz nie rozszerzył się na nikogo innego.

Księżę-czarodziej zawył jak pochwycony w pułapkę wilk. Do końca nie poddając się, ciskał swe najsilniejsze zaklęcia przeciwko mocy, która go więziła, by się uwolnić.

Bariera wzdymała się i falowała, jak żagiel statku w przeciwnym wietrze. Dwa albo trzy razy przygasła aż do przezroczystości, lecz kiedy Avshar próbował przekroczyć ją, by wrócić do własnego świata, stwierdzał, że wciąż jest uwięziony.

Żołnierze obu armii krzyknęli przerażeni na widok tego nagłego wybuchu magii. Wielu odwracało oczy albo chroniąc je przed ognistym pałaniem, albo z czci i strachu przed nieznanym.

To jednak nie leżało w zwyczaju Gorgidasa. Wiele by dał, by móc notować zmiany, jakie obserwował w migoczącym pierścieniu światła, z wolna tężejącym coraz bardziej wokół Avshara. Kiedy rozpaczliwe czary księcia-czarodzieja pozwalały go dostrzec, wydawał się otoczony wirującą, szarą mgłą. Potem światło rozbłysło w wybuchu nieznośnej jasności i nagle przygasło. Spozierając przez purpurowo-zielone powidoki, Grek zobaczył, że zabrało ze sobą Avshara.

–Zastanawiam się, gdzie wylądował – mruknął do siebie i podrzucił głową z rozdrażnieniem, wywołanym jeszcze jednym pytaniem, na które nigdy nie znajdzie odpowiedzi.

Greki obserwował to z pewnej odległości; Skaurus zobaczył i usłyszał o wiele więcej, choć później nigdy nikomu o tym nie wspomniał, nawet Viridoviksowi. Wirująca szarość wewnątrz bariery to nie była mgła, tylko śnieg, i ów śnieg nie padał, lecz zacinał poziomo w tumanach ryczącej zawieruchy, której sani dźwięk wystarczał, by zmrozić serce. Stopy księcia-czarodzieja ślizgały się na lodzie, płaskiej, czarnej, lśniącej tafli; skądś Marek brał pewność, że jest gruba na całe mile.

Głos Avshara wzniosł się do przerażonego skowytu, jak gdyby rozpoznawał miejsce, w którym się znalazł. I w tej chwili, kiedy krąg światła rozbłysł najjaśniej, Skaurusowi wydało się, że słyszy jeszcze jakiś inny głos, który zaczyna coś mówić; głos powolny, dudniący i odwiecznie głodny. By! nieskończenie zadowolony, że nie usłyszał dość, by mieć pewność.

Życzył księciu-czarodziejowi radosnego spotkania z panem, którego sobie wybrał.

XIII

Środek bitewnego pola zaległa martwa cisza. Żołnierze obu armii stali z opuszczonym orężem, ogłuszeni tym, co widzieli. Bitewny zgiełk, rozlegający się na obu skrzydłach, sprawiał wrażenie czegoś zupełnie nie na miejscu. Marek i Viridoviks spojrzeli po sobie oszołomieni mocą, którą przyzwali, i ledwie śmiać wierzyć, że nie zostali porwani z tego świata wraz z Avsharem.

Potem jedna z much księcia-czarodzieja ukąsiła Skaurusa w kark. Teraz, kiedy nie znajdowały się już pod magiczną kontrolą, jego miecz również nie chronił przed nimi. Nagły ból i odruchowe trzepnięcie ręką pozwoliły mu uwierzyć w realność zwycięstwa.

Po drugiej stronie linii walczących Makurańczycy również zaczęli okładać się rękoma. Jeden z nich zwrócił uwagę trybuna: kościsty, ostronosy wojownik, który dosiadał konia z wrodzoną wyniosłością szlachcica wielkiego rodu. Uśmiechnął się i skinął głową, jak gdyby pozdrowiał przyjaciela.

–Wszystkich nas ucieszy, że się go pozbyliśmy – powiedział po videssańsku, z ledwie tylko

uchwytnym, gardłowym akcentem.

Gdzieś za Skaurusem zagrały trąbki. Usłyszał jak Thorisin Gavras krzyczy: – Bić w nich teraz, bić w nich! Teraz, kiedy nie mają tego cuchnącego czarownika, żeby wykonał za nich brudną robotę, będą trząść się ze strachu w swoich skorupach!

Dłoń trybuna zacisnęła się na rękojeści miecza. Ostatnie uderzenie w zdemoralizowanego wroga...

Uśmiech Makurańczyka stał się jeszcze szerszy i zarazem mniej przyjemny, a Marek poczuł dreszcz złego przeczucia.

–Sądzicie, że uciekniemy?-rzekł makurański szlachcic. – Będziemy walczyć, teraz

przynajmniej we własnej sprawie, zamiast dla pana, który władał nami tylko dzięki swej mocy Zawołał coś do swych lansjerów w ich rodzimym języku W odpowiedzi ryknęli ochoczo, klaszcząc i uderzając mieczami o tarcze. Ich okrzyk wezbrał w chórze: – Nogruz! Nogruz!

–Och, zanosi się na kolejną rundę tej awantury, jak sędzę – rzekł cicho Viridoviks.

–Przejdźcie na naszą stronę – zwrócił się do nich makurański szlachcic. – Żaden z was nie ma w sobie videssańskiej krwi. Czy nie wolelibyście służyć zwycięzcom?

Marek wręcz widział ambicję, która buchała z tamtego jak ogień. Nic dziwnego, że ten Nogruz służył Avsharowi – nie cofnąłby się przed niczym, w czym widział dla siebie korzyść. Trybun potrząsnął odmownie głową; Viridoviks odpowiedział pogardliwym parsknięciem.

–Szkoda – powiedział Nogruz, podnosząc głos, by mogli go dosłyszeć przez okrzyki jego

ludzi. – Zatem zabiję was, jeśli zdołam.

Spiął konia ostrogami i skoczył naprzód. Zbyt mała odległość dzieliła go od Rzymianina i Gala, by zdołał nabrać w pełni straszliwego impetu, od którego zależała siła uderzeniowa ciężkozbrojnej kawalerii, lecz tak zręcznie posługiwał się lancą, że niemal nadział na nią Marka, gdy ten odskakiwał na bok. Viridoviks ciął z drugiej strony, lecz Nogruz równie umiejętnie jak lancą posługiwał się tarczą i odbił cios. Inni Makuranczyki potoczyli się za nim i bitwa rozgorzała na nowo.

–Z drogi! – krzyczał niecierpliwie Thorisin Gavras, przepychając rumaka przez szeregi Halo-

gajczyków. Niemal stratował Gorgidasa, bowiem Grek nie dość szybko usunął mu się z drogi. Po

chwili już znalazł się twarzą w twarz z Nogruzem; jego pozłacaną zbroję i posrebrzany pancerz

Makurańczyka tak samo pokrywały wgniecenia i brud. – Wolałbym zabić czarownika, ale ty

będziesz musiał wystarczyć – rzekł Imperator.

Obaj znakomici jeźdźcy, badali nawzajem swe siły lancami. Pierwszy skończył Thorisin, nurkując pod pchnięciem i uderzeniem ostróg kierując swego wielkiego gniadosza na Nogruz. Odrzucił lancę, wyszarpnął pałasz i uderzył zjadliwie z góry na dół, aż zaświstało powietrze. Nogruz również upuścił lancę i przyjął cios na osłonięte kolczugą ramię. Jego usta wykrzywiły się z bólu pod sztywnymi od wosku węsami, lecz okupił tym czas potrzebny mu na wyciągnięcie miecza, gdy uchylał się przed zadany na odlew ciosem Imperatora.

Marek tylko w przelocie łowił obrazy tego pojedynku, jako że sam toczył zaciętą walkę. Dostrzegł ich jednak kilka układających się po sobie w krótkim ciągu, kiedy to jakiś Makurańczyk zaatakował Gavrasa, pędząc na niego z flanki. Jeden z halogajskich gwardzistów Imperatora strzaskał mu lancę i zwałił z konia dwoma straszliwymi uderzeniami topora. Chwilę później inny kawalerzysta Nogruz zabił Halogajczyka, jednak nie włączył się do pojedynku.

Rozpaczliwa próba Nogruga odparcia ataku Thorisina prawym ramieniem pozostawiła je odrętwiałym i niesprawnym, co fatalnie zmniejszyło szanse szlachcica. Videssańczycy ryknęli radośnie, a Makuranczycy jęknęli, kiedy miecz wypadł mu z ręki.

Następny cios Imperatora miał zabić jego przeciwnika. Nogruz odchylił się, lecz nie zrobił tego dostatecznie szybko. Cios rozplątał mu policzek aż do zębów. Zachwiał się w siodle. Wówczas jego ludzie skoczyli, by go osłonić, i wciągnęli go w swe szeregi, nim Gavras zdążył uderzyć ponownie.

–Teraz *muszą* się złamać! – zawołał Thorisin, wymachując swoim splamionym krwią pałą

szem. Ponaglił piechotę do jeszcze jednego natarcia na wrogów. Jednak Makuranczycy okazali się

nieustępliwi jak stal. Walczyli z Videssos od pięćdziesięciu pokoleń i nie potrzebowali dowódcy, by

walczyć dalej; mieli to we krwi.

Marek nasłuchiwał, by zmiarkować, co dzieje się na obu skrzydłach środka szyku, gdzie żadna ze stron nie mogła zdobyć przewagi – i nie spodobało mu się to, co usłyszał. Wrzawa, jaką uznał za nieistotną w uniesieniu po zwycięstwie nad Avsharem, znowu nabrała mocy, i wynikało z niej, że Yezda zdobywają przewagę na lewym skrzydle. Nawet zanim Mourtzouphlos nie opuścił wraz ze swymi ludźmi swego miejsca w szyku, był to najslabszy punkt imperialnej armii; Videssańczycy tam walczący nie mieli dostatecznej osłony w lekkobrojnej kawalerii, która chroniłaby ich przed morderczym ostrzałem koczowników służących pod sztandarem Avshara.

Z kierunku, w jakim przesuwają się okrzyki wynikało, że lewe skrzydło videssańskie wygięło się już niebezpiecznie. Jeśli zostanie przerwane, czy nawet tylko odparte od wzgórzu, które kotwiczyło flankę, przed Yezda otworzy się wolna droga do ataku na tyły imperialnej armii. Skaurus poczuł, jak na myśl o tym skręcają mu się wnętrzności. W taki właśnie sposób bitwa pod Maraghą zmieniła się w klęskę.

Trybun rozejrzał się, szukając wzrokiem Viridoviksa. Choć raz zdobyto się na ów nieprawdopodobny czyn, powtórzenie go wydawało się niemożliwe. Gdyby wszyscy Makurańczycy zniknęli tak jak Avshar, w bitwie z pewnością nastąpiłby zwrot.

Lecz nigdzie nie mógł dostrzec Gala; rozdzieliła go od Marka ciżba makurańskich jeźdźców i wysokich Halogajczyków. Rzymianin ruszył tam, gdzie sądził, że znajdzie Viridoviksa, lecz posuwał się tak wolno i z takim trudem, jak wówczas, kiedy brnął do Avshara.

Jakiś jeździec walnął go z boku w ramię. Trybun okręcił się na pięcie i pchnął mieczem sądząc, że został zaatakowany. Thorisin Gavras odbił klingę. Na twarzy Imperatora malowało się utrapienie i zawziętość. – Chciałbym pchnąć tych przeklętych Arshaumów tam – powiedział, wskazując pałaszem.

–To miałbyś tylko ten sam problem z drugim skrzydłem.

–Może tak, ale miążdżą nas na lewym i nic nie mogę na to poradzić... wszystkie odwody są już w boju. – Gavras ścisnął rękojeść pałasza na tyle mocno, że pobiełały mu kłykcie. Uśmiechnął się kwaśno. – Na Phosa, myślałem, że rozsypią się zaraz po tym, jak załatwiłeś czarownika. A jak cię znam, to miałeś to zaplanowane od tygodni.

Z gestem, który miał nadzieję, że wygląda na odpowiednio skromne wzruszenie ramionami, try-

bun odpowiedział: – Wyszło lepiej niż się spodziewałem. Bałem się, że zniknę razem z nim.

Posłaniec na zdyszonym, okrytym pianą koniu przedarł się do Thorisina, zanim Imperator zdążył odpowiedzieć. Marek i halogajski gwardzista odparli w tym czasie makurańskiego lansjera; trybun zranił wierzchowca Makurańczyka, lecz wojownik i tak zdołał uciec. Kiedy Rzymianin odwrócił się, zobaczył, że twarz Gavrasa jest tak nieruchoma, jak wyciosana z marmuru.

–Złe wieści? – zapytał Marek. Tak jak Nogruz, musiał krzyczeć, żeby zostać usłyszonym przez szczęk broni; przez zdyszane oddechy, przekleństwa i bojowe zawołania walczących; przez tupot końskich kopyt i kwiki zwierząt; przez jęki i wrzaski bólu.

–Można tak powiedzieć – odparł głucho Gavras. Wskazał za makurańską linię. – Czujki na wzgórzach spostrzegły chmura kurzu zbliżającą się do nas; kawalerię, sądząc z szybkości, z juku się porusza. To nie są nasi. – Spojrzał na słońce, które opadło już zdumiewająco nisko nad zachodni horyzont. – Może zdołamy wytrwać, dopóki zmrok nas nie uratuje. Teraz...

Marek dokończył to zdanie w duchu. Jeśli Makurańczycy i Yezda otrzymają posiłki, to wszystko stracone. Thorisin nie mógł im się opierać i nie mógł się wycofać, nie obchodząc własnej flanki.

–Każ im wytrwać – rzekł trybun.

–Tak. Co innego możemy zrobić? – Oczy Imperatora wciąż spoglądały z posępną odwagą, lecz pod nią wzbierała rozpacz. – Wszystko na nic – powiedział, tak cicho, że Skaurus ledwo zdołał go zrozumieć. – Yezda pochłoną zachodnie rubieże, nowa wojna domowa dokończy reszty... mimo że go rozgromiłeś, Rzymianinie, wydaje się,

że to Avshar w końcu zwycięży.

Po chwili podjął na nowo, jeszcze ciszej: – I niech Phos weźmie w swoją opiekę Alanie i moje dziecko, ponieważ nikt inny tego nie uczyni.

Marek pomyślał, że przemawia jak Cincinnatus albo jakiś inny bohater z mitycznych czasów pierwszych dni Republiki, przedkładający sprawy państwa nad dobro własnej rodziny. Lecz działanie w takim duchu nie uchroniło niektórych z tamtych bohaterów przed nieszczęściem, a trybun nie potrafił rozstrzygnąć, jak skończy się to tutaj.

Zacięta walka ratowała od takich myśli; rzucił się w nią, by nie mieć czasu na zastanawianie się, co może przynieść przyszłość. Dostrzegł Viridoviksa i roześmiał się gorzko – Celt walczył tam, gdzie niedawno znajdował się trybun, prawdopodobnie szukając Marka tak samo, jak on szukał jego. Zaczął przedzierać się tamtym kierunkiem, lecz grupa jeźdźców zatarasowała mu drogę.

–*Shesómetgha*? – zapytał ktoś u jego boku. – Wytrzymamy?

Odpowiedział, ku swemu zaskoczeniu, również po grecku: – *Ou tón* - Pod słowem, nie. Gorgidas wciągnął powietrze w długim, syczącym westchnieniu przerażenia. Znajdował się w

opłakany stan; hełm miał wgnieciony nad jednym uchem, brodę pozlepianą potem, kurzem i krwią, a policzki zapadnięte z wyczerpania.

Skinął głową w lewo i przeszedł na łacinę, pytając: – To tam, prawda? – Dochodząca z tamtej

części pola wrzawa świadczyła, że dzieje się tam bardzo źle. Yeza zepchnęli lewe skrzydło imperialnej armii głęboko do tyłu. Czuli zbliżające się zwycięstwo i wrzeszczeli tak, jakby je już mieli w garści.

Lecz Skaurus musiał odpowiedzieć: – Jest jeszcze gorzej. – O głowę wyższy od Greka, spojrzął nad walczącymi i teraz dostrzegł już sam ten fatalny, pędzący ku nim obłok kurzu. Powiedział Gorgidasowi, co to oznacza.

Zbyt zmęczony, by przeklinać, Gorgidas poczuł nagle jak obwisły mu ramiona, jak gdyby ktoś zarzucił mu na barki worek mokrego piasku. – Niewiele w tym wszystkim sensu, prawda? – powiedział. Ta myśl zasmuciła go. Jako lekarz i historyk nieustannie szukał ogólnych wzorów, by osadzić w nich to wszystko, co zachodziło wokół niego, i nadać temu znaczenie. Wszystkie wydarzenia ostatnich kilku lat, każde samo w sobie o niewielkim znaczeniu, złożyły się na upadek Avshara; niespodziewany, lecz absolutnie sprawiedliwy. A teraz względnie niewielka grupa wojowników z zachodu, tylko dzięki temu, że pojawiła się w tej, a nie innej chwili, obędzie ten upadek z jego znaczenia i doprowadzi do takiego samego wyniku jak

ten, którego należało się spodziewać za życia księcia-czarodzieja. Gdzie tu więc sprawiedliwość? – zadumał się i nie znalazł na to odpowiedzi.

Okrzyki strachu i przerażenia, jakie rozległy się wzdłuż całej linii powiedziały, że żołnierze imperialnej armii spostrzegli już zbliżających się nieprzyjaciół. – Trzymać pozycje! – W okrzyku Thorisina Gavrasa brzmiała natarczywość, lecz zdołał ukryć przed swoimi żołnierzami poczucie beznadziejności, jakie odsłonił przed Skaurusem. – Ucieczka nic nie da... dopadną was od tyłu! Najlepiej zrobimy nie uciekając! – Rozsądna rada – pomyślał Skaurus – taka, jakiej każdy podoficer może udzielić swemu oddziałowi; bardziej przydatna do utrzymania żołnierzy na pozycji niż jakiegokolwiek pretensjonalne namowy.

Marek mógł już dostrzec przez kłębiący się kurz chorągwie Yezd. Nie poczuł się gorzej; wiedział już, kim są ci wojownicy. Niektórzy z ich rodaków spostrzegli ich również i zaczęli wymachiwać ponaglająco do przybyszów.

Lance pochylily się, gdy nadjeżdżająca kawaleria przeszła w galop. Makurańczycy – pomyślał tępo trybun – przedrą się przez imperialny szyk jak kamienna lawina miażdżąca drewniany płot. Huk uderzenia przywodził na myśl koniec świata: głuchy odgłos zderzających się ludzi i koni; przeraźliwy hałas uderzającego o siebie i łamiącego się oręża; wrzaski przerażenia i bólu. Lecz to krzyczeli wrogowie, a nie żołnierze imperialnej armii; atakujący uderzyli na ich odsłonięte tyły. Marek po prostu stał, skamieniały ze zdumienia. Potem rozbrzmiewające nad polem nowe zawołanie bojowe doszło do jego uszu i trybun zaczął wrzeszczeć jak opętany. Przybysze krzyczeli: – **Wulghash!**

Szczerząc zęby w wariackim uśmiechu, Gorgidas zawołał: – **Zgadza się! Zgadza się!** – Uściskał Marka, odtańczył trzy kroki z jakiegoś sprośnego tańca i z czystej radości skoczył do góry. Try-

bun, oszołomiony, odpędził jakiegoś pieszego wojownika, który ruszył na Greka, chcąc wykorzystać jego chwilowe pomieszenie zmysłów.

Jeśli dla Gorgidasa świat wskoczył nagle na właściwe tory, to dla stronników Avshara legł w gruzach. Na dźwięk imienia khagana chaos rozdarł ich szeregi. Niektórzy sami zaczęli je wykrzykiwać. Inni, zarówno Yezda jak i Makurańczycy, ci i którzy przystąpili do księcia-czarodzieja, wołąc go od Wulghasha – albo ci, którzy obawiali się, że tak pomyśli – rzucili się na swych niedawnych towarzyszy i zaczęli ich mordować, i by samym nie dać gardła.

Pogrążeni w bratobójczej walce, nie mieli żadnych szans na to, by pobić oszołomionych żołnierzy imperialnej armii ani nawet na to, by im się oprzeć. Widząc zamęt, jaki ogarnął nieprzyjacielskie wojska, Thorisin Gavras przeszedł do ataku. Trąbki i piszczałki Videssańczyków zagrały, przekazując jego rozkazy: – **Naprzód!**

Bić w nich, mocno! Tym razem się złamią!

I rzeczywiście złamali się, utraciwszy wreszcie ducha. Zwyczajem koczowników, Yezda rzucili się do ucieczki, umykając z pola na wszystkie strony, jak rozprysnięta rtęć. Skoro już Videssańczy-cy zobaczyli ich plecy, nie ścigali ich zawzięcie; imperialne wojska goniły resztkami sił, a Thorisin aż nadto dobrze wiedział, jak łatwo koczownicy potrafią się ponownie zebrać i ruszyć do kontrataku. Pozwolił im uciec.

Zamiast tego rzucił swoje wojska przeciwko Makurańczykom Nogruga. Ciężkozbrojni, nie mogli uciec tak łatwo jak Yezda; pozostawało im tylko albo walczyć, albo poddać się, a osaczeni tak niespodziewanie od tyłu, woleli nie ryzykować tego ostatniego. Walcząc z desperacją straceńców, raz za razem odpierali ataki Videssańczyków.

Lecz żołnierze wykrzykujący imię Wolghasha walczyli z gniewem, który dorównywał desperacji ich rodaków, a teraz – wrogów. Prowadził ich sam khagan. Starszy niż większość jego ludzi, wciąż był straszliwym wojownikiem, wyrównując doświadczeniem tę odrobinę, jaką utracił ze swych sił. Nim również kierowała wściekłość, gdy przerąbywał się przez szeregi przeciwników.

Nogruz stawiał mu czoło w centrum swych rozrywanych wojsk. Makurański szlachcic miał zabandażowaną głowę, lecz umysł jasny i w pełni władał swoją prawą ręką. Nic mu to jednak nie pomogło. Wolghash zasypał go ciosami swej ciężkiej, sześciokrawędziastej maczugi, gruchocząc mu tarczę i roztrzaskując miecz. Ostatni cios rozłupał Nogruzowi czaszkę.

Kiedy Nogruz padł, jego stronnicy zrozumieli wreszcie, że wszystko skończone. Zaczęli zrywać z głów swe dumne, zdobne pióropuszcami hełmy, i poddawać się, choć paru postanowiło walczyć do końca. W większości poddawali się żołnierzom Imperium, a nie ludziom Wolghasha. Przyjmując poddanie jakiegoś szlachcica, który nie stracił swej buty nawet w klęsce, Marek pomyślał, że on sam również wolałby zdać się na łaskę obcego wroga, niż suzerena, którego się wyrzekł.

Trybun nie zauważył, by żołnierze, którzy poddali się Wolghashowi doznali złego traktowania. Wyglądało, jak gdyby nie miał dla nich czasu; czasu by im okazać swą łaskę, bądź nie. Przemykał

wśród szeregów przygnębionych żołnierzy, a jego oczy nieustannie strzelały to w tę, to w tamtą stronę.

Jego poszukiwania tak go pochłonęły, że dotarł do imperialnego szyku nie zauważając tego, i dopiero wyprostował się zaskoczony, kiedy zobaczył, że natknął się na pieszych żołnierzy. Halogaj-czycy i legionieści nie zwrócili na niego szczególnej uwagi, z wyjątkiem chwili, kiedy jeden z nich zapytał, czy chce się poddać. Wolghash

potrząsnął gniewnie głową.

Skaurus wykrzyknął pozdrowienia głosem, który przypominał ochryple krakanie. Wulghash zakręcił głową. Jego szerokie nozdrza rozdęły się z zaskoczenia. – To ty! – powiedział. – Zjawiasz się w najdziwniejszych miejscach.

– Tak samo, jeśli mogę prosić o wybaczenie, jak i Wasza Wysokość. – Mówienie bolało; try

bun sięgnął po manierkę. Ku jego rozgoryczeniu, okazała się pusta.

Khagan Yezd chrząknął. – To żaden kłopot poderwać ludzi przeciwko Avsharowi albo podążać jego śladem, choć musieliśmy żywić się jak te wszystkie psy resztkami, jakie pozostawiała jego... moja!... armia. – Wulghash wykrzywił ponuro twarz. – I po co? – rzekł gorzko. – Tak, został tu pobity, ale co z tego? Umknął mi. Wróci w ten czy inny sposób i znowu zacznie wytaczać krew.

– Nie tym razem. – Najkrócej jak mogł, Marek opowiedział Wulghashowi o unicestwieniu

księcia-czarodzieja. Musiał przekonywać khagana, że Avshar po prostu nie umknął za pomocą swo

jej własnej magii. Kiedy Wulghash w końcu uwierzył, zeskoczył z konia i wziął trybuna w objęcia.

Ręce miał grube i muskularne, jak zapaśnik.

Walczone już tylko gdzieniegdzie; większość ludzi Nogruga albo poszła do niewoli, albo poległa. Skaurus rozejrzał się, by ocenić sytuację. Opodał spostrzegł Viridoviksa; nawet okryty kurzem rzucił się w oczy z powodu swoich ognistorudych włosów. Gal uwalniał właśnie jakiegoś jeńca od zdobionego złotem pałasa i noża. Machnął ręką w odpowiedzi na ochryply krzyk trybuna.

– Gdzie się podziewałeś? – zapytał, podchodząc swobodnym krokiem i popychając przed

sobą przygnębionego Makurańczyka. – Pod słowem, myślałem, że będziemy musieli jeszcze raz

zrobić tę sztuczkę z mieczami, a ty się objąłeś gdzieś na tyłach. – Błysk w oczach odzierał jego

słowa z jakiegokolwiek uszczypliwości.

Spojrzał z zaciekawieniem na Wulghasha. – A kimże jest ten smutnolicy łobuz?

–Spotkaliśmy się już – rzekł chłodno khagan, mierząc go wzrokiem od stóp do głów.

Pamiętam twój niewyparzony język.

Gal zjeżył się i uniósł nieco miecz swego jeńca. Kilku ludzi Wulghasha warknęło; jeden skierował lancę na Viridoviksa. Wulghash nie poruszył się, lecz zmienił punkt ciężkości, by być gotowym na wszystko, cokolwiek może się zdarzyć.

–Przestańcie – rzekł szybko Marek. Powiedział Viridoviksowi, kim jest khagan, a Wulgha-

showi opowiedział o udziale Celta w unicestwieniu Avshara. – Walczyliśmy z tym samym

wrogiem; nie powinniśmy kłócić się między sobą.

–Dobrze – powiedzieli obaj równocześnie, takim samym niechętnym tonem. Zaskoczeni, uśmiechnęli się. Wulghash wyciągnął rękę. Viridoviks wsunął miecz za pas i ujął ją, choi uścisk był tyle samo próbą sił, co gestem zgody.

–Wzruszające – rzekł oschle Thorisin Gavras. Nie okazał żadnego niepokoju, podjeżdżając tuż do linii Makurańczyków Mucha zabrzączała mu przed twarzą. Spojrzał na nią zezem, a potem odgonił machnięciem ręki. – Z pewnością kapłani uznaliby za godne pochwały wyciągnięcie przyjaznej ręki do byłego wroga.

Nikt nie mógł wziąć go za kogoś innego; zachodzące słońce lśniło oślepiająco na jego pancerzu i złotym diademie na czole Wulghash oblizwał pożądlawie wargi. Miał za sobą całkiem sporo swoich ludzi... – Gdybym rzucił słowo – mruknął – ty byłbyś byłym wrogiem.

Brwi Imperatora zjechały na dół jak burzowe chmury. – Kimże jest ten arogancki bękart? – zapytał gniewnie Skaurusa, nieświadomie naśladowując Viridoviksa. Twarz Wulghasha znowu wykrzywiła się posępnie; nie zależało mu na tym, by dwa razy pod rząd obrzucano go zniewagami.

Trybun nie odpowiedział od razu. Zamiast tego rzekł rozdrażnionym tonem: – Czy ktoś zechce dać mi łyk wody? – Thorisin zamrugał. Viridoviks pierwszy podał Skaurusowi manierkę. Było w niej wino, nie woda. Marek wysuszył ją do dna. – Dzięki – odetchnął, znowu czując się sobą. Zwrócił się ponownie do Autokraty, który ledwie panował nad gniewem. – Wasza Wysokość, przedstawiam ci Wulghasha, khagana Yezd.

Thorisin wyprostował się w siodle. W jednej chwili Halogajczycy za jego plecami znowu stanęli czujni i gotowi, zamiast poklepywać się nawzajem po plecach i wykrzykiwać, jakąż to zaciętą walkę stoczyli. Skaurus mógł czytać w myślach Imperatora; Gavras myślał to samo, co przed chwilą Wolghasz, to co trybunowi przemknęło przez głowę w sali tronowej pałacu w Mashiz -jeden szybki cios, *teraz...*

–Nie wygrałbyś bitwy bez niego – rzekł Marek.

–Co to ma wspólnego z czymkolwiek? – odparł Thorisin, lecz nie wydał żadnego rozkazu. Wolghasz śledził myśli Gavrasa równie łatwo jak Rzymianin. Jego gwardziści służyli mu tak

wiernie, jak Halogajczycy Thorisinowi; wybrał ich, kiedy uciekł z Mashiz i podążali za nim przez setki mil, by osadzić go z powrotem na tronie. Uniósł buzdygan, nie po to, by zaatakować, lecz aby podkreślić ostrzeżenie. – Rusz tylko na mnie, a nie nacieszysz się długo zwycięstwem, nawet jeśli mnie zabijesz – oświadczył Imperatorowi.

–Zachowaj swoje groźby dla Avshara – rzekł Thorisin. Dalej szacował możliwości konnicy khagana, rozważając szanse.

–Avshar odszedł – powiedział Marek. – Kiedy nie ma już nikogo, kto szczułyby Yezd i Vi-dessos na siebie, czy nie możecie znaleźć jakiegoś sposobu, żeby żyć dalej w pokoju?

Zarówno Wolghasz jak i Gavras spojrzeli na niego zaskoczeni; myśl ta, jak się wydawało, żadnemu z nich nie przyszła do głowy. Chwila grożąca użyciem przemocy minęła. Thorisin roześmiał się cierpko. – Można usłyszeć od niego najdziwniejsze opinie – rzekł do Wolghasha. – Może coś w tym jest.

–Może – odparł Wolghasz. Odwrócił się od Imperatora, by dosiąść swego konia. Gdy już znalazł się w siodle, podjął na nowo: – Rozbijemy obóz na noc. Jeśli nie zostaniemy zaatakowani, sami nie zaczniemy walki.

–Zgoda – rzekł Thorisin, zdecydowawszy się nagle. – Jutro rano przyślę kogoś, w charakterze rozjemców, żeby zobaczyć, czy zdołamy się ułożyć. Gdyby nam się nie udało... – Zawiesił głos. I znowu trybun mógł śledzić jego myśli.

Tak samo jak Gavras, khagan uśmiechnął się krzywo -...to spróbujesz wypruć ze mnie flaki – dokończył.

Thorisin roześmiał się. Oto wreszcie ktoś, kto nie rozumiał go opacznie.

Khagan wskazał na Skaurusa. – Przyślij jego; nikogo innego. Nie, cofam to... przyślij też jego przyjaciela, tego krępego uparciucha. Potrafię wyczytać z jego

twarzy, gdy i kłamie, podczas gdy ten jest o wiele za sprytny. – Zatem historyjka, którą Marek opowiedział w Mashiz, nie została zapomniana.

–Dlaczego ich? – zdziwił się Imperator, wcale nie uradowany żądaniem Wulghasha.
– Mam pod ręką prawdziwych dyplomatów...

–Którzy wyssali nudne gładzenie z mlekiem matki – prze rwał mu Wulghash. – Nie mam czasu, by słuchać ich pustego gadania. Poza tym ci dwaj uratowali mnie i pozwolili mi odejść wolnym z obozu swych towarzyszy, doskonale wiedząc, kim jestem. Ufam im... do pewnego stopnia... choć podeszli mnie. – Zmierzył Thorisina taksującym spojrzeniem. – Czyżbyś nie czuł tego samego?

Tak sprowokowany, Gavras ustąpił. – Niech więc będzie, jak sobie życzysz. – I, ponieważ w gruncie rzeczy był sprawiedliwym człowiekiem, dodał: – Wziąwszy wszystko razem, dobrze służyli Videssos... tak jak i ten, obecny tu cudzoziemiec. – Skinął głową w stronę Viridoviksa. – Nic, co przychodzi mi do głowy, nie może równać się z uwolnieniem świata od Avshara.

Od chwili przybycia Imperatora, Gał zachowywał niezwykle jak na niego milczenie, nie chcąc ściągać na siebie uwagi. Teraz wreszcie przekonał się, że Thorisin naprawdę nie żywi do niego urazy. Rozpromienił się cały, jak gdyby kamień spadł mu z serca, i powiedział: – Pewne jak nic, że wasza czcigodność jest wspaniałomyślnym panem.

–Być może. Teraz jednak jestem paskudnie zmęczony. – Nikt, kto to usłyszał, nie mógł temu

zaprzeczyć. Thorisin zwrócił się do Skaurusa. – Zjaw się u mnie rano po instrukcje. Do tego czasu

mam zamiar spać i tylko spać.

–Tak jest, panie – rzekł trybun salutując. – Jeśli pozwolisz teraz... – Kiedy Imperator skinął głową, trybun i Viridoviks rozstali się z nim i z Wulghashem. Po drodze zabrali ze sobą Gor-gidasa, w dwójnasób zmęczonego walką i uzdrawianiem. Poczekawszy, aż udzieli pomocy ostatniemu rannemu Halogajczykowi, skierowali go z powrotem do miejsca zgrupowania legionistów, podtrzymując go, gdy się potykał ze zmęczenia. Grek mruzczał niezrozumiałe podziękowania.

–Och, Skaurus, co zrobicie, jeśli Gajusz Filipus dał się zabić? – zapytał Viridoviks. – Czy ten gnojek nie zepsułby ci tym całkiem twoich planów?

–Na Phosa, tak – odrzekł Marek, zaskakując sam siebie odwołaniem się do boga Videssa-ńczyków. Nie mógł wyobrazić sobie Gajusza Filipusa poległego w bitwie; weteran wydawał się niezniszczalny. Wezbrał w nim lęk.

Serce mu podskoczyło, kiedy usłyszał znajomy, zgrzytliwy głos rodem z placu apelowego: – Formować szyk rozmiękłomózgie tumany! Myślicie może, że to jakaś pieprzona majówka, tylko dlatego, że na chwilę przerwano bójkę? Formować szyk, wy przekleńci przez bogów, leniwi, nic nie warci partacze!

Gorgidas otrząsnął się na chwilę z otępienia. – Niektóre rzeczy się nie zmieniają – powiedział.

Zmrok zapadał szybko; Rzymianin, Grek i Gal niemal wpadli na Gajusza Filipusa, zanim ich rozpoznał. Kiedy ich zobaczył, krzyknął: – W porządku, a teraz brawo dla trybuna... sam jeden pobił Avshara, naprawdę!

Radosny ryk wzbił się pod niebo. – Podoba mi się to rzekł z oburzeniem Viridoviks. – A ja tam byłem dla rozrywki, jak sądzę.

Marek położył mu rękę na ramieniu. – Obaj dobrze wiemy, jak było.

I wiedział to, w rzeczy samej, Gajusz Filipus. Podszedł do Gala i rzekł z niejakim zakłopotaniem: – Mam nadzieję, iż rozumiesz, że to ze względu na żołnierzy. Wiem, iż nic by nie wyszło, gdyby nie twoja odwaga i zdecydowanie, żeby wykonać plan.

–Hmm! Coś nieprawdopodobnego. – Viridoviks starał się, by zabrzmiało to szorstko, lecz nic

nie mógł poradzić na to, że tak rzadko słyszane z ust starszego centuriona przeprosiny rozbroiły go.

Odnosiło się wrażenie, że legionieści opuścili obóz przed tygodniem, a nie przed kilkunastoma godzinami. Ogromne dziury zostały wyrwane w ich szeregach; Skaurus opłakiwał każde rzymskie oblicze, którego już nigdy nie zobaczy. Po śmierci Vorenusa, Tytus Pullo powłókł się do kopania i sypania szańców jak ogłuszony. Ich rywalizacja wreszcie dobiegła końca. Pinariusz, legionista, który zatrzymał Marka i jego przyjaciół u bram obozu, kiedy wrócili do Amorionu, również poległ, a wraz z nim jego brat, jak też wielu, wielu innych.

A Sekstus Minicjusz kuśtykał o lasce, z ciasno zabandażowanym prawym udem, i twarzą ściągniętą bólem i pobladłą od upływu krwi. Marek, który widział więcej ran odniesionych w walce

niż chciałby pamiętać, nie miał pewności, czy młody Rzymianin kiedykolwiek jeszcze będzie chodził prosto. Może uzdrawiająca moc Gorgidasa da sobie z tym radę – pomyślał. Jednak Minicjusz miał w tym wszystkim szczęście – jego Erena nie została wdową.

Jeśli o Videssańczykach i Vaspurakańczykach, którzy wsta pili na służbę do

legionu, można było cokolwiek powiedzieć, to tylko to, że ucierpieli jeszcze bardziej niż Rzymianie, bowiem nie mieli tak wielkiej wprawy w pieszej walce. Skaurus poczuł ukłucie winy, przechodząc obok Phostisa Apokavkosa; gdyby pozostawił Videssańczyka wśród ruder stolicy, być może w końcu uśmiechnęłoby się doń szczęście w złodziejskim fachu.

Gagik Bagratouni utykał z powodu rany podobnej do tej, jaką odniósł Minicjusz. Dwóch „książąt” wlokło za nim nosze z jego zastępcą, Mesropem Anhoghinem. Być może szczęśliwie dla niego, Anhoghin stracił przytomność; lepka czerwoność przesączała się przez bandażę spowijającą jego brzuch.

Bagratouni skinął poważnie głową Skaurusowi. – Pobiliśmy ich – powiedział tylko; zwycięstwo zbyt wiele kosztowało, by się z niego radować.

Kiedy legioniści zaczęli wmaszerowywać do obozu, Laon Pakhymer podprowadził zmaltretowane szczątki swych Khatrishów do palisady. – Możemy obozować z wami? – zawołał do Marka. Przeniósł wzrok z własnych ludzi na Rzymian i potrząsnął smutno głową. – Starczy miejsca dla nas wszystkich.

–Niestety, to prawda – odparł Marek. – Oczywiście, wjeżdżajcie. Sprawdził, czy wyznaczono odpowiednią wartę do pilnowania pojmanych przez legionistów jeńców, a potem powlókł się do namiotu. Zaczął rozpinąć zbroję i zapadł w sen, wciąż mając na sobie jeden nagolennik.

Pikridios Goudeles uniósł sarkastycznie brew, kiedy zobaczył Gajusza Filipusa dzierżącego na drzewcu włóczni pomalowaną na biało tarczę. – Najpierw Skaurus przywłaszczył sobie moją funkcję, a teraz ty? – zwrócił się do starszego centuriona.

Weteran chrząknął. – Weź ją sobie z powrotem, jeśli chcesz. Żaden ze mnie dyplomata, z pieprzoną oliwną gałązką czy bez.

Goudeles zmarszczył brwi, słysząc rzymski zwrot, a potem zrozumiał go. – Miej pretensje do swego prawego oblicza – zachichotał. Sam wyglądał znowu tak, jak w stolicy; przystrzygł włosy i brodę, i zamienił arshaumskie skóry na zieloną togę z brokatowego jedwabiu z krótkimi rękawami. Lecz nosił swój pałasz i nieustannie spoglądał z dumą na opatrunek okrywający ranę od strzały na ramieniu – gryziپیórek, czy nie przecież poprzedniego dnia walczył jak wszyscy inni.

–Lepiej się pospieszmy – rzekł Marek, podnosząc swoją własną białą tarczę. W głowie huczało mu od rozkazów Thorisina, a najpilniejszy z nich nakazywał zawrzeć układ tak szybko, jak

to możliwe.

Kilku Halogajczyków i Videssańczyków zasałutowało trybunowi, gdy wychodził z

obożu imperialnej armii; wiedzieli, czego dokonał. Jednak Provhos Mourtzouphlos odwrócił się do niego plecami. Marek westchnął. – To nieładnie życzyć komuś, kto bije się po twojej stronie, żeby zginął w walce, ale...

–Dlaczego nie? – zapytał bez ogródek Gajusz Filipus. – Jest gorszym wrogiem niż cały klan

Yezda.

Sępy i wrony skoczyły z trzepotem w powietrze, wyrzaskując ochryple protesty, gdy Rzymianie ruszyli przez pobojuwisko. Dzikie psy i lisy umykały im spod nóg. Muchy Avshara i inne roily się nad zaścielającymi ziemię zwłokami. W promieniach letniego słońca trupy zaczęły już nabrzmiwać i cuchnąć.

Makurańscy wartownicy, najwyraźniej uprzedzeni o przybyciu Skaurusa i Gajusza Filipusa, zaprowadzili ich do Wulghasha. Idąc tam, wiedli ich przez cały obóz, rozrzucony na większej przestrzeni i w jeszcze większym nieładzie niż ten, który przed chwilą opuścili.

Trybun wstrzymał gwałtownie oddech, kiedy wyłonili się z za ostatniego zakrętu i zbliżyli do namiotu Wulghasha. Przed nim ciągnął się długi rząd głów; sześćdziesiąt albo siedemdziesiąt. Na niektórych wciąż jeszcze znajdowały się pozłacane lub posrebrzane hełmy wyższych oficerów.

–Nie widzę Tabariego – rzekł Marek.

–Też go wypatrujesz, co? Miejmy nadzieję, że starczyło mu rozumu albo szczęścia, żeby zostać w Mashiz.

Jedna z głów wciąż sprawiała wrażenie, jak gdyby chciała coś powiedzieć. Marek zastanowił się niespokojnie, czy świadomość mogła utrzymać się jeszcze przez parę chwil po tym, jak topór spadł i oddzielił głowę od tułowia.

Myśli Gajusza Filipusa pobiegły w innym kierunku. – Zastanawiałem się, dlaczego nie widzieliśmy żadnych więźniów. Teraz już wiem. Skróciwszy tych niebezpiecznych o głowę, resztę Wulghash odkomenderował do uzupełnienia szeregów własnej armii.

Marek plasnął pięścią w dłoń zirytowany, że sam tego nic skojarzył. Pasowało to do tego, czego zdążył się dowiedzieć o śmiałej, bezlitosnej naturze Wulghasha. Podążając dalej tokiem tego samego rozumowania, powiedział: – Zatem będzie też chciał ściągnąć z powrotem pod swoją komendę rozproszonych Yezda.

Ledwie zdążył to powiedzieć, kiedy spora grupa koczowników minęła ich, jadąc na swych kucach. Spojrzeli spode łba, rozpoznając rynsztunek Rzymian. Marek również zmarszczył brwi. – Coś innego mieliśmy tu zobaczyć, jak sądzę.

–Tak. A widzimy właśnie to, czego obawia się Gavras.

Podjeżenia trybuna, że pokaz został przygotowany, wzmocniły się, kiedy przewodnicy, którzy

zniknęli w namiocie Wulghasha, wybrali tę właśnie chwilę, by wyłonić się i skinąć na Rzymian. Jeden z Makurańczyków podtrzymał klapę z szarego filcu, by mogli wejść.

Namiotu nie urządzono z królewską elegancją; umeblowanie gryzło oczy mieszaniną dwóch kłócących się ze sobą stylów – zbytkownością Makuranu i surową prostotą Yezd; umieszczono tu wszystko, co zdołano naprędce pozbiierać – domyślił się Marek. Jedyne wyjątek stanowiła znaczna ilość magicznych akcesoriów – stare rękopisy, sześcian z różowego kryształu, kilka starannie opieczutowanych dzbanów, cały zestaw noży, których rękojeści nieprzyjemnie przypominały ludzką skórę, i inne rupiecie – teraz zwalone niedbale na stos w kącie namiotu.

Wulghash dostrzegł spojrzenie, jakie trybun rzucił w tamtą stronę. – Niepotrzebne przygotowania, jak się okazało – zauważył.

–Jak to przedstawienie, które kazałeś odegrać dla nas tam na zewnątrz? – zapytał uprzejmie

Marek.

Cień zmieszania nie pojawił się na twarzy khagana. – Pokazało to, co chciałem byście zobaczyli. Nie jestem tak słaby, jak sądzi Gavras... i z każdą godziną rosnę w siłę.

–Bez wątpienia. – Gajusz Filipus skinął głową. Uzgodnili ze Skaurusem, że to on powinien

przekazać ultimatum Thorisina. – Właśnie dlatego Imperator daje ci trzy dni na rozpoczęcie wyco

fywania swych wojsk do Yezd. Po tym czasie zawieszenie broni przestanie obowiązywać i Impera

tor zaatakuje bez ostrzeżenia.

Otwartość starszego centuriona sprawiła, że szerokie, mięsiste nozdrza khagana rozdęły się w gniewie. – Zaatakuje? Naprawdę? – zawołał. – Jeśli to chciał powiedzieć, to niech przyjdzie dzisiaj, a przemówię do niego językiem, który zrozumie. – Sięgnął po pałasz i wysunął go do połowy z pochwy.

–Przegrałbyś – rzekł Marek. Oparliśmy się... ledwie bo ledwie, przyznaję, lecz

oparliśmy

się... całej armii, jaką zgromadził Avshar, a tobie pozostało z niej niewiele więcej niż ogryzek. Po

bilibyśmy cię. Dlaczego nie miałbyś wrócić do siebie? To nie jest twój kraj i nigdy nim nie był. Od

zyskałeś swój własny tron... zajmij się swoim krajem i swoim panowaniem nad nim. Khagan miał

tak posępną minę, że Marka przejął lęk, czy zdoła utrzymać swój gniew na wodzy. Kłopot polegał

na tym, jak dobrze wiedział trybun, że Wulghash miał taką samą ochotę podbić Videssos, co Avshar.

Zęrała go złość, paląca jak kwas, że jego szarża, zamiast zdruzgotać księcia-czarodzieja, w rezulta

cie tylko uratowała imperialne wojska.

Lecz miał za sobą wiele lat władania i nauczył się realizmu. Thorisin mógł go rozbić, choć drogo by go to kosztowało, lecz przecież może zgodzić się na taką cenę. Sapał głośno przez blisko minutę, nie ufając własnemu głosowi, i w końcu rzucił przez zaciśnięte zęby. – Czy oprócz tego Gavras ma jeszcze do mnie jakieś inne, ach, drobne życzenia?

I znowu odpowiedział na to Gajusz Filipus. – Tylko jedno. Ponieważ wszyscy koczownicy, nie

tylko podczas tego ostatniego najazdu, lecz również w ciągu minionych lat, wdarli się do Videssos bez jego zezwolenia, zobowiązuje cię, byś im rozkazał wrócić do Yezd i odtąd już nie pozwalał naruszać granic.

Skaurus czekał na kolejny wybuch gniewu Wulghasha. Zamiast tego khagan odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się Rzymianom w twarz. – Więc równie dobrze może mi kazać, bym związał wszystkie wiatry, wsadził do worka i nie pozwolił wiać na ziemi. Nie mam żadnego wpływu na koczowników w Videssos, tak jak nie ma go nikt inny. Robią, co chcą; nie mogę *zmusić* ich do czegokolwiek.

Jako że trybun pomyślał dokładnie to samo, kiedy Thorisin wydawał im instrukcje, nie miał przygotowanej na to żadnej sensownej odpowiedzi. Wulghash ciągnął dalej: – Jeśli już o to chodzi, nie odwołałbym koczowników, nawet gdybym mógł. Choć jesteśmy tej samej krwi, nie są mi do niczego potrzebni, chyba że czasem do walki.

Widzieliście, kto mnie poparł... Makurańczycy. Cywilizowani ludzie.

–Koczownicy wznecają niesnaski gdziekolwiek się znajdują. Łupią, zabijają, pustoszą gospodarstwa, rujnują handel, wyludniają miasta i opróżniają mój skarbiec. Kiedy naczelnicy nie

których klanów zapragnęli łupić Imperium zamiast Yezd, pomogłem im w tym i posłałem następ

nych za nimi. Lepiej bez nich niż z nimi. Gdyby wszyscy sobie poszli, rządziłoby mi się dziesięć

razy łatwiej.

Marek przypomniał sobie nagle Rzymian po tym, jak podbili Grecję – pokonani przez pokonanych na polu sztuki, literatury, zbytku i całego stylu życia. Wulghash znajdował się w bardzo podobnej sytuacji. Sam wywodząc się z narodu barbarzyńców, przywarł do wyższej kultury Maku-ranu z gorliwością neofity.

Khagan miał jeszcze inny powód, by czuć urazę do ludu, który go wydał. Jego ręce zacisnęły się w pięści, oczy wbił ze złością w leżące na ziemi maty do spania; przechadzając się pomiędzy nimi, powiedział: – I Yezda woleli Avshara ode mnie, popierali go, czcili. – To wciąż sprawia ból – pomyślał Marek. – Nie tylko z powodu jego magii; pasowali do siebie z tą swoją żądzą krwi. Więc, ponieważ służycie Gavrasowi, powiedzcie mu, żeby zrobił co chce z koczownikami, którzy są u niego. Ja ich nie chcę z powrotem.

Jego wybuch, jak się wydawało, nie pozostawiał wiele miejsca na dyskusję. – Przekażemy twoje słowa Imperatorowi – przyrzekł oficjalnym tonem Marek – i powiemy mu o twojej determinacji.

–Nie mogę powiedzieć, bym cię winił, jeśli się na to spojrzysz z twojej strony – dodał Gajusz

Filipus.

Wulghash z wdzięcznością klepnął go lekko po ramieniu.

–Powiedziałem wprost Gavrasowi, że jesteś uczciwym człowiekiem.

–Co nie powstrzyma mnie przed posiekaniem cię na kawałki za kilka dni, jeśli tak będzie trzeba – odpowiedział niewzruszenie weteran. – Tak jak twoi Makurańczycy wiem, po której stoję stronie.

–Niech więc tak będzie – rzekł khagan.

–Więc nie chciał się zobowiązać, że zabierze stąd koczowników, co? – zapytał Thorisin.

–Nie chciał – odparł Skaurus. – Wyrzekł się ich. Jeśli już, to sędzę, że nienawidzi ich bardziej niż ty. I po sprawiedliwości – dodał i zobaczył, jak Imperator uniósł oczy ku niebu, słysząc ten zwrot – nie widzę, co mógłby zrobić. Yavlak i naczelnicy innych klanów nie liczą się z nikim. Nie podporządkują się jego rozkazom bardziej niż twoim, a on nie ma siły, by ich do tego zmusić.

–Wiem – rzekł spokojnie Gavras. Jeśli był zły na Wulghasha za to, że odrzucił jego żądanie, potrafił to ukryć. Wręcz przeciwnie; w jakiś osobliwy, lisi sposób wydawał się być zadowolony z siebie. – Chciałem usłyszeć z jego ust, że odmawia.

Marek pociągnął się za ucho, nie potrafiąc zrozumieć, o co chodzi Imperatorowi. Stojący obok niego Gajusz Filipus ledwie zauważalnie wzruszył ramionami.

–Nieważne – rzekł Thorisin. – Dopilnujcie tylko, żeby zjawić się u mnie jutro rano, nim

pójdziecie znowu się z nim targować. A teraz zabierajcie się. Wy dwaj nie jesteście jedynymi,

z którymi muszę się spotkać. – Rzeczywiście zdawał się być w dobrym humorze – pomyślał

Marek.

Rzymianie pokłonili się i wyszli. Skaurus usłyszał, jak Thorisin krzyczy do swego służącego: – Glykas! Chodź tu u licha, potrzebuję cię. Sprowadź mi Mourtzouphlosa i Arigha Arshauma. – I po krótkiej przerwie: – Nie, ty leniwy cymbale, nie wiem, gdzie są. Odszukaj ich albo poszukaj sobie innej roboty.

Makurański wartownik splunął Markowi pod nogi, kiedy on i Gajusz Filipus podeszli do obozu Wulghasha. Trybun pomyślał, że być może zostanie zaraz zaatakowany, mimo znaku zawieszenia broni, jaki dzierżył. Przygotował się, by go odrzucić i sięgnąć po miecz.

–Można się było tego spodziewać – rzekł Gajusz Filipus. On również napiął mięśnie, gotując się do walki. Skaurus skinął głową.

Lecz wartownik, kiedy już dał upust swoim uczuciom, odwrócił się wyniośle i poprowadził Rzymian do namiotu khagana. Tym razem poszli tam najkrótszą drogą. Wojownicy Wulghasha wygrażali im pięściami, kiedy ich mijali. Ktoś rzucił w nich

końskim łajnem. Plasnęło w uniesioną do góry tarczę Gajusza Filipusa, brudząc jej gładką, białą powierzchnię.

Wulghasha zastali przed namiotem, rozmawiającego ze swymi gwardzistami. Khagan warknął coś głucho z głębi piersi. Wsunął brodę, wskazując tarczę Gajusza Filipusa. Stosowny symbol zerwanego rozejmu – burknął.

–Jeśli chodzi o Thorisina, to rozejm nadal obowiązuje – odpowiedział Marek. – Czy zostaliście tutaj za atakowani?

–Oszczędź mi przynajmniej zapewnień o niewinności odparł Wulghash. – Już prędzej bym uwierzył, że kurwa może być dziewicą. Wiesz równie dobrze jak ja, co Gavras zrobił w samym środku nocy – wysłał swoich Videssańczyków i tych ziejących nienawiścią dzikusów z Shaum-khiil, żeby napadli na obozy moich wojowników. Całe setki musiały dać gardło.

–Powtarzam: czy zostaliście zaatakowani tutaj?

Monotonia brzmiąca w głosie Skaurusa kazała khaganowi spojrzeć nań ostro. – Nie – odparł,

a w jego głosie pojawiła się nagle ostrożność.

–Zatem pozwolę sobie zwrócić ci uwagę, że rozejm pomiędzy tobą a Imperatorem nie został

naruszony. Powiedziałeś nam wczoraj, że nie potrzebujesz Yezda, że nie potrafisz ich zmusić, by cię

słuchali, i że wcale ich nie chcesz. W takim razie Thorisin miał wszelkie prawo postąpić z nimi tak,

jak uznał za stosowne. A może uznajesz ich za swoich ludzi tylko wówczas, kiedy masz z tego jakąś

korzyść?

Wulghash poczerwieniał cały, aż po czubek łysiejącej głowy. – Mówiłem – wycodził przez zaciśnięte zęby – o Yezda, którzy już są w Videssos.

–Wcale nie – rzekł Gajusz Filipus. – To przecież ty skarżyłeś się, jak ci dranie, którzy byli z

Avsharem, całowali jego buty zamiast twoich. A teraz chcesz ich z powrotem. W porządku. Tak jak

ja to widzę, Gavras ma prawo powstrzymać cię, jeśli zdoła. Nie byli częścią układu. A co do tego –

spojrzał na białą tarczę – to twój żołnierz cisnął w nią końskim gównem.

Marek wtrącił: – Thorisin mógł zaatakować was tutaj, w tym obozie, lecz powstrzyma! się. Nie jest zainteresowany tym, by was zniszczyć.

–Ponieważ zbyt drogo by go to kosztowało.

–Być może. Ciebie kosztowałoby to jeszcze więcej; teraz jest silniejszy od ciebie. I ponieważ jest silniejszy, zamierza zobaczyć, jak opuszczasz Videssos. Ostrzegam cię, śmiertelnie poważnie traktuje swoje ultimatum. Jeśli pojutrze nie zobaczy, że się wycofujesz, ruszy na ciebie ze wszystkim, co ma. A właśnie przybyły posiłki z Garsavry.

To ostatnie było zwykłą błagą, lecz Thorisin postarał się ją uprawdopodobnić przez rozpalenie poprzedniej nocy kilkuset dodatkowych ognisk. Wulghash przygryzł wargę, uważnie badając wzrokiem Gajusza Filipusa. Lecz starszy centurion niczego nie dał poznać po sobie, bowiem kha-gan nieco błędnie ocenił jego osobę. Gajusz Filipus zawsze mówił to, co myślał, ale i pięćdziesiąt koni nie zdołałoby wyciągnąć z niego informacji o fortelu.

Przypomniawszy sobie, co Wulghash powiedział mu tuż po tym, jak wyszli z tuneli rozciągających się pod Mashiz, Marek rzekł: – Ja też bym chciał, byśmy byli przyjaciółmi, jak również tym, co mój lud nazywa mile widzianymi gośćmi. – Wulghash zrozumiał, co miał na myśli, i trybun ciągnął dalej: – Jako przyjaciel powiedziałbym, że najlepiej postąpisz wycofując się. Nie zdołasz tu wygrać z Thorisinem i powinieneś znowu zasiąść mocno na swoim tronie w Yezd.

–Nie sądzę, żebyśmy kiedykolwiek, ty i ja, zostali przyjaciółmi, bez względu na to, jak możemy tego chcieć – odpowiedział poważnie khagan. – Na razie jednak, niestety, obawiam się, że masz rację, ale pamiętaj, że jeszcze nie skończyłem z Videssos. Broń je, jeśli chcesz, lecz jest stare i zmęczone. Jedno wystarczająco silne uderzenie...

–Słyszałem, jak Namdalajczycy gadali tak samo, jednak przetrwaliśmy ich uderzenia. – Skaurus cofnął się myślami do oportunisty Draxa i porywczego Soteryka. Wspomnienie o nim przypomniało mu Helvis i to, w jakiej miała go pogardzie, że mówiąc o Videssańczykach używał określenia *my*. Wzruszył ramionami, co kazało Wulghashowi podrapać się po głowie. Trybun cieszył się z wyboru, jakiego dokonał. Khagan Yezda nie miał jednak zamiaru porzucić tak szybko tematu. – Jeśli ja nie zdążę, to uczyni to mój syn – powiedział.

–Jak się miewa Khobin? – zapytał Marek, wyławiając imię z opowieści Wulghasha

podczas przyjęcia w pałacu.

–Żywy i w dobrym zdrowiu, jak wynika z ostatnich wieści – odparł opryskliwie Wulghash. Lecz jego oczy zwęzi się, a lewa brew uniosła o ułamek cala; trybun wiedział, że zdobył punkt. Śmiech khagana zabrzmiał bezlitośnie. – Wynajęci mordercy, których nasłał na niego Avshar, spartaczyli robotę. To nie byli jego najlepsi ludzie; musiał uznać, że Khobinem nie warto się przejmować.

–Cieszę się, i cieszę się, że się mylił.

–Wszystko pięknie, ale chleba z tego nie będzie – rzek Gajusz Filipus, ponownie kierując ich uwagę na omawianą sporną sprawę. – Co zamierzasz uczynić jeśli chodzi o wycofanie twoich wojsk?

Wulghash chrząknął, lecz to przecież bezpośrednio Gajusza Filipusa kazała khaganowi prosić o wyznaczenie weterana do pertraktacji. – Gdybym mógł wybierać, walczyłbym – rzekł khagan. – Ale wybór nie należy do mnie... a Gavras, jak się wydaje – dodał z krzywym uśmiechem – nie pozwoli mi z niego skorzystać. Więc. wycofam się. – Wypluł z siebie te słowa, jak gdyby miał jakiś paskudny smak.

Skaurus nie mógł powstrzymać długiego, cichego westchnienia ulgi. – Imperator ręczy słowem, że nikt was nic będzie trapił tak długo, jak długo będziecie wycofywali się spokojnie.

–Jaki wspaniałomyślny – mruknął Wulghash. Zdawał się być zaskoczony i niezadowolony z

faktu, że Rzymianie wciąż stoją przed nim; musieli mu się jawić jako symbole jego niepowodzenia

w zmaganiach o utrzymanie pozycji. – Macie to, co chcieliście, prawda? Jeśli macie, to skończyliśmy ze sobą. Odejdźcie więc.

Gdy maszerowali z powrotem do obozu imperialnej armii, Gajusz Filipus rzekł posępnie: – Nie wiem jak ty, ale ja mam już powyżej uszu każdego, kto mówi do mnie „odejź”. Następnym razem, jeśli ktoś spróbuje to zrobić, dowie się bardzo dokładnie, dokąd ma sobie pójść, obiecuję.

–Nie mógłbyś służyć jako ambasador – zauważył Marek.

–I bardzo dobrze.

Jednak tego wieczoru, kiedy Pikridios Goudeles wysłuchał meldunku, nie zgodził się z trybunem. – Powinniście być dumni z siebie – rzekł do Rzymian. – Jak ha amatorów, poradziliście sobie doskonale. Thorisin jest nieszczęśliwy, ponieważ nie

może wyróżnić ludzi Wulghasha; Wul-ghash jest rozgoryczony, ponieważ musi wracać do siebie. A ostatecznie, czymże jest dyplomacja – zawiesił głos, by jego epigramat mógł wywrzeć większe wrażenie – jeśli nie sztuką pozostawiania wszystkich niezadowolonymi?

Pogrążeni w ponurym milczeniu, ludzie Wulghasha wycofywali się na zachód. Gavras wysłał kompanię videssańskiej kawalerii, by upewnić się, czy khagan rzeczywiście się wycofuje, podobnie jak niegdyś Shenut, który pilnował Arshaumów, kiedy przejeżdżali przez jego terytorium.

Dwa dni później, kiedy nie ulegało już wątpliwości, że khagan wraca do Yezd, Gajusz Filipus zaskoczył Marka prośbą o urlop, pierwszą od chwili, kiedy się poznali. – Masz go, oczywiście – rzekł natychmiast Marek. – Czy pozwolisz, że zapytam po co go bierzesz?

Weteran, zwykle tak bezpośredni, wyglądał na zakłopotanego. – Pomyślałem, że warto by pożyczyć konia od Khatrishów i się trochę przejechać. Pooglądać widoki, można by powiedzieć.

–Oglądać widoki? – Gajusz Filipus w roli turysty tworzył najbardziej nieprawdopodobny widok, jaki Skaurus mógł sobie wyobrazić. – Co u licha warto jest oglądania na tej nieszczęsnej równinie?

–Miejsca, w których już byliśmy – odparł wymijająco starszy centurion. Przeszł z nogi na nogę, jak mały chłopiec, który musi się usprawiedliwiać. – Może wybiorę się do Aptos, na przykład.

–Dlaczego ktokolwiek chciałby wybierać się do... – zaczął Marek, lecz nagle urwał gwałtownie. Gajusz Filipus zebrał się wreszcie na odwagę, by pójść w konkury do Nersy Phorkainy, oto w czym rzecz. Trybun powiedział jednak tylko tyle: – Uważaj na siebie. Yezda prawdopodobnie dalej grasują po drogach.

–O maruderów się nie boję, lecz armia Avshara przechodziła tamtędy. To mnie martwi. – Weteran wyjechał dwie godziny później, siedząc na pożyczonym koniu bez wdzięku, lecz powodując

nim z taką samą rzeczową fachowością, jaką przejawiał niemal we wszystkim, co czynił.

–Do swojego serdeńka, co? – zapytał Viridoviks, odprowadzając wzrokiem Rzymianina,

który jadąc kłusem mijał właśnie zajętych swą nieprzyjemną robotą żołnierzy, odkomenderowanych

do grzebania zwłok.

–Tak, choć wątpię, czy przyznałby się do tego na torturach.

Viridoviks, zamiast wyśmiać centuriona, westchnął ciężko i powiedział: – Och, mam nadzieję,

że zostanie ją w dobrym zdrowiu i w ogóle, żeby móc przywieźć ze sobą. Nawet taka ciamajda jak on zasługuje na chwilę szczęścia, choć prędzej by pękł, niż by to pokazał.

Gorgidas przemówił w swym rodzimym języku. Marek przetłumaczył dla Viridoviksa: – „Nie wiem, czy jesteś szczęśliwy, zanim się nie dowiem, czyś życie swoje dobrze zakończył” * (* W. Kopaliński „Słownik mitów i tradycji kultury”. Por. Biblia, Eklezjastyk, 11,28-30 (przyp. Red.)) – słynne ostrzeżenie Solona, udzielone Krezusowi, królowi Lidijczyków. Lekarz mówił dalej cierpkim tonem: – Sama obecność przedmiotu czyjejs namiętności nie gwarantuje rozkoszy, zapewniam cię.

Trybun i Gal troskliwie patrzyli gdzie indziej. Po bitwie Rakio wrócił do obozu legionistów tylko po to, by zabrać swój ekwipunek. Zaprzyjaźniwszy się z jednym z namdalajskich rycerzy, zostawił Gorgidasa bez słowa pożegnania i nawet nie obejrzał się za siebie.

–Przestańcie się tak gapić udając, że mnie nie widzicie – warknął Grek. – Od samego początku wiedziałem, że jest niestały w uczuciach; trzeba mu przyznać, że nigdy nie udawał czegoś innego. Moja duma nie ucierpiała na tym zbytnio ani moje serce. To wierniejsi partnerzy pozostawiają po sobie trwałe smutek.

–Tak. – Powiedzieli to Skaurus i Viridoviks równocześnie i po cichu. Przez parę chwil wszyscy trzej stali pogrążeni w myślach; Gorgidas wspominając Kwintusa Glabrio; Viridoviks, Seirem; Marek zaś zarówno Alypię, jak i Helvis.

Nic innego nie potrafiłoby go do tego zmusić, ale myśl o tym, że jego druga miłość może odejść tak jak pierwsza, niemal powstrzymała go przed naciskaniem Thorisina, by dotrzymał zawartego układu. Rany, jakich doznał w bitwie, zostały wyleczone. Lecz kiedy niespodziewanie dotknął tej, którą zadała mu Helvis, zabolą go jak wtedy, kiedy jeszcze krwawiła. Nie chciał wystawiać się znowu na niebezpieczeństwo takiego bólu.

No dobrze, co więc zamierzasz zrobić? – zapytał sam siebie z gniewem. – Ukryć się pod skałą na resztę życia, żeby już nigdy nie spadła na ciebie kropla deszczu?

Odpowiedź zabrzmiała w nim cicha, lecz zdecydowana.

Nie.

Halogajscy gwardziści Imperatora przywykli do widoku trybuna proszącego o widzenie z ich

panem. Oddali mu salut, przykładając zaciśnięte pięści do serca; jeden z nich zanurkował do namiotu Imperatora, by dowiedzieć się, jak długo Skaurus będzie musiał czekać. – Tylko parę minut – obiecał, kiedy wyłonił się z powrotem.

W rzeczywistości trybun czekał niemal pół godziny. Marek wdał się w pogawędkę z Halogajczykami, podczas której raczyli się nawzajem anegdotami i porównywali strupy na ranach. Lęk skręcał mu żołądek jak ciężkostrawne jedzenie.

Służący Glykas wysunął głowę z namiotu i zaczął rozglądać się wokół, mrugając w blasku słońca, dopóki nie spostrzegł Rzymianina. – Przyjmie cię teraz – oświadczył. Skaurus ruszył do namiotu na nogach, które nagle wydały się jak z ołowiu.

Thorisin uniósł wzrok znad stosu papierkowej roboty, którą tak pogardzał. Uporawszy się, przynajmniej chwilowo, z wrogami Videssos, znowu musiał zająć się pracą, jakiej wymagało rządzenie Imperium. Z westchnieniem ulgi odepchnął od siebie pergaminy, poczekał na ukłon Marka i, jak zwykle, przymknął oczy na to, że trybun nie oddał mu pełnego hołdu. – O co teraz chodzi? – zapytał neutralnym tonem.

–Może... – zaczął Marek i z upokorzeniem stwierdził, że zabrzmiało to jak nerwowe krakanie. Wziął się w garść i spróbował znowu: – Może będzie lepiej, jeśli porozmawiamy pod różą*(* under the rose; dosł. „pod różą”; w przen. „w zaufaniu”, „na osobności” (przyp. tłum.)). – Gavras zmarszczył brwi; trybunowi krew napłynęła do twarzy, kiedy uświadomił sobie, że dosłownie przełożył łaciński zwrot. Wyjaśnił jego znaczenie.

–„Pod różą”, co? Chyba tak wolę – rzekł Imperator. Odprawił Glykasa, a potem ponownie zwrócił się do Rzymianina, teraz już z wyrazem czujności na twarzy. – No więc? – ponaglił, krzyżując ramiona na piersiach. Nawet w zwykłej płóciennej tunice i workowatych wełnianych spodniach emanowała z niego władza. Miał trzy lata, by oswoić się z imperatorskim urzędem, i czuł się tam dobrze.

Marek był świadom jego siły, choć nie onieśmiałała go tak bardzo, jak jakiegoś Videssańczyka. Wciągnął więc głęboko powietrze, jak gdyby chcąc opanować drżenie, i strzelił prosto z mostu: – Tak jak to uzgodniliśmy w Videssos, chciałbym, byś zastanowił się nad moim małżeństwem z twoją bratanicą... oczywiście, o ile Alypia mnie zechce.

Imperator złączył koniuszki palców, każąc Skaurusowi czekać. – Naprawdę zawarliśmy taki układ? – zapytał leniwie. – O ile sobie przypominam, nie było żadnych świadków.

–Dobrze wiesz, że zawarliśmy! – wyjęczał trybun, przerażony. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że Thorisin może przyjąć taktykę zaprzeczania. – Phos słyszał twoje słowa, jeśli już nie kto inny.

–Nic ode mnie nie wydobędziesz, wzywając na świadka naszego dobrego boga; wiem, że jesteś poganinem – zadrwił Thorisin. Lecz ciągnął dalej z zadumą: – Trzeba ci to oddać, nigdy też

nie próbowałeś tego podstępu. Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że ktoś tak uparty jak ty naprawdę zmienił swoje zapatrywania?

Kłótnie pomiędzy różnymi sektami wyznającymi wiarę w Phosa dalej wydawały się Markowi czymś obłądnym i nie miał pojęcia, w jaki sposób wyróżnić prawdziwe wyznanie – o ile takie było – wśród ujadającej sfory. Lecz po swych doświadczeniach na tym polu nie mógł już dłużej przymykać oczu na wiarę Imperium. – Może zmienię – powiedział, co było najuczciwszą odpowiedzią, na jaką mógł się zdobyć.

–Hmm. Większość ludzi na twoim miejscu przyszłaby do mnie obwieszona wystarczającą ilo

ścią świętych obrazów, by odbić cios włóczni albo śpiewając hymny, jeśli głos by im na to pozwa

lał.

Trybun wzruszył ramionami.

–Hmm – powtórzył Thorisin. Pociągnął się za brodę. – Nie ułatwiasz tego, co? – Prychnął

krótkim śmiechem. – Zastanawiam się, ile razy już ci to powiedziałem, co, Rzymianinie? –

Uśmiechnął się, jak gdyby razem spiskowali.

Marek znowu wzruszył ramionami. Imperatora ogarniał ten jego żartobliwy nastrój, w którym trybun nie potrafił go zgłębić. Uświadomił sobie, że każda odpowiedź, jakiej udzieli, może być zła. Szukał argumentów mogących przekonać Gavrasa, że nie stanowi dlań żadnego niebezpieczeństwa, lecz nie mógł zdobyć się na otwarcie ust i dalej stał w milczeniu.

Gavras uderzył mocno dłońmi o blat. Dokumenty podskoczyły; jeden zwój spadł na ziemię. Kiedy pochylił się, by go podnieść, zza biurka dobiegł jego stłumiony głos: – No cóż, w porządku, jedź i zapytaj ją.

Odblokowany przerwaniem ciszy, Marek wymamrotał:

–Jako cudzoziemiec nie będę żadnym zagrożeniem dla tronu, ponieważ lud nigdy nie

uznałby... – Niemal skończył zdanie, nim jego mózg zarejestrował to, co usłyszały uszy. – Zapy

taj ją – wyszeptał. Autokrata nie poprosił go, by usiadł, lecz teraz sam osunął się na najbliższe

krzesło. Krzesło czy podłoga, to było obojętne; jego kolana nie potrafiłyby go utrzymać.

Cisnąwszy zwój na blat biurka, Thorisin zignorował naruszenie protokołu. – Powiedziałem tak, czyż nie? Po Zemarkhosie, Avsharze... Avshar!... i nawet po tym czymś, co ma uchodzić za pokój z Yezd, chyba nie mógłbym ci odmówić. A poza tym – tu na chwilę spowaźniał -jeśli w ogóle wiesz cokolwiek o mnie, to przede wszystkim powinienes wiedzieć to: dotrzymuję zawartych umów.

–Więc to całe roztrząsanie było zwykłym udawaniem i od samego początku zamierzałeś po

wiedzieć mi tak?

Przebiegły uśmieszek powrócił na twarz Gavrasa. – A co, jeśli zamierzałem?

–Och, ty nieszczęsny bękarcie!

–Kto tu jest bękartem, ty zezowata pomyłko położnej? – ryknął w odpowiedzi Thorisin.

Teraz już śmiali się obaj, Marek przede wszystkim z ulgi. Imperator wyciągnął dzban z winem i po

trząsnął nim, by zobaczyć, ile zawiera trunku – okazało się, że dość, żeby go zadowolić. Wyci

ągnął zatyczkę, ryknął, zakorkował znowu i cisnął dzban Skaurusowi. Gdy trybun popijał, ciągnął

dalej: – Przyznaj się, serce by ci stanęło, gdybym powiedział ci „tak” prosto z mostu.

Marek zaczął coś mówić, źle przełknął, zabelkotał i zakrztusił się, rozpryskując wino na wszystkie strony. Thorisin walnął go w plecy. – Dzięki – wyrzęził trybun. Wstał i

uścisnął Imperatorowi rękę, równie silną i stwardniałą, jak jego własna. – Moje serce? – powiedział. – Wówczas, gdyby to była prawda, po raz pierwszy w życiu zobaczyłbyś, że troska o moje zdrowie warta jest fałszywego miedziaka.

–Pewnie tak – rzekł spokojnie Gavras, wcale nie zawstydzony wypomnieniem. – Czy po

czułbyś się lepiej, gdybym przyznał, że radowałem się każdą chwilą tej szarady?

Marek pociągnął następny łyk wina, tym razem nie krztusząc się. – Nic – powiedział – nie mogłoby sprawić, bym poczuł się lepiej niż teraz.

Imperialna armia zwinęła obóz, ustawiła się w marszowym szyku, by rozpocząć powrót do stolicy, a Gajusza Filipusa wciąż nie było. – Nie ma potrzeby, byś jechał z nami – rzekł Arigh do Skaurusa. – Moi chłopcy znajdą go, nie ma obawy. – Wskazał na kompanię Arshaumów, na której czele jechał.

–Moi, postawiłbym na nas – powiedział Laon Pakhymer; za nim znajdował się oddział jego własnych jeźdźców. – Duch tego starego drania nawiedzałby nas ze złości, gdybyśmy nie zrobili dla niego wszystkiego, co w naszej mocy. – Khatrish wolał ruszyć na poszukiwanie Gajusza Fili-pusa w pełnym niebezpieczeństwie kraju, byle tylko nie zdradzić, że go lubi.

Marek nie zwracał uwagi na żadnego z nich, tylko metodycznie siodłał konia. Wskoczył na wierzchowca, a potem przeniósł wzrok z jednego na drugiego. – W drogę.

Ruszyli kłusem przez pobojuwisko. Fetor nie pogrzebanych koni i trupów Yezda zaczynał znikać; ścierwojady zmieniły wiele ciał w nagie kości. Nagie wzgórki ziemi wieńczyły wspólne groby poległych w bitwie żołnierzy Imperium. Strzaskany oręż oraz strzępy uprzęży zaczynał okrywać kurz; wszystko, co było warte zagrabienia, zabrano już dawno temu.

Gdzieś z tyłu za udającą się na poszukiwania grupą ktoś zawył. Skaurus obejrzał się i zobaczył galopującego ku nim Viridoviksa. – Dlaczego mi nie powiedzieliście, że jedziecie szukać tego starucha? – poskarżył się trybunowi, gdy już się z nim zrównał. W oczach Celta zamigotały złośliwe ogniki. – Och, co za przedstawienie... on zakochany. Równie dziwne, jak wilk uprawiający kapustę, daję słowo.

–Być może, ale byłbym bardzo ostrożny, wykpiwając go za to – poradził mu Marek.

–Dobrze to wiem. Połacie ziemi poznaczone odciskami końskich kopyt pokazywały, gdzie leżały obozy Avshara i

Wulghasha. Niedaleko za nimi jeden z khatrishańskich zwiadowców krzyknął i

wyciągnął rękę, wskazując coś. Marek spojrział przed siebie, lecz nie miał dość bystrych oczu, by wysledzić jeźdźca, którego wskazywał zwiadowca, nim tamten zeskoczył na ziemię, puszczając wolno konia. Pospieszyli naprzód, lecz wyjąwszy propozycje podpalenia rosnących przy drodze kolczastych zarośli, czy też poszczucia w nie psów, nikt nie spieszył się z szukaniem podejrzanego podróżnika.

Lecz kiedy ktoś wykrzyknął jego imię, wówczas Gajusz Filipus we własnej osobie wyłonił się ostrożnie z ukrycia. Rozpoznał Skaurusa, Viridoviksa, a potem Pakhymera, opuścił *gladius*.

–Co to wszystko ma znaczyć? – warknął. – Tam, skąd przybywam, nie wysyłają tyłu nawet za ojcobójcami.

–Nie wiedzieliśmy, że coś takiego ciąży na tobie – rzekł Laon Pakhymer, ściągając na siebie wściekłe spojrzenie. Nie przejął się nim, co tym bardziej rozdrażniło Gajusza Filipusa.

–I zapłacisz za tego kuca, jeśli coś sobie zrobi – dodał Khatrish; trzej jego kawalerzyści i paru Arshaumów próbowali złapać wierzchowca starszego centuriona.

Marek przerwał plugawe przekleństwa Gajusza Filipusa, by wyjaśnić, dlaczego ruszyli na jego poszukiwania. Starszy centurion odprężył się odrobinę. – To miło z waszej strony, oczywiście, ale prędzej czy później i tak bym się zjawił.

–Prawdziwy samochwała – rzekł Arigh, czym doprowadził go do jeszcze jednego wybuchu.

Skaurus nie sądził, by starszy centurion chciał się. Jeśli ktoś zdołałby samotnie przemierzyć za

chodnie rubieże, to tym kimś był Gajusz Filipus.

Kiedy skończył przeklinać, zażądał swego konia i wraz z całą grupą ruszył w powrotną drogę, wciąż utyskując, że tylko zmarnowali czas. By go zezłościć, jak również z ciekawości, Marek zapytał: – Udało ci się przebyć całą drogę do Aptos?

–A powiedziałem, że tam jadę, naprawdę?

–No i?

–Niewiele zostało z miasta – odparł Gajusz Filipus, marszcząc brwi. – Yezda z Avsharem rzeczywiście tamtędy przeszli i zniszczyli je. Jednak twierdza wytrzymała i Nersa zdołała uratować wielu mieszczan. Część pozostałych uciekła i ukryła się wśród wzgórz. Jeśli zapanuje spokój, mogą je odbudować.

–Nersa, powiadasz? Ha, ha, wreszcie do tego doszliśmy zawołał Viridoviks.

Gajusz Filipus zeszywniał; jego twarz stwardniała w wyrazie podejrzliwości. Marek zapragnął

kopnąć Celta i czekał teraz bezradnie, aż wyskoczy z jakimś grubiaństwem – tutaj, jak nigdzie indziej, Gajusz Filipus miał swoje czułe miejsce.

Lecz Viridoviks, który wiedział, co to znaczy utracić ukochaną osobę, nie miał zamiaru go ranić. Zapytał tylko: – Więc też będą ci potrzebni druzbowie, jak temu tu Skaurusowi?

Nawet to proste, przyjacielskie pytanie prawie wyprowadziło starszego centuriona z równowagi. Odpowiedział dobytym z głębi piersi warknięciem: – Nie. – Potem zwrócił się do Marka: – Drużbowie, co? Przyjemne zajęcie; więc udało ci się w końcu. Mam nadzieję, że będę jednym z nich.

–Żebyś się tylko nie rozmyślił. – Gajusz Filipus odpowiedział uśmiechem tak oczywście fa

lszywym, że trybun zapytał delikatnie: – Odmówiła ci?

–Co? – Weteran spojrzał na niego zaskoczony. – Nie. Wcale jej nie pytałem.

Tego już było za wiele dla Viridoviksa. – Nie zapytałeś jej? – zaskowyczał, uderzając się ręką

w czoło. – Czyś ty stracił rozum? Tłukłeś się na koniu przez parę dni, pewnie raz czy dwa dałeś się niemal zabić... – Przerwał, lecz posępna mina Gajusza Filipusa ani tego nie potwierdzała, ani nie zaprzeczała. – I poprzestałeś na kubku wina, rzuciłeś „jak się masz” i zabrałeś się z powrotem? Och, zmarnowałeś to, człowieku, zmarnowałeś! Gdybym to był ja, już...

–Zamknij się – rzekł starszy centurion z tak lodowatym gniewem, że Gal rzeczywiście umil

kł. – Gdybyś to był ty, to gadałbyś tak, że uszy by jej spuchły i zalecałbyś się bez chwili przerwy.

No, ale ja nie mam twojego języka, luźnego na obu końcach, i nie mam też niczego, co mógłbym jej

zaofiarować. Ona jest ziemianką, szlachcianką, a czymże ja jestem? Najemnikiem, który ma miecz,

kolczugę i mało co jeszcze. – Spojrzał w stronę Pakhymera. – Musiałem przekabacić tego tu La-

ona, żeby dał mi konia, bym mógł tam pojechać.

Viridoviks nie odpowiedział na to jakimkolwiek słowem, a tylko wskazał na Skaurusa. Gajusz Filipus poczerwieniał jak cegła, lecz rzekł z uporem: – On to on; ja to ja.

–Huu! – zaskowyczał Viridoviks i tylko przestroga w oczach Gajusza Filipusa powstrzymała

go przed dalszym ciągiem.

Smutne w tym było to – pomyślał Marek – że weteran miał rację; jego zwyczaje były zbyt mocno zakorzenione, by wiedział, jak je zmienić, nawet kiedy tego chciał. – Pojechałeś tam i wróciłeś cały i zdrowy; oto co się liczy. – Kiwnął głową na Arigha. – Wracajmy.

–Już dość długo zamarudziliście – rzekł Arshaum. Tak jak i Pakhymer czekał, na wpół znu

dzony, na wpół zirytowany, kiedy Rzymianie i Viridoviks rozmawiali, ponieważ wciąż między sobą

woleli używać łaciny.

Przez jakiś czas wszyscy jechali w milczeniu. Dopiero kiedy już niemal wjeżdżali do obozu, Gajusz Filipus powiedział:

–Wiesz co, Celcie, może nawet coś było w tym, co mówiłeś. I może któregoś dnia wybiorę się znowu do Aptos i powiem to, co powinienem był powiedzieć teraz.

–Pewne jak nic, że się wybierzesz – odparł pocieszająco Viridoviks, lecz Marek usłyszał cień

melancholii w jego głosie. Gajusz Filipus bez trudu snuł plany, kiedy jechał w kierunku dokładnie odwrotnym od swego celu. Zaś wykonać je, to zupełnie inna historia.

Thorisin Gavras nie wiedział o grupie, która wyruszyła na poszukiwanie Gajusza Filipusa. Tylko tylna straż pozostała w obozie; garnizon, który miał strzec przejścia między wzgórzami przed rabusiami z Yezd. Lecz główna kolumna marszowa oddaliła się ledwie o milę; Skaurus wciąż jeszcze mógł dojrzeć oddziały pieszych i konnych przez chmurę kurzu, jaką nieuniknienie wzbijali.

**–Gońmy ich! – krzyknął Laon Pakhymer, spinając kuca ostrogami. – Pierwszy przy
taborach zbierze po sztuce srebra od wszystkich pozostałych! – Wyprzedził innych
o długość**

**konia na starcie, lecz jego prowadzenie nie trwało długo; jakiś Arshaum wyprzedził
go, kiedy miał**

już niemal wygraną w kieszeni.

**Galopując pośrodku śmiejącej się, wrzeszczącej gromady, Marek wiedział, że pędzi,
by stracić swoje pieniądze. Nie dbał o to. Przed nim leżał Amorion, a za nim stolica
Videssos. Wracał do domu.**

XIV

Deszcz, który padał w nocy, wciąż jeszcze ściekał z wystających okapów i sączył się z rur odpływowych, lecz burza w końcu przewaliła się nad miastem. Dzień wstał czysty i rześki, bardziej przypominający wczesną wiosnę niż jesień.

–W sam czas – rzekł Marek, spoglądając z ulgą na cienie, rysujące się ostro w jasnym blasku

słońca. – Gdybyśmy znowu musieli wszystko odkładać, chyba zacząłbym wrzeszczeć.

Taso Vones wyciągnął rękę do góry, by poklepać go po ramieniu. – No, no, spokojnie – powiedział. – Ludzie mają prawo do przedstawienia. A procesja weselna nie jest nawet w połowie tak śmieszna, kiedy trzeba zmoknąć, by ją obejrzeć.

Kapłan Nepos pogroził palcem khatrishańskiemu dyplomacie. – Masz cyniczny sposób patrzenia na świat, przyjacielu Taso. – Starał się ze wszystkich sił, by w jego głosie zabrzmiał wyrzut, lecz jego pulchna twarz stworzona była do radości i nie mógł powstrzymać uśmiechu.

–Ja, cyniczny? Absolutnie nie, panie; po prostu realistyczny. – Vones wyprostował się w karykaturze urażonej godności. – Jeśli chcesz cynizmu, spójrz na tego tu. – Wskazał na Skaurusa. – Po cóż innego wybrał cię na drużbę, jeśli nie po to, by wciągnąć do towarzystwa przynajmniej jednego Videssańczyka?

–Och, poskowycz sobie, Taso – rzekł Marek, urażony do żywego. – Wybrałem go, ponieważ jest przyjacielem. Poza tym jest Goudeles i Lemmokheir. I Skylitzes przyszedłby również, gdyby był w stanie. – Oprócz innych ran odniesionych w walce, surowy oficer imperialnej armii zła-

mał też podczas bitwy kość udową, kiedy to zabito mu konia i ten padając przygniótł go pod sobą. Dochodził do siebie, lecz dopiero co mógł kuśtykać, nawet o dwóch laskach.

Jednak, jak to zwykle bywało, uszczypliwa uwaga Vonesa kryła w sobie ziarno prawdy. Niemal wszyscy mężczyźni zgromadzeni w ciasnym przedsionku opodal Wielkiej Sali Sądu byli nie-Vides-sańczykami. Różne odmiany eleganckich strojów sprawiały, że ich wygląd osobliwie kłócił się z sobą.

Gajusz Filipus miał na sobie pełen bojowy rynsztunek, od podkutych *caligarum* aż po grzebieniasty hełm; szkarłatna opończa jego rangi zwisała mu z barków. Marek wiele by dał, by móc zapamiętać wszystkie określenia, jakimi weteran nazwał pewnego nadgorliwego szambelana, który usiłował go przekonać, by wdział

odświętny videssański strój.

Viridoviks nałożył polerowany pancerz. Pod nim obszerne videssańskie spodnie całkiem udatnie zastępowały ciaśniejsze nogawice, jakich wolał używać jego lud. Głowę miał gołą, by niczym nie zasłaniać swych czerwonych loków, które dotąd mył w wapiennej wodzie, aż zaczęły mu sterczeć sztywno jak lwia grzywa. – Niech dziewczęta mają na co popatrzeć – mówił do Gorgidasa.

Na tę okazję Grek postanowił nałożyć swój narodowy strój, sięgający kolan chiton z białej wełny. Skaurus podejrzewał, że prosta szata miała swój rodowód w kocu.

–Przynajmniej lepsze to niż moje chude nogi – rzekł Gorgidas do Viridoviksa. Potem westchnął: – Ty nie musisz też martwić się o przeciągi.

–Na stepie daleko byś nie zaszedł w tym cienkim prześcieradle – zauważył Arigh. – Po pierwszej zamieci wszystko zamarza na kamień i śpiewałbyś równie cienko, jak byle jaki eunuch. – Wódz Arshaumów miał na sobie buty z niegarbowanej skóry, skórzane spodnie, koszulę z delikatnego, miękkiego zamszu i kaftan z wilczych szub. Marek bardziej cieszył się, że ma go w swym weselnym orszaku, niż Arigh ze swej tu obecności. Spodziewał się odpłynąć do Pristy wraz ze swymi ludźmi, by wyruszyć w drogę powrotną do Shaumkhiil, lecz nadejście okresu sztormów przerwało żeglugę po Morzu Videssańskim aż do wiosny.

Senpat Sviodo opowiadał Gagikowi Bagratouniemu jakiś dowcip w ich rodzimym języku. Przy poincie *nakharar* odrzucił głowę do tyłu i ryknął śmiechem. Jego pleciony hełm, tradycyjne, bojowe nakrycie głowy Vaspurakańczyków, spadł na podłogę. Pochylił się, by go podnieść, nie oszczędzając swej zranionej nogi. Senpat, jak zwykle, wolał czapkę z trzema daszkami i wstążkami, która wyglądała niezgrabnie na głowach większości jego rodaków.

Nepos, rzecz oczywista, wystąpił w błękitnej szacie videssańskiego duchowieństwa. Obok niego stał Laon Pakhymer. Dowódca kawalerii założył strój w videssańskim stylu, lecz nie tego rodzaju, który ucieszyłby serce mistrza ceremonii. Z sobie tylko wiadomych powodów postanowił ubrać się jak uliczny rzezimieszek w kanarkowozielone, błyszczące trykoty, na które nałożył płócienną koszulę z ogromnymi, bufiastymi rękawami, ciasno związanymi w nadgarstkach.

W tej sytuacji tylko trzech drużbowie paradowali w ceremonialnych, sięgających kostek szatach: Goudeles, Leimmokheir i Taso Vones. A nikt nie wzięłby Taso Vonesa za rodowitego mieszkańca Imperium; nie przy jego ogromnej, krzaczastej brodzie. Taron Leimmokheir nie ustępował mu, jeśli chodzi o zarost, lecz mało kto w mieście nie znał gęstych, siwych włosów admirała i jego posępnego oblicza.

Służący eunuch wsunął głowę do sali. – Bądźcie tak dobrzy, panowie, i zajmijcie

miejsca. Zaraz zaczynamy.

Marek ruszył, by przejść na czoło tworzącego się orszaku, i niemal się przewrócił. Jego własne ceremonialne szaty nie ustępowały wagą zbroi Gajusza Filipusa, a jeszcze bardziej utrudniały chodzenie. Złote i srebrne nici, którymi mienił się cynamonowy brokat, tylko zwiększały jego wagę, tak samo jak perły i drogie kamienie na kołnierzu, na piersiach i wzdłuż rękawów. Szeroki złoty pas, ozdobiony kolejnymi garściami rubinów, szafirów, ametystów i delikatnym emaliowaniem, ważył więcej niż pas, do którego przywykł i przy którym nosił miecz.

Służący zmarszczył nos na widok jego niezdarności i zatrzymał się, by sprawdzić, czy wszyscy są na właściwych miejscach. Odwróciwszy się, powiedział: – Tędy. Dokładnie tak, jak to ćwiczyliśmy – dodał uspokajająco.

Żaden videssański dworzanin, będący przy zdrowych zmysłach, nie pozostawiał niczego przypadkowi podczas dworskiej ceremonii; trybun znał plan procesji niemal tak dobrze jak musztrę rzymskiej piechoty. Gruby, spadający w fałdach jedwab jego szaty zaszeleścił, gdy ruszył w ślad za eunuchem.

Gdy tylko wyszedł na zewnątrz, ucieszył się z grubości swej szaty. Wiatr zacinał ostro, zimny i wilgotny. Za sobą usłyszał szczękanie zębów, chichot Arigha i syczącą odpowiedź Gorgidasa: – No, dalej, ciesz się. Mam nadzieję, że w Głównej Świątyni dostaniesz udaru ciepłego. – Arigh roześmiał się jeszcze głośniej.

–Och, znam ten dziedziniec – odezwał się Viridoviks. – Walczyliśmy tu, żeby osadzić Gavrasa na tronie i zrzucić, z niego tego młodego, jak mu tam, Sphrantzesa.

I wyrwać Alypię ze szponów stryja Ortaiasa, Vardanesa – wspomniał Marek – i wyprzeć Avshara z miasta. Naprawdę zdarzyło się to wszystko ponad dwa lata temu? Miał wrażenie, że wczoraj.

Spiżowe drzwi Wielkiej Sali Sądu, pokryte mnóstwem wspaniałych płaskorzeźb, rozwarły się bezgłośnie. Zostały uszkodzone, kiedy legionieści przedarli się przez nie tamtego dnia, lecz umiejętne naprawy videssańskich rzemieślników sprawiły, że ślady walki były niedostrzegalne.

Pierwszy przez drzwi przeszedł jeszcze jeden eunuch, by kierować ruchem. Za nim wyszli nosiciele parasoli, świadczący o obecności Imperatora. Thorisin Gavras nałożył szatę jeszcze wspanialszą niż szata Skaurusa; jedynie czubki jego czerwonych butów wyzierały spod jej obsypanego klej-

notami rąbka. Imperatorska korona, niska kopuła inkrustowana jeszcze wspanialszymi klejnotami, lśniła złoto na jego głowie. Tylko miecz wiszący u pasa Imperatora umniejszał nieco jego przepych; był to ów sponiewierany pałasz, z którym się nie rozstawał.

Grupa widessańskich szlachciców podążała za Gavrasem; urzędnicy i żołnierze przynajmniej raz wspólnie. Marek spostrzegł Provhosa Mourtzoughlosa, który wyglądał, jak gdyby miał w ustach coś o wyjątkowo paskudnym smaku. Ubrany był w szatę, której wściekle zielona barwa zdołała pobić trykoty Pakhymera. Nieustannie przyciągała ku sobie wzrok wszystkich obecnych, niedowierzający i pełen straszliwego oczarowania. Marek usłyszał, jak Gajusz Filipus mruczy: – Teraz wiem, jaki kolor ma ból głowy po przepiciu. – Zastanawiał się, czy Mourtzoughlos nie założył na siebie tego okropieństwa na znak milczącego protestu przeciwko ślubowi. Jeśli został ograniczony do takich śmiesznych gestów, to jego wrogością można się było nie przejmować.

Grupa Imperatora, pod czujnym okiem szambelana, zajęła miejsce kilka kroków przed Skauru-sem i jego towarzyszami. Natychmiast o niej zapomniał, ponieważ jeszcze inny służący wprowadził Aypię Gavras i towarzyszące jej damy na miejsce pomiędzy dwiema grupami.

Jej suknię uszyto z miękkiego, białego jedwabiu, przetykanego srebrnymi nićmi, zaś mankiety wykończono śnieżną koronką; zdawało się, że to przędza księżycowego blasku. Jej proste, brązowe włosy ujmował srebrny diadem.

Uśmiechnęła się i dotknęła szyi, kiedy mijała Marka. Jej naszyjnik, ze złota, szmaragdów i macicy perłowej, nie harmonizował z resztą stroju, lecz żadne z nich nie zamieniłoby go na nic, co pasowałoby bardziej.

Odpowiedział uśmiechem, życząc sobie, by mógł coś powiedzieć. Od chwili powrotu do stolicy widział się z nią zaledwie raz czy dwa, i to w nader urzędowych okolicznościach. Łatwiej przychodziło im się spotykać jako potajemnym kochankom niż teraz, jako oficjalnie zaręczonej parze. Lecz Thorisin ostrzegł: – Więcej żadnych skandali – i stwierdzili, że mądrzej będzie posłuchać. Teraz niewiele im już pozostało czekania.

–Popraw sobie kołnierz, słyszysz, Pikridios! – krzyknęła ostro żona Goudelesa, Tribonia. Ta wysoka, kanciasta kobieta o bladożółtej skórze przystroiła się w ciemnoniebieską suknię, która nie pasowała ani do jej figury, ani do cery. Kiedy urzędnik starał się niezdarnie wygładzić nie istniejącą zmarszczkę, jego żona skarżyła się każdemu, kto chciał słuchać: – Widzicie, jak o sobie nie dba? To najbardziej leniwy, niechlujny mężczyzna...

Trybun, który znał Goudelesa jako wybrednego eleganta, zastanowił się, czy ożenił się z nią dla pieniędzy, czy też dla pozycji. Bo o miłości nie mogło być tu chyba mowy.

Nevrata Sviodo, nie mogąc się powstrzymać, wzruszyła komicznie ramionami za plecami Try-bonii, a potem uśmiechnęła się tryumfalnie do Marka. Odpowiedział

skinieniem głowy, niezmiernie zadowolony, że jego nie przemyślane zaloty sprzed roku nie kosztowały go utraty przyjaciela albo

raczej dwojga przyjaciół.

Nevrata była jedyną nie-Videssanką w orszaku Alypii. Senpat rzekł: – Niektóre z tych wysoko urodzonych dam były zgorszone, kiedy księżniczka ją wybrała.

–Nie zauważyłem, by choć jedna się wycofała – odparł Skaurus.

Gwardia honorowa Halogajczyków i Rzymian ustawiła się na czele procesji; jeszcze jeden oddział zajął swoje miejsce z tyłu. Służba pałacowa ustawiła się w szeregu po obu stronach. Widząc, że wreszcie wszyscy są na swoich miejscach, szambelan Thorisina zagrał przenikliwą nutę na piszczalce. Ruszył naprzód majestatycznym krokiem, by wyznaczyć tempo, jak gdyby cały ten dzień został zaplanowany, by uczcić jego samego.

Niewielu widzów stało wzdłuż szerokich alej biegnących wśród ogrodów pałacowego kompleksu: jakiś ogrodnik, kucharz, murarz, jego żona i dzieci, grupka żołnierzy. Gdy tylko procesja dotarła do rynku Palamas, wszystko to zmieniło się. Gdyby nie podwójny rząd proporczyków zapewniających przejście zaplanowaną trasą, nikt nie przecisnąłby się przez morze ludzi tłoczących się na placu.

Żelaznoplucy herold Thorisina zawołał: – Radujcie się zaślubinami Księżniczki Alypii Gavras i Yposevastosa Skaurusa! Radujcie się! Radujcie! – Akcent herolda sprawiał, że wypowiadał imię trybuna jako „Skavros”, co nie brzmiało zbyt obco dla uszu mieszkańców miasta. Imponujący tytuł, jaki nadał mu Imperator – co w większym lub mniejszym przybliżeniu odpowiadało randze „drugiego ministra” i mogło znaczyć wszystko albo nic – również czynił zeń nie tak oczywistego cudzoziemca.

Jeden ze służących wcisnął mu w rękę mały, lecz ciężki woreczek. Tak jak go pouczono, zaczął ciskać sztuki złota w tłum, raz na lewo, raz na prawo. Przed nim Imperator robił to samo. Robili to też służący, lecz ich worki wypełniało srebro. Chodniki Ulicy Środkowej również szczelnie zapełniali wiwatujący widzowie. Lud stolicy, płochy i niesforny, oklaskiwał każde widowisko, a to podwójnie gorąco z powodu rozkosznej perspektywy rozrzucania pieniędzy.

–Radujcie się! Radujcie! – Posuwając się wolnym marszem, procesja minęła dwupiętrowy budynek z czerwonego granitu, mieszczący biura rządowe. Marek spojrzał nań czule, choć budynek raził wielkością i brzydotą. Gdyby podczas ostatniego Święta Zimowego Przesilenia nie natknął się przypadkiem na wychodzącą z niego Alypię, nie byłoby go dziś tutaj.

–Radujcie się! – Jakieś ćwierć mili za budynkiem rządowym herold skręcił na północ. Poza Ulicą Środkową, tłum nie stał tak gęsto. Z każdym krokiem Główna

Świątynia Phosa coraz bardziej górowała nad horyzontem; wkrótce sama się nim stała. Złoczone kule wieńczące jej cztery iglice lśniły równie jasno jak słońce, które symbolizowały.

Otoczony murem dziedziniec wokół Głównej Świątyni wypełniał tłum tak gęsty, jak ten na placu Palamas. Pałacowa służba rozrzuciła mnóstwo pieniędzy; tradycja wymagała, by opróżnili swoje

worki. Sprytni Videssańczycy doskonale to wiedzieli i zgromadzili się tam, gdzie mogli liczyć na najobfitsze resztki z pańskiego stołu.

Gwardia honorowa ustawiła się w szeregu u podnóża szerokich schodów wiodących do Głównej Świątyni. Na schodach czekali już wszyscy pozostali przy życiu Rzymianie; na tyle zdrowi, by utrzymać się na nogach. Kiedy Marek zbliżył się, ich ramiona wystrzeliły w salucie.

Szlachcice i urzędnicy ze świty Thorisina odsunęli się od Autokraty i zajęli swoje miejsca na stopniach, tworząc przejście dla niego, młodej pary i ich orszaków. – Teraz przyspiesz! – ponaglił szambelan opiekujący się Skaurusem i jego drużbami. Trybun pospieszył naprzód. Alypia, jej damy i Thorisin czekali aż on i jego drużbowie zrównają się z nimi. Z Imperatorem pośrodku, trybun i Alypia ruszyli w górę schodów. Za nimi, para za parą, postępowali drużbowie z uczeponymi ich ramion towarzyszkami księżniczki.

Na szczycie schodów, otoczony z obu stron przez stojących niżej w hierarchii kapłanów, czekał nowy patriarcha Videssos, z uniesionymi w błogosławieństwie rękoma. Skaurus odczuwał niewielki wstrząs za każdym razem, kiedy widział tego wysokiego mężczyznę w średnim wieku, przyodzianego w szatę ze złotogłowiu i błękitu. – Wydaje się nie w porządku, że nie ma tu Balsa-mona – powiedział.

Alypia skinęła głową. – Był częścią stolicy tak samo jak Srebrne Wrota.

–Ten Sebeos będzie rozsądnym patriarchą – rzekł Thorisin z cieniem rozdrażnienia w głosie; wybór następcy Balsamona w rzeczy samej należał do niego. Jak wymagał tego zwyczaj, przedstawił synodowi wysokich rangą duchownych trzy nazwiska, z których na patriarchę wybrano Sebeosa, poprzednio zwierzchnika Kypas, portowego miasta na zachodnich rubieżach.

–Oczywiście, jest zdolny – odparła natychmiast Alypia. – Jednak będzie miał kłopoty, by pokochano go tak samo jak Balsamona... całe Videssos traktowało go jak ukochanego wujaszka. I... – umilkła nagle. Gdyby powiedziała, ile Balsamon znaczył dla niej samej, przypomniałaby Thori-sin owi o kłopotach, które dopiero co się skończyły. Była na to za mądra.

Rozmawiali przyciszonymi głosami, ponieważ zbliżali się do Głównej Świątyni. Kiedy

zbliżyli się jeszcze bardziej, Marek stwierdził, że sam Sebeos wygląda na wyraźnie zaniepokojonego. Nic dziwnego – pomyślał trybun – niecały miesiąc na stanowisku i już prowadzi pierwszą wielką uroczystość pod okiem samego Imperatora. Nie każdy patriarcha panował tak długo jak Balsamon.

Kiedy Sebeos pozostał bez ruchu o kilka мгnien dłużej niż powinien, jeden z towarzyszących mu kapłanów pochylił się i szepnął mu coś do ucha. – Saborios zna się na swojej robocie – mruknął Skaurus do Thorisina i Imperator uśmiechnął się. Jego pies łańcuchowy w duchownej szacie cofnął się gładko na miejsce.

Dyskretnie pouczony, Sebeos postąpił naprzód na spotkanie weselnego orszaku, mówiąc: – Oby dobry bóg zesłał swoje błogosławieństwo na ten związek, tak jak jego słońce obdarza cały świat

ciepłem i światłem. – Miał głos w tonacji miękkiego barytonu, wywierający o wiele większe wrażenie, niż skrzypiący tenor Balsamona, i o wiele mniej interesujący.

Wraz z Alypia i Thorisinem, Marek w ślad za patriarchą naszkicował na piersi słoneczny znak Phosa. Ten obrzędowy gest wciąż wydawał mu się nienaturalny, lecz wykonał go doskonale; ćwiczył długo.

Sebeos skłonił się, odwrócił i poprowadził orszak do Głównej Świątyni. Z zewnątrz wielka budowla porażała swym ociężałym ogromem, z którym harmonizowały ściany z nie ozdobionego stiuku, małe okna i masywne przypory podtrzymujące wagę centralnej kopuły i otaczających ją mniejszych półkopuł. Wnętrze Świątyni Marek pamiętał równie dobrze jak widziane ostatnio wewnątrz świątyni w Garsavrze, która naśladowała swój większy pierwowzór. W chwili, kiedy wkroczył do środka, odkrył jak niewiele warte były jego wspomnienia.

Mógł jeszcze zignorować zbytek ławek, które ciągnęły się od ołtarza pod kopułą w czterech głównych kierunkach, ich polerowane drewno dębowe, sandałowe i heban oraz błyszczącą macicę perłową, tym łatwiej, bowiem zapełniali je dostojnicy nie dość ważni, by wystąpić w orszaku weselnym. Rząd kolumn oblicowanych zielonkawym agatem też robił wrażenie, lecz dorównywała mu kolumnada wyłożona wielobarwnym marmurem z Wielkiej Sali Sądu.

Wewnętrzne ściany przedstawiały niebiosa; wschodnia i zachodnia naśladowując wschód i zachód słońca taflami krwawnika, różowego kwarcu i rodochryzytu, wznoszących się na spotkanie z białym marmurem i turkusami, które pokrywały północną i południową ścianę aż do ich podstaw. Bił z nich blask, lecz one również służyły po to, by prowadzić wzrok w górę, ku centralnej kopule; w porównaniu z nią wszystko bladło.

Miękkie snopy światła wpadające przez ostrołukie okna w jej podstawie zdawały

sieją od-cieleśniać i sprawiały wrażenie, że kopuła unosi się nad Główną Świątynią. Światło odbijało się od złotej i srebrnej folii, jak lśniąca mleko i masło.

Snopy światła migotały również w złotych kostkach mozaiki wykładającej samą kopułę; migotanie przesuwało się z każdym krokiem jaki robił Skaurus. A ta przesuwaną się płaszczyzna złota stanowiła jedynie tło dla wielkiego wizerunku Phosa, który spoglądał z wysokości na swych wyznawców z wyrazem surowego osądu na swej długiej, okolonej brodą twarzy. W obliczu tego wzbudzającego cześć i grozę oblicza, z jego wszechwiedzącymi oczyma, które zdawały się wwiercać w jego duszę, trybun nie mógł nie odczuwać mocy videssańskiej wiary i mógł jedynie mieć nadzieję, że zostanie zapisany jako godny łaski w zapieczętowanej księdze, którą Phos dzierżył w lewej ręce. Bóg przedstawiony na kopule potraktowałby go sprawiedliwie, lecz nie miłosiernie.

Musiał nieświadomie zmylić krok, Alypia bowiem szepnęła: – Na wszystkich tak to działa. – Zobaczył, że tak jest w istocie. Nawet mieszkańcy stolicy, którzy codziennie oddawali cześć swemu bogu w Głównej Świątyni, nieustannie spoglądali na kopułę, jak gdyby upewniając się, że Phos nie

wskazuje na nich, w przestrodze za ich grzechy.

Chór w westybulu za północnym rzędem ławek zaintonował pieśń sławiącą chwałę Phosa, śpiewaną w starym języku liturgicznym, który Marek wciąż jeszcze rozumiał tylko po części. Pomyślał o tym, jak bardzo zwyczaje weselne Videssańczyków różniły się od praktykowanych w Rzymie. W Rzymie, choć ceremonie oczywiście zwykle towarzyszyły zaślubinom, to jednak ważnymi czynił je wyrażony przez partnerów zamiar zawarcia małżeństwa; ceremonie same w sobie nie były konieczne. Dla Videssańczyków obrzędy religijne *były* zaślubinami.

Jej Imperatorska Mość, Alania, powstała i dołączyła do męża, gdy Skaurus, Alypia i Thorisin minęli pierwszy od ołtarza rząd ławek. Z powodu swej ciąży nie brała udziału w procesji weselnej, lecz przybyła do Świątyni przed nią, niesiona w lektyce. Autokrata nie chciał narażać na niebezpieczeństwo jej zdrowia, choć w obszernych, spływających fałdami obrzędowych szatach dziecko, które w sobie nosiła, nie było widoczne. Miała oliwkową cerę i kruczoczarne włosy jak Komitta Rhangawe, lecz twarz krągłą i łagodną, a oczy, jej największy skarb, przypominały ciemne, spokojne sadzawki. Thorisin – pomyślał Marek – wybrał mądrze.

Potem trybun nie miał już czasu na takie błahe przemyślenia, ponieważ weselny orszak dotarł do świętego stołu wznoszącego się przed wyrzeźbionym z kości słoniowej tronem patriarchy. Imperator i jego małżonka cofnęli się o krok. Marek, tak jak go wyszkolono, ujął prawą dłoń Alypii w swoją lewą i złożył je na ołtarzu; pod koniuszkami palców poczuł chłód polerowanego srebra. Alypia, uśmiechając się, ścisnęła jego dłoń. Odpowiedział delikatnym uściskiem.

Z drugiej strony świętego stołu Sebeos rzekł cicho: – Spójrzcie na mnie. – Marek zobaczył, jak patriarcha bierze głęboki oddech. Aż do tej chwili trzymał swoje nerwy pod ścisłą kontrolą, lecz nagle, poprzez walenie serca, usłyszał wszystkie dochodzące doń dźwięki.

Chór umilkł. Sebeos zaintonował wyznanie wiary, którym Videssańczycy rozpoczynali każdy religijny obrzęd: – Błogosławimy cię Phosie, Panie o dobrym i prawym umyśle, z łaski swej nasz obrońco, czuwający by wielka próba życia mogła zostać rozstrzygnięta na naszą korzyść.

Marek i Alypia razem powtórzyli modlitwę. Trybun nie zająknął się. Postanowiwszy w końcu przyjąć wiarę Phosa, był zdecydowany uczynić to właściwie.

Główna Świątynia wypełniła się pomrukami, gdy również wierni powtarzali wyznanie wiary. Dwóch wysokich rangą oficerów namdalajskich zakończyło wyznanie dodatkiem, jakiego wymagała wiara ich ludu: – Na co stawiamy nasze dusze. – Ich sąsiedzi zmarszczyli brwi, słysząc tę herezję.

Sebeos również zmarszczył brwi, lecz ciągnął dalej po spojrzeniu na Imperatora, które powiedziało mu, że Thorisin nie chce robić z tego żadnej sprawy. Teraz znowu tak modlitwy, jak i wyuczone na pamięć odpowiedzi Skaurusa, wypowiadano w starym języku liturgicznym. Trybun wiedział mniej więcej, że prosi Phosa o błogosławieństwo dla siebie, dla swej przyszłej żony i dla

rodziny, którą zakładali.

Na wszystko odpowiedział prawidłowo, choć niekiedy tak cicho, że tylko ci, którzy znajdowali się najbliżej, mogli to usłyszeć. Alypia znowu ścisnęła mu palce, dodając odwagi. Jej własne odpowiedzi zabrzmiały głośno i zdecydowanie. Zwykle czuła się swobodniej w otoczeniu przyjaciół niż podczas wielkich zebrań, lecz postanowiła ten dzień uczynić wyjątkiem

Zakończywszy modlitwy, Sebeos powrócił do zwykłego videssańskiego. Rozpoczął kazanie o cnotach charakteryzujących szczęśliwe małżeństwo, kazanie tak doskonale konwencjonalne, że Marek na trzy zdania naprzód wiedział, co powie patriarcha. Szacunek, zaufanie, miłość, wyrozumiałość wszystko było na swoim miejscu, poprawne, uporządkowane i niemożliwe do zapamiętania.

Viridoviks głośno szepnął po łacinie: – Och, oto człowiek, który potrafi sprawić, że kochanie staje się nudne.

Marek zrobił wszystko, co w jego mocy, by nie wybuchnąć. Tęsknił za Balsamonem, który podjąłby ten sam temat i zmienił go w coś wartego wysłuchania.

Wreszcie Sebeos zauważył jak Imperator stuka butem w marmurową posadzkę.

Zakończył pospiesznie: – Te cnoty, jeśli się ich skrupulatnie przestrzega, zapewnią bez wątpienia szczęście domowemu ognisku.

Potem, zmieniając ton i zachowanie, zapytał Alypię i Skaurusa: – Czy wy dwoje jesteście przygotowani na to, by być wiernymi tym cnotom, i sobie nawzajem, aż po kres swego życia?

Marek zmusił swój głos do donośnego: – Tak.

Tym razem odpowiedź Alypii zabrzmiała cicho: – Och, tak.

Kiedy wypowiedzieli wiążące słowa, Thorisin wystąpił naprzód, by nałożyć trybunowi na głowę wieniec z mirtu i róż, zaś Alania uczyniła to samo z Alypią.

**–Oto widzicie ich z wieńcami małżeństwa na głowach! – zawołał Sebeos. –
Małżeństwo**

zostało zawarte!

Kiedy widzowie wybuchnęli oklaskami, Skaurus nasunął obrączkę na palec wskazujący lewej ręki Alypii. To również odpowiadało videssańskim zwyczajom; Rzymianie woleli trzeci palec tej samej ręki wierząc, że nerwy łączą go bezpośrednio z sercem. Obrączkę jednak wybrał sam – była ze złota, ze szmaragdem osadzonym w krążku z macicy perłowej. Alypia nie widziała jej przedtem. Zarzuciła mu ramiona na szyję.

–Pocałuj ją, ty durniu! – zakrzyknął Viridoviks.

Tego nie przewidywał protokół ceremonii; trybun spojrział na Thorisina, by zobaczyć, czy mieści

się to w granicach przyjętego zwyczaju. Imperator szczerzył zęby w uśmiechu. Marek uznał to za zezwolenie. Wiwaty zabrzmiały jeszcze głośniejsze. Rozległy się sprośne rady, takiego samego rodzaju, jakie słyssał – i sam wykrzykiwał – niegdyś w Mediolanie. Natura ludzka nie zmieniła się, i

powiedzonka również – pomyślał.

Poczuł, że Alypia zesztyniała nieco; niektóre okrzyki musiały przywołać wspomnienia, które wolałaby pozostawić pogrzebane głęboko w pamięci. Potrząsnąwszy z irytacją głową, stawiała temu dzielnie czoło. – To jest nasz ślub, tak jak to powinno być – powiedziała, kiedy usiłował ją pocieszyć. – Już wszystko w porządku.

Tłumy rzedniały, kiedy weselny orszak wyłonił się z Głównej Świątyni, by mszyć na

uczcie przygotowaną w Sali Dziewiętnastu Tapczanów. Pałacowi słudzy dźwigali wypełnione na nowo worki, większe niż te, z których rozrzucali monety po drodze do Głównej Świątyni, lecz mieszczanie byli nimi o wiele mniej zainteresowani; zawierały tylko orzechy i figi, symbole płodności.

Pełny krąg – pomyślał Marek, kiedy przechodził przez gładko wypolerowane spiżowe drzwi Sali Dziewiętnastu Tapczanów. Tutaj spotkał Alypię, wraz z wieloma innymi osobami, podczas pierwszego wieczoru, jaki Rzymianie spędzili w stolicy Videssos. Miał szczęście, że Avshar nie zabił go tej samej nocy.

Jak nakazywała tradycja, on i Alypia mieli do dyspozycji jeden, wspólny puchar; służebna dziewczyna kręciła się w pobliżu ze srebrnym dzbanem pilnując, by puchar ani przez chwilę nie stał pusty. Inni potrafili zupełnie dobrze zadbać o takie sprawy sami – Gawtruz, tłusty, łysy ambasador z Thatagusb, w jakiś sposób zdołał zwędzić cały dzban dla siebie. – Hej! Gratulacje ja wam składać! – wykrzyknął w łamanym videssańskim. Uważał za pożyteczne dla siebie granie roli pijanego barbarzyńcy, lecz w rzeczywistości wcale nie był głupcem i kiedy tylko chciał, potrafił posługiwać się językiem. Imperium bez akcentu i z wielką ogładą.

Trzymając smażoną krewetkę w jednej ręce, Thorisin Gavras zaczął walić drugą w blat stołu, aż przyciągnął uwagę wszystkich obecnych. Wskazał na inny stół, w kącie, w pobliżu drzwi wiodących do kuchni, zavalony stosem podarunków. – Moja kolej, by coś do nich dodać – powiedział.

Rozległ się uprzejmy szmer oklasków i parę ochryplych wiwatów biesiadników, którzy już zdążyli się upić. Gavras poczekał, aż znów zapadła cisza. – Uhonorowałem już pana młodego stanowiskiem yposevastosa, lecz przecież nie może jeść stanowiska, choć czasami wydaje mi się, że w tym mieście oddychamy nimi. – Oczywiście dowcip rzucony przez Imperatora wywołał śmiech.

Thorisin ciągnął: – By mógł przeżyć, nadaję mu na własność posiadłości na zachodnich rubieżach, oderwane od korony przez zdrajcę i buntownika Baanesa Onomagoulosa, i udzielam mu zezwolenia na osiedlanie na tych ziemiach żołnierzy, którymi dowodził, tak by on i oni mogli zdobyć środki umożliwiające im obronę Videssos w przyszłości, tak jak to czynili w przeszłości. W niedalekiej przyszłości – pomyślał Marek; ziemie Onomagoulosa znajdowały się w pobliżu Garsa-vry, na skraju terytoriów nawiedzanych przez Yezda. Wspaniały dar, lecz niebezpieczny – od początku do końca w stylu Thorisina. A imperator darował mu również to, czego pragnął każdy rzym-

ski dowódca – ziemię dla jego żołnierzy.

Przepełniony dumą, skłonił się niemal w pas. Szepnął do Alypii: – To ty namówiłaś go do tego ostatniego. – Studiując przeszłość Videssos odkryła, że kłopoty Imperium

zaczynały się wtedy, kiedy pogarszała się sytuacja i zmniejszała liczba osiadłych na wsi rolników-żołnierzy.

Potrząsnęła przecząco głową. – Mój stryj podejmuje decyzje sam, zawsze. – W jej oczach błysnęły ogniki. – Sądzę, że ta należy do jego najlepszych.

Tak też, najwyraźniej, sądziła większość Videssańczyków, którzy otoczyli Skaurusa, by gratulować mu wciąż bez końca, i być może aby wychwalać człowieka, który nagle stał się jednym z najpotężniejszych w ich gronie. Jeśli uważali go za gorszego, bowiem nie był ich krwi, troskliwie starali się tego nie okazywać.

Lecz Provhos Mourtzouphlos był na tyle zuchwały, by krzyknąć: – Ten przeklęty cudzoziemiec nie zasługuje na zaszczyty, jakimi go obdarzasz!

Głos Thorisina stał się zimny jak lód. – Kiedy twoje zasługi dorównają jego zasługom, Provho-sie, wówczas będziesz mógł podawać w wątpliwość moje poczynania. Do tego jednak czasu trzymaj język za zębami. – Zapalczywy młody szlachcic, wierny własnym zasadom, wymaszerował z sali.

Tylko ten jeden incydent zmącił uroczystości, choć Marek przeżył chwilę niepokoju, kiedy Tho-risin zaprowadził go do stołu z podarkami i rzekł: – Sądzę, że potrafisz mi to wyjaśnić.

„To” miało postać pięknej statuetki wyrzeźbionej w kości słoniowej w kipiącym szczegółami, wykwinnym makurańskim stylu, przedstawiającej wysokiego może na stopę, stojącego wojownika. Miecz, którym wymachiwał wojownik, wykuto ze złota; dwa bliźniacze szafiry zastępowały oczy. – To od Wulghasha – rzekł niepewnie trybun.

–To wiem. Założę się, że to pierwszy cholerny ślubny prezent, jaki kiedykolwiek doręczono pod osłoną białej flagi. – Imperator zdawał się bardziej rozbawiony, niż cokolwiek innego; Skaurus odprężył się.

–Jaki piękny jedwab tu mamy – zauważył Gavras, przesuwając szacujące ręką po beli gładkiej, lśniącej tkaniny, pofarbowanej na czerwień przechodzącą w głęboką purpurę. – Cenny dar. Czy mogę zapytać od kogo?

–Od Tahmaspa – odparł Marek.

Thorisin uniósł brew na dźwięk egzotycznego imienia, a potem umiejscowił je sobie. – Aha, to

ten kupiec, z którego karawaną podróżowałeś. Skąd się dowiedział, że masz nałożyć na siebie to słodkie jarzmo?

–Nie mam pojęcia – stwierdził trybun, lecz wiedział, że nie zaskoczy go już nic, cokolwiek

zrobi Tahmasp. Jego zdziwienie wywołał natomiast leżący obok jedwabiu nóż, służący do miotania.

Ten podarunek przesłał mu Kamytes, a Marek uważał dowódcę eskorty karawany za człowieka

pozbawionego krzty sentymentalizmu.

Kiedy Imperator zwolnił go, Marek wrócił do Alypii. Opodal na niewielkim podwyższeniu po-dzwaniał jakiś instrument klawiszowy; akompaniowali mu fleciści i dwóch muzyków rzępolących na wiołach różnej wielkości. Muzyka, ach a i pozbawiona natarczywości, sprawiała, że trybun, który zwracał niewielką uwagę na takie rzeczy, ledwie ją słyszał.

Jednak Senpata Sviodo ogromnie to irytowało. Wsunął jakiemuś służącemu do ręki parę miedziaków i podał mu hasło konieczne do wejścia na teren koszar legionistów, tak by wartownicy nie wzięli go za złodzieja. Mężczyzna wybiegł klusem z sali i wkrótce wrócił z bandurą Vaspura-kańczyka. – Ha! Dobrze się spisałeś – powiedział ten i dorzucił służącemu jeszcze parę miedziaków.

Senpat wskoczył na podwyższenie. Muzycy, zaskoczeni, urwali nierówno graną melodię. – Dość tej papki! – zawołał Sviodo. – Panie i panowie, oto melodia odpowiednia do tej uroczystości! – Uderzył w struny, wydobywając z nich dźwięczny ton. Głowy odwróciły się, jak gdyby przyciągnięte magnesem. Zaśpiewał czystym, silnym tenorem, przytupując do taktu obutą stopą.

Niewielu rozumiało słowa pieśni śpiewanej po vaspurakańsku, lecz nikt nie potrafił usiedzieć na miejscu przy dźwiękach tej skocznej, dzikiej muzyki, rozbrzmiewającej w Sali. Wkrótce biesiadnicy wirowali już w kilku koncentrycznych kręgach, z których jeden kręcił się w tę, a drugi w przeciwną stronę. Tańczący unosili ręce, klaszcząc do taktu Senpatowi.

Alypia przytupywała nogą. – Chodźmy – powiedziała, pociągając Marka za rękaw. Skaurus ociągał się, nie mając ani upodobania, ani zdolności do tańca. Lecz ustąpił pod wpływem jej zawiedzionego spojrzenia i pozwolił się zaprowadzić do zewnętrznego kręgu.

–Nie wydostaniecie się tak łatwo! – zawołał Gajusz Filipus. Zdradziecki starszy centurion tańczył w drugim od zewnątrz kręgu; kiedy wirując w tańcu mijał trybuna, wyciągnął rękę i wciągnął go wraz z Alypią do środka.

Inni tancerze, śmiejąc się i klaszcząc, wciągali ich coraz głębiej, aż w końcu

wypchnęli na otwartą przestrzeń stanowiącą oś kręgów, gdzie samotnie tańczył Viridoviks. – Pewne jak nic, że to wasze miejsce – powiedział Gal, wślizgując się do wewnętrznego kręgu.

Skaurus poczuł się jak człowiek skazany na przemawianie po Balsamonie. Celtycki taniec Viri-doviksa, wykonywany z ogromną werwą, przyciągał wzrok każdego mężczyzny i każdej kobiety. W niczym nie przypominał tańców Imperium, ponieważ tańcząc Gal utrzymywał w bezruchu ciało od pasa w górę i nie poruszał wspartymi o biodra rękoma. Lecz jednocześnie wykonywał tak zawile kroki i tak. wysoko podskakiwał, że każdy widział wyraźnie, jak znakomitym jest tancerzem.

Trybun wierzgał i wycinał hołubce, czasem w takt, lecz o wiele częściej nie. Nawet z Alypią, szczupłą i wdzięczną w jego ramionach, wiedział, że wygląda żałośnie. Lecz wkrótce uświadomił sobie, że nie ma to żadnego znaczenia. Jako pan młody miał być w środku. Poza tym nic więcej się

nie liczyło.

Senpat Sviodo zakończył z wirtuozerią skomplikowanym ozdobnikiem i krzyknął: – Hej! – i w burzy oklasków zeskoczył z podwyższenia z uniesioną wysoko nad głową bandurą. Nieco zdyszany, Marek skorzystał z okazji i wymknął się.

Talent Senpata i jego uderzająca uroda ściągnęły doń stadko pełnych podziwu pań. Flirtował bezczelnie z każdą ze swoich nowych zdobyczy i z żadną nie posunął się o krok dalej; Skaurus zobaczył, jak puszcza oko do swojej żony. Nevrata stała spokojnie na uboczu, obserwując jak. się bawi.

Viridoviks – pomyślał Marek – również zasłużył sobie na uwagę po swoim występie. Jednak Gala nigdzie nie było widać.

Pojawił się parę minut później, wchodząc do sali przez boczne drzwi; za nim, nie martwiąc się zbyt o zachowanie należytej dyskrecji, weszła jakaś szlachcianka, która jeszcze poprawiała na sobie suknię. Trybun zmarszczył brwi; kiedy się nad tym zastanowił stwierdził, że nie było to pierwsze zniknięcie Viridoviksa.

Gal musiał dostrzec z daleka minę Skaurusa. Machnął do trybuna ręką. – Pewne jak nic, że masz rację – rzekł po łacinie, kiedy się zbliżył. – Jestem świnia, bez dwóch zdań. – Dopiero wtedy Marek zauważył, jak bardzo jest pijany.

Oczy Viridoviksa wypełniły się łzami. – Oto moja słodka Seirem nie żyje, a ja parzę się po kryjomu z Evdoksją i... och, co za wstyd, nawet się nie dowiedziałem, jak ta druga ma na imię!

–Spokojnie, spokojnie. – Marek położył rękę na ramieniu Gala.

–Pewnie, łatwo ci tak mówić, kiedy masz za żonę tak wspaniałą dziewczynę i w ogóle. Wiem, jakim jesteś szczęśliwcem. Takie pokątne pieprzenie to okrutnie bolesna namiastka, ale jak inaczej mogę znowu znaleźć to, co straciłem?

–Co go tak martwi? – zapytała Alypia. Nie mogła zrozumieć o czym mówią, ale niedola Celta biła w oczy bez słów. Kiedy Viridoviks skinął głową, Skaurus szybko wyjaśnił, o co chodzi.

Rozważyła problem z całą powagą, jak gdyby chodziło o jakiś historyczny dylemat. – Cały kłopot, jak sądzę, bierze się z braku rozróżnienia pomiędzy tym, co nazywamy miłosnymi igraszkami, a prawdziwą miłością. Nie ma szybszej drogi do kobiecego serca niż ta, która zaczyna się pomiędzy jej nogami, lecz istnieje wiele znacznie pewniejszych.

–Mądre to i jest – orzekł Viridoviks po chwili głębokiej zadumy. Zwrócił się do Marka z pijacką powagą: – To prawdziwy skarb. Opiekuj się nią dobrze.

–Czy mam go położyć do łóżka? – Gorgidas pojawił się u boku trybuna jak zwykle, kiedy był potrzebny.

–Tak, pójdę z tobą – odpowiedział sam za siebie Viridoviks, a potem skłonił się Alypii z ogromną godnością. – Pani, zabieram się stąd teraz i żeby mnie pokręciło za to, że okazałem się

takim bałwanem, by rzucić cień na uroczystość; twoich zaślubin.

–Nonsens – odparła zdecydowanie. – Pociecha w smutkach zawsze powinna przyjść w porę, a zbyt rzadko się to zdarza. Pamiętam. – Jej głos ścichł, oczy spoglądały gdzieś w dal. Marek przytulił ją do siebie.

Zadrżała i otrząsnęła się z zamyślenia. – Nie martw się o mnie. Czuję się znakomicie, naprawdę. – Mówiła cicho, lecz z podobną rzeźkością jak wówczas, kiedy zwracała się do Viridoviksa. Kiedy Skaurus wciąż wahał się, dodała: – Jeśli już musisz mieć dowód na to, że jesteśmy sobie przeznaczeni, to jednym jest fakt, że zauważyłeś, kiedy ogarnęło mnie przygnębienie. A tu masz następny. – Pocałowała go, co wywołało wiwaty biesiadników. – Widzisz? Czy teraz już mi wierzysz?

Oddał jej pocałunek, bowiem uznał, że nie potrafi znaleźć lepszej odpowiedzi. Wszystko wskazywało jednak, że była to nader właściwa odpowiedź.

Niektórzy weselni goście wciąż jeszcze śpiewali ochryple w ciemnościach przed stojącym w odosobnieniu budynkiem pałacowego kompleksu, który to budynek rodzina Imperatora wykorzystywała na własne potrzeby. Jednak nikt nie podążył do środka za Markiem i Alypią, z wyjątkiem Thorisina i Alanii, a oni od razu udali się do siebie.

Trybun rozwarł na oścież drzwi apartamentu, w którym on i Alypia mieli mieszkać aż do chwili, kiedy opuszczą miasto, by objąć podarowane Skaurusowi przez Imperatora posiadłości. Służący zdążyli już przyjść i odejść, zaledwie przed paroma minutami; spotniały srebrny dzban z winem spoczywał w wazie z pokruszonym lodem, a obok stał, zgodnie ze zwyczajem, jeden puchar. Nakrycie łoża, jedwabne prześcieradła i miękkie futra, odrzucono zapraszająco. Pojedyncza lampa migotała na stoliku obok łoża.

Alypia niespodziewanie pisnęła. – Co ty robisz? Postaw mnie!

Marek uczynił to już w komnacie. Uśmiechając się, powiedział: – Od początku do końca tych zaślubin postępowałem zgodnie z videssańskimi zwyczajami. Nie skarżę się; to było jedynie właściwe. Lecz teraz postąpiłem zgodnie z moim zwyczajem. Panna młoda powinna być przeniesiona przez próg.

–Och, dobrze, już wszystko w porządku. Mogłeś mnie tylko uprzedzić.

–Przepraszam. – Z jego tonu i miny biła taka skrucha, że Alypia wybuchnęła śmiechem. Marek, uspokojony, zamknął i zaryglował drzwi. Sam również zaczął się śmiać. – O co chodzi,

mężu? – zapytała Alypia. Wymówiła to słowo z dumną zachłannością, charakterystyczną dla młodych mężatek. – A może powinnam powiedzieć, prawowity mężu? – zapytała złośliwie, naśladując to, jak ją podnosił.

–Nie to dało mi prawo – odpowiedział. – Choć właśnie pomyślałem, że oto pierwszy raz zamykam za nami drzwi, nie martwiąc się o to, że ktoś przyjdzie, by je wykopać.

–Za co niech będzie chwała Phosowi – powiedziała natychmiast Alypia. Jej śmiech zabrzmiał odrobinę nerwowo. – Te drzwi, racz zauważyć, są również solidniejsze.

–Prawda, choć nie zamierzałem rozmawiać o nich przez całą noc.

–Ani ja. – Spojrzała na dzban z winem. – Chcesz jeszcze trochę? Nie jestem pewna, lecz sądzę, że jeszcze jeden puchar tylko zmorzyłby mnie snem.

–Nie możesz tego pić – przytaknął z powagą Marek. – Myślę, że ja też wypilem dość na uczie.

Zdjął pachnący ślubny wieniec i zaczął go podrzucać na ręce. – Nie rób tak! – zawołała Alypia. – Zawiesza się je na wezglowiu łoża, na szczęście. – Odebrała od niego ślubny wieniec i zawiesiła na najbliższym słupku baldachimu, a potem zdjęła z głowy swój i wdrapała się na łożko, żeby zawiesić go na drugim.

Marek postąpił naprzód i dołączył do niej. Objęła go namiętnie, szepcząc: – Och,

Marku, już wszystko za nami! Kocham cię.

Zdążył powiedzieć: – I ja ciebie – nim ich usta się zetknęły.

Grube obrzędowe szaty krępowały ich niemal tak samo, jak gdyby mieli na sobie zbroje, lecz z zapięciami Skaurus poradził sobie szybciej. – Pospiesz się – ponagliła go Alypia, gdy zabrał się do własnej szaty. – Zimno mi tu samej.

Lecz zmarszczyła brwi, kiedy strząsnął szatę z ramion.

–Ta jest nowa – powiedziała, przesuwając palcem wzdłuż długiej blizny na jego piersi.

–Tę zarobiłem w Mashiz. Byłoby gorzej, lecz Gorgidas wyleczył ranę.

–Tak, pamiętam jak o tym mówiłeś. Jest z przodu, jak każda zaszczytana rana. Lecz zaskoczyła mnie, a ja chcę znowu do ciebie przywyknąć.

–Teraz będziesz miała na to całe lata. – Wziął ją w ramiona.

Objęła go mocno. – Tak. Och, tak.

Zdmuchnął lampę.

Gajusz Filipus rozbryznął wodę, przechodząc przez kałużę na rynku Palamas. – Idzie ku wiośni. Te trzy ostatnie burze przyniosły tylko deszcz. Żadnego śniegu od jakiegoś czasu.

Marek skinął głową. Kupił małą smażoną mątwę, zjadł ją i oblizał do czysta palce. – Dużo bym dał, żebym mógł już wam kazać udać się na zachód.

–Ile już razy o tym gadaliśmy? – rzekł cierpliwie starszy centurion. – Chcesz mieszkać na gospodarstwie; wspaniale, wolna droga. Co do mnie, wychowałem się na takim i wyrwałem się

stamtąd najszybciej jak mogłem.

–To nie będzie tak – zaprotestował Skaurus. – Miałbyś ziemię, z którą mógłbyś robić co chcesz, a nie jakąś maleńką działeczkę, na której nie pozostawało ci nic innego, jak tylko głodować.

–Więc zamiast tego zanudziłbym się na śmierć. Czy tak lepiej? Nie, jestem szczęśliwy z możliwości, jaką oferował mi Gavras. Przynajmniej jako instruktor piechoty będę wiedział, co robię. Nie martw się o mnie; nie zapomnę łaciny. Zostanie ze mną w mieście przyzwoita kadra solidnych Rzymian. – Była to prawda; podczas gdy większość legionistów ochoczo przyjęła gospodarstwa w podarowanych

Markowi posiadłościach, parę tuzinów stwierdziło, że woli bardziej aktywną służbę. Thorisin ucieszył się z możliwości zatrzymania ich w stolicy, mogli bowiem przeszkolić videssańską piechotę i podciągnąć do swego poziomu.

–Ta robota ma znaczenie – obstawał przy swoim Gajusz Filipus. – Wy wszyscy stępiejcie tam, zbyt zajęci zbiorami, bydłem i bachorami, żeby zawracać sobie głowę musztrą. Nie przekazacie jej swoim synom i przepadnie na dobre, chyba że zapamiętają ją Videssańczycy... a przy mojej nauce zapamiętają. Nie jestem pismakiem, tak jak Gorgidas; jaki lepszy pomnik mogę po sobie zostawić?

–Każdy, kto przeszedł przez twoje ćwiczenia, zapamięta je na zawsze – zapewnił go Marek. Centurion chrząknął, głównie z zadowolenia. Trybun ciągnął dalej: – W porządku, jeszcze raz pokonałeś mnie w tej dyskusji. Lecz my również nie przestaniemy być żołnierzami, nie z takimi sąsiadami jak Yezda. Jednak chodzi głównie o to, że jestem samolubny. Będzie mi smutno, że nie mam cię pod ręką. Będzie mi ciebie brakowało i to mocno brakowało, szczerze mówiąc.

–Cóż, bogowie – weteran nie zamienił starej wiary na wiarę Phosa – przecież to nie tak, jak byśmy się już mieli nigdy nie zobaczyć. Niech tylko pojawią się kłopoty, a Thorisin w pierwszym rzędzie powoła do armii Rzymian. A jeśli Yezda *tobie* sprawi kłopoty, przybędziemy ze stolicy, żeby powstrzymać albo i jeszcze zepchnąć Yavlaka dalej w głąb płaskowyżu.

–Poza tym to, że nie chcę gospodarzyć na roli nie oznacza, że nie będę cię odwiedzał. Zjawię się raz na jakiś czas, żeby żłopać twoje wino i podszczypywać służące, dopóki nie będziesz miał mnie dość. I kto wie? Może wówczas wybiorę się któregoś dnia znowu do Aptos, a ty byłbyś do tego doskonałą bazą wypadową.

–Oczywiście. – W ciągu zimy Gajusz Filipus mówił wciąż na nowo o zalotach do Nersy Phorkainy. Skaurus nie wierzył, by kiedykolwiek zdobył się na to sam. Trybun zmarszczył nieznacznie brwi. Z życzliwego przyjęcia, z jakim weteran spotkał się u Nersy zeszłej jesieni wywnioskował, że może być tym zainteresowana. Może wiadomość sugerująca, by dyskretnie uczyniła pierwszy ruch, pomogłaby jakoś. Zanotował w pamięci pomysł i odłożył, by zrealizować, kiedy znajdzie na to czas.

Tu i tam zielone pączki liści zaczynały już nabrzmiewać na drzewach w ogrodach pałacowego

kompleksu. Pierwsze ufne kielki trawy przedzierały się przez martwy, zabłocony, brunatnożółty kobierzec zeszłorocznego trawnika.

Gajusz Filipus odszedł, by spierać się z płatnerzem o właściwe wyważenie jakiegoś sztyletu. Marek ruszył do prywatnej rezydencji rodziny Imperatora. Drzewa wiśniowe otaczające ceglany budynek wciąż jeszcze raziły nagimi gałęziami; wkrótce obsypie

je masa wonnego, różowawego kwiecia.

Nieco roztargniony, Skaurus odpowiedział na salut wartowników stojących przy wejściu. Jego wzrok przyciągały skrzynie, pudła i tłumoki zwalone na stos przed budynkiem: meble i sprzęty gospodarstwa domowego przygotowane do przewiezienia do jego nowego domu, kiedy bite drogi wiodące na zachód obeschną wystarczająco. Lata życia w armii przyzwyczyły go do radzenia sobie ze znikomą ilością dobytku; myśl o posiadaniu tak wielu rzeczy przerażała go nieco.

W korytarzu unosił się zapach skwaśniałego mleka. Akuszerki sprowadziły Pharosa Gavrasa na świat na miesiąc przed wyznaczonym terminem, lecz był silny i zdrowy, nawet jeśli wyglądał jak łysa, różowa, pomarszczona małpka. Marek skulił się, kiedy przypomniał sobie ból głowy, z jakim obudził się po uczczeniu wraz z Thorisinem narodzin jego spadkobiercy.

W głosie Aypii zadźwięczało rozdrażnienie. – Więc co właściwie chcesz przez to powiedzieć? – zapytała gniewnie.

–Nie to, czego ty się w tym doszukujesz, to pewne! – padła niemal równie rozzłoszczona od

powieź.

Trybun spojrział przez otwarte drzwi pracowni. Tak jak reszta apartamentu i ten pokój był skąpo umeblowany; pusty w rzeczywistości, gdyby nie tapczan i stojące przed nim biurko. Reszta mebli została już zapakowana.

–Cicho, cicho. Wy dwoje doprowadzicie do tego, że eunuchy uciekną, żeby schować się w

mysiej dziurze albo, co bardziej prawdopodobne, ściągniecie tu wartowników przekonanych, że

rzuciliście się sobie do gardeł, i że trzeba was rozdzielić.

Na twarzach Aypii i Gorgidasas pojawił się równocześnie wyraz zawstydzenia i wyzwania. Sekretarz siedzący pomiędzy nimi wyglądał na wyraźnie strapionego. Skaurus zobaczył, że zapisał jedynie kilka linijek, a w dodatku część z nich już wykreślił. Gorgidasas rzekł: – Teraz wreszcie zrozumiałem mit o Syzyfie. Skała, którą pchał pod górę, to tłumaczenie i jestem zdziwiony, że nie zmiażdżyła go, kiedy toczyła się na dół.

A zatem Gorgidasas opowiadał Aypii o Syzyfie, zaś księżniczka sporządzała notatkę, która być może któregoś dnia pojawi się w spisywanej przez nią historii. – Choć kto wie, kiedy zostanie to ukończone – zwróciła się do Marka. – Jeszcze jeden powód,

by często odwiedzać Videssos. Jak mam pisać bez dokumentów, w których mogłabym sprawdzić fakty, i bez ludzi, których powinnam wypytać?

Zanim zdążył odpowiedzieć, zwróciła się znowu do Gorgidasa. Skaurus przywykł do tego; długa praca polegająca na przekształcaniu zapisków Greka w coś, co być może zechcą przeczytać vides-sańscy czytelnicy spoufaliła ich ze sobą tak, jak wspólne kradzieże spoufalają złodziei. – Wspaniale nam się współpracuje. Jeśli przetłumaczymy zbyt dosłownie, wówczas to, co zapisałeś, nie będzie miało sensu w moim języku, lecz znowu kiedy zapędzimy się zbyt daleko w drugą stronę, to wówczas umknie nam istota tego, co powiedziałaś. *Eis kórakas* - dodała. – Niech to kruki zadziobią; greckie przekleństwo, które sprawiło, że trybun i Gorgidas wybuchnęli śmiechem zaskoczeni.

Rozdrażnienie opuściło lekarza, jak powietrze przekłuty balonik. – Co osiągnę narzekaniem? Kiedy zacząłem pisać sądziłem, że będę jedynym człowiekiem, który kiedykolwiek przeczyta te ba-zgroły, z wyjątkiem, być może, Marka. Bo któż inny mógłby? Jeśli jednak ma być to opublikowane...

–Zasługuje na publikację – powiedziała stanowczo Alypia. – Po pierwsze, jako relacja naocznego świadka, po drugie zaś, ponieważ jest to historia zapisana tak, jak powinno się rejestrować historię; widzisz minione wydarzenia wraz z przyczynami, które do nich doprowadziły.

–Staram się – rzekł Gorgidas. – Ta część, nad którą się właśnie męczymy, rozumiesz, nie została sporządzona na podstawie moich własnych obserwacji; zrelacjonował mi ją Viridoviks. Masz, Skaurusie, przydadaj się na coś. – Dźgnął pergaminem w Rzymianina. – Jak ty przełożyłbyś ten fragment na videsański?

–Ja? – zapytał zatrwożony Marek; większość wysiłków, jakie podejmował w tym kierunku, nie spotkała się z dobrym przyjęciem. – Którą część? – Gorgidas pokazał mu omawiany ustęp. Mając nadzieję, że pamięta znaczenie paru greckich słów, powiedział: – Co sądzisz o tym: „Niektóre klany poparty Varatesha nie tyle dlatego, że nienawidziły Targitausa, lecz głównie dlatego, że obawiały się Avshara”?

–Nieźle – odparł Gorgidas. – Zachowuje kontrast, jaki nakreśliłem. – Alypia ściągnęła usta z miną znawcy i skinęła głową.

–Powtórz mi to, proszę – zwrócił się doń sekretarz i zapisał podyktowane zdanie.

Gorgidas i Alypia, wspólnymi siłami, roznieśli na strzępy następną propozycję Skaurusa.

Krótko potem, po kolejnej sprzeczce, Gorgidas powiedział:

–Wystarczy na razie. Może pójdzie lepiej, kiedy spojrzemy na to świeżym okiem. –

Skinienie głowy, jakie posłał Alypii, bardziej przypominało oddany na siedząco ukłon. Rzekł do niej: – Gdybyś chciała, uznałbym za zaszczyt możliwość odszukania potrzebnych ci rękopisów i przesłania ich do twego nowego domu. To, oczywiście, nie zdoła zastąpić twych własnych badań, lecz może jakoś pomóc.

–Umowa stoi – powiedziała z taką samą porywczą stanowczością, jaką w podobnej sytuacji

mógł zaprezentować Thorisin. Ciepły uśmiech i słowa podziękowania złagodziły podobieństwo.

Greki powstał, by się pożegnać. – Będziesz bardzo zajęty, prowadząc własne badania i pomagając Alypii, i w dodatku jeszcze lecząc – zauważył Marek, gdy odprowadzał go do wyjścia.

–Lekarze winni być zajęci, po to są. Co do odszukania tych zapisków dla twojej żony, to jest

to najmniejsza rzecz, jaką mogę dla niej zrobić, nie sądzisz? Nie tylko z wdzięczności za życzliwość

ś, jaką mi okazuje, lecz również dlatego, że wiele się od niej nauczyłem.

Skaurus pomyślał, że Grek nie mógłby udzielić większej pochwały, lecz Gorgidas zdumiał go, kiedy mruknął: – Szkoda, że nie ma siostry. – Wybuchnął śmiechem na widok miny trybuna. – Nie wszystko, co wydarzyło się na stepie, zostało zapisane. Potrafię jako tako dać sobie z tym radę, a poza tym chciałbym mieć kiedyś syna. – Jak gdyby w odpowiedzi, cieniutki krzyk spłynął do korytarza z pokoju dziecinnego.

Jeden z wartowników przed wejściem musiał opowiadać jakąś sprośną historyjkę. Skaurus usłyszał chichoty, a potem głos Viridoviksa: – Skończ już z tymi przechwałkami. Przypominasz mi komara, który wypieprzył wilczycę i powiedział: „Mam nadzieję, że nie zrobiłem ci krzywdy, kochanie”.

Śmiech zabrzmiał głośniejszy; trybun usłyszał obok siebie zduszone parsknięcie Gorgidasa. Wartownik rzekł: – Przyszedłeś mnie tu obrażać, czy też masz jakiś uczciwy powód?

–Och, co za bezczelność! – zawołał Gal, jak gdyby dotknięty do żywego. – Ale tak, mam sprawę do Skaurusa, jeśli jest w domu.

–Tu jestem. – Marek wyszedł z korytarza i zanurzył się w rozwodnionym bliskim deszczem blasku słońca.

–Sam we własnej osobie – zawołał Viridoviks. Machnął ręką na stos skrzyń i pudeł.

– Pewne jak nic, że musiałeś opróżnić wszystkie pałace i przy okazji Główną Świątynię też. Co do mnie, daję sobie radę z tym, co noszę na grzbiecie.

–Należy jednak pamiętać, że osły potrafią unieść niezwykle dużo – rzekł Gorgidas. – I gdyby Thorisin nie osadził cię na twojej własnej posiadłości, połowa szlachciców w mieście złożyłaby się, żeby ci jakąś kupić i w ten sposób oderwać cię od ich żon.

Gal wzruszył ramionami. – Bo ta druga połowa ożeniła się ze szpetnymi dziewczynami, biedne łobuzy. – Gorgidas wyrzucił ręce do góry, pokonany. Wartownicy śmiali się tak, że musieli się nawzajem podtrzymać. Viridoviks nie potrafił wziąć sobie do serca rady Alypii; jego flirty znało całe miasto. Lecz romansował z taką pogodą i dobroduszością, że zdołał jakoś nie narobić sobie śmiertelnych wrogów, tak po stronie brzydkiej, jak i pięknej płci.

Marek rzekł: – Przeszedłeś mnie tu obrażać, czy też masz jakiś uczciwy powód?

–Jakżeż niezwykle podstępny człowiekiem jesteś, żeby tam stać w środku i mnie szpiegować. Lecz masz rację, sprowadził mnie tu ważny powód. – Ku rozczarowaniu wartow-

ników, przeszedł na łacinę. – Teraz, kiedy już to mamy i zbieramy się do drogi, i w ogóle, chętnie ci podziękuję za to, że namówiłeś Gavrasa, by mi podarował ziemię na moją wyłączną własność, tak że nie muszę obejść się jakimś ochłapem, który dostalibyśmy od ciebie.

–Och, o to chodzi – powiedział Marek w tym samym języku. – Zapomnij o tym; krępowało mnie tak samo jak ciebie, że nie masz ziemi. Thorisin po prostu traktuje nas jak jedną szajkę i ponieważ miał do czynienia głównie ze mną, nie pomyślał, by tym razem zrobić inaczej. Co nie znaczy – dodał – żebyś kiedykolwiek otrzymywał ode mnie rozkazy.

–Pewnie, bo nigdy nie próbowałeś mi ich dawać, i za to też chcę ci podziękować... – Virido-viks wyprostował się dumnie. – Mimo to, wcale mi nie jest przykro, że będę na swoim. Nie chciałbym słuchać, jak Gajusz Filipus mówi, że przez cały czas miał rację i że jedyny Celt tutaj jest pacholkiem Rzymian.

–Wciąż toczysz tę idiotyczną wojnę? – zapytał z odrazą Gorgidas. – Czy nie znalazłeś tutaj wystarczająco wielu możliwości, by zaspokoić swoją barbarzyńską żądzę rozlewu krwi?

–Niech sobie wypomina – rzekł Marek. – Wszyscy o tym pamiętamy, najlepiej jak potrafimy. To pomaga nam trzymać się razem.

–Właśnie – powiedział Viridoviks. – Wy, Rzymianie, jesteście szczęśliwcami, że jest

was tutaj takie mnóstwo. Pewnie nawet wasze wnuki będą umiały słowo czy dwa po łacinie. A Grek ma swoje historie na pamiętkę. Więc ja też będę pamiętał i zaraza na każdego, kto mówi, żebym sobie tym. nie zawracał głowy. – Spojrzał zjadliwie na Gorgidasa.

–Och, doskonale – rzekł niechętnie lekarz. Boczył się przez parę chwil, a potem uśmiechnął się krzywo. – Zawsze jestem rozdrażniony, kiedy mnie przegadasz. Patrząc na te obwisłe, czerwone wąsy zapominam, że za nimi jest jeszcze mózg. – Odwrócił się i ruszył przed siebie wyciągniętym krokiem, potrząsając głową.

–Hej, czekaj! – krzyknął Viridoviks. – Będziemy sprzeczać się dalej nad dzbanem wina. – Pokłusował za Gorgidasem.

Wartownicy może i nie potrafili zrozumieć rozmowy, lecz ton rozpoznali z łatwością. – Przypominają mi mojego psa i kota, naprawdę – powiedział jeden z nich do Skaurusa.

–Trafiłeś – odparł trybun.

Odwrócił się i wszedł do rezydencji Imperatora, mijając po drodze portret starożytnego Imperatora Laskarisa, którego toporne, chłopskie rysy przypominały bardziej zahartowanego w bojach podoficera niż władcę. Krwawa plama szpecąca dolną część obrazu stanowiła jedną z nielicznych pamiętek przypominających rozpaczliwą walkę sprzed dwóch lat z nasłanymi przez Onomagoulosa skrytobójcami. Większość powstałych wówczas szkód naprawiono, lecz wizerunku Laskarisa nie dało się oczyścić, a przedstawiał zbyt wielką wartość, by go wyrzucić.

Sekretarz wyszedł z komnaty Skaurusa. Ścigał go głos Aypii: – Chciałabym mieć na jutro czy-

stopis tego, Artanasie, o ile poradzisz sobie z tym do tego czasu.

Ramiona Artanasa uniosły się i opadły w bezgłośnym westchnieniu. – Zrobię co w mojej mocy, Wasza Wysokość. – Westchnął znowu, pokłonił się trybunowi i umknął pospiesznie, wsuwając w kieszeń tuniki pokrowiec na pióra.

–Nie powinnam go tak poganiać – powiedziała Aypia, kiedy Marek wszedł do środka. –

Ale chcę zrobić tyle, ile to jest możliwe, zanim wyruszymy na zachód. – Roześmiała się smętnie.

–Co nie oznacza, że zdołam zrobić dużo, kiedy trzy czwarte moich rzeczy jest już spakowane i

schowane tam, gdzie nie mogę się do nich dostać.

Trybun zdążył się już nauczyć, że skarżyła się tylko na pomniejsze niedogodności; nie pozwalała, by rozdrażnienie przeszkadzało jej w radzeniu sobie z prawdziwymi problemami. Zdając sobie z tego sprawę, powinien po prostu zmienić temat. Ponieważ jednak wciąż jeszcze dostosowywał się do niej, rzekł niespokojnie: – Mam nadzieję, że nie poczujesz się zbyt obco, mieszkając z dała od stolicy Videssos?

Spojrzała na niego z mieszaniną czułości i rozdrażnienia.

–Obco? To bardziej będzie przypominało powrót do domu. Zapomniałeś, że wychowywałam

się w wiejskiej posiadłości, leżącej zresztą niezbyt daleko od tej, którą mamy objąć? Nigdy nie

sądziłam, że zobaczę stolicę, dopóki mój ojciec nie stanął na czele buntu, który wypędził Strobilosa

Sphrantzesa. Nie, pod tym względem nie musisz się o mnie martwić.

Zdenerwowany, *naprawdę* bowiem zapomniał, powiedział: – W porządku – z takim brakiem przekonania, że Alypia nie zdołała powstrzymać śmiechu.

–Naprawdę jest wszystko w porządku -zapewniła go. – To jest właśnie owo szczęśliwe za

kończenie, jakie znajdujemy w romansach, i jakie, co wszyscy wiemy, nie zdarza się w prawdzi

wym życiu. Lecz nam się zdarzyło, tobie i mnie; czarny charakter pokonany, ty nagrodzony za

żonymi brawami, a my dwoje razem, tak jak to być powinno. Czy coś z tego jest złe?

Roześmiał się. – Nie – powiedział – szczególnie to ostatnie – i pocałował ją. Mówił prawdę; to, co przeżył, przypominało mu, jak bardzo jest teraz szczęśliwy. Jedną z oznak była nieobecność hałaśliwych sprzeczek, tak charakterystycznych dla chwil spędzonych z Helvis. Lecz to tylko w sposób najbardziej rzucający się w oczy świadczyło o głębszym spokoju, jakiego dostąpił. Przyczyniły się do tego, i to w niemałym stopniu, jak dobrze wiedział, wnioski, jakie wyciągnął z popełnionych wcześniej błędów.

Jednak niezaprzeczalnie ogromną rolę w budowie ich wspólnego zadowolenia odgrywała Alypia. Przez to, że nie próbowała przerobić go na siłę – pomyślał Marek –

umożliwiła mu, by zmienił się sam, a nie zastygł za ochronną skorupą.

O jej sukcesie – a być może i jego własnym – świadczyło to, że w miarę upływu czasu coraz bardziej troszczyli się o siebie nawzajem, podczas gdy w jego poprzednim związku szczęście stop-

niowo ulatniało się, gdy gasła namiętność.

Co wcale nie znaczyło, że pomiędzy nim a Alypią nie występowały żadne różnice. Właśnie ujawniła jedną z nich swoją uwagą o szczęśliwych zakończeniach. Uznał, że religia Imperium, która kładła tak wielki nacisk na walkę dobra ze złem, miała z tym wiele wspólnego.

Sam Skaurus zawarł ugodę z Phosem, lecz wciąż odczuwał wpływ swego stoickiego wychowania. Szczęśliwe zakończenia istniały *tylko* w romansach, co nie zmuszało do martwienia się tym, co nastąpi po nich. W prawdziwym świecie kłopoty następowały po sobie bez chwili przerwy; istniał tylko jeden koniec, i to z góry przesądzony.

Lecz wiele dróg wiodło ku niemu. – Nazwijmy to dobrym początkiem – powiedział i Alypia nie sprzeciwiła się temu.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-12-02

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/